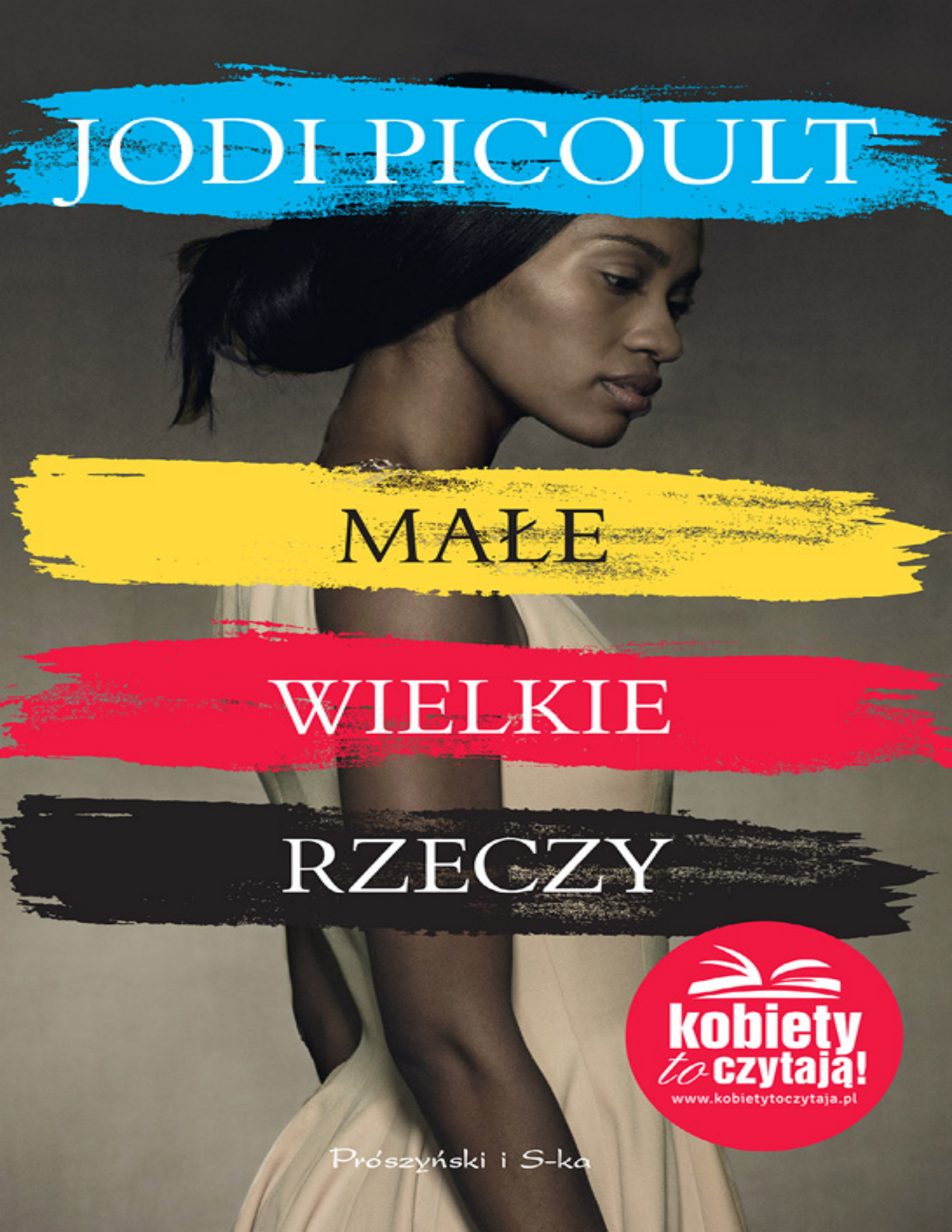
JODI PICOULT
MAŁE
WIELKIE
RZECZY
kobiety to czytają!
www.kobietytoczytaja.pl
Prószyński i S-ka

JODI PICOULT

MAŁE WIELKIE RZECZY

Przełożyła
Magdalena Moltzan-Małkowska

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
SMALL GREAT THINGS

Copyright © 2016 by Jodi Picoult
This translation published by arrangement with Ballantine Books,
an imprint of The Random House Publishing Group,
a division of Random House, Inc.

All rights reserved

Projekt okładki
Ewa Wójcik

Zdjęcie na okładce
© Indigo Images

Redaktor prowadzący
Joanna Maciuk

Redakcja
Joanna Habiera

Korekta
Grażyna Nawrocka

ISBN 978-83-8097-989-5

Warszawa 2017

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Dla Kevina Ferreiry,
który nauczył mnie, iż żadne z nas
nie jest dziełem skończonym.
Dzięki jego myślom i czynom
świat staje się lepszym miejscem.
Witaj w rodzinie.

Etap pierwszy

Faza utajona

Sprawiedliwość nie zostanie wymierzona, dopóki ci, którzy nie ucierpieli, nie oburzą się na równi z tymi, co owszem.

Benjamin Franklin

Ruth

Cud stał się w domu przy Siedemdziesiątej Czwartej Ulicy, gdzie pracowała mama. Był to okazały budynek z brązowego piaskowca, otoczony płotem z kutego żelaza, a po obu stronach zdobionych drzwi wystawały gargulce o granitowych twarzach odlanych z moich koszmarów. Bałam się ich, więc w ogóle mi nie przeszkadzało, że zawsze wchodziłyśmy mniej reprezentacyjnym bocznym wejściem, do którego mama miała klucz z breloczkiem.

Mama pracowała dla Sama Hallowella i jego rodziny, na długo przed tym, zanim siostra i ja się urodziłyśmy. Może nie kojarzycie nazwiska, ale od razu rozpoznalibyście jego charakterystyczny głos, którym w połowie lat sześćdziesiątych zapowiadał każdy program: „Oglądacie NBC w kolorze!". W 1976 roku, kiedy stał się cud, pracował na stanowisku dyrektora programowego we wspomnianej sieci. Dzwonek pod gargulcami wygrywał melodyjkę, którą wszyscy kojarzą z NBC. Czasem, kiedy szłam z mamą do pracy, wykradałam się na zewnątrz, wciskałam guzik i nuciłam do wtóru.

Poszłyśmy wtedy z mamą, bo śnieg zasypał miasto. Odwołano lekcje, ale byłyśmy za małe, żeby zostać same w domu, bo mama chodziła do pracy bez względu na pogodę, choćby się waliło i paliło. Gdy upychała nas w kombinezony i kozaki, mamrotała pod nosem, że wyjdzie na śnieżycę, ale broń Bóg, żeby pani Mina sama zrobiła sobie kanapkę. Właściwie tylko raz miała przerwę w pracy, dwadzieścia pięć lat później, po wymianie stawów biodrowych, którą zrobiła na koszt Hallowellów. Wytrzymała w domu tydzień, a potem, choć jeszcze nie wydobrzała, wróciła do pracy. Mina znajdowała jej zajęcia, które nie wymagały chodzenia. Ale kiedy byłam mała, w czasie szkolnych wakacji, choroby czy śnieżycy mama zabierała nas pociągiem linii B do śródmieścia.

Pan Hallowell wyjechał na tydzień do Kalifornii, co często się zdarzało, toteż pani Mina i Christina jeszcze bardziej potrzebowały mamy. My tak samo, ale wygląda na to, że byłyśmy bardziej zaradne od pani Miny.

Kiedy wreszcie doszłyśmy na Siedemdziesiątą Drugą Ulicę, cały świat był biały. Nie tylko dlatego, że Central Park wyglądał jak zamknięty w śnieżnej kuli. Twarze zziębniętych ludzi, którzy spieszyli do pracy, nie przypominały mojej twarzy ani twarzy moich sąsiadów albo kuzynów.

Na Manhattanie bywałam tylko u Hallowellów, dlatego nie wiedziałam, jakie to niezwykłe, aby jedna rodzina mieszkała sama w tak wielkim domu. Pamiętam jednak, że nie mogłam pojąć, dlaczego chowamy z Rachel nasze buty i kombinezony do ciasnego, zagraconego schowka w kuchni, skoro w przedpokoju, gdzie wisiały płaszcze Christiny i pani Miny, było mnóstwo miejsca i wolnych wieszaków. Mama też chowała swoje rzeczy do schowka – palto i szczęśliwy szalik – ten milusi, który nią pachniał i który nosiłyśmy z Rachel na zmianę po domu, bo był miękki jak świnka morska albo króliczek. Czekałam, aż mama przefrunie przez ciemne pomieszczenia jak wróżka Blaszany Dzwoneczek i włączy światło, dzięki czemu uśpiony dom powoli obudzi się do życia.

– Bądźcie cicho – przykazywała – to zrobię wam czekoladę pani Miny.

Czekolada pochodziła z Paryża i była niebiańsko pyszna, więc gdy mama wiązała biały fartuch, wyjęłam sobie z kuchennej szuflady kartkę i kredki przyniesione z domu i po cichutku zaczęłam rysować. Narysowałam wielki dom, jak tamten, i umieściłam w nim rodzinę: siebie, mamę i Rachel. Próbowałam narysować śnieg, ale nie umiałam, płatki, które nabazgrałam białą kredką, zlewały się z bielą kartki. Widziałam je dopiero pod światło, bo kredka błyszczała.

– Czy możemy pobawić się z Christiną? – zapytała Rachel. Christina miała sześć lat, co plasowało ją dokładnie między nami. Miała największy pokój, jaki w życiu widziałam, i nieprawdopodobną liczbę zabawek. Jeśli akurat była w domu, bawiłyśmy się razem w szkołę z jej misiami, piłyśmy wodę z porcelanowych filiżaneczek

i zaplatałyśmy miękkie włosy jej lalek. Chyba że gościła u siebie koleżankę, wtedy zostawałyśmy w kuchni i kolorowałyśmy.

Ale zanim mama zdążyła odpowiedzieć, rozległ się przeraźliwy krzyk, aż zakłuło mnie w piersi. Mama chyba poczuła to samo, gdyż mało nie upuściła garnka z wodą, który niosła do zlewu.

– Zostańcie tutaj – poleciła i puściła się biegiem po schodach.

Rachel pierwsza zerwała się z krzesła, nigdy nie należała do potulnych. Pociągnęła mnie za sobą jak balonik przywiązany do nadgarstka. Musnęłam ręką balustradę krętych schodów.

Drzwi pokoju pani Miny były otwarte na oścież, a ona wiła się na łóżku w satynowej pościeli. Brzuch miała okrągły jak księżyc, wywrócone białka oczu nasunęły mi skojarzenie z zastygłymi w locie konikami na karuzeli.

– Jeszcze nie czas, Lou – stęknęła.

– Proszę to powiedzieć dziecku – odparła mama. W jednej ręce trzymała słuchawkę, drugą miażdżyła jej pani Mina. – Proszę nie przeć – poradziła. – Karetka będzie za chwilę.

Zastanawiałam się, jak szybko przebije się przez śnieżne zaspy.

– Mamusiu?

Dopiero teraz zauważyłam Christinę, hałas musiał ją obudzić. Stała między mną a Rachel.

– Wy trzy, jazda do pokoju panny Christiny – zakomenderowała mama. – Ale już.

Lecz my stałyśmy jak wmurowane, bo mama zapomniała o nas, pochłonięta bólem i strachem pani Miny, będąca jej drogowskazem. Patrzyłam, jak żyły nabrzmiewają pani Minie na szyi, kiedy krzyczała; zobaczyłam, jak mama klęka na łóżku między jej nogami i zadziera jej nocną koszulę nad kolana. Patrzyłam, jak wybrzuszają się i rozwierają różowe wargi między udami pani Miny. Pojawiła się piłeczka głowy, skurczone ramię, trysnęła krew z jakimś płynem i nagle dziecko znalazło się na rękach mamy.

– No popatrz – oznajmiła z miłością wypisaną na twarzy. – Ale ci się spieszyło.

Potem zdarzyły się dwie rzeczy naraz: ktoś zadzwonił do drzwi i Christina wybuchnęła płaczem.

– Kochana – zagruchała pani Mina, już podobna do siebie, ale nadal spocona i czerwona na twarzy. Wyciągnęła rękę, lecz Christina przywarła do mnie, wstrząśnięta tym, co zobaczyła. Rachel, jak zawsze praktyczna, poszła otworzyć. Wróciła z dwoma ratownikami medycznymi, którzy wparowali do środka i przejęli panowanie nad sytuacją, toteż czyn mamy stał się oczywisty i niewidzialny, jak wszystko, co robiła dla Hallowellów.

Hallowellowie dali synowi na imię Louis, na cześć mamy. Był zdrowy, choć urodził się prawie cały miesiąc przed terminem, ofiara spadku ciśnienia w czasie śnieżycy, co spowodowało PPPP – przedwczesne pęknięcie pęcherza płodowego. Oczywiście wówczas tego nie wiedziałam. Wiedziałam jedynie, że w śnieżny dzień na Manhattanie byłam świadkiem czyjegoś początku. Byłam przy tym dziecku, zanim coś lub ktoś zdążył je zawieść.

Narodziny Louisa miały wpływ na każdą z nas. Christina wynajęła surogatkę. Rachel urodziła piątkę. A ja zostałam położną.

Kiedy opowiadam ludziom tę historię, myślą, że wspomniany cud to narodziny dziecka. Faktycznie, to było wydarzenie. Lecz tamtego dnia byłam świadkiem czegoś znacznie bardziej niebywałego. Kiedy Christina trzymała mnie za rękę, a pani Mina ściskała dłoń mamy, nastała chwila – mgnienie oka, jedno uderzenie serca – gdy wykształcenie, pieniądze i kolor skóry się nie liczyły. Wszyscy byli równi, a jedna kobieta zwyczajnie pomagała drugiej.

Od trzydziestu dziewięciu lat czekam, aż się powtórzy.

Etap pierwszy

Faza aktywna

Ruth

Najpiękniejsze dziecko, jakie w życiu widziałam, urodziło się bez twarzy.

Od szyi w dół chłopczyk był doskonały: dziesięć paluszków u rąk, dziesięć u stóp, okrągły brzuszek. Ale w miejscu ucha miał zniekształcone usta i jeden ząb, a zamiast twarzy fałd skóry pozbawiony rysów.

Matka – moja pacjentka – trzydziestoletnia CIPI[1], miała badania prenatalne, w tym USG, ale deformacja twarzy nie była widoczna ze względu na ułożenie dziecka. Kręgosłup, serce, narządy nie budziły zastrzeżeń, więc nikt się tego nie spodziewał. Może właśnie z tego powodu zdecydowała się na poród w Mercy-West Haven, naszym prowincjonalnym szpitalu, zamiast w Yale-New Haven, gdzie mają lepszy sprzęt. Urodziła w terminie, poród trwał szesnaście godzin. Lekarz podniósł dziecko i zapadła głucha cisza. Aż dzwoniło w uszach.

– Wszystko w porządku? – zapytała w panice matka. – Dlaczego nie płacze?

Byłam z praktykantką, która wrzasnęła.

– Wyjdź. – Pchnęłam ją za drzwi. Potem wzięłam dziecko z rąk lekarza, położyłam je na macie i wytarłam ze śluzu. Neonatolog przeprowadził szybkie badanie i, spojrzawszy na mnie, wrócił do rodziców, do których już dotarło, że dzieje się coś bardzo złego. W łagodnych słowach poinformował ich, że dziecko ma poważne wady wrodzone, które zagrażają jego życiu.

Wbrew powszechnemu mniemaniu śmierć jest częstym gościem na porodówce. Kiedy mamy do czynienia z anencefalią albo dziecko rodzi się martwe, wiemy, że rodzice muszą poczuć z nim więź i je opłakać. Ten noworodek – wciąż żywy – był ich synem.

Dlatego umyłam go i zawinęłam jak każde inne dziecko, a rozmowa za moimi plecami rwała się jak papier. „Dlaczego? Jak? A gdybyście…? Ile jeszcze…?". Pytania, których nikt nie chce nigdy zadawać i na które nikt nie chce odpowiadać.

Gdy kładłam maleństwo w ramiona matki, jeszcze płakała. Chłopiec wywijał rączkami. Uśmiechnęła się do niego z miłością w oczach.

– Ian – wyszeptała. – Ian Michael Barnes.

Taką twarz widywałam tylko na obrazach w muzeum: wyrażała bezmiar czułości i rozpaczy, które tworzyły razem coś nowego, pierwotnego.

Spojrzałam na ojca.

– Czy chciałby pan potrzymać syna?

Wyglądał, jakby miał zwymiotować.

– Nie mogę – mruknął i wypadł z sali.

Ruszyłam za nim, ale zatrzymała mnie praktykantka, skruszona i zdenerwowana.

– Przepraszam – wybąkała. – Ale to był… potwór.

– To jest dziecko – uściśliłam.

Znalazłam ojca w poczekalni dla rodziców.

– Żona i syn pana potrzebują.

– To nie jest mój syn – odparł. – To… to…

– Długo z nami nie zostanie, więc proszę dać mu całą miłość, jaką pan dla niego trzymał. – Odczekałam, aż popatrzy mi w oczy, i odwróciłam się na pięcie. Wiedziałam, że idzie za mną.

Kiedy wróciliśmy na salę, jego żona wciąż tuliła dziecko, z ustami przyciśniętymi do gładkiego czółka. Odebrałam jej zawiniątko i podałam ojcu. Nabrał powietrza w płuca i odchylił kocyk w miejscu, gdzie powinna znajdować się twarz.

Wiecie, zastanawiałam się nad swoim zachowaniem. Czy postąpiłam słusznie, zmuszając ojca do kontaktu z umierającym dzieckiem, czy miałam do tego prawo jako położna. Gdyby mój przełożony zadał mi wówczas te pytania, odpowiedziałabym, że zostałam przeszkolona, by pomagać rodzicom w takich sytuacjach. Gdyby ojciec nie przyjął do wiadomości, że stało się coś naprawdę strasznego – albo, co gorsza, udawał przez resztę życia, że nic się

nie wydarzyło – powstałaby w nim dziura. Początkowo niewielka, z czasem stawałaby się coraz większa, aż w końcu by go pochłonęła.

Kiedy zaczął płakać, szloch wstrząsał jego ciałem jak huragan wyginający drzewo. Osunął się obok żony, a ona położyła jedną rękę na jego plecach, a drugą na główce dziecka.

Przez dziesięć godzin na zmianę trzymali syna. Matka próbowała go nawet karmić. Oczu nie mogłam od tego oderwać – nie dlatego, że byłam zdegustowana czy wstrząśnięta, po prostu była to najbardziej niesamowita rzecz, jaką w życiu widziałam. Jakbym patrzyła na słońce: człowiek odwraca wzrok i nie widzi już nic innego.

Po chwili – pod pretekstem zbadania matki – wróciłam tam z głupią praktykantką, bo tak naprawdę chciałam jej pokazać, że w miłości nie chodzi o to, na co patrzymy, tylko kto patrzy.

Kiedy dziecko umarło, panował spokój. Na pamiątkę zrobiliśmy dla rodziców odlewy rączki i stópki. Słyszałam, że to małżeństwo wróciło dwa lata później i kobieta urodziła zdrową córeczkę, ale nie miałam wtedy dyżuru.

I właśnie to chciałam wam powiedzieć: każde dziecko rodzi się piękne.

Brzydota jest czymś, co mu przypisujemy.

Zaraz po tym, jak urodziłam Edisona, siedemnaście lat wcześniej w tym samym szpitalu, nie martwiłam się o zdrowie mojego dziecka ani trudy samotnego macierzyństwa, podczas gdy mąż przebywał za granicą, ani jak zmieni się odtąd moje życie.

Martwiłam się o swoje włosy.

Wygląd to ostatnia rzecz, o której myślimy w czasie porodu, lecz myśl nasuwa się chwilę później, przynajmniej ja tak miałam. Pot, który lepi włosy białych pacjentek do czoła, postawił moje włosy na sztorc. Zostawały proste, jeśli wieczorem zaczesywałam je w zawijas dookoła głowy, jak wafelek do lodów, i spałam w chuście na głowie. Ale która biała pielęgniarka o tym wiedziała albo domyślała się, że po szpitalnym szamponie będę miała puch na głowie? Byłam przekonana, że gdy koleżanki z pracy przyjdą w dobrej wierze zobaczyć Edisona, widok moich włosów przyprawi je o wstrząs.

W końcu owinęłam głowę ręcznikiem, a gościom mówiłam, że właśnie wzięłam prysznic.

Pielęgniarki z chirurgii opowiadały mi o mężczyznach, którzy po operacji każą zakładać sobie tupecik przed wizytą żony. Nie zliczę też, ile razy pacjentka, która całą noc stękała, krzyczała i wyciskała z siebie dziecko z mężem u boku, zaraz po porodzie wyrzucała męża z sali i prosiła, żebym pomogła jej włożyć ładną koszulę nocną i szlafrok.

Rozumiem potrzebę, która nakazuje ludziom zakładać maskę na użytek reszty świata. I dlatego – kiedy zjawiam się na swoją zmianę o szóstej czterdzieści – nie zaglądam nawet do dyżurki, gdzie oddziałowa niedługo zda nam relację z nocki. Idę prosto do pacjentki, z którą byłam wczoraj przed końcem zmiany. Ma na imię Jessie i jest drobną kobietą, która wkroczyła na izbę przyjęć bardziej jak Pierwsza Dama w czasie kampanii prezydenckiej niż rodząca: miała pięknie ułożone włosy i nieskazitelny makijaż, nawet ciążowa odzież wyglądała na niej jak spod igły. Zwłaszcza to ostatnie mówi samo za siebie, bo w czterdziestym tygodniu większość przyszłych matek ubrałaby się w namiot. Przejrzałam jej kartę – CIPI – i uśmiechnęłam się pod nosem. Kiedy przekazywałam Jessie koleżance i szłam do domu, rzuciłam jej na odchodne, że gdy znowu się zobaczymy, będzie już mamą, i tak się stało. Kiedy ja spałam, Jessie urodziła zdrową córeczkę o wadze blisko trzech i pół kilo.

Otwieram drzwi, Jessie drzemie. Dzidziuś leży owinięty w łóżeczku obok, a mąż chrapie rozwalony na krześle. Jessie otwiera oczy, na co natychmiast kładę palec na ustach. „Ani słowa".

Wyciągam z torebki puderniczkę i czerwoną szminkę.

Poród to po części rozmowa; pozwala odwrócić uwagę od bólu i jest jak klej łączący pielęgniarkę z pacjentką. Bo w jakiej innej sytuacji przedstawiciel służby zdrowia spędza do dwunastu godzin na rozmowie z jedną osobą? Relacja, którą budujemy z tymi kobietami, jest pospieszna i intensywna. W ciągu zaledwie kilku godzin dowiaduję się o nich rzeczy, o których czasem nie wiedzą najbliżsi przyjaciele: że poznała swojego partnera w barze, gdy za dużo wypiła, że jej ojciec nie zdążył zobaczyć wnuka, że macierzyństwo budzi w niej obawy, bo jako nastolatka nie znosiła pilnowania dzieci.

Zeszłego wieczora, podczas porodu, kiedy była wykończona, bliska płaczu i warczała na męża, zaproponowałam, żeby poszedł na kawę. Po jego wyjściu napięcie trochę spadło i Jessie osunęła się z powrotem na wstrętne plastikowe poduszki, które mamy na porodówce.

– A jeśli dziecko wszystko zmieni? – zaszlochała. Wyznała, że nigdzie się nie rusza, jeśli nie jest „zrobiona", że mąż nigdy nie widział jej bez tuszu do rzęs, a teraz patrzy, jak jej ciało wywraca się na lewą stronę – czy to możliwe, że będzie między nimi tak jak dawniej?

„Słuchaj", odpowiedziałam. „Ja się tym zajmę".

O tę jedną rzecz nie musiała się martwić – lubię myśleć, że to dało jej siłę, aby dotrwać do końca.

Ciekawe. Kiedy mówię ludziom, że od ponad dwudziestu lat jestem położną, imponuje im, że pomagałam przy cesarkach, że potrafię z zamkniętymi oczami podłączyć kroplówkę i odróżnić normalne spowolnienie tętna płodu od niepokojącego. Ale dla mnie bycie położną to znajomość pacjentki i jej potrzeb. Masaż pleców. Epidural. Kapka tuszu do rzęs.

Jessie zerka na męża, który śpi jak kamień. Potem bierze ode mnie pomadkę.

– Dziękuję – szepcze i wymieniamy spojrzenia. Trzymam lusterko, a Jessie na nowo się odnajduje.

W czwartki zaczynam o siódmej, kończę o dziewiętnastej. W Mercy-West Haven na porodówce dyżurują w ciągu dnia dwie pielęgniarki – trzy, jeżeli akurat opływamy w zasoby ludzkie. Idę korytarzem i zaglądam od niechcenia do sal – tylko trzy są zajęte, nie ma tłoku. Kiedy wchodzę do dyżurki, gdzie odbywamy poranne spotkania, Marie, oddziałowa, już czeka, ale nie ma Corinne, drugiej pielęgniarki.

– Co dziś obstawiasz? – pyta Marie, przeglądając poranną gazetę.

– Złapała gumę – podrzucam. Te zgadywanki stały się naszą tradycją: „Co wymyśli dzisiaj Corinne?". W ten piękny październikowy dzień raczej nie zwali spóźnienia na pogodę.

– Guma była w ubiegłym tygodniu. Ja obstawiam grypę.

– A właśnie – mówię. – Jak się czuje Ella? – Ośmioletnia córka Marie złapała grypę żołądkową, która teraz szaleje w mieście.

– Wróciła dziś do szkoły, chwała Bogu – odpowiada Marie. – Dla odmiany wzięło Dave'a. Przypuszczam, że zaraz moja kolej. – Podnosi wzrok znad dodatku regionalnego. – Znowu widziałam nazwisko Edisona.

Od początku nauki w liceum mój syn zawsze jest na liście najlepszych uczniów. Ale – co ciągle mu powtarzam – nie ma się czym chwalić.

– W mieście jest mnóstwo zdolnych dzieciaków – odpowiadam powściągliwie.

– Wszystko jedno – kwituje Marie. – Dla takiego chłopca to nie byle co… no cóż. Powinnaś być dumna. Mam tylko nadzieję, że Ella też będzie dobrą uczennicą.

„Dla takiego chłopca". Wiem, o co jej chodzi, nawet jeśli nie powiedziała tego wprost. Do naszego liceum uczęszcza garstka czarnoskórych dzieci i, o ile wiem, Edison jako jedyny ma doskonałe wyniki. Ale podobne komentarze są jak drzazga pod paznokciem. Pracujemy razem dziesięć lat, więc staram się je puszczać mimo uszu. Wiem, że tak naprawdę nie ma nic złego na myśli. Przecież się przyjaźnimy – w zeszłym roku wraz z innymi pielęgniarkami przyszła do mnie z rodziną na wielkanocną kolację, chodzimy też na drinka, a raz zrobiłyśmy sobie babski weekend w spa. Mimo to Marie nie ma bladego pojęcia, ile razy muszę zaciskać zęby. W pięciu przypadkach na dziesięć biali nie robią czarnym przykrości specjalnie, więc staram się nie brać tego do siebie.

– Lepiej się módl, żeby Ella nie wylądowała znowu u pielęgniarki – mówię, a Marie się śmieje.

– Masz rację. Wszystko po kolei.

Corinne wpada do dyżurki.

– Przepraszam za spóźnienie! – woła, a Marie i ja wymieniamy spojrzenia. Corinne jest piętnaście lat młodsza ode mnie i wciąż coś jej się przytrafia: a to zepsuty akumulator, a to kłótnia z chłopakiem albo wypadek na trasie. Należy do osób, którym życie płynie od kryzysu do kryzysu. Zdejmuje płaszcz i strąca doniczkę z kwiatem,

który usechł dawno temu, a nikomu nie chce się go wyrzucić. – Cholera – mamrocze. Stawia doniczkę i wsypuje ziemię z powrotem. Otrzepuje ręce o fartuch i siada. – Naprawdę przepraszam, Marie. Głupia opona, którą wymieniłam w zeszłym tygodniu, chyba przecieka czy coś; musiałam jechać dwadzieścia na godzinę.

Marie sięga do kieszeni i wyjmuje dolara, którego przesuwa w moją stronę. Parskam śmiechem.

– No dobra – zaczyna Marie. – Już mówię, jak wygląda sytuacja. Jessica Myers, CIPI, czterdziesty tydzień i dwa dni. Poród siłami natury o trzeciej nad ranem, bez komplikacji i środków przeciwbólowych. Żadnych problemów z karmieniem, mała robiła siusiu, ale jeszcze się nie wypróżniała.

– Moja. – Corinne i ja wyrywamy się jednocześnie.

Każda woli pacjentkę, która już urodziła, nie ma przy niej tyle roboty.

– Byłam z nią w czasie porodu – zaznaczam.

– Fakt – mówi Marie. – Ty ją weźmiesz, Ruth. – Poprawia okulary na nosie. – W trójce mamy Theę McVaughn, GIP0, czterdziesty pierwszy tydzień i trzy dni, rozwarcie na cztery centymetry, pęcherz płodowy cały. Akcja serca płodu nie budzi obaw, dziecko się rusza. Poprosiła o epidural, zaleciłam szybkie podanie.

– Dzwoniłaś po anestezjologa? – pyta Corinne.

– Tak.

– Ja ją wezmę.

W miarę możliwości bierzemy tylko jedną rodzącą pacjentkę naraz, co oznacza, że trzecia pacjentka – ostatnia tego ranka – będzie moja.

– Piątka to poporodówka. Brittany Bauer, CIPI, trzydziesty dziewiąty tydzień i jeden dzień, dostała epidural i urodziła siłami natury o piątej trzydzieści. To chłopiec, chcą go obrzezać. Matka miała cukrzycę ciążową kontrolowaną dietą, dziecko na cukrach co trzy godziny przez całą dobę. Ona bardzo chce karmić piersią. Nie wypuszcza go z rąk.

Poporodówka też jest absorbująca – i wymaga bliskiego kontaktu położnej z pacjentką. Trzeba dopiąć wszystko na ostatni guzik, zrobić oględziny i odwalić mnóstwo papierkowej roboty.

– Nie ma sprawy – odpowiadam i idę poszukać Lucille z nocnej zmiany, która towarzyszyła Brittany przy porodzie.

Ona pierwsza mnie znajduje, kiedy myję ręce w dyżurce.

– Berek. – Wręcza mi kartę Brittany Bauer. – Dwudziestoszścioletnia CIPI, urodziła siłami natury o piątej trzydzieści, bez pęknięcia krocza. 0 Rh+, odporna na różyczkę, testy na żółtaczkę i HIV negatywne, GBS ujemne. Cukrzyca ciążowa kontrolowana dietą, poza tym bez komplikacji. Nadal ma wenflon w lewym przedramieniu. Odłączyłam epidural, ale jeszcze nie wstawała, więc zapytaj, czy chce skorzystać z toalety. Krwawienie w normie, dno macicy na wysokości pępka.

Zaglądam do karty, zapamiętuję szczegóły.

– Davis – czytam. – To mały?

– Tak. Kondycja w normie, ale cukier po godzinie miał czterdzieści, więc próbujemy go przystawiać do piersi. Trochę podjadł z obu stron, ale jest senny i pluje, więc raczej się nie najadł.

– Dostał krople i zastrzyk?

– Tak, i siusiał, ale nie robił kupki. Jeszcze go nie kąpałam ani nie badałam.

– Nie szkodzi – odpowiadam. – To wszystko?

– Ojciec ma na imię Turk – mówi Lucille z wahaniem. – Jest trochę… dziwny.

– Jak Pan Oblech? – pytam. W zeszłym roku jeden ojciec w czasie porodu flirtował z dziewczyną ze szkoły pielęgniarskiej. Kiedy żona miała cesarkę, zamiast stanąć za parawanem obok jej głowy, polazł do dyżurki i powiedział do praktykantki: „Czy tu jest tak gorąco, czy to od ciebie tak bucha?”.

– Nie, nie tak – zaprzecza Lucille. – W stosunku do żony jest w porządku. Ale coś mi nie pasuje. Nie potrafię tego sprecyzować.

Zawsze myślałam, że gdybym nie była położną, mogłabym udawać telepatkę. Umiemy czytać w pacjentkach, więc potrafimy z góry przewidzieć ich potrzeby. I bezbłędnie wyczuwamy najmniejsze odchylenia od normy. Nie dalej jak w zeszłym miesiącu zapaliło mi się czerwone światełko, kiedy niepełnosprawna umysłowo pacjentka przyszła ze starszą Ukrainką, z którą zaprzyjaźniła się w sklepie spożywczym, gdzie tamta pracowała. Coś mi w nich nie pasowało,

więc posłuchałam głosu intuicji i zadzwoniłam na policję. Okazało się, że Ukrainka odsiedziała wyrok w więzieniu w Kentucky za kradzież dziecka kobiety z zespołem Downa.

Dlatego bez obaw wchodzę do Brittany Bauer. „Dam sobie radę", myślę.

Cicho pukam i otwieram drzwi.

– Mam na imię Ruth – mówię. – Będę dziś twoją położną. – Podchodzę do Brittany i uśmiecham się do dziecka w jej ramionach. – Rozkoszny malec! Jak mu na imię? – pytam, choć już wiem. Chcę w ten sposób zagaić, nawiązać kontakt z rodzicami.

Brittany nie odpowiada. Patrzy na męża, osiłka, który przysiadł na brzeżku krzesła. Ma włosy przystrzyżone jak żołnierz i trzęsie nogą, jakby nie mógł spokojnie usiedzieć. Zaczynam rozumieć, co zaniepokoiło Lucille. Turk Bauer przypomina zerwaną linię wysokiego napięcia, która leży w poprzek drogi i tylko czeka, żeby porazić kogoś prądem.

Nieśmiałość czy skromność nie grają tu żadnej roli – każdego świeżo upieczonego rodzica świerzbi język. Chce opowiadać o tej przełomowej chwili w swoim życiu. Chce jeszcze raz przeżyć poród i narodziny, rozpłynąć się nad urodą dziecka. Ale Brittany… Brittany ma minę, jakby czekała na jego pozwolenie, żeby się odezwać. „Przemoc domowa?", myślę.

– Davis – wykrztusza.

– Hm, jak się masz, Davis? – mruczę, podchodząc do łóżka. – Pozwolisz, że osłucham jego serce i płuca, a potem zmierzę temperaturę?

Mocniej tuli dziecko, przysuwa je do siebie.

– Mogę zrobić to tutaj – proponuję. – A ty go potrzymasz.

Trzeba wybaczyć nieufność młodej matce, zwłaszcza jeśli usłyszała przed chwilą, że dziecko ma za niski cukier. Dlatego wsuwam termometr pod pachę Davisa i mierzę temperaturę. Patrzę na jego kędziorki: biała kępka może oznaczać głuchotę, a zmienny układ włosów – zaburzenia metaboliczne. Przyciskam stetoskop do pleców dziecka, osłuchuję płuca. Wsuwam między nich dłoń, żeby osłuchać serce.

Szmer.

Nikły, w pierwszej chwili myślę, że się pomyliłam.

Nasłuchuję raz jeszcze, na wszelki wypadek, jednakże pośród bicia serca wyraźnie słyszę szmer.

Turk staje nade mną z założonymi rękami.

W nerwach każdy ojciec reaguje inaczej. Czasami bywa wojowniczy. Jakby mógł rozwiązać problem agresją.

– Słyszę lekki szmer – raportuję ostrożnie. – Ale to pewnie nic groźnego. Serce jeszcze się rozwija. Jeśli to rzeczywiście szmer, może zniknąć za kilka dni. Zanotuję jednak w karcie i poproszę pediatrę o konsultację. – Mówię spokojnym tonem i jednocześnie sprawdzam cukier. Wynik jest natychmiastowy, tym razem pięćdziesiąt dwa. – Wspaniale – dorzucam, żeby podnieść Bauerów na duchu. – Poziom cukru bardzo się poprawił. – Podchodzę do umywalki, odkręcam ciepłą wodę i napełniam plastikową miskę, po czym stawiam ją na macie. – Davis zdecydowanie się rozkręca, niedługo zacznie jeść. Może go umyję, trochę się ożywi, a potem znów spróbujemy przystawić go do piersi?

Wyciągam ręce i biorę dziecko. Staję tyłem do rodziców, kładę Davisa na macie i rozpoczynam oględziny. Sprawdzam ciemiączka i upewniam się, czy kości nie nachodzą na siebie. Za plecami słyszę gorączkowe szepty Turka i Brittany. Rodzice się niepokoją, to normalne. Dla wielu rodziców pielęgniarka nie jest żadnym autorytetem, wolą zasięgnąć opinii lekarza, choć położne często pierwsze zauważają różne nieprawidłowości lub objawy. Są pod opieką doktor Atkins; zadzwonię do niej później, niech sama osłucha dziecko.

Ale teraz koncentruję się na Davisie. Wypatruję siniaków i wybroczeń, sprawdzam, czy kształt czaszki jest prawidłowy. Oglądam wnętrza tycich rączek i położenie uszu względem oczu. Mierzę obwód głowy i długość ruchliwego ciałka. Sprawdzam uszy i podniebienie. Dotykam obojczyków i wkładam mu mały palec do ust, żeby zbadać odruch ssania. Patrzę na falowanie jego malutkiej klatki piersiowej, czy nie ma problemów z oddychaniem. Naciskam brzuch, czy jest miękki, oglądam palce u rąk i nóg w poszukiwaniu wysypki, zmian skórnych i znamion. Upewniam się, że jąderka zeszły do moszny, że nie ma spodziectwa, a ujście cewki moczowej jest na

swoim miejscu. Następnie obracam dziecko ostrożnie i rozglądam się za wgłębieniami na kręgosłupie, kępkami włosów bądź innymi objawami świadczącymi o wadach cewy nerwowej.

Dociera do mnie, że szeptanie za moimi plecami ustało. Jednak zamiast ulgi czuję niepokój. „Co im się nie podoba?".

Kiedy odwracam go z powrotem, Davisowi zaczynają się kleić oczka. Noworodki robią się senne kilka godzin po porodzie, co stanowi jeden z powodów, żeby go teraz wykąpać – rozbudzi się i będzie można przystawić go do piersi. Na macie leżą mokre chusteczki: pewnym, wyćwiczonym ruchem zanurzam jedną w ciepłej wodzie i wycieram dziecko od stóp do głów. Następnie zakładam mu pieluszkę, owijam w kocyk jak burrito i myję mu włosy nad umywalką szamponem Johnsona. Na koniec zakładam mu na rączkę bransoletkę z nazwiskiem, a na nóżkę elektroniczny czujnik, który uruchomi alarm, gdyby dziecko znalazło się zbyt blisko wyjścia.

Spojrzenia rodziców parzą mnie w plecy. Odwracam się z uśmiechem przyklejonym do twarzy.

– Proszę. – Oddaję Brittany dziecko. – Czyściutki jak łza. A teraz spróbujmy przystawić go do piersi.

Nachylam się, aby ułożyć dziecko, ale Brittany się wzdryga.

– Zostaw ją w spokoju – mówi Turk Bauer. – Chcę rozmawiać z twoim przełożonym.

To pierwsze słowa, jakie do mnie wypowiada, odkąd tu weszłam dwadzieścia minut temu; słyszę w jego głosie gniew. Coś czuję, że nie powie Marie, jak doskonale się spisałam. Ale kiwam głową i wychodzę, analizując każdy swój gest i słowo od chwili, kiedy przedstawiłam się Brittany Bauer. Podchodzę do dyżurki, gdzie Marie wypełnia kartę.

– Mamy problem w piątce – informuję możliwie opanowanym tonem. – Ojciec chce z tobą pomówić.

– Co się stało? – pyta Marie.

– Kompletnie nic – odpowiadam z przekonaniem. Jestem dobrą pielęgniarką. Czasem świetną. Zajęłam się tym noworodkiem, tak jak zajmowałam się wszystkimi dziećmi na porodówce. – Powiedziałam im, że chyba usłyszałam szmer, i że skontaktuję się z pediatrą. Potem wykąpałam dziecko i je zbadałam.

Chyba nie potrafię ukryć emocji, bo Marie patrzy na mnie ze współczuciem.

– Może niepokoją się o jego serce – zgaduje.

Idę tuż za nią i wyraźnie widzę ich ulgę na widok Marie.

– Chciał pan ze mną rozmawiać, panie Bauer? – pyta.

– Ta pielęgniarka – mówi Turk. – Nie życzę sobie, żeby dotykała mojego syna.

Robi mi się gorąco. Nikt nie lubi być łajany przy szefie.

Marie się prostuje.

– Zapewniam pana, że Ruth jest jedną z naszych najlepszych położnych, panie Bauer. Jeśli chce pan złożyć oficjalną skargę…

– Nie życzę sobie, żeby ona lub tacy jak ona dotykali mojego syna – wpada jej w słowo, krzyżując ręce na piersi. Kiedy mnie nie było, podciągnął rękawy. Na jednym przedramieniu, od nadgarstka aż po łokieć, ma wytatuowaną flagę konfederatów.

Marie milknie.

W pierwszej chwili nie mam pojęcia, w czym rzecz. A potem dostaję jak obuchem w głowę: im nie chodzi o to, co zrobiłam.

Tylko o to, kim jestem.

1 Ciąża pierwsza, poród pierwszy.

Turk

Pierwszy czarnuch, którego poznałem, zabił mojego starszego brata. Siedziałem między rodzicami na sali sądowej w Vermoncie, w koszuli ze sztywnym kołnierzykiem, który mnie dusił, a mężczyźni w garniturach spierali się i pokazywali zdjęcia samochodów oraz śladów opon. Miałem jedenaście lat, Tanner szesnaście. Dwa miesiące wcześniej dostał prawo jazdy. Mama upiekła mu z tej okazji tort udekorowany autostradą z dropsów i jednym z moich samochodzików. Facet, który go zabił, pochodził z Massachusetts i był starszy od mojego ojca. Skórę miał ciemniejszą od ławy, na której siedział, a biel zębów wręcz raziła w oczy. Wzroku nie mogłem od niego oderwać.

Ława przysięgłych nie doszła do porozumienia, nie wydano wyroku, więc nie został skazany. Matce kompletnie odbiło, zaczęła wrzeszczeć, bełkotała coś o sprawiedliwości i dziecku. Morderca podał rękę swojemu adwokatowi, następnie zawrócił i podszedł do nas, oddzielonych od niego tylko barierką.

– Pani Bauer – powiedział. – Bardzo mi przykro z powodu śmierci pani syna.

Jak gdyby go to nie dotyczyło.

Matka przestała płakać, zebrała ślinę i splunęła.

***

Nie mogliśmy się z Brit doczekać.

Jadę z jedną ręką na kierownicy, drugą trzymam na siedzeniu między nami, a Brit ściska ją, kiedy nadchodzi skurcz. Widzę, że boli jak diabli, ale Brit tylko mruży oczy i zaciska zęby, taka jest twarda. W ogóle mnie to nie dziwi – sam widziałem, jak wybiła zęby gnojowi,

który przy sklepie wózkiem zarysował jej maskę – ale chyba nigdy nie wydawała mi się równie piękna, jak teraz, silna i milcząca.

Zerkam na nią, kiedy stajemy na światłach. Jesteśmy małżeństwem od dwóch lat, ale wciąż nie mogę uwierzyć, że Brit jest moja. Po pierwsze, to najładniejsza dziewczyna, jaką w życiu widziałem, a w Stowarzyszeniu jest prawdziwą księżniczką. Ciemne włosy zaplecione w warkocz opadają na plecy, ma zaróżowione policzki. Dyszy, jakby biegła maraton. Nagle się odwraca, niebieskie oczy jej płoną.

– Nikt mnie nie uprzedził, że to będzie mordęga – wykrztusza.

Ściskam jej rękę, co mnie trochę kosztuje, bo ona ściska moją do bólu.

– Ten wojownik – mówię – będzie silny jak mama. – Wpajano mi latami, że Bóg potrzebuje wojowników. Że jesteśmy aniołami w tej wojnie rasowej, a bez nas świat na nowo stałby się Sodomą i Gomorą. Francis – legendarny ojciec Brit – wbijał nam do głowy, że musi nas być coraz więcej, że bez tego nie urośniemy w siłę. Ale w chwili, gdy od narodzin naszego dziecka dzieli nas zaledwie krok, miotam się między triumfem i zgrozą, ponieważ mimo wielu moich starań wciąż żyjemy w szambie. Teraz moje dziecko jest doskonałe, lecz z chwilą, kiedy przyjdzie na świat, zostanie skażone.

– Turk! – wrzeszczy Brit.

Ostro zakręcam w lewo, prawie przegapiłem wjazd do szpitala.

– Co powiesz na Thora? – Kieruję rozmowę na dziecięce imiona, żeby odwrócić jej uwagę od bólu. Jednemu z gostków z Twittera właśnie urodził się syn, dali mu na imię Loki. Dawne grupy pasjonowały się mitologią nordycką i choć rozbiły się na mniejsze komórki, trudno pozbyć się starych nawyków.

– A może Batman albo Spiderman, co? – warczy Brit. – Nie nazwę dziecka imieniem z komiksu. – Wzdryga się na kolejny skurcz. – A jeśli urodzę dziewczynkę?

– Wonder Woman – proponuję. – Po mamie.

Po śmierci brata wszystko się rozpadło, jakby proces zdarł wierzchnią warstwę skóry i pozostawił z mojej rodziny same

bebechy, nic, co trzymałoby ją w kupie. Tata odszedł i przeniósł się do mieszkania, gdzie wszystko było zielone: ściany, dywan, piec, sracz – ilekroć go odwiedzałem, zbierało mi się na wymioty. Matka zaczęła pić – lampkę wina do obiadu, a potem całą flaszkę. Straciła posadę pracownika szkolnego w podstawówce po tym, jak przysnęła na placu zabaw i jej podopieczna – dzieciak z zespołem Downa – spadła z drabinki i złamała nadgarstek. Tydzień później spakowaliśmy wszystko do przyczepy i przeprowadziliśmy się do dziadka.

Dziadek był weteranem, dla którego wojna nigdy się nie skończyła. Nie znałem go dobrze, bo nigdy nie lubił taty, ale teraz miał go z głowy, więc postanowił wziąć się za moje wychowanie. Rodzice, mówił, zbytnio mi pobłażali, dlatego wyrosłem na łamagę. Postanowił dopilnować, żebym zmężniał. W weekendy budził mnie o świcie i ciągnął do lasu na musztrę. Nauczył mnie rozpoznawać trujące jagody od jadalnych i tropić. Umiałem określać godzinę na podstawie położenia słońca. Jak w harcerstwie, tyle że dziadek przeplatał swoje nauki opowieściami o żółtkach, z którymi walczył w Wietnamie, dżunglach, które połykały cię w chwili nieuwagi, smrodzie palonych ciał.

Któregoś razu zabrał mnie na biwak, chociaż na zewnątrz było tylko sześć stopni i zapowiadali śnieżycę. Pojechaliśmy na skraj Northeast Kingdom[2], w pobliżu kanadyjskiej granicy. Poszedłem do łazienki, a kiedy wróciłem, dziadka nie było.

Z miejsca przy dystrybutorze znikła jego furgonetka, zostały tylko ślady opon na śniegu. A obok mój plecak, śpiwór i namiot. Wróciłem na stację i zapytałem pracownicę, czy widziała gościa w niebieskiej furgonetce, ale tylko potrząsnęła głową. „Comment*?*”, spytała, udając, że nie zna angielskiego, mimo że byliśmy w Vermoncie.

Miałem kurtkę, ale byłem bez czapki i rękawiczek, zostały w samochodzie. Z kieszeni wydłubałem sześćdziesiąt siedem centów. Odczekałem, aż na stację zajedzie kolejny klient, po czym gwizdnąłem z półki rękawice, pomarańczową czapkę myśliwską i butelkę oranżady.

Tropiłem dziadka pięć godzin, na podstawie tego, co zapamiętałem z jego porannej gadaniny o planowanej trasie, kiedy jeszcze przysypiałem, oraz pozostawionych śladów, takich jak folia po tytoniu, który lubił żuć, i jedna z moich rękawiczek. Kiedy dostrzegłem furgonetkę na poboczu i ruszyłem po jego śladach w głąb lasu, już nie dygotałem. Byłem jak piec. Złość, jak się okazuje, to odnawialne źródło energii.

Gdy wpadłem na polanę, zastałem go pochylonego nad ogniskiem. Bez słowa podszedłem i pchnąłem go z całej siły. Omal nie wpadł w płomienie.

– Ty gnoju! – wrzasnąłem. – Nie możesz tak mnie zostawiać.

– Bo co? Jeśli ja nie zrobię z ciebie mężczyzny, to kto zrobi? – fuknął.

Był dwa razy większy, ale złapałem go za fraki i podniosłem. Zacisnąłem pięść i chciałem go walnąć, lecz w porę złapał moją rękę.

– Chcesz się bić? – zapytał, po czym odskoczył i zaczął krążyć wokół mnie.

Ojciec nauczył mnie, jak komuś przyłożyć. Kciuk na zewnątrz i obrót nadgarstka w ostatniej chwili. Ale to była tylko pusta gadka, nigdy nikogo nie uderzyłem.

Teraz wystrzeliłem naprzód jak strzała, na co dziadek wykręcił mi rękę na plecach. Jego oddech parzył mi ucho.

– Tatulek cię tego nauczył? – Szarpnąłem się, ale trzymał mnie jak w kleszczach. – Chcesz się bić? Czy chcesz wygrywać?

Zgrzytnąłem zębami.

– Ch… chcę… wygrywać – wydusiłem.

Powoli rozluźnił uścisk, pozostawiając jedną dłoń na moim lewym barku.

– Jesteś mały, więc podchodzisz naprawdę nisko i spodziewam się, że uderzysz do góry. Jeżeli się uchylę, moja pięść wyląduje na twojej twarzy, co znaczy, że zostanę wyprostowany i dam się podejść. Ostatnią rzeczą, jakiej będę się spodziewał, to twój cios przez ramię, o tak.

Jego prawa pięść powędrowała w górę i zatoczywszy łuk, zawisła o milimetr od mojej kości policzkowej. Następnie puścił mnie i cofnął się o krok.

– Teraz ty.

Bicie kogoś przywodzi na myśl gumkę napiętą do granic wytrzymałości, aż zaczyna dygotać. A kiedy w końcu wyprowadzasz cios, kiedy puszczasz tę gumkę, strzela jak z procy. Cały płoniesz, a nawet nie wiedziałeś, że jesteś łatwopalny.

Krew chlapnęła z nosa dziadka na śnieg, spłynęła mu po uśmiechniętych ustach.

– To rozumiem – powiedział.

Ilekroć Brit wstaje w czasie porodu, skurcze stają się tak silne, że pielęgniarka – ruda Lucille – każe jej się położyć. Ale kiedy się kładzie, skurcze ustają, więc Lucille nakazuje jej znowu wstać. To błędne koło, a minęło już siedem godzin i zaczynam się zastanawiać, czy ten mały w końcu raczy się pojawić.

Rzecz jasna, nie mówię tego na głos.

Przytrzymuję Brit, kiedy anestezjolog podaje epidural – o który błagała, co kompletnie zbiło mnie z tropu, bo planowaliśmy poród naturalny, bez prochów. Trzymamy się od nich z daleka; większość ludzi z Ruchu gardzi ćpunami. Kiedy się pochyliła nad łóżkiem, a lekarz oglądał jej kręgosłup, zapytałem szeptem, czy to dobry pomysł. „Jak sam będziesz rodził", burknęła, „to zobaczysz".

Nie wiem, co jej wstrzyknęli, ale muszę przyznać, że działa. Musi leżeć, ale przestała się wić. Powiedziała mi, że poniżej pępka nic nie czuje. I że gdybym nie był jej mężem, oświadczyłaby się anestezjologowi.

Przychodzi Lucille i sprawdza wydruk z maszyny podłączonej do Brit, monitorującej akcję serca dziecka.

– Świetnie wam idzie – mówi, choć pewnie powtarza to każdemu. Wyłączam się, kiedy rozmawia z Brit – o pewnych sprawach lepiej nie myśleć, jeśli w małżeństwie ma być tak jak dawniej – a potem słyszę, że każe Brit przeć.

Brit wpija we mnie wzrok.

– Kochanie? – mówi, lecz kolejne słowo więźnie jej w gardle i nie kończy.

Widzę, że się boi. Ta nieustraszona kobieta boi się tego, co będzie dalej. Splatamy dłonie.

– Jestem przy tobie – zapewniam, chociaż też czuję strach.

A jeśli to zmieni wszystko między nami?

Jeśli dziecko się pojawi, a ja nie będę nic do niego czuł?

Jeśli okażę się beznadziejnym wzorcem? Beznadziejnym tatą?

– Przy kolejnym skurczu – mówi Lucille – przyj. – Patrzy na mnie. – Niech pan stanie za nią i ją podeprze, tak będzie łatwiej.

Z ulgą wypełniam polecenie. To mogę zrobić. Kiedy twarz Brit czerwienieje, a ciało wygina się w łuk, chwytam ją za barki. Wydaje niskie, gardłowe odgłosy, jakby żegnała się z tym światem.

– Głęboki wdech – komenderuje Lucille. – Broda do klatki i z całej siły przyj…

Potem Brit wiotczeje i strząsa moje ręce, jakby nie mogła znieść ich dotyku.

– Zabierz łapy – warczy.

Lucille daje znak, żebym się nie odsuwał.

– Ona nie mówi tego poważnie.

– Właśnie, że mówię – wydusza Brit, bo nadchodzi kolejny skurcz.

Lucille rzuca mi znaczące spojrzenie.

– Proszę stanąć tutaj – proponuje. – Ja potrzymam lewą nogę, a pan prawą…

To maraton, nie sprint. Godzinę później włosy Brit kleją się do czoła, ma splątany warkocz. Wyryła paznokciami półksiężyce w mojej dłoni i bredzi od rzeczy. Nie mam pojęcia, ile jeszcze wytrzymamy. Lecz wówczas, w trakcie długiego skurczu, Lucille zastyga i jej twarz się zmienia.

– Chwila – mówi i powiadamia lekarza. – Oddychaj powoli, Brit… zaraz zostaniesz mamą.

Mówić Brit, żeby nie parła, to jak powstrzymywać huragan. Kilka minut później na salę wpada ginekolog i naciąga rękawiczki.

– Witam, pani Bauer – odzywa się. – Rodzimy? – Brit znowu się napina, a on siada na stołku. Opasuję łokciem jej kolano, żeby mogła się zaprzeć, a gdy spoglądam w dół, czoło naszego dziecka wyłania się jak księżyc w dolinie jej nóg.

Jest sine. Tam, gdzie jeszcze przed chwilą nie było nic, widnieje teraz idealnie okrągła głowa wielkości piłki do softballa, i jest sina.

Spanikowany patrzę na Brit, lecz powieki ma zaciśnięte z wysiłku. Wściekłość, która zawsze pulsuje mi w żyłach, zaczyna buzować. „Próbują nas oszukać. Kłamią. Ci cholerni…".

A potem dziecko krzyczy. W potoku krwi i śluzu wyślizguje się na świat, wrzeszczy i młóci powietrze piąstkami; powoli różowieje. Kładą moje dziecko – mojego syna – na piersi Brit i go wycierają. Brit szlocha, ja tak samo. Nie odrywa oczu od dziecka.

– Zobacz, co stworzyliśmy, Turk.

– Jest doskonały – szepczę. – Ty jesteś doskonała. – Obejmuję dłonią główkę naszego nowo narodzonego syna i jesteśmy jak obwód elektryczny. Możemy zasilić świat.

Kiedy miałem piętnaście lat, dziadek padł pod prysznicem jak kłoda i umarł na zawał. Przyjąłem to – jak wszystko w tamtym czasie – pakując się w kłopoty. Nikt nie wiedział, co ze mną począć, ani mama, która tak zgasła, że czasami wtapiała się w ściany, przechodziłem obok, nie wiedząc, że jest w pokoju; ani tata, który mieszkał teraz w Brattleboro i sprzedawał samochody w salonie Hondy.

Poznałem Raine'a Tescę, gdy przez miesiąc pomieszkiwałem u taty po pierwszej klasie liceum. Jego kumpel Greg prowadził alternatywną kawiarnię (Co to miało w ogóle znaczyć? Że sprzedawali herbatę?) i zaproponował mi pracę na pół etatu. Teoretycznie byłem za młody, ale Greg płacił mi pod stołem za sprzątanie na zapleczu i załatwianie różnych spraw. Raine był tam baristą z wytatuowanym rękawem, na przerwach wychodził na zewnątrz i palił jak smok. Miał blisko trzykilowego chihuahuę, którego nazwał Mięso i też nauczył go zaciągać się fajką.

Kiedy jeździłem do taty, często widywałem Raine'a. Opowiadałem mu, jakie to niesprawiedliwe, zostać zawieszonym za pobicie gnojka, który nazwał moją mamę pijaczką. Odpowiadał, że problem nie tkwi we mnie, lecz w moich nauczycielach, którzy nie dostrzegają mojego potencjału ani inteligencji. Pożyczał mi książki w rodzaju *Dzienników*

Turnera, na dowód, że nie tylko ja twierdzę, że ludzie zmówili się, by mnie udupić. Brałem od niego płyty zespołów white power, których muzyka brzmiała jak wbijanie gwoździ młotkiem. Jeździliśmy jego samochodem i opowiadał mi, że na czele wszystkich najważniejszych sieci informacyjnych stoją ludzie o żydowskich nazwiskach w rodzaju Moonves i Zucker, którzy karmią nas kłamstwami, byśmy wierzyli w to, w co mamy wierzyć. Poruszał tematy, o których ludzie bali się mówić na głos.

Jeśli ktoś się dziwił, że dwudziestolatek trzyma z piętnastolatkiem, nie dawał nic po sobie poznać. Rodzice pewnie się cieszyli, że w jego towarzystwie nikogo nie biję, nie wagaruję i nie szukam guza. Kiedy więc zaprosił mnie na festiwal, na który wybierał się z kumplami, bardzo się ucieszyłem.

– Będą grały jakieś zespoły? – spytałem w przekonaniu, że chodzi o jeden z muzycznych festiwali, jakich w lipcu pełno było w Vermoncie.

– Tak, ale to bardziej obóz letni – wyjaśnił Raine. – Powiedziałem wszystkim, że będziesz. Aż ich skręca, żeby cię poznać.

Jeszcze nigdy nikogo nie „skręcało", żeby mnie poznać, więc byłem nieźle nakręcony. W sobotę spakowałem śpiwór oraz plecak i usiadłem na fotelu pasażera z chihuahuą Mięsem na kolanach, Raine pojechał jeszcze po trzech znajomych – wszyscy znali mnie z imienia, jakby już o mnie słyszeli. I wszyscy mieli na sobie czarne koszulki z napisem NADS na piersi.

– Od czego to skrót? – zapytałem.

– Północnoamerykański Szwadron Śmierci[3] – wyjaśnił Raine. – W zasadzie chodzi o nas.

Strasznie chciałem mieć taką koszulkę.

– Jak się tam dostać? – spytałem możliwie obojętnym tonem.

Jeden z chłopaków się zaśmiał.

– Musisz zostać zaproszony – odpowiedział.

W tamtej chwili postanowiłem, że zrobię wszystko za takie zaproszenie.

Po godzinie Raine zjechał z autostrady i skręcił w lewo przy znaku, na którym namalowano dwie litery NI. Po drodze natknęliśmy się na

kolejne oznakowania, wskazujące drogę przez pola kukurydzy, zrujnowane stodoły, a nawet pastwisko z krowami. Kiedy wjechaliśmy na wzniesienie, ujrzałem ze sto samochodów zaparkowanych na błotnistym polu.

To wyglądało jak jarmark. Na wzniesionej pośrodku scenie jakiś zespół grał tak głośno, że serce waliło mi do wtóru. Były tam całe rodziny, które zajadały się gotowaną kukurydzą i smażonym ciastem, ojcowie z małymi dziećmi w koszulkach z napisem JESTEM BIAŁYM DZIECKIEM, DLA KTÓREGO CHRONISZ RASĘ! Mięso plątał się pod nogami i żarł rozsypany popcorn. Jakiś facet klepnął Raine'a w ramię i powitał go, jakby dawno się nie widzieli, a ja poszedłem w stronę strzelnicy.

Uśmiechnął się do mnie grubas z brwiami, które pełzły mu po czole jak gąsienice.

– Chcesz spróbować, kolego?

Chłopak w moim wieku strzelał właśnie do celu przypiętego do sterty pniaków. Oddał staremu półautomatycznego browninga i poszedł po swoją tarczę. Był to profil mężczyzny o przesadnie haczykowatym nosie.

– Chyba dopadłeś tego Żyda, Gunther – pochwalił grubas. Potem wziął Mięso na ręce i wskazał mi stół. – Potrzymam kundla – oznajmił. – A ty sobie wybierz.

Były tam pliki obrazków: kolejni Żydzi, poza tym sporo czarnych, o wielkich wargach i wypukłych czołach. Zobaczyłem też zdjęcie Martina Luthera Kinga Juniora z podpisem MÓJ SEN SIĘ SPEŁNIŁ.

Na chwilę aż mnie zemdliło. Przypomniałem sobie rysunki polityczne z lekcji historii, karykatury, które doprowadziły do wojen światowych. Byłem ciekaw, jakie firmy to produkują, bo takich obrazków na pewno nie sprzedawali w dziale myśliwskim Wal-Martu. Jakby istniało tajne stowarzyszenie, o którym nie miałem pojęcia, a ja właśnie podałem hasło i wszedłem do środka.

Wybrałem nastroszonego Murzyna, którego postać niemal rozsadzała tarczę. Mężczyzna poszedł ją zawiesić.

– Jak żywy – rzucił i zachichotał. Odstawił Mięso na stół, żeby obwąchał obrazki. – Umiesz posługiwać się bronią? – zapytał.

Strzelałem z pistoletu dziadka, ale czegoś takiego nigdy nie miałem w rękach. Tamten objaśnił mi zasady, a potem nałożyłem słuchawki i gogle ochronne, oparłem kolbę o ramię, przymknąłem jedno oko i nacisnąłem spust. Rozległa się seria strzałów, jak atak kaszlu. Hałas zwrócił uwagę Raine'a, który z podziwem klasnął w ręce, gdy tarcza wróciła do mnie z trzema dziurami w czole.

– Nieźle – powiedział. – Masz talent, bracie.

Złożył obrazek i schował go do tylnej kieszeni, żeby później pokazać kumplom, jaki ze mnie strzelec wyborowy. Ponownie ująłem smycz i przeszliśmy w stronę głównego placu. Ze sceny przemawiał mężczyzna. Był tak charyzmatyczny, że jego głos przyciągał jak magnes, i odruchowo podszedłem bliżej, aby lepiej słyszeć.

– Opowiem wam bajeczkę – mówił. – W Nowym Jorku mieszkał sobie pewien czarnuch, oczywiście bezdomny. Chodził po Central Parku i odgrażał się, że przywali białasowi, a ludzie go słyszeli. Ale nie wiedzieli, że trwa wojna. Że walczymy o przetrwanie naszej rasy. Dlatego nie kiwnęli palcem. Uznali jego groźby za nieszkodliwe bredzenie wariata. I co się stało? Ta świnia podeszła do Białego Człowieka, takiego jak ty lub ja, Bogu ducha winnego, który opiekował się dziewięćdziesięcioletnią matką. I przywaliła mu zgodnie z zapowiedzią, a on upadł, uderzył głową o chodnik i zmarł. Biały Człowiek, który wyszedł tylko na spacer do parku, doznał śmiertelnego urazu głowy. A jaka kara spotkała za to czarnucha, spytacie? Otóż, moi bracia i siostry… żadna.

Pomyślałem o mordercy mojego brata, który nie został skazany. Patrzyłem, jak ludzie wokół mnie klaszczą i kiwają głowami, i pomyślałem: „Nie jestem sam".

– Co to za gość? – spytałem.

– Francis Mitchum – odmruknął Raine. – Ze starej gwardii. Ale to legenda, bracie. – Mówił z nabożeństwem, jak wierzący o Bogu. – Widzisz pajęczynę na jego łokciu? Robisz sobie taki tatuaż, dopiero jak kogoś zabijesz. Za każdego trupa dodajesz muchę. – Raine urwał. – Mitchum ma dziesięć much.

– Dlaczego czarnuchów nikt nie oskarża o zbrodnie na tle nienawiści rasowej? – pyta retorycznie Francis Mitchum. – Dlaczego mają taryfę ulgową? Prawo pobytu zawdzięczają białym. Spójrzcie

na ich rodzimą Afrykę. Tam nie ma cywilizowanych rządów. W Sudanie się wyrzynają. Hutu mordują Tutsi. Robią to również u nas. Gangi w naszych miastach to plemienne walki czarnuchów. A teraz biorą się za białych. Bo wiedzą, że ujdzie im to na sucho. – Podniósł głos i potoczył wzrokiem po zgromadzonych. – Zabicie czarnucha równa się zabiciu jelenia. – Chwila ciszy. – Zresztą, co ja mówię? Dziczyznę można przynajmniej zjeść.

Po wielu latach zrozumiałem, że kiedy po raz pierwszy pojechałem na obóz Niewidzialnego Imperium – i po raz pierwszy usłyszałem przemowę Francisa Mitchuma – Brit też musiała tam być, bo jeździła z ojcem. Lubiłem myśleć, że stała po drugiej stronie sceny i słuchała, jak hipnotyzuje słuchaczy. A może wpadliśmy na siebie przy stoisku z watą cukrową lub staliśmy obok siebie, kiedy iskry z płonącego krzyża wystrzeliły w niebo.

Że byliśmy sobie pisani.

Przez godzinę przerzucamy się z Brit imionami, jak w baseballu: Robert, Ajax, Will, Garth, Erik, Odin. Ilekroć wymyślam coś mocnego i aryjskiego, Brit przypomina sobie dzieciaka z klasy o tym imieniu, który żarł kredę albo zwymiotował do swojego puzonu. Z kolei jej ulubione imiona nasuwają mi wspomnienie dupków, z którymi kiedyś się biłem.

Gdy w końcu doznaję olśnienia, spada na mnie jak grom z jasnego nieba. Patrzę na śpiącą twarz syna i szepczę „Davis". Nazwisko ostatniego prezydenta Skonfederowanych Stanów Ameryki.

Brit wypowiada imię na próbę.

– Inne.

– To dobrze.

– Davis, ale nie Jefferson – precyzuje.

– Nie, bo wtedy wołalibyśmy na niego Jeff.

– A Jeff to gość, który pali trawkę i mieszka kątem u mamusi – dorzuca Brit.

– Za to Davis – mówię – Davis budzi respekt.

– Nie Dave. Ani Davy czy David.

– Stłucze każdego, kto nazwie go tak przez pomyłkę – obiecuję.

Dotykam skraju kocyka, bo nie chcę obudzić małego.

– Davis – rzucam eksperymentalnie. Macha rączkami, jakby wiedział, że do niego mówię.

– Musimy to oblać – szepcze Brit.

Uśmiecham się do niej.

– Myślisz, że na dole mają szampana?

– Wiesz, na co mam naprawdę ochotę? Na koktajl czekoladowy.

– Myślę, że na zachcianki był czas przed porodem…

Parska śmiechem.

– Myślę, że mam dyspensę na kolejne trzy miesiące…

Zastanawiam się, czy bar jest czynny o czwartej nad ranem. Ale ociągam się z wyjściem. Kurczę, Davis dopiero co się pojawił.

– A jeśli coś przegapię? – rzucam. – No wiesz, jakiś przełom?

– Na pewno nie zacznie chodzić ani mówić – odpowiada Brit. – Najwyżej przegapisz jego pierwszy klocek, a wierz mi, że nie będzie czego żałować. – Patrzy na mnie tymi niebieskimi ślepiami, które czasem są ciemne jak morze, a czasami blade jak szkło, i zawsze robią ze mną, co zechce. – Pięć minut – perswaduje.

– Pięć minut. – Patrzę na dziecko i czuję, jakbym wrósł w podłogę. Chcę zostać i znów policzyć jego paluszki, te nieprawdopodobnie tycie paznokietki. Popatrzeć, jak jego brzuszek unosi się i opada w oddechu. Jak tuli usteczka, jakby całował kogoś przez sen. Niesamowite, że stworzyliśmy z Brit coś tak pięknego i namacalnego z tak mglistego i nieodgadnionego tworzywa, jak miłość.

– Z bitą śmietaną i wisienką – dorzuca Brit. – Jeśli mają.

Niechętnie wychodzę na korytarz, mijam dyżurkę i kieruję się w stronę windy. Bar jest otwarty, kobieta w siatce na włosach rozwiązuje za ladą krzyżówkę.

– Macie koktajle? – pytam.

Podnosi wzrok.

– Nie mamy.

– A lody?

– Wyszły. Rano będzie dostawa.

Nie kwapi się do pomocy i ponownie wlepia wzrok w krzyżówkę.

– Właśnie urodziłem – wypalam.

– Alleluja, chwalmy Pana – mówi beznamiętnie. – Ach, te cuda dzisiejszej medycyny.

– Znaczy, moja żona urodziła – uściślam. – I chce koktajl.

– A ja chcę wygrać na loterii i umówić się z Benedictem Cumberbatchem, ale chyba nie mam co na to liczyć. – Patrzy na mnie, jakbym marnował jej czas, a za mną stała kilometrowa kolejka. – Dać panu radę? Proszę jej kupić słodycze. Wszyscy lubią czekoladę. – Sięga na oślep na półkę i podaje mi kwadraciki Ghirardelli. Oglądam etykietę.

– Nie ma pani nic innego?

– Ghirardelli jest w promocji.

Widzę symbol OU, który dowodzi koszerności, czyli producent płaci haracz mafii żydowskiej. Odkładam czekoladki z powrotem na półkę i kładę na ladzie paczkę skittlesów oraz banknot dwudolarowy.

– Reszty nie trzeba – mówię.

Tuż po siódmej drzwi się otwierają, a w mojej głowie zapala się czerwone światełko.

Od chwili narodzin Davisa Lucille była u nas dwa razy – raz zajrzała do Brit i małego, a raz pomogła przy karmieniu. Ale to… to nie jest Lucille.

– Mam na imię Ruth – oznajmia. – Będę dziś twoją położną.

„Po moim trupie”, myślę odruchowo.

Z trudem się powstrzymuję, żeby nie odepchnąć jej od mojej żony i syna. Ale wtedy wezwą ochronę i wyrzucą mnie ze szpitala. A jeśli nie będę mógł chronić mojej rodziny, co mi pozostało?

Dlatego przysiadam na skraju krzesła, napięty jak struna.

Brit tak ściska Davisa, że mały zaraz zacznie płakać.

– Jaki rozkoszny! – mówi czarna pielęgniarka. – Jak ma na imię?

Żona patrzy na mnie pytająco. Nie chce rozmawiać z tą pielęgniarką, tak jak nie chciałaby gadać z kozą lub innym zwierzęciem. Lecz ona również jest świadoma, że biali stali się mniejszością w tym kraju i są narażeni na ciągłe ataki; lepiej się nie wychylać.

Lekko zadzieram głowę; nie wiem, czy Brit w ogóle to widzi.

– Ma na imię Davis – odpowiada krótko.

Pielęgniarka przysuwa się bliżej, mówi coś o zbadaniu Davisa i Brit się wzdryga.

– Możesz go trzymać – ustępuje tamta.

Zaczyna wodzić łapami po moim dziecku, jak jakaś cholerna znachorka. Przyciska mu stetoskop do pleców, a potem wsuwa go między Brit i dziecko. Mówi coś o sercu Davisa, ale ja ledwo słyszę, bo krew dudni mi w żyłach.

A potem go podnosi.

Brit i ja jesteśmy tak wstrząśnięci, gdy zabrała nam dziecko – co prawda tylko na matę, do mycia, ale wszystko jedno – że na chwilę odbiera nam mowę.

Robię krok w jej stronę, ale Brit łapie mnie za koszulę.

„Nie rób sceny".

„Mam tak stać?".

„A chcesz, żeby się wściekła i wyżyła na dziecku?".

„Chcę, żeby Lucille wróciła. Co się z nią stało?".

„Skąd mam wiedzieć? Może poszła do domu".

„Jakim prawem, przecież jesteś jej pacjentką?".

„Nie mam pojęcia, Turk, ja tu nie rządzę".

Nie spuszczam wzroku z czarnej pielęgniarki, która wyciera Davisa, myje mu włosy i ponownie zawija w kocyk. Zakłada mu elektroniczną bransoletkę na kostkę, jak więźniowi na zwolnieniu warunkowym. Jakby już był ofiarą systemu.

Tak świdruję ją wzrokiem, że nie zdziwiłbym się, gdyby stanęła w ogniu. Uśmiecha się do mnie samymi ustami.

– Czyściutki jak łza – mówi. – A teraz spróbujmy przystawić go do piersi.

Kiedy rozsuwa Brit szpitalną koszulę, nie wytrzymuję.

– Zostaw ją w spokoju – warczę niskim, przenikliwym głosem. – Chcę rozmawiać z twoim przełożonym.

Rok po wyjeździe na obóz Niewidzialnego Imperium Raine spytał, czy chciałbym zostać członkiem Północnoamerykańskiego Szwadronu Śmierci. Nie wystarczyło wierzyć w to, w co on wierzył, że biali są

rasą wiodącą. Nie wystarczyło trzy razy przeczytać *Mein Kampf*. Aby zostać jednym z nich, musiałem się wykazać, a Raine obiecał dać mi znać, kiedy nadejdzie odpowiednia chwila.

Którejś nocy, kiedy nocowałem u taty, obudziło mnie walenie do okna. Nie przejąłem się, że kogoś obudzą; tata był na służbowej kolacji w Bostonie i miał wrócić dopiero po północy. Gdy podniosłem roletę, Raine i jeszcze dwaj goście, cali w czerni jak ninja, wparowali do środka. Raine natychmiast przygwoździł mnie do podłogi i przyłożył mi rękę do gardła.

– Zasada numer jeden – wycedził. – Nie otwieraj drzwi, jeśli nie wiesz, kto za nimi stoi. – Odczekał, aż zrobi mi się ciemno przed oczami, wtedy mnie puścił. – Zasada numer dwa: żadnych jeńców.

– O czym ty mówisz? – spytałem.

– Dzisiaj, Turk – odparł – jesteśmy stróżami porządku. Oczyścimy Vermont z brudu.

Znalazłem czarne dresy i wzorzystą bluzę, którą włożyłem na lewą stronę, więc też była czarna. Ponieważ nie miałem czarnej czapki, Raine dał mi swoją i związał włosy w kucyk. Pojechaliśmy jego samochodem do Dummerston; po drodze podawaliśmy sobie butelkę jägermeistera i słuchaliśmy muzyki puszczonej na cały regulator.

Nigdy nie słyszałem o Tęczowej Zagrodzie, ale od razu zrozumiałem, co to za miejsce. Mężczyźni szli z parkingu do baru, trzymając się za ręce, a kiedy drzwi się otwierały, widzieliśmy jasno oświetloną scenę i drag queen śpiewającą z playbacku.

– Tylko się nie schylaj, choćby nie wiem co – zażartował Raine.

– Co my tu robimy? – spytałem, bo nie wiedziałem, po co przywlókł mnie do baru gejowskiego.

W tej samej chwili z baru wyszło dwóch objętych facetów.

– To – odpowiedział Raine, po czym skoczył na jednego z nich i walnął jego głową o ziemię. Drugi rzucił się do ucieczki, ale dopadł go któryś z kumpli Raine'a.

Drzwi znowu się otworzyły i wyszła kolejna parka. Zaśmiewali się z czegoś, przytuleni do siebie. Jeden z nich sięgnął do kieszeni po kluczyki, a kiedy odwrócił się w stronę parkingu, oświetlił go blask reflektorów przejeżdżającego samochodu.

Powinienem był poskładać wszystko do kupy – elektryczna golarka w łazience, chociaż tata golił się zwykłą maszynką, codzienne wizyty w kawiarni Grega po drodze do pracy i z powrotem, odejście od mamy bez słowa wyjaśnienia, niechęć dziadka. Wcisnąłem głębiej czapkę i nasunąłem na nos filcowy komin Raine'a, by nie zostać rozpoznanym.

Zdyszany Raine wymierzył gościowi ostatniego kopniaka i tamten zwiał. Potem wyprostował się i z uśmiechem spojrzał na mnie z ukosa, czekając, aż zacznę. Wtedy zrozumiałem, że kiedy ja miałem klapki na oczach, Raine od początku wiedział o tacie.

Kiedy miałem sześć lat, w naszym domu wybuchł bojler, na szczęście nikogo nie było. Facet od reklamacji, który przyszedł oszacować szkodę, na pytanie o przyczynę wybuchu bąknął coś o zaworach bezpieczeństwa i korozji, a potem zakołysał się na piętach i dodał, że gdy zbierze się za dużo pary, która rozsadza kocioł, dochodzi do takich wypadków. Przez szesnaście lat gromadziłem w sobie parę, bo nie byłem i nie będę moim zmarłym bratem ani wnukiem, jakiego chciał dziadek; może byłem na to zbyt głupi, zbyt nabuzowany lub pokręcony. Gdy wracam myślami do tamtej chwili, mgła zasnuwa mi oczy: łapię ojca za gardło i tłukę jego czołem o chodnik, wykręcam mu rękę i kopię go w plecy, aż pluje krwią. Odwracam go i nazywam pedałem, a potem rozkwaszam mu gębę, raz za razem. I uciekam, zataczając się na Raine'a, który odciągnął mnie na dźwięk syren, kiedy parking rozbłysnął czerwonymi i niebieskimi światłami.

Wieść się rozeszła, jak to zwykle bywa, i przepoczwarzyła: świeżo upieczony członek Północnoamerykańskiego Szwadronu Śmierci – czyli ja – dopadł sześciu facetów naraz. W jednej ręce trzymałem ołowianą rurę, a w drugiej nóż. Podobno odgryzłem jednemu pedziowi ucho i je przeżułem.

Stek bzdur, ma się rozumieć. Ale ojciec naprawdę wylądował w szpitalu i miesiącami był karmiony przez rurkę.

I dzięki temu stałem się legendą.

– Chcemy poprzednią położną – mówię do Mary albo Marie, czy jak jej tam na imię. – Tę, która miała dyżur w nocy.

Wyprasza czarną pielęgniarkę, więc zostajemy sami. Opuściłem rękawy, ale moje przedramię wciąż przyciąga jej wzrok.

– Zapewniam państwa, że Ruth ma ponad dwadzieścia lat doświadczenia – odpowiada.

– Chyba wszyscy wiemy, że nie chodzi o jej doświadczenie – kwituję.

– Nie możemy odsunąć kogoś od pracy z powodów rasowych. To dyskryminacja.

– A gdybym poprosiła o kobietę ginekologa, to też byłaby dyskryminacja? – wtrąca Brit. – Albo lekarza zamiast stażysty? Przecież zgadzacie się na takie ustępstwa.

– To nie to samo – odpowiada.

– Dlaczego? – pytam. – Świadczycie określone usługi, a ja jestem waszym klientem, więc idziecie mi na rękę. – Wstaję i nabieram tchu, następnie przysuwam się i patrzę na nią z góry, żeby ją speszyć. – Strach pomyśleć, jaki to byłby szok dla pozostałych pacjentów, gdyby… no wie pani… sprawy wymknęły się spod kontroli. Gdybyśmy zaczęli krzyczeć, zamiast sobie miło gawędzić. Inni pacjenci doszliby do wniosku, że ich prawa też zostały pogwałcone.

Pielęgniarka zaciska usta.

– Grozi mi pan, panie Bauer?

– Chyba nie muszę – odpowiadam. – Prawda?

Każdy ma swoją hierarchię nienawiści. Osobiście bardziej nie trawię brudasów niż żółtków, bardziej od nich nienawidzę Żydków, a czołowe miejsce na mojej liście zajmują bambusy. Najbardziej jednak nienawidzę białych antyrasistów. Bo to sprzedawczyki.

Zaraz się okaże, czy należy do nich Marie.

Podskakuje jej mięsień na szyi.

– Na pewno dojdziemy do porozumienia – mamrocze. – Zapiszę w karcie Davisa państwa… życzenia.

– Doskonały pomysł – stwierdzam.

Kiedy wychodzi, Brit wybucha śmiechem.

– Kochanie, jesteś boski, kiedy się nakręcisz. Ale wiesz, że teraz naplują mi do owsianki?

Sięgam do łóżeczka i podnoszę Davisa. Jest taki mały, że nie sięga do końca mojego przedramienia.

– Przyniosę ci gofry z domu – uspokajam Brit. Potem nachylam się nad czołem syna i szepczę, żeby tylko on słyszał: – A ciebie – obiecuję – ciebie będę chronił do końca życia.

Kilka lat po tym jak wstąpiłem do Białej Supremacji i prowadziłem NADS w Connecticut, matce w końcu wysiadła wątroba. Pojechałem uporządkować sprawy spadkowe i sprzedać dom dziadka, a kiedy przeglądałem jej rzeczy, znalazłem stenopis z procesu po śmierci brata. Nie mam pojęcia, po co go trzymała; pewnie stanęła na głowie, żeby to zdobyć. Usiadłem na parkiecie w salonie, otoczony pudłami przeznaczonymi na śmieci albo dla biednych, i przeczytałem wszystko od deski do deski.

Wiele zeznań było dla mnie nowością, jakbym sam tego nie przeżył. Trudno powiedzieć, czy byłem za mały, aby zapamiętać, czy też to wyparłem, ale przedstawione dowody skupiały się na śladach hamowania oraz badaniach toksykologicznych. Nie oskarżonego, tylko mojego brata. To Tanner zjechał na drugi pas, ponieważ był naćpany. Facet oskarżony o nieumyślne spowodowanie śmierci zrobił wszystko, by uniknąć zderzenia z nadjeżdżającym pojazdem, czego dowodziły ślady hamowania. I dlatego przysięgli uznali, że jest niewinny.

Długo siedziałem nad tym stenopisem. Kończyłem czytać i zaczynałem od początku.

Ale widzę to tak: gdyby tamten czarnuch nie usiadł wtedy za kierownicą, mój brat nie byłby martwy.

2 Northeast Kingdom – północno-wschodnia część stanu Vermont, obejmująca hrabstwa Essex, Orleans i Caledonia.

3 North American Death Squad.

Ruth

W ciągu dwudziestu lat pracy tylko raz zostałam wyrzucona przez pacjentkę, na dwie godziny. W czasie porodu klęła, na czym świat stoi, i rzuciła we mnie wazonem z kwiatami. Ale wróciłam do łask, kiedy przyniosłam jej środek przeciwbólowy.

Kiedy Marie każe mi wyjść, przez chwilę stoję w korytarzu jak ogłuszona.

– Co się stało? – pyta Corinne, podnosząc wzrok znad karty.

– Przyjemniaczek – odpowiadam jak gdyby nigdy nic.

Corinne się wzdryga.

– Jak ten od wazektomii?

Kiedyś miałam pacjentkę, której mąż dwa dni wcześniej poddał się zabiegowi podwiązania nasieniowodów. Ilekroć skarżyła się na ból, on też się skarżył. W pewnym momencie zawołał mnie do łazienki i przy wtórze pojękiwania żony pokazał mi rozognione krocze. „Kazałam mu iść do lekarza", powiedziała.

Ale Turk Bauer nie jest głupi i samolubny, a wnosząc z tego, jak obnosi się z flagą konfederacji, raczej nie lubi kolorowych.

– Gorzej.

– No cóż. – Corinne wzrusza ramionami. – Marie go zagada. Na pewno coś wymyśli.

„Nie sądzę, chyba że mnie wybieli", myślę.

– Wyskoczę na pięć minut do baru. Zastąpisz mnie?

– Jeśli przyniesiesz mi chrupki – odpowiada Corinne.

W barze stoję kilka minut przed ladą i rozmyślam o tatuażu na przedramieniu Turka Bauera. Nie mam problemu z białymi ludźmi, mam białych przyjaciół, posłałam syna do szkoły, gdzie biali stanowią większość. Traktuję ich tak, jak sama chcę być traktowana: zwracam uwagę na ich cechy indywidualne, a nie kolor skóry.

No, ale biali, z którymi pracuję, jem lunch i którzy uczą mojego syna, nie są szczególnie uprzedzeni.

Biorę chrupki dla Corinne i kawę dla siebie. Niosę wszystko do stolika, na którym stoi mleko, cukier i słodziki. Starsza kobieta nie może otworzyć pojemnika ze śmietanką. Torebkę postawiła na blacie, ale na mój widok wiesza ją na ramieniu i przyciska łokciem pasek.

– Och, śmietanka bywa problematyczna – mówię. – Pomóc pani?

Dziękuje i uśmiecha się, kiedy jej wręczam pojemnik.

Na pewno nie zwróciła uwagi, że zabrała torebkę.

Ale ja zwróciłam.

„Daj spokój, Ruth", strofuję się w duchu. Nie należę do osób, które widzą w ludziach same wady; od tego jest moja siostra, Adisa. Wsiadam do windy i wracam na oddział. Rzucam Corinne chrupki i kieruję się w stronę sali Brittany Bauer. Jej karta i karta małego Davisa wiszą na zewnątrz; biorę kartę dziecka, by się upewnić, że pediatra zostanie poinformowany o potencjalnych szmerach w sercu. Zaglądam do środka i widzę różową kartkę przylepioną na wierzchu.

RODZICE NIE ŻYCZĄ SOBIE
OPIEKI AFROAMERYKAŃSKIEGO
PERSONELU

Dostaję wypieków. Marie nie ma w dyżurce; metodycznie przeczesuję oddział i znajduję ją w sali noworodków; rozmawia z pediatrą.

– Marie – zagajam ze sztucznym uśmiechem. – Poświęcisz mi chwilę?

Idzie za mną do dyżurki, ale chcę porozmawiać na osobności, więc wchodzimy do pustej świetlicy.

– Żartujesz sobie?

Nie próbuje udawać, że nie rozumie.

– Nic takiego się nie stało, Ruth. Potraktuj to jak wymagania na tle religijnym.

– Chyba tego nie porównujesz.

– To jedynie formalność. Ojciec to raptus; chciałam go udobruchać, zanim zrobi coś ekstremalnego.

– A to nie jest ekstremalne? – pytam.

– Słuchaj – odpowiada Marie. – W zasadzie wyświadczam ci przysługę, żebyś nie musiała mieć z nim do czynienia. Tu naprawdę nie chodzi o ciebie, Ruth.

– Czyżby? – stwierdzam beznamiętnie. – A ilu Afroamerykanów pracuje jeszcze na oddziale?

Obie znamy odpowiedź na to pytanie. Zero.

Patrzę jej prosto w oczy.

– Mam nie dotykać tego dziecka? – mówię. – W porządku. Załatwione.

A potem z hukiem zatrzaskuję za sobą drzwi.

Raz otarłam się o wymagania na tle religijnym. Przyjechało muzułmańskie małżeństwo i mężczyzna tłumaczył, że musi być pierwszą osobą, która przemówi do noworodka. Zapewniłam, że postaram się uszanować ich życzenie, ale w razie jakichkolwiek problemów moim priorytetem będzie ratowanie dziecka, a to wymaga komunikacji i oznacza, że cisza na sali porodowej nie wchodzi w rachubę.

Dałam im chwilę na osobności, żeby to przedyskutowali, po czym ojciec zawołał mnie z powrotem.

– Jeśli wystąpią komplikacje – powiedział – mam nadzieję, że Allah zrozumie.

Na szczęście poród przebiegł jak po maśle. Tuż przed narodzinami dziecka przypomniałam neonatologowi o prośbie rodziców i przestał anonsować pojawienie się główki, prawego barku, a potem lewego, jak w transmisji meczu. Słychać było tylko płacz dziecka. Wzięłam małego, śliskiego jak piskorz, i zawiniętego w kocyk podałam ojcu. Mężczyzna pochylił się nad małą główką syna i wyszeptał do niego coś po arabsku. Następnie przekazał go żonie i na sali znów zapanował harmider.

Kiedy później do nich zajrzałam, matka i dziecko spali. Ojciec stał nad łóżeczkiem i wpatrywał się w synka, jakby nie mógł pojąć, jak to

się stało. Często widywałam ten wyraz na twarzach ojców, którzy aż do tej chwili nie przyjmowali ciąży do wiadomości. Matka ma dziewięć miesięcy, aby zrobić dziecku miejsce w sercu, na ojca to spada nagle, jak burza, która na zawsze zmienia krajobraz.

– Ma pan ślicznego synka – powiedziałam, a on przełknął ślinę. Wiem już, że istnieją uczucia, na które nigdy nie znajdziemy właściwego określenia. Po chwili wahania zadałam mu pytanie, które nie dawało mi spokoju od chwili porodu. – Czy mogę zapytać, co szepnął pan synowi?

– Adhan – wyjaśnił ojciec. – „Allah jest wielki, nie ma boga prócz Allaha. Mahomet jest wysłannikiem Allaha". – Popatrzył na mnie z uśmiechem. – W islamie chcemy, aby dziecko najpierw usłyszało modlitwę.

Co wydawało się słuszne, zważywszy na to, jakim cudem jest każde dziecko.

Różnica między życzeniem muzułmańskiego ojca a życzeniem Turka Bauera jest jak niebo i ziemia.

Jak miłość i nienawiść.

Po południu mam pełne ręce roboty, więc opowiadam Corinne o nowej pacjentce, dopiero gdy obie wkładamy płaszcze i idziemy do windy.

– O co chodziło? – pyta.

– Marie zabrała mi pacjentkę, bo jestem czarna – wyjaśniam.

Corinne marszczy nos.

– To niepodobne do Marie.

Odwracam się do niej, ręce nieruchomieją mi na guzikach.

– Myślisz, że kłamię?

Corinne kładzie mi rękę na ramieniu.

– Oczywiście, że nie. Po prostu jestem pewna, że poszło o coś innego.

Nie mam prawa wyżywać się na Corinne, która musi teraz znosić tę wstrętną rodzinę. I nie mam prawa się na nią złościć, skoro złoszczę się na Marie. Corinne zawsze stoi za mną murem. Ale mogę gadać, aż będę sina na twarzy, a i tak nie zrozumie, jakie to uczucie.

Może powinnam gadać, aż będę sina na twarzy. Może taka spodobam się Bauerom.

– Mniejsza z tym – kwituję. – To dziecko nic dla mnie nie znaczy.

Corinne zerka na mnie spod oka.

– Skoczymy na wino przed pójściem do domu?

Rozluźniam barki.

– Nie mogę. Edison czeka.

Słychać brzęk windy, drzwi się otwierają. Jest zatłoczona, to koniec zmiany. Widzę morze pustych, białych twarzy.

Zwykle nawet się nad tym nie zastanawiam. Lecz nagle nic innego nie dostrzegam.

Mam dosyć bycia jedyną ciemnoskórą pielęgniarką na porodówce.

I dosyć udawania, że to bez znaczenia.

Mam dosyć.

– Wiesz co? – zwracam się do Corinne. – Zejdę schodami.

Kiedy miałam pięć lat, nie pasowałam do otoczenia. Mimo że czytałam od trzeciego roku życia – mama uczyła mnie co wieczór po powrocie z pracy – kiedy napotykałam wyraz „kran", czytałam go jako „ran". Nie umiałam wymówić nawet swojego nazwiska i zamiast „Brooks" mówiłam „rooks". Mama poszła do księgarni, kupiła książkę o spółgłoskach i ćwiczyłyśmy przez rok. Potem zbadała mnie pod kątem uzdolnień i zamiast do szkoły w Harlemie, gdzie mieszkałyśmy, co rano tłukłyśmy się półtorej godziny autobusem do szkoły publicznej przy Upper West Side, gdzie uczęszczały głównie dzieci żydowskie. Zostawiała mnie przed drzwiami klasy, po czym wracała metrem do Hallowellów.

Ale moja siostra Rachel nie była taka zdolna jak ja, a podróż autobusem na dłuższą metę okazała się wykańczająca, więc w drugiej klasie wróciłyśmy do naszej dawnej szkoły w Harlemie. Kolejny rok się marnowałam, co bardzo martwiło mamę. Gdy wspomniała o tym pracodawcom, pani Mina załatwiła mi rozmowę kwalifikacyjną w Dalton. Była to prywatna szkoła, do której chodziła jej córka Christina; dyrekcja stawiała na różnorodność. Dostałam pełne stypendium, byłam prymuską i zbierałam nagrody za wszystkie

możliwe zadania, jednym słowem, harowałam w pocie czoła, żeby mama się na mnie nie zawiodła. Rachel miała koleżanki na osiedlu, ja nikogo nie znałam. Nie pasowałam do Dalton i na pewno nie pasowałam do Harlemu. Byłam prymuską, która zawsze odstawała.

W klasie otrzymywałam zaproszenia od kilku dziewczynek – słyszałam od nich: „Nie mówisz jak czarna!" albo „Wcale tak o tobie nie myślę!". Oczywiście żadna nie odwzajemniła się rewizytą. Zawsze coś im wypadło, a to lekcja tańca, a to zobowiązania rodzinne, lekcje do odrobienia. Czasami sobie wyobrażałam, jak przechodzą koło lombardu na naszej ulicy. Pasowałyby tu jak niedźwiedź polarny w tropikach, ale nigdy nie pozwoliłam sobie na rozmyślanie, czy one tak samo postrzegają mnie w Dalton.

Kiedy dostałam się do Cornell, w przeciwieństwie do wielu moich koleżanek, słyszałam wokół ich szepty. „To dlatego że jest czarna". Nieważne, że miałam wysoką średnią, że świetnie wypadłam na egzaminach. Nieważne, że i tak nie było mnie stać na Cornell i poszłam na uniwersytet stanowy w Plattsburgh.

– Kochanie – perswadowała mama. – Czarne dziewczyny nie mają łatwiej. Musisz im pokazać, że wcale nie jesteś czarna. Jesteś Ruth Brooks. – Ścisnęła moją dłoń. – Dostaniesz wszystko, o czym zamarzysz, nie dlatego, że o to poprosisz, ani z powodu koloru swojej skóry. Dostaniesz, bo na to zasługujesz.

Wiem, że nie zostałabym położną, gdyby mama nie pchała mnie do dobrych szkół. Wiem też, że w przypadku swojego dziecka dawno temu postanowiłam obejść część problemów, których sama doświadczyłam. Dlatego kiedy Edison miał dwa lata, przenieśliśmy się z mężem do białej dzielnicy z lepszymi placówkami oświatowymi, chociaż to oznaczało, że będziemy jedyną kolorową rodziną w okolicy. Wyprowadziliśmy się z mieszkania przy torach w New Haven i po tym jak kilka ofert w tajemniczy sposób znikło, kiedy okazywało się, jak wyglądamy, znaleźliśmy w końcu dziuplę w zamożniejszej części East Endu. Zapisałam tam Edisona do przedszkola, dzięki czemu rozpoczął edukację jednocześnie z innymi dziećmi i nie odstawał od reszty. Od początku był jednym z nich. Kiedy chciał zaprosić kolegów na noc, żaden rodzic nie mógł

odpowiedzieć, że mieszkamy w niebezpiecznej dzielnicy. Bądź co bądź mieszkali w tej samej.

Moja metoda się sprawdziła. Ba, jeszcze jak. Początkowo musiałam zabiegać o pewne rzeczy – żeby nauczyciele dostrzegali również jego inteligencję oprócz koloru skóry – ale Edison jest w trójce najlepszych uczniów w klasie. Przyznano mu specjalne wyróżnienie za osiągnięcia. Pójdzie do college'u i zostanie, kim zechce.

Całe życie o to zabiegam.

Kiedy wracam z pracy, odrabia lekcje przy kuchennym stole.

– Cześć, kochanie – mówię i całuję go w czubek głowy. Mogę to robić, tylko kiedy siedzi. Wciąż pamiętam chwilę, gdy uświadomiłam sobie, że mnie przerósł; jakie to było dziwne, zadzierać głowę, zamiast patrzeć w dół, wiedzieć, że ktoś, kogo wspierałam całe życie, stanie się dla mnie oparciem.

Nie podnosi wzroku.

– Jak było w pracy?

Wysilam się na uśmiech.

– No wiesz, nic nowego.

Zdejmuję płaszcz i podnoszę kurtkę Edisona z tapczanu, gdzie ją rzucił, po czym wieszam obie rzeczy w szafie.

– Nie prowadzę pralni chemicznej…

– Zostaw ją tam, gdzie leżała! – wybucha Edison. – Czemu zawsze wszystkiemu ja jestem winny? – Wstaje tak gwałtownie, że omal nie przewraca krzesła. Wypada z kuchni, pozostawiwszy otwarty zeszyt i komputer. Słyszę, jak trzaska drzwiami swojego pokoju.

Gdzie się podział mój chłopiec? Mój grzeczny synek, który bez pytania wnosi pani Lasce zakupy na trzecie piętro. Który zawsze przytrzymuje kobiecie drzwi, mówi „proszę" oraz „dziękuję" i trzyma przy łóżku wszystkie kartki urodzinowe, które ode mnie dostał.

Czasami młoda mama patrzy na mnie z wrzeszczącym noworodkiem w ramionach i pyta, skąd ma wiedzieć, czego potrzebuje jej dziecko. Nastolatek w domu to taki duży noworodek. Uczymy się odczytywać jego reakcje, bo nie potrafi ująć w słowa tego, co sprawia mu ból.

Dlatego chociaż mnie korci, żeby iść i go przytulić, jak wówczas, kiedy był mały i płakał, biorę głęboki oddech i zostaję w kuchni.

Na talerzu przykrytym folią czeka na mnie obiad. Edison umie przyrządzić trzy potrawy: makaron z serem, jajka smażone i smażoną wołowinę w bułce. W pozostałe dni tygodnia odgrzewa zapiekanki, które robię, kiedy mam wolne. Dzisiaj jest enchilada, ale ugotował do niej groszek, bo nauczyłam go przed laty, że posiłek musi być kolorowy.

Nalewam sobie trochę wina, które dostałam od Marie na Gwiazdkę. Jest kwaskowate, ale zmuszam się do wypicia, dopóki napięcie w moich barkach nie ustępuje, a przed oczami nie staje mi twarz Turka Bauera.

Po dziesięciu minutach pukam cicho do Edisona. To jego pokój, odkąd skończył trzynaście lat, ja śpię na wersalce w dużym pokoju. Naciskam klamkę i widzę, że leży na łóżku z rękami za głową. W koszulce naprężonej na barkach i z zadartym podbródkiem tak przypomina swojego tatę, że przez chwilę czuję, jakbym przeniosła się w czasie.

Siadam obok niego na materacu.

– Pogadamy o tym, czy będziemy udawać, że nic się nie stało? – pytam.

Edison się krzywi.

– A mam wybór?

– Nie – mówię z lekkim uśmiechem. – Chodzi o sprawdzian z rachunków?

Marszczy brwi.

– Sprawdzian z rachunków? Wielkie rzeczy, dostałem prawie maksymalną liczbę punktów. Chodzi o Bryce'a.

Bryce jest jego najlepszym kolegą od piątej klasy podstawówki. Jego matka jest sędzią w sądzie rodzinnym, ojciec wykłada na Yale klasykę. W salonie mają gablotę, jak w muzeum, a w niej autentyczną urnę grecką. Edison był z nimi na wakacjach w Gstaad i na Santorini.

Cieszę się z jego zwierzeń, zapominam o własnych problemach. To dlatego incydent w szpitalu mnie rozstroił: zawsze to ja naprawiam, ja znajduję rozwiązanie. Problem nie wynika ze mnie. Nigdy nie wynika ze mnie.

– Na pewno wszystko się wyjaśni. – Klepię Edisona po ramieniu. – Przecież jesteście jak bracia.

Przewraca się na bok i zasłania głowę poduszką.

– Hej – mówię. – Hej. – Przesuwam poduszkę i widzę mokry ślad na jego skroni. – Kochanie – szepczę. – Co się stało?

– Powiedziałem mu, że chcę zaprosić Whitney na zjazd absolwentów.

– Whitney… – powtarzam, usiłując przypisać imię do twarzy.

– Siostrę Bryce'a – wyjaśnia lakonicznie.

Przypominam sobie dziewczynkę z jasnymi warkoczykami, którą widziałam przed laty, odbierając Edisona.

– Pulchna z aparatem na zębach?

– Tak. Nie nosi już aparatu. I na pewno nie jest pulchna. Ona ma… – Oczy Edisona zachodzą mgłą i wyobrażam sobie, co widzi mój syn.

– Nie musisz mi mówić – wpadam mu w słowo.

– No, jest niesamowita. Chodzi do drugiej klasy. Znam ją od zawsze, ale ostatnio nie widzę w niej tylko młodszej siostry Bryce'a. Wiesz, o co mi chodzi? Wszystko sobie zaplanowałem. Po każdej przerwie kumpel miał stać przed jej klasą z kartką. Na pierwszej miało być napisane CZY. Na drugiej PÓJDZIESZ. Potem NA, ZJAZD, ABSOLWENTÓW i ZE. A po lekcjach miałem czekać na nią z napisem MNĄ, żeby w końcu wiedziała, kto ją zaprasza.

– Tak się teraz robi? – pytam. – Nie możesz zwyczajnie zaprosić dziewczyny na zabawę… tylko musisz robić z tego taki cyrk?

– Słucham? Nie o tym mówię, mamo. Rzecz w tym, że poprosiłem Bryce'a, aby stanął przed jej klasą z napisem ZJAZD, a wtedy coś mu odbiło.

Wciągam powietrze.

– No cóż – mówię ostrożnie. – Chłopcy różnie reagują, gdy ktoś widzi w ich młodszych siostrach kandydatki na dziewczyny, bez względu na przyjaźń z zainteresowanym.

Edison przewraca oczami.

– Nie o to chodzi.

– Może Bryce potrzebuje czasu, żeby oswoić się z tą myślą. Może zdziwił się, że myślisz o jego siostrze, no wiesz, w ten sposób. Bo jesteś jak rodzina.

– Sęk w tym… że nie jestem. – Mój syn siada, długie nogi zwisają mu nad krawędzią łóżka. – Bryce wybuchnął śmiechem. Powiedział: „Stary, my się kumplujemy. Ale ty i Whit? Rodzice by się posrali". – Ucieka wzrokiem. – Wybacz.

– Nie szkodzi, skarbie – odpowiadam. – Mów dalej.

– Spytałem dlaczego. Kompletnie tego nie rozumiałem. Przecież byłem z nimi w Grecji. A on mi na to: „Bez urazy, ale rodzice nie chcieliby, żeby moja siostra spotykała się z czarnym". Czyli syn może mieć czarnego kumpla, z którym jeździ na rodzinne wakacje, ale od córki wara?

Chciałam jak najdłużej go przed tym uchronić, nie podejrzewałam jednak, że gdy to w końcu nastąpi – a prędzej czy później musiało – zaboli go jeszcze bardziej, bo spadnie jak grom z jasnego nieba.

Ściskam jego dłoń.

– Ty i Whitney nie bylibyście pierwszą parą po dwóch stronach barykady – zapewniam. – Romeo i Julia, Anna Karenina i Wroński. Maria i Tony. Jack i Rose.

Edison patrzy na mnie ze zgrozą.

– Czy zdajesz sobie sprawę, że w każdym przykładzie, który mi podałaś, przynajmniej jedno z kochanków umiera?

– Chodziło mi o to, że jeśli Whitney zrozumie, jaki jesteś wspaniały, będzie chciała z tobą być. A jeśli cię nie doceni, nie jest warta zachodu.

Obejmuję go, Edison się przytula.

– Co nie znaczy, że sytuacja nie jest do dupy.

– Wyrażaj się – mówię odruchowo. – To prawda.

Znowu żałuję, że nie ma z nami Wesleya. Żałuję, że wyjechał drugi raz do Afganistanu, i że prowadził ciężarówkę w konwoju, kiedy wybuchła bomba domowej roboty; żałuję, że znał Edisona tylko w dzieciństwie i nie widział, jak dorastał. Żałuję, że nie powie synowi, że pierwsza fascynacja jest tylko jedną z wielu.

Żałuję, że go tu nie ma, i koniec.

„Gdybyś widział, co stworzyliśmy", myślę. „Daliśmy mu z siebie to, co najlepsze".

– Co się stało z Tommym? – pytam nagle.

– Tommym Phippsem? – Edison marszczy brwi. – Chyba wyleciał za handel heroiną za szkołą. Siedzi w poprawczaku.

– A pamiętasz, jak ten mały bandyta powiedział w przedszkolu, że wyglądasz jak spalona grzanka?

Edison uśmiecha się mimowolnie.

– No.

Po raz pierwszy inne dziecko wytknęło Edisonowi, że wygląda inaczej niż pozostali w klasie – i zrobiło to w negatywnym kontekście. Spalony. Zwęglony. Do niczego.

Wcześniej chyba nie zwracał na to uwagi. Wówczas odbyliśmy pierwszą rozmowę na temat koloru skóry.

– Pamiętasz, co ci powiedziałam?

– Że jestem brązowy, bo mam w skórze więcej melaniny od innych dzieci w szkole.

– Właśnie. Ponieważ każdy wie, że lepiej mieć czegoś więcej niż mniej. Melanina chroni twoją skórę przed poparzeniem słonecznym i poprawia wzrok, a Tommy'emu Phippsowi zawsze będzie jej brakować. Zatem to ty byłeś na wygranej pozycji.

Uśmiech powoli znika z jego twarzy.

– Teraz jakoś tego nie czuję.

W dzieciństwie moja siostra i ja nie byłyśmy podobne. Rachel miała odcień świeżo zaparzonej kawy, zupełnie jak mama. Mnie nalano z tego samego dzbanka, lecz dodano tyle mleka, że prawie nie czuć już smaku kawy.

To, że byłam jaśniejsza, zapewniało mi przywileje, których nie rozumiałam, a które doprowadzały Rachel do szału. Urzędnicy w bankach dawali mi lizaki, a potem, jakby po namyśle, częstowali moją siostrę. Nauczyciele nazywali mnie ładną siostrą Brooks, dobrą siostrą Brooks. Na zdjęciach klasowych mnie zawsze sadzano z przodu, a Rachel lądowała na tyłach.

Oznajmiła mi, że mój prawdziwy ojciec jest biały. Że tak naprawdę nie należę do rodziny. Kiedyś strasznie się o to pożarłyśmy i powiedziałam, że zamieszkam z moim prawdziwym tatą. Wtedy mama wzięła mnie na kolana i pokazała zdjęcia mojego ojca, który

był również ojcem Rachel – mężczyzny o jasnobrązowej skórze jak moja – z malutką mną na rękach. Było to dokładnie rok przed tym, jak zostawił naszą trójkę i odszedł na dobre.

Rachel i ja wyrosłyśmy na zupełnie różne osoby. Ja jestem niska, ona wysoka jak królowa. Ja ślęczałam nad książkami; Rachel była ode mnie bystrzejsza, ale nienawidziła szkoły. W wieku dwudziestu kilku lat zaakceptowała swoje, jak to określiła, „etniczne pochodzenie", oficjalnie zmieniła imię na Adisa i przestała prostować włosy. Wiele afrykańskich imion pochodzi z języka suahili, lecz Adisa wywodzi się z języka joruba, który jest zachodnioafrykański – a z Afryki Zachodniej „pochodzili nasi przodkowie, kiedy przywieziono ich tutaj jako niewolników". Oznacza ono „ta, która widzi jasność". Nawet jej imię osądza tych z nas, którzy nie widzą.

Mieszka przy torach kolejowych w New Haven, w dzielnicy, gdzie handel narkotykami kwitnie w biały dzień, a w nocy słychać strzały; ma piątkę dzieci, z których ojcem zarabiają najniższą krajową i ledwo wiążą koniec z końcem. Nad życie kocham moją siostrę, ale nie rozumiem jej wyborów, a ona nie rozumie moich.

Tak się zastanawiam, czy moje parcie, by zostać pielęgniarką i osiągnąć więcej dla Edisona, nie wzięło się przypadkiem z faktu, że spośród dwóch czarnych sióstr to ja dostałam fory. I czy Rachel nie stała się Adisą, gdyż podsycanie ognia, który się w niej tlił, utwierdzało ją w przekonaniu, że mnie dogoni.

W piątek, mój dzień wolny, umówiłyśmy się na manikiur. Siedzimy obok siebie, z dłońmi pod lampą UV. Adisa patrzy na wybraną przeze mnie buteleczkę lakieru OPI i kręci głową.

– Jak mogłaś wybrać lakier o nazwie „Skoki po barowe soki"? – pyta. – To chyba najbielszy kolor.

– Pomarańczowy – zaznaczam.

– Mówię o nazwie, Ruth. Widziałaś kiedyś czarnego w barze sokowym? Nie. Bo nikt nie chodzi do baru na sok. I nikt nie kupuje tequili na wynos.

Przewracam oczami.

– Serio? Właśnie ci opowiedziałam, że zostałam odsunięta od pacjentki, a ty czepiasz się mojego koloru na paznokciach?

– Mam na myśli kolor, w jakim chcesz żyć, mała – informuje Adisa. – To, co cię spotkało, spotyka nas wszystkich dzień w dzień. Ba, co godzinę. Tańczysz, jak ci zagrają, żeby ratować własną skórę. – Uśmiecha się lekko. – Jaśniejszą skórę, ale zawsze.

– Co to ma znaczyć?

Wzrusza ramionami.

– Kiedy ostatnio przyznałaś się komuś, że mama nadal pracuje jako pomoc domowa?

– Praca to za dużo powiedziane. Sama wiesz. Mina praktycznie ją utrzymuje.

– Nie odpowiedziałaś na moje pytanie.

Rzucam jej niechętne spojrzenie.

– Nie wiem kiedy. A co, ty zaczynasz od tego rozmowę? Poza tym kolor mojej skóry nie ma znaczenia. Jestem dobra w tym, co robię. Niezasłużenie mnie odsunęli.

– I niezasłużenie mieszkasz przy Church Street South, ale ja nie zmienię dwustu lat historii.

Moja siostra lubi zgrywać ofiarę. Nie raz ścierałyśmy się z tego powodu. Nie chcesz być postrzegany jako stereotyp, to nim nie bądź, takie jest moje zdanie. Lecz dla mojej siostry oznacza to ustępstwo na rzecz białego człowieka, dostosowanie się do jego wymagań zamiast bycia sobą. Adisa kąśliwie wypowiada słowo „asymilacja”, jakby ten, kto ją wybrał – ja na ten przykład – powinien spalić się ze wstydu.

Poza tym jak zwykle wykorzystuje mój problem do własnych celów.

– Incydent w szpitalu to nie twoja wina – mówi ku mojemu zdziwieniu. Sądziłam, że powie „masz za swoje”, bo udawałam kogoś innego, niż jestem, i zagubiłam się po drodze. – To ich świat, Ruth, my po prostu w nim żyjemy. Jakbyś przeniosła się do Japonii: możesz olać tamtejsze zwyczaje i nigdy nie nauczyć się języka, lecz będzie ci o wiele łatwiej, jeśli to zrobisz, nie? Tak samo tutaj. Ilekroć włączasz radio lub telewizor, słyszysz i oglądasz białych ludzi, którzy chodzą do szkoły średniej i college’u, jedzą kolację, zaręczają się i popijają pinot noir. Dowiadujesz się, jak przeżywają swoje życie,

i zaczynasz mówić ich językiem, żeby się dopasować. Lecz ilu znanych ci białych ludzi zadaje sobie trud obejrzenia filmów z Tylerem Perrym, żeby poznać zwyczaje Murzynów?

– Nie o to chodzi…

– Nie, chodzi o to, że możesz sobie do woli „krakać jak wrony", ale to nie znaczy, że zaczniesz latać.

– Biali nie rządzą tym światem, Adiso – przekonuję. – Jest wielu kolorowych, którzy daleko zaszli. – Wymieniam pierwszych troje, którzy przychodzą mi do głowy. – Colin Powell, Cory Booker, Beyoncé…

– …i żadne z nich nie jest takie ciemne jak ja – ripostuje Adisa. – Jak to mówią, im bielszy, tym lepszy.

– Clarence Thomas – oznajmiam. – Ma ciemniejszą skórę niż ty i zasiada w sądzie najwyższym.

Moja siostra wybucha śmiechem.

– Ruth, on jest takim konserwatystą, że w jego żyłach pewnie płynie biała krew.

Dzwoni mój telefon, wyciągam go ostrożnie z torebki, żeby nie zepsuć paznokci.

– Edison? – pyta odruchowo Adisa. Mówcie o niej, co chcecie, ale kocha mojego syna na równi ze mną.

– Nie. Lucille z pracy. – Na widok jej imienia na wyświetlaczu zasycha mi w ustach: to ona asystowała przy porodzie Davisa Bauera. Lecz nie chodzi o tę rodzinę. Lucille ma kłopoty żołądkowe, szuka zastępstwa na nockę. Chce się ze mną zamienić, dzięki temu, zamiast pracować całą sobotę, mogłabym wyjść o jedenastej. Oznacza to podwójną zmianę, ale od razu zaczynam myśleć, co zrobiłabym z tym czasem. Muszę kupić Edisonowi nową kurtkę na zimę – dam głowę, że przez lato urósł dziesięć centymetrów. Po zakupach poszlibyśmy na lunch. I może leci jakiś fajny film w kinach. Ostatnio nie daje mi to spokoju – mój syn dostał się do college'u, czyli niedługo zostanę sama. – Chcą, żebym przyszła wieczorem do pracy.

– Oni, czyli kto? Naziści?

– Nie, jedna pielęgniarka się rozchorowała.

– Jedna biała pielęgniarka – uściśla Adisa.

Nie raczę odpowiedzieć.

Adisa odchyla się na krześle.

– Że też mają czelność prosić cię o przysługi.

Chcę stanąć w obronie Lucille, która nie miała absolutnie nic wspólnego z decyzją Marie o przyklejeniu różowej kartki, kiedy manikiurzystka nam przerywa, sprawdzając, czy wysechł lakier.

– W porządku – mówi. – Gotowe.

Adisa przebiera palcami, ma paznokcie w kolorze wściekłego różu.

– Po co tu przychodzimy? Nie cierpię tego salonu – dorzuca, ściszając głos. – One nie patrzą mi w oczy i odkładają resztę na ladę zamiast do ręki. Jakby myślały, że się pobrudzą.

– To Koreanki – zaznaczam. – Przyszło ci do głowy, że w ich kulturze byłby to przejaw braku kultury?

Adisa unosi brwi.

– Spoko, Ruth – kwituje. – Wmawiaj sobie, że to cię nie dotyczy.

Po niespełna dziesięciu minutach mojego nieplanowanego dyżuru zaczynam żałować, że się zgodziłam. Na zewnątrz szaleje burza, której nie uwzględnili w prognozach, skacze ciśnienie – co prowadzi do przedwczesnego przerywania pęcherzy płodowych i porodów przedterminowych, a pacjentki wiją się na korytarzach, bo brakuje miejsc w salach. Biegam jak kurczak bez głowy, ale to dobrze, bo nie mam czasu zastanawiać się nad Turkiem i Brittany Bauer oraz ich dzieckiem.

Ale po przyjściu na dyżur zerkam od niechcenia w kartę. Chcę się tylko upewnić, wmawiam sobie, że ktoś – ktoś biały – przewidział konsultacje z kardiologiem dziecięcym przed wypisaniem małego ze szpitala. Tak, konsultacje są w grafiku, a po południu w piątek Corinne pobierze krew z pięty do stanowego rejestru noworodków. Ale zaraz ktoś mnie woła i wpadam w orbitę rodzącej, którą wiozą z izby przyjęć. Jej partner ma przerażoną minę; wygląda na człowieka, który zawsze umie wszystkiemu zaradzić i nagle zdaje sobie sprawę, że tutaj jest bezradny.

– Jestem Ruth – mówię do kobiety, która z każdym kolejnym skurczem zapada się coraz głębiej w siebie. – Będę przy tobie.

Ma na imię Eliza, według jej męża, George'a, skurcze następują w czterominutowych odstępach. To ich pierwsza ciąża. Umieszczam ją w ostatniej wolnej sali porodowej, pobieram próbkę moczu i podłączywszy ją do monitora, przeglądam szary wydruk. Skupiam uwagę na kluczowych organach i zadaję standardowe pytania: „Jak silne są skurcze? Gdzie je czujesz, z przodu czy z tyłu? Krwawisz? W jaki sposób porusza się dziecko?".

– Jeśli jesteś gotowa, Elizo – mówię – teraz cię zbadam. – Wkładam rękawiczki, obchodzę łóżko i kładę jej rękę na kolanie.

Zamieram na widok jej grymasu.

Większość rodzących pragnie za wszelką cenę mieć to z głowy. Boją się porodu, owszem, ale to nie to samo, co strach przed byciem dotykaną, a właśnie to wyczytuję z twarzy Elizy.

Cisną mi się pytania. Eliza przebierała się w łazience z pomocą męża, więc nie widziałam, czy ma siniaki, które mogłyby wskazywać na przemoc w małżeństwie. Zerkam na George'a. Niczym nie różni się od innych przyszłych ojców – jest zdenerwowany, zagubiony – nie wygląda na mężczyznę zdolnego do bicia żony.

Ale z drugiej strony Turk Bauer też wyglądał całkiem normalnie, dopóki nie podwinął rękawów.

Potrząsam głową, żeby w niej rozjaśnić, po czym zwracam się do George'a i maskuję niepokój uśmiechem.

– Może poszedłby pan do kuchni i przyniósł Elizie miętówki? – pytam. – Bardzo proszę.

Nieważne, że to zadanie dla pielęgniarki – George wygląda na uszczęśliwionego swoją misją. Gdy wychodzi, zwracam się do jego żony.

– Czy wszystko w porządku? – pytam, patrząc jej prosto w oczy. – Chcesz mi coś powiedzieć, korzystając z jego nieobecności?

Potrząsa głową i wybucha płaczem.

Ściągam rękawiczki – badanie może poczekać – i biorę ją za rękę.

– Możesz mi powiedzieć, Elizo.

– Zaszłam w ciążę, bo zostałam zgwałcona – szlocha. – George nic o tym nie wie. Bardzo się ucieszył… nie mogłam mu powiedzieć, że może to nie jego dziecko.

Opowieść płynie potajemnie w środku nocy, kiedy Eliza utknęła na siedmiu centymetrach rozwarcia, a George poszedł do kafeterii. Na tym polega poród – na wspólnym przeżywaniu traum, na umacnianiu zadzierzgniętych więzi. I chociaż jestem dla niej obcą osobą, Eliza otwiera przede mną duszę, jakby wypadła za burtę, a ja jestem jedynym skrawkiem ziemi na horyzoncie. Pojechała w delegację, świętowała podpisanie kontraktu z ważnym, nieosiągalnym klientem. Klient zaprosił ją na kolację z jeszcze kilkoma osobami i postawił jej drinka; obudziła się w jego pokoju hotelowym, cała obolała. Więcej nie pamięta.

Gdy kończy, obie siedzimy w oczekiwaniu, aż słowa opadną między nami.

– Nie mogłam powiedzieć George'owi – dodaje Eliza z rękami zaciśniętymi na szorstkim prześcieradle. – Poszedłby do mojego szefostwa, a oni na pewno nie chcieliby ryzykować zerwania kontraktu tylko z powodu tamtego incydentu. W najlepszym razie daliby mi sutą odprawę, żebym siedziała cicho.

– A więc nikt nie wie?

– Pani wie. – Eliza patrzy na mnie. – A jeśli nie pokocham tego dziecka? Jeśli jego widok będzie przypominał mi o tamtym?

– Proponuję zrobić badania DNA – kwituję.

– I po co?

– No – mówię. – Żeby wiedzieć.

Potrząsa głową.

– I co potem?

Dobre pytanie, trafia w samo sedno. Czy lepiej nie znać brzydkiej prawdy i udawać, że nie istnieje? A może lepiej stawić jej czoło, mimo ryzyka, że będziemy zmuszeni żyć z jej ciężarem?

Już mam wyrazić swoje zdanie, gdy Elizę łapie kolejny skurcz i ponownie rzucamy się w wir walki o życie.

Mijają trzy godziny i Eliza wydaje córkę na świat. Płacze, jak wiele świeżo upieczonych matek, ale ja wiem, że ma ku temu inne powody. Lekarz podaje mi noworodka i patrzę we wzburzony ocean dziecięcych oczu. Nieważne, jak została poczęta. Grunt, że się tu znalazła.

– Elizo – mówię, kładąc jej małą na piersi. – Oto twoja córka.

Unosi rękę i głaszcze noworodka po nakrapianej nóżce, lecz nawet nie patrzy na córkę. Unoszę małą i podstawiam jej niemal pod nos.

– Elizo – powtarzam z naciskiem. – Twoja córka.

Z wysiłkiem przenosi wzrok na dziecko w moich rękach. I widzi to, co ja widzę: niebieskie oczy męża. Identyczny nos i dołeczek w brodzie. Mała wygląda jak miniaturowy klon ojca.

Z Elizy uchodzi napięcie. Obejmuje córkę i tuli ją do piersi, nie pozostawiając miejsca na „jeśli".

– Cześć, malutka – szepcze.

Ta rodzina stworzy własną rzeczywistość.

Reszta świata nie ma tak łatwo.

Do dziewiątej następnego dnia chyba całe New Haven zwala się na porodówkę. Pompuję w siebie kawę, miotam się między trzema pacjentkami po porodzie i modlę, żeby nikt więcej nie zaczął rodzić, nim wyjdę stąd o jedenastej. Oprócz Elizy miałam w nocy jeszcze dwie pacjentki: CIIIPIII, która – prawdę mówiąc – mogła urodzić samodzielnie i prawie to zrobiła, oraz CIVPI, która miała nieprzewidzianą cesarkę. Jej dwudziestosiedmiotygodniowy maluch przebywa na oddziale dla noworodków.

Gdy Corinne przychodzi o siódmej na dyżur, asystuję przy cesarce, toteż spotykamy się dopiero o dziewiątej na sali dla noworodków.

– Słyszałam, że miałaś kocioł – mówi na powitanie, wjeżdżając z łóżeczkiem. – Co tu robisz?

Dawniej przywożono tutaj dzieci, żeby matki się porządnie wyspały, zanim wpadną w rytm opieki całodobowej. Obecnie pomieszczenie służy głównie jako przechowalnia i do rutynowych zabiegów w rodzaju obrzezania, których rodzice nie mają ochoty oglądać.

– Ukrywam się – odpowiadam, po czym wyjmuję z kieszeni batonik zbożowy i pochłaniam go w dwóch kęsach.

Corinne wybucha śmiechem.

– Co się tu dzisiaj dzieje? Przeoczyłam zapowiedź końca świata czy co?

– Nic mi nie mów. – Przenoszę wzrok na dziecko i ciarki mnie przechodzą. SYN PAŃSTWA BAUER brzmi podpis na łóżeczku.

Odruchowo robię krok w tył. – Jak się miewa? – pytam. – Zaczął jeść?

– Cukier trochę lepiej, ale wciąż jest ospały – informuje mnie Corinne. – Od dwóch godzin nie jadł, bo Atkins ma go obrzezać.

Doktor Atkins wchodzi jak na zawołanie.

– Jak w zegarku – mówi na widok łóżeczka. – Znieczulenie powinno już zacząć działać, rozmawiałam z rodzicami. Ruth, podałaś małemu słodkości?

Słodkości to odrobina osłodzonej wody, którą naciera się dziąsła noworodkom w celu odwrócenia ich uwagi od dyskomfortu. Podałabym dziecku słodkości przed zabiegiem, gdyby znajdowało się pod moją opieką.

– Nie zajmuję się już tym pacjentem – wyjaśniam sztywno.

Doktor Atkins unosi brew i zagląda do karty. Z daleka widzę różową kartkę, po czym zapada niezręczna cisza, która wysysa tlen z sali.

Corinne chrząka.

– Podałam mu słodkości pięć minut temu.

– Świetnie – odpowiada doktor Atkins. – Zaczynamy.

Stoję chwilę i patrzę, jak Corrine odwija małego i przygotowuje do zabiegu. Doktor Atkins odwraca się w moją stronę; w jej oczach widzę współczucie, a to ostatnia rzecz, na którą mam ochotę. Nie potrzebuję litości z powodu jednej głupiej decyzji Marie. Ani z powodu koloru mojej skóry.

Dlatego obracam sytuację w żart.

– Może przy okazji pani go wysterylizuje? – rzucam.

Istnieje niewiele bardziej stresujących sytuacji niż awaryjna cesarka. Gdy lekarz podejmuje decyzję, w powietrzu zaczyna iskrzyć, a ludzie przerzucają się urywkami zdań: „Biorę kroplówkę, zawieziesz łóżko?”, „Niech ktoś weźmie leki i wprowadzi zabieg do systemu”. Mówisz pacjentce, że coś nie gra i że nie ma chwili do stracenia. Wieziesz z oddziałową pacjentkę na salę operacyjną, a dyspozytorka wysyła wiadomość reszcie zespołu, która przebywa poza oddziałem. Kiedy pielęgniarka wyjmuje narzędzia i włącza sprzęt do narkozy, ty kładziesz pacjentkę na stół, przygotowujesz brzuch i ustawiasz

parawany. Gdy tylko zjawia się lekarz z anestezjologiem, robią nacięcie i wyjmują dziecko. Trwa to zaledwie dwadzieścia minut. W wielkich szpitalach, takich jak Yale-New Haven, uwijają się w siedem.

Dwadzieścia minut po obrzezaniu Davisa Bauera innej pacjentce Corinne odchodzą wody. Pętla pępowiny wisi jej między nogami, Corinne dostaje pilne wezwanie.

– Przypilnuj małego – rzuca na odchodne i już jej nie ma. Po chwili patrzę, jak Marie z salową prowadzą łóżko do windy, a Corinne klęczy między nogami pacjentki i nie dopuszcza do wypadnięcia pępowiny.

„Przypilnuj małego". Innymi słowy, mam zajrzeć do Davisa Bauera. Regulamin przewiduje stałe monitorowanie dziecka po obrzezaniu, bo może krwawić. Marie i Corinne są pochłonięte cesarką, więc nie został dosłownie nikt, kto mógłby się tego podjąć.

Wchodzę na salę noworodków, gdzie Davis odsypia poranne przeżycia.

„Tylko dwadzieścia minut", mówię sobie, „i Corinne lub Marie mnie zastąpią".

Staję z założonymi rękami i patrzę na chłopca. Noworodki to takie niezapisane kartki: przychodzą na świat bez założeń poczynionych przez rodziców ani obietnic, które da im Kościół, nie dzielą ludzi według sympatii i antypatii. Przychodzą na świat bez niczego, wymagają tylko opieki. I przyjmą ją od każdego bez wyjątku.

Ciekawe, ile czasu potrzeba, nim ów dar od natury pójdzie w kąt.

Gdy ponownie zaglądam do łóżeczka, Davis Bauer nie oddycha.

Nachylam się niżej w przekonaniu, że tylko przeoczyłam ruch jego maleńkiej klatki piersiowej. Ale pod tym kątem dostrzegam wyraźnie, że ma siną skórę.

Natychmiast przystawiam mu stetoskop do serca, poklepuję w pięty, odwijam kocyk. Wiele noworodków cierpi na bezdech senny, ale wystarczy nimi trochę poruszać, zmienić im pozycję z pleców na brzuch albo na bok, a znów zaczynają oddychać.

Naraz moja myśl dogania odruchy: „Rodzice nie życzą sobie opieki afroamerykańskiego personelu".

Oglądam się przez ramię na drzwi i ustawiam tak, że od progu widać tylko moje plecy.

Czy pobudzanie dziecka równa się resuscytacji? I czy dotyk jest równoznaczny z „opieką”?

Czy mogę przez to wylecieć?

Czy to ważne, że dzielę włos na czworo?

Czy cokolwiek ma znaczenie, jeśli mały zacznie znowu oddychać?

Myśli cisną się jedna za drugą: to na pewno bezdech, u noworodków nie występuje zatrzymanie czynności serca. Mogą nie oddychać trzy do czterech minut i mieć tętno na poziomie stu, bo normalnie mają sto pięćdziesiąt… co oznacza, że nawet jeśli krew nie dociera do mózgu, zasila resztę ciała i z chwilą dotlenienia dziecka puls przyspieszy, dlatego ucisk klatki piersiowej nie ma znaczenia. Odwrotnie niż w przypadku osoby dorosłej.

Lecz nawet gdy odsuwam wątpliwości i próbuję wszystkiego prócz interwencji medycznej, chłopiec wciąż nie oddycha. Zwykle założyłabym pulsoksymetr, aby monitorować dotlenienie i tętno. Poszukałabym maski tlenowej. Chwyciła za słuchawkę.

Co mam robić?

Czego nie mam robić?

Corinne lub Marie mogą zjawić się w każdej chwili. Zobaczą, że ruszam małego, i co wtedy?

Pot cieknie mi po plecach, gdy pospiesznie zawijam dziecko z powrotem w kocyk. Wpatruję się w jego małe ciałko. Krew dudni mi w uszach w rytm mojej porażki.

Nie mam pewności, czy mijają trzy minuty, czy tylko trzydzieści sekund, kiedy słyszę za sobą głos Marie.

– Ruth – mówi. – Co robisz?

– Nic – odpowiadam struchlała. – Nic nie robię.

Spogląda ponad moim ramieniem, widzi siny policzek noworodka i na ułamek sekundy napotyka mój wzrok.

– Podaj worek samorozprężalny – nakazuje. Odwija chłopca, poklepuje maleńkie stopy, przewraca go na bok.

Robi dokładnie to, co ja robiłam.

Nakłada maskę na nos oraz usta Davisa i zaczyna naciskać, pompując mu powietrze w płuca.

– Wybierz połączenie alarmowe…

Posłusznie wystukuję numer tysiąc pięćset na ściennym aparacie.

– Kod niebieski w sali noworodków – rzucam do słuchawki i wyobrażam sobie, jak zespół odrywa się od swoich zajęć: anestezjolog, pielęgniarka z intensywnej terapii, protokolantka, salowa z innego piętra. I doktor Atkins, pediatra, która dopiero co tu była.

– Zacznij uciskać – prosi Marie.

Tym razem się nie waham. Dwoma palcami uciskam klatkę piersiową dziecka, dwieście razy na minutę. Kiedy na salę wjeżdża kardiomonitor, wolną ręką sięgam po kable i podłączam elektrody do piersi chłopca, aby śledzić na monitorze skuteczność swoich zmagań. Nagle wokół roi się od ludzi, wszyscy usiłują dopchać się do pacjenta, który ma zaledwie czterdzieści osiem centymetrów.

– Ja tu próbuję intubować! – krzyczy anestezjolog na pielęgniarkę z intensywnej terapii, która szuka żyły na główce noworodka.

– A ja nie mam gdzie się wkłuć – oponuje tamta.

– Gotowe – oznajmia anestezjolog i robi jej miejsce. Pielęgniarka wodzi palcami po skórze, a ja naciskam mocniej w nadziei, że żyłka – jakakolwiek – się uwydatni.

Anestezjolog wpatruje się w monitor.

– Przerwać ucisk! – woła, a ja podnoszę ręce jak przyłapana na gorącym uczynku.

Wszyscy patrzą na ekran, ale tętno wynosi osiemdziesiąt.

– Masaż nie przynosi efektów – mówi lekarz, więc naciskam mocniej żebra. Trzeba niezmiernie uważać: mały brzuszek jest pozbawiony ochronnej otoczki w postaci mięśni, wystarczy chwila nieuwagi, a uszkodzę wątrobę.

– Kolor skóry bez zmian – oświadcza Marie. – Czy tlen jest w ogóle włączony?

– Czy ktoś może robić gazometrię? – pyta jednocześnie anestezjolog.

Pielęgniarka z OIOM-u usiłuje nakłuć tętnicę udową, aby pobrać krew konieczną do zbadania, czy dziecko ma kwasicę. Ktoś inny biegnie z probówką do laboratorium. Za pół godziny, kiedy przyjdą wyniki, to już nie będzie ważne. Chłopiec zacznie oddychać.

Albo nie zacznie.

– Cholera, czemu nic się nie dzieje?

– Chce pan spróbować? – pyta pielęgniarka z OIOM-u. – Bardzo proszę.

– Przerwać uciskanie – nakazuje anestezjolog, więc przerywam. Częstość pracy serca wynosi dziewięćdziesiąt. – Atropinę proszę. – Podają mu strzykawkę i lekarz zdejmuje osłonkę, odsuwa worek samorozprężalny i wstrzykuje lek do płuc noworodka. Następnie ponownie nakłada worek i wznawia wentylację.

– Może założymy cewnik dopępowinowy? – proponuje pielęgniarka z OIOM-u.

– Od porodu minęło za dużo czasu – odpowiada Marie.

Sytuacja wymyka się z rąk. Odruchowo wzmagam nacisk.

– Za mocno – upomina anestezjolog. – Delikatniej.

Ale dopiero krzyk wybija mnie z rytmu. Brittany Bauer weszła na salę i zawodzi wniebogłosy. Chce podbiec do dziecka, protokolantka ją przytrzymuje. Jej mąż stoi jak wrośnięty w podłogę i wbija wzrok w moje palce, którymi naciskam pierś jego syna.

– Co mu jest?! – krzyczy Brittany.

Nie wiem, kto ich tu wpuścił, ale z drugiej strony nie miał kto ich zatrzymać. Cały personel na porodówce od wczoraj robi bokami. Corinne wciąż jest na sali operacyjnej ze swoją cesarką, a Marie tutaj ze mną. Bauerowie musieli usłyszeć alarm, widzieli pracowników spieszących na salę noworodków, gdzie ich pierworodny miał odsypiać znieczulenie po rutynowym zabiegu.

Ja też bym przybiegła.

Drzwi otwierają się z hukiem i doktor Atkins, pediatra, natychmiast dopada łóżeczka.

– Co się dzieje?

Wszyscy milczą i dociera do mnie, że to ja mam odpowiedzieć.

– Byłam tutaj z dzieckiem – mówię w rytm naciskania. – Zrobiło się sine i przestało oddychać. Próbowaliśmy stymulacji, ale akcja oddechowa nie powróciła, więc podjęliśmy resuscytację.

– Kiedy dokładnie? – pyta doktor Atkins.

– Piętnaście minut temu.

– W porządku, przerwij na chwilę, Ruth… – Doktor Atkins patrzy na monitor. Częstość pracy serca wynosi czterdzieści.

– Mogiła – mamrocze Marie.

Mówimy tak, gdy EKG wykazuje szerokie zespoły QRS – prawa strona serca odpowiada lewej zbyt wolno, nie ma rzutu serca.

Nie ma nadziei.

Po kilku sekundach tętno ustaje.

– Kończymy – mówi doktor Atkins. Bierze głęboki oddech – nigdy nie jest łatwo, ale w przypadku noworodka jeszcze trudniej – następnie odłącza worek samorozprężalny od rurki i wyrzuca go do kosza. – Godzina?

Wszyscy patrzymy na zegar.

– Nie – jęczy Brittany i pada na kolana. – Nie przerywajcie, proszę. Nie rezygnujcie, błagam was.

– Bardzo mi przykro, pani Bauer – odpowiada pediatra. – Nie możemy już nic zrobić dla pani syna. Davis nie żyje.

Turk odrywa się od żony i porywa worek ze śmietnika. Odpycha anestezjologa i próbuje ponownie umieścić worek na rurce intubacyjnej Davisa.

– Pokażcie mi, jak to się robi – błaga. – Ja pomogę. Nie przerywajcie.

– Proszę…

– Sprawię, że znów zacznie oddychać. Wiem, że mogę…

Doktor Atkins kładzie mu rękę na ramieniu i załamany Turk osuwa się na podłogę.

– Nie przywróci pan synowi życia – mówi lekarka, na co on zasłania twarz i zaczyna szlochać. – Czas? – powtarza doktor Atkins.

Uzgodnienie godziny zgonu to część procedury.

– Dziesiąta cztery – mówi Marie i wszyscy potwierdzamy pomrukiem. Serce mnie boli.

Marie mierzy dziecku temperaturę, trzydzieści pięć stopni. Turk podtrzymuje żonę. Ich twarze stężały w wyrazie niedowierzania. Doktor Atkins coś do nich mówi, próbuje wyjaśnić niewytłumaczalne.

Wchodzi Corinne.

– Ruth? Co się, do licha, stało?

Marie przykrywa Davisa kocykiem, nakłada mu z powrotem czapeczkę. Jedynym świadectwem dramatu jest rurka, która wystaje mu z ust jak słomka. Ostrożnie podnosi chłopczyka, jakby czułość jeszcze się liczyła. Podaje go matce.

– Przepraszam – mówię do Corinne, choć może chcę powiedzieć: Wybacz. Przechodzę obok niej, wymijam zrozpaczonych rodziców i martwe dziecko, po czym w ostatniej chwili dobiegam do łazienki, gdzie wstrząsają mną torsje. Przyciskam czoło do chłodnej krawędzi sedesu, ale nadal to czuję – karbowane żebra pod palcami, szum własnej krwi w uszach, a na języku gorzki smak prawdy: gdybym się nie zawahała, dziecko może by żyło.

Miałam kiedyś pacjentkę, nastoletnią dziewczynę, której dziecko urodziło się martwe z powodu oderwania łożyska. Łożysko oddzieliło się od ściany macicy i dziecku zabrakło tlenu, a krwotok omal nie doprowadził również do śmierci matki. Dziecko trafiło do naszej kostnicy przed sekcją, którą w stanie Connecticut przeprowadza się zawsze w razie śmierci noworodka. Dwanaście godzin później przyjechała z Ohio babcia dziewczyny. Pragnęła choć raz wziąć na ręce prawnuka.

Zeszłam do kostnicy, gdzie zmarłe dzieci przechowuje się w zwykłej lodówce, ułożone na półkach w maleńkich workach. Wyjęłam małego i wpatrywałam się chwilę w jego doskonałe rysy. Wyglądał jak lalka. Jakby spał.

Nie czułam się na siłach zanieść kobiecie lodowate dziecko, więc ponownie je zawinęłam i poszłam na izbę przyjęć po ogrzewane koce. W kostnicy otuliłam nimi noworodka, aby tchnąć w niego trochę ciepła. Włożyłam mu wełnianą czapeczkę na głowę, aby ukryć fioletowe cętki zakrzepłej krwi na czubku.

W przypadku śmierci noworodka obowiązuje określona procedura: nigdy nie odbieramy go matce. Jeśli zrozpaczona kobieta chce zatrzymać dziecko przy sobie przez dwadzieścia cztery godziny, spać przytulona do niego, kąpać go, czesać i przeżywać chwile, których już z nim nie zazna, nie odmawiamy jej tego. Czekamy, aż będzie gotowa się z nim rozstać.

Tamta babcia tuliła prawnuka przez całe popołudnie, a potem mi go oddała. Narzuciłam ręcznik na ramię, jakbym miała go karmić, wsiadłam do windy i zabrałam go z powrotem do piwnic, gdzie mieści się kostnica.

Pomyślicie, że najtrudniejsza w tym wszystkim jest chwila, gdy kobieta oddaje wam dziecko, ale to nieprawda, gdyż w owej chwili ono nadal jest dzieckiem, dla niej. Najtrudniej jest zdjąć wełnianą czapeczkę, kocyk, pieluszkę. Włożyć ciało do worka. I zamknąć drzwi lodówki.

Godzinę później zdejmuję kurtkę z wieszaka w pokoju dla personelu, kiedy Marie zagląda do środka.

– Jeszcze tu jesteś? To dobrze. Masz chwilę?

Kiwam głową, siadam przy stole naprzeciw niej. Ktoś rzucił na blat garść landrynek; odwijam jedną i po chwili czuję karmelowy smak na języku. Liczę, że to powstrzyma mnie przed powiedzeniem czegoś, czego nie powinnam.

– Co za ranek – wzdycha Marie.

– Co za noc – odpowiadam.

– Fakt, miałaś podwójną zmianę. – Potrząsa głową. – Biedni rodzice.

– Tak, to straszne. – Nie zgadzam się z ich poglądami, ale przecież nie zasłużyli sobie na to, co ich spotkało.

– Podaliśmy matce środki uspokajające – ciągnie Marie. – Dziecko już jest na dole.

Roztropnie nie wspomina o ojcu.

Kładzie formularz na stole.

– To oczywiście tylko protokół. Muszę spisać oficjalny przebieg zdarzeń od chwili, kiedy doszło do niewydolności oddechowej Davisa Bauera. Byłaś na sali noworodków?

– Zastępowałam Corinne – odpowiadam cichym, opanowanym głosem, chociaż każda sylaba jest jak nóż przystawiony do gardła. – Wezwano ją na salę operacyjną. Syn Bauerów nie mógł zostać bez opieki po obrzezaniu o dziewiątej. Ty również asystowałaś przy cesarce, więc padło na mnie.

Marie skrobie długopisem po kartce, żadna z tych informacji nie jest dla niej nowością.

– Kiedy zauważyłaś, że dziecko przestało oddychać?

Obracam językiem cukierek. Wpycham go pod policzek.

– Chwilę przed twoim przyjściem – odpowiadam.

Marie zaczyna coś mówić i przygryza wargę. Stuka długopisem, po czym odkłada go zdecydowanym ruchem.

– Chwilę – powtarza z namysłem, jakby ważyła to słowo. – Ruth… kiedy weszłam, ty po prostu tam stałaś.

– Robiłam to, czego ode mnie oczekiwano – uściślam. – Nie dotykałam dziecka. – Wstaję od stołu i zapinam płaszcz w nadziei, że nie zauważy moich roztrzęsionych rąk. – To wszystko?

– Masz za sobą ciężki dzień – mówi Marie. – Odpocznij.

Przytakuję i wychodzę z pokoju, ale zamiast zjechać windą na parter, zatapiam się w czeluści szpitala. W jarzeniowym oświetleniu kostnicy mrugam, wzrok musi się przyzwyczaić. Ciekawe, dlaczego jasność jest zawsze taka cholernie biała.

Jest jedynym martwym noworodkiem. Jeszcze nie zesztywniał i zachował nieco ciepła. Na policzkach i stopach ma wybroczyny, ale to jedyne świadectwo, że nie jest jedynie tym, kim wydaje się na pierwszy rzut oka: czyimś ukochanym maleństwem.

Opieram się o metalowe łóżko i go tulę. Trzymam go tak, jak robiłabym to, gdyby mi pozwolono. Szepczę jego imię i modlę się za jego duszę. Witam go na tym zepsutym świecie, po czym na jednym wdechu szepczę słowa pożegnania.

Kennedy

Co za ranek.

Najpierw wszyscy zaspaliśmy, bo myślałam, że Micah nastawił swój budzik, a on myślał, że ja nastawiłam mój. Potem Violet, nasza czterolatka, odmówiła zjedzenia miski płatków cheerios i ryczała, dopóki Micah nie obiecał jej usmażyć jajka. Na tym etapie była już tak nakręcona, że gdy postawił przed nią talerz, ponownie wybuchnęła płaczem.

– Pieprzone misie! – wrzasnęła, a my osłupieliśmy.

– Czy ja dobrze słyszę? – upewnił się Micah.

Violet ponownie zawyła, tym razem wyraźniej.

– Poproszę łysię!

Ryknęłam śmiechem, na co Micah zgromił mnie wzrokiem.

– Ile razy mam powtarzać, żebyś przestała przeklinać? – burknął. – Tak cię bawi, że mała klnie jak szewc?

– W zasadzie nie klęła. W zasadzie to się przesłyszałeś.

– Tylko bez adwokackich sztuczek.

– Tylko bez wykładów – odparowałam.

Kiedy wyjeżdżaliśmy – Micah z Violet do przedszkola, a potem na sześć operacji z rzędu, ja w przeciwnym kierunku do kancelarii – jedynym członkiem rodziny w dobrym humorze była Violet, która zjadła jajko łysią i włożyła buciki z cekinami, gdyż rodzice nie czuli się na siłach jej tego zabronić.

Godzinę później robi się jeszcze gorzej, bo choć skończyłam prawo na uniwersytecie Columbia w czołówce absolwentów i odbyłam trzyletni staż w biurze sędziego federalnego, mój pracodawca – szef miejscowego dystryktu sądowego działu obrońców z urzędu stanu Connecticut – wysłał mnie dziś na negocjacje w sprawie staników.

Al Wojecwicz, naczelnik więzienia w New Haven, siedzi w dusznej sali konferencyjnej ze mną, swoim zastępcą oraz prawnikiem z sektora prywatnego, Arthurem Wangiem. Jestem tu jedyną kobietą. Zwołanie tej komisji, którą nazwałam cycmisją, wynika z faktu, że przed dwoma miesiącami prawniczki otrzymały zakaz wstępu do więzienia w stanikach z fiszbinami. Bez przerwy uruchamiałyśmy wykrywacze metalu.

Kierownictwo więzienia nie zadowalało się oklepywaniem i obstawało przy rewizji osobistej, czasochłonnej i nielegalnej. W przypływie natchnienia zaczęłyśmy przed odwiedzinami u klientów zostawiać bieliznę w łazienkach, lecz wówczas stwierdzono, że nie możemy wchodzić bez staników.

Al pociera skronie.

– Pani McQuarrie, proszę zrozumieć, że chodzi jedynie o zminimalizowanie zagrożenia.

– Naczelniku – odpowiadam. – Pana wpuszczają z kluczami. Myśli pan, że co zrobię? Przepiłuję kraty biustonoszem?

Zastępca unika mojego wzroku. Chrząka.

– Poszedłem do Target i oglądałem staniki, które tam sprzedają…

Brwi podskakują mi aż po nasadę włosów i zwracam się do Ala.

– Posłał go pan na zwiady?

Arthur wchodzi mu w słowo.

– Wiecie co, tutaj trzeba się zastanowić, czy wszystkie przepisy dotyczące ubioru nie wymagają modyfikacji – oznajmia. – W zeszłym roku przyszedłem do klienta tuż przed wyjazdem na wakacje. Byłem w sandałach i usłyszałem, że nie mogę w nich wejść. Ale miałem przy sobie korki do golfa, które były jak najbardziej dopuszczalne.

– Korki – powtarzam. – Czyli buty z kolcami, tak? Jeśli można wejść w korkach, to dlaczego sandały odpadają?

Naczelnik i jego zastępca wymieniają spojrzenia.

– Z powodu fetyszystów – odpowiada ten drugi.

– Boicie się, że ktoś zechce nam possać palce?

– Tak – przyznaje zastępca ze śmiertelną powagą. – Proszę mi wierzyć, to dla państwa dobra. Wolelibyście uniknąć czego tak intymnego.

Przez chwilę wyobrażam sobie życie w sterylnej kancelarii zajmującej się prawem korporacyjnym, z widokiem na awans. Rozmawiałabym z klientami w salach wyłożonych boazerią zamiast w klitkach cuchnących chlorem i uryną, a klientom nie trzęsłyby się ręce – po odstawieniu narkotyków albo ze strachu przed wymiarem sprawiedliwości, któremu nie ufają.

Ale coś za coś. Kiedy poznałam Micaha, był stypendystą na oddziale okulistyki w Yale-New Haven. Zbadał mnie i stwierdził, że mam najpiękniejsze colobomy, jakie w życiu widział. Na pierwszej randce wyraziłam pogląd, że sprawiedliwość naprawdę jest ślepa, na co odpowiedział, że wyłącznie dlatego, iż nie miał jeszcze okazji jej zoperować. Gdybym za niego nie wyszła, zapewne podążyłabym za resztą kolegów ku chromowanym biurom w wielkich miastach, a tak on rozpoczął praktykę, ja zaś przerwałam pracę, aby urodzić Violet. Gdy nadszedł czas powrotu, to Micah przypomniał mi o postulatach, które niegdyś głosiłam; dzięki jego pensji mogłam przejść od słów do czynów. „Ja będę zarabiał", mówił Micah, „ty zmienisz świat". Jako obrońca z urzędu nigdy nie zarobię kokosów, ale mogę z czystym sumieniem patrzeć w lustro.

A ponieważ mieszkamy w kraju, gdzie sprawiedliwość winna być rozdzielana po równo, bez względu na wiek, płeć, rasę lub zasobność portfela, czy obrońca z urzędu nie powinien być równie bystry, agresywny i twórczy, co jego odpowiednik do wynajęcia?

Dlatego opieram ręce na blacie.

– Panie naczelniku, ja nie gram w golfa. Ale noszę stanik. Wie pan, kto jeszcze go nosi? Moja koleżanka Harriet Strong, adwokat do spraw pracowniczych w Amerykańskim Związku Wolności Obywatelskich. Kończyłyśmy razem prawo, staramy się widywać raz w miesiącu. Myślę, że byłaby zachwycona na wieść o tym zebraniu, zwłaszcza że w stanie Connecticut obowiązuje zakaz dyskryminacji ze względu na orientację seksualną i tożsamość płciową, i zważywszy, że jedynie kobiety prawnicy bądź prawnicy, którzy uważają się za kobiety, noszą staniki na spotkaniach z klientami w pańskiej placówce. Co oznacza, że pańskie nakazy stanowią naruszenie naszych praw oraz uniemożliwiają nam pełnienie obowiązków. Mam też niemal absolutną pewność, że Harriet

zachodzi w głowę, ile członkiń miejscowej palestry złożyło skargę. Innymi słowy, to sprawa z gatunku „Masz przesrane, jeśli to pójdzie do gazet". Dlatego przy następnej okazji wezmę ze sobą moją bardotkę Le Mystère w rozmiarze 34C i obejdzie się bez – przepraszam za metaforę – rwania szat. Czy moje założenie jest słuszne?

Naczelnik zaciska usta.

– Na pewno rozważymy kwestię fiszbinów.

– Świetnie – odpowiadam i biorę aktówkę. – Dziękuję za poświęcony czas, ale muszę biec do sądu.

Wychodzę z dusznego pokoiku, Arthur podąża za mną. Kiedy stajemy przed więzieniem, w oślepiającym słońcu, uśmiecha się szeroko.

– Przypomnij mi, żebym nie stawał przeciwko tobie na sali rozpraw.

Potrząsam głową.

– Serio grasz w golfa?

– Jeśli chcę się podlizać sędziemu – kwituje. – Serio nosisz 34C?

– Nigdy się nie dowiesz – odpowiadam ze śmiechem i rozchodzimy się do swoich samochodów, które zawiozą nas do dwóch jakże różnych światów.

***

Nie wysyłamy sobie z mężem świńskich esemesów. Nie, my ograniczamy się do przymiotników pochodzących od nazw państw. Wietnamska. Etiopska. Meksykańska. Grecka. Bo pytanie brzmi niezmiennie: „Z jakiej knajpy dziś zamawiamy?". Lecz gdy wychodzę z zebrania w więzieniu, czeka na mnie wiadomość nieco innej treści: „Zachowałem się rano jako dupek, wybacz".

Uśmiecham się pod nosem i odpisuję. „Już wiadomo, po kim dzieciak przeklina".

„Randka wieczorem?", czytam po chwili.

Moje kciuki śmigają nad klawiaturą. „Zjednałeś mnie tym dupkiem", stukam. „Indyjska?".

„Nie mogę się doczekać", odpisuje Micah.

Widzicie, i dlatego nie umiem długo się na niego gniewać.

Moja matka, która dorastała w kręgach śmietanki towarzyskiej Karoliny Północnej, uważa, że wszystkiemu można zaradzić odrobiną kremu pod oczy i maści do skórek przy paznokciach. Tym samym zawsze próbuje mnie skłonić, bym o siebie zadbała, czyli postarała się ładnie wyglądać, co zakrawa na kiepski żart, bo mam małe dziecko i stu potrzebujących klientów, którzy bardziej zasługują na mój czas niż fryzjerka.

W zeszłym roku dała mi na urodziny prezent, którego świadomie unikałam aż do dziś: bon do spa na dziewięćdziesięciominutowy masaż. Dziewięćdziesiąt minut to kupa czasu. Mogłabym napisać jeden lub dwa raporty, wmusić w Violet śniadanie, a nawet (jeśli mam być szczera) wcisnąć w to szybki numerek z mężem. Jeśli mam wolne półtorej godziny, ugniatanie przez obcą osobę to ostatnia rzecz, na którą mam ochotę.

Ale, jak matka słusznie zaznacza, bon za tydzień traci ważność, a ja jeszcze go nie wykorzystałam. I dlatego – ponieważ wie, że nie mam czasu troszczyć się o takie szczegóły – pozwoliła sobie umówić mnie do Spa-ht On, które spełnia potrzeby zapracowanych kobiet, jak obiecuje szumny napis na logo. Siedzę w poczekalni, czekam, aż mnie wywołają, i zastanawiam się nad doborem nazwy, bo nieuchronnie kojarzy mi się ze spadochronem z lekką nutką egzaltacji.

Trafili jak kulą w płot, tak czy inaczej.

Stresuję się myślą, czy zostać w majtkach, a potem nie mogę otworzyć szafki i jej zamknąć. Może to wszystko ma swój cel: klientki są tak sfrustrowane, że siłą rzeczy wychodzą w lepszym stanie, niż przyszły.

– Jestem Clarice – oznajmia masażystka głosem aksamitnym jak gong tybetański. – Zostawię panią na chwilę samą, proszę się rozgościć.

Pokój jest ciemny, tylko świece się palą. W tle brzdąka mdła muzyczka. Zrzucam kapcie i szlafrok, po czym wpełzam pod

prześcieradło i wciskam twarz w otwór na łóżku do masażu. Po chwili rozlega się dyskretne pukanie.

– Jesteśmy gotowe?

A bo ja wiem. Jesteśmy?

– Teraz proszę się odprężyć – mówi Clarice.

Próbuję. Naprawdę próbuję. Przymykam oczy na jakieś trzydzieści sekund. Następnie wytrzeszczam je na stopy w wygodnych adidasach. Dłonie Clarice suną zdecydowanym ruchem wzdłuż mojego kręgosłupa.

– Długo pani tu pracuje? – dociekam.

– Trzy lata.

– Dam głowę, że czasem przychodzą klienci, których wolałaby pani nie dotykać – rozważam. – Uhm, owłosione plecy? Fuj.

Nie odpowiada. Jej stopy przesuwają się na podłodze. Zastanawiam się, czy uważa mnie za jedną z takich klientek.

Czy postrzega moje ciało jak lekarz – widzi w nim bryłę, w której można lepić? A może patrzy na mój cellulit na tyłku oraz wałek tłuszczu, który zwykle chowam pod paskiem stanika, i myśli sobie, że joginka, którą masowała przed godziną, wyglądała o niebo lepiej?

Clarice. Czy nie tak miała na imię bohaterka *Milczenia owiec*?

– Z fasolą i dużą ilością przypraw[4] – mamroczę.

– Słucham?

– Nic, nic – mruczę z podbródkiem wciśniętym w łóżko. – Ciężko się rozmawia w tej pułapce. – Czuję, że nos mi się zapycha, jak zwykle, kiedy za długo leżę twarzą w dół. Muszę wtedy oddychać przez usta i mam wrażenie, że masażystka to słyszy, czasami nawet ślinię się przez otwór w łóżku. Kolejny powód, dla którego nie lubię masaży. – Czasem się zastanawiam, co by było, gdybym miała wypadek samochodowy i utknęła głową w dół – zagajam. – Nie w aucie, tylko w szpitalu, w kołnierzu ortopedycznym, który przytwierdzają do czaszki, żeby kręgi się nie przesuwały. Gdyby lekarze przewrócili mnie na brzuch, nos zapchał mi się tak jak teraz i nie mogłabym mówić. Albo gdybym zapadła w taką śpiączkę, kiedy człowiek nie śpi, tylko nie może się ruszyć, a rozpaczliwie musi wydmuchać nos. – Dudni mi w głowie od tej pozycji. – Weźmy

zresztą bardziej wiarygodny scenariusz: co jeśli dożyję setki, będę w domu starców i dostanę kataru, a nikt nie wpadnie na to, żeby podać mi krople do nosa?

Stopy Clarice znikają poza zasięgiem mojego wzroku, następnie czuję chłodny powiew na nogach, kiedy zaczyna masować mi lewą łydkę.

– Matka kupiła mi ten masaż na urodziny – rzucam.

– To miło…

– Jest fanką nawilżania. Stwierdziła, że jeśli chcę zatrzymać męża, krokodyla skóra jest niewskazana. Odpowiedziałam jej, że gdybym zawdzięczała udany związek nawilżaniu, miałabym większy problem niż znalezienie czasu na masaż…

– Pani McQuarrie? – nie wytrzymuje masażystka. – Chyba nigdy nie miałam klientki, która potrzebowałaby masażu tak jak pani.

Nie wiedzieć czemu, jej słowa napełniają mnie dumą.

– I choć zapewne nie da mi pani napiwku, myślę, że jest pani w tym beznadziejna.

Moja duma sięga zenitu.

– Dzięki – odpowiadam.

– Może niech pani spróbuje… nic nie mówić. Oczyścić swój umysł.

Ponownie przymykam oczy. I przeglądam w myślach listę spraw do załatwienia.

– Jakby co – mruczę – w jodze też jestem do bani.

Kiedy pracuję do późna, a Micah siedzi w szpitalu, moja matka odbiera Violet z przedszkola. Trzy pieczenie na jednym ogniu: nie muszę płacić za opiekunkę, matka spędza czas z jedyną wnuczką, a Violet ją uwielbia. Nikt nie urządza podwieczorku tak jak moja matka, która wyjmuje z tej okazji swoją starą ślubną porcelanę i lniane serwetki, po czym nalewa słodką herbatę z imbryka. Wracam do domu ze świadomością, że Violet leży już wykąpana w swoim łóżeczku, po wysłuchaniu bajki na dobranoc, w puszce znajdę cytrynowe makaroniki albo ciastka owsiane z rodzynkami po podwieczorku, jeszcze ciepłe w środku, a kuchnia będzie lśniła czystością.

Moja matka doprowadza Micaha do szału. „Ava ma dobre chęci”, mawia z upodobaniem mój mąż. „Tak jak Joseph McCarthy”. Nazywa ją buldożerem w przebraniu ślicznotki z Południa. Poniekąd ma rację. Ani się spostrzeżesz, jak moja matka owija cię wokół palca i tańczysz, jak ci zagra.

– Cześć – mówię i rzucam teczkę na kanapę, a Violet pada mi w objęcia.

– Malowałam palcami – obwieszcza i pokazuje mi ręce, nadal trochę niebieskie. – Nie mogłam wziąć obrazka do domu, był jeszcze mokry.

– Cześć, kotku. – Matka wychodzi z kuchni. – Jak ci minął dzień? – Jej głos zawsze nasuwa mi skojarzenie z heliotropem i przejażdżką kabrioletem, kiedy słońce przygrzewa ci czubek głowy.

– Och, jak zawsze – odpowiadam. – Nikt nie próbował mnie zabić, a to już coś. – W zeszłym tygodniu mój klient, oskarżony o napaść z bronią w ręku, próbował mnie udusić na sali rozpraw, kiedy sędzia wyznaczył niespodziewanie wysoką kaucję. Nadal nie mam pewności, czy był taki wściekły, czy chce się wyłgać, zasłaniając się niepoczytalnością. Jeśli to drugie, gratuluję refleksu.

– Kennedy, nie przy D-Z-I-E-C-K-U. Vi, skarbie, przyniesiesz babci torebkę? – Odstawiam Violet, która pędzi do przedpokoju. – Jak mówisz takie rzeczy, mam ochotę iść po receptę na xanax – wzdycha matka. – Myślałam, że znajdziesz prawdziwą pracę, kiedy Violet pójdzie do szkoły.

– Po pierwsze, mam prawdziwą pracę, a po drugie, już bierzesz xanax, więc to pogróżki bez pokrycia.

– Czy ty zawsze musisz się kłócić?

– Tak. Jestem prawnikiem. – Nagle zauważam, że matka ma na sobie płaszcz. – Zimno ci?

– Mówiłam ci, że nie mogę dzisiaj zostać. Idziemy z Darlą na kontradans zapoznać jakichś oldboyów.

– Kontredans – poprawiam odruchowo. – Po pierwsze, fuj. Po drugie, wcale mi nie mówiłaś.

– Mówiłam. Tydzień temu. Po prostu mnie nie słuchałaś, skarbie. – Violet wchodzi do pokoju z torebką. – Grzeczna dziewczynka – mówi matka. – Daj babci buziaczka.

Violet zarzuca jej ręce na szyję.

– Ale nie możesz iść – oponuję. – Mam randkę.

– Kennedy, jesteś mężatką. Jeśli któraś z nas potrzebuje randki, to na pewno nie ty. Mamy z Darlą śmiałe plany.

Wychodzi prężnym krokiem, a ja opadam na kanapę.

– Mamusiu – mówi Violet. – Zamówimy pizzę?

Patrzę na jej buciki z cekinami.

– Mam lepszy pomysł – odpowiadam.

– Ha! – mówi Micah, kiedy widzi mnie przy stoliku restauracji indyjskiej wraz z Violet, która do tej pory bywała co najwyżej w barze szybkiej obsługi. – A to niespodzianka.

– Nasza opiekunka zwiała – informuję go i zerkam z ukosa na córkę. – Burza wisi w powietrzu, więc już zamówiłam.

Violet koloruje papierowy obrus.

– Tatusiu – oznajmia – ja chcę pizzę.

– Przecież lubisz indyjskie jedzenie, Vi – przekonuje Micah.

– Wcale nie lubię. Chcę pizzę – upiera się mała.

W tej samej chwili nadchodzi kelner z naszym zamówieniem.

– Nareszcie – mruczę. – Widzisz, skarbie?

Violet zwraca się w stronę kelnera i wbija niebieskie oczęta w jego turban.

– Dlaczego ten pan ma na głowie ręcznik?

– Bądź grzeczna, kochanie – upominam. – To się nazywa turban, niektórzy ludzie w Indiach noszą takie.

Violet marszczy brwi.

– Ten pan jest Indianinem? Nie wygląda jak Pocahontas.

Mam ochotę zapaść się pod ziemię, lecz przyklejam uśmiech do twarzy.

– Bardzo pana przepraszam – mówię do kelnera, który pospiesznie rozstawia potrawy. – Violet… patrz, twoja ulubiona. Kurczak tikka masala. – Nakładam jej trochę na talerz, aby ją czymś zająć do chwili odejścia kelnera. – O matko – szepczę do Micaha. – A jeśli pomyśli, że jesteśmy okropnymi rodzicami? Albo okropnymi ludźmi?

– Możesz mieć pretensje do Disneya.

– Mogłam powiedzieć coś innego, nie?
Micah nabiera łyżkę vindaloo i nakłada sobie na talerz.
– No – potwierdza. – Mogłaś wybrać włoską knajpę.

4 T. Harris, *Milczenie owiec,* przeł. A. Szulc, wyd. Albatros, Warszawa 2013.

Turk

Stoję na środku pokoju dziecięcego, w którym nigdy nie zamieszka mój syn.

Pięści ciążą mi jak kowadła, mam ochotę się nimi zamachnąć. Najchętniej wybiłbym dziury w ścianie. Rozwalił ten pokój w drobny mak.

Nagle czuję silną dłoń na ramieniu.

– Gotowy?

Francis Mitchum – mój teść – stoi za mną.

To jego dom – Brit i ja mieszkamy po jednej stronie, on zajmuje drugą. Przechodzi przez pokój i zrywa zasłonki z Piotrusiem Królikiem. Wylewa nieco farby na tackę i zamalowuje bielą bladą żółć, którą wybraliśmy z Brit niespełna miesiąc temu. Kolor prześwituje przez pierwszą warstwę, jak gdyby uwięziony pod lodem. Z głębokim wdechem nurkuję pod łóżeczkiem i odkręcam śruby, które starannie zamocowałem, żeby mój synek był bezpieczny.

Kto mógł przewidzieć, że to nie będzie konieczne?

Brit odsypia środek uspokajający; jeszcze rano w szpitalu było o wiele gorzej. Myślałem, że nie ma nic potworniejszego od nieprzerwanego płaczu, odgłosu sypania się na kawałki. Ale około czwartej nad ranem wszystko ustało. Brit zamilkła jak głaz, tylko patrzyła pustym wzrokiem w ścianę. Nie odpowiadała, kiedy do niej mówiłem, nawet na mnie nie spojrzała. Lekarze dali jej środek nasenny. Sen, powiedzieli, to najlepsze lekarstwo dla ciała.

Ja oka nie zmrużyłem, wiedziałem jednak, że to nie sen poprawi mi samopoczucie, tylko coś nieobliczalnego, jakiś akt zniszczenia. Musiałem wyzwolić ból, gdzieś go przenieść.

Ostatni obrót śruby i łóżeczko się zapada, ciężki materac przygniata mi pierś.

– W porządku? – pyta Francis.

– Taa… – Brak mi tchu. Boli jak diabli, ale ja rozumiem ten rodzaj bólu. Pojawi się siniak, a potem zniknie. Wyłażę spod stosu i ze złością kopię w deski. – Dziadostwo, tak czy siak.

Francis marszczy brwi.

– Co z nim zrobisz?

Na pewno nie zostanie w domu. Przy odrobinie szczęścia doczekamy się z Brit drugiego dziecka, ale za nic nie położyłbym go w tym łóżeczku. Spałoby z duchem brata.

Kiedy nie odpowiadam, Francis wyciera ręce w szmatę i zbiera deski.

– Liga Kobiet Aryjskich z chęcią je przyjmie – oznajmia. Brit wzięła udział w kilku spotkaniach. To grupa byłych skinheadek, które chodziły z lewymi papierami do opieki społecznej, żeby wycyganić mleko modyfikowane dla kobiet, których faceci siedzieli za sprawę.

Na Francisa nie mogę za bardzo liczyć. Prowadzi firmę remontową, w której pracuję, nieźle stoi w rankingu i głosuje na Tea Party[5]. (Starzy skinheadzi nie umarli. Kiedyś wstępowali do KKK, a dzisiaj do Tea Party. Nie wierzycie? Posłuchajcie przemowy dawnego członka Klanu i porównajcie ją z mową patrioty z Tea Party. Zamiast „Żyd" mówią „rząd federalny", zamiast „pedały" – „społeczne kręgi naszego kraju", a zamiast „czarnuch" – „zasiłek"). Ale w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych był legendą. Jego Armia Białego Przymierza dorównywała rangą Białemu Ruchowi Oporu Toma Metzgera, Światowemu Kościołowi Twórcy Matta Hale'a, Sojuszowi Narodowemu Williama Luthera Pierce'a i Aryjskim Narodom Richarda Butlera. Samotnie wychowywał Brit, a jego banda siała postrach na ulicach New Haven młotkami, połamanymi kijami hokejowymi, pałkami i ołowianymi rurami – lała czarnuchów, pedałów i żydków, a mała Brit spała jak aniołek w aucie.

Ale w połowie lat dziewięćdziesiątych – kiedy rząd wziął się za skinów – powiał wiatr zmian i liderów pokroju Francisa masowo posyłano do pierdla. Francis zrozumiał, że trzeba ratować skórę i nagiąć karku. To on zmienił strukturę Ruchu Białej Supremacji z organizacji na małe komórki ziomków o wspólnych zapatrywaniach

politycznych. Kazał nam zapuścić włosy. Iść do szkoły. Wstąpić do wojska. Wtopić się w tłum. Z moją pomocą stworzył i prowadził stronę oraz forum internetowe. „Już nie jesteśmy grupami", powtarzał mi do znudzenia. „Jesteśmy ogniskami niezadowolenia w obrębie systemu".

Jak się okazało, ludzie trzęśli portkami ze strachu na myśl, że chodzimy i żyjemy wśród nich, nie zwracając niczyjej uwagi.

Myślę o Lidze Kobiet Aryjskich, która weźmie łóżeczko. O przewijaku, który kupiłem na wyprzedaży garażowej i przetarłem papierem ściernym. Ubrankach z Goodwill[6], złożonych w komodzie. Zasypce, szamponie oraz butelkach. O innym dziecku, żywym dziecku, które z nich skorzysta.

Wstaję tak szybko, że kręci mi się w głowie, patrzę w lustro z balonikami wymalowanymi na ramie. Kiedyś wróciłem z pracy i zastałem Brit z pędzlem w garści; zażartowałem, że zmienia się w drugą Marthę Stewart. „Łączy nas tylko to", odpowiedziała, „że obie jesteśmy notowane", ale się śmiała. Namalowała mi balonik na policzku, a ja ją pocałowałem; w tamtej chwili, gdy staliśmy objęci z nienarodzonym dzieckiem między nami, było idealnie.

Teraz mam ciemne obwódki pod oczami, posklejane włosy i jestem zarośnięty. Wyglądam jak zbieg.

– Do dupy z tym – syczę szeptem i wychodzę do łazienki.

Znajduję elektryczną golarkę. Podłączam ją i przesuwam jednym ruchem przez środek głowy. Golę boki, kępki włosów spadają mi na ramiona i do umywalki. I jak za sprawą czarów odsłania się obrazek na czubku głowy, ponad linią włosów: gruba, czarna swastyka z inicjałami moimi i Brit splecionymi pośrodku.

Zrobiłem ten tatuaż, kiedy zgodziła się za mnie wyjść.

Miałem wtedy dwadzieścia jeden lat i byłem narąbany.

Kiedy przyszedłem pokazać jej ten dowód miłości, nie zdążyła zareagować, bo Francis podszedł i palnął mnie w łeb.

– Naprawdę jesteś taki głupi, na jakiego wyglądasz? – spytał. – Wyraz tajny nie może być dla ciebie taki trudny.

– To moja tajemnica – odpowiedziałem i uśmiechnąłem się do Brit. – Nasza tajemnica. Kiedy odrosną mi włosy, nikt prócz nas nie będzie

o tym wiedział.

– A jeśli wyłysiejesz? – zapytał.

Z mojej miny zorientował się, że nie wziąłem tego pod uwagę.

Przez kolejne dwa tygodnie nie wypuszczał mnie z domu, póki spod szczeciny nie przebijał tylko ciemny zarys.

Teraz biorę maszynkę, krem do golenia i dopełniam dzieła. Przejeżdżam ręką po gładkiej głowie. Od razu mi lżej. Czuję za uszami ruch powietrza.

Wracam do pokoju dziecinnego, który już nim nie jest. Łóżeczko znikło, reszta mebli stoi w przedpokoju. Francis spakował rzeczy do kartonów. Zanim wypuszczą Brit ze szpitala dziś po południu, wstawię z powrotem łóżko i stolik nocny. Zobaczy pokój gościnny sprzed paru miesięcy.

Patrzę na Francisa, niech no tylko skomentuje. Wodzi wzrokiem po moim tatuażu, jakby badał zarys blizny.

– Rozumiem, chłopcze – mówi cicho. – Idziesz na wojnę.

***

Nie ma nic gorszego, jak wyjść ze szpitala bez dziecka, które się urodziło. Brit siedzi na wózku (szpitalne wymogi) pchanym przez salową (również szpitalne wymogi). Ja zamykam tyły, w czapce nasuniętej głęboko na czoło. Brit siedzi ze wzrokiem wbitym w ręce splecione na kolanach. Czy mi się zdaje, czy wszyscy się na nas gapią? Może główkują, co dolega kobiecie, która nie ma łysej głowy, gipsu ani żadnych innych widocznych objawów.

Francis zaparkował już na szpitalnym podjeździe w kształcie podkowy. Ochroniarz otwiera nam drzwi i pomagam Brit wstać z fotela. Dziwię się, jaka jest lekka; niewiele brakuje, a wyfrunie mi z rąk.

Na jej twarzy widzę panikę. Cofa się przed czeluścią tylnego siedzenia jak przed potworem, który może się tam chować.

Lub fotelikiem samochodowym.

Obejmuję ją w pasie.

– Kochanie – szepczę. – Już dobrze.

Sztywnieje i zbiera się w sobie, po czym nurkuje w środku. Kiedy widzi, że nie siedzi obok pustego krzesełka, rozluźnia wszystkie mięśnie i zapada w siedzenie z przymkniętymi oczami.

Wsuwam się na fotel pasażera. Francis podchwytuje mój wzrok i unosi brwi.

– Jak się czujesz, kurczaczku?

Brit nie odpowiada, tylko łza wymyka się na policzek.

Francis dodaje gazu i odjeżdża, jakby nas kto gonił.

Gdzieś tam, w piwnicznej lodówce, leży moje dziecko. Albo na stole w prosektorium, rozprute jak indyk w Święto Dziękczynienia.

Mógłbym opowiedzieć mu, co się stało. Opisać Straszną Rzecz, która staje mi przed oczami, ilekroć je przymykam: obraz czarnej suki, która wali w pierś mojego syna.

Była z nim sama. Słyszałem, jak pozostałe piguły gadały o tym na korytarzu. Była z nim sama, chociaż nie powinna. Kto wie, do czego doszło, kiedy nikt nie widział?

Odwracam się do Brit. Kiedy patrzę w jej oczy, nie wyrażają kompletnie nic.

A jeśli utrata dziecka nie jest najgorszym, co mogło mnie spotkać? Jeśli straciłem również żonę?

Po ukończeniu liceum przeniosłem się do Hartford i podjąłem pracę w fabryce Colta. Byłem na paru wykładach w college'u stanowym, ale chciało mi się rzygać od liberalnego szajsu lansowanego przez tamtejszych profesorów. Mimo to nadal się tam szwendałem. Najpierw zwerbowałem skatera, chudego gówniarza z długimi włosami, który wciął się w kolejkę przed Murzyna w barze studenckim. Czarnuch go popchnął, na co Yorkey odpowiedział mu tym samym.

– Jak ci się tu nie podoba, wypierdalaj do Afryki – warknął.

Bitwa na żarcie, jaka się potem wywiązała, była niezapomniana. Wywlokłem stamtąd gówniarza za fraki.

– Wiesz co? – powiedziałem, kiedy wyszliśmy na dymka. – Wcale nie musisz być ofiarą.

I dałem mu egzemplarz *Ostatniego wezwania*, biuletynu Narodu Islamu, który rozwiesiłem na tablicach informacyjnych w całym kampusie.

– Nie rozumiesz? – ruszyłem naprzód, wiedząc, że za mną pójdzie. – Może mi powiesz, dlaczego nikt nie wpadnie na zebranie związku studentów afroamerykańskich i nie aresztuje ich za nawoływanie do nienawiści? A tak w ogóle, to dlaczego nie ma związku białych studentów?

Yorkey prychnął.

– Ponieważ – odpowiedział – to byłaby dyskryminacja.

Spojrzałem na niego jak na Einsteina.

– No właśnie.

Dalej poszło jak z płatka. Wynajdywaliśmy studentów prześladowanych przez mięśniaków i stawaliśmy w ich obronie, aby wiedzieli, że mają sojuszników. Trzymaliśmy się z nimi po zajęciach, a gdy jeździliśmy samochodem, puszczałem kawałki Skrewdrivera, No Remorse, Berzerkera, Centuriona. Zespołów white power, które brzmiały jak charkot demona nawołującego do wojny z całym światem.

Dzięki mnie uwierzyli, że są coś warci, właśnie z powodu swojego koloru skóry. Gdy na coś narzekali, począwszy od procesu rekrutacji, a skończywszy na wyżywieniu, przypominałem im, że dyrektorem szkoły jest Żyd i że stanowi to część większego planu rządu okupacji syjonistycznej, mającego na celu nas zgnębić. Wbiłem im do głów, że „my" oznacza „biali".

Zabrałem im trawę i ecstasy i wyrzuciłem do kosza, bo ćpuny kradną. Przerobiłem ich na własny wzór i podobieństwo.

– Mam świetne martensy – powiedziałem do Yorkeya. – Akurat w twoim rozmiarze. Ale na pewno nie dam ich facetowi z tłustymi włosami w koczku. – Następnego dnia przyszedł schludnie ostrzyżony i ogolony. Nie minęło wiele czasu, jak utworzyłem własną bandę młodych wilczków, świeżo ukuty, hartfordzki oddział NADS.

Powiedziałbym, że nauczyłem tamtejszych studentów więcej niż jakiś dęty profesor. Uświadomiłem im zasadnicze różnice między rasami. Pokazałem, że stajesz się ofiarą, jeśli nie jesteś drapieżnikiem.

Budzę się zlany potem, śnił mi się koszmar. Odruchowo macam ręką obok siebie, ale Brit tam nie ma.

Stawiam nogi na podłodze i idę, przedzieram się przez ciemność jak przez tłum. Jakbym lunatykował, bo ciągnie mnie prosto do pokoju, który przemalowaliśmy na szybko z Francisem przed powrotem Brit ze szpitala.

Stoi w progu, opasana rękami jakby w obawie, że upadnie, uwięziona we własnym cieniu, bo przez okno wpada księżycowa poświata. Kiedy moje oczy przyzwyczajają się do mroku, próbuję zobaczyć to, co ona: stary fotel z szydełkową serwetą na oparciu, żelazne okucie podwójnego łóżka dla gości. Ściany, ponownie białe. Wciąż czuję zapach świeżej farby.

Chrząkam.

– Myśleliśmy, że to pomoże – wyduszam.

Odwraca się, ale tylko do połowy, i przez chwilę wygląda jak utkana ze światła.

– A jeśli to się nigdy nie stało? – szepcze. – Jeśli to był tylko koszmar?

Ma na sobie moją flanelową koszulę – lubi tak spać – kładzie dłonie na brzuchu.

– Brit. – Robię krok w jej stronę.

– I jeśli wszyscy o nim zapomną?

Biorę ją w ramiona, jej oddech parzy mnie w pierś jak ogień.

– Kochanie – mówię. – Ja im nie pozwolę.

Mam jeden garnitur. W zasadzie to mamy z Francisem jeden garnitur na spółkę; kiedy człowiek za dnia remontuje, a wieczorami prowadzi stronę internetową o Białej Supremacji, nie musi się stroić. Ale następnego popołudnia wkładam garnitur – czarny w prążki, pasowałby do Ala Capone – a do tego białą koszulę i krawat, bo jedziemy z Brit do szpitala na spotkanie z Carlą Luongo, prawniczką z centrum zarządzania kryzysowego, która zgodziła się z nami spotkać.

Lecz gdy wychodzę z łazienki świeżo ogolony, a mój tatuaż bije po oczach, ze zdumieniem zastaję Brit zwiniętą w kłębek na łóżku,

w mojej flanelowej koszuli i dresach.

– Kochanie – mówię. – Mamy spotkanie z prawniczką, pamiętasz? – Mówiłem jej pół godziny temu. Nie mogła zapomnieć.

Nieprzytomnie wywraca oczami i mieli słowa, jakby mówiła z pełnymi ustami.

– Nie… chcę… tam… wracać.

Odwraca się ode mnie i naciąga kołdrę, wtedy zauważam opakowanie na stoliku nocnym: proszki nasenne, które dostała od lekarza na „przeczekanie". Nabieram tchu i sadzam żonę na łóżku. Przelewa się przez ręce, nieruchoma i ciężka jak worek z piaskiem. „Prysznic", myślę, „ale musiałbym wejść z nią, a nie mamy czasu". Biorę więc ze stolika szklankę wody i chlustam jej w twarz. Krztusi się, ale siada o własnych siłach. Ściągam jej piżamę i wyjmuję z szuflady przyzwoite łachy – czarne spodnie i sweter zapinany na guziki. Kiedy ją ubieram, nachodzi mnie wizja, że ubieram syna, i niechcący szarpię Brit za rękę, aż jęczy. Całuję ją w nadgarstek.

– Przepraszam, kochanie – mamroczę, po czym delikatnie rozczesuję jej włosy grzebieniem i wiążę w kucyk, jak umiem najładniej. Następnie wpycham jej stopy w czarne buciki, które nosi po domu, i prawie wlokę do samochodu.

Gdy docieramy do szpitala, jest półprzytomna.

– Nie zasypiaj – błagam, podpierając ją całym ciałem, kiedy wchodzimy do środka. – Dla Davisa.

Może to do niej dociera, bo gdy wzywają nas do gabinetu prawniczki, otwiera nieco szerzej oczy.

Carla Luongo jest Latynoską, tak jak wywnioskowałem z jej nazwiska. Siada na krześle i wskazuje nam kanapę. Zapowietrza ją na widok tatuażu, kiedy ściągam czapkę. I dobrze. Od razu wie, z kim zadziera.

Brit opiera się o mnie.

– Żona jeszcze się nie otrząsnęła – tłumaczę.

Prawniczka współczująco kiwa głową.

– Chciałabym zacząć od tego, że bardzo państwu współczuję.

Nie zniżam się do odpowiedzi.

– Na pewno mają państwo pytania – uzupełnia.

Nachylam się w jej stronę.

– Nie mam żadnych pytań. Wiem, co się stało. Ta czarna pielęgniarka zabiła mojego syna. Na własne oczy widziałem, jak waliła go w pierś. Mówiłem jej przełożonej, że ma nie zbliżać się do mojego dziecka, i co? Sprawdziły się moje najgorsze obawy.

– Na pewno państwo rozumieją, że pani Jefferson wykonywała tylko swoje obowiązki…

– Czyżby? I sprzeciwiła się nakazowi przełożonej? Przecież musiała widzieć kartę Davisa.

Prawniczka wstaje i sięga po kartę. Z boku wystają kolorowe naklejki, to na pewno kod dla wtajemniczonych. Zagląda do środka, z daleka widzę różową kartkę. Rozszerza nozdrza, ale nie mówi ani słowa.

– Ta pielęgniarka miała się do niego nie zbliżać – podkreślam. – A została z nim sama.

Carla Luongo przenosi na mnie wzrok.

– Skąd pan wie, panie Bauer?

– Bo wasz personel ma długie ozory. Mówiła, że zastępuje koleżankę, słyszałem. A dzień wcześniej narobiła hałasu, gdy poprosiłem o jej odsunięcie. I co? Wyżyła się na moim dziecku. Sam widziałem – dorzucam i łzy napływają mi do oczu. Wycieram je; czuję się jak idiota, jak mięczak. – Wie pani co? W sądzie inaczej zaśpiewacie. Zabiliście mojego syna i zapłacicie za to.

Tak naprawdę nie mam bladego pojęcia, jak działa system prawny; staram się unikać zatargu z glinami. Ale jeśli wierzyć ogłoszeniom z telewizji, skoro można domagać się odszkodowania za złapanie jakiegoś syfu od azbestu, skarga w naszej sytuacji jest całkowicie uzasadniona.

Jedną ręką łapię marynarkę, drugą ciągnę Brit w stronę wyjścia. Otwieram drzwi i słyszę za sobą głos prawniczki.

– Panie Bauer – mówi. – Dlaczego chce pan pozywać szpital?

– Pani sobie żartuje?

Robi krok naprzód, po czym delikatnie, ale stanowczo zamyka drzwi.

– Dlaczego chce pan pozywać szpital – powtarza – jeśli wszystko wskazuje na to, że to Ruth Jefferson zabiła państwa dziecko?

Jakiś rok po założeniu hartfordzkiego oddziału mieliśmy już stały dochód. Fałszowałem stany magazynowe i podprowadzałem z fabryki broń, którą sprzedawałem na lewo. Głównie czarnym, żeby się nawzajem pozabijali, poza tym płacili trzy razy więcej niż makaroniarze. Yorkey i ja kierowaliśmy operacją i któregoś razu wracaliśmy wieczorem do domu po dobiciu targu, kiedy znalazł się za mną wóz policyjny na sygnale.

Yorkey mało się nie zesrał ze strachu.

– Kurwa, stary! I co robimy?

– Stajemy – odpowiedziałem. Nie mieliśmy przy sobie żadnej kontrabandy. Powiedziałem, że wracamy z imprezy u kumpla. Ale gdy policjant kazał nam wysiąść z auta, Yorkey spocił się jak szczur. Miał minę zbitego psa, więc pewnie dlatego policja przeszukała wóz. Ja spokojnie czekałem, bo wiedziałem, że nie mam nic do ukrycia.

Yorkey nie mógł powiedzieć o sobie tego samego. Nasza wspólna transakcja nie była jedyną, którą tego dnia zawarł. Kiedy ja negocjowałem, Yorkey szarpnął się na ósemkę[7] mety.

Ale prochy były w moim schowku, więc ja za to beknąłem.

W pace obowiązuje hierarchia, którą rozumiałem, oparta na podziałach rasowych. Dostałem pół roku i postanowiłem spędzić każdą minutę na planowaniu zemsty. Yorkey ćpał przed przyłączeniem się do mojego oddziału, jak wszyscy skaterzy. Ale moi ludzie nie tykali dragów. I na pewno nie chomikowali ich w moim aucie.

W pierdlu rządzą czarne gangi, toteż biali i Latynosi są czasami zmuszeni połączyć siły. Ale grunt to pilnować własnego nosa i się nie wychylać; wiedziałem, że jeśli siedzi tam ktoś z naszych, prędzej czy później mnie znajdzie – miałem tylko nadzieję, że czarnuchy nie znajdą mnie pierwsi.

Zacząłem studiować Biblię. Potrzebowałem wiary w swoim życiu, bo miałem obrońcę z urzędu, a gdy masz obrońcę z urzędu, módl się lepiej, żeby Bóg ci sprzyjał. Ale nie wracałem do fragmentów Pisma, które już czytałem, gdy uczyłem się doktryn Chrześcijańskiej Tożsamości. Nie, zgłębiałem ustępy o cierpieniu, nadziei i zbawieniu.

Pościłem, bo mignęło mi coś na ten temat. I w czasie postu Bóg nakazał mi otoczyć się ludźmi takimi jak ja.

Tak więc następnego dnia udałem się na spotkanie więziennego kółka biblijnego.

I byłem tam jedynym białym.

Najpierw tylko się na siebie gapiliśmy. Potem prowadzący dał znak chłopakowi, który nie mógł być ode mnie dużo starszy, i ten zrobił miejsce obok siebie. Wzięliśmy się za ręce; jego dłoń była miękka, jak ręce mojego ojca przed laty. Nie mam pojęcia, skąd mi to strzeliło do głowy, lecz o tym właśnie myślałem, kiedy zaczęli „Ojcze nasz", i ani się obejrzałem, jak odmawiałem razem z nimi.

Codziennie chodziłem na te spotkania. Na koniec każdego czytania mówiliśmy „amen", a potem Duży Ike, który prowadził, pytał, kto ma jutro rozprawę. Zwykle ktoś mówił, że ma wstępne przesłuchanie albo że zeznaje policjant, który go aresztował, czy coś w tym stylu, na co Duży Ike odpowiadał: „Dobra, pomódlmy się, żeby ci nie nabruździł", i znajdował w Biblii stosowny fragment o odkupieniu grzechów.

Mój rówieśnik miał na imię Twinkie. Sporo gadaliśmy o laskach, że strasznie ich nam brakuje. Ale wierzcie lub nie, więcej rozmawialiśmy o żarciu, za którym tęsknimy. Ja dałbym się posiekać za Taco Bell, Twinkie marzył tylko o Chef Boyardee. Jakoś nie miało znaczenia, że jest czarny. Gdybym go spotkał na ulicy w Hartford, spuściłbym mu baty. Ale w pierdlu sprawa wyglądała inaczej. Razem oszukiwaliśmy, grając w karty, stosowaliśmy umówione znaki, bo nikt się nie spodziewał, że gość od Białej Supremacji i Murzyn mogą współpracować.

Raz siedziałem w świetlicy z grupą białych, kiedy w telewizji podano informację o strzelaninie. Spiker mówił o strzałach na oślep, podobno wiele osób oberwało przez przypadek.

– I dlatego gangi nie mają z nami szans – oznajmiłem. – Oni nie umieją strzelać, nie potrafią nawet trzymać gnata. Czarnuchy tak mają.

Twinkie nie siedział z nami, ale go widziałem. Prześliznął po mnie wzrokiem i wrócił do swoich zajęć. Później tego samego dnia graliśmy w karty o fajki i dałem mu znak, żeby zagrał karo, bo

mogłem wyjść w pika. Ale on rzucił treflem i przegraliśmy. Spojrzałem na niego, kiedy wychodziliśmy ze świetlicy.

– No co ty? Przecież dawałem ci znaki.

Odwzajemnił moje spojrzenie.

– Widać czarnuchy tak mają – skwitował.

„Cholera, chyba go uraziłem", pomyślałem. A potem: „I co z tego?".

Nie, żebym przestał używać tego słowa, ale za każdym razem, nim je wykrztusiłem, stawało mi w gardle jak ość.

***

Francis zjawia się w chwili, kiedy wystawiam nogę przez frontowe okno i wyrywam starą ramę z framugi, a na ganek sypią się drzazgi i szkło. Staje z założonymi rękami i unosi brwi.

– Parapet zbutwiał – tłumaczę. – Nie miałem łomu.

Przez dziurę w ścianie wpada chłodny podmuch. To przyjemne uczucie, bo cały płonę.

– Zatem to nie ma nic wspólnego z twoim spotkaniem. – Ton Francisa wskazuje, że jest wręcz przeciwnie. Ostatnie pół godziny spędziłem na posterunku. Pojechałem tam zaraz po odwiezieniu Brit, która wpełzła z powrotem do łóżka.

W zasadzie trudno to nazwać spotkaniem. Po prostu usiadłem naprzeciw tłustego gliniarza o nazwisku MacDougall, który przyjął moją skargę na Ruth Jefferson.

– Obiecał, że się tym zajmie – mamroczę. – Co znaczy, że więcej się nie odezwie.

– Co mu powiedziałeś?

– Że ta suka zabiła mojego syna.

MacDougall nie wiedział o zajściu w szpitalu, więc musiałem mu wszystko opowiedzieć. Zapytał, czego od niego oczekuję, choć to przecież było jasne.

– Chcę pochować syna – oznajmiłem. – A ona ma zapłacić za to, co zrobiła.

Spytał, czy przypadkiem nie daję się ponieść rozpaczy. Może mi się przywidziało.

– To nie była reanimacja – zaznaczyłem. – Ona robiła mu krzywdę. Nawet lekarz kazał jej wyluzować.

Dodałem, że miała coś do mnie. Gliniarz natychmiast zerknął na mój tatuaż.

– Co pan powie – odmruknął.

– To zasrana zbrodnia na tle nienawiści rasowej – mówię Francisowi. – Ale broń Boże, żeby biały walczył o swoje, chociaż jesteśmy teraz mniejszością.

Teść staje obok mnie i wyrywa gołymi rękami kawał blachy.

– Rzucasz grochem o ścianę, Turk – oświadcza.

Może od lat nie przemawiał publicznie w temacie Białej Supremacji, ale ja wiem, że w magazynie niespełna pięć kilometrów stąd gromadzi broń na świętą wojnę rasową.

– Mam nadzieję, że zamierzasz to załatać – dodaje, a ja udaję, że nie mówi o oknie.

W tej samej chwili dzwoni moja komórka. Wyławiam ją z kieszeni.

– Słucham?

– Pan Bauer? Mówi sierżant MacDougall. Rozmawialiśmy niedawno.

Chwytam mocniej telefon i się odwracam, odgradzam murem.

– Chciałem panu powiedzieć, że rozmawiałem ze szpitalnym prawnikiem i lekarzem sądowym. Carla Luongo potwierdziła pańską wersję. Lekarz poinformował mnie, że pański syn umarł z powodu wstrząsu hipoglikemicznego, który doprowadził do zatrzymania oddechu, a następnie akcji serca.

– Co to znaczy?

– Szpital otrzymał akt zgonu – oświadcza. – Mogą państwo pochować syna.

Przymykam oczy i na chwilę brak mi słów.

– Dobrze – wykrztuszam w końcu.

– Jeszcze jedno, panie Bauer – dorzuca MacDougall. – Lekarz sądowy potwierdził, że syn miał siniaki na żebrach.

Cała moja przyszłość wisi na oddechu między tym zdaniem i następnym.

– Istnieją dowody mogące świadczyć o winie Ruth Jefferson. I rasistowskich przesłankach – mówi MacDougall. – Składam wniosek do prokuratora.

– Dziękuję panu – odpowiadam szorstko i się rozłączam. Potem kolana uginają się pode mną i padam ciężko przed zniszczonym parapetem. Czuję rękę Francisa na ramieniu. Mimo dopływu powietrza nie mogę złapać oddechu.

– Przykro mi, Turk. – Francis błędnie odczytuje moją reakcję.

– Niepotrzebnie. – Wstaję i biegnę do zaciemnionej sypialni, gdzie Brit hibernuje pod pierzyną. Rozsuwam zasłony i słońce zalewa pokój. Patrzę, jak Brit przewraca się na bok, wzdryga i mruży oczy. Biorę ją za rękę.

Nie oddam jej naszego dziecka. Ale mogę jej dać coś innego.

Sprawiedliwość.

Kiedy ja planowałem zemstę w więzieniu, Yorkey też nie próżnował. Spiknął się z grupą motocyklistów zwanych Poganami, bandą zadymiarzy i ćpunów jego pokroju. Przyjęli go z otwartymi ramionami, bo dzięki niemu mogli dorwać przywódcę hartfordzkich NADS. Akceptacja grupy rządzi się swoimi prawami.

Pierwszego dnia po wyjściu z mamra próbowałem skrzyknąć swoich ludzi, ale wiedzieli, co się kroi, i każdy miał wymówkę.

– Wszystko dla was poświęciłem – nie wytrzymałem, kiedy nawet najbardziej zagorzali pozostali głusi na moje argumenty. – I tak mi odpłacacie?

Ale nie mogłem dopuścić, aby pomyśleli, że w więzieniu zdziadziałem. Dlatego wieczorem poszedłem do pizzerii, gdzie się dawniej zbieraliśmy, i poczekałem na warkot kilkunastu parkujących motorów. Zdjąłem kurtkę, strzeliłem palcami i wyszedłem w uliczkę za lokalem.

Yorkey, ta gnida, schował się za rozłożystymi plecami kolegów. Poważnie mówię, najmniejszy Poganin miał ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu i ważył dobre sto trzydzieści kilo.

Może byłem drobniejszy, ale za to szybki jak błyskawica. I żaden z tych gości nie zaznał musztry mojego dziadka.

Żeby opowiedzieć wam, co wtedy zaszło, muszę polegać na tym, co usłyszałem od innych. Podobno rzuciłem się jak wariat na największego drągala i tak mu przywaliłem prosto w ryj, że stracił

wszystkie przednie zęby. Innego zwaliłem z nóg i cisnąłem w pozostałych jak kulą armatnią, a kolejnego tak kopnąłem w nery, że ponoć miesiąc sikał na czerwono. Powiadają, że chodnik spłynął krwią.

Nie miałem do stracenia nic prócz swojej reputacji, a taka amunicja wystarczy do rozpętania wojny. Następnego dnia ocknąłem się w pizzerii ze spuchniętym okiem i okładem z lodu na złamanej ręce.

Nic nie pamiętam, lecz wieść poszła w świat. Nic nie pamiętam, ale ponownie stałem się legendą.

W dniu pogrzebu mojego syna świeci słońce. Wiatr wieje z zachodu, ostry jak brzytwa. Stoję przed malutką dziurą w ziemi.

Nie wiem, kto to wszystko zorganizował. Ktoś musiał załatwić miejsce na cmentarzu, zawiadomić ludzi. Pewnie Francis, który stoi teraz przed maleńką trumną i czyta fragment z Pisma Świętego.

– „O tego chłopca się modliłam, i spełnił Pan prośbę, którą do Niego zanosiłam. Oto ja oddaję go Panu. Po wszystkie dni, jak długo będzie żył, zostaje oddany na własność Panu. I oddali tam pokłon Panu”[8].

Przyszły chłopaki z naszej ekipy remontowej oraz grupa znajomych Brit z Ruchu. Wielu ludzi nie znam, zjawili się z szacunku dla Francisa. Wśród nich jest Tom Metzger, założyciel Białego Ruchu Oporu. Ma siedemdziesiąt osiem lat i podobnie jak Francis działa w pojedynkę.

Gdy Brit zaczyna szlochać w czasie czytania psalmu, chcę ją przytulić, ale się wyrywa. Odwraca się do Metzgera, którego nazywała w dzieciństwie wujkiem Tommym. Otacza ją ramieniem, a ja próbuję to jakoś przełknąć.

Słyszałem dziś wiele frazesów: „poszedł w lepsze miejsce”; „jest poległym żołnierzem”; „czas leczy rany”. Nikt mi nie mówił, że człowiek pogrążony w bólu jest sam jak palec. Nieważne, kto jeszcze jest w żałobie; każdy siedzi sam w swojej ciasnej celi. Nawet gdy ludzie silą się na słowa otuchy, odgradza cię od nich mur tego strasznego wydarzenia. Wbrew temu, co myślałem, ze mną i Brit jest tak samo, ledwo może na mnie patrzeć. Zastanawiam się, czy z tego

samego powodu, z jakiego ja unikałem Brit: bo patrzyłem jej w oczy i widziałem w nich oczy Davisa, mieli też identyczny dołeczek w brodzie. Ta, która niegdyś była wszystkim, czego pragnąłem, stała się dręczącym wspomnieniem wszystkiego, co straciłem.

Skupiam uwagę na trumience spuszczanej do grobu. Wytrzeszczam oczy, bo tylko tak powstrzymam łzy i nie wyjdę na mazgaja.

Sporządzam w głowie listę rzeczy, których nigdy nie zrobię z synem. Nigdy nie zobaczę jego pierwszego uśmiechu. Nie ubierzemy razem choinki. Nie kupię mu wiatrówki. Nie doradzę, jak poderwać dziewczynę. Kamienie milowe, które dla mnie przestały być osiągalne.

Naraz Francis staje przede mną z łopatą. Z trudem przełykam ślinę, biorę szpadel i sypię pierwszy, po czym wbijam łopatę w ziemię. Tom Metzger pomaga Brit, ręce jej dygoczą.

Wiem, że powinienem tam stać, dopóki reszta nie pomoże zasypać trumny. Ale mam ochotę skoczyć w ślad za nią do tej dziury w ziemi. Zgarniać piasek gołymi rękami. Otworzyć wieko i ratować syna. Opanowuję się z takim trudem, że cały aż dygoczę z wysiłku.

A potem dzieje się coś, co rozprasza napięcie, przekręca zawór bezpieczeństwa i para, którą mam w środku, znika. Brit wsuwa rękę w moją dłoń. Oczy ma wciąż puste po lekach i z bólu, ciało odwrócone w przeciwną stronę, ale zrobiła pierwszy krok. Bo mnie potrzebuje.

I po raz pierwszy od tygodnia myślę, że może nam się uda.

***

Kiedy Francis Mitchum cię wzywa, idziesz bez szemrania.

Po incydencie z Poganami dostałem odręcznie napisany liścik od Francisa z informacją, że słyszał plotki i chciałby je zweryfikować. Zaprosił mnie na spotkanie w najbliższą sobotę w New Haven i dołączył adres. Ku swojemu zaskoczeniu znalazłem się w sercu osiedla mieszkaniowego, ale na widok zaparkowanych samochodów doszedłem do wniosku, że to zlot jego oddziału. Kiedy zadzwoniłem

do drzwi, nikt mi nie otworzył, ale z ogrodu dobiegał hałas, więc okrążyłem dom i wszedłem przez otwartą furtkę.

Prawie natychmiast obległa mnie chmara dzieciaków. Na oko miały około pięciu lat; nie, żebym miał doświadczenie z ludźmi w tym wieku. Pędziły w stronę kobiety z kijem baseballowym, która próbowała ustawić rozbrykane stadko w coś na kształt szeregu.

– To moje urodziny! – zawołał jeden chłopczyk. – Ja pierwszy! – Chwycił kij i zamachnął się na piniatę: czarnucha z masy papierowej na stryczku.

Cóż, przynajmniej wiedziałem, że trafiłem we właściwe miejsce.

Zwróciłem się w przeciwną stronę i stanąłem twarzą w twarz z dziewczyną z gwiazdkami w rękach. Miała długie, kręcone włosy, w życiu nie widziałem takich bladoniebieskich oczu.

Nie raz mnie trafiało, ale nigdy w ten sposób. Zapomniałem języka w gębie.

– Hm – powiedziała. – Jesteś trochę za stary na zabawę, ale możesz spróbować, jeśli masz ochotę.

Gapiłem się na nią jak cielę na malowane wrota, aż w końcu załapałem, że mówi o przyklejonym do ściany plakacie przedstawiającym profil z haczykowatym nosem. Owszem, chciałem się bawić, ale niekoniecznie w Przypnij Gwiazdę Żydowi.

– Szukam Francisa Mitchuma – wydukałem. – Miałem się tu z nim spotkać.

Spojrzała na mnie z uwagą.

– Ty pewnie jesteś Turk – stwierdziła. – Czeka na ciebie. – Obróciła się na pięcie i weszła do domu z wdziękiem osoby, za którą wszyscy chodzą jak na sznurku.

Minęliśmy kuchnię, a w niej kilka kobiet, które śmigały jak prażona kukurydza w rozgrzanym garnku i przerzucały się poleceniami: „Weźcie talerze! Nie zapomnijcie o lodach!”. W środku było więcej dzieci, ale starszych, jedenasto-, dwunastolatków, jak się domyśliłem, bo przypominały mnie jeszcze nie tak dawno, zafascynowane człowiekiem, który stał przed nimi. Francis Mitchum był niższy, niż zapamiętałem, ale ostatnio widziałem go na scenie. Miał zaczesane do tyłu gęste, siwe włosy i dawał wykład na temat Tożsamości Chrześcijańskiej.

– Wąż – tłumaczył – uprawiał seks z Ewą.

Dzieciaki łypnęły po sobie na dźwięk słowa „seks”, jakby użycie go tak mimochodem otwierało im wrota do dorosłości.

– Bo dlaczego Bóg zabroniłby jej zjeść jabłko? Mieszkali w sadzie, na litość boską. Jabłko to symbol, a upadkiem człowieka jest stosunek. Szatan przychodzi do Ewy pod postacią węża, dziewczyna robi skok w bok i zachodzi w ciążę. Ale potem wraca do Adama i robi to samo z nim. Rodzi Kaina, który przychodzi na świat z piętnem szatana, sześćset sześćdziesiąt sześć, gwiazdą Dawida. Zgadza się, Kain jest pierwszym Żydem. Lecz Ewa rodzi również Abla, syna Adama. I Kain z zazdrości zabija Abla, ponieważ jest nasieniem Szatana.

– Wierzysz w te bzdety? – spytała piękna dziewczyna stojąca obok mnie. Głos nawet jej nie drgnął, jakby coś kombinowała.

Niektórzy wyznawcy Białej Supremacji wierzyli w Chrześcijańską Tożsamość, inni nie. Raine wierzył. Francis tak samo. I ja. Wierzyliśmy, że jesteśmy prawdziwym Domem Izraela, wybrańcami Boga. Żydzi są uzurpatorami i zostaną zmieceni w czasie wojny rasowej.

Wyszczerzyłem zęby.

– Kiedy byłem w ich wieku, z głodu gwizdnąłem hot doga na stacji benzynowej. Miałem w nosie kradzież, ale dwa tygodnie żyłem w strachu, że Bóg ukarze mnie za zjedzenie wieprzowiny.

Kiedy napotkała mój wzrok, powietrze między nami zaiskrzyło, jakby zaraz miało dojść do wybuchu.

– Tatusiu – oznajmiła. – Masz gościa.

„Tatusiu”?

Francis Mitchum oderwał wzrok od młodych słuchaczy, którzy zwrócili się w moją stronę.

Wyminął ich i klepnął mnie w ramię.

– Turk Bauer. Dobrze, że przyszedłeś.

– To zaszczyt, że zostałem zaproszony – odpowiedziałem.

– Widzę, że Brittany już poznałeś – stwierdził Francis.

Brittany.

– Nieoficjalnie. – Wyciągnąłem rękę. – Cześć.

– Cześć – odpowiedziała Brit ze śmiechem. Odrobinę za długo przytrzymała moją dłoń, ale nikt nie zauważył.

Oprócz Mitchuma, któremu – jak sądziłem – niewiele rzeczy umykało.

– Przejdziemy się? – zaproponował i wyszliśmy razem na podwórko.

Pogadaliśmy o pogodzie (wiosna przyszła późno) i trasie z Hartford do New Haven (za dużo robót drogowych na I-91S). Kiedy dotarliśmy do rogu, niedaleko jabłoni, Mitchum usiadł na ławce ogrodowej i wskazał mi miejsce obok siebie. Mieliśmy stamtąd dobry widok na zabawę z piniatą. Jubilat znowu dorwał się do kija baseballowego, ale cukierki jeszcze się nie posypały.

– To mój chrześniak – oznajmił Mitchum.

– Właśnie się zastanawiałem, dlaczego zaprosił mnie pan na kinderbal.

– Lubię rozmawiać z przyszłym pokoleniem – przyznał. – Dzięki temu nadal czuję się potrzebny.

Kiwnąłem głową. Nie byłem pewien, po co chciał się ze mną spotkać.

– Podobno twój brat zginął przez czarnucha – podjął. – A ojciec jest pedałem…

Poderwałem głowę, twarz mi płonęła.

– Nie jest już moim ojcem.

– Spokojnie, młody. Nie wybieramy sobie rodziców. Liczy się to, jaki mamy do nich stosunek. – Spojrzał na mnie. – Kiedy go ostatnio widziałeś?

– Gdy spuszczałem mu baty.

Znowu poczułem się egzaminowany i chyba udzieliłem poprawnej odpowiedzi, bo Mitchum mówił dalej.

– Skrzyknąłeś własną ekipę i wieść niesie, że na wschodnim wybrzeżu ze świecą szukać drugiego z takim okiem do narybku. Poszedłeś siedzieć za swojego zastępcę i zaraz po wyjściu nauczyłeś go moresu.

– Zrobiłem, co trzeba.

– No cóż – odpowiedział Mitchum. – W dzisiejszych czasach niewielu jest takich. Myślałem, że honor jest na wymarciu.

W tej samej chwili jeden z małych chłopców rozwalił piniatę i zawartość posypała się na trawę. Dzieci rzuciły się na słodycze jak sępy, zbierały je pełnymi garściami.

Matka jubilata wyszła z kuchni z półmiskiem lukrowanych babeczek.

– Sto lat, sto lat! – zaczęła śpiewać i towarzystwo stłoczyło się przy piknikowym stole.

Brittany wyszła na ganek. Miała niebieskie palce od lukru.

– Kiedy miałem swój oddział – ciągnął Mitchum – żaden z członków nie splamiłby się prochami. A dzisiaj, na miłość boską, aryjskie chłopaki robią prochy z Indiańcami w rezerwatach, gdzie nie mogą ich dorwać federalni.

„Niech żyje, żyje nam!".

– Łączą siły przeciw wspólnym wrogom, Meksykanom i czarnym – odparłem. – Nie bronię ich, ale rozumiem, skąd się biorą takie zdumiewające sojusze.

„Sto lat, sto lat!".

Mitchum zmrużył oczy.

– Zdumiewające sojusze – powtórzył. – Na przykład starzec z doświadczeniem… i smarkacz z największymi jajami, jakie widziałem. Facet, który zna dawne pokolenie białych i który mógłby poprowadzić następne. Chłopak, który dorastał na ulicy… i jest za pan brat z technicznymi nowinkami. To dopiero byłby sojusz.

„Nieeech żyyyyje naaam!".

Brit na drugim końcu podwórka podchwyciła mój wzrok i spiekła raka.

– Zamieniam się w słuch – odpowiedziałem.

***

Po pogrzebie wszyscy wracają do domu. Są ciasta, zapiekanki oraz półmiski z kanapkami, ale nie biorę nic do ust. Ludzie prześcigają się w składaniu kondolencji, jakby sytuacja ich dotyczyła. Francis i Tom siedzą na werandzie, na której wciąż wala się szkło z wyłamanego okna, i piją whisky przyniesione przez Toma.

Brit siedzi na kanapie jak środek kwiatu, otoczona płatkami koleżanek. Kiedy ktoś mniej znany podchodzi za blisko, zamykają się wokół niej. W końcu wychodzą, mówiąc „Dzwoń w razie potrzeby" i „Z każdym dniem będzie łatwiej". Innymi słowy, kłamią jak z nut.

Odprowadzam ostatniego gościa, gdy podjeżdża samochód. Drzwiczki się otwierają i wychodzi MacDougall, gliniarz, który przyjął moją skargę. Podchodzi do schodów, na których stoję z rękami w kieszeniach.

– Jeszcze nie mam dla pana żadnych informacji – mówi prosto z mostu. – Przyszedłem złożyć kondolencje.

Czuję, że Brit staje za mną jak cień.

– Kochanie, to policjant, który nam pomoże.

– Kiedy? – pyta Brit.

– Na takie rzeczy trzeba czasu, proszę pani…

– Takie rzeczy – powtarza Brit. – Takie rzeczy. – Przechodzi obok mnie i staje na wprost gliniarza. – Mój syn nie jest rzeczą. Nie był – poprawia, głos ją zawodzi. – Nie był rzeczą.

Następnie obraca się na pięcie i znika w czeluści domu. Patrzę na gliniarza.

– To był ciężki dzień.

– Rozumiem. Gdy tylko prokurator da mi znać, za…

Ale nie kończy zdania, bo przerywa mu huk za moimi plecami.

– Muszę iść – mówię i nie czekając na odpowiedź, zatrzaskuję mu drzwi przed nosem.

Nim docieram do kuchni, rozlega się kolejny łoskot. Gdy wchodzę, zapiekanka przelatuje mi przed nosem i trafia w ścianę.

– Brit! – wołam, a ona rzuca we mnie szklanką. Obrywam w czoło i gwiazdy stają mi przed oczami.

– I to ma poprawić mi humor?! – wrzeszczy Brit. – Kurwa, jak ja nie znoszę makaronu z serem.

– Kochanie. – Łapię ją za barki. – Po prostu są mili.

– Na cholerę? – pyta, łzy płyną jej po twarzy. – Nie chcę ich litości. Chcę tylko dorwać sukę, która zabiła moje dziecko.

Otaczam ją ramionami, chociaż stoi sztywna jak kłoda.

– To jeszcze nie koniec.

Odpycha mnie tak mocno i niespodziewanie, że zataczam się w tył.

– Szkoda – syczy z takim jadem w głosie, że zamieram. – Byłoby po wszystkim, gdybyś był prawdziwym facetem.

Mięsień drga mi w twarzy i zaciskam pięści, ale nie reaguję. Francis, który zjawił się w którymś momencie, podchodzi od tyłu do Brit i obejmuje ją w pasie.

– Chodź, kurczaczku. Idziemy na górę. – I wyprowadza ją z kuchni.

Wiem, co chciała przez to powiedzieć: jaki ze mnie żołnierz, jeśli walczę zza klawiatury komputera. Fakt, to Francis wymyślił zejście do podziemia, i było to genialne, przebiegłe posunięcie – ale Brit ma rację. Między natychmiastową satysfakcją a spóźnioną dumą z siania strachu przez internet jest ogromna różnica.

Łapię kluczyki samochodowe i po chwili jadę przez śródmieście, w pobliżu torów kolejowych. Na ułamek sekundy nachodzi mnie myśl o znalezieniu adresu czarnej pielęgniarki. Mam na to sposoby, uwinąłbym się w niespełna dwie minuty.

Tyle samo zabrałoby policji aresztowanie mnie, gdyby włos spadł jej z głowy.

Zamiast tego parkuję pod mostem kolejowym i wysiadam z auta. Serce mi wali, adrenalina pulsuje w żyłach. Tak długo trzymałem się w ryzach, że zapomniałem, jaki to odlot; nie daje tego alkohol, sport ani nawet motyle w brzuchu.

Pierwsza osoba, na którą natykam się na swojej drodze, jest nieprzytomna. Bezdomny, schlany albo naćpany, a może po prostu śpi na kartonach pod górą toreb foliowych. Nawet nie jest czarny. Po prostu… łatwy.

Gdy chwytam go za gardło, przechodzi z jednego koszmaru w drugi.

– I na co się gapisz?! – wrzeszczę mu w twarz, choć przygwoździłem go tak, że nie ma innego wyjścia, jak patrzeć na mnie. – Masz, kurwa, problem?

Walę go głową w usta i wybijam mu zęby. Rzucam go na chodnik i słyszę miły trzask, kiedy wali czaszką w asfalt.

Z każdym ciosem łatwiej mi się oddycha. Od lat tego nie robiłem, ale czuję, jakby to było wczoraj – pięści wiedzą, co robić. Kiedy z nim skończę, nikt go nie rozpozna, bo tylko tak mogę sobie przypomnieć, kim jestem naprawdę.

5 Amerykański ruch społeczny o programie konserwatywno-libertariańskim.

6 Organizacja przyjmująca używane meble, odzież i artykuły gospodarstwa domowego, a następnie sprzedająca je po niskich cenach i przekazująca dochód na programy charytatywne.

7 3,5 g metamfetaminy.

8 Księga Samuela 1:27, Biblia Tysiąclecia.

Ruth

Pielęgniarki wiedzą najlepiej, że życie toczy się dalej. Bywają lepsze i gorsze dni. Pacjentki, które zostają w pamięci, i takie, o których chcesz jak najszybciej zapomnieć. Lecz zawsze kolejna kobieta, która ma skurcze lub właśnie rodzi, pcha cię naprzód, i przychodzą na świat kolejne maleńkie istoty ludzkie, które nie napisały jeszcze pierwszego zdania swojego życiorysu. Proces narodzin toczy się tak nieprzerwanie, że chwila refleksji bywa dla mnie zaskoczeniem – na przykład gdy dziecko, któremu pomogłam przyjść na świat, zdawałoby się nie dalej jak wczoraj, nagle wraca jako moja pacjentka, która rodzi. Albo kiedy dzwoni telefon i szpitalna prawniczka zaprasza mnie na rozmowę.

Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek rozmawiałam z Carlą Luongo. Chyba nawet nie wiedziałam, że szpitalna prawniczka – przepraszam, przedstawicielka do spraw zarządzania ryzykiem – nazywa się Carla Luongo. No ale też nigdy nie byłam w tarapatach. Nigdy nie stanowiłam ryzyka, którym trzeba zarządzać.

Minęły dwa tygodnie od śmierci Davisa Bauera – czternaście dni chodzenia do pracy i wykonywania swoich obowiązków. Ale co ważniejsze, czternaście dni nagłego przebudzenia i przeżywania na nowo nie tyle śmierci dziecka, ile wydarzeń, które rozegrały się chwilę wcześniej. Odgrywania ich w zwolnionym tempie, przewijania i wygładzania, dopóki sama nie zaczynam wierzyć w to, co sobie wmawiam. Co wmawiam innym.

I co mówię Carli Luongo, kiedy dzwoni.

– Chętnie się z panią spotkam – zapewniam, podczas gdy naprawdę myślę sobie: „Czy mam kłopoty?”.

– Świetnie – odpowiada. – Może o dziesiątej?

Zaczynam dziś zmianę o jedenastej, więc odpowiadam, że mi pasuje. Właśnie zapisuję sobie, na którym piętrze ma gabinet, kiedy Edison wchodzi do kuchni. Otwiera lodówkę i wyciąga sok pomarańczowy. Wygląda, jakby chciał się napić z butelki, ale unoszę brew i zmienia zdanie.

– Ruth? – W słuchawce rozlega się głos Carli Luongo. – Jest pani tam?

– Tak. Przepraszam.

– A zatem widzimy się o dziesiątej?

– Do zobaczenia – odpowiadam dziarskim tonem i się rozłączam.

Edison siada i nasypuje sobie płatki do miski.

– Rozmawiałaś z kimś białym?

– A cóż to za pytanie?

Wzrusza ramionami i zalewa płatki mlekiem, plącząc odpowiedź z łyżką, którą wkłada do ust.

– Głos ci się zmienia.

Carli Luongo poszło oczko w rajstopach. Powinnam myśleć o wielu innych sprawach, łącznie z tym, dlaczego mnie tu wezwano, ale skupiam się na tym oczku i myślę, że gdyby była kimś innym – kimś, kogo uważam za przyjaciela – szepnęłabym słówko, aby jej oszczędzić zakłopotania.

Ale chociaż powtarza mi na okrągło, że jest po mojej stronie (jakiej znowu stronie?) i że to tylko formalność, jakoś nie chce mi się w to wierzyć.

Od dwudziestu minut opowiadam jej ze szczegółami, w jaki sposób znalazłam się sama z dzieckiem Bauerów.

– A więc zabroniono pani dotykać dziecka? – powtarza prawniczka.

– Tak – powtarzam po raz dwudziesty.

– I dotknęła go pani dopiero… jak to pani ujęła? – Pstryka długopisem.

– Dopiero na polecenie Marie, oddziałowej.

– Co powiedziała?

– Kazała mi zacząć uciskać. – Wzdycham. – Przecież już to pani zapisała. Nie mam nic do dodania. I zaraz zaczynam zmianę.

Skończyłyśmy?

Prawniczka nachyla się i opiera łokcie na kolanach.

– Czy miała pani do czynienia z rodzicami dziecka?

– Przelotnie. Zanim odsunięto mnie od opieki nad ich synem.

– Była pani zła?

– Słucham?

– Czy była pani zła? W końcu pozostawiono dziecko pod pani opieką, a miała pani się do niego nie zbliżać.

– Brakowało rąk do pracy. Wiedziałam, że Marie albo Corinne zaraz mnie zmienią – mówię i uświadamiam sobie, że nie odpowiedziałam na pytanie. – Nie byłam zła.

– A jednak doktor Atkins wspomniała o pani bezceremonialnym komentarzu na temat wysterylizowania dziecka – zauważa prawniczka.

Szczęka mi opada.

– Rozmawiała pani z pediatrą?

– Muszę mieć pełne rozeznanie – kwituje.

Patrzę na nią.

– Ci rodzice najwyraźniej uważają mnie za trędowatą – mówię. – To był tylko głupi żart. – Który nie miałby znaczenia, gdyby nie cała reszta. Gdyby. Gdyby. Gdyby.

– Pilnowała pani Davisa Bauera? Czy w ogóle pani patrzyła na niego?

Waham się i w tym ułamku sekundy nachodzi mnie poczucie, że zawsze będę wracać myślą do tamtej chwili, dopóki jej tak nie wygładzę, aż zatrą się wszystkie nierówności, wgłębienia i szczegóły. Nie mogę powiedzieć prawniczce, że postąpiłam wbrew poleceniu Marie, bo mnie wyrzucą. Ale nie powiem też, że próbowałam reanimować dziecko, bo nagle ten zakaz wydaje się zasadny.

Ponieważ dotknęłam chłopca i umarł.

– Nic mu nie dolegało – starannie dobieram słowa. – A potem usłyszałam, jak łapie powietrze.

– I co pani zrobiła?

Patrzę na nią.

– Postąpiłam zgodnie z zaleceniem. Kazano mi nic nie robić – mówię Carli Luongo. – I tak się stało. – Dorzucam po chwili wahania:

– Wie pani co, inna pielęgniarka na moim miejscu mogłaby uznać tę adnotację w karcie dziecka za przejaw… uprzedzeń.

Wie, co sugeruję: mogłabym pozwać szpital za dyskryminację. A przynajmniej chcę, żeby tak myślała, podczas gdy w istocie nie miałabym pieniędzy na adwokata i ryzykowałabym utratę przyjaciół oraz pracy.

– Oczywiście – mówi gładko Carla – nie życzylibyśmy sobie takiego gracza w naszym zespole. – Innymi słowy: „tylko bez pogróżek, bo się pożegnasz z robotą". Zapisuje coś w notesie w czarnej, skórzanej oprawie i wstaje. – Dziękuję za poświęcony czas.

– Nie ma sprawy. Wie pani, gdzie mnie szukać.

– O tak – odpowiada, i przez całą drogę na porodówkę nie mogę otrząsnąć się z poczucia, że jej ostatnie słowa nie wróżą nic dobrego.

Ale po powrocie na oddział nie mam czasu na rozważania. Ledwo wychodzę z windy, a Marie z ulgą łapie mnie za łokieć.

– Ruth – mówi. – Poznaj Virginię. Virginio, to jest Ruth, jedna z naszych najbardziej doświadczonych położnych.

Widzę, że patrzy niespokojnie na łóżko, na którym chyba wiozą pacjentkę na cesarkę. Nie musi nic mówić.

– Virginio – mówię gładko – Marie jest bardzo zajęta, więc może pójdziesz ze mną?

Marie dziękuje mi bezgłośnie i biegnie w ślad za łóżkiem.

– Niekonwencjonalna praktykantka? – zwracam się do Virginii.

W przeciwieństwie do uczennic o dziecinnych twarzach, jakich zawsze tu pełno, Virginia jest po trzydziestce.

– Późno zaczęłam – tłumaczy. – Albo wcześnie, zależy od punktu widzenia. Młodo urodziłam dzieci i czekałam, aż się usamodzielnią, zanim rozpocznę pracę zawodową. Pewnie myślisz, że zwariowałam, żeby na stare lata bawić się w studentkę.

– Lepiej późno niż wcale – odpowiadam. – Poza tym macierzyństwo powinno się liczyć jako przygotowanie do zawodu, nie uważasz?

Łapię pielęgniarkę, która kończy dyżur i przekazuje mi dwie sale: cukrzycową CIPI, która o piątej nad ranem urodziła siłami natury w czterdziestym pierwszym tygodniu, dziecko na cukrach co trzy

przez dobę, i CIIPI, trzydziesty ósmy tydzień i dwa dni, która właśnie rodzi.

– Czarna magia – mówi Virginia.

– Skróty dla ułatwienia – kwituję ze śmiechem. – Przyzwyczaisz się. Ale ci przetłumaczę: przejmujemy dwie sale. W jednej leży mama z cukrzycą ciążową; urodziła dziś rano, dziecku trzeba podawać cukier co trzy godziny. W drugiej rodzi kobieta, która już ma jedno dziecko – dodaję. – Przynajmniej już to robiła. Chodźmy.

Wchodzę do drugiej sali.

– Dzień dobry, pani Braunstein – mówię do pacjentki, która kurczowo ściska rękę partnera. – Miło znów panią gościć. Mam na imię Ruth, a to jest Virginia. Virginio, pan Braunstein chyba powinien usiąść, czy mogłabyś przysunąć mu krzesło? – Robię wstępne rozeznanie, zwracając się do niej opanowanym tonem. – Dobrze pani idzie.

– Pozory mylą – cedzi kobieta.

– Coś wymyślimy – zapewniam.

Pani Braunstein zwraca się do Virginii.

– Chcę rodzić w wodzie. Ustaliłam to z moim ginekologiem.

Virginia niepewnie kiwa głową.

– Dobrze.

– Zrobimy KTG i jeśli nie będzie przeciwwskazań, na pewno wsadzimy panią do wanny – obiecuję.

– I nie chcemy obrzezania, jeśli będzie chłopiec – dodaje pani Braunstein. – Urządzimy brit mila[9].

– Oczywiście – odpowiadam. – Zaznaczę w karcie.

– Jestem przekonana, że mam rozwarcie na sześć centymetrów – oświadcza. – Przy Elim właśnie wtedy zwymiotowałam, a zaczynam mieć mdłości…

Sięgam po emaliowaną nerkę i podaję Virginii.

– Sprawdźmy, jak wygląda sytuacja – proponuję, po czym wkładam lateksowe rękawiczki i unoszę prześcieradło w nogach łóżka.

Pani Braunstein odwraca się do Virginii.

– Myśli pani, że to dobry pomysł?

– Uhm. – Virginia patrzy na mnie wyczekująco. – Taaak?

Opuszczam prześcieradło.

– Pani Braunstein – mówię. – Virginia jest praktykantką. Ja pracuję w tej branży od dwudziestu lat. Jeśli pani sobie życzy, na pewno z ochotą sprawdzi pani rozwarcie. Jeśli jednak woli pani jak najszybciej mieć to za sobą, proszę zdać się na mnie.

– Och! – Pacjentka robi się czerwona jak burak. – Myślałam tylko…

„Że Virginia tu rządzi". Bo wprawdzie jest młodsza ode mnie o dziesięć lat, ale biała.

Wydycham powietrze, tak jak uczę tego przyszłe matki, i – podobnie jak one – wypuszczam z tym oddechem frustrację. Lekko kładę rękę na kolanie pani Braunstein i uśmiecham się profesjonalnie.

– No to rodzimy – mówię.

Moja mama nadal pracuje dla Miny Hallowell w domu z brązowego kamienia przy Upper West Side. Pomaga jej od śmierci pana Sama. Christina, córka pani Miny, mieszka niedaleko, ale ma własne życie. Syn Louis mieszka w Londynie z mężem, reżyserem z West Endu. Zapewne jestem jedyną osobą, która uważa za ironię losu, że mama pomaga osobie trzy lata od siebie młodszej, jednak ilekroć poruszam temat emerytury, zbywa mnie odpowiedzią, że Hallowellowie jej potrzebują. Zaryzykowałabym stwierdzenie, że ona tak samo potrzebuje Hallowellów, choćby po to, aby czuć się potrzebną.

Ma wolne tylko w niedziele, a ponieważ odsypiam wtedy sobotnią zmianę, na ogół odwiedzam ją w pracy. Nie chodzę tam zbyt często. Wmawiam sobie, że mam Edisona, pracę i tysiąc innych wymówek, ale tak naprawdę coś we mnie umiera, kiedy widzę mamę w bezkształtnym niebieskim mundurku, przepasaną białym fartuchem. Można by się spodziewać, że po tylu latach pani Mina każe jej ubierać się normalnie, ale gdzie tam. I może dlatego za każdym razem wybieram główne drzwi od frontu, gdzie siedzi portier, zamiast windy dla służby na tyłach budynku. Czerpię przewrotne zadowolenie z faktu, że zostanę zapowiedziana jak każdy inny gość, a nazwisko córki pokojówki zapiszą w rejestrze.

Mama otwiera drzwi i mocno mnie przytula.

– Ruth! A to ci niespodzianka! Wiedziałam, że dzisiaj będzie dobry dzień.

– Naprawdę? – pytam. – A dlaczego?

– Ano przez ten ziąb włożyłam ciepły płaszcz i wyobraź sobie, że znalazłam w kieszeni dwadzieścia dolarów z zeszłej jesieni. I powiedziałam do siebie: „Lou, to dobry znak albo początek alzheimera". – Uśmiecha się kpiąco. – Wybieram to pierwsze.

Kocham, jak marszczy się w uśmiechu. Lubię patrzeć, jak sama się kiedyś zestarzeję.

– Wnusio też przyszedł? – pyta, wyglądając do holu. – Znowu ma jakąś rozmowę na uczelni?

– Nie, mamo, jest w szkole. Dzisiaj masz tylko mnie.

– Tylko ciebie – droczy się mama. – A to niby za mało? – Zamyka za mną drzwi, rozpinam płaszcz. Sięga po niego, ale ja szybko wyjmuję z szafy wieszak. Tylko tego brakowało, żeby mama mi usługiwała. Wieszam płaszcz obok jej palta i z sentymentu muskam palcami jej szczęśliwy szalik.

– Gdzie pani Mina? – pytam.

– Pojechała na zakupy do miasta, z Christiną i dzieckiem – odpowiada mama.

– Nie chcę ci przeszkadzać, jeśli jesteś zajęta…

– Dla ciebie, kochana, zawsze mam czas. Chodźmy do jadalni, robię małe sprzątanie. – Rusza korytarzem, a ja za nią; ma zapalenie kaletki maziowej, utyka na lewą nogę.

Na stole w jadalni leży białe prześcieradło, a na nim sznury kryształów z ogromnego żyrandola niczym girlandy łez. Pośrodku stoi miska z roztworem amoniaku o gryzącym zapachu. Matka siada, po czym zamacza każdą girlandę i pozostawia do wyschnięcia.

– Jak ty je zdjęłaś? – pytam, szacując rozmiar żyrandola.

– Ostrożnie – odpowiada.

Wyobrażam sobie, jak balansuje na krześle albo na stole.

– Nie powinnaś, to zbyt niebezpieczne…

Zbywa mnie machnięciem ręki.

– Robię to od pięćdziesięciu lat – ucina. – Dałabym radę nawet przez sen.

– Rób tak dalej, to się doigrasz. – Marszczę brwi. – Byłaś u ortopedy, którego ci poleciłam?

– Przestań się nade mną trząść, Ruth. – Po czym zmienia temat i wypytuje o stopnie Edisona. Podobno Adisa się martwi, że jej szesnastolatek wyleci ze szkoły (jakoś zapomniała mi o tym wspomnieć, kiedy byłyśmy u manikiurzystki). Pomagam jej moczyć kryształki w roztworze, czując, jak płyn pali mi skórę, a duma – jeszcze bardziej dotkliwa – przełyk.

Kiedy byłyśmy małe, mama przyprowadzała nas tu w soboty. Robiła z tego święto, wręcz przywilej – „nie wszystkie dzieci zasłużyły, aby pomagać rodzicom w pracy! Jeśli będziecie grzeczne, pozwolę wam wcisnąć przycisk windy, która zwozi naczynia z jadalni do kuchni!". Ale atrakcja szybko wyszła mi bokiem. Fakt, czasem bawiłyśmy się z Christiną jej lalkami Barbie, ale gdy gościła koleżankę, Rachel i ja lądowałyśmy w kuchni albo suszarni, gdzie mama uczyła nas prasować mankiety i kołnierzyki. W wieku dziesięciu lat się zbuntowałam.

– Może tobie to nie przeszkadza, ale ja nie chcę być niewolnicą pani Miny – oznajmiłam kiedyś głośno i mama dała mi w twarz.

– Ani mi się waż tak nazywać uczciwej pracy, za którą dostaję pieniądze – odpowiedziała. – Dzięki niej nosisz ten sweter i masz co włożyć na nogi.

Nie zdawałam sobie wówczas sprawy, że całe to nasze „pomaganie" służy wyższemu celowi. Cały czas się uczyłyśmy – ścielenia łóżka, czyszczenia fug, robienia zasmażki. Mama wpajała nam, jak być samowystarczalnymi, żebyśmy nigdy nie znalazły się na miejscu pani Miny, niezdolne o siebie zadbać.

Gdy kończymy czyszczenie kryształów, staję na krześle, a mama podaje mi kolejno girlandy, żebym je zawiesiła z powrotem. Żyrandol wręcz oślepia blaskiem.

– I co? – zagaja, kiedy prawie wszystko wisi na swoim miejscu. – Powiesz mi, co się dzieje, czy mam cię ciągnąć za język?

– Nic się nie dzieje. Stęskniłam się za tobą i tyle.

To prawda. Przyjechałam na Manhattan, bo chciałam się z nią zobaczyć. Chciałam pójść tam, gdzie ceni się moją osobę.

– Co się stało w pracy, Ruth?

Zawsze zdumiewała mnie swoją intuicją; minęło wiele lat, zanim zrozumiałam, że nie jest telepatką. Nie wróżyła z fusów, po prostu mnie znała.

– Zawsze opowiadasz o trojaczkach lub teściu, który pobił zięcia w poczekalni. Dziś nawet się nie zająknęłaś o szpitalu.

Schodzę z krzesła i zaplatam ręce na piersi. Najlepsze kłamstwa mają w sobie źdźbło prawdy, dlatego chociaż skrzętnie pomijam milczeniem Turka Bauera, zmarłe dziecko i Carlę Luongo, opowiadam mamie o praktykantce i pacjentce, która wzięła mnie za podwładną. Słowa płyną jak wodospad, z siłą większą, niż się spodziewam. Kiedy kończę, obie siedzimy w kuchni, a mama stawia przede mną filiżankę herbaty.

Sznuruje usta, jakby ważyła dowody.

– Może ci się zdawało.

Zastanawiam się, czy dlatego jestem taka, jaka jestem, usprawiedliwiam wszystkich oprócz siebie i tak usilnie staram się wpasować. Miałam w domu wzór do naśladowania.

Ale jeśli ma rację? Może przesadzam? Wracam myślami do tamtej sytuacji: nie jest analogiczna do incydentu z Turkiem Bauerem, pani Braunstein nawet nie wspomniała o kolorze mojej skóry. Może matka ma rację i to ja jestem przeczulona? Może niesłusznie coś sobie ubzdurałam, bo Virginia jest biała, a ja nie? Może to ja mam uprzedzenia rasowe?

Słyszę głos Adisy, dźwięczny jak dzwon: „Oni właśnie tego chcą: żebyś w siebie zwątpiła. Dopóki każą ci sądzić, że nie jesteś nic warta, dopóty jesteś w kajdanach”.

– Tamta kobieta na pewno nie miała nic złego na myśli – stwierdza mama.

„Co nie zmienia faktu, że poczułam się jak śmieć”. Nie mówię tego na głos, lecz sama myśl przyprawia mnie o dreszcze. To nie jestem ja. Ja nie oskarżam; wcale nie sądzę, że większość białych ludzi ocenia mnie przez pryzmat koloru skóry bądź uważa się za lepszych. Nie kroczę dumnie przez świat, szukając pretekstu do awantury. Zostawiam to Adisie, ja staram się nie rzucać w oczy. Jasne, wiem, rasizm istnieje, a ludzie pokroju Turka Bauera wymachują

sztandarem, lecz nie osądzam wszystkich białych na podstawie działań garstki.

A raczej nigdy dotąd tego nie robiłam.

Jakby różowa kartka samoprzylepna na karcie Davisa Bauera odpaliła lont, a ja nie wiem, jak rozbroić bombę.

Naraz słyszymy brzęk kluczy i gwar w przedpokoju, kiedy pani Mina z córką i wnukiem wracają do domu. Mama biegnie po ich płaszcze i siatki z zakupami, drepczę za nią. Christina wytrzeszcza oczy na mój widok i zarzuca mi ręce na szyję, a mama zdziera kurteczkę z jej czteroletniego synka Felixa.

– Ruth! – woła. – To przeznaczenie. Właśnie mówiłam o Edisonie, prawda, mamo?

Pani Mina patrzy na mnie.

– Mówiła. Ruth, wyglądasz prześlicznie, kochanie. Ani jednej zmarszczki. Daję słowo, ty się nie starzejesz.

W uszach ponownie dźwięczy mi głos Adisy: „czarni nie pękają". Zagłuszam ten głos i delikatnie obejmuję drobniutką panią Minę.

– Pani też – odpowiadam.

– Och, dajże spokój – kryguje się, ale widzę jej chytry uśmieszek. – Albo nie, nie dawaj. Uwielbiam tego słuchać.

Próbuję dać znak mamie.

– Chyba na mnie już czas…

– Nie wychodź z naszego powodu – mówi pani Mina, biorąc od mamy Felixa. – Zostań, ile chcesz. – Odwraca się do mamy. – Zjemy podwieczorek w złotym pokoju, Lou.

Christina łapie mnie za rękę.

– Chodź ze mną – prosi i ciągnie mnie po schodach do pokoju, w którym kiedyś się bawiłyśmy.

To w pewnym sensie sanktuarium, umeblowane identycznie jak przed laty, lecz teraz stoi tu łóżeczko, a podłogę zaścielają zabawki. Następuję na coś i omal nie tracę równowagi, Christina przewraca oczami.

– O matko, ludziki Felixa. Czy to nie wariactwo wydawać grubą kasę na plastik? Ale znasz Felixa, kocha piratów.

Kiedy Christina szpera w szafie, przyklękam i oglądam misterny statek. Widzę kapitana w czerwonej kurtce i czarnym kapeluszu

z piórami oraz kilku piratów zaplątanych w takielunek. Na pokładzie wala się figurka o skórze w pomarańczowobrunatnym odcieniu, ze srebrną obróżką na szyi.

Jezus Maria, czyżby niewolnik?

Owszem, historycznie się zgadza. Ale przecież to zabawka. Po co uwieczniać akurat ten wycinek z przeszłości? Co dalej: japoński obóz dla jeńców wojennych do składania? Zestaw lego Rzeź Indian? Gra Polowanie na Czarownice z Salem?

– Chciałam ci powiedzieć, zanim się dowiesz z gazet – mówi Christina. – Larry zamierza startować do Kongresu.

– O rany – odpowiadam. – I jak się z tym czujesz?

Obejmuje mnie.

– Dziękuję ci. Zdajesz sobie sprawę, że jesteś moją pierwszą przyjaciółką, która nie traktuje tego jako pierwszego kroku do Białego Domu i nie zaczyna paplać, że powinniśmy przenieść się do Bethesdy albo Arlington? Jesteś pierwszą osobą, która wpadła na to, że mogę mieć w tej kwestii jakiś wybór.

– A nie masz? To byłaby rewolucja w życiu waszej rodziny.

– No – potwierdza Christina. – Nawet nie wiem, czy mam w sobie dość siły na bycie żoną polityka.

Parskam śmiechem.

– Ty masz w sobie dość siły, aby samodzielnie rządzić tym krajem.

– Właśnie o to mi chodzi. Tymczasem muszę zapomnieć, że ukończyłam studia z najwyższym wyróżnieniem, pozować z moim ślicznym synkiem na rękach i udawać pochłoniętą dobraniem szminki do koloru bluzki. – Christina wzdycha. – Obiecasz mi coś? Jeśli kiedykolwiek zetnę się na pazia podobnego do kasku, zastrzel mnie.

„Widzisz", mówię do siebie. „Oto dowód". Znam Christinę całe życie. Owszem, są między nami różnice – socjoekonomiczne, polityczne, rasowe – co nie znaczy, że nie ma między nami nici porozumienia na ludzkiej, przyjacielskiej płaszczyźnie.

– Widzę, że już podjęłaś decyzję – zauważam.

Rzuca mi bezsilne spojrzenie.

– Nie potrafię mu odmówić – wzdycha. – Dlatego się w nim zakochałam.

– Wiem – odpowiadam. – Ale mogło być gorzej.

– To znaczy?

– Kadencja kongresmena trwa dwa lata – podkreślam. – Szybko zleci. Tylko pomyśl, co by było, gdyby zapragnął zostać senatorem.

Wzdryga się, a następnie uśmiecha szeroko.

– Jeśli dojdzie do Białego Domu – oświadcza – zostaniesz szefową mojego gabinetu.

– Albo ministrem zdrowia – podpowiadam.

Christina wsuwa mi rękę pod ramię i idziemy do złotego pokoju, gdzie mama ustawia imbryk i porcelanę oraz półmisek z domowymi ciastkami migdałowymi. Felix siedzi na podłodze i bawi się drewnianym pociągiem.

– Mmm, Lou, marzyłam o tych ciastkach – mówi Christina. Sięga po jedno, ale najpierw obejmuje moją mamę. – Jakie to szczęście, że należysz do rodziny.

„Rodzina nie dostaje wypłaty", myślę.

Uśmiecham się, lecz od tego uśmiechu drętwieją mi wargi.

Którejś soboty, gdy bawiłam się w chowanego z Christiną i Rachel, niechcący zapędziłam się do pokoju, do którego nie miałyśmy wstępu. Gabinet pana Hallowella był zazwyczaj zamknięty na klucz, ale kiedy nacisnęłam klamkę na dźwięk piskliwego „raz, dwa, trzy, Baba-Jaga patrzy" Christiny, znalazłam się w jego świętym azylu.

Często zastanawiałyśmy się z Rachel, co kryje się za zamkniętymi drzwiami. Ona stawiała na laboratorium z rzędami zakonserwowanych części ciał. Ja wybrałam słodycze, gdyż w moim siedmioletnim umyśle byłby to największy skarb. Ale gdy wylądowałam na czworakach na perskim dywanie w gabinecie pana Hallowella, rzeczywistość sprawiła mi zawód: była tam skórzana kanapa. Półki czegoś, co wyglądało jak srebrne koła. Przenośny ekran kinowy. A przy klekoczącym rzutniku stał Sam Hallowell we własnej osobie i zakładał taśmę.

Zawsze uważałam, że pan Hallowell wygląda jak gwiazdor filmowy, mama zaś mawiała, że w zasadzie jest gwiazdorem. Kiedy się odwrócił i przygwoździł mnie wzrokiem, próbowałam wymyślić sensowny powód swojej obecności na zakazanym terytorium, lecz

rozproszył mnie ziarnisty obraz przedstawiający wróżkę Blaszany Dzwoneczek, która zapalała fajerwerki nad zamkiem.

– Nie znasz nic innego – oznajmił dziwnym głosem, jego słowa się zlewały. Uniósł szklankę do ust, zagrzechotały kostki lodu. – Nie masz pojęcia, jak to jest, gdy świat zmienia się na twoich oczach.

Z ekranu dobiegał głos nieznanego mi mężczyzny.

– Kolor wszystko ożywia, prawda? – stwierdził, kiedy czarno-biała ściana zdjęć za jego plecami rozkwitła odcieniami tęczy.

– Walt Disney był geniuszem – rzucił pan Hallowell. Usiadł na kanapie i poklepał miejsce obok siebie, więc podeszłam. Animowana kaczka w okularach i z twardym akcentem wkładała rękę do puszek z farbą i wychlapywała zawartość na podłogę. „Mieszasz je ze sobą i wychodzi błoto… a potem czarny", oświadczyła, mieszając farbę nogą, aż przybrała hebanowy odcień. „Na początku wszystko było właśnie takie. Czarne. Człowiek nie miał bladego pojęcia o kolorze. A dlaczego? Bo był głupi".

Pan Hallowell siedział tak blisko, że czułam jego oddech – kwaśny, jak oddech wujka Isaiaha, który w zeszłym roku nie przyjechał na święta, bo mama mówiła, że jest na jakimś odwyku.

– Christina, Louis, ty i twoja siostra nie znacie nic innego. Dla was zawsze wszystko wyglądało tak. – Niespodziewanie wstał i na jego twarzy zatańczyły kolorowe sylwetki z rzutnika. – Oglądacie NBC w kolorze! – huknął i tak szeroko rozłożył ręce, że zawartość szklanki chlusnęła na dywan. – Co myślisz, Ruth?

Myślałam, że chcę, aby się odsunął, bo zasłania mi kaczkę.

Głos pana Hallowella złagodniał.

– Kiedyś mówiłem to przed każdym programem – oznajmił. – Aż kolorowa telewizja tak spowszedniała, że nikomu nie trzeba było przypominać o tym cudzie. Lecz zanim to się stało, byłem głosem przyszłości. Ja. Sam Hallowell. „Oglądacie NBC w kolorze!".

Nie poprosiłam, żeby mi odsłonił kreskówkę. Siedziałam z rękami na podołku, ponieważ wiedziałam, że czasami ludzie mówią nie dlatego, że mają coś ważnego do powiedzenia. Mówią, gdyż bardzo chcą zostać wysłuchani.

Kiedy wróciłyśmy z mamą do domu i położyłam się spać, przyśnił mi się koszmar. Otworzyłam oczy i wszystko było skąpane

w szarości, jak mężczyzna na ekranie, zanim poróżowiał i tło eksplodowało kolorem. Zobaczyłam, jak biegam po domu z brązowego kamienia i szarpię za klamki, aż otworzyły się przede mną drzwi gabinetu pana Hallowella. Z rzutnika leciał ten sam film, lecz obraz również stał się czarno-biały. Zaczęłam krzyczeć i przybiegła mama, Rachel, pani Mina z Christiną, a nawet pan Hallowell, ale na wieść, że moje oczy nie działają jak trzeba i świat zatracił barwy, zaczęli się ze mnie śmiać. „Ruth", powiedzieli, „tak było zawsze. I zawsze będzie".

Kiedy mój pociąg zajeżdża do New Haven, Edison jest już w domu i odrabia lekcje przy kuchennym stole.

– Cześć, kochanie – mówię i w przelocie cmokam go w czubek głowy, a potem przytulam na dodatek. – To od babci Lou.

– Nie powinnaś przypadkiem być w pracy?

– Miałam pół godziny do rozpoczęcia zmiany i wolałam spędzić je z tobą, niż stać w korku.

Zerka w moją stronę.

– Spóźnisz się.

– Jesteś tego wart – kwituję. Chwytam jabłko z miski na środku stołu – zawsze trzymam tam coś zdrowego, bo Edison pochłania wszystko, co nie jest przybite gwoździami – po czym gryzę i przeglądam rozłożone materiały. – Henry O. Flipper – czytam. – Brzmi jak imię i nazwisko krasnoludka.

– Był pierwszym Afroamerykaninem, który ukończył akademię West Point. Na historii każdy ma przedstawić prezentację na temat wybranego bohatera amerykańskiego. Nie mogę się zdecydować.

– A kogo jeszcze masz do wyboru?

Edison podnosi wzrok.

– Billa Picketta, czarnego kowboja i gwiazdora rodeo. I Christiana Fleetwooda, czarnego żołnierza z czasów wojny secesyjnej, któremu przyznano order honorowy.

Przyglądam się ich niewyraźnym zdjęciom.

– Nie kojarzę tych nazwisk.

– No właśnie – zaznacza Edison. – Znamy Rosę Parks i doktora Kinga, to wszystko. A słyszałaś kiedyś o niejakim Lewisie Latimerze? Rysował części telefoniczne do wniosków patentowych Alexandra Grahama Bella, a do tego pracował jako rysownik i ekspert patentowy dla Thomasa Edisona. Ale nie nazwałaś mnie na jego cześć, bo nie wiedziałaś o jego istnieniu. Tacy jak my funkcjonują w historii tylko w przypisach.

Mówi to bez rozgoryczenia, jakby informował, że skończył się keczup albo skarpetki zafarbowały w praniu – jakby chodziło o coś, czym nie jest może zachwycony, ale przejdzie nad tym do porządku dziennego, gdyż w danej chwili nie ma na to żadnego wpływu. Ponownie myślę o pani Braunstein i Virginii. To jest jak drzazga w moim umyśle, Edison tylko ją dociska. Czy rzeczywiście nie zwracałam nigdy na to uwagi? A może celowo nosiłam klapki na oczach?

Edison patrzy na zegarek.

– Mamo, ty naprawdę się spóźnisz.

Racja. Mówię mu, co ma podgrzać na obiad, o której się położyć, kiedy kończę zmianę. Następnie pędzę do samochodu i pędzę do szpitala. Jadę skrótami, ale i tak spóźniam się dziesięć minut. Zamiast czekać na windę, biegnę po schodach i wpadam na oddział spocona i zziajana. Marie stoi przy biurku, jakby na mnie czekała.

– Bardzo cię przepraszam – mówię natychmiast. – Byłam w Nowym Jorku u matki, potem utknęłam w korku i…

– Ruth… nie mogę cię dopuścić dzisiaj do pracy.

Nogi wrastają mi w ziemię. U Corinne spóźnienie to norma, a ja dostaję karę za pierwsze uchybienie?

– To się więcej nie powtórzy – zapewniam.

– Nie mogę dopuścić cię do pracy – powtarza Marie, a ja uświadamiam sobie, że od początku unika mojego wzroku. – Dostałam informację z kadr, że twoja licencja została zawieszona.

Zamieniam się w słup soli.

– Słucham?

– Bardzo mi przykro – szepcze. – Sprzątnij swoją szafkę, ochrona odprowadzi cię do wyjścia.

– Chwila – mówię na widok dwóch osiłków, którzy czujnie mnie obserwują. – Została zawieszona? I jak mam pracować w takiej sytuacji?

Marie wciąga powietrze i odwraca się do ochroniarzy, którzy robią krok naprzód.

– Proszę pani? – mówi jeden z nich i wskazuje na drzwi do dyżurki, jakbym po dwudziestu latach nie znała drogi.

***

Karton, który niosę do samochodu, mieści szczoteczkę do zębów, pastę, opakowanie tabletek przeciwbólowych, rozpinany sweter oraz kolekcję zdjęć Edisona. To wszystko, co trzymałam w szpitalnej szafce. Stoi na tylnym siedzeniu, przyciąga mój wzrok we wstecznym lusterku, zdumiewa jak niespodziewany pasażer.

Jeszcze z parkingu dzwonię do prawnika związkowego. Jest siedemnasta, mała szansa, że go zastanę, więc gdy odbiera, wybucham płaczem. Opowiadam mu o Turku Bauerze i dziecku, a on mnie uspokaja, że rozezna się w sytuacji i oddzwoni.

Powinnam wrócić do domu. Sprawdzić, czy u Edisona wszystko w porządku. Ale to sprowokuje pytania, dlaczego nie jestem w pracy, a chyba nie czuję się na siłach na nie odpowiadać. Jeśli prawnik związkowy coś wskóra, może nawet zostanę przywrócona do pracy przed jutrzejszą zmianą.

Dzwoni mój telefon.

– Ruth? – słyszę w słuchawce głos Corinne. – O co, kurwa, chodzi?

Opieram głowę o fotel i przymykam oczy.

– Nie wiem – przyznaję.

– Czekaj – mówi i słyszę przytłumione dźwięki. – Wlazłam do cholernego schowka, żeby nikt mi nie przeszkadzał. Przed chwilą się dowiedziałam.

– O czym? Ja nic nie wiem, ale podobno zawiesili mi licencję.

– Ta suka prawniczka powiedziała Marie coś o pogwałceniu etyki zawodowej…

– Carla Luongo?

– A co to za jedna?

– Suka prawniczka. Robi ze mnie kozła ofiarnego – stwierdzam z rozgoryczeniem. Sądziłam, że obie mamy atuty w zanadrzu, ale się nie spodziewałam, że tak szybko zrobi pierwszy ruch. – Ten rasista musiał zagrozić jej sądem, więc poświęciła mnie, żeby ratować szpital.

W słuchawce zapada cisza, dosłownie na chwilę, lecz przykuwa moją uwagę.

– To na pewno nie było specjalnie – mówi Corinne, moja współpracownica i koleżanka.

Czarnoskórzy uczniowie w Dalton siadywali w stołówce przy jednym stole, wszyscy poza mną. Inna kolorowa stypendystka zaproponowała kiedyś, żebym do nich dołączyła. Odpowiedziałam, że dziękuję, ale zwykle pomagam w tym czasie białej koleżance, która ma kłopoty z trygonometrią. To nie była prawda: „czarny" stół stresował moich białych znajomych, ponieważ nawet gdyby ze mną usiedli, tolerowano by ich obecność, lecz byliby niemile widziani. W świecie, gdzie zawsze pasowali, jedyne miejsce, którego nie dotyczyła ta zasada, było dla nich solą w oku.

Poza tym, gdybym usiadła z innymi Afroamerykanami, nie mogłabym udawać innej niż oni. Kiedy pan Adamson, nauczyciel od historii, zaczynał mówić o Martinie Lutherze Kingu i zerkał w moją stronę, biali znajomi bagatelizowali moje wątpliwości: „to na pewno było niechcący". Przy „czarnym" stole wzmianka na ten sam temat napotykała pełne zrozumienie: „Miałam to samo".

W liceum tak usilnie chciałam się wpasować, że otaczałam się ludźmi, którzy umieli mnie przekonać, że jeśli czuję się napiętnowana, jest to absurdalne i nieuzasadnione.

W szpitalnym barze nie ma „czarnego" stołu. Jest kilku kolorowych stróżów, jeden czy dwaj lekarze i ja.

Mam ochotę zapytać Corinne, kiedy ostatnio była czarna, ponieważ tylko wtedy miałaby prawo mi mówić, czy działania Carli Luongo są celowe. Ale odpowiadam jej tylko, że muszę kończyć, i szybko się rozłączam, nie czekając, aż skończy zdanie. Potem wyjeżdżam ze szpitala, gdzie ukrywałam się dwadzieścia lat, i jadę autostradą, która pulsuje światłami pojazdów jak tętnica. Mijam namiotowe

miasteczko bezdomnych weteranów wojennych oraz handlarza narkotyków, który właśnie dobija targu, i parkuję przed budynkiem, w którym mieszka moja siostra. Otwiera drzwi z dzieckiem na biodrze, drewnianą łyżką w garści oraz miną, jakby czekała na mnie od lat.

– I co się tak dziwisz? – pyta Adisa. – Myślałaś, że przeprowadzka do Białasewa wszystko załatwi?

– Do East Endu – poprawiam, na co posyła mi znaczące spojrzenie.

Siedzimy przy kuchennym stole. Zważywszy na liczbę mieszkających tu dzieci, w mieszkaniu panuje zadziwiający porządek. Na ścianie wiszą pokolorowane obrazki, a w piecyku dopieka się zapiekanka z makaronem. Tyana, najstarsza córka Adisy, karmi najmłodsze dziecko, które siedzi w wysokim krzesełku. Dwaj chłopcy grają w dużym pokoju w Nintendo. Druga córka ma na imię Mia.

– Daruję sobie „a nie mówiłam”…

– Czyżby? – mamroczę. – Nie mogłaś się doczekać, aż to powiesz.

Wzrusza ramionami, ale nie zaprzecza.

– To ty powtarzałaś: „Co ty wygadujesz, Adiso? Mój kolor skóry nie ma tu nic do rzeczy”. A tu proszę – nie jesteś jednak taka jak oni, prawda?

– Wiesz co, gdybym chciała być workiem treningowym, zostałabym w szpitalu. – Chowam twarz w dłoniach. – Co ja mam powiedzieć Edisonowi?

– Prawdę? – podsuwa Adisa. – Nie ma się czego wstydzić, nie zrobiłaś nic złego. Lepiej, żeby się przekonał zawczasu, że trzymanie z białymi go nie wybieli.

Kiedy Edison był młodszy, Adisa pilnowała go po szkole, póki nie ubłagał, żeby go zostawiać samego. Kuzyni drwili z niego, że nie rozumie ich slangu, a kiedy go podchwycił, biali koledzy w szkole patrzyli na niego jak na dziwoląga. Nawet ja miałam problem ze zrozumieniem moich siostrzeńców, którzy rozpychali się i chichotali na kanapie, dopóki Adisa nie zdzieliła ich ścierką, żeby uśpić dziecko. (Dopiero po chwili do mnie dotarło, że Tabari droczy się z bratem, który przypisywał sobie zwycięstwo w grze). Edison może nie

pasował do białych kolegów w szkole, ale mógł przynajmniej złożyć to na karb swojego koloru skóry. Jednak nie pasował też do swoich kuzynów, którzy wyglądali tak jak on.

Adisa krzyżuje ręce na piersi.

– Musisz znaleźć prawnika i pozwać ten cholerny szpital.

– Tylko skąd wezmę pieniądze? – jęczę. – Niech to się już skończy.

Serce zaczyna mi walić jak młotem. Nie mogę stracić domu. Nie mogę też ruszyć oszczędności – są przeznaczone w całości na studia Edisona – żeby mieć środki na utrzymanie. Nie przekreślę jego szans, ponieważ właśnie straciłam własne.

Adisa chyba widzi, że jestem na skraju załamania, bo bierze mnie za rękę.

– Ruth – mówi łagodnie. – Może przyjaciele się od ciebie odwrócili, ale wiesz, jaki jest plus posiadania siostry? Nigdy nie przestanie nią być.

Patrzy mi prosto w oczy – jej są tak ciemne, że źrenica zlewa się z tęczówką. Ale bije z nich spokój i Adisa nie puszcza mojej ręki, aż zaczynam normalnie oddychać.

Kiedy wracam o siódmej, Edison wybiega mi na spotkanie.

– Co ty robisz w domu? – pyta. – Wszystko w porządku?

Przyklejam uśmiech do twarzy.

– W porządku, kochanie. Po prostu zmiany się poprzestawiały i poszłyśmy z Corinne na kolację do Olive Garden.

– Wzięłaś coś na wynos?

Nastolatki i ten ich wilczy apetyt.

– Nie wzięłam – mówię. – Zjadłyśmy tylko przystawkę.

– Szkoda – wzdycha z rozczarowaniem.

– I co, napisałeś o Latimerze?

Potrząsa głową.

– Nie. Chyba wybiorę Anthony'ego Johnsona. Pierwszego czarnego właściciela ziemskiego – oznajmia. – Z roku tysiąc sześćset pięćdziesiątego pierwszego.

– O kurczę. – Kiwam głową. – Nieźle.

– No, ale jest pewien haczyk. Widzisz, on był niewolnikiem, który przybył do Wirginii z Anglii, i pracował na plantacji tytoniu do czasu, aż została zaatakowana przez Indian i ocalało tylko pięć osób. On i jego żona Mary weszli w posiadanie dwustu pięćdziesięciu akrów ziemi. Sęk w tym, że miał niewolników, i nie wiem, czy mam ochotę o tym mówić przy całej klasie. Boję się, że to może kiedyś zostać wykorzystane przeciwko mnie. – W zamyśleniu kręci głową. – Jak można coś takiego zrobić, jeśli samemu było się niewolnikiem?

Myślę o wszystkich rzeczach, które dały mi poczucie, że wiele osiągnęłam – wykształceniu, małżeństwie, tym domu, odgrodzeniu się od siostry.

– Czy ja wiem? – odpowiadam z wolna. – W tym świecie ludzie u władzy zawsze brali innych w niewolę. Może też chciał się poczuć ważny?

– Co nie znaczy, że to w porządku – zaznacza Edison.

Obejmuję go w pasie i mocno przytulam, kryjąc twarz w jego barku, żeby nie widział łez w moich oczach.

– A to za co?

– Za to – mruczę – że dzięki tobie świat staje się lepszy.

Edison odwzajemnia uścisk.

– A pomyśl, ile mógłbym zdziałać, gdybyś przyniosła mi kurczaka w parmezanie.

Kiedy się kładzie, przeglądam pocztę. Rachunki, rachunki i jeszcze raz rachunki, plus cienka koperta z Departamentu Zdrowia Publicznego z unieważnieniem mojej licencji. Wpatruję się w pismo bite pięć minut, ale nie zmienia się w nic innego niż to, czym jest: dowodem, że nie mam do czynienia z koszmarem, z którego się obudzę, zdziwiona wybrykami swojej bujnej wyobraźni. Tymczasem siedzę w dużym pokoju i nie nadążam za swoimi myślami. To jakaś pomyłka, po prostu. Ja to wiem, muszę tylko przekonać innych. Jestem pielęgniarką. Pomagam ludziom. Dodaję im otuchy. Wszystko naprawiam. To też naprawię.

Telefon brzęczy mi w kieszeni. Zerkam na numer: oddzwania prawnik związkowy.

– Ruth – mówi, kiedy odbieram. – Mam nadzieję, że nie dzwonię za późno.

Mało nie prycham śmiechem. Jakbym dzisiaj miała spać.

– Dlaczego Departament Zdrowia Publicznego odebrał mi licencję?

– Z powodu domniemanego naruszenia etyki zawodowej – tłumaczy.

– Ale ja nie zrobiłam nic złego. Pracuję tam od dwudziestu lat. Mogą mnie wyrzucić, ot tak?

– Masz większe problemy niż utrata pracy. Złożono doniesienie o popełnieniu przestępstwa, Ruth. Obwiniają cię o śmierć tego dziecka.

– Nie rozumiem – bełkoczę, słowa kaleczą mi język.

– Zwołali już dużą ławę przysięgłych. Radzę ci wziąć adwokata. Ja nic tutaj nie zdziałam.

To nie może być prawda. To nie może być prawda.

– Przełożona zabroniła mi dotykać dziecka, więc nie dotykałam, a teraz chcą mnie za to ukarać?

– Sądu nie obchodzi, co powiedziała twoja przełożona – kwituje prawnik. – Sąd widzi tylko martwe dziecko. Biorą cię na muszkę, bo uważają, że nawaliłaś jako pielęgniarka.

– Mylisz się. – W ciemności potrząsam głową i wypowiadam słowa, które dusiłam w sobie przez całe życie. – Wzięli mnie na muszkę, bo jestem czarna.

Mimo to zasypiam. Wiem o tym, bo kiedy słyszę łomotanie o trzeciej nad ranem, biorę je za część snu, w którym stoję w korku, spóźniona do pracy, a drogowcy tworzą kanion między mną a miejscem, w którym muszę się znaleźć. We śnie naciskam klakson. Łomot nie ustaje.

Przytomnieję, a łomotanie przechodzi w huk, kiedy policja wyważa drzwi z zawiasów i wpada do mojego pokoju z wyciągniętą bronią.

– Co robicie?! – krzyczę. – Co robicie?!

– Ruth Jefferson?! – drze się jeden z nich, ale język staje mi kołkiem i słowa nie mogę wydusić, więc tylko zadzieram podbródek: „Owszem”. Szarpnięciem wykręca mi ręce do tyłu, rzuca mnie na podłogę, dociska mi plecy kolanem i krępuje nadgarstki. Pozostali przewracają meble, wyciągają szuflady, zmiatają książki z półek. –

Zostałaś oskarżona o morderstwo i nieumyślne spowodowanie śmierci – mówi. – Jesteś aresztowana.

Z gwaru wybija się inny głos.

– Mamo?! – woła Edison. – Co się dzieje?!

Wszystkie oczy zwracają się ku wejściu do sypialni.

– Stać! – krzyczy drugi policjant i celuje w moje dziecko. – Ręce do góry!

Zaczynam krzyczeć.

Rzucają się na Edisona, we trzech przewracają go na podłogę. Wiążą mu ręce. Widzę, jak wyrywa się do mnie, drgają mu mięśnie szyi; łyska białkami, żeby dojrzeć, czy nic mi nie jest.

– Zostawcie go – szlocham. – On nic nie zrobił!

Ale oni tego nie wiedzą. Widzą tylko wysokiego, czarnego chłopaka.

– Rób, co każą, Edison! – wołam. – I zadzwoń do cioci.

Trzeszczą mi stawy, kiedy policjant niespodziewanie podrywa mnie za nadgarstki i stawia do pionu. Pozostali idą z tyłu, pozostawiwszy na podłodze sterty rzeczy wysypanych z szuflad, kuchennych szafek i półek z książkami.

Jestem całkowicie przytomna, kiedy wloką mnie w kapciach i nocnej koszuli po schodach na ganek, aż potykam się i ścieram kolano o asfalt, po czym ląduję na tylnym siedzeniu radiowozu, głową naprzód. Modlę się do Boga, żeby ktoś pamiętał o rozwiązaniu Edisonowi rąk. I żeby moi sąsiedzi, obudzeni hałasem o trzeciej nad ranem, którzy stoją w drzwiach z białymi twarzami w blasku księżycowej poświaty, zadali sobie kiedyś pytanie, dlaczego się nie odezwali i dlaczego żaden z nich nie zapytał, czy mógłby jakoś pomóc.

Byłam już na policji. Poszłam tam, kiedy jakiś dureń przytarł mi samochód na parkingu przed sklepem i odjechał. Trzymałam za rękę molestowaną seksualnie pacjentkę, która nie miała odwagi złożyć doniesienia. Ale teraz prowadzą mnie tam tylnym wejściem, mrużę oczy od rażącego światła jarzeniówek. Przekazują mnie innemu policjantowi, młodemu chłopakowi, który każe mi usiąść i pyta

o moje nazwisko, adres, datę urodzenia i numer ubezpieczenia. Odpowiadam tak cicho, że kilkakrotnie poprosi, żebym mówiła głośniej. Prowadzą mnie do czegoś, co wygląda jak kserokopiarka, przyciskają mi palce do szkła i na ekranie pojawiają się odciski.

– Nieźle, co? – pyta chłopak.

Zastanawiam się, czy są już w systemie. Kiedy Edison chodził do przedszkola, w dniu bezpieczeństwa publicznego poszliśmy zdjąć mu odciski palców. Tak się bał, że zrobiłam to pierwsza. Wtedy uważałam, że najgorsze, co się może stać, to gdyby został mi odebrany.

Nigdy nie przyszło mi do głowy, że to ja mogę zostać odebrana jemu.

Stawiają mnie na tle ściany i fotografują en face i z profilu.

Młody policjant prowadzi mnie do jedynej celi na naszym posterunku, małej, ciemnej, lodowatej. Mój wzrok pada na sedes i umywalkę na wysokim cokole.

– Przepraszam – mówię, odchrząkując, kiedy drzwi się za mną zamykają. – Jak długo tu zostanę?

Patrzy na mnie, nie bez życzliwości.

– Tyle, ile będzie trzeba – odpowiada zdawkowo i już go nie ma.

Siadam na ławce. Jest metalowa, chłód przenika przez nocną koszulę. Chce mi się siku, ale wstydzę się tak na widoku, przecież mogą przyjść po mnie w każdej chwili.

Zastanawiam się, czy Edison zadzwonił do Adisy, może właśnie stara się mnie wyciągnąć. Ciekawe, czy go wtajemniczyła, opowiedziała mu o zmarłym dziecku. Ciekawe, czy mój syn mnie obwinia.

Nagle przypominam sobie, jak zaledwie dwanaście godzin temu płukałam kryształki w roztworze amoniaku przy wtórze muzyki klasycznej w domu Hallowellów. Ten kontrast sprawia, że mało nie parskam śmiechem. A może to szloch. Już sama nie wiem.

Jeśli Adisa mnie stąd nie wyciągnie, może zrobią to Hallowellowie. Na pewno znają odpowiednich ludzi. Lecz najpierw musiałabym powiedzieć mamie i choć broniłaby mnie jak lwica, wiem, jakie myśli chodziłyby jej po głowie. „Jak to możliwe? Jakim cudem dziewczyna,

dla której całe życie wypruwam sobie żyły, znalazła się w celi więziennej?”.

A ja nie znalazłabym na to odpowiedzi. Na jednej szali spoczywa moje wykształcenie. Mój licencjat. Dwadzieścia lat pracy w szpitalu. Mój schludny domek. Toyota RAV4. Syn prymus. Tyle ważnych elementów mojej egzystencji, a czynnik na drugiej szali wciąż przeważa: moja brązowa skóra.

No cóż.

Nie na darmo tak się starałam. Wciąż jeszcze mogę wykorzystać dyplom i lata spędzone w towarzystwie białych, żeby wszystko odwrócić, przekonać policjantów, że zaszło nieporozumienie. Mieszkam w tym mieście, tak jak oni. Tak jak oni płacę podatki. Mają o wiele więcej wspólnego ze mną niż z rozwścieczonym fanatykiem, który rozpętał tę awanturę.

Nie wiem, ile czasu mija, zanim ktoś ponownie się zjawia; nie mam zegarka. Ale budzi się we mnie nadzieja, więc gdy rozlega się szczęk zamków, mój uśmiech wyraża wdzięczność.

– Zabieram panią na przesłuchanie – oznajmia młody funkcjonariusz. – Muszę, uhm, no wie pani. – Wskazuje na moje ręce.

Wstaję.

– To musi być wyczerpujące – stwierdzam. – Cała noc na nogach.

Wzrusza ramionami, ale się rumieni.

– Ktoś musi.

– Na pewno matka jest z pana dumna. Ja byłabym dumna. Wydaje mi się, że mój syn jest tylko kilka lat młodszy od pana. – Niewinnie wyciągam ręce w jego stronę, patrzy na moje nadgarstki.

– Chyba obejdziemy się bez nich – decyduje po krótkiej chwili. Kładzie mi rękę na ramieniu i prowadzi.

Chowam uśmiech w środku. Punkt dla mnie.

Zostaję sama w pomieszczeniu z wielkim lustrem, które na pewno jest oknem do pokoju po drugiej stronie ściany. Na stole stoi magnetofon, wiatrak kręci się u sufitu, chociaż i tu panuje ziąb. Splatam ręce na podołku i czekam. Nie patrzę na swoje odbicie, bo wiem, że mnie obserwują; widzę się tylko kątem oka. W nocnej koszuli wyglądam jak duch.

Kiedy drzwi się otwierają, wchodzi dwoje detektywów – kawał chłopa i filigranowa osóbka.

– Jestem detektyw MacDougall – przedstawia się mężczyzna. – A to jest detektyw Leong.

Kobieta patrzy na mnie z uśmiechem, który próbuję rozszyfrować. „Też jesteś kobietą", myślę w nadziei na telepatię. „Amerykanką azjatyckiego pochodzenia. Bywałaś na moim miejscu, przynajmniej w sensie metaforycznym".

– Napije się pani wody, pani Jefferson? – pyta detektyw Leong.

– Poproszę – odpowiadam.

Kiedy ona idzie po wodę, detektyw MacDougall tłumaczy, że nie muszę z nimi rozmawiać, a wszystko, co powiem, może zostać użyte przeciwko mnie w sądzie. Niemniej jednak, zaznacza, jeżeli nie mam nic do ukrycia, może chciałabym im przedstawić swoją wersję zdarzeń.

– Tak – mówię, choć naoglądałam się dosyć policyjnych seriali, żeby siedzieć cicho. Lecz seriale rządzą się swoimi prawami, w prawdziwym życiu jest inaczej. Nie popełniłam żadnego przestępstwa, a jeśli tego nie wyjaśnię, jak mam przekonać pozostałych? Czy milczenie nie świadczyłoby o mojej winie?

Pyta, czy może włączyć nagrywanie.

– Oczywiście – mówię. – I dziękuję panu. Dziękuję, że chce mnie pan wysłuchać. Obawiam się, że to wielkie nieporozumienie.

Wraca detektyw Leong. Podaje mi wodę, wypijam całą szklankę. Nawet nie wiedziałam, że zaschło mi w gardle.

– Tak czy inaczej, pani Jefferson – ciągnie detektyw MacDougall – mamy dowody, które podważają pani wersję. Zaprzecza pani, że była obecna przy śmierci Davisa Bauera?

– Nie – odpowiadam. – Byłam tam. Doszło do tragedii.

– Co pani robiła?

– Byłam w ekipie reanimacyjnej. Stan dziecka nagle bardzo się pogorszył. Zrobiliśmy, co w naszej mocy.

– Zdjęcia lekarza sądowego wskazują na fizyczne obrażenia…

– No właśnie – nie wytrzymuję. – Nie dotykałam tego dziecka.

– Pani powiedziała przecież, że była w ekipie reanimacyjnej – przypomina MacDougall.

– Ale go nie dotykałam, dopóki nie rozpoczęliśmy reanimacji.

– I wtedy zaczęła pani walić dziecko po klatce piersiowej…

Robię się purpurowa.

– Słucham? Ależ skąd! Robiłam masaż serca.

– Trochę nadgorliwie, zdaniem świadków – uzupełnia detektyw.

Jakich świadków? Dokonuję w myślach przeglądu osób, które były tam ze mną. Kto mógł źle odczytać moje intencje, przecież nikt z ekipy?

– Pani Jefferson – wtrąca detektyw Leong. – Czy rozmawiała pani z kimś ze szpitala na temat swoich odczuć wobec tamtego dziecka i jego rodziny?

– Nie. Odsunięto mnie od opieki, to wszystko.

MacDougall mruży oczy.

– Nie miała pani problemu z Turkiem Bauerem?

Zmuszam się, aby nabrać tchu.

– Nie podzielałam jego punktu widzenia.

– Czy odczuwa pani to samo wobec innych białych?

– Niektórzy spośród moich przyjaciół są biali. – Patrzę mu prosto w oczy.

MacDougall tak długo się we mnie wpatruje, że kurczą mu się źrenice. Wiem, że chce mnie zmusić, abym pierwsza odwróciła wzrok, ale tylko zadzieram podbródek.

Odsuwa krzesło od stołu i wstaje.

– Muszę zadzwonić – informuje i wychodzi.

Kolejny punkt dla mnie.

Detektyw Leong siada na krawędzi stołu. Odznaka na jej biodrze błyszczy jak nowa zabawka.

– Musi pani być zmęczona – zagaja, a ja słyszę w jej głosie tę samą gierkę, którą zastosowałam w przypadku młodego policjanta.

– Dla pielęgniarki to żadna nowość – odpowiadam gładko.

– Od dawna jest pani pielęgniarką, prawda?

– Dwadzieścia lat.

Śmieje się.

– Boże, ja pracuję od dziewięciu miesięcy. Nie mogę sobie wyobrazić, żeby robić coś aż tak długo. Ale jeśli człowiek kocha to, co robi, nie odczuwa tego jako obowiązku, prawda?

Nieufnie kiwam głową. Lecz jeśli mogę coś wskórać, to tylko u niej.

– Zgadza się. Kocham moją pracę.

– Musiało być pani bardzo przykro, kiedy przełożona odsunęła panią od opieki nad tamtym dzieckiem – ciągnie. – Zwłaszcza wziąwszy pod uwagę pani doświadczenie.

– Miewałam lepsze dni, owszem.

– Mój pierwszy dzień w pracy? Rozwaliłam radiowóz. Wjechałam w barierkę na placu budowy. Poważnie. Na egzaminie dostałam maksimum punktów, ale w praktyce okazałam się skończoną fajtłapą. Koledzy wciąż przezywają mnie Kraksa. Umówmy się, kobieta detektyw musi się podwójnie starać, a i tak wytkną jej najprostszy błąd. Byłam taka wkurzona. Nadal jestem.

Patrzę na nią, prawda wisi mi na języku jak landrynka. „Miałam nie dotykać dziecka. Ale dotknęłam, chociaż mogłam ściągnąć na siebie kłopoty. A jednak to nie wystarczyło".

– Posłuchaj, Ruth – dodaje kobieta. – Jeśli to był wypadek, masz okazję się przyznać. Może uraza wzięła nad tobą górę. W tych okolicznościach byłoby to całkiem zrozumiałe. Powiedz, co wydarzyło się naprawdę, a ja postaram się, żeby wszystko poszło gładko.

I nagle do mnie dociera, że ona nie wierzy w moją niewinność.

Że wcale nie próbuje być miła, opowiadając o własnych perypetiach. Po prostu mną manipuluje.

I że jest tak jak w serialach.

Z wysiłkiem przełykam i prawda znika w czeluści brzucha. Zamiast niej wypowiadam dwa słowa głosem, którego sama nie poznaję.

– Żądam adwokata.

9 Ceremonia obrzezania.

Etap pierwszy

Faza przejściowa

Klawisze fortepianowe są czarne i białe, ale brzmią jak milion kolorów.

María Cristina Mena

Kennedy

Kiedy przychodzę do biura, Ed Gourakis – jeden z moich współpracowników – bierze na tapetę naszego nowego kolegę. Jedna z młodszych prawniczek poszła na macierzyński i poinformowała kadry, że nie wróci. Wiedziałam, że Harry, nasz szef, prowadzi rozmowy kwalifikacyjne, ale dowiaduję się, że podjął decyzję, dopiero kiedy Ed nachodzi mnie w moim boksie.

– Poznałaś go już? – pyta.

– Kogo?

– Howarda. Nowego.

Ed został obrońcą z urzędu, bo mógł. Innymi słowy – ma tak pokaźny fundusz powierniczy, że wysokość naszych pensyjek jest bez znaczenia. A jednak, mimo że dorastał wśród wszelkich możliwych przywilejów, ciągle jest niezadowolony. W Starbucks naprzeciwko serwują zbyt gorącą kawę. Na I-95N był wypadek, przez który spóźnił się dwadzieścia minut. W automacie sądowym zabrakło skittlesów.

– Weszłam cztery sekundy temu. Jak miałam go poznać?

– Przypuszczam, że jest odpowiedzią na zapotrzebowanie na różnorodność. Rozglądaj się za białymi plamami. Ma takie mleko pod nosem, że aż mu kapie.

– Po pierwsze, cóż to za metafora? Po drugie, co z tego, że jest młody? Rozumiem, że z wiekiem pamięć szwankuje, ale… ty też byłeś kiedyś młody.

Ed zniża głos.

– Harry miał lepszych kandydatów.

Przetrząsam stertę na biurku w poszukiwaniu potrzebnych dokumentów. Uparcie ignoruję różowe kartki z informacją o telefonach.

– Przykro mi, że nie wybrał twojego siostrzeńca – mruczę.

– Bardzo śmieszne, McQuarrie.

– Słuchaj, Ed, mam robotę. Szkoda czasu na plotki. – Nachylam się w stronę monitora, udając pochłoniętą pierwszą wiadomością, z Nordstrom Rack, która dotyczy nagabywania mężczyzn w celach nierządu.

Do Eda w końcu dociera, że nie zamierzam dłużej z nim gawędzić, więc przechodzi do aneksu kuchennego, gdzie niewątpliwie kawa pozostawia wiele do życzenia i zabraknie jego ulubionej śmietanki. Przymykam oczy i kładę się na oparciu fotela.

Naraz słyszę szelest za ścianką boksu i wstaje wysoki, szczupły, ciemnoskóry chłopak. Ma na sobie tani garnitur z muszką, a na nosie hipsterskie okulary. Najwyraźniej to „nowy" z opowieści Eda, której wysłuchał od początku do końca.

– Ups – mówi. – Jestem Howard, gdybyś miała wątpliwości.

Rozciągam usta w uśmiechu, który musi mnie upodabniać do stworków z uwielbianej przez Violet *Ulicy Sezamkowej*: ich szczęki opadają na zawiasach w przypływie emocji.

– Howard – powtarzam, po czym zrywam się na równe nogi i podaję mu rękę. – Jestem Kennedy. Naprawdę miło cię poznać.

– Kennedy – mówi. – Jak John F.?

Ciągle słyszę to pytanie.

– Albo Robert! – odpowiadam, choć Howard trafia w sedno. Wolałabym nosić imię na cześć polityka, który wiele zdziałał na rzecz praw obywatelskich, ale matce wpadł w oko jego brat i miała słabość do czasów Camelotu[10].

Postaram się dać biedakowi do zrozumienia, że chociaż jedna osoba w biurze cieszy się z jego przybycia.

– No więc… witaj! – mówię wesoło. – Gdybyś czegoś potrzebował albo miał jakieś pytania, wiesz, gdzie mnie szukać.

– Super. Dzięki.

– I może wyskoczymy na lunch?

Howard kiwa głową.

– Chętnie.

– No. Muszę lecieć do sądu. – Po chwili wahania nawiązuję do niezręcznego tematu. – I nie słuchaj Eda. Nie wszyscy tutaj podzielają jego zdanie. – Uśmiecham się do niego. – Moim zdaniem to wspaniałe, że chcesz działać na rzecz swojej społeczności.

Howard odwzajemnia uśmiech.

– Dzięki, ale… dorastałem w Darien.

Darien. Jednej z najbogatszych miejscowości w stanie.

I siada, niewidzialny za ścianką, która nas rozdziela.

Jeszcze nie wypiłam drugiej kawy, a już nastałam się w korkach i przebiłam przez krąg dziennikarzy, którzy na pewno nie przyjechali z powodu żadnej z moich spraw, bo widzowie zasnęliby przed telewizorami: przesłuchania przed sądem to nic ciekawego. Jak dotąd odbębniliśmy trzy przypadki: pogwałcenie zakazu zbliżania się, gdzie pozwany nie mówił po angielsku; recydywistkę o tlenionych włosach i podkrążonych oczach, która rzekomo podrobiła czek na tysiąc dwieście dolarów w celu zakupienia markowej torebki, oraz kretyna, który nie tylko podszył się pod kogoś, korzystał z jego kart kredytowych i konta bankowego, ale wybrał osobę o imieniu Cathy i myślał, że nie zwróci to niczyjej uwagi.

No ale, jak zwykłam sobie powtarzać, gdyby moi klienci byli mądrzejsi, zostałabym bez pracy.

W dniu przesłuchań przed sądem ktoś od nas reprezentuje każdego, kto nie ma adwokata, ale go potrzebuje. To trochę tak, jak gdyby utknąć w drzwiach obrotowych i wciąż trafiać w nowe miejsce, gdzie wszyscy oczekują od ciebie, że odnajdziesz się w każdej sytuacji. Nowych klientów poznaję zwykle na ławie oskarżonych i mam ułamek sekundy na zapoznanie się z okolicznościami aresztowania oraz próbę wyciągnięcia ich za kaucją.

Czy wspomniałam, że nienawidzę dnia przesłuchań przed sądem? Nie dość, że muszę być Perrym Masonem[11] z trzecim okiem, to nawet jeśli odwalę kawał dobrej roboty i mój klient wymiga się od kaucji, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nie ja poprowadzę jego sprawę. Najlepsze trafiają do bardziej doświadczonych kolegów

bądź zostają przekazane prywatnemu (czytaj: płatnemu) adwokatowi.

Jak stanie się w kolejnym przypadku.

– Następny: Stan przeciwko Josephowi Dawesowi Hawkinsowi Trzeciemu – czyta protokolant.

Joseph Dawes Hawkins jeszcze nie wyrósł z trądziku. Wygląda na przerażonego: wpływ nocy w więzieniu na człowieka, którego kontakt ze światem przestępczym ogranicza się do oglądania serialu *Prawo ulicy*.

– Panie Hawkins – mówi sędzia – proszę się przedstawić.

– Uhm. Joe Hawkins – odpowiada chłopak drżącym głosem.

– Adres?

– Grand Street 139, Westville.

Protokolant odczytuje zarzuty: handel narkotykami.

Wnosząc z kosztownej fryzury chłopaka i jego popłochu, handlował raczej oxi niż metamfetaminą czy herą. Sędzia zaznacza, że pozwany nie przyznaje się do winy.

– Joe, postawiono ci zarzut handlu narkotykami. Czy rozumiesz, co to znaczy? – Chłopiec kiwa głową. – Czy jest tu dzisiaj twój adwokat?

Joe odwraca głowę, omiata wzrokiem publiczność i blednie.

– Nie ma.

– Czy chciałbyś porozmawiać z obrońcą z urzędu?

– Tak, wysoki sądzie – odpowiada; to znak dla mnie.

Mamy chwilę dla siebie przy ławie obrońcy.

– Nazywam się Kennedy McQuarrie – informuję. – Ile masz lat?

– Osiemnaście. Chodzę do trzeciej klasy, liceum Hopkinsa.

Szkoła prywatna. No jasne.

– Jak długo mieszkasz w Connecticut?

– Odkąd skończyłem dwa lata?

– To pytanie czy odpowiedź?

– Odpowiedź – prostuje i przełyka ślinę. Jego grdyka wygląda jak supeł.

– Pracujesz?

Zwleka z odpowiedzią.

– Oprócz sprzedawania oxi?

– Nie słyszałam tego – mówię natychmiast.

– Och, powiedziałem…

– Nie słyszałam.

Podnosi głowę i kiwa skwapliwie.

– Aha, jasne. Nie. Nie pracuję.

– Z kim mieszkasz?

– Z rodzicami.

Odhaczam w myślach kolejne punkty i bombarduję go pytaniami.

– Czy twoich rodziców stać na wynajęcie adwokata? – pytam wreszcie.

Zerka na mój kostium z Target, z plamą od mleka, które Violet wylała dzisiaj rano.

– Tak.

– Stul dziób, ja będę mówić – pouczam i odwracam się do ławy sędziowskiej. – Wysoki sądzie – mówię. – Młody Joseph ma dopiero osiemnaście lat, to jego pierwsze wykroczenie. Uczy się w ostatniej klasie liceum i mieszka z rodzicami, jego mama jest przedszkolanką, tata prezesem banku. Mają własny dom. Prosimy o zwolnienie Josepha bez kaucji.

Sędzia zwraca się do mojej partnerki w tym tańcu, siedzącej przy stole będącym lustrzanym odbiciem mojego. Nazywa się Odette Lawton i jest wesoła jak kara śmierci. Podczas gdy większość oskarżycieli i obrońców z urzędu rozumie, że jedzie na tym samym kiepsko płatnym wózku i poza salą rozpraw umie się dogadać, Odette stroni od reszty.

– Co na to pani prokurator?

Odette podnosi wzrok. Włosy ma przystrzyżone tuż nad czaszką, a oczy tak ciemne, że nie widać źrenic. Wygląda na wypoczętą, jakby dopiero wyszła od kosmetyczki, ma nieskazitelny makijaż.

Patrzę na swoje ręce. Mam obgryzione skórki i zieloną farbę pod paznokciami, albo gniję od środka.

– To poważny zarzut – oznajmia Odette. – Pan Hawkins nie tylko miał przy sobie środki odurzające, ale zamierzał je rozprowadzać. Wypuszczenie go stanowiłoby zagrożenie dla społeczności i poważny błąd. Prosimy o kaucję w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów.

– Wyznaczam kaucję w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów – powtarza sędzia i strażnik wyprowadza Josepha Dawesa Hawkinsa Trzeciego z sali.

Cóż, raz na wozie, raz pod wozem. Dobra wiadomość jest taka, że rodzinę Josepha stać na kaucję – nawet jeśli będą musieli zrezygnować ze świątecznego wypadu na Barbados. A lepsza, że więcej go nie zobaczę. Być może tatuś chciał dać mu nauczkę w postaci nocy w areszcie i nie przysłał prawnika rodziny, ale to jedynie kwestia czasu, kiedy ten prawnik zadzwoni do mojego biura i przejmie sprawę chłopaka.

– Stan Connecticut przeciwko Ruth Jefferson – słyszę.

Podnoszę wzrok, kiedy wprowadzają kobietę w kajdankach i koszuli nocnej, z głową owiniętą szalem. Niespokojnie toczy wzrokiem po sali, a ja po raz pierwszy zauważam, że panuje tu wyjątkowy tłok jak na wtorkowy ranek. Ba, sala pęka w szwach.

– Proszę się przedstawić – mówi sędzia.

– Ruth Jefferson – odpowiada kobieta.

– Morderczyni! – krzyczy damski głos od strony publiczności. Ludzie zaczynają szemrać, szmer przechodzi w ryk. Wtedy Ruth się wzdryga. Widzę, jak ociera twarz barkiem, opluł ją ktoś z widowni.

Strażnicy wyprowadzają rosłego mężczyznę, widzę go tylko od tyłu. Ma na głowie wytatuowaną swastykę przeplataną literami.

Sędzia prosi o spokój. Ruth Jefferson stoi prosto i dalej rozgląda się za kimś lub za czymś, czego chyba nie może znaleźć

– Ruth Jefferson – czyta protokolant. – Postawiono pani dwa zarzuty, morderstwa oraz spowodowania śmierci w wyniku zaniedbania.

Jestem tak zaaferowana tym, co się dzieje, że w pierwszej chwili nie zauważam wbitych we mnie spojrzeń. Pozwana musiała poprosić o obrońcę z urzędu.

Odette wstaje.

– Mówimy o ohydnej zbrodni dokonanej na trzydniowym dziecku, wysoki sądzie. Pozwana wyraziła niechęć wobec jego rodziców i oskarżenie przedstawi dowody świadczące o jej rozmyślnym działaniu na szkodę noworodka, w wyniku którego dziecko doznało poważnych obrażeń i zmarło.

Ta kobieta zabiła noworodka? Rozważam możliwe scenariusze: jest opiekunką? Potrząsała dzieckiem? Nagła śmierć łóżeczkowa niemowląt?

– To jakiś obłęd! – wybucha Ruth Jefferson.

Lekko trącam ją łokciem.

– Nie teraz.

– Porozmawiam z sędzią – nalega.

– Nie – ucinam. – Ja to zrobię. – Zwracam się do ławy sędziowskiej. – Wysoki sądzie, chciałabym zamienić kilka słów z pozwaną.

Prowadzę ją do ławy obrońcy, kilka kroków od miejsca, gdzie stoimy.

– Nazywam się Kennedy McQuarrie. Później porozmawiamy o szczegółach sprawy, teraz muszę zadać pani kilka pytań. Jak długo pani tu mieszka?

– Skuli mnie kajdankami – mówi z naciskiem, głosem nabrzmiałym od emocji. – Ci ludzie wdarli się nocą do mojego domu i mnie skuli. Skuli mojego syna…

– Rozumiem, że jest pani zdenerwowana – wchodzę jej w słowo. – Ale mam dziesięć sekund, żeby panią poznać i pomóc w czasie przesłuchania.

– Dziesięć sekund wystarczy, żeby mnie poznać, pani zdaniem? – odpowiada.

Ręce opadają. Jeśli ta kobieta chce się pogrążyć, to nie moja wina.

– Pani McQuarrie – wtrąca sędzia. – Proszę się pospieszyć z łaski swojej…

– Tak jest, wysoki sądzie.

– Zwracam uwagę sądu na odrażającą naturę tej zbrodni – oznajmia Odette. Patrzy prosto na Ruth. Rozdźwięk między tymi dwiema czarnymi kobietami jest uderzający: zgrabny kostium oskarżycielki, jej szpilki i taliowana koszula gryzą się z wygniecioną nocną koszulą i szalem na głowie Ruth. Obraz urasta do rangi symbolu, niczym studium przypadku na kursie, na który się nie zapisywałam. – Zważywszy na zarzuty, proszę o niewyznaczanie kaucji.

Z płuc Ruth uchodzi całe powietrze.

– Wysoki sądzie – mówię i milknę.

Nie mam na czym się oprzeć. Nie wiem, czym Ruth Jefferson się zajmuje, czy ma dom i kiedy przyjechała do Connecticut. Nie mam pojęcia, czy udusiła dziecko poduszką, czy też jest słusznie oburzona wyssanym z palca zarzutem.

– Wysoki sądzie – powtarzam. – Oskarżenie nie przedstawiło żadnych dowodów na poparcie tak poważnych zarzutów. Nie znamy żadnych szczegółów, dlatego proszę o wyznaczenie rozsądnej kaucji w wysokości dwudziestu pięciu tysięcy dolarów.

Więcej nie zdziałam, niczego z niej nie wyciągnęłam. Moim zadaniem jest pomóc Ruth Jefferson przebrnąć przez przesłuchanie w najmniej bolesny sposób. Zerkam na zegarek. Po niej mam jeszcze około dziesięciu klientów.

Nagle czuję pociągnięcie za rękaw.

– Widzi pani tego chłopca? – szepcze Ruth i patrzy w stronę publiczności, na młodego mężczyznę z tyłu, który podnosi się z miejsca, jak przyciągany magnesem. – To mój syn – dodaje i odwraca się z powrotem do mnie. – Ma pani dzieci?

Myślę o Violet. Myślę o sytuacji, gdy największym życiowym problemem byłby widok dziecka zakuwanego w kajdanki.

– Wysoki sądzie – mówię. – Chciałabym cofnąć swoją propozycję.

– Słucham?

– Zanim omówimy wysokość kaucji, proszę o chwilę rozmowy z moją klientką.

Sędzia marszczy brwi.

– Już rozmawiałyście.

– Proszę o rozmowę dłuższą niż dziesięć sekund – uściślam.

Pociera ręką twarz.

– No dobrze – ustępuje. – Możecie porozmawiać w czasie przerwy, wrócimy do sprawy w czasie drugiej sesji.

Strażnik łapie za ramię Ruth, która nie ma pojęcia, co się dzieje.

– Przyjdę – rzucam pod jej adresem, po czym zostaje wywleczona z sali, a ja zabieram głos w sprawie dwudziestolatka, który nazywa się symbolem # („Jak Prince, ale niezupełnie”, informuje), namalował wielki penis na estakadzie nad autostradą i nie może pojąć, dlaczego to wandalizm, a nie sztuka.

Mam jeszcze dziesięć spraw i w czasie każdej z nich rozmyślam o Ruth Jefferson. Chwała Bogu za umowę ze związkiem stenotypistek, nakazującą kwadrans przerwy na sikanie, podczas której schodzę w brudne, zawilgłe bebechy sądu do aresztu, dokąd zabrali moją klientkę.

Siedzi na metalowej pryczy i pociera nadgarstki. Zdjęli jej kajdanki, które miała na sali rozpraw, jak każdy, na kim ciąży zarzut morderstwa, ale chyba nie zauważyła, że znikły.

– Gdzie pani się podziewała? – pyta ostrym tonem.

– Wykonywałam swoją pracę – odpowiadam.

Ruth napotyka mój wzrok.

– Ja także – oznajmia. – Jestem pielęgniarką.

Wszystko zaczyna mi się układać: coś poszło nie tak w czasie opieki nad noworodkiem, coś, co oskarżenie uznało za rozmyślne działanie.

– Potrzebuję informacji. Jeśli nie chce pani czekać na rozprawę za kratkami, musimy współpracować.

Ruth milczy przez dłuższą chwilę, co mnie dziwi. Większość ludzi w jej położeniu uczepiłaby się mnie jak tonący brzytwy. Ale ta kobieta chyba szacuje, czy sprostam zadaniu.

Muszę przyznać, że trochę mnie to peszy. Moi klienci raczej nie oceniają; przywykli do odwrotnej sytuacji… i bezlitosnej oceny.

Wreszcie kiwa głową.

– No dobrze – mówię i wypuszczam powietrze, które nieświadomie wstrzymywałam. – Ile ma pani lat?

– Czterdzieści cztery.

– Mężatka?

– Nie – odpowiada Ruth. – Mój mąż zginął w Afganistanie, w czasie drugiej misji. Bomba domowej roboty. To było dziesięć lat temu.

– Czy pani syn jest jedynakiem? – pytam.

– Tak. Edison kończy liceum – mówi. – Złożył podanie do college'u. Te bydlaki wpadły do mojego domu i skuły kajdankami ucznia, który nie sprawia najmniejszych problemów.

– Wrócimy do tego – obiecuję. – Czy ma pani dyplom?

– Ukończyłam SUNY Plattsburgh, a potem szkołę pielęgniarstwa na Uniwersytecie Yale.

– Posiada pani stałe zatrudnienie?

– Dwadzieścia lat pracowałam w Mercy-West Haven, na porodówce. Ale wczoraj mnie wyrzucili.

Zapisuję to w notesie.

– Ma pani inne źródło utrzymania?

Potrząsa głową.

– Została mi chyba tylko renta po mężu.

– Dom?

– W East Endzie.

Mieszkam w tej samej okolicy, to zamożna biała dzielnica. Czarne twarze oglądam tylko w przejeżdżających samochodach. Rzadko dochodzi do aktów przemocy, a jeśli zdarzy się rozbój lub kradzież samochodu, w dziale komentarzy na stronie internetowej „New Haven Independent" ludzie narzekają na „element" z biednych dzielnic w rodzaju Dixwell lub Newhallville, zakłócający spokój ich sielskiej enklawy.

Oczywiście ten „element" to czarni.

– Wygląda pani na zdziwioną – zauważa Ruth.

– Ależ skąd – zapewniam pospiesznie. – Po prostu tak się składa, że również tam mieszkam, nigdy pani nie widziałam.

– Nie udzielam się towarzysko – kwituje z przekąsem.

Chrząkam.

– Ma pani krewnych w Connecticut?

– Siostrę, Adisę. Siedzi obok Edisona. Mieszka na Church Street South.

To biedne osiedle w okolicach Hill, pomiędzy Union Station i okręgiem medycznym Yale. Jakieś dziewięćdziesiąt siedem procent dzieci żyje w nędzy, mam stamtąd sporo klientów. To zaledwie kilka mil od East Endu, a zarazem inny świat: dzieciaki handlują narkotykami za starszych braci, starsi bracia robią to samo z braku pracy, dziewczęta się prostytuują, co noc dochodzi do strzelanin. Ciekawe, jakim cudem Ruth tak różni się od siostry.

– Czy żyją pani rodzice?

– Matka pracuje na Upper West Side na Manhattanie. – Ruth ucieka spojrzeniem. – Pamięta pani Sama Hallowella?

– Tego z telewizji? Czy on przypadkiem nie umarł?

– Owszem. Ale mama nadal jest pokojówką rodziny.

Otwieram kartotekę Ruth z opisem zarzutów. Wcześniej nie miałam okazji się z nimi zapoznać, ale teraz prześlizguję wzrokiem po tekście i zapamiętuję najistotniejsze informacje.

– Kim jest Davis Bauer?

Głos Ruth łagodnieje.

– Dzieckiem – odpowiada – które umarło.

– Proszę opowiedzieć, co się stało.

Więc Ruth snuje swoją opowieść. Na każdy suchy fakt pada cień wstydu. Opowiada mi o rodzicach, nakazie przełożonej, obrzezaniu, niespodziewanej cesarce i zapaści chłopca. Mówi, że mężczyzna ze swastyką na głowie, który opluł ją na sali rozpraw, to ojciec dziecka. Słowa oplatają nas kokonem.

– …i zanim się obejrzałam – uzupełnia Ruth – dziecko umarło.

Zerkam do raportu policji.

– Nie dotykała go pani? – precyzuję.

Długo się we mnie wpatruje, jakby oceniała, czy zasługuję na zaufanie. W końcu zaprzecza.

– Nie, dopóki przełożona nie kazała mi uciskać.

Nachylam się w jej stronę.

– Jeśli panią wyciągnę, żeby mogła pani wrócić do syna, będzie pani musiała wpłacić kaucję. Czy ma pani jakieś oszczędności?

Cała się spina.

– Fundusz Edisona, ale go nie ruszę.

– Poręczy pani swoim domem?

– Co to w ogóle znaczy?

– Stan zyska prawo do jego zatrzymania – tłumaczę.

– I co potem? Jeśli przegram proces, Edison nie będzie miał gdzie się podziać?

– Nie. To jedynie rękojmia, że nie ucieknie pani z miasta.

Ruth bierze głęboki oddech.

– Dobrze. Ale poproszę panią o przysługę. Niech pani powie mojemu synowi, że nic mi nie jest.

Kiwam głową, ona robi to samo.

W tamtej chwili nie różnimy się kolorem skóry, przestajemy być obrońcą i pozwaną. Nie dzieli nas to, co wiem o prawie, a czego ona

musi się jeszcze nauczyć. Jesteśmy tylko dwiema matkami, które siedzą ramię w ramię.

Tym razem, kiedy wracam na swoje miejsce, klapki spadają mi z oczu. Na widowni zauważam ludzi, na których wcześniej nie zwróciłam uwagi. Może nie są wytatuowani jak ojciec dziecka, ale biali. Tylko nieliczni noszą martensy, reszta ma na nogach trampki. Czy oni też są skinami? Niektórzy trzymają tabliczki z imieniem Davisa, inni przypięli błękitne wstążki na znak solidarności. Jak mogłam to wcześniej przeoczyć? Czy to grupa wsparcia rodziny Bauerów?

Myślę o Ruth idącej ulicą w East Endzie i zastanawiam się, ilu mieszkańców kwestionowało jej obecność, nawet jeśli żaden nie powiedział jej tego wprost. „Jak łatwo schować się za białą skórą", myślę, spoglądając na tych przypuszczalnych supremacjonistów. „Nikt cię nie oskarża. Nie wzbudzasz podejrzeń".

Nieliczne ciemnoskóre twarze stanowią na tym tle rażący kontrast. Podchodzę do chłopaka wskazanego wcześniej przez Ruth, który natychmiast wstaje.

– Edison? – mówię. – Mam na imię Kennedy.

Jest wyższy ode mnie prawie o głowę, ale twarz ma dziecinną.

– Jak mama się czuje?

– W porządku, prosiła, żebym cię uspokoiła.

– Trochę ci to zajęło – wtrąca kobieta obok niego. Ma długie warkoczyki przetykane czerwienią i skórę znacznie ciemniejszą niż Ruth. Sączy coca-colę, mimo że na sali obowiązuje zakaz wnoszenia napojów i posiłków; pochwyciwszy moje spojrzenie, unosi brew, jakby tylko czekała, aż zwrócę jej uwagę.

– Ty na pewno jesteś siostrą Ruth.

– Bo co? Jestem tu jedynym czarnuchem oprócz jej syna?

Wzdrygam się mimowolnie na dźwięk tego słowa; dam głowę, że właśnie o to jej chodziło. Jeśli Ruth sprawiała wrażenie krytycznej albo przewrażliwionej, jej siostra to narwany jeżozwierz.

– Nie – odpowiadam tym samym tonem, jakiego używam do negocjacji z Violet. – Po pierwsze, nie jesteś tu jedyną…

ciemnoskórą osobą. A po drugie, twoja siostra wspomniała, że przyszłaś z Edisonem.

– Wyciągnie ją pani? – pyta Edison.

Przenoszę na niego uwagę.

– Zrobię, co w mojej mocy.

– Czy mogę się z nią zobaczyć?

– Nie teraz.

Otwierają się drzwi, wchodzi protokolant i każe wszystkim powstać.

– Muszę iść – rzucam.

Siostra Ruth wbija we mnie wzrok.

– Pokaż, co potrafisz, białasko.

Sędzia siada i wraca do sprawy Ruth, którą ponownie sprowadzają z czeluści budynku. Patrzy na mnie pytająco i siada obok, a ja kiwam głową: „wszystko u niego w porządku".

– Pani McQuarrie – wzdycha sędzia. – Czy zdążyła pani porozmawiać ze swoją klientką?

– Tak, wysoki sądzie. Jeszcze kilka dni temu Ruth Jefferson była położną w szpitalu Mercy-West Haven, gdzie przez ostatnie dwadzieścia lat opiekowała się rodzącymi kobietami oraz ich nowo narodzonymi dziećmi. Gdy zaszła konieczność reanimacji noworodka, Ruth wraz z całym zespołem starała się go uratować. Niestety, los postanowił inaczej. Wszczęto śledztwo w tej sprawie i Ruth straciła pracę. Jest absolwentką college'u, jej syn ma doskonałe wyniki w nauce. Jest też wdową po bohaterze wojennym, który poległ w Afganistanie za nasz kraj. Ma w tym mieście rodzinę i dom, którego jest właścicielką. Proszę sąd o wyznaczenie rozsądnej kaucji. Moja klientka nie uchyli się przed poniesieniem odpowiedzialności za swoje czyny, nie była wcześniej notowana i zastosuje się do wytycznych sądu. Wiele wskazuje na to, że wybrnie z tej sytuacji obronną ręką.

Przedstawiłam Ruth jako wzorową obywatelkę, która w wyniku nieporozumienia znalazła się w opałach. Brakuje tylko, żebym zaczęła wywijać amerykańską flagą.

Sędzia zwraca się do Ruth.

– O jakim kapitale mówimy?

– Słucham?

– Jaka jest wartość hipoteczna pani domu? – pytam.

– Sto tysięcy dolarów – oznajmia Ruth.

Sędzia kiwa głową.

– Wyznaczam kaucję w wysokości stu tysięcy dolarów i przyjmuję poręczenie majątkowe w postaci domu. Następna sprawa.

Zwolennicy białej supremacji ostentacyjnie buczą. Nie mam wątpliwości, że poczuliby się usatysfakcjonowani jedynie publicznym linczem. Sędzia prosi o spokój i wali młotkiem.

– Wyprowadzić ich – mówi w końcu, a strażnicy krążą między krzesłami.

– I co teraz? – pyta Ruth.

– Wychodzi pani.

– Chwała Bogu. Kiedy?

Podnoszę wzrok.

– Za kilka dni.

Strażnik ujmuje ją pod ramię, żeby odprowadzić z powrotem do celi. Gdy odchodzą, po raz pierwszy dostrzegam w jej oczach panikę.

Nie jest jak w filmach i telewizji: człowiek nie wychodzi z sądu na wolność. Najpierw trzeba odwalić mnóstwo papierkowej roboty i nażerać się z ludźmi. Ja to wiem, ponieważ jestem obrońcą z urzędu. Wie to zdecydowana większość moich klientów, gdyż na ogół mają niejedno wykroczenie na koncie.

Ale Ruth nie przypomina większości moich klientów.

Zasadniczo nie należy nawet do ich grona.

Siedzę w tej branży blisko cztery lata, występki to moja specjalność. Przerobiłam tyle włamań, oszustw, kradzieży tożsamości i podrobionych czeków, że pewnie mogłabym prowadzić spory przez sen. Ale tu chodzi o morderstwo, to wyższa szkoła jazdy, sprawa, która zostanie mi odebrana zaraz po ustaleniu daty rozprawy. Trafi do kogoś z większym doświadczeniem, kto gra w golfa z moim szefem, ewentualnie ma penis.

Na dłuższą metę nie będę obrońcą Ruth. Ale w tej chwili jestem i mogę jej pomóc.

Dziękuję w myślach białym supremacjonistom, którzy spowodowali to zamieszanie. Biegnę środkowym przejściem do Edisona i jego ciotki.

– Proszę posłuchać. Potrzebuję potwierdzoną kopię aktu własności domu Ruth – mówię do siostry. – Do tego potwierdzoną kopię zeznania podatkowego oraz potwierdzenie ostatniej spłaty kredytu z uwzględnieniem pozostałej kwoty. Trzeba dostarczyć to do sekretariatu…

Widzę, że siostra Ruth patrzy na mnie, jakbym nagle zaczęła mówić po grecku. No ale mieszka na Church Street South, nie ma własnego mieszkania. To dla niej czarna magia.

Potem zauważam, że Edison zapisuje wszystko na odwrocie paragonu, który wyjął z portfela.

– Ja to załatwię – obiecuje.

Podaję mi wizytówkę.

– Tu masz numer mojej komórki. W razie potrzeby dzwoń. Ale ja nie będę prowadzić tej sprawy; kiedy mama wyjdzie, skontaktuje się z wami ktoś z naszego biura.

Siostra Ruth odzyskuje rezon.

– To wszystko? Zastawiłaś jej dom i sprawa załatwiona, tak? Zapewne i tak pójdzie do pierdla, bo jest czarna, więc nie chcesz sobie brudzić rączek, mam rację?

Plecie bzdury, zwłaszcza że większość moich klientów to Afroamerykanie. Zamierzam wyjaśnić jej hierarchię obowiązującą w naszym biurze, ale interweniuje Edison.

– Wyluzuj, ciociu. – Następnie zwraca się do mnie. – Przepraszam.

– Nie – odpowiadam. – To ja przepraszam.

Kiedy wieczorem wreszcie wracam do domu, mama siedzi z podwiniętymi nogami przed telewizorem i ogląda Disney Junior z kieliszkiem białego wina w dłoni. Odkąd sięgam pamięcią, co wieczór raczy się kieliszkiem białego wina. Kiedy byłam mała, nazywała to swoim lekarstwem. Violet leży zwinięta w kłębek obok niej na kanapie i śpi jak suseł.

– Nie miałam serca jej budzić – mówi mama.

Ostrożnie siadam obok córki, biorę ze stolika butelkę wina i piję z gwinta. Mama unosi brwi.

– Aż tak źle? – pyta.

– Nawet nie masz pojęcia. – Głaszczę Violet po włosach. – Musiałaś ją dzisiaj zmęczyć.

– Hm. – Mama milknie z wahaniem. – Miałyśmy niewielkie spięcie przy kolacji.

– Podałaś paluszki rybne? Nie rusza ich, odkąd przechodzi fascynację Małą Syrenką.

– Nie, zjadła bez szemrania. Pewnie ucieszysz się na wieść, że Arielka poszła do lamusa. W zasadzie o to poszło. Natomiast kiedy oglądałyśmy *Księżniczkę i żabę*, Violet poinformowała mnie, że na Halloween przebierze się za Tianę.

– Chwała Najwyższemu – wzdycham. – Jeszcze przed tygodniem była zdecydowana wystąpić w górze od bikini z muszelek. Zamierzałam się zgodzić, ale pod warunkiem, że włoży ją na koszulkę.

Matka patrzy na mnie z powątpiewaniem.

– Kennedy, sądzę, że Violet powinna przebrać się za Kopciuszka. Albo Roszpunkę. Czy choćby tę nową z białymi włosami, która pokrywa wszystko lodem.

– Elzę – podpowiadam. – Dlaczego?

– Nie każ mi mówić tego głośno, kochanie – prosi mama.

– Bo Tiana jest czarna? – pytam. Wyobraźnia natychmiast podsuwa mi obraz Ruth Jefferson i białych supremacjonistów buczących na widowni.

– Zdaje się, że chodzi nie tyle o manifest równości rasowej, ile raczej o żabę. Violet oznajmiła, że zażyczy sobie jedną pod choinkę, pocałuje ją i sprawdzi, co się stanie.

– Nie dostanie żaby pod choinkę. Ale jeśli chce się przebrać za Tianę, kupię jej kostium.

– Ja go uszyję – precyzuje mama. – Moja wnuczka nie będzie chodzić po domach w kupnym dziadostwie, które może spłonąć w pierwszym kontakcie z lampionem z dyni.

Nie wdaję się w dyskusję. Ja nie umiem zaszyć nawet skarpetki. W szafie mam spodnie, które podłożyłam klejem.

– Świetnie. Cieszę się, że przezwyciężysz swój opór, aby spełnić marzenie wnuczki.

Mama odrobinę unosi podbródek.

– Nie mówię ci tego, żebyś mi robiła wyrzuty, Kennedy. Dorastałam na Południu, ale to nie znaczy, że mam uprzedzenia.

– Mamo – odpowiadam znaczącym tonem. – Miałaś czarną nianię.

– I uwielbiałam Beattie, jakby należała do rodziny – zaznacza.

– Ale… nie należała.

Matka dolewa sobie wina.

– Kennedy. – Wzdycha. – To tylko głupi kostium, a nie walka o szczytny cel.

Nagle ogarnia mnie straszne zmęczenie. Nie chodzi tylko o tempo mojej pracy ani przytłaczającą liczbę spraw. Męczy mnie sama myśl, czy mogę cokolwiek zmienić.

– Któregoś razu – ciągnie mama ściszonym głosem – kiedy byłam mniej więcej w wieku Violet, skorzystałam z chwili nieuwagi Beattie i próbowałam się napić z kolorowej fontanny w parku. Weszłam na cementową podstawę i odkręciłam kurek. Spodziewałam się czegoś niezwykłego. Spodziewałam się tęczy. Ale to była tylko zwykła woda. – Napotyka mój wzrok. – Violet byłaby ślicznym Kopciuszkiem.

– Mamo…

– Tak tylko mówię. Po ilu latach Disney wreszcie dał czarnym dziewczynkom ich własną księżniczkę? Myślisz, że Violet ma prawo chcieć czegoś, na co czekały od zawsze?

– Mamo!

Unosi ręce.

– W porządku. Tiana. Postanowione.

Biorę butelkę wina, przechylam i wypijam do ostatniej kropli.

Po wyjściu mamy zasypiam na kanapie z Violet, a kiedy się budzę, na Disney Junior leci *Król Lew*. Trafiam akurat na śmierć Mufasy, stratowanego przez bawołu, kiedy wchodzi Micah, z ulgą pozbywając się krawata.

– Hej – mówię. – Nie słyszałam, jak podjechałeś.

– Bo jestem ninją w przebraniu chirurga okulisty. – Nachyla się i mnie całuje, po czym uśmiecha się do Violet, która cicho pochrapuje. – Mój dzień był pełen jaskry i ciał szklistych. A twój?

– Na pewno mniej obrzydliwy – kwituję.

– Wróciła Stuknięta Sharon?

Stuknięta Sharon to recydywistka, nałogowa stalkerka, której wpadł w oko Peter Salovey, rektor Uniwersytetu Yale. Zostawia mu kwiaty, listy miłosne, raz uszczęśliwiła go majtkami. Miałam z nią sześć przesłuchań przed sądem, a Salovey jest rektorem dopiero od dwa tysiące trzynastego roku.

– Nie – mówię i opowiadam mu o Ruth, Edisonie i skinach wśród publiczności.

– Serio? – Ci ostatni budzą jego największe zainteresowanie. – Mieli spodnie na szelkach, kurtki pilotki i glany?

– Po pierwsze, nie, a po drugie, skąd jesteś taki dobrze zorientowany? – Przesuwam nogi na stoliku, żeby mógł usiąść naprzeciw mnie. – Niczym nie różnili się od nas. Rzekłabym, że to przerażające. A jeśli nasz najbliższy sąsiad jest neofaszystą, a my o tym nie wiemy?

– Dałbym sobie rękę uciąć, że pani Greenblatt nie jest neofaszystką – stwierdza Micah i delikatnie bierze Violet na ręce.

– Zresztą to i tak nic pewnego. Ale dla mnie za duża sprawa – dodaję, idąc po schodach do pokoju naszej córki. A potem dorzucam: – Ruth Jefferson mieszka w East Endzie.

– No popatrz – mówi Micah. Odkłada Violet do łóżka, nakrywa ją kołdrą i całuje w czoło.

– Co to miało znaczyć? – pytam wojowniczo, choć zareagowałam tak samo.

– Ależ nic – broni się Micah.

– Po prostu nie chcesz powiedzieć z grzeczności, że w East Endzie nie ma czarnych rodzin.

– Czy ja wiem? Bardzo możliwe.

Wchodzę za nim do naszego pokoju, rozpinam spódnicę, ściągam rajstopy. Wkładam podkoszulek i bokserki, w których zawsze śpię, po czym idę do łazienki i myję zęby obok Micaha. Wypluwam pastę i ocieram usta wierzchem dłoni.

– Czy wiesz, że w *Królu Lwie* hieny, czarne charaktery, mówią murzyńskim albo latynoskim slangiem? I że małe lwiątka mają zakaz chodzenia do miejsc, w których tamci mieszkają?

Patrzy na mnie z rozbawieniem.

– Albo że Skaza, ten zły, jest ciemniejszy od Mufasy?

– Kennedy. – Micah kładzie mi ręce na barkach i mnie całuje. – Istnieje pewne prawdopodobieństwo, że nadinterpretowujesz.

W tej samej chwili wiem, że będę bronić Ruth, choćbym miała poruszyć niebo i ziemię.

10 Nawiązanie do prezydentury Johna F. Kennedy'ego.

11 Przenikliwy prawnik i detektyw z powieści Erle'a Stanleya Gardnera.

Turk

Adwokat musi być niezły, biorąc pod uwagę wypasioną poczekalnię. Ma panele na ścianach, a jego sekretarka podaje mi wodę w ciężkiej, kryształowej szklance. Nawet powietrze pachnie bogato, jak perfumy damy, która normalnie na mój widok przeszłaby na drugą stronę ulicy.

Ponownie mam na sobie marynarkę moją i Francisa, i wyprasowałem spodnie. Wciskam czapkę na uszy i kręcę obrączką na palcu. Mogę uchodzić za zwykłego kolesia, który chce kogoś pozwać, a nie faceta na bakier z prawem, który zwykł sam wymierzać sprawiedliwość.

Nagle Roarke Matthews staje przede mną. Kanty nogawek ma ostre jak żyletki, buty wypucowane na wysoki połysk. Wyglądałby jak gwiazdor opery mydlanej, gdyby nie lekko krzywy nos, jakby złamał go w czasie szkolnej gry w piłkę. Wyciąga rękę na powitanie.

– Proszę za mną, panie Bauer – mówi.

Prowadzi mnie do jeszcze bardziej wypasionego gabinetu, pełnego czarnej skóry i chromowych elementów, i wskazuje dwuosobową kanapę.

– Chciałbym raz jeszcze złożyć panu kondolencje – mówi Matthews, jak wszyscy ostatnio. Te słowa mi spowszedniały, przyjmuję je obojętnie. – Rozmawialiśmy przez telefon o możliwości założenia sprawy cywilnej…

– Jak zwał, tak zwał – wchodzę mu w słowo. – Po prostu chcę, żeby ktoś za to zapłacił.

– No tak. – Matthews kiwa głową. – I dlatego poprosiłem, żeby pan tu przyszedł. Bo widzi pan, sprawa jest skomplikowana.

– A co w niej skomplikowanego? Ma pan pozwać pielęgniarkę. Ona to zrobiła.

Matthews się waha.

– Możemy pozwać Ruth Jefferson – przytakuje. – Ale spójrzmy prawdzie w oczy: ona nie ma grosza przy duszy. Jak panu wiadomo, toczy się przeciwko niej postępowanie karne, co oznacza, że gdyby jednocześnie założył jej pan sprawę cywilną, pani Jefferson poprosiłaby o wyłączenie ze sprawy całego materiału dowodowego, aby nie mogła się sama obciążyć podczas trwającego postępowania karnego. A fakt, że wytoczył jej pan sprawę cywilną, mógłby zostać wykorzystany przeciwko panu na przesłuchaniu podczas procesu karnego.

– Nie rozumiem.

– Obrona zrobi z pana chciwego naciągacza – mówi Matthews prosto z mostu.

Zapadam się głębiej w kanapę, z rękami na kolanach.

– I tyle? Nie mam żadnych podstaw, żeby ją zaskarżyć?

– Tego nie powiedziałem – zaznacza Matthews. – Uważam tylko, że obraliśmy niewłaściwy cel. W przeciwieństwie do pani Jefferson, szpital ma zasobne kieszenie. Poza tym spoczywa na nim obowiązek dopilnowania personelu oraz odpowiedzialność za działania pielęgniarki lub ich brak. Radziłbym wytoczyć sprawę szpitalowi. Ruth Jefferson też pozwiemy: nigdy nie wiadomo, dzisiaj jest biedna jak mysz kościelna, a jutro może wygrać na loterii albo dostać spadek. – Unosi brew. – A wtedy, panie Bauer, nie tylko sprawiedliwości stanie się zadość, ale dostanie pan sowite odszkodowanie.

Myślę o tym i kiwam głową. Wyobrażam sobie, jak opowiem o tym Brit.

– Co musimy zrobić, żeby zacząć?

– Teraz? – upewnia się Matthews. – Nic. Czekamy na zakończenie postępowania karnego. A wtedy sprawa cywilna wciąż będzie realna, a pan nic nie ryzykuje. – Rozkłada ręce. – Proszę wrócić po zakończeniu procesu – dorzuca. – Wie pan, gdzie mnie szukać.

Początkowo nie wierzyłem, kiedy Francis mówił, że nowa fala białej supremacji będzie wojną nie na pięści, ale na idee,

rozpowszechniane anonimowo i wywrotowo przez internet. Ale miałem dosyć oleju w głowie, żeby nie pukać się w czoło. Po pierwsze, nadal był jedną z legend naszego Ruchu. A po drugie, ojcem dziewczyny, która zawróciła mi w głowie.

Brit Mitchum była tak piękna, że jej uroda zwalała mnie z nóg. Miała cudownie miękką skórę i jasnoniebieskie oczy, które podkreślała ciemnym ołówkiem. W przeciwieństwie do pozostałych skinheadek, nie strzygła się na zapałkę, zostawiała sobie dłuższą grzywkę i włosy na karku. O nie, Brit miała gęste włosy do łopatek, które czasami zaplatała, a jej warkocz był gruby jak mój nadgarstek. Często rozmyślałem, jakie to byłoby uczucie, gdyby te loki falowały nade mną w czasie pocałunku.

Ale nie zamierzałem startować do dziewczyny, której stary mógłby mnie załatwić jednym telefonem. Zamiast tego ciągle tam łaziłem. Udawałem, że mam pytania do Francisa, który cieszył się na mój widok, bo mógł pogadać ze mną o swoich pomysłach na stronę internetową. Pomagałem mu wymieniać olej w furgonetce i naprawiłem cieknący odpływ w zlewie. Próbowałem się na coś przydać, ale jeśli chodzi o Brit, wielbiłem ją z daleka.

I dlatego omal nie padłem z wrażenia, kiedy wyszła do mnie któregoś dnia, gdy rąbałem drewno dla Francisa.

– Czy te plotki to prawda? – spytała.

– Jakie plotki? – odpowiedziałem pytaniem.

– Że rozwaliłeś gang motocyklistów i zabiłeś własnego ojca?

– Nieprawda.

– W takim razie jesteś taką samą pipką jak pozostali, którzy udają chojraków, żeby podlizać się mojemu tacie.

Spojrzałem na nią zdumiony, usta jej drgnęły. Uniosłem siekierę nad głowę, napiąłem mięśnie i rozłupałem pieniek idealnie pośrodku.

– Lubię myśleć, że jestem gdzieś pomiędzy tymi skrajnościami – stwierdziłem.

– Może chcę to sama ocenić. – Przysunęła się o krok. – Kiedy następnym razem twoja banda ruszy na łowy.

Parsknąłem śmiechem.

– Nie ma mowy, żebym zabrał córkę Francisa Mitchuma na wyprawę z kumplami.

– Bo co?

– Bo jesteś córką Francisa Mitchuma.

– To nie jest odpowiedź.

Owszem, była, nawet jeśli ona tego nie rozumiała.

– Od dziecka jeździłam z ojcem i jego bandą.

Szczerze w to wątpiłem. (Później dowiedziałem się, że to prawda, ale zostawiał Brit śpiącą w foteliku w furgonetce).

– Jesteś za miękka, żeby jeździć z moimi chłopakami – uciąłem.

Kiedy nie odpowiedziała, uznałem, że to koniec rozmowy. Ponownie uniosłem siekierę i wziąłem zamach, a wtedy Brit doskoczyła jak strzała i znalazła się dokładnie na linii ostrza. Natychmiast puściłem trzonek, siekiera wyśliznęła mi się z rąk i wbiła głęboko w ziemię piętnaście centymetrów od niej.

– Kurwa mać! – wrzasnąłem. – Zdurniałaś?

– Za miękka? – powtórzyła.

– Czwartek – odpowiedziałem. – Po zmroku.

Co noc słyszę płacz mojego syna.

Ten dźwięk mnie budzi, dlatego wiem, że jest duchem. Brit go nie słyszy, ale ona wciąż dryfuje w oparach środków nasennych i oksykodonu, który został po mojej kontuzji kolana. Wstaję z łóżka, idę się wysikać i podążam za tym odgłosem, który przybiera na sile, a potem cichnie, kiedy docieram do dużego pokoju. Nikogo tam nie ma, tylko monitor komputera do mnie mruga.

Siadam na kanapie i wypijam sześciopak piwa, ale wciąż słyszę płacz.

Teść po dwóch tygodniach żałoby zaczyna wyrzucać piwo z domu. Któregoś wieczora zastaje mnie w dużym pokoju: siedzę na kanapie z głową w dłoniach i próbuję zagłuszyć kwilenie dziecka. W pierwszej chwili myślę, że mi przyłoży – może jest stary, ale nadal ma krzepę – lecz tylko odłącza laptop z kontaktu i rzuca nim we mnie.

– Wyrównaj rachunki – mówi po prostu i wraca do siebie.

Długo tak siedzę, z komputerem przytulonym do boku jak dziewczyna, która prosi o taniec.

Nie mogę powiedzieć, że po niego sięgam. Bardziej to on do mnie wraca.

Strona wczytuje się za dotknięciem klawisza. Ostatnio tam zaglądałem, zanim Brit urodziła.

Kiedy Francis i ja postanowiliśmy stworzyć razem stronę internetową, ja czytałem artykuły o programowaniu i metadanych, a on podsuwał mi tematy, które mieliśmy publikować. Nazwaliśmy stronę SAMOTNYWILK, bo taki właśnie czekał nas los.

Lata osiemdziesiąte się skończyły. Nasi najlepsi ludzie poszli za kratki. Starej gwardii brakowało sił do wojaczki, kastety zardzewiały. Narybek był zbyt niecierpliwy, żeby jarać się wiecem KKK, gdzie banda rupieci chlała i rozprawiała o dawnych czasach. Nie chciał słuchać bajeczek o tym, że czarni cuchną, kiedy mają mokre włosy. Domagał się statystyk na użytek lewicujących nauczycieli i krewnych, którzy wili się na wieść, że to my jesteśmy prawdziwymi ofiarami dyskryminacji w tym kraju.

Wobec tego daliśmy im to, o co prosili.

Publikowaliśmy prawdę: że Amerykański Urząd Statystyczny ogłosił, że do roku dwa tysiące czterdziestego trzeciego biali staną się mniejszością. Że czterdzieści procent czarnych na zasiłku mogłoby pracować, ale im się nie chce. Że działania na rzecz przejęcia naszego narodu przez Syjonistyczny Rząd Okupacyjny sięgają czasów, gdy Alan Greenspan był szefem Systemu Rezerwy Federalnej.

Samotnywilk.org przerósł nasze oczekiwania. Staliśmy się młodszą, modniejszą alternatywą. Buntem w świeżej odsłonie.

Loguję się jako administrator, moje palce błądzą po klawiaturze. Anonimowość, możliwość ukrycia się za moimi przekonaniami to jeden z powodów, dla których prowadzę tę stronę. Wszyscy jesteśmy tu anonimowi, tak jak wszyscy jesteśmy braćmi. To moja armia przyjaciół bez nazwisk i twarzy.

Ale dziś to się zmieni.

„Wielu z Was zna mnie z moich postów, na które odpowiadaliście komentarzami. Podobnie jak Wy, jestem Prawdziwym Patriotą. Chcieliście podążać za ideą, nie osobą. Ale dziś wychodzę z ukrycia, żebyście mnie poznali. Żebyście wiedzieli, co mnie spotkało”.

„Nazywam się Turk Bauer”, piszę. „I opowiem Wam o moim synu”.

Gdy klikam „opublikuj”, patrzę, jak historia krótkiego, dzielnego życia mojego dziecka zawisa na ekranie. Chcę wierzyć, że jeśli musiał umrzeć, stało się to nie bez powodu. Umarł dla sprawy. Dla naszej sprawy.

Tej nocy nie piję ani się nie kładę. Śledzę statystykę odwiedzin, która zmienia się z każdą kolejną odsłoną.

Jedno wyświetlenie.

Sześć wyświetleń.

Trzydzieści siedem wyświetleń.

Czterysta dziewięć wyświetleń.

Nim wschodzi słońce, ponad trzynaście tysięcy osób wie o Davisie.

Zaparzam kawę i przeglądam dział komentarzy, pijąc pierwszą filiżankę.

„Przykro mi z powodu twojej straty”.

„Twój synek poległ za rasę”.

„Cholerna suka w ogóle nie powinna pracować w szpitalu dla białych”.

„W imieniu twojego syna wpłaciłem pieniądze na rzecz American Freedom Party”.

Ale jeden sprawia, że zastygam:

„List do Rzymian 12:19. »Umiłowani, nie wymierzajcie sami sobie sprawiedliwości, lecz pozostawcie to pomście! Napisano bowiem: Do mnie należy pomsta. Ja wymierzę zapłatę, mówi Pan«”.

W kolejny czwartek po incydencie z siekierą jadłem kolację z nią i jej ojcem. W czasie deseru nagle podniosła głowę, jakby coś jej się przypomniało.

– Potrąciłam dziś czarnucha moim wozem – oznajmiła.

Francis prostuje się na krześle.

– A co on robił przed twoim wozem?

– Pojęcia nie mam. Chyba szedł. Ale wgniótł przedni zderzak.

– Mogę później zerknąć – wtrącam. – Zderzaki to moja specjalność.

Na ustach Brit błądzi uśmiech.

– Nie wątpię.

Zrobiłem się czerwony jak burak, tymczasem Brit mówiła ojcu, że chce wyciągnąć mnie do kina po kolacji, na jakąś dziewczyńską komedię. Francis klepnął mnie w plecy.

– Lepiej ty niż ja, synu – oznajmił. I tym sposobem znaleźliśmy się po kolacji w moim samochodzie, w zabawowych nastrojach.

Brit nie mogła wysiedzieć w miejscu, energia ją rozpierała. Usta jej się nie zamykały, zasypywała mnie pytaniami. Dokąd jedziemy? Kogo dorwiemy? Czy byłem już tam kiedyś?

Stwierdziłem, że albo wieczór ułoży się po mojej myśli i zaskarbię sobie jej wieczny szacunek, albo wszystko źle się skończy i Francis skręci mi kark za narażanie swojej córki na niebezpieczeństwo.

Zabrałem ją na opuszczony parking w pobliżu stoiska z hot dogami, popularny wśród pedałów, którzy czasem spotykali się tam na randki w krzakach. (Serio, czy może być coś bardziej oklepanego niż geje spotykający się przy stoisku z kiełbaskami? Już samo to sprawiało, że zasługiwali na manto). Przyszło mi do głowy, żeby zadrzeć z jakimiś bambusami, ale to praktycznie zwierzęta i umieją się nieźle bić, a pedałowi nawet ona da radę.

– Tu spotkamy się z resztą? – spytała.

– Nie ma żadnej reszty – przyznałem. – Kiedyś miałem swoją bandę, ale odkąd jeden mnie zdradził, wolę działać sam. Stąd plotka o motocyklistach. Dorwałem ich na własną rękę, bo nikomu już nie mogę ufać.

– Jasne – odpowiedziała Brit. – To nic fajnego, kiedy opuszczają cię ludzie, na których liczyłeś.

Zerknąłem na nią.

– Mam wrażenie, że tobie się chyba układa.

– No, nie licząc tego, że matka porzuciła mnie w dzieciństwie jak… śmiecia.

Wiedziałem, że Francis nie ma żony, ale nie znałem szczegółów.

– O kurde, faktycznie do dupy. Bardzo mi przykro.

Ku mojemu zdziwieniu Brit nie wyglądała na przybitą. Aż się w niej gotowało.

– A mnie wcale. – Jej oczy płonęły. – Tata mówi, że uciekła z czarnuchem.

W tej samej chwili do stoiska podeszło dwóch mężczyzn. Wzięli swoje hot dogi i podeszli do zdezelowanego stołu piknikowego.

– Gotowa? – spytałem.

– Od kołyski.

Odwróciłem głowę, żeby nie widziała mojego uśmiechu; czy kiedykolwiek byłem taki nieustraszony? Wysiedliśmy z samochodu i ruszyliśmy w tamtą stronę, że niby idziemy po hot doga. Ale przystanąłem przy stole i miło się uśmiechnąłem.

– Hejka. Czy któryś z was ma odpalić szluga, złamasy?

Popatrzyli po sobie. Uwielbiam to spojrzenie. Tak samo wygląda zwierzę, gdy uświadamia sobie, że nie ma dokąd uciec.

– Chodźmy stąd – powiedział blondyn do niskiego, chudego łebka.

– Widzicie, to mnie nie urządza – odparłem, podchodząc bliżej. – Bo wciąż będę wiedział, że gdzieś tam jesteście. – Złapałem blondasa za gardło i mu przywaliłem.

Zwalił się na ziemię jak kłoda. Odwróciłem się do Brit, która skoczyła chudemu na plecy i ujeżdżała go jak diablica. Rozorała mu paznokciami twarz, a kiedy upadł, zaczęła go kopać w nerki, po czym usiadła na nim okrakiem, uniosła jego głowę i grzmotnęła nią o asfalt.

Walczyłem już u boku kobiet. Istnieje błędne przekonanie, że skinki są służalcze, bose i ciężarne przez większość czasu. Lecz aby zostać skinką, musisz być twardą suką. Brit może jeszcze nigdy nie ubrudziła sobie rąk, ale miała do tego wrodzony talent.

Kiedy zaczęła walić w bezwładne, nieprzytomne ciało, postawiłem ją na nogi.

– Chodź – ponagliłem i razem pobiegliśmy do samochodu.

Pojechaliśmy na wzgórze, skąd roztaczał się dobry widok na samoloty startujące i lądujące na lotnisku Tweed. Kiedy usiedliśmy na masce, zamrugały do nas światła pasa startowego. Z Brit jeszcze nie zeszła para.

– Boże! – wrzasnęła, odchylając głowę do tyłu. – To było, kurwa, wspaniałe. Smakowało jak… jak…

Nie znalazła właściwego słowa, ale ja owszem. Wiedziałem, jakie to uczucie być tak nabuzowanym, że zaraz wybuchniesz. Jak zadawać ból, zamiast go czuć. Niepokój Brit mógł wynikać z czegoś

innego niż mój, ale ona też dała się porwać i również znalazła dla niego ujście.

– Jak wolność – uzupełniłem.

– Tak – westchnęła, wpatrując się we mnie. – Czy tobie też bywa źle we własnej skórze? Jakbyś chciał być kimś innym?

„Bez przerwy", pomyślałem. Nachyliłem się i ją pocałowałem.

Wywinęła się i usiadła na mnie okrakiem. Oddała pocałunek mocniej, zachłannie przygryzła mi wargę. Wsunęła ręce pod moją koszulę, zaczęła rozpinać mi rozporek.

– Zwolnij – powiedziałem, usiłując chwycić ją za nadgarstki. – Nie musimy się spieszyć.

– Owszem, musimy – wyszeptała mi w szyję.

Płonęła, a wiadomo, czym grozi podejście do ognia. Dlatego pozwoliłem, żeby rozpięła mi spodnie, pomogłem jej podnieść spódnicę i zedrzeć majtki. Usiadła na mnie, a ja poruszałem się w niej z poczuciem, że to dopiero początek.

Rankiem, w dniu przesłuchania w sądzie, ubieram się, kiedy Brit jeszcze śpi w piżamie, której nie zdjęła od czterech dni. Jem płatki śniadaniowe i szykuję się na wojnę.

W sądzie zastaję około dwudziestu przyjaciół, o których istnieniu nie wiedziałem.

To wierni czytelnicy SAMOTNEGOWILKA i komentatorzy, kobiety i mężczyźni, którzy przeczytali o Davisie i chcą zrobić coś więcej, niż tylko wklepać kondolencje. Podobnie jak ja, też nie przypominają typowych skinów. Oprócz mnie nikt nie jest łysy. Wszyscy są zwyczajnie ubrani, niektórzy mają na kołnierzykach maleńkie znaczki z krzyżem słonecznym. Wielu przypięło błękitne wstążki dla Davisa. Część klepie mnie w ramię, woła moje imię, pozostali tylko leciutko kiwają głowami na znak, że przyszli tu dla mnie.

Wtedy podchodzi do mnie Murzynka. Omal jej nie odpycham, kiedy zaczyna mówić – to odruch bezwarunkowy – po czym uświadamiam sobie, że znam ten głos, bo jest prokuratorem.

Rozmawiałem z Odette Lawton przez telefon, ale nie mówiła jak czarna. Czuję, jakby ktoś dał mi w twarz, to jakaś zmowa.

Ale może tak będzie lepiej. Nikogo nie dziwi, że liberałowie, którzy trzymają w garści sądownictwo, mają z nami na pieńku, więc nie ma co liczyć na sprawiedliwość. Skupią się na mnie zamiast na pielęgniarce. Jeśli reprezentuje mnie czarna prawniczka, nikt nie zarzuci mi uprzedzeń rasowych, prawda?

Nie muszą wiedzieć, co naprawdę sądzę.

Ktoś wyczytuje nazwisko sędziego: DuPont nie brzmi żydowsko, co biorę za dobry znak. Siadam. Cztery kolejne sprawy, aż w końcu pada nazwisko Ruth Jefferson.

Na sali wrze. Ludzie buczą, podnoszą tabliczki ze zdjęciem mojego syna – zdjęciem, które zamieściłem na stronie, jedynym, jakie posiadam. Wprowadzają pielęgniarkę w nocnej koszuli i kajdankach. Rozgląda się po widowni. Zastanawiam się, czy mnie szuka.

Postanawiam jej to ułatwić.

Zrywam się jednym ruchem i przechylam przez barierkę, która dzieli nas od prawników i stenotypistki. Nabieram tchu i spluwam suce w twarz.

Od razu mnie rozpoznała.

W jednej chwili łapią mnie strażnicy i wywlekają z sali rozpraw, ale to nic nie szkodzi, bo kiedy mnie odciągają, pielęgniarka widzi swastykę na mojej potylicy.

Można przegrać bitwę, jeżeli masz w kieszeni zwycięstwo w wojnie.

Dwóch osiłków puszcza mnie przed wejściem do sądu.

– Lepiej tu zostań – uprzedza jeden, po czym wracają do środka.

Opieram ręce na kolanach i łapię oddech. Mogą mnie wyrzucić z sali sądowej, ale to wolny kraj, nikt nie zabroni mi tu stać i patrzeć, jak wiozą Ruth Jefferson do więzienia.

Pokrzepiony tą myślą unoszę wzrok i wtedy je widzę: wozy transmisyjne z talerzami satelitarnymi. Dziennikarki, które wygładzają wąskie spódniczki i poprawiają mikrofony. Media, które przyjechały nagłośnić tę sprawę.

Prawniczka wspomniała, że nie trzeba nam rodzica wściekłego, tylko rodzica w żałobie. Załatwione.

Lecz najpierw wyciągam komórkę i dzwonię do Francisa.

– Wyciągnij Brit z łóżka i posadź przed telewizorem. – Zerkam na wóz transmisyjny. – Włącz Czwórkę.

Potem wyciągam z kieszeni czapkę, którą rano włożyłem do sądu, żeby nie zwracać uwagi tatuażem. Wciskam ją na uszy.

Myślę o Davisie, bo wtedy łzy same cisną mi się do oczu.

– Widziała pani, prawda? – Podchodzę do dziennikarki, którą widziałem w NBC. – Widziała pani, jak mnie wyrzucili?

Zerka na mnie.

– Uhm, tak. Przepraszam, ale przyjechaliśmy tu w innej sprawie.

– Wiem – odpowiadam. – Ale ja jestem ojcem zmarłego dziecka.

Opowiadam dziennikarce, jak cieszyliśmy się z Brit na narodziny synka. Mówię, że w życiu nie widziałem nic doskonalszego od jego rączek i noska, wypisz wymaluj jak nos mamy. I że moja żona jest wciąż tak zdruzgotana tym, co spotkało Davisa, że nie ma siły wstać z łóżka, nie przyszła dziś nawet do sądu.

Mówię, że to tragedia, gdy ktoś, kto przysiągł pomagać ludziom, rozmyślnie zabił bezbronnego noworodka, tylko dlatego, że został odsunięty od opieki.

– Rozumiem, że była między nami różnica zdań – uzupełniam, patrząc na dziennikarkę. – Ale to nie znaczy, że mój syn zasługiwał na śmierć.

– Czego pan oczekuje, panie Bauer? – pyta kobieta.

– Chcę odzyskać syna – odpowiadam. – Ale to niemożliwe.

Przepraszam ją i odchodzę. Prawdę mówiąc, na myśl o Davisie zaczynam się krztusić, a nie chcę się rozkleić przed kamerami.

Uciekam przed pozostałymi reporterami, którzy teraz się przekrzykują i cisną wokół mnie, ale drzwi się otwierają i wychodzi Odette Lawton. Zaczyna mówić o tym, jaka to ohydna zbrodnia, i zapewnia, że sprawiedliwości stanie się zadość. Przechodzę z boku budynku, mijam palącego strażnika i zbliżam się do dziedzińca na tyłach. Wiem, że tam znajduje się wejście do dolnych kondygnacji, gdzie przetrzymuje się oskarżonych.

Nie ma mowy, żebym tam wszedł, jest pilnie strzeżone. Ale staję kawałek dalej i kulę się na wietrze, dopóki nie wyjeżdża samochód z napisem ZAKŁAD KARNY YORK z boku. To jedyne więzienie dla kobiet w stanie, w Niantic. Na pewno tam wiozą pielęgniarkę.

W ostatniej chwili staję na drodze samochodu i zmuszam kierowcę do gwałtownego skrętu.

Wiem, że na pewno ostro nią szarpnęło. I że musiała wyjrzeć przez okno, aby sprawdzić, co się stało.

I że to mnie zobaczy, zanim wyląduje w pierdlu.

Po naszej eskapadzie stałem się częstym gościem Brit i prowadziłem stronę internetową z dużego pokoju Francisa. Na SAMOTNYMWILKU zamieszczaliśmy dyskusje, w których Jan Legalny, biały robotnik, mierzył się z Josem, Nielegalnym Złodziejem Pracy, wątki o tym, jak Obama rujnuje naszą gospodarkę, internetowy klub książkowy, dział poezji i twórczego pisania – który zawierał trzystustronicowe alternatywne zakończenie wojny secesyjnej. Był też specjalny dział dla kobiet i osobny dla nastolatków, który pomagał im wybrnąć z sytuacji w rodzaju, co zrobić, kiedy twój przyjaciel przyznaje się do homoseksualizmu (natychmiast zakończyć znajomość albo wyjaśnić, że nikt się taki nie rodzi i ta moda w końcu przeminie). Robiliśmy sondaże („Co jest gorsze: biały homo czy czarny hetero? Które uniwersytety są najbardziej antybiałe?"), a najpopularniejszy stał się wątek o utworzeniu białej nacjonalistycznej szkoły podstawowej i średniej, z ponad milionem postów.

Ale prowadziliśmy również dział z sugestiami na temat działań, które można podejmować indywidualnie bądź w obrębie swoich środowisk, bez lansowania przemocy w dosłownym znaczeniu tego słowa. Na ogół podpowiadaliśmy sposoby napędzenia mniejszościom strachu, aby myślały, że w pobliżu czai się nas cała armia, podczas gdy faktycznie chodziło tylko o jedną lub dwie osoby.

Francis i ja stosowaliśmy własne zalecenia w praktyce. W okolicy zamieszkanej w większości przez czarnych zawiesiliśmy tablicę na autostradzie z informacją, że odcinek podlega Ku Klux Klanowi. Któregoś wieczora pojechaliśmy do Społecznego Ośrodka Żydowskiego w West Hartford. W czasie wieczornego nabożeństwa za wycieraczki wszystkich samochodów na parkingu wsunęliśmy ulotki ze zdjęciem Adolfa Hitlera z ręką wyciągniętą w *sieg heil*

i napisem pod spodem: HOLOCAUST TO ŚCIEMA. Na odwrocie zamieściliśmy kilka faktów:

Cyklon B był stosowany na wszy; użycie go jako gazu wymagałoby ogromnych ilości oraz szczelnych komór, a w obozach nie było ani jednego, ani drugiego.

W obozach nie znaleziono żadnych dowodów, które świadczyłyby o masowych mordach. Gdzie podziały się szczątki kości i zębów? Co się stało z prochami ofiar?

Amerykańskie spalarnie palą w ciągu ośmiu godzin jedno ciało, a dwa krematoria w Auschwitz paliły dwadzieścia pięć tysięcy ciał dziennie? Niemożliwe.

Czerwony Krzyż co trzy miesiące przeprowadzał inspekcje obozów i składał liczne skargi – z których żadna nie dotyczyła zagazowania milionów Żydów.

Liberalne media żydowskie rozpowszechniają tę bajeczkę dla własnych celów.

Następnego ranka w „Hartford Courant" pojawił się artykuł o neonazistowskim elemencie infiltrującym społeczność. Rodzice drżeli o swoje dzieci. Na wszystkich padł blady strach.

I o to nam chodziło. Nie musieliśmy nikogo terroryzować, a i tak trzęśli portkami.

– Wykonaliśmy kawał dobrej roboty – oznajmił z dumą Francis, kiedy wracaliśmy do domu.

Przytaknąłem, nie odrywając oczu od drogi. Francis miał bzika na tym punkcie – na przykład, nie pozwalał mi prowadzić z włączonym radiem, żebym się nie rozpraszał.

– Chcę cię o coś zapytać, Turk – zagaił. Myślałem, że zapyta o pozycjonowanie w wyszukiwarce albo nagrywanie podcastów, ale

mnie zaskoczył. – Kiedy masz zamiar zrobić uczciwą kobietę z mojej córki?

Z wrażenia omal nie połknąłem języka.

– Ja, uhm, byłbym zaszczycony.

Rzucił mi krytyczne spojrzenie.

– Świetnie. Nie ma na co czekać.

Trochę mi to zajęło. Chciałem, żeby wszystko wypadło doskonale, więc poprosiłem o rady na SAMOTNYMWILKU. Jeden gość przebrał się w mundur SS i oświadczył w pełnym rynsztunku. Inny zabrał ukochaną w miejsce ich pierwszej prawdziwej randki, ale nie uważałem, aby stoisko z hot dogami, gdzie geje obciągają sobie po krzakach, stanowiło wymarzoną oprawę. Paru komentatorów wdało się w zażartą dyskusję, czy warto kupić pierścionek zaręczynowy, skoro branża jubilerska jest okupowana przez Żydów.

W końcu postanowiłem po prostu wyznać jej, co czuję, więc któregoś dnia pojechaliśmy do mnie.

– Serio? – spytała. – Ty będziesz gotował?

– Pomyślałem, że może zrobilibyśmy to razem – zaproponowałem, kiedy weszliśmy do kuchni. Musiałem się odwrócić, żeby nie widziała, jaki jestem przerażony.

– A co zjemy?

– Na pewno się nie zawiedziesz. – Podałem jej soję. Na pudełku napisałem: „Nie wiem soja bym począł bez ciebie!”.

Wybuchła śmiechem.

– Niezłe.

Następnie wręczyłem jej główkę sałaty z karteczką: „Moje życie to sałaTy!”.

Z uśmiechem wystawiła rękę.

I dostała butelkę coca-coli z naklejką: „Na twój widok colana mi miękną!”.

– Przeginasz – stwierdziła z rozbawieniem.

– Miałem zawężone pole działania. – Podałem jej kapustę z podpisem „Tylko wielkapusta ciemność gdy nie ma ciebie ze mną!”.

Następnie otworzyłem lodówkę.

Na górnej półce ustawiłem cukinię, na której wydrapałem „WYJDŹ ZA MNIE”. I gruszkę z wyrytym imieniem Brit.

Kiedy opadłem na kolano, przycisnęła rękę do ust. Podałem jej puzderko z pierścionkiem. W środku znajdował się błękitny topaz, kropka w kropkę w kolorze jej oczu.

– Zgódź się – poprosiłem.

Wstałem, a ona wsunęła pierścionek na palec.

– Po tym wszystkim spodziewałam się raczej drucika do wiązania torebek foliowych – stwierdziła i zarzuciła mi ręce na szyję.

Pocałowaliśmy się, posadziłem ją na blacie. Owinęła mnie nogami. Pomyślałem o spędzeniu z nią reszty życia. O naszych dzieciach, o tym, że wyglądałyby zupełnie jak ona, a ich ojciec byłby tysiąc razy lepszy od mojego.

Godzinę później, kiedy leżeliśmy przytuleni na kuchennej podłodze, na stercie naszych ciuchów, przysunąłem się jeszcze bliżej.

– Rozumiem, że się zgadzasz – powiedziałem.

***

Kiedy wracam z sądu i wchodzę do domu, telewizor jeszcze gra. Francis wychodzi mi na spotkanie; patrzę na niego z pytaniem na końcu języka. Ale nim zdążę je zadać, mój wzrok pada na Brit, siedzącą na podłodze w dużym pokoju z nosem niemal przyklejonym do ekranu. Lecą wiadomości w południe, Odette Lawton udziela wywiadu.

Brit odwraca się i uśmiecha po raz pierwszy od narodzin naszego syna, po raz pierwszy od wielu tygodni.

– Kochany – mówi, rozpromieniona, piękna i znowu moja. – Kochany, jesteś gwiazdą.

Ruth

Skuwają mnie kajdankami.

Krępują mi ręce, ot tak, a dwieście lat historii przeszywa mnie jak prądem. Oczami wyobraźni widzę moją praprababkę i jej matkę, wystawione na sprzedaż. Zakładają mi kajdanki, a mój syn – któremu powtarzałam od urodzenia „jesteś czymś więcej niż kolor twojej skóry" – na to patrzy.

To bardziej upokarzające niż wyjście na ulicę w koszuli nocnej, niż sikanie na widoku w areszcie, niż oplucie przez Turka Bauera, niż słuchanie, jak obca osoba mówi do sędziego w moim imieniu.

Zapytała, czy dotknęłam dziecka, a ja skłamałam. Nie dlatego, że jeszcze bałam się o utrzymanie pracy, ale ponieważ zabrakło mi refleksu na obmyślenie właściwej odpowiedzi, która zwróciłaby mi wolność. I ponieważ nie ufałam tej nieznajomej, dla której byłam tylko jedną z dwudziestu dzisiejszych klientów.

Słucham, jak prawniczka – Kennedy jakaś tam, nazwisko wyleciało mi z głowy – przerzuca się słówkami z drugą. Ciemnoskóra oskarżycielka nawet nie patrzy mi w oczy. Nie wiem, czy to dlatego, że gardzi mną, domniemaną zbrodniarką… czy może wie, że jeśli chce być brana poważnie, musi pogłębić przepaść między nami.

Zgodnie z zapowiedzią, Kennedy załatwia mi wyjście za kaucją. Mam ochotę ją wyściskać, zasypać podziękowaniami.

– I co teraz? – pytam, gdy na wieść o tym ludzie na widowni nagle ożywają.

– Wychodzi pani – mówi Kennedy.

– Chwała Bogu. Kiedy?

Myślę, że za kilka minut. Najwyżej godzinę. Pewnie trzeba wypełnić jakieś papiery, które – gdy już wszystko się wyjaśni – schowam głęboko w szufladzie.

– Za kilka dni – odpowiada Kennedy. Potem zwalisty strażnik łapie mnie za ramię i pcha z powrotem do aresztu w suterenie tego paskudnego gmachu.

Czekam w tej samej celi, do której zabrano mnie w czasie przerwy. Liczę cegły w ścianie: trzysta sześćdziesiąt. Liczę je od nowa. Myślę o pająku na czaszce Turka Bauera; nie sądziłam, że ten człowiek może być jeszcze gorszy, niż myślałam, a jednak. Nie wiem, ile czasu mija, zanim przychodzi Kennedy.

– Co się dzieje? – wybucham. – Przecież nie będę siedzieć tu kilka dni!

Mówi coś o procentach i ratach hipotecznych, cyfry wirują mi w głowie.

– Wiem, że martwi się pani o syna. Siostra na pewno się o niego zatroszczy.

Szloch wzbiera mi w gardle jak pieśń. Myślę o domu mojej siostry, gdzie chłopcy odszczekują ojcu, kiedy każe im wyrzucić śmieci. Gdzie kolacja nie jest rozmową, tylko chińszczyzną przy wtórze ryczącego telewizora. Myślę o Edisonie, który przysyła mi do pracy esemesy w rodzaju „Czytam Lolitę na ang. Nabokov = zdrowo porąbany gość".

– Więc mam tu zostać? – pytam.

– Odwiozą panią do więzienia.

– Do więzienia? – Czuję na plecach lodowaty dreszcz. – Przecież wychodzę za kaucją.

– Wychodzi pani. Ale sprawiedliwość jest nierychliwa, wszystko musi trochę potrwać.

Nagle w drzwiach staje strażnik, którego widzę po raz pierwszy.

– Koniec przerwy na kawę – oznajmia.

Kennedy patrzy na mnie i pospiesznie z siebie wyrzuca słowa.

– Niech pani z nikim nie rozmawia o zarzutach. Będą ciągnąć panią za język, żeby coś dla siebie ugrać. Proszę nikomu nie ufać.

„Łącznie z tobą?", myślę.

Strażnik otwiera drzwi i każe mi wystawić ręce. Znowu kajdanki.

– Czy to naprawdę konieczne? – pyta Kennedy.

– Nie ja ustalam zasady – ucina strażnik.

Prowadzą mnie przez hol na dziedziniec, gdzie czeka samochód. W środku siedzi druga kobieta w kajdankach. Jest ubrana w obcisłą sukienkę, ma brokat na oczach i fale do połowy pleców.

– Podobam ci się? – pyta, a ja natychmiast odwracam wzrok.

Strażnik siada na przednim siedzeniu i zapuszcza silnik.

– Panie władzo! – woła kobieta. – Kocham błyskotki, ale te kajdanki psują mój imydż.

Kiedy tamten nie odpowiada, przewraca oczami.

– Jestem Liza – mówi. – Liza Lott.

Nie mogę powstrzymać się od śmiechu.

– Czy to twoje prawdziwe imię?

– Oby, sama je sobie wybrałam. Podoba mi się bardziej niż… Bruce. – Sznuruje usta w oczekiwaniu na moją reakcję. Przenoszę wzrok z jej dużych, wypielęgnowanych dłoni na olśniewającą twarz. Jeśli chciała mnie zaszokować, trafiła jak kulą w płot. Jestem pielęgniarką. Widziałam w życiu dosłownie wszystko, w tym transseksualistę, który zaszedł w ciążę, bo jego żona była bezpłodna, i kobietę z dwiema pochwami.

Śmiało wytrzymuję jej spojrzenie.

– Jestem Ruth.

– Wzięłaś kanapki, Ruth?

– Co takiego?

– Żarcie, kotku. W sądzie karmią lepiej niż w więzieniu, prawda?

Potrząsam głową.

– Pierwszy raz jestem w takiej sytuacji.

– A ja powinnam odbijać kartę przy wejściu. I dostawać bonusy, na przykład darmową kawę lub miniaturkę maskary za dziesiątym razem. – Szczerzy zęby. – Za co siedzisz?

– Chciałabym to wiedzieć – mówię, zanim gryzę się w język.

– No co ty, kurwa? Siedziałaś na sali rozpraw, miałaś przesłuchanie przed sądem – odpowiada Liza. – Nie słyszałaś, co ci zarzucają?

Odwracam się i wbijam wzrok za okno.

– Adwokat zabronił mi o tym rozmawiać.

– Phi. – Pociąga nosem. – Jaśnie pani raczy wybaczyć.

Widzę przenikliwe, niebieskie oczy strażnika we wstecznym lusterku.

– Siedzi za morderstwo – oznajmia i przez resztę drogi wszyscy milczymy.

Kiedy złożyłam podanie do szkoły pielęgniarstwa, mama poprosiła swojego pastora o specjalną modlitwę w mojej intencji, w nadziei, że Bóg zmiękczy komisję rekrutacyjną. Pamiętam, jak zmartwiałam, siedząc obok niej w kościele, gdy wierni wznieśli swoje dusze i głosy ku niebu w moim imieniu. Ludzie umierali na raka, bezpłodne pary marzyły o dziecku, szalała wojna w krajach Trzeciego Świata – innymi słowy, Pan miał na głowie całą masę ważniejszych rzeczy. Ale mama upierała się, że jestem równie ważna, przynajmniej dla naszej kongregacji. Byłam jej oczkiem w głowie, Absolwentką College'u, która Zmieni Świat.

Dzień przed rozpoczęciem zajęć mama zabrała mnie na kolację.

– Jestem stworzona do osiągania małych wielkich rzeczy – oznajmiła. – Dokładnie tak, jak powiedział doktor King. – Nawiązywała do jednego ze swych ulubionych cytatów: „Jeśli nie mogę czynić wielkich rzeczy, mogę czynić rzeczy małe w wielki sposób". – Ale – ciągnęła – nie zapominaj, skąd pochodzisz. – Nie bardzo rozumiałam, co chciała przez to wyrazić. Byłam jednym z kilkanaściorga dzieciaków z naszej okolicy, które poszły do college'u, z których zaledwie garstka kontynuowała naukę. Wiedziałam, że jest ze mnie dumna; czuła, że opłaciły się jej starania, aby pokierować mnie na inną drogę. Zważywszy, że wcześnie wypchnęła mnie z gniazda, po co miałam obnosić się z gałązkami, które je tworzyły? Czy nie wzniosę się wyżej bez nich?

Chodziłam na wykłady z anatomii i fizjologii, farmakologii i zasad pielęgniarstwa, ale tak układałam grafik, aby zawsze zdążyć na kolację i opowiedzieć mamie o swoim dniu. Nieważne, że dojeżdżałam dwie godziny pociągiem w każdą stronę. Byłam świadoma, że gdyby przez trzydzieści lat nie szorowała podłóg pani Miny, ja nie jeździłabym tym pociągiem.

– Opowiadaj – mówiła, napełniając mi talerz. Dzieliłam się z nią świeżo przyswojonymi rewelacjami – że połowa ludzkości ma w nosie bakterie gronkowca złocistego, że nitrogliceryna w kontakcie

ze skórą powoduje biegunkę, że rano jest się o ponad centymetr wyższym niż wieczorem z powodu płynu między dyskami w kręgosłupie. Ale były też rzeczy, o których jej nie wspominałam.

Być może chodziłam do jednej z najlepszych szkół pielęgniarskich w kraju, lecz miało to znaczenie jedynie na terenie uniwersytetu. Koleżanki z Yale chętnie korzystały z moich drobiazgowych notatek i zapraszały mnie do wspólnej nauki. W czasie szpitalnego stażu wykładowcy chwalili moje rozeznanie. Jednak gdy pod koniec dnia szłam do sklepiku po colę, właściciel chodził za mną krok w krok, żebym tylko niczego nie ukradła. Siedziałam w pociągu, a starsze białe kobiety przechodziły dalej, unikając mojego wzroku, chociaż obok mnie było wolne miejsce.

Miesiąc po rozpoczęciu nauki kupiłam sobie studencki kubek podróżny. Matka uznała, że to dlatego, ponieważ codziennie musiałam wychodzić przed świtem, aby zdążyć na pociąg do New Haven, toteż wstawała i parzyła mi co rano świeżą kawę. Ale ja nie potrzebowałam kofeiny; to był bilet do innego świata. Wsiadałam do pociągu i stawiałam sobie kubek na kolanach, odwrócony napisem YALE do zewnątrz, na użytek współpasażerów. To była flaga, znak. „Jestem jedną z was".

Okazuje się, że więzienie dla kobiet leży godzinę drogi od New Haven. Po dotarciu na miejsce Liza i ja trafiamy do celi, która wygląda identycznie jak sądowa, tyle że jest bardziej zatłoczona. W środku ściska się już piętnaście kobiet. Siadam przy ścianie na podłodze między dwiema więźniarkami. Jedna trzyma przed sobą splecione dłonie i mamrocze modlitwę po hiszpańsku. Druga obgryza skórki przy paznokciach.

Liza opiera się o kraty i zaczyna zaplatać swoje długie włosy w kłos.

– Przepraszam – mówię cicho. – Wiesz może, czy pozwolą mi zadzwonić?

Patrzy na mnie.

– Patrzcie państwo, nagle chcesz ze mną gadać?

– Przepraszam. Nie chciałam być niegrzeczna. Po… po prostu wszystko jest dla mnie nowe.

Strzela gumką na końcu warkocza.

– Jasne, że pozwolą. Zaraz po tym, jak dostaniesz kawior i wymasują ci stopy.

Jestem wstrząśnięta. Więzień ma chyba prawo do telefonu?

– W filmach jest inaczej – mruczę.

Liza łapie się za biust i go unosi.

– Nie wierz we wszystko, co widzisz.

Strażniczka otwiera celę. Rozmodlona kobieta wstaje z oczami pełnymi nadziei, ale funkcjonariuszka kiwa na Lizę.

– Na miłość boską, Liza. Ty znowu tutaj?

– A nie zna się pani na ekonomii? Wszystko się kręci wokół podaży i popytu. Sama w tym nie siedzę, pani władzo. Gdyby nie było takiego zapotrzebowania na moje usługi, źródełko by wyschło.

Strażniczka się śmieje.

– To ci dopiero wizja – mówi, po czym ujmuje Lizę pod ramię i wyprowadza.

Zgarniają nas jedną po drugiej. Żadna nie wraca. Dla zabicia czasu sporządzam listę rzeczy, które muszę opowiedzieć Adisie, kiedy nadejdzie czas, że spojrzę wstecz i będę się z tego śmiała: że posiłek, który serwują nam w czasie wielogodzinnego czekania, to bliżej nieokreślona breja, że więźniarka, która szorowała podłogę, kiedy weszłyśmy, do złudzenia przypominała moją wychowawczynię z drugiej klasy, i że choć wstydzę się mojej nocnej koszuli, w celi jest ze mną kobieta w przebraniu maskotki, jakie widuje się na szkolnych meczach. W końcu ta sama strażniczka, która zabrała Lizę, otwiera drzwi i mnie wywołuje z sali.

Uśmiecham się, nie chcę robić żadnych problemów. Czytam nazwisko na jej plakietce: GATES.

– Strażniczko Gates – mówię, kiedy znajdujemy się poza zasięgiem słuchu pozostałych kobiet. – Wiem, że wykonuje pani swoją pracę, ale ja mam wyjść za kaucją. Chodzi o to, że muszę skontaktować się z moim synem…

– Zachowaj tę gadkę na użytek swojego obrońcy. – Robi mi kolejne zdjęcie i ponownie zdejmuje odciski. Wypełnia formularz, gdzie

muszę podać między innymi nazwisko, adres i płeć oraz zgłosić, czy jestem nosicielką HIV i brałam narkotyki. Następnie prowadzi mnie do pomieszczenia niewiele większego od schowka, w którym stoi tylko krzesło. – Rozbieraj się – komenderuje. – Połóż ubranie na krześle.

Patrzę na nią.

– Rozbieraj się – powtarza.

Staje z założonymi rękami i opiera się o drzwi. W więzieniu najpierw tracisz prywatność, w drugiej kolejności pozbawiają cię godności. Staję do niej tyłem i zdejmuję koszulę nocną przez głowę. Składam ją starannie i kładę na krześle. Ściągam majtki, które też składam. Na wierzchu stawiam kapcie.

W zawodzie pielęgniarki uczysz się dyskrecji w upokarzających dla pacjentki sytuacjach – zasłaniasz rozłożone nogi prześcieradłem, zakrywasz gołe pośladki. Gdy rodząca wypróżnia się z powodu nacisku główki, od razu sprzątasz i mówisz, że to się zdarza każdemu. W każdej krępującej sytuacji zachowujesz się naturalnie. Kiedy tak stoję, goła i rozdygotana, zastanawiam się, czy rola strażniczki nie jest aby odwrotnością mojej. Czy przypadkiem nie zależy jej wyłącznie na tym, żeby mnie upokorzyć.

Postanawiam nie dać jej tej satysfakcji.

– Otwórz usta – mówi, a ja wystawiam język jak u lekarza. – Nachyl się i pokaż, co masz za uszami.

Robię, co mi każe, choć nie wyobrażam sobie, jak można ukryć coś za uszami. Następnie mam przeczesać włosy, rozłożyć palce u stóp i unieść nogi, żeby mogła obejrzeć podeszwy.

– Kucnij – mówi. – I odkaszlnij trzy razy.

Zważywszy na niebywałą elastyczność swojego ciała, kobieta może zapewne przemycić niejedno do więzienia. Myślę o tym, jak uczyłam się w szkole określać rozwarcie szyjki macicy. Jeden centymetr to opuszka palca. Dwa i pół centymetra to drugi i trzeci palec wsunięte do szyjki flakonu zmywacza do paznokci. Cztery centymetry to te same palce w szyjce kilogramowej butelki sosu do grilla Sweet Baby Ray. Pięć centymetrów, wylot dużej butelki keczupu Heinza, a siedem – plastikowy shaker tartego parmezanu Krafta.

– Rozewrzyj pośladki.

Kilkakrotnie odbierałam poród dziecka kobiety molestowanej seksualnie. To logiczne, że poród może przywoływać bolesne wspomnienia. Ciało rodzącej jest w stresie, więc w przypadku ofiary gwałtu może dojść do odruchu obronnego, który fizjologicznie spowolni lub zatrzyma akcję porodową. W takich wypadkach zachowanie intymności staje się jeszcze ważniejsze. Trzeba słuchać kobiety, a ona musi czuć, że ma prawo głosu w kwestii tego, co się z nią dzieje.

Może nie mam tutaj prawa głosu, lecz ode mnie zależy, czy będę ofiarą. Mam poczuć się jak zwierzę, oto główny cel działania strażniczki. Mam wstydzić się swojej nagości.

Ale ja przez dwadzieścia lat mogłam podziwiać kobiece piękno – nie ze względu na jego wygląd, lecz na to, co potrafią znieść ich ciała.

Dlatego wstaję i odwracam się do strażniczki, zmuszam ją, aby odwróciła wzrok od mojej gładkiej, brązowej skóry, ciemnych krążków sutków, wypukłego brzucha i kępki włosów między nogami. Podaje mi pomarańczowy uniform, który ma mnie przyporządkować, a także plakietkę z numerem więziennym, określającą mnie jako część grupy, a nie jednostkę. Patrzę na nią, dopóki nie odwzajemnia mojego spojrzenia.

– Mam na imię Ruth – mówię.

Piąta klasa, przy śniadaniu. Siedziałam z nosem w książce i czytałam na głos ciekawostki.

– Pewne bliźnięta urodziły się w odstępie osiemdziesięciu siedmiu dni – oznajmiłam.

Rachel siedziała naprzeciwko mnie i gmerała w swoich płatkach kukurydzianych.

– W takim razie nie były bliźniętami, kretynko.

– Mamo! – wrzasnęłam odruchowo. – Rachel mnie wyzywa. – Przewróciłam kartkę. – Sigurd Potężny umarł przez człowieka, któremu ściął głowę. Przytroczył ją sobie do siodła, skaleczył się jego zębem i zmarł w wyniku zakażenia.

Mama przybiegła do kuchni.

– Nie wyzywaj jej, Rachel. A ty, Ruth, przestań czytać takie obrzydliwości przy jedzeniu.

Z ociąganiem zamknęłam książkę, lecz najpierw mój wzrok padł na ostatnią ciekawostkę: członkowie pewnej rodziny z Kentucky z powodu defektu genetycznego przez pokolenia rodzili się z niebieską skórą. „Ekstra", pomyślałam, po czym uniosłam dłoń i obejrzałam ją ze wszystkich stron.

– Ruth! – upomniała mnie ostro mama, co uświadomiło mi, że woła nie pierwszy raz. – Idź zmienić koszulę.

– Dlaczego? – spytałam, zapominając, że nie wolno pyskować.

Mama szarpnęła za moją górę od mundurka, na której w okolicach żeber widniała plama wielkości dziesięciocentówki. Łypnęłam spode łba.

– Przecież nikt nie zauważy, kiedy włożę sweter.

– A jeśli go zdejmiesz? – spytała. – Nie chodzi się do szkoły w poplamionych ubraniach, bo ludzie uznają cię za fleję. I skrytykują, bo jesteś czarna.

Wiedziałam, że w takich sytuacjach lepiej jej nie rozjuszać. Dlatego wzięłam książkę i pobiegłam do naszego pokoju się przebrać. Kiedy zapinałam czystą, białą koszulę, zbłądziłam wzrokiem w stronę otwartej książki na łóżku.

„Najsamotniejszym stworzeniem na ziemi jest wieloryb, który od ponad dwudziestu lat nawołuje partnerkę", przeczytałam, „ale jego głos tak dalece różni się od głosu innych waleni, że nigdy nie doczekał się odpowiedzi".

W dyspozytorni dostaję prześcieradło, koc, mydło, szampon, szczoteczkę i pastę do zębów. Do celi odprowadza mnie inna więźniarka, która przekazuje mi najważniejsze informacje: od tej pory wszystkie artykuły higieny osobistej mam kupować w kantynie; jeśli chcę oglądać *Sędzię Judy*, lepiej przyjść wcześniej, żeby zająć dobre miejsce; posiłki halal są najlepsze, więc mogę zgłosić, że jestem muzułmanką, a niejaka Wig robi najlepsze tatuaże, bo miesza tusz z moczem, dzięki czemu jest bardziej trwały.

Zauważam po drodze, że w każdej celi mieszkają po dwie więźniarki, z których większość jest czarna, w przeciwieństwie do strażniczek. Czuję się trochę tak jak wówczas, gdy mama zmuszała moją siostrę, żeby zabierała mnie na spotkania z koleżankami z naszej dzielnicy. Dziewczynki nabijały się ze mnie, że jestem jak oreo – czarna na zewnątrz, biała w środku. Milczałam w obawie, że wyjdę na idiotkę. A jeśli wyląduję w celi z taką samą kobietą? Co możemy mieć wspólnego?

„A choćby to, że obie siedzicie w więzieniu".

Skręcamy i więźniarka zamaszyście wskazuje coś ręką.

– Witaj w domu – oznajmia. Gdy zaglądam do środka, widzę białą kobietę siedzącą na pryczy.

Kładę swój tobołek na pustym materacu i zaczynam powlekać pościel.

– Powiedziałam, że możesz tam spać? – pyta kobieta.

Zastygam.

– Ja… uhm… nie.

– A wiesz, co się stało z moją poprzednią współlokatorką? – Ma rude, spuszone włosy i rozbieżnego zeza. Potrząsam głową. Podchodzi jeszcze bliżej, dzielą nas centymetry. – Tego nikt nie wie – szepcze. I wybucha śmiechem. – Wybacz, tylko cię nabieram. Mam na imię Wanda.

Serce mało nie wyskakuje mi z piersi.

– Ruth – bąkam. Wskazuję na pusty materac. – Czyli…

– A bierz. Mam to w dupie, póki nie tykasz moich bambetli.

Przytakuję i ścielę łóżko pod czujnym okiem Wandy.

– Jesteś stąd?

– Z East Endu.

– A ja z Bantam. Byłaś tam kiedy? – Kręcę głową. – W Bantam nikt nie był. To twój pierwszy raz?

Zdezorientowana, podnoszę głowę.

– W Bantam?

– W kiciu.

– Tak, ale długo tu nie zabawię. Mam wyjść za kaucją.

Wanda parska śmiechem.

– Aha.

Odwracam się powoli.

– No co?

– Czekam na to samo. Już trzy tygodnie.

Trzy tygodnie. Czuję, że kolana się pode mną uginają, i osuwam się na materac. Trzy tygodnie? Mówię sobie, że jestem w innej sytuacji niż Wanda. Ale mimo to: trzy tygodnie.

– Za co siedzisz? – pyta.

– Za nic.

– Niesamowite, że żadna z nas niczego nie przeskrobała. – Wanda kładzie się na pryczy i wyciąga ręce za głowę. – Oni twierdzą, że zabiłam męża. Ja, że sam się nadział. – Patrzy na mnie. – To był wypadek. No wiesz, jak wtedy, kiedy złamał mi rękę, podbił oko i zrzucił ze schodów. To też były wypadki.

Jej głos ma ciężar ołowiu. Zastanawiam się, czy z czasem też zacznę mówić tak samo. Myślę o Kennedy, która zabroniła mi zwierzeń.

Myślę o Turku Bauerze i tatuażu na jego łysej czaszce. Ciekawe, czy siedział w więzieniu. Oznaczałoby to, że my również mamy coś wspólnego.

Potem myślę o jego dziecku w moich ramionach w kostnicy, zimnym i sinym jak granit.

– Nie wierzę w wypadki – mówię i na tym poprzestaję.

Psycholog więzienny Ramirez jest mężczyzną o twarzy okrągłej i miękkiej jak pączek, właśnie siorbie zupę. Bez przerwy chlapie sobie na koszulę, staram się na to nie patrzeć.

– Ruth Jefferson? – pyta, przeglądając moją kartotekę. – Miałaś pytanie w sprawie odwiedzin?

– Tak – odpowiadam. – Chodzi o mojego syna Edisona. Muszę się z nim skontaktować, żeby zebrał papiery potrzebne do kaucji. Ma dopiero siedemnaście lat.

Ramirez szpera w biurku. Wyciąga czasopismo – „Broń & Amunicja” – plik ulotek na temat depresji, po czym wręcza mi formularz.

– Zapisz nazwiska i adresy odwiedzających.

– I co potem?

– Potem roześlę pisma, a kiedy je podpiszą i odeślą, przybijemy pieczątkę i załatwione.

– Ale to może potrwać kilka tygodni.

– Zwykle dziesięć dni – precyzuje Ramirez. Siiiiorb.

Łzy napływają mi do oczu. To jakiś koszmar; myślę, że śni mi się coś złego, a ktoś potrząsa mnie za ramię i mówi, że to nie sen.

– Nie mogę zostawić go samego na tak długo.

– Zadzwonię do opieki społecznej…

– Nie! – wybucham. – Proszę tego nie robić.

Tknięty jakimś impulsem odkłada łyżkę i na mnie patrzy, nie bez współczucia.

– Zawsze zostaje naczelnik. Może wyrazić zgodę na odwiedziny dwóch osób dorosłych przed rozpatrzeniem oficjalnego podania. Ale biorąc pod uwagę wiek twojego syna, musiałby przyjść w towarzystwie osoby pełnoletniej.

„Adisa", myślę. I natychmiast sobie przypominam, dlaczego odmówią jej prawa do wizyty: jest notowana, pięć lat temu sfałszowała czek.

Odsuwam formularz. Ściany zdają się na mnie napierać.

– Dziękuję panu – wykrztuszam i wracam do celi.

Wanda siedzi na pryczy i przeżuwa twixa. Zerka na mnie, po czym odłamuje malutki kawałek i mi podaje.

Chowam go w zaciśniętej pięści. Czekolada zaczyna się roztapiać.

– Nie zadzwonisz? – pyta Wanda. Kręcę głową. Siadam na pryczy i odwracam się od niej, twarzą do ściany. – Pora na *Sędzię Judy* – oznajmia. – Idziesz oglądać?

Kiedy nie odpowiadam, Wanda wychodzi z celi, pewnie do świetlicy. Zlizuję z ręki batonika, po czym składam ręce i zwracam się do jedynego skrawka nadziei, który mi został. „Boże", mówię. „Wysłuchaj mnie, proszę".

W dzieciństwie czasem nocowałam u Christiny. Rozkładałyśmy śpiwory w salonie, a Sam Hallowell puszczał nam stare kreskówki, które pewnie dostał w czasach, kiedy był producentem telewizyjnym. Wtedy to było coś – nie mieliśmy odtwarzaczy ani wideo na żądanie,

a prywatne seanse były zarezerwowane dla gwiazd filmowych oraz, jak sądzę, ich dzieci. Trochę denerwowałam się nocą poza domem, ale mama robiła nam kąpiel, przebierała mnie w piżamę i przed wyjściem dawała nam ciasteczka i gorącą czekoladę, a kiedy się budziłyśmy, już była z powrotem i smażyła naleśniki.

Różnice między mną a Christiną z biegiem czasu coraz bardziej rzucały się w oczy. Coraz trudniej było udawać, że moja mama nie pracuje dla jej mamy, że ja muszę pracować po szkole, a ona została napastniczką w szkolnej drużynie piłkarskiej albo że donaszam po niej odzież. Nie chodziło o to, że była dla mnie niemiła. Nie, dzielący nas mur wyrósł na gruncie mojej podejrzliwości, stopniowo uzupełniałam go o kolejne cegły. Wszystkie koleżanki Christiny były jasnowłose, ładne i wysportowane, lgnęły do niej jak motyle do kwiatu; stroniłam od nich, wmawiając sobie, że chcę oszczędzić Christinie poczucia, że musi mnie uwzględnić. Wolałam się odsunąć, niż ryzykować, że stanę się piątym kołem u wozu.

Sęk w tym, że nie miałam innych koleżanek. Jednej Pakistance z wymiany, dziewczynce z kataraktą, pomagałam w matematyce, ale w zasadzie łączyło nas tylko to, że nie pasowałyśmy nigdzie indziej. Była też grupka czarnej młodzieży, lecz pod względem zaplecza dzieliły nas lata świetlne: oni mieli rodziców maklerów, chodzili na szermierkę, a na wakacje jeździli do letnich domków w Nantucket. Miałam oczywiście Rachel, obecnie osiemnastoletnią, w ciąży z pierwszym dzieckiem. Zapewne potrzebowała bratniej duszy, ale gdy siadałyśmy twarzą w twarz przy kuchennym stole, nie miałam bladego pojęcia, co jej powiedzieć, gdyż jej marzenia kompletnie różniły się od moich, no i – szczerze mówiąc – trochę miałam cykora, że jeśli zacznę spędzać z nią czas, zarażę się jej postawą i jeszcze bardziej będę odstawała w Dalton.

Może dlatego, kiedy Christina zaprosiła mnie na piątek na noc, odruchowo się zgodziłam. Zgodziłam się w nadziei, że jednak nie mam racji. Chciałam zabłysnąć w towarzystwie nowych przyjaciółek Christiny anegdotkami o tym, jak robiłyśmy hełmy z folii aluminiowej i chowałyśmy się w windzie do transportu naczyń, udając, że to statek kosmiczny; albo jak Fergus, pies pani Miny, narobił jej na łóżko, a my zamalowałyśmy plamę białą farbą, pewne, że nikt nie

zauważy. Pragnęłam być jedyną, która wie, gdzie w kuchni ukryte są słodycze, gdzie leży zapasowa pościel i jakie imiona noszą stare maskotki Christiny. Chciałam, aby wszystkie pozostałe się dowiedziały, że przyjaźnię się z Christiną znacznie dłużej od nich.

Christina zaprosiła dwie inne drugoklasistki – Misty, która miała taryfę ulgową na zadania domowe z powodu dysleksji, ale za to bez żadnych problemów czytała na głos „Cosmopolitan" ze stosu gazet wyniesionych przez Christinę na dach, i Kierę z obsesją na punkcie Roba Lowe'a i własnych ud. Rozłożyłyśmy ręczniki na drewnianej podłodze. Christina włączyła radio, w którym właśnie leciała piosenka Dire Straits, i zaczęła śpiewać, bo znała słowa na pamięć. Przypomniałam sobie, jak puszczałyśmy płyty pani Miny – oryginalne broadwayowskie nagrania – i tańczyłyśmy, udając, że jesteśmy Kopciuszkiem, Evą Perón albo Marią von Trapp.

Wyjęłam z torby opakowanie kremu z filtrem. Pozostałe dziewczęta natarły się oliwką dla dzieci jak steki na grillu, ale ja nie miałam zamiaru jeszcze ściemnieć. Podchwyciłam spojrzenie Kiery.

– Ty się możesz opalić?

– Hm, no tak – odpowiedziałam, ale na szczęście nie musiałam się wdawać w szczegóły, bo Misty nam przerwała.

– Ale ekstra – oznajmiła. – Brytyjska inwazja. – Odwróciła gazetę, żebyśmy zobaczyły modelki, jedną chudszą od drugiej, w ubraniach z flagą brytyjską i czerwonych kurtkach ze złotymi guzikami, które nasunęły mi skojarzenie z Michaelem Jacksonem.

Christina położyła się obok mnie i pokazała palcem.

– Linda Evangelista jest boska.

– Uhm, serio? Wygląda jak nazistka. Cindy Crawford jest bardziej naturalna – odparowała Kiera. Spojrzałam na fotografie. – Moja siostra jedzie latem do Londynu – dodała Kiera. – Zaplanowała podróż z plecakiem po Europie. Kazałam tacie obiecać na piśmie, że po osiemnastce mnie także pozwoli.

– Z plecakiem? – Misty się wzdrygnęła. – Ale po co?

– Bo to romantyczne, kretynko. Tylko pomyśl. Jeździsz pociągiem. Śpisz w hostelach. Poznajesz fajnych chłopaków.

– Ja tam uważam, że Savoy też jest romantyczny – oświadczyła Misty. – I można się wykąpać.

Kiera przewróciła oczami.

– No powiedz jej, Ruth. W romansach nikt nie poznaje nikogo w Savoyu. Kochankowie wpadają na siebie na peronie albo niechcący zamieniają się bagażem, prawda?

– Brzmi jak przeznaczenie – odpowiedziałam, ale pomyślałam sobie, że jeśli chcę iść na studia, całe lato muszę pracować.

Christina przewróciła się na brzuch.

– Konam z głodu. Pora coś przekąsić. – Spojrzała na mnie. – Skoczysz po żarcie, Ruth?

Mama uśmiechnęła się, kiedy weszłam do kuchni, w której pachniało jak w niebie. Ciastka studziły się na kratce, kolejna blacha właśnie szła do pieca. Dała mi łyżkę do oblizania.

– Jak tam sytuacja w Saint-Tropez?

– Wszyscy są głodni – zaraportowałam. – Christina domaga się prowiantu.

– Och, czyżby? To dlaczego sama nie przyszła poprosić?

Otworzyłam usta, żeby odpowiedzieć, ale nie wiedziałam co. Właśnie, dlaczego zleciła to mnie? I dlaczego poszłam?

Mama zacisnęła usta.

– Po co tu przyszłaś, kochanie?

Wbiłam wzrok w swoje bose stopy.

– Już ci mówiłam… jesteśmy głodne.

– Ruth – powtórzyła. – Po co tutaj przyszłaś?

Tym razem nie udawałam, że nie rozumiem.

– Ponieważ – odpowiedziałam tak cicho, że prawie sama nie usłyszałam, tak cicho, że może mama też nie usłyszy – nie mam się gdzie podziać.

– To nieprawda – odrzekła. – Gdy będziesz na nas gotowa, będziemy na ciebie czekali.

Chwyciłam talerz i wypełniłam go ciastkami. Nie wiedziałam, o co jej chodzi, i wolałam nie wiedzieć. Unikałam jej przez resztę popołudnia, a kiedy poszła, siedziałyśmy już zabarykadowane w pokoju Christiny, słuchałyśmy Depeche Mode i tańczyłyśmy na materacu. Słuchałam, jak dziewczęta zwierzają się ze swoich potajemnych zauroczeń, i udawałam, że też mam kogoś na oku, byle uczestniczyć w rozmowie. Gdy Kiera wyjęła piersiówkę z wódką („No

wiecie, ma najmniej kalorii, jeśli chcecie się upić"), zachowywałam się jakby nigdy nic, chociaż miałam duszę na ramieniu. Nie piłam, bo mama by mnie zabiła, poza tym wolałam zachować nad sobą kontrolę. Co wieczór przed spaniem smarowałam skórę balsamem i nacierałam kolana, pięty i łokcie masłem kakaowym, żeby skóra nie nabrała szarawego odcienia, szczotkowałam włosy, by pobudzić ich wzrost, po czym owijałam głowę szalem. Mama tak robiła, Rachel też, ale byłam pewna, że pozostałe dziewczęta byłyby zdumione tym rytuałem, nawet Christina. Nie miałam ochoty wysłuchiwać ich pytań ani jeszcze bardziej odstawać, postanowiłam więc, że pójdę do łazienki jako ostatnia i zostanę tam, póki reszta nie zaśnie… a potem zerwę się o świcie przed wszystkimi i ułożę fryzurę.

Dlatego czuwałam, kiedy Misty opowiadała ze szczegółami, jak obciągała chłopakowi, a Kiera wymiotowała w łazience. Dziewczęta pierwsze umyły zęby, a ja odczekałam, aż usłyszę chrapanie, zanim wyszłam po ciemku z łazienki.

Spałyśmy ściśnięte jak sardynki, we cztery na łóżku. Uniosłam kołdrę i wsunęłam się obok Christiny, pachnącej znajomym szamponem brzoskwiniowym, którego używała od zawsze. Myślałam, że śpi, ale przewróciła się na bok i utkwiła we mnie spojrzenie.

Miałam na głowie szalik, czerwony jak rana, końce zwisały mi na plecy. Zobaczyłam, jak Christina omiata go wzrokiem, po czym ponownie spojrzała na mnie. Nie skomentowała szala.

– Cieszę się, że tu jesteś – szepnęła, a ja przez krótką, cudowną chwilę mogłam powiedzieć to samo.

Nocą, kiedy Wanda chrapie w najlepsze, ja leżę bezsennie. Co pół godziny przechodzi strażnik z latarką i sprawdza, czy wszyscy śpią. Wtedy przymykam oczy i udaję. Zastanawiam się, czy można przywyknąć do nieustannej bliskości stu kobiet. Zastanawiam się, czy w ogóle można przywyknąć.

W czasie jednego z takich obchodów latarka podskakuje w rytm kroków strażnika i zastyga przy naszej celi. Wanda natychmiast siada i patrzy spode łba.

– Wstawaj – komenderuje strażnik.

– Co, do cholery? – stawia się Wanda. – Zachciało się przeprowadzek o północy? Nie słyszeliście o prawach więźniów…

– Nie ty. – Strażnik wskazuje na mnie. – Ona.

Wanda podnosi ręce, daje za wygraną. Podzieliła się ze mną batonikiem, ale teraz jestem zdana na siebie.

Wstaję i na drżących nogach podchodzę do otwartych drzwi celi.

– Dokąd idziemy?

Strażnik bez słowa prowadzi mnie wąskim przejściem. Staje przed drzwiami, wciska guzik i rozlega się brzęczyk odblokowanego zamka. Wchodzimy w komorę powietrzną i czekamy, aż zamkną się drzwi za naszymi plecami, a następne otworzą jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Docieramy do pomieszczenia, które wygląda jak schowek. Podaje mi papierową torbę.

Zaglądam do środka i widzę swoje kapcie oraz koszulę nocną. Ściągam więzienny strój, z przyzwyczajenia zaczynam go składać, po czym rzucam na podłogę. Wkładam moje ubranie, oblekam się z powrotem w moje życie.

Strażnik czeka za drzwiami. Mijamy celę, w której czekałam po przyjeździe i gdzie obecnie tkwią dwie kobiety; śpią skulone na posadzce, śmierdzi alkoholem i wymiocinami. Nagle wychodzimy na zewnątrz, mijamy płot zwieńczony drutem kolczastym.

W panice odwracam się do strażnika.

– Nie mam ani centa – mówię. Wiem, że od New Haven dzieli mnie godzina drogi, a ja nie mam za co zadzwonić ani kupić biletu i jestem w samej koszuli nocnej.

Strażnik wskazuje na coś głową i wtedy ciemność się porusza, widzę cień na tle bezksiężycowego nieba. W końcu dostrzegam zarys samochodu i postać w środku, która wysiada i biegnie w moją stronę.

– Mamo – mówi Edison i mnie przytula. – Jedziemy do domu.

Kennedy

Istnieją dwa typy ludzi, którzy zostają obrońcami z urzędu: jeden wierzy, że może ocalić świat, a drugi doskonale zdaje sobie sprawę, że nie ma na to szans. Typ pierwszy to rozentuzjazmowani absolwenci prawa, przekonani, że coś zmienią. W drugiej grupie są ci z nas, którzy poznali już zasady funkcjonowania systemu i wiedzą, że problemy przerastają nas i naszych klientów. Kiedy krwawiące serce obrasta twardą skorupą realizmu, zwycięstwa stają się jednostkowe: powrót dziecka z rodziny zastępczej do matki po odwyku, oddalenie wniosku o wykorzystanie narkotykowej przeszłości klienta, który dawno wyszedł z nałogu, oraz żonglowanie setkami spraw i wyłonienie tych, które wymagają szczególnego zachodu. Okazuje się, że obrońca z urzędu nie przypomina Supermana, lecz Syzyfa, i niejeden z nas załamuje się pod ciężarem niezliczonych spraw, wiecznych nadgodzin i kiepskiej płacy. W ten sposób szybko dochodzimy do wniosku, że jeśli choć wycinek naszego życia ma pozostać świętością, nie przynosimy pracy do domu.

I dlatego, kiedy Ruth Jefferson śni mi się przez dwie kolejne noce, wiem, że wpadłam jak śliwka w kompot.

W pierwszym śnie spotykamy się na zasadzie klient–prawnik. Zadaję standardowe pytania, ale ona odpowiada mi w języku, którego nie rozumiem. Ba, nawet nie wiem, co to za język. Zakłopotana, bez przerwy proszę ją o powtórzenie. W końcu otwiera usta, z których wyfruwa stadko niebieskich motyli.

Kolejnej nocy Ruth zaprasza mnie we śnie na kolację. Stół jest obficie zastawiony, a potraw starczyłoby dla drużyny piłkarskiej, jedna jest pyszniejsza od drugiej. Wypijam jedną szklankę wody, potem drugą, trzecią, i nagle dzbanek jest pusty. Proszę o dolewkę, a Ruth robi przerażoną minę.

– Myślałam, że wiesz – mówi, a ja nagle uświadamiam sobie, że siedzimy w więziennej celi.

Budzę się z wyschniętym gardłem. Przewracam się na bok, sięgam po szklankę z wodą na stoliku nocnym i biorę długi, orzeźwiający łyk. Czuję, jak Micah obejmuje mnie w pasie i przyciąga do siebie, całuje w szyję i wsuwa mi dłoń pod górę od piżamy.

– Co byś zrobił, gdybym poszła do więzienia? – pytam znienacka.

Micah otwiera oczy.

– Dałbym sobie rękę uciąć, że skoro jesteś moją żoną i masz ponad osiemnaście lat, nie robimy nic złego.

– Weź przestań. – Odwracam się do niego. – Gdybym popełniła przestępstwo… i została skazana?

– Ale jazda. – Micah szczerzy zęby. – Prawniczka w więzieniu. No dobra, już przestaję. A za co? Powiedz, że obnażałaś się w miejscu publicznym. Błagam, powiedz, że obnażałaś się w miejscu publicznym. – Znów mnie przysuwa.

– Niemożliwy jesteś. Co by się stało z Violet? Jak byś jej to wyjaśnił?

– Chcesz mi powiedzieć, że wreszcie zabiłaś szefa?

– Mówię czysto hipotetycznie.

– W takim razie czy moglibyśmy wrócić do tematu za kwadrans? – Oczy mu ciemnieją i mnie całuje.

Kiedy Micah się goli, ja próbuję upiąć włosy w koczek.

– Idziesz dziś do sądu? – pyta.

Wciąż jest rozpłomieniony, ja też.

– Po południu. Skąd wiedziałeś?

– W przeciwnym razie nie wbijałabyś sobie szpilek w głowę.

– Po pierwsze, to wsuwki, a po drugie, chcę wyglądać profesjonalnie – kwituję.

– Jesteś zbyt seksowna, żeby wyglądać profesjonalnie.

Parskam śmiechem.

– Oby moi klienci tak nie myśleli. – Przyklepuję włosy i opieram się biodrem o umywalkę. Chcę poprosić Harry’ego, żeby przydzielił mi coś grubszego kalibru.

– Świetny pomysł – mówi Micah z lekkim przekąsem. – Masz już pięćset otwartych spraw, dodatkowa nie zrobi różnicy.

Święta racja. Bycie obrońcą z urzędu oznacza, że mam dziesięć razy więcej spraw, niż wynika z zaleceń, i przeciętnie niespełna godzinę na przygotowanie każdej. Kiedy pracuję, przeważnie nie jadam lunchu i nie chodzę do łazienki.

– Możesz spać spokojnie, i tak pewnie mi nie da.

Micah stuka maszynką o porcelanę. Tuż po ślubie jak urzeczona patrzyłam na włoski zaschnięte w umywalce, zachodząc w głowę, czy wyczytam z nich przyszłość niczym wróżbita z fusów.

– Czy to nagłe pragnienie ma coś wspólnego z pytaniem o więzienie?

– Może – przyznaję.

– Cóż, wolałbym raczej, żebyś wzięła jego sprawę, niż dołączyła do niego za kratkami.

– Jej sprawę – uściślam. – Mowa o Ruth Jefferson, pielęgniarce. Nie mogę przestać o niej myśleć.

Nawet gdy klient zrobił coś złego, umiem wykrzesać z siebie współczucie. Zdaję sobie sprawę, że dokonano niewłaściwego wyboru, ale wierzę w sprawiedliwość, byle wszyscy mieli do niej dostęp na równych prawach – i dlatego robię to, co robię.

Ale w przypadku Ruth coś mi się nie zgadza.

Nagle wpada Violet. Micah zaciska ręcznik na biodrach, ja wiążę szlafrok.

– Mamusiu, tatusiu! – woła. – Pasuję do Minnie.

Trzyma pluszową Myszkę Minnie i faktycznie, ubrana jest w spódnicę w kropki, żółte adidaski, czerwoną górę od bikini oraz długie, białe rękawiczki. Pojęcia nie mam, jak jej wytłumaczę, że nie pójdzie w bikini do szkoły.

– Minnie jest kobietą upadłą – zaznacza Micah. – To już siedemdziesiąt lat, do licha. Mickey powinien się hajtnąć.

– Kto to jest kobieta upadła? – pyta Violet.

Całuję Micaha.

– Ja cię zabiję – mówię słodkim głosem.

– Aha – odpowiada. – A więc dlatego idziesz za kratki.

W biurze mamy telewizor, malutki odbiornik, ustawiony między ekspresem do kawy a otwieraczem do puszek. To w naszym zawodzie konieczność, z powodu otoczki medialnej w przypadku niektórych spraw. Ale o poranku, jeszcze przed godzinami pracy sądu, zwykle włączamy „Dzień dobry, Ameryko". Ed ma obsesję na punkcie garderoby Lary Spencer, z mojego punktu widzenia zaś George Stephanopoulos to doskonałe połączenie świetnego dziennikarza z ciachem do schrupania. Oglądamy jednym okiem hipotetyczny sondaż wyborczy przeciwstawiający sobie obu kandydatów na prezydenta, podczas gdy Howard zaparza kolejny dzbanek kawy, a Ed opowiada o kolacji z teściami. Teściowa nadal nazywa go imieniem byłego żony, chociaż są dziewięć lat po ślubie.

– Tym razem – mówi Ed – zapytała mnie, ile zużywam papieru toaletowego.

– I co jej odpowiedziałeś?

– Że w sam raz – kwituje Ed.

– Po co w ogóle chciała to wiedzieć?

– Stwierdziła, że muszą oszczędzać – oznajmia Ed. – Bo mają ograniczony dochód. Trzy weekendy w miesiącu spędzają w kasynie i nagle wydziela papier toaletowy?

– No to słabo – mówię z uśmieszkiem. – Posłuchajcie tylko.

Robin Roberts rozmawia z pulchnym, rudowłosym mężczyzną w średnim wieku, którego wiersz zamieszczono w cenionej antologii – lecz dopiero gdy przesłał go pod japońskim pseudonimem.

– Odrzucono go trzydzieści pięć razy – opowiada mężczyzna. – Pomyślałem więc, że może zostanę zauważony, jeśli moje nazwisko będzie bardziej…

– Barwne? – podsuwa Roberts.

Ed prycha.

– Nie mają ciekawszych tematów?

Za moimi plecami Howard upuszcza łyżeczkę, która z brzękiem wpada do zlewu.

– Po co w ogóle o tym mówią? – pyta Ed.

– Bo to kłamstwo – odpowiadam. – Jest białym ubezpieczycielem, który przywłaszczył sobie cudzą kulturę dla pięciu minut sławy.

– Gdyby tylko tego było trzeba, to czy Japończycy nie publikowaliby co roku setek wierszy? Widocznie napisał coś dobrego. Dlaczego nikt o tym nie mówi?

Harry Blatt, mój szef, przelatuje przez aneks jak tornado, płaszcz plącze mu się między nogami.

– Nienawidzę deszczu – oświadcza. – Dlaczego nie przeniosłem się do Arizony? – Po tym powitaniu łapie kubek z kawą i zaszywa się w swoim gabinecie.

Idę za nim i pukam delikatnie w zamknięte drzwi.

Kiedy wchodzę, Harry wciąż wiesza przemoknięte palto.

– Co tam? – pyta.

– Pamiętasz tę sprawę, przesłuchanie przed sądem… Ruth Jefferson?

– Prostytutka?

– Pielęgniarka z Mercy-West Haven. Czy mogłabym ją wziąć?

Siada za biurkiem.

– Aha. Zmarły noworodek.

Kiedy milczenie się przedłuża, usiłuję zapełnić próżnię.

– Pracuję już prawie pięć lat. I ta sprawa naprawdę mnie interesuje. Chciałabym spróbować.

– To morderstwo – zaznacza Harry.

– Tak. Ale ja naprawdę, naprawdę wiem, że sprostam – zapewniam. – Zresztą, przecież dasz mi ciężkie przestępstwo, prędzej czy później. – Uśmiecham się. – Proponuję prędzej.

Harry chrząka. Zawsze lepsze to niż odmowa.

– No, przydałaby się kolejna osoba do grubszych spraw. Ale jesteś początkująca, więc przydzielę ci Eda.

Wolałabym zasiąść obok neandertalczyka.

Chwila.

– Poradzę sobie sama – mówię do Harry'ego. I dopiero kiedy się zgadza, uświadamiam sobie, że bezwiednie wstrzymywałam oddech.

***

Odliczam godziny i przesłuchania, przez które muszę przebrnąć, zanim wyruszam do więzienia dla kobiet. Tkwię w korku i ćwiczę w myślach kwestie, którymi przekonam Ruth, żeby mi zaufała. Może jeszcze nigdy nie miałam morderstwa, ale przerobiłam niezliczone napady, przemoc domową i sprawy narkotykowe.

– Grałam już w te klocki – mówię do wstecznego lusterka i przewracam oczami.

– To zaszczyt panią reprezentować.

Nie. Jakby agentka spotykała Meryl Streep.

Biorę głęboki oddech.

– Cześć – rzucam na próbę. – Jestem Kennedy.

Dziesięć minut później parkuję i pod płaszczykiem niczym niezmąconej pewności siebie wchodzę do budynku. Zatrzymuje mnie brzuchaty klawisz, który wygląda jak w dziesiątym miesiącu ciąży.

– Wizyty się skończyły – informuje.

– Przyjechałam do mojej klientki. Ruth Jefferson.

Zagląda do komputera.

– No to ma pani pecha.

– Słucham?

– Wyszła dwa dni temu – oznajmia.

Twarz mi płonie. Wyszłam na skończoną idiotkę, zgubiłam własną klientkę.

– Tak! Oczywiście! – Udaję, że wiedziałam od początku i tylko go sprawdzałam.

Kiedy drzwi się za mną zamykają, wciąż słyszę jego rechot.

Ruth przychodzi do biura kilka dni po tym, jak wysyłam do niej oficjalny list, na adres domowy znaleziony w sądowej dokumentacji. Właśnie idę do kserokopiarki, kiedy drzwi się otwierają i wchodzi, spięta i pełna wahania, jakby trafiła pod niewłaściwy adres. Nasze biuro przypomina bardziej prowizorkę niż kancelarię; kilka mebli na krzyż i sterty kartonów robią swoje.

– Ruth! Witam! – Wyciągam rękę. – Kennedy McQuarrie – mówię.

– Pamiętam.

Jest wyższa ode mnie, stoi wyprostowana jak struna. Myślę mimochodem, że moja matka byłaby pod wrażeniem.

– Dostałaś mój list – stwierdzam oczywistość, od razu przechodząc na ty. – Cieszę się, że tu jesteś, bo mamy sporo do omówienia. – Rozglądam się, bo nie wiem, gdzie ją zaprosić. W moim boksie ledwo starcza miejsca dla mnie, a przecież w aneksie kuchennym rozmawiać nie będziemy. Gabinet Harry'ego jest zajęty, jedyną salę, jaką dysponujemy na spotkania z klientami, zajął Ed. – Może wyskoczymy coś zjeść? Za rogiem jest Panera. Czy jesz…

– Jem – odpowiada krótko.

Płacę za jej sałatkę i zupę, po czym siadamy przy stoliku na tyłach. Rozmawiamy o deszczu, jaki był potrzebny, i kiedy możemy spodziewać się zmiany pogody.

– Proszę – mówię, wskazując na jej talerz. – Częstuj się.

Podnoszę swoją kanapkę i gryzę, a Ruth pochyla głowę.

– Dziękujemy Ci, Panie, za te dary, którymi nas obdarzyłeś na Swoją chwałę.

„Amen", odpowiadam z pełnymi ustami.

– A więc chodzisz do kościoła – stwierdzam, kiedy już przełykam.

Ruth patrzy na mnie.

– Czy to jakiś problem?

– Ależ skąd. Przeciwnie, dobrze wiedzieć, to może wzbudzić sympatię ławy przysięgłych.

Po raz pierwszy przyglądam jej się uważnie. Bądź co bądź, ostatnio widziałam ją w szaliku na głowie i w koszuli nocnej. Teraz ubrana jest skromnie w pasiastą bluzkę i granatową spódnicę, błyszczące lakierki są lekko przetarte na piętach. Ma proste włosy, spięte w kok nad karkiem, a skórę jaśniejszą, niż zapamiętałam, prawie w tym samym odcieniu co mleko kawowe, które mama pozwalała mi pić w dzieciństwie.

Każdy inaczej okazuje zdenerwowanie. Ja gadam jak nakręcona. Micah popada w zadumę. Moja matka zadziera nosa. A Ruth, jak widać, robi się sztywna jak kij od miotły. Co także muszę zapamiętać, bo członkowie ławy przysięgłych mogą błędnie odebrać to jako przejaw złości lub arogancji.

– Wiem, że to trudne – mówię, ściszając konspiracyjnie głos – ale musisz być ze mną stuprocentowo szczera. Chociaż jestem dla ciebie obcą osobą. Rzecz jasna, mam nadzieję, że to się zmieni. Ale powinnaś wiedzieć, że nic, co mi powiesz, nie zostanie wykorzystane przeciwko tobie. Liczy się wyłącznie dobro klienta.

Ruth starannie odkłada widelec i kiwa głową.

– Dobrze.

Wyciągam z torebki mały notesik.

– Zacznijmy od tego, które określenie najbardziej ci odpowiada: Afroamerykanie, czarni czy kolorowi?

Ruth wpatruje się we mnie.

– Kolorowi – odpowiada po chwili.

Zapisuję to sobie. I podkreślam.

– Masz się czuć swobodnie. Ja nie widzę koloru, serio. Przecież jedyna rasa, która ma znaczenie, to człowiek, nie?

Mocno zaciska usta.

Chrząkam, żeby przerwać ciszę.

– Przypomnij mi, którą uczelnię kończyłaś.

– SUNY Plattsburgh, a potem szkołę pielęgniarstwa na uniwersytecie Yale.

– Nieźle – mruczę, skrobiąc długopisem w notesie.

– Pani McQuarrie… – zaczyna.

– Kennedy.

– Kennedy… Nie mogę wrócić do więzienia. – Ruth patrzy mi w oczy i przez chwilę zaglądam do jej serca. – Nikt inny nie wychowa mojego syna na człowieka, którym może się stać.

– Wiem. Naprawdę się postaram. Mam spore doświadczenie z ludźmi takimi jak ty.

Jej twarz ponownie zastyga w nieruchomą maskę.

– Takimi jak ja?

– Na których ciążą poważne zarzuty – uzupełniam.

– Ale ja nic nie zrobiłam.

– Wierzę ci. Musimy tylko przekonać co do tego ławę przysięgłych. Dlatego trzeba wrócić do podstaw, aby ustalić, dlaczego cię oskarżono.

– To chyba oczywiste – mówi cicho. – Ojciec dziecka zakazał mi zbliżać się do jego syna.

– Ten biały supremacjonista? On nie ma z tym nic wspólnego.

Ruth mruga zaskoczona.

– Nie rozumiem.

– Nie on cię oskarżył, więc to bez znaczenia.

Patrzy na mnie jak na wariatkę.

– Przecież jestem jedyną kolorową na porodówce.

– Oskarżyciel nie patrzy, czy jesteś czarna, biała, zielona czy niebieska. Według niego miałaś obowiązek zadbać o dziecko powierzone twojej opiece. Obowiązek, z którego zakaz przełożonej cię nie zwalniał. – Nachylam się do niej. – Oskarżyciel nie musi nawet określać kwalifikacji prawnej czynu. Może podać różne, wręcz sprzeczne teorie. Jakby strzelał do ryb w wiadrze: jeśli którąś trafi, masz problem. Jeżeli wykaże twoją złą wolę, uzna, że kierowała tobą złość z powodu odsunięcia od opieki nad dzieckiem, i zasugeruje, iż działałaś z premedytacją, przysięgli mogą cię uznać za winną morderstwa. Nawet jeśli przekonamy ich, że to był wypadek, przyznałabyś się do zaniedbania i karygodnej lekkomyślności: innymi słowy, podałabyś im nieumyślne spowodowanie śmierci jak na talerzu. Tak czy inaczej, pójdziesz do więzienia. Twój kolor skóry nie odgrywa roli w żadnym z tych scenariuszy.

Głośno wciąga powietrze.

– Naprawdę uważasz, że siedziałabym tu, gdybym była biała?

Nie sposób zakładać, że rasa jednak nie odgrywała roli, skoro u sedna sprawy mamy jedyną czarną pielęgniarkę na oddziale, ojca rasistę i niefortunną decyzję administratorki szpitala.

Ale.

Każdy obrońca z urzędu, który ci wmawia, że sprawiedliwość jest ślepa, kłamie jak z nut. Wystarczy obejrzeć telewizyjne doniesienia z rozpraw o podtekście rasowym, żeby zobaczyć jak na dłoni, że prawnicy, sędziowie i ławy przysięgłych prześcigają się w zapewnieniach, że rasa nie ma tu znaczenia, choć ewidentnie ma. Każdy obrońca z urzędu powie ci też, że choć większość naszych klientów to kolorowi, na rozprawie nie można zagrać tą kartą.

Byłby to samobój. Nigdy nie wiesz, co myśli ława przysięgłych. Nie znasz też poglądów sędziego. Ba, najkrótszą drogą do przegrania sprawy o podtekście rasowym jest nazwanie rzeczy po imieniu. Nie, ty masz znaleźć ławie przysięgłych inny punkt zaczepienia. Strzępek dowodu, który oczyści twojego klienta z winy i pozwoli tym dwunastu mężczyznom i kobietom wrócić do domów w poczuciu, że żyjemy w świecie, w którym panuje równość.

– Nie – przyznaję. – Lecz mówienie o tym w sądzie to za duże ryzyko. Nie twierdzę, że nie padłaś ofiarą dyskryminacji, Ruth. Twierdzę tylko, że nie czas i miejsce, aby o tym mówić.

– Jak nie teraz, to kiedy? – pyta zapalczywie. – Jeśli nie będziemy mówić w sądzie o rasie, to jak cokolwiek ma się zmienić?

Nie znajduję na to odpowiedzi. Tryby sprawiedliwości kręcą się powoli, lecz na szczęście bywają nieco lepiej naoliwione, gdy w grę wchodzi osobiste zadośćuczynienie, a uzyskane w ten sposób pieniądze pomagają załatać nadszarpniętą godność.

– Założysz sprawę cywilną. Ja nie mogę tego zrobić za ciebie, ale podzwonię i znajdę kogoś, kto zajmuje się dyskryminacją w miejscu pracy.

– Nie stać mnie na adwokata.

– Zrobi to za prowizję. Dostanie jedną trzecią twojej wygranej – tłumaczę. – Prawdę mówiąc, po tym numerze z kartką od przełożonej powinni wypłacić ci całą pensję plus odszkodowanie z nawiązką.

Szczęka jej opada.

– Chcesz powiedzieć, że dostałabym pieniądze?

– Nie zdziwiłabym się, gdyby w grę wchodziło kilka milionów – przyznaję.

Ruth Jefferson na długą chwilę traci mowę.

– Masz sto osiemdziesiąt dni na złożenie skargi do EEOC[12].

– A potem?

– EEOC nic nie zrobi do zakończenia sprawy karnej.

– Dlaczego?

– Bo liczy się to, czy orzekną twoją winę – wyjaśniam bez ogródek. – Od tego zależy forma skargi. Wyrok skazujący będzie stanowił

dowód i może ci zaszkodzić w sprawie cywilnej.

Rozważa to w milczeniu.

– I dlatego nie chcesz mówić o dyskryminacji podczas tego procesu – kwituje. – Żeby uniknąć wyroku skazującego. – Składa ręce na kolanach. Potrząsa głową i przymyka oczy.

– Zabronili ci robić to, co do ciebie należy – mówię cicho. – Nie zabraniaj mi tego samego.

Ruth bierze głęboki oddech, otwiera oczy i napotyka mój wzrok.

– W porządku – odpowiada. – Co chcesz wiedzieć?

12 Federalna Komisja Równouprawnień w Miejscach Pracy.

Ruth

Rankiem po wyjściu z więzienia budzę się i patrzę na tę samą rysę na suficie, którą od wieków obiecuję sobie zaszpachlować i wciąż nie dotrzymałam słowa. Czuję, jak sprężyna z rozkładanego tapczanu wbija mi się w plecy, i dziękuję za nią w myślach. Przymykam oczy i słucham kojącego grzechotu śmieciarek na naszej ulicy.

W koszuli nocnej (czystej; tamtą przy najbliższej okazji oddam dla biednych) włączam ekspres do kawy i drepczę do pokoju Edisona. Mój chłopiec leży jak zabity, nie reaguje, nawet gdy wślizguję się do środka i przysiadam na skraju materaca.

Kiedy Edison był mały, lubiliśmy z mężem patrzeć, jak śpi. Czasem Wesley kładł mu rękę na plecach i obserwowaliśmy, jak wznosi się i opada w rytm oddechu. Mechanizm stworzenia istoty ludzkiej to niebywała sprawa i choćbym w nieskończoność czytała o komórkach, mitozie, cewach nerwowych i całej reszcie, na którą składa się powstanie dziecka, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że jest w tym również odrobina cudu.

Edison wydaje gardłowy pomruk i przeciera oczy.

– Mama? – Gwałtownie siada na łóżku. – Co się stało?

– Nic – odpowiadam. – Wszystko w porządku.

Oddycha z ulgą i patrzy na zegarek.

– Muszę się przygotować do szkoły.

Wiem z naszej rozmowy w drodze powrotnej, że opuścił cały dzień zajęć, aby załatwić formalności związane z kaucją, a przy okazji dowiedział się więcej o hipotekach i nieruchomościach niż ja w ciągu całego życia.

– Zadzwonię do sekretarki, żeby to wyjaśnić.

Lecz oboje wiemy, że jest różnica pomiędzy „Proszę o usprawiedliwienie nieobecności Edisona, miał grypę żołądkową”

a „Proszę o usprawiedliwienie nieobecności Edisona, wyciągał matkę z więzienia”. Edison potrząsa głową.

– W porządku. Pogadam z nauczycielami.

Unika mojego wzroku, coś zmienia się między nami.

– Dziękuję – mówię cicho. – Jeszcze raz.

– Nie musisz mi dziękować, mamo – mamrocze.

– Właśnie, że muszę. – Uświadamiam sobie ze wstrząsem, że wszystkie łzy, które powstrzymywałam przez ostatnią dobę, niespodziewanie napływają mi do oczu.

– No, co ty. – Edison mnie przytula.

– Przepraszam – szlocham w jego ramię. – Sama nie wiem, czemu teraz się rozklejam.

– Będzie dobrze.

Znowu to czuję, to przesunięcie ziemi pod stopami, tę zmianę między nami. Dopiero po chwili sobie uświadamiam, że po raz pierwszy to Edison mnie pociesza, a nie odwrotnie.

Kiedyś się zastanawiałam, czy matka dostrzega ten przełom, kiedy jej dziecko wkracza w dorosłość. Byłam ciekawa, czy ma on wymiar kliniczny, tak jak początek okresu dojrzewania, czy też emocjonalny, jak serce złamane pierwszy raz, a może czasowy i wyznacza go na przykład przysięga przed ołtarzem. Zachodziłam w głowę, czy szala przechyla się za sprawą nagromadzenia doświadczeń życiowych – dyplom, pierwsza praca, dziecko – czy widać to na pierwszy rzut oka, jak plamę nagłej powagi, czy też zakrada się powoli, niczym wiek w lustrzanej tafli.

Teraz już wiem: dorosłość to linia narysowana na piasku. W którymś momencie twoje dziecko znajdzie się po drugiej stronie.

Myślałam, że mu się upiecze. Że linia się przesunie.

Nigdy nie sądziłam, że sama go tam popchnę.

Długo nie mogę zdecydować, w co się ubrać na spotkanie z prawniczką. Przez dwadzieścia pięć lat chodziłam w fartuchu, ładne ubrania wkładam do kościoła. Ale kwiecista sukienka z koronkowym kołnierzem i pantofle na słupku jakoś mi nie pasują na formalne spotkanie. Wygrzebuję z szafy granatową spódnicę, którą miałam na

zebraniu w szkole Edisona, i wkładam pasiastą bluzkę, którą mama kupiła mi pod choinkę w Talbots; ma jeszcze metki. Przetrząsam moją kolekcję drewniaków – ulubionego obuwia pielęgniarek na całym świecie – i znajduję baletki, trochę sfatygowane, ale pasują do całości.

Gdy docieram pod wskazany adres, jestem pewna, że zabłądziłam. Nikogo nie ma w recepcji – recepcja w zasadzie nie istnieje. Widzę boksy i sterty kartonów tworzące labirynt, jakby pracownicy byli myszami biorącymi udział w naukowym eksperymencie. Wchodzę do środka i nagle słyszę swoje imię.

– Ruth! Witam! Kennedy McQuarrie!

Jak bym mogła zapomnieć. Kiwam głową i ściskam jej wyciągniętą dłoń. Właściwie nie rozumiem, dlaczego jednak jest moim obrońcą. W sądzie mówiła, że nie będzie.

Przez długą chwilę nie dopuszcza mnie do głosu, ale to dobrze, bo jestem ledwo żywa ze zdenerwowania. Nie mam pieniędzy na prywatnego adwokata, jeśli nie chcę ruszyć oszczędności na naukę Edisona; prędzej wolałabym iść do więzienia. W tym kraju każdy może mieć adwokata, ale to nie znaczy, że wszyscy adwokaci są ulepieni z tej samej gliny. W telewizji ludzie, którzy mają prywatnych adwokatów, zostają uniewinnieni, a ci skazani na obrońców z urzędu udają, że nie czują się gorsi.

Pani McQuarrie proponuje wyjście na lunch, chociaż żołądek mam ściśnięty z nerwów. Gdy zamawiamy, chcę wyjąć portfel, ale ona upiera się, że zapłaci. Początkowo się najeżam: od dzieciństwa, kiedy nosiłam rzeczy po Christinie, nie chciałam niczyjej jałmużny. Ale daję za wygraną. Może w ten sposób buduje relacje ze wszystkimi klientami? Może chce wzbudzić moją sympatię, podobnie jak ja chcę, żeby ona polubiła mnie?

Kiedy siadamy ze swoimi tackami, z przyzwyczajenia odmawiam modlitwę dziękczynną. Po prostu mam taki zwyczaj, bez względu na okoliczności. Corinne, która jest ateistką, zawsze stroi sobie żarty na temat Makaronowego Potwora w Niebie, kiedy słyszy moją modlitwę bądź widzi, jak pochylam głowę nad torebką z jedzeniem. Dlatego wcale mnie nie dziwi mina pani McQuarrie.

– A więc chodzisz do kościoła – mówi.

– Czy to jakiś problem? – Może wie coś, o czym ja nie wiem, na przykład, że przysięgli chętniej skazują wierzących.

– Ależ skąd. Przeciwnie, dobrze wiedzieć, to może wzbudzić sympatię ławy przysięgłych.

Słysząc to, wbijam wzrok w kolana. Czy jestem z natury tak antypatyczna, że musi wynajdywać rzeczy, które zaskarbią mi przychylność ludzi?

– Zacznijmy od tego – mówi – które określenie najbardziej ci odpowiada: Afroamerykanie, czarni czy kolorowi?

„Ruth", myślę sobie.

– Kolorowi – odpowiadam mimo to.

Kiedyś w pracy salowy o imieniu Dave wygłosił tyradę na temat tego określenia.

– Przecież ja nie jestem bezbarwny – stwierdził, oglądając swoje blade ręce. – Nie jestem przezroczysty, nie? Ale chyba „bardziej kolorowi" się nie przyjęło. – Potem mnie zauważył i poczerwieniał aż po nasadę włosów. – Wybacz, Ruth. Ale sama wiesz, że nie postrzegam cię jako czarną.

Moja prawniczka wciąż gada.

– Ja nie widzę koloru, serio – zapewnia. – Przecież jedyna rasa, która ma znaczenie, to człowiek, nie?

Łatwo wierzyć, że jedziemy na tym samym wózku, kiedy to nie ty zostałeś wywleczony z domu przez policję. Ale ja wiem, że biali mówią takie rzeczy, bo myślą, że tak trzeba; nie zdają sobie sprawy, jaka to ściema. Kilka lat temu Adisa była w swoim żywiole, kiedy na Twitterze zaroiło się od hashtagów #każdeżyciejestważne w odpowiedzi na aktywistów z transparentami ŻYCIE CZARNYCH JEST WAŻNE.

– Oni tak naprawdę mówią, że życie białych jest ważne – przekonywała. – I niech czarni lepiej to zapamiętają, zanim się rozzuchwalą.

Pani McQuarrie chrząka, żeby zwrócić moją uwagę, bo odpłynęłam myślami. Zmuszam się, żeby na nią spojrzeć, silę się na uśmiech.

– Przypomnij mi, którą uczelnię kończyłaś – prosi.

Czyżby mnie sprawdzała?

– SUNY Plattsburgh, a potem szkołę pielęgniarstwa na Yale.

– Nieźle.

Co nieźle? Że skończyłam college? Że studiowałam w Yale? Czy Edison też do końca życia będzie wysłuchiwał takich komentarzy?

Edison.

– Pani McQuarrie… – zaczynam.

– Kennedy.

– Kennedy. – Uwiera mnie ta poufałość. – Nie mogę wrócić do więzienia. – Myślę o tym, jak malutki Edison wkładał buty Wesleya i w nich szurał. Ma całe lata na pozbawienie się złudzeń. Nie chcę narażać go na to wcześniej niż trzeba. – Nikt inny nie wychowa mojego syna na człowieka, którym może się stać.

Pani McQuarrie – Kennedy – nachyla się w moją stronę.

– Naprawdę się postaram. Mam spore doświadczenie z ludźmi takimi jak ty.

Kolejna etykietka.

– Takimi jak ja?

– Na których ciążą poważne zarzuty.

Natychmiast przechodzę do defensywy.

– Ale ja nic nie zrobiłam.

– Wierzę ci. Musimy tylko przekonać co do tego ławę przysięgłych. Dlatego trzeba wrócić do podstaw, aby stwierdzić, dlaczego cię oskarżono.

Spoglądam na nią badawczo. Naprawdę nie rozumie? Może ma na głowie za dużo spraw. Może faktycznie zapomniała o wytatuowanym skinie, który opluł mnie na sali rozpraw.

– Naprawdę uważasz, że siedziałabym tu, gdybym była biała? – pytam ściszonym głosem.

Zaprzecza.

– Nie. Lecz mówienie o tym w sądzie to za duże ryzyko.

Czyli mamy wygrać sprawę udawaniem, że przyczyna nie ma racji bytu? Trochę to szemrane. Jakby mówić, że pacjent zmarł w wyniku zakażenia spowodowanego wrastającym paznokciem, ale nie wspomnieć przy tym, że cierpiał na cukrzycę typu 1.

– Jeśli nie będziemy mówić w sądzie o rasie – pytam – to jak cokolwiek ma się zmienić?

Składa ręce na stoliku między nami.

– Założysz sprawę cywilną. Ja nie mogę tego zrobić za ciebie, ale podzwonię i znajdę kogoś, kto zajmuje się dyskryminacją w miejscu pracy. – Tłumaczy, co to dla mnie oznacza.

W życiu nie brałam pod uwagę tak zawrotnej sumy.

Ale jest pewien haczyk. Zawsze jest jakiś haczyk. Aby założyć sprawę, która zapewni mi odszkodowanie i pomoże wynająć prywatnego adwokata, który zechce przyznać, że wylądowałam w sądzie przez uprzedzenia rasowe, muszę poczekać na zakończenie procesu. Innymi słowy, jeśli uznają mnie za winną, będę mogła jedynie pomarzyć o rekompensacie.

Nagle uświadamiam sobie, że strategia Kennedy może okazać się całkiem sensowna. Może ona wie doskonale, co muszę zrobić, aby dostać to, na co zasługuję.

Może jestem ślepa i zagubiona, a Kennedy McQuarrie ma mapę. Dlatego patrzę jej w oczy.

– Co chcesz wiedzieć? – pytam.

Kennedy

Kiedy wieczorem po pierwszym spotkaniu z Ruth wracam do domu, Micah jeszcze jest w pracy, a mama pilnuje Violet. W całym domu pachnie oregano i świeżo upieczonym ciastem.

– Czy to mój szczęśliwy dzień? – wołam od progu i zrzucam z siebie całodniowy balast, kiedy Violet porzuca kolorowankę i pędzi mi na spotkanie. – Domowa pizza na kolację?

Porywam córeczkę w ramiona. Trzyma w piąstce wściekle czerwoną kredkę.

– Sama zrobiłam. Zgadnij, co to.

Matka wychodzi z kuchni z koślawym plackiem na talerzu.

– Och, to na pewno kosmi… – Podchwytuję wzrok mamy, lekko potrząsa głową. Za plecami Violet unosi ręce i szczerzy zęby. – Dinozaur – poprawiam. – No przecież.

Violet uśmiecha się szeroko.

– Ale jest chory. – Wskazuje na posypkę z oregano na serze. – Dlatego ma wysypkę.

– Ospa? – pytam domyślnie i gryzę.

– Nie – mówi moja córeczka. – Ma problemy z dyrekcją.

Krztuszę się i natychmiast stawiam Violet na podłodze. Gdy wraca do kolorowania, unoszę brew.

– Co oglądałaś? – pytam spokojnie mamę.

Doskonale wie, że pozwalamy Violet oglądać tylko *Ulicę Sezamkową* albo kanał Disney Junior. Ale z jej twarzy bije wystudiowana niewinność, dlatego wiem, że coś ukrywa.

– Nic.

Odwracam się i patrzę na czarny ekran telewizora. Następnie sięgam po pilota i włączam.

Wallace Mercy bryluje przed ratuszem na Manhattanie. Siwe włosy stoją mu dęba, jakby poraził go prąd. Unosi pięść w geście solidarności ze sprawą, której akurat broni.

– Bracia i siostry! Pytam was: od kiedy to słowo nieporozumienie stało się synonimem uprzedzeń rasowych? Domagamy się przeprosin komisarza nowojorskiej policji za wstyd i kłopoty, na które narażono tego uznanego sportowca… – Widzę jakby znajomą twarz przystojnego, ciemnoskórego mężczyzny, a pod nią logo Fox News.

Fox News. Nie włączamy z Micahem tego kanału. I z pewnością nie brakuje tu reklam środków na problemy z erekcją.

– Pozwalasz Violet to oglądać?

– Oczywiście, że nie – odpowiada z urazą mama. – Włączyłam, kiedy spała.

Violet unosi głowę znad kolorowanki.

– Five-o-Meter!

Posyłam matce mordercze spojrzenie.

– Oglądasz *Five*[13] z moją czteroletnią córką.

Unosi ręce.

– No dobra, czasem oglądam. Przecież to wiadomości, na miłość boską. Nie włączam jej P-O-R-N-O. A tak na marginesie, słyszałaś o tym? Doszło do zwykłego nieporozumienia, a ten podrabiany kaznodzieja znów kłapie dziobem, ponieważ policja robiła to, co do niej należało.

Zerkam na Violet.

– Kochanie – mówię – może wybierzesz sobie piżamkę i dwie książeczki na dobranoc?

Biegnie na górę, a ja odwracam się z powrotem w stronę ekranu.

– Jeśli chcesz oglądać Wallace'a Mercy'ego, włącz chociaż MSNBC – proponuję.

– Nie chcę oglądać Wallace'a. I uważam, że swoim wstawiennictwem wyświadcza Malikowi Thaddonowi niedźwiedzią przysługę.

Malik Thaddon, to dlatego mi kogoś przypominał. Kilka lat temu wygrał US Open.

– Co się stało?

– Wychodził z hotelu i dopadło go czterech policjantów. Ponoć go z kimś pomylili.

Ava siada obok mnie na kanapie i ponownie słyszymy tyradę Wallace'a Mercy'ego. Nabrzmiały mu żyły na szyi, kolejna pulsuje na skroni; ten człowiek to chodzący zawał.

– Wiesz co? – zagaja mama. – Gdyby ciągle nie chodzili tacy wściekli, może więcej ludzi by ich słuchało.

Nie muszę pytać, kim są ci oni.

Biorę kolejny kęs dinozaura.

– Może wrócimy do rozmowy o włączaniu telewizora tylko na kanały, które nie puszczają reklam o skutkach ubocznych?

Matka krzyżuje ręce na piersi.

– Myślałam, że kto jak kto, ale ty chciałabyś, żeby twoje dziecko orientowało się w świecie, Kennedy.

– Ona jest malutka, mamo. Po co ma myśleć, że policja może ją kiedyś dorwać.

– Daj spokój. Violet kolorowała. Wpadło jednym uchem, wypadło drugim. Skomentowała tylko kiepską fryzurę Wallace'a Mercy'ego.

Przyciskam palcami kąciki oczu.

– No dobra. Jestem wykończona. Odłóżmy to na później.

Matka bierze mój pusty talerz i wstaje poirytowana.

– Nie żeby traktowano mnie tu jak wynajętą pomoc domową…

Znika w kuchni, a ja idę położyć Violet. Wybrała książkę o myszce, której imienia nie potrafi wymówić żadna z jej koleżanek, a także *Biegnij, psie. Biegnij!*, której po prostu nie trawię. Siadam na łóżku i całuję ją w czubek głowy. Pachnie truskawkowym płynem do kąpieli i szamponem Johnsona, tak jak ja przed laty. Kiedy zaczynam czytać, notuję w pamięci, by podziękować mamie za wykąpanie Violet, nakarmienie jej i bezgraniczną miłość, dorównującą mojej, mimo że naraziła ją na świątobliwy gniew Wallace'a Mercy'ego, to fakt.

Myślę o Ruth. „Po co ma się bać, że policja może ją kiedyś dorwać", powiedziałam o Violet do mamy.

Lecz, prawdę mówiąc, „nieporozumienie" tego rodzaju jest znacznie bardziej prawdopodobne w przypadku dziecka Ruth, a nie mojego.

– Mamusiu! – mówi z pretensją Violet, a ja uświadamiam sobie, że zatonęłam w myślach i bezwiednie przestałam czytać.

– „Podoba ci się moja czapka?” – czytam na głos. – „Wcale”.

13 *Five* – program telewizji Fox News, w którym pięć znanych osób dyskutuje na bieżące tematy. Widzowie mogą na żywo komentować ich wypowiedzi.

Ruth

Adisa mówi, że muszę sobie dogodzić, więc zaprasza mnie na lunch. Idziemy do małego bistro, gdzie wypiekają własny chleb i serwują tak wielkie porcje, że człowiek zawsze połowę zabiera do domu. Panuje tam spory ruch, więc siadamy przy barze.

Ostatnio częściej widuje się z siostrą, co jest krzepiące, a zarazem dziwne. Przedtem albo pracowałam, albo spędzałam czas z Edisonem, obecnie mój grafik jest pusty.

– Wszystko pięknie – mówi Adisa. – Ale czy zastanawiałaś się już, co będziesz jadła?

Myślę o tym, co Kennedy powiedziała wczoraj o procesie cywilnym. Mogą być z tego pieniądze, ale nie powinnam dzielić skóry na niedźwiedziu.

– Bardziej mnie martwi wykarmienie syna – przyznaję.

Mruży oczy.

– Na jak długo starczy ci pieniędzy?

Nie ma sensu jej mydlić oczu.

– Na jakieś trzy miesiące.

– Wiesz, że w razie czego możesz prosić mnie o pomoc, nie?

Uśmiecham się.

– Serio? Nie dalej jak miesiąc temu wzięłaś ode mnie pożyczkę.

Adisa odpowiada uśmiechem.

– Powiedziałam, że możesz prosić mnie o pomoc, a nie, że ją dostaniesz. – Wzrusza ramionami. – Poza tym masz wyjście.

Dowiedziałam się w tym tygodniu, że mam zbyt wysokie kwalifikacje na jakiekolwiek stanowisko administracyjne w New Haven, w tym wolne posady sekretarki i recepcjonistki. Moja siostra uważa, że powinnam złożyć wniosek o zasiłek dla bezrobotnych. Ale dla mnie to nieuczciwe, zwłaszcza że po wszystkim zamierzam

wrócić do pracy. Innym rozwiązaniem jest zajęcie na pół etatu, ale jestem pielęgniarką i mam zawieszoną licencję. Dlatego unikam tego tematu jak ognia.

– Wiem tylko, że kiedy chłopak Tyany wpadł za kradzież i był sądzony, osiem miesięcy czekał na rozprawę – kwituje Adisa. – Czyli masz kilka miesięcy w plecy. Co radzi twoja chuda, biała prawniczka?

– Ma na imię Kennedy i bardziej skupiła się na tym, żebym nie poszła do więzienia, niż moim utrzymaniem w czasie oczekiwania na rozprawę.

Adisa prycha.

– Po co się przejmować takimi drobiazgami, nie?

– Widziałaś ją raz – zaznaczam. – Nic o niej nie wiesz.

– Wiem, że ludzie zostają obrońcami z urzędu, bo bardziej niż o pieniądze troszczą się o moralność, w przeciwnym razie oraliby w korporacji. Co oznacza, że szanowna pani Kennedy ma fundusz powierniczy lub bogatego męża.

– Załatwiła mi kaucję.

– Poprawka: zrobił to twój syn.

Rzucam jej bezsilne spojrzenie i przenoszę uwagę na barmana, który poleruje kieliszki.

Adisa przewraca oczami.

– Nie chcesz gadać, trudno. – Patrzy na reklamy lecące na ekranie telewizora. – Hej – zwraca się do barmana. – Możemy włączyć coś innego?

– Jasne – odpowiada barman i podaje jej pilota.

Adisa skacze po kanałach. Zatrzymuje się na dźwięk znajomego nawoływania: „Panie, Panie, Panie, zlituj się nad nami!”. I kamera robi zbliżenie na Wallace’a Mercy’ego, aktywistę. Dzisiaj okupuje teksaską szkołę, gdzie aresztowano młodego muzułmanina po tym, jak przyniósł nauczycielowi zegar własnej roboty, który przez pomyłkę wzięto za bombę.

– Ahmedzie, jeśli nas słuchasz, chciałbym ci coś powiedzieć – mówi Wallace. – Chciałbym to powiedzieć wszystkim czarnym i brunatnym dzieciom, które żyją w strachu, że któregoś dnia też mogą zostać źle zrozumiane z powodu koloru swojej skóry…

Jestem przekonana, że Wallace Mercy był kiedyś kaznodzieją, ale chyba nikt go nigdy nie uświadomił, że nie musi się tak drzeć do mikrofonu.

– Chciałbym powiedzieć, że mnie również deprecjonowano z powodu mojego wyglądu. I nie będę kłamał: czasami, kiedy Szatan sączy mi słowa zwątpienia do ucha, nadal uważam, że tamci mieli rację. Przeważnie myślę jednak: „Pokazałem im". Udało mi się, na przekór im wszystkim. I… wam też się uda.

Adisa łapie powietrze.

– O matko, Ruth, właśnie tego ci trzeba. Wallace'a Mercy'ego.

– Jestem na sto procent pewna, że Wallace Mercy to ostatnie, czego mi trzeba.

– Co ty pleciesz? On zajmuje się właśnie takimi sprawami. Dyskryminacja rasowa w miejscu pracy? To coś dla niego. Już on dopilnuje, żeby cały kraj dowiedział się o twojej krzywdzie.

W telewizji Wallace wymachuje zaciśniętą pięścią.

– Dlaczego on jest zawsze taki wściekły?

Adisa się śmieje.

– Kochana, a ja to nie? Bycie czarnym jest strasznie męczące – dorzuca. – Przynajmniej oddaje głos takim jak my.

– Trzeba przyznać, że donośny.

– No właśnie. Psiakrew, Ruth, w jakim ty świecie żyjesz? Za długo pływałaś z rekinami i zapomniałaś, że jesteś krylem.

– Że co proszę?

– Czy rekiny nie jedzą kryli?

– Rekiny jedzą ludzi.

– No przecież mówię! – Adisa wzdycha. – Biali latami dawali czarnym wolność na papierze, ale w głębi duszy nadal chcą, byśmy siedzieli cicho i kładli uszy po sobie. Jeśli będziemy mówić, co myślimy, możemy stracić pracę, dom, a nawet życie. Wallace wścieka się za nas wszystkich. Dzięki niemu biali wiedzą, jak wkurzają nas swoimi głupimi gierkami, a czarni mogą wreszcie powiedzieć, co ich trapi. Wallace Mercy jest zatyczką beczki z prochem, która wysadziłaby ten kraj w cholerę.

– Owszem, ale ja nie jestem sądzona z powodu swojej rasy. Jestem sądzona, bo dziecko umarło na moim dyżurze.

Adisa uśmiecha się ironicznie.

– Kto ci tak powiedział? Twoja bielutka pani adwokat? Ona nie myśli, że tu chodzi o rasę, to oczywiste. Ona w ogóle nie myśli o rasie, koniec i kropka. Nie musi.

– Poczekamy, aż skończysz studia prawnicze, wtedy będziesz mi doradzać. Na razie zdam się na nią. – Milknę. – Wiesz co? Jak na kogoś, kto nie znosi stereotypów, chętnie szufladkujesz.

Moja siostra unosi ręce na znak kapitulacji.

– W porządku, Ruth. Masz rację. Ja jestem w błędzie.

– Mówię tylko, że jak na razie Kennedy McQuarrie dobrze się spisuje.

– Chce cię ratować, bo to poprawi jej samopoczucie – stwierdza Adisa. – Jak to się mówi? Rycerz na białym koniu. – Patrzy na mnie zmrużonymi oczami. – Dobrze wiesz, co jest na drugim końcu palety.

Nie zniżam się do odpowiedzi, lecz obie ją znamy.

Czarny. Jak złoczyńca.

Tylko raz byłam w domu Christiny na Manhattanie, zaraz po jej ślubie z Larrym Sawyerem. Chciałam podrzucić prezent ślubny i wyszło trochę niezręcznie. Christina i Larry wzięli ślub w Turks i Caicos, i Christina powtarzała raz po raz, jak bardzo jej przykro, że nie mogła zaprosić wszystkich swoich przyjaciół z powodu ograniczonej liczby miejsc. Kiedy otworzyła mój prezent – komplet lnianych ściereczek z nadrukowanymi przepisami na jej ulubione wypieki mojej mamy – wybuchła płaczem i wyściskała mnie ze słowami, że to najbardziej osobisty, przemyślany podarunek, jaki dostała, i że codziennie będzie ich używać.

Teraz, ponad dziesięć lat później, zastanawiam się, czy kiedykolwiek korzystała ze swojej kuchni, o ściereczkach nie wspominając. Granitowe blaty lśnią jak lustra, a jabłka w niebieskiej, szklanej misce wyglądają jak wypolerowane. W życiu nie powiedziałabym, że mieszka tu czteroletnie dziecko. Mam ochotę zajrzeć do ogromnego piekarnika i sprawdzić, czy znajdę tam choćby okruszek albo tłustą plamę.

– Proszę. – Christina wskazuje mi krzesło. – Usiądź.

Siadam i z zaskoczeniem odkrywam, że ze ściany za moimi plecami płynie cicha muzyka.

– To głośnik – tłumaczy ze śmiechem Christina. – Ale go nie widać.

Ciekawe, jakie to uczucie mieszkać w miejscu, które wygląda jak plan zdjęciowy. Christina, którą kiedyś znałam, po powrocie ze szkoły przechodziła przez dom jak tornado – rzucała byle gdzie płaszcz, szkolną torbę i buty. W tej samej chwili kobieta pojawia się tak bezszelestnie, jakby też wyszła ze ściany. Stawia przede mną jeden talerz sałatki z kurczakiem, a drugi przed Christiną.

– Dziękuję, Roso – mówi Christina, a ja dochodzę do wniosku, że jej powroty do domu pewnie wciąż wyglądają tak samo. Rosa to jej Lou. Różni się jedynie osoba, która po niej sprząta.

Pokojówka się dematerializuje, a Christina opowiada mi o spotkaniu charytatywnym na rzecz szpitala: Bradley Cooper zgodził się wziąć udział, po czym odwołał w ostatniej chwili z powodu chorego gardła, a „Us Weekly" zrobiło mu zdjęcie tego samego wieczora w barze w Chelsea, dokąd wybrał się ze swoją dziewczyną. Tyle gada na temat, który mnie w ogóle nie interesuje, że dopiero w połowie sałatki uświadamiam sobie, po co mnie zaprosiła.

– Dowiedziałaś się od mojej mamy? – przerywam jej w pół zdania.

Mina jej rzednie.

– Nie. Od Larry'ego. Odkąd zgłosił swoją kandydaturę na urząd, mamy włączone wiadomości przez całą dobę. – Przygryza dolną wargę. – Było strasznie?

Śmiech wzbiera mi w gardle.

– Konkretnie kiedy?

– No, w ogóle. Jak cię zwolnili. I aresztowali. – Wytrzeszcza oczy. – Musiałaś iść do więzienia? Było jak w *Orange Is the New Black*?

– Tak, tylko bez seksu. – Patrzę na nią. – To nie była moja wina, Christino. Musisz mi wierzyć.

Łapie mnie za rękę.

– Wierzę. Wierzę ci, Ruth. Mam nadzieję, że to wiesz. Chcę ci pomóc. Poprosiłam Larry'ego o wynajęcie adwokata z dawnej firmy, żeby cię reprezentował.

Zamieram. Chcę widzieć w tym odruch przyjaźni, ale mam poczucie, że jestem raczej problemem do rozwiązania.

– Ja… ja nie mogłabym tego przyjąć…

– Zanim uznasz mnie za swoją dobrą wróżkę, wiedz, że Larry ostudził mój zapał. Też ma wyrzuty sumienia, jednak lepiej, aby nie kojarzono go z żadnym skandalem.

„Skandalem". Smakuję to słowo, wgryzam się w nie jak w owoc i czuję, jak rozpływa mi się na języku.

– Strasznie się o to pokłóciliśmy. No wiesz, kazałam mu się wynieść z sypialni, i w ogóle. Oczywiście nie będzie głosował zaraz na neonazistów, ale to nie takie proste. Sprawy rasowe to w tej chwili gorący temat, komisarz policji jest pod ostrzałem i tak dalej, toteż lepiej, żeby Larry się w to nie mieszał, bo przekreśli swoje szanse w wyborach. – Potrząsa głową. – Tak mi przykro, Ruth.

Szczęka mi zesztywniała.

– Po to mnie tu zaprosiłaś? – pytam. – Żeby mi powiedzieć, że już nie chcesz mnie znać?

Co ja, kretynka, sobie myślałam? Że to wizyta towarzyska? Że po raz pierwszy od dziesięciu lat Christina postanowiła zaprosić mnie na lunch? Czy może od początku wiedziałam, że idę tu w nadziei na cud w postaci Hallowellów – chociaż duma nie pozwalała mi tego przyznać?

Wpatrujemy się w siebie przez dłuższą chwilę.

– Nie – mówi Christina. – Chciałam cię zobaczyć. Sprawdzić, czy u ciebie wszystko… no wiesz… w porządku.

Duma to zły smok; śpi pod twoim sercem i ryczy, gdy potrzebujesz ciszy.

– Cóż, możesz to odhaczyć ze swojej listy dobrych uczynków – kwituję z goryczą. – W życiu nie czułam się lepiej.

– Ruth…

Podnoszę rękę.

– Przestań, Christino, dobrze? Po prostu… przestań.

Szukam zadry w naszej wspólnej historii, jakiegoś punktu, kiedy z dwóch dziewczynek, które wszystko o sobie wiedziały – znały swój ulubiony smak lodów, ulubionego członka zespołu New Kids on the Block, ukochanego aktora – stałyśmy się dwiema kobietami, które dla siebie nie istnieją. Czy nasze drogi się rozeszły, czy nasza bliskość

była tylko złudzeniem? Czy zawdzięczałyśmy ją przyjaźni, czy geografii?

– Przepraszam – mówi Christina stłumionym głosem.

– Ja też – odszeptuję.

Nagle zrywa się od stołu i wraca po chwili, po czym wysypuje zawartość torebki. Okulary przeciwsłoneczne, klucze, pomadki i paragony zaścielają stół; tabletki przeciwbólowe, które nosi luzem w torbie, sypią się jak cukierki. Otwiera portmonetkę, wyjmuje gruby plik banknotów i wciska mi w dłoń.

– Bierz – mówi. – I niech to zostanie między nami.

Kiedy ocieramy się dłońmi, przechodzi mnie prąd. Podskakuję jak rażona gromem.

– Nie. – Cofam się o krok. To jest granica i jeśli ją przekroczę, wszystko się między nami zmieni. Może nigdy nie byłyśmy sobie równe, ale przynajmniej mogłam udawać. Jeżeli wezmę te pieniądze, wszelkie pozory stracą rację bytu. – Nie mogę.

W Christinę jakby coś wstąpiło, wciska mi pieniądze na siłę.

– Bierz – powtarza. A potem patrzy na mnie, jakby wszystko było w porządku, jak gdyby nic się nie zmieniło, jakbym nie stała się żebraczką, celem dobroczynnym. – Zjedzmy deser – oznajmia. – Roso?

W pośpiechu potykam się o krzesło.

– Właściwie to nie jestem głodna. – Odwracam wzrok. – Muszę iść.

Z wieszaka w holu porywam moją torebkę i płaszcz, po czym wybiegam z mieszkania i zatrzaskuję drzwi za sobą. Raz po raz wciskam guzik windy, jakby to miało ją przyspieszyć.

I przeliczam banknoty. Pięćset pięćdziesiąt sześć dolarów.

Rozlega się brzęczek windy.

Podbiegam do wycieraczki przed drzwiami Christiny i upycham pod nią całą kwotę.

Rano powiedziałam Edisonowi, że nie możemy już jeździć samochodem. Ubezpieczenie się skończyło i nie stać mnie na wykupienie nowego. Sprzedam wóz w ostateczności, dopóki jednak nie uzbieram na wszystkie opłaty i benzynę, będziemy jeździć autobusem.

Wsiadam do windy i z zamkniętymi oczami zjeżdżam na parter. A potem biegnę Central Park West, dopóki nie braknie mi tchu, dopóki nie mam pewności, że nie zawrócę.

Budynek przy Humphrey Street wygląda jak każdy inny urząd: to kanciasty, cementowy gmach o biurokratycznej fasadzie. Dział opieki społecznej pęka w szwach, na każdym pękniętym plastikowym krześle siedzi ktoś pochylony nad formularzem. Adisa podchodzi ze mną do okienka. Obecnie pracuje – zarabia najniższą krajową jako kasjerka na pół etatu – lecz bywała tu częstym gościem i zna procedury.

– Moja siostra chce złożyć wniosek o zasiłek – oznajmia, a mnie od tego cierpnie skóra.

Sekretarka wygląda na rówieśnicę Edisona. Ma długie, rozkołysane kolczyki w kształcie taco.

– Proszę to wypełnić. – Podaje mi formularz.

Ponieważ nie ma na czym usiąść, opieramy się o ścianę. Kiedy Adisa szuka w swojej przepastnej torbie długopisu, ja zerkam na kobiety, które próbują pisać z berbeciami na kolanach, na mężczyzn cuchnących potem i gorzałką, na kobietę z długim, siwym warkoczem, która trzyma lalkę i nuci pod nosem. Mniej więcej połowa osób to biali – matki wycierające dzieciom nosy chusteczkami i nerwowi mężczyźni w koszulach, którzy postukują długopisami o nogi, wpatrzeni w swoje blankiety.

– Dwie trzecie zapomogi idzie do białych – informuje mnie Adisa. – Tylko pomyśl.

Jeszcze nigdy nie czułam się taka wdzięczna, że mam siostrę.

Wypełniam kilka pierwszych rubryk: nazwisko, adres, liczba osób na utrzymaniu.

„Dochód", czytam.

Zaczynam wpisywać swój roczny dochód, ale go wykreślam.

– Wpisz zero dolarów – radzi Adisa.

– Dostaję trochę po Wesleyu…

– Wpisz zero – powtarza Adisa. – Znam ludzi, którym odmówiono zasiłku, bo mieli za drogie samochody. Przekręcisz system, tak jak

system przekręcił ciebie.

Kiedy nie reaguję, odbiera mi formularz, wypełnia go i odnosi sekretarce.

Mija godzina i nikt z poczekalni nie zostaje wywołany.

– Ile to potrwa? – pytam szeptem.

– Tyle, ile uznają za stosowne cię tu potrzymać – odpowiada Adisa. – W połowie przypadków ludzie nie mogą dostać pracy, bo pierdzą tutaj w stołek, czekając na zasiłek.

Dochodzi trzecia – cztery godziny po naszym przybyciu – kiedy urzędniczka podchodzi do drzwi.

– Ruby Jefferson? – rzuca.

Wstaję.

– Ruth.

Zerka na dokument.

– Możliwe – ustępuje.

Idziemy za nią korytarzem do boksu i siadamy.

– Zadam pani kilka pytań – zaczyna kobieta monotonnym głosem. – Czy nadal jest pani zatrudniona?

– To skomplikowane… zostałam zawieszona.

– Co to znaczy?

– Jestem pielęgniarką, ale wstrzymano mi licencję na czas trwania rozprawy. – Pospiesznie wyrzucam słowa, jakby ktoś wydzierał mi je ze środka.

– Mniejsza o to – wtrąca Adisa. – Może ja wyklaruję. Ni ma pracy i ni ma płacy. – Wybałuszam oczy na siostrę: liczyłam na nić porozumienia z urzędniczką, miałam nadzieję, że nie zobaczy we mnie typowej bezrobotnej, tylko osobę z klasy średniej, która dostała od życia po nosie. Za to Adisa jedzie po bandzie i murzyńskim slangiem niweczy moje plany.

Urzędniczka wsuwa okulary na nos.

– A fundusz na studia pani syna?

– To plan 529[14] – odpowiadam. – Wyłącznie na opłacenie nauki.

– Musi mieć zdrowotne – dorzuca Adisa.

Kobieta zerka na mnie.

– Ile płaci pani teraz na COBRĘ[15]?

– Tysiąc sto miesięcznie – odpowiadam i czerwienieję. – Ale w przyszłym miesiącu już nie będzie mnie na to stać.

Niezobowiązująco kiwa głową.

– Proszę zlikwidować tę płatność. Kwalifikuje się pani na Obamacare[16].

– Nie, nie, nie rozumie pani. Nie chcę pozbywać się ubezpieczenia, zależy mi tylko na czasowym dofinansowaniu – tłumaczę. – To ubezpieczenie z mojego szpitala. W końcu wrócę do pracy i…

Adisa odwraca się do mnie.

– A jeśli Edison złamie nogę?

– Adiso…

– Masz się za O.J. Simpsona? Bo ci się upiecze? Pobudka, Ruth. Żaden z ciebie O.J. Żadna z ciebie Oprah ani Kerry Washington. Biali robią im łachę, bo są sławni. Ty jesteś kolejnym czarnuchem, który idzie na dno.

Mało mnie szlag nie trafia. Tak zaciskam pięści, że wbijam sobie paznokcie do krwi. Pojęcia nie mam, co spowodowało tę przemianę w gangsta, ale zabiję moją siostrę.

A co mi tam, już raz mnie oskarżyli.

Urzędniczka przenosi wzrok z Adisy na mnie, po czym spuszcza go na blankiet. Odchrząkuje.

– No dobrze – oznajmia z wyraźną ulgą, że ma nas z głowy. – Kwalifikuje się pani na ubezpieczenie medyczne, SNAP[17] oraz zasiłek. Skontaktujemy się z panią.

Adisa bierze mnie pod ramię i ściąga z krzesła.

– Dziękuję – mamroczę, kiedy siostra wywleka mnie z boksu.

– Nie było tak źle, co? – pyta, kiedy stajemy obok rośliny w wielkiej donicy przy windach. Czary-mary i znowu jest sobą.

Napadam na nią.

– Co to miało być, do cholery? Czy ci na głowę padło?

– Padło nie padło, dostałaś pieniądze – zauważa. – Później mi podziękujesz.

Szkoli mnie dziewczyna o imieniu Nahndi, mogłabym być jej matką.

– Możesz obsługiwać kasę albo przyjmować zamówienia przez głośnik – wyjaśnia. – Jest też obsługa sali i oczywiście stanowisk kuchennych…

Drepczę za nią, poprawiając uniform, którego metka gryzie mnie w kark. Mam ośmiogodzinną zmianę, co oznacza, że przysługuje mi pół godziny przerwy i darmowy posiłek, to wszystko za minimalną płacę. Po wyczerpaniu wszystkich możliwych posad tymczasowych w pośredniaku zgłosiłam się do McDonalda. Na rozmowie kwalifikacyjnej powiedziałam, że zrezygnowałam z pracy na rzecz bycia mamą. Z moich ust ani razu nie padło słowo „pielęgniarka". Chciałam jedynie zostać zatrudniona, aby móc zrezygnować z części świadczeń dla bezrobotnych. Chciałam wierzyć, dla własnej równowagi psychicznej, że nadal jestem zdolna, przynajmniej częściowo, zapewnić utrzymanie sobie i swojemu synowi.

Kiedy menedżer zadzwonił z propozycją pracy, zapytał, czy mogę zacząć od razu, bo brakuje im personelu. Dlatego zostawiłam Edisonowi kartkę na blacie, że mam dla niego niespodziankę, i pojechałam autobusem do centrum.

– Frytki ładuje się do koszyka. Mamy trzy rozmiary, w zależności od obłożenia – mówi Nahndi. – Opuszczasz koszyk i włączasz minutnik, ale po dwóch minutach i czterdziestu sekundach musisz potrząsnąć, żeby frytki nie zamieniły się w breję, jasne?

Przytakuję, obserwując, jak pracownik – student o imieniu Mike – wykonuje wszystkie wspomniane czynności.

– Kiedy minutnik zadzwoni, przytrzymujesz kosz nad fryturą przez około dziesięć sekund, żeby frytki odciekły. Następnie rzucasz je na blachę – uważaj, żeby się nie poparzyć – i solisz.

– Chyba że ktoś życzył sobie bez soli – wtrąca Mike.

– Później będziemy się o to martwić – odpowiada Nahndi. – Na każdą partię z dozownika wychodzi ta sama ilość soli. Potem znowu włączasz minutnik, bo frytki muszą zostać sprzedane w ciągu pięciu minut, inaczej idą do kosza.

Kiwam głową. Sporo do zapamiętania. Jako pielęgniarka musiałam pamiętać o tysiącu spraw, ale po dwudziestu latach to już pamięć ciała. Tutaj uczę się wszystkiego od nowa.

Mike odsuwa się, żebym spróbowała. Ależ ten koszyk jest ciężki, kiedy ocieka. Ręce ślizgają mi się w plastikowych rękawiczkach. Czuję, jak olej osiada mi pod czepkiem.

– Świetnie! – chwali Nahndi.

Uczę się, jak odpowiednio pakować, ile czasu żywność może spędzić w podgrzewaczu, nim zostanie wyrzucona, czym myć różne powierzchnie, jak powiedzieć menedżerowi, że potrzebujesz więcej ćwierćdolarówek, jak wcisnąć średni guzik na kasie, zanim wciśniesz guzik na posiłek Numer 1, bo w przeciwnym razie klient nie dostanie frytek z zamówieniem. Nahndi ma świętą cierpliwość, kiedy zapominam dodać sos albo łapię McDouble'a zamiast podwójnego cheeseburgera (różnią się tylko dodatkowym plastrem sera). Po godzinie wyznacza mnie do robienia kanapek.

Nigdy nie stroniłam od brudnej roboty. Bóg jeden wie, że zawód pielęgniarki wymaga trzymania niejednej miski z wymiocinami i zmiany pościeli zabrudzonej odchodami. Zawsze powtarzałam sobie, że pacjent czuje się bardziej skrępowany niż ja. Moim zadaniem jest ułatwiać mu życie w możliwie profesjonalny sposób.

Dlatego praca w sieci szybkiej obsługi nie robi na mnie większego wrażenia. Nie jestem tu dla chwały. Przyszłam po wypłatę, jaka by była.

Biorę głęboki oddech i łapię bułkę w trzech częściach, które umieszczam w tosterze. Otwieram kartonik na Big Maca, co nie jest takie proste w rękawiczkach. Posypany sezamem wierzch bułki ląduje do góry nogami w pokrywce, na to idzie środek, a spód w dolnej części opakowania. Dwa kleksy sosu z wielkiego metalowego pistoletu, potem strzępy sałaty i posiekana cebula. Na środkową część wędrują dwa strategicznie ułożone korniszony („tylko żeby się nie stykały, to pierwsza randka", zaznacza Nahndi), a dół otrzymuje plaster amerykańskiego sera. Następnie sięgam do podgrzewacza po dwa burgery i kładę jeden na górnej i jeden na dolnej części. Podnoszę środek i kładę na spód, dociskam całość sezamowym beretem, po czym przekazuję do zapakowania i sprzedaży.

To nie to samo, co odbieranie porodu, ale też mam poczucie dobrze wykonanego zadania.

Po sześciu godzinach bolą mnie nogi i śmierdzę olejem. Dwa razy sprzątałam łazienkę – w tym raz po czterolatku, który zwymiotował na podłogę. Właśnie zaczynam pomagać Nahndi przy kasie, gdy jakaś kobieta zamawia dwadzieścia McNuggetsów. Sama sprawdzam pudełko przed odłożeniem go na tacę i – tak jak mnie uczono – podaję jej numer zamówienia i życzę miłego dnia. Siada trzy metry ode mnie i zjada wszystkie kawałki kurczaka. Nagle wraca do lady.

– To pudełko jest puste – oznajmia. – Zapłaciłam za nic.

Przysuwam się do Nahndi.

– Sama sprawdzałam – mówię ściszonym głosem. – Zjadła wszystkie dwadzieścia.

– Wiem – odszeptuje Nahndi. – Ciągle to robi.

Podchodzi dyżurny menedżer, wychudzony mężczyzna z kępką włosów pod dolną wargą.

– Wszystko w porządku?

– Jak najbardziej – zapewnia Nahndi. Bierze ode mnie drugi kartonik z nuggetsami i podaje klientce, która wynosi go na parking. Menedżer wraca do okienka McDrive, gdzie wydaje zamówienia.

– To jakieś żarty – mamroczę.

– Olej to, bo nie wytrzymasz jednej zmiany. – Nahndi przenosi uwagę na grupkę rozgadanej młodzieży, która wchodzi do środka niesiona falą własnego śmiechu. – Popołudniowe godziny szczytu – dodaje tonem ostrzeżenia. – Pełna gotowość.

Odwracam się z powrotem do ekranu w oczekiwaniu, aż pojawi się zamówienie.

– Witamy w McDonaldzie – mówi Nahndi. – Czy mogę przyjąć zamówienie?

Mam nadzieję, że to nie shake. To jedyna maszyna, z której obsługą mam problemy, a Nahndi mi opowiadała, jak w pierwszym tygodniu mleko eksplodowało na nią i na podłogę.

– Hm, ja poproszę Big Maca – słyszę. – Co bierzesz, stary?

– Zostawiłem w domu portfel…

Odwracam się, bo znam ten głos. Przy ladzie stoi Bryce, kolega Edisona, a obok niego, z rękami w kieszeniach kurtki, widzę mojego syna.

Widzę zgrozę w oczach Edisona, kiedy omiata wzrokiem mój czepek, uniform, nową rzeczywistość. Dlatego zamiast się przywitać albo przynajmniej uśmiechnąć, ponownie staję tyłem, zanim Bryce mnie rozpozna. Zanim Edison znów będzie musiał tłumaczyć się z sytuacji, na którą go naraziłam.

Kiedy wracam do domu, Edisona jeszcze nie ma, więc zdejmuję uniform i zmywam z siebie zapach tłuszczu. Piszę do niego, lecz nie odpowiada, więc gotuję kolację, udając, że nic się nie stało. Kiedy wraca do domu, właśnie stawiam zapiekankę na stole.

– Prosto z piekarnika – mówię do niego, ale idzie prosto do swojego pokoju. Myślę, że wciąż jest wzburzony moją nową pracą, lecz po chwili wraca z wielkim słojem pełnym monet i książeczką czekową. Rzuca obie rzeczy na stół.

– Dwa tysiące trzysta osiemdziesiąt sześć – oznajmia. – W słoju powinno być jeszcze kilka setek.

– To pieniądze na college – zaznaczam.

– Są potrzebne teraz. Mam całą wiosnę i lato, żeby pracować, zarobię więcej.

Wiem, jak sumiennie odkładał pieniądze zarobione w sklepie spożywczym, gdzie pracuje od szesnastego roku życia. Zawsze było wiadomo, że dołoży się do studiów, a ja dorzucę to, czego nie pokryją stypendia, FAFSA oraz Plan 529 rozpoczęty, kiedy był dzieckiem. Na samą myśl o zabraniu kwoty uzbieranej na naukę robi mi się niedobrze.

– Nie, Edisonie.

Puszczają mu nerwy.

– Mamo, nie zgadzam się. Nie pozwolę ci pracować w McDonaldzie, jeśli mamy pieniądze do wykorzystania. Masz pojęcie, jak się z tym czuję?

– Po pierwsze, to nie pieniądze, tylko twoja przyszłość. Po drugie, żadna uczciwa praca nie przynosi wstydu. Nawet smażenie frytek. – Ściskam jego dłoń. – Poza tym to jedynie tymczasowe, bo sprawa wkrótce się wyjaśni i wrócę do szpitala.

– Jeśli rzucę lekkoatletykę, będę mógł wziąć więcej godzin w Stop & Shop.

– Nie rzucisz lekkoatletyki.

– Nie obchodzi mnie ten głupi sport.

– A mnie nie obchodzi nic oprócz ciebie – oznajmiam. Siadam naprzeciw niego. – Kochanie, pozwól mi to robić. Proszę. – Czuję, że łzy napływają mi do oczu. – Gdybyś zapytał mnie miesiąc temu, kim jest Ruth Jefferson, odpowiedziałabym, że dobrą pielęgniarką i dobrą matką. Ale teraz słyszę zewsząd, że nie byłam dobrą pielęgniarką. Jaka ze mnie matka, skoro nie będę mogła cię ubrać i nakarmić? Jeżeli mi na to nie pozwolisz… nie pozwolisz, żebym się o ciebie zatroszczyła… to już naprawdę nie wiem, kim mam być.

Mocno oplata ramionami tułów, odwraca wzrok.

– Wszyscy wiedzą. Słyszę, jak szepczą, a potem milkną, kiedy podchodzę.

– Koledzy?

– Nauczyciele też – przyznaje.

Momentalnie się najeżam.

– To niedopuszczalne.

– To nie tak. Próbują iść mi na rękę, wiesz? Na przykład, dają mi więcej czasu na zadania i mówią, że wiedzą o naszej trudnej sytuacji… a ilekroć któryś z nich jest taki… miły i wyrozumiały, mam ochotę komuś przywalić, bo to jeszcze gorsze, niż kiedy ludzie udają nieświadomych, że opuściłeś zajęcia, bo twoja mama siedzi w więzieniu. – Krzywi się. – Pamiętasz ten zawalony test? Nie zawaliłem dlatego, bo nie umiałem. Zawaliłem, bo zwagarowałem po tym, jak pan Herman zaczepił mnie na korytarzu i zaoferował pomoc.

– Och, Edisonie…

– Nie chcę ich pomocy! – wybucha. – Ani ich wsparcia. Chcę być jak wszyscy i nie chcę szczególnego traktowania. A potem jestem zły, bo użalam się nad sobą, jakbym tylko ja miał problemy, podczas kiedy ty… ty… – Urywa, pocierając rękami kolana.

– Nawet tak nie myśl. – Przytulam go, po czym odsuwam się i ujmuję w dłonie jego piękną twarz. – Nie potrzebujemy ich pomocy. Damy sobie radę. Wierzysz mi, prawda?

Patrzy na mnie, naprawdę na mnie patrzy, jak pielgrzym, który na rozgwieżdżonym niebie szuka odpowiedzi.

– Sam nie wiem.

– Ale ja wiem – stwierdzam stanowczo. – A teraz zjedz, co masz na talerzu. Bo na pewno nie pójdę do McDonalda, jeśli wystygnie.

Edison z ulgą sięga po widelec, a ja staram się nie myśleć o tym, że po raz pierwszy w życiu okłamałam syna.

Tydzień później miotam się przed wyjściem w poszukiwaniu firmowego daszka, kiedy ktoś dzwoni do drzwi. Otwieram i wpadam w osłupienie, bo na ganku stoi Wallace Mercy w pełnym rynsztunku – burza sztywnych jak druty siwych włosów, garnitur z kamizelką, dewizka.

– O matko – mówię. Ze zdumienia brakuje mi tchu.

– Witaj, siostro! – huczy. – Nazywam się Wallace Mercy.

Chichoczę. Serio mówię. No bo któż tego nie wie?

Rozglądam się, czy towarzyszy mu świta, kamery, lecz jedynym świadectwem jego renomy jest smukła czarna limuzyna przy krawężniku, z szoferem za kierownicą.

– Czy mógłbym zająć pani chwilę?

Tylko jeden, jedyny raz otarłam się o sławę, gdy ciężarna żona prezentera nocnego programu telewizyjnego miała wypadek samochodowy w pobliżu naszego szpitala i wzięto ją na dwudziestoczterogodzinną obserwację. Okazało się, że nic jej nie dolega, a ja z pielęgniarki stałam się rzeczniczką, która trzymała w ryzach wścibskich reporterów. A teraz spotykam słynną osobistość i jak na złość mam na sobie poliestrowy uniform.

– Oczywiście. – Zapraszam go do środka, w duchu dziękując Bogu, że złożyłam tapczan. – Napije się pan czegoś?

– Kawa byłaby wybawieniem – mówi.

Nastawiam czajnik z myślą, że Adisa padłaby trupem. Zastanawiam się, czy byłby to gruby nietakt strzelić sobie fotkę z Wallace'em i jej wysłać.

– Ładnie pani mieszka – oznajmia i patrzy na zdjęcia w ramkach. – To pani syn? Słyszałem, że łebski z niego chłopak.

„Od kogo?”, zastanawiam się.

– Mleko? Cukier?

– Jedno i drugie – odpowiada Wallace Mercy. Bierze kubek i wskazuje na tapczan. – Mogę? – Kiwam głową i na jego znak siadam na krześle obok niego. – Pani Jefferson, czy pani wie, dlaczego tu jestem?

– Prawdę powiedziawszy, nie mogę uwierzyć, że pan tu jest, mniejsza o powody.

Uśmiecha się; ma najbielsze zęby, jakie w życiu widziałam, odcinają się na tle ciemnej skóry. Stwierdzam, że z bliska jest młodszy, niż myślałam.

– Przyszedłem powiedzieć, że nie jest pani sama.

Zdziwiona patrzę na niego z ukosa.

– To bardzo miłe, ale mam już pastora…

– Ale pani społeczność to znacznie więcej niż twój kościół. Nasi są nie pierwszy raz celem ataków, moja siostro. Może jeszcze jesteśmy słabi, ale mamy siebie nawzajem.

Wszystkie elementy układanki wskakują na swoje miejsce. Jest tak, jak powiedziała Adisa: mój przypadek to dla niego kolejny szczebel do sławy, sposób na bycie zauważonym.

– Doceniam to, że pan przyszedł, ale nie sądzę, aby mój przypadek mógł pana zainteresować.

– Wręcz przeciwnie. Chciałbym o coś zapytać. Kiedy odsunięto panią od opieki nad białym dzieckiem, czy ktoś ze współpracowników stanął w pani obronie?

Myślę o Corinne, która wieść o niesprawiedliwej decyzji Marie przyjęła z niedowierzaniem, a później broniła Carli Luongo.

– Koleżanka wiedziała, że się zdenerwowałam.

– Stanęła w pani obronie? Czy zaryzykowałaby dla pani swoją posadę?

– Nie wymagałabym od niej takiego poświęcenia – stwierdzam z narastającą irytacją.

– Jakiego koloru skóry jest ta koleżanka? – pyta bez ogródek Wallace.

– To, że jestem czarna, nigdy nie wpływało na moje relacje ze współpracownikami.

– Dopóki nie potrzebowali kozła ofiarnego. Chcę tylko zaznaczyć, Ruth… czy mogę tak się do ciebie zwracać?... że my stoimy za tobą murem. Twoi czarni bracia i siostry zaryzykowali dla ciebie swoje posady. Zorganizują marsz w twoim imieniu i podniosą krzyk, który nie przejdzie bez echa.

Wstaję.

– Bardzo panu dziękuję za… zainteresowanie moją sprawą, jednak wolałabym omówić to z moją prawniczką, a poza tym…

– Jakiego koloru skóry jest twoja prawniczka? – przerywa mi Wallace.

– Co za różnica? – odpowiadam pytaniem. – Na jakiej podstawie oczekuje pan od białych dobrego traktowania, jeśli bez przerwy wytyka im pan niedociągnięcia?

Uśmiecha się, jakby już to słyszał.

– Słyszałaś o Trayvonie Martinie, jak mniemam?

Jasne, że słyszałam. Śmierć tego chłopca mną wstrząsnęła, nie tylko dlatego, że był mniej więcej w wieku Edisona, ale ponieważ także był dobrym uczniem i zawinił jedynie kolorem skóry.

– A czy wiesz, że w czasie procesu sędzia – biała sędzia – zabroniła używania na sali sądowej zwrotu „na tle rasowym”? – pyta Wallace. – Chciała przekonać ławę przysięgłych, że w tej zbrodni nie chodzi o rasę, tylko o morderstwo.

Jego słowa przeszywają mnie jak strzały. Kennedy mówiła mi to samo.

– Trayvon był dobrym dzieckiem, mądrym chłopcem. Ty jesteś szanowaną pielęgniarką. Powodem, dla którego sędzia nie chciała mówić o rasie, a twoja prawniczka unika tego tematu jak ognia, jest to, że czarni tacy jak ty i Trayvon mają być wyjątkami od reguły. Jesteście potwierdzeniem zasady, że złe rzeczy przytrafiają się dobrym ludziom, ponieważ tylko w ten sposób biała gwardia usprawiedliwia własne zachowanie. – Wychyla się naprzód z kubkiem w dłoniach. – A jeśli to nieprawda? Co jeśli ty i Trayvon nie stanowicie wyjątków… tylko regułę? Co jeśli niesprawiedliwość to norma?

– Chcę tylko pracować, żyć własnym życiem, wychowywać syna. Nie potrzebuję pańskiej pomocy.

– Może i nie potrzebujesz – stwierdza – co nie zmienia faktu, że są ludzie, którzy pragną ci pomóc, tak czy inaczej. W ubiegłym tygodniu wspomniałem o tobie w czasie mojego programu. – Zmienia pozycję, sięga do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjmuje niewielką kopertę ochronną. Następnie wstaje i mi ją wręcza. – Powodzenia, siostro. Będę się za ciebie modlił.

Kiedy drzwi się za nim zamykają, rozpieczętowuję kopertę i wytrząsam jej zawartość. Wewnątrz znajdują się banknoty: dziesiątki, dwudziestki, pięćdziesiątki. Są również dziesiątki czeków na moje nazwisko, wypisanych przez obcych. Czytam adresy: Tulsa, Oklahoma. Chicago. South Bend. Olympia, Waszyngton. A na samym dole spoczywa wizytówka Wallace'a Mercy'ego.

Zgarniam wszystko do koperty, którą wpycham do pustego wazonu na półce w dużym pokoju, i wtedy go widzę: mój zaginiony daszek leży sobie spokojnie na skrzynce od kablówki.

Czuję, jakbym stała na rozdrożu.

Wkładam daszek na głowę, łapię płaszcz i portfel, po czym pędzę na swoją zmianę.

Moje ulubione zdjęcie trzymam na półce. Kuzyn Wesleya pstryknął je na naszym ślubie, kiedy nie patrzyliśmy. Stoimy w holu eleganckiego hotelu, gdzie wyprawiliśmy wesele – prezent ślubny od Sama Hallowella. Obejmuję Wesleya za szyję, głowę mam zwróconą w bok. On nachyla się w moją stronę i szepcze mi coś do ucha.

Na próżno zachodziłam w głowę, co mówił mój przystojny mąż, powalający w swoim smokingu. Chciałabym wierzyć, że coś w stylu „Jesteś najpiękniejszą istotą, jaką w życiu widziałem" albo „Nie mogę się doczekać, kiedy rozpoczniemy wspólne życie". Ale takie rzeczy dzieją się tylko w powieściach i w filmach, w rzeczywistości raczej planowaliśmy ucieczkę z sali pełnej biesiadników, żebym mogła skorzystać z toalety.

Nie pamiętam, o czym rozmawialiśmy w chwili, gdy zrobiono zdjęcie, ale pamiętam naszą rozmowę tuż potem. Przed damską toaletą stała długa kolejka, więc Wesley zaproponował szarmancko, że przypilnuje drzwi, kiedy będę korzystać z męskiej. Chwilę trwało,

zanim uporałam się z suknią i całą resztą, toteż wyszłam po dobrych dziesięciu minutach. Wesley wciąż stał na straży pod drzwiami, ale trzymał w ręku żeton parkingowy.

– Co to jest? – spytałam. Nie mieliśmy wówczas samochodu, na własny ślub przyjechaliśmy transportem publicznym.

Potrząsnął głową ze śmiechem.

– Jakiś facet podszedł do mnie z prośbą o przyprowadzenie jego mercedesa.

Pośmialiśmy się z tego i oddaliśmy żeton portierowi. Śmialiśmy się, ponieważ byliśmy zakochani. Ponieważ życie jest pełne jasnych barw i nikogo nie obchodzi, że starszy, biały mężczyzna widzi w drogim hotelu Murzyna i siłą rzeczy bierze go za kogoś z obsługi.

Po miesiącu pracy w McDonaldzie zaczynam dostrzegać paradoks między obsługą a higienicznym szykowaniem żywności. Choć przygotowanie wszystkich zamówień ma trwać niespełna pięćdziesiąt sekund, przyrządzenie większości potraw trwa znacznie dłużej. Na przykład nuggetsy i Filet-o-Fish smażą się prawie cztery minuty. Chicken Selects „robią się” w sześć minut, a najwięcej czasu we fryturze spędzają chrupiące piersi z kurczaka. Grillowany kurczak w zasadzie gotuje się na parze. Apple pie piecze się dwanaście minut, ciastka dwie minuty. Mimo to naszym zadaniem jest uwinąć się z klientem w dziewięćdziesiąt sekund: pięćdziesiąt na przygotowanie zamówienia, czterdzieści na konstruktywną wymianę zdań.

Menedżerowie mnie uwielbiają, bo w przeciwieństwie do większości pracowników nie mam planu lekcji, który kolidowałby z moimi zmianami. Po latach nocek nie widzę najmniejszego problemu z przychodzeniem za kwadrans czwarta nad ranem, żeby uruchomić grill, który musi się rozgrzać, zanim otworzymy o piątej. Dzięki swojej elastyczności zwykle dostaję moje ulubione stanowisko – kasę. Lubię rozmawiać z klientami. Stawiam sobie za punkt honoru, żeby się uśmiechnęli, zanim odejdą od lady. A że nieraz, w sensie dosłownym, obrywało mi się od rodzących, niezadowolenie z powodu majonezu zamiast musztardy nie robi na mnie wrażenia.

Większość naszych stałych bywalców przychodzi rano. Są Marge i Walt, którzy noszą identyczne żółte bluzy, idą z domu prawie pięć kilometrów i kupują zestawy naleśnikowe z sokiem pomarańczowym. Jest Allegria, która ma dziewięćdziesiąt trzy lata i zjawia się raz w tygodniu w futrze, bez względu na temperaturę, po czym zjada jajko McMuffin, bez mięsa, sera i bułki. Jest również Consuela, która kupuje cztery duże kawy mrożone dla wszystkich dziewcząt w swoim salonie.

Tego ranka wchodzi jeden z bezdomnych, których pełno na ulicach New Haven. Czasem mój menedżer daje im jedzenie, które inaczej trzeba wyrzucić – na przykład frytki, które nie sprzedają się w ciągu pięciu minut. Czasami przychodzą się ogrzać. Kiedyś jeden nasikał do umywalki. Dzisiejszy ma długie, splątane włosy i brodę do brzucha. Na poplamionej koszulce widnieje napis BEST(IA) W ŁÓŻKU i ma żałobę pod paznokciami.

– Dzień dobry – mówię. – Witamy w McDonaldzie. Mogę przyjąć zamówienie?

Patrzy na mnie kaprawymi, niebieskimi oczami.

– Chcę piosenkę.

– Słucham?

– Piosenkę. – Podnosi głos. – Chcę piosenkę!

Dyżurująca menedżerka, drobniutka Patsy, podchodzi do lady.

– Proszę wyjść.

– Chcę zasraną piosenkę!

Patsy wpada w lekką panikę.

– Dzwonię na policję.

– Nie, czekaj. – Podchwytuję wzrok mężczyzny i zaczynam nucić piosenkę Boba Marleya. Kiedyś śpiewałam Edisonowi *Three little birds* na dobranoc, pewnie zapamiętam słowa do śmierci.

Mężczyzna przestaje krzyczeć i wychodzi, szurając nogami. Przylepiam uśmiech do twarzy, by powitać następnego klienta.

– Witamy w McDonaldzie – mówię i staję oko w oko z Kennedy McQuarrie.

Ma na sobie bezkształtny grafitowy kostium i trzyma za rękę dziewczynkę z jasnymi loczkami, które sterczą jej na głowie jak sprężynki.

– Chcę naleśniki i kanapkę z jajkiem – oznajmia.

– Nie ma mowy – odpowiada stanowczo Kennedy i dopiero mnie zauważa. – Och. O rany. Ruth. Ty… tu pracujesz.

Jej słowa ranią mnie do żywego. Myślała, że co będę robić w oczekiwaniu na rozprawę? Czerpać ze studni bez dna?

– To moja córka, Violet – ciągnie Kennedy. – Dzisiaj ma święto. My, uhm, nie chodzimy zbyt często do McDonalda.

– Ależ chodzimy, mamusiu – wtrąca Violet i Kennedy robi się czerwona jak burak.

Chyba nie chce uchodzić w moich oczach za matkę, która daje dziecku fast food na śniadanie, tak samo jak ja nie chcę, żeby uważała mnie za kogoś, kto pracowałby tutaj, gdyby miał inny wybór. Uświadamiam sobie, że obie desperacko chcemy być ludźmi, którymi nie jesteśmy.

Ta myśl dodaje mi otuchy.

– Na twoim miejscu – szepczę do Violet – wybrałabym naleśniki.

Z uśmiechem klaszcze w ręce.

– No to chcę naleśniki.

– Coś jeszcze?

– Dla mnie małą kawę – mówi Kennedy. – Mam jogurt w biurze.

– Uhm. – Wciskam odpowiednie miejsca na ekranie. – Poproszę pięć dolarów i siedem centów.

Otwiera portfel i odlicza kilka banknotów.

– Jakieś wieści? – pytam neutralnym tonem, jak o pogodę.

– Jeszcze nie. Ale to normalne.

„Normalne”. Kennedy ujmuje rączkę córki i odchodzi od lady, też chce wyplątać się już z tej sytuacji. Zmuszam się do uśmiechu.

– Nie zapomnij reszty – mówię.

***

Tydzień po rozpoczęciu nauki w Dalton rozbolał mnie brzuch. Mimo że nie miałam gorączki, mama pozwoliła mi nie iść na lekcje i zabrała mnie ze sobą do Hallowellów. Na samą myśl o powrocie do szkoły

czułam ukłucie w brzuchu lub zbierało mi się na wymioty, albo jedno i drugie.

Za zgodą pani Hallowell mama owinęła mnie kocem i zainstalowała w gabinecie pana Hallowella z krakersami, napojem imbirowym i telewizorem w roli opiekunki. Dała mi swój szczęśliwy szalik, żebym czuła się, jakby przy mnie była. Zaglądała co pół godziny, dlatego bardzo się zdziwiłam, kiedy wszedł sam pan Hallowell. Mruknął coś na powitanie, podszedł do biurka i przeglądał stertę papierów, dopóki nie znalazł tego, czego szukał – czerwonego segregatora. Następnie zwrócił się do mnie.

– Czy to coś zaraźliwego?

Potrząsnęłam głową.

– Nie, proszę pana. – Tak mi się przynajmniej zdawało.

– Twoja mama powiedziała, że boli cię brzuch.

Przytaknęłam.

– I zaczął po tym, jak poszłaś do szkoły…

Myślał, że udaję? Naprawdę nie udawałam. Ból był prawdziwy.

– Jak tam w ogóle jest? – drążył. – Spodobała ci się twoja nauczycielka?

– Tak, proszę pana. – Pani Thomas była drobna i ładna, skakała od jednej ławki do drugiej jak szpak na tarasie. Kiedy wypowiadała moje imię, zawsze się uśmiechała. W przeciwieństwie do szkoły w Harlemie – do której nadal chodziła moja siostra – słońce wpadało tutaj przez duże okna, kredki na plastyce były nowiutkie i całe, a podręczniki miały wszystkie kartki i nikt nie zdążył ich pobazgrać. Była to szkoła jak w telewizji; myślałam, że to fikcja, a jednak naprawdę taka istniała.

– Hm. – Sam Hallowell usiadł obok mnie na kanapie. – Masz wrażenie, jakbyś zjadła nieświeże burrito? Przychodzi i odchodzi falami?

– Tak.

– Przeważnie, kiedy myślisz o powrocie do szkoły?

Spojrzałam prosto na niego, bo chyba czytał mi w myślach.

– Tak się składa, że wiem, co ci dolega, Ruth, bo sam to kiedyś złapałem. Tuż po tym, jak awansowałem w telewizji. Miałem piękny gabinet, wszyscy chcieli mi się przypodobać, ale wiesz co? Czułem

się chory jak pies. – Spojrzał na mnie. – Byłem pewien, że ktoś lada chwila na mnie spojrzy i odkryje, że znalazłem się tam przez pomyłkę.

Pomyślałam, jakie to uczucie siedzieć w pięknej, wyłożonej boazerią stołówce i być jedynym uczniem ze śniadaniówką. Przypomniałam sobie, jak pani Thomas pokazywała nam zdjęcia amerykańskich bohaterów i choć wszyscy rozpoznali Jerzego Waszyngtona i Elvisa Presleya, jako jedyna rozpoznałam Rosę Parks, co napełniło mnie jednocześnie dumą i zakłopotaniem.

– Ty nikogo nie udajesz – oznajmił Sam Hallowell. – Nie znalazłaś się tam z powodu szczęśliwego zrządzenia losu, przypadkowo ani po znajomości. Chodzisz tam, bo jesteś sobą, a samo to jest niebywałym osiągnięciem.

Jego słowa kołaczą mi w głowie, gdy słucham dyrektora liceum Edisona, który mnie informuje, że mój syn, co nie skrzywdziłby muchy, w czasie przerwy na lunch rozkwasił nos swemu najlepszemu przyjacielowi, pierwszego dnia po feriach z okazji Dnia Dziękczynienia.

– Wiemy, że macie w domu… trudną sytuację, pani Jefferson, ale nie możemy tolerować takich zachowań.

– Zapewniam pana, że to się więcej nie powtórzy. – Nagle jestem z powrotem w Dalton i przepraszam, że żyję. Zaraz mu podziękuję, że wezwał mnie na dywanik.

– Proszę mi wierzyć, wiem, że Edison jest pod dużą presją, dlatego przymknę teraz oko. W zasadzie powinienem to włączyć do jego akt, ale tym razem zastosuję taryfę ulgową. Niemniej jednak do końca tygodnia jest zawieszony. Musi ponieść karę za łamanie szkolnych zasad, nie możemy dopuścić, aby uczniowie bali się o swoje bezpieczeństwo.

– Tak, naturalnie – mamroczę i wychodzę upokorzona. Przywykłam zjawiać się w tej szkole w blasku chwały: patrzeć, jak mój syn odbiera nagrodę za ocenę z francuskiego, albo oklaskiwać go jako Szkolnego Sportowca Roku. Ale tym razem Edison nie wchodzi na scenę z szerokim uśmiechem uścisnąć dłoń dyrektora. Siedzi rozwalony na ławce pod gabinetem z taką miną, jakby miał wszystko w nosie. Mam ochotę natrzeć mu uszu.

Patrzy na mnie spode łba.

– Dlaczego przyszłaś tak ubrana?

Chodzi mu o mój uniform.

– Ponieważ byłam w pracy, kiedy zadzwoniła sekretarka ze szkoły mojego syna z informacją, że zostanie wyrzucony.

– Zawieszony…

Naskakuję na niego.

– Milcz. I nie waż się mnie poprawiać. – Wychodzimy ze szkoły na mroźne powietrze, które pachnie już zimą. – Zechcesz mi łaskawie wyjaśnić, dlaczego uderzyłeś Bryce'a?

– Myślałem, że mam milczeć.

– I nie pyskuj. Co cię napadło, Edisonie?

Odwraca wzrok.

– Kojarzysz kogoś o imieniu Tyla? Pracujesz z nią.

Przed oczami staje mi dziewczyna z trądzikiem.

– Chuda?

– No. W życiu z nią nie rozmawiałem. Dzisiaj podeszła w czasie przerwy i powiedziała, że zna cię z McDonalda. Bryce'a strasznie rozbawiło, że tam pracujesz.

– Nie powinieneś się nim przejmować – odpowiadam. – Bryce nie umiałby uczciwie pracować, nawet gdyby mu przystawiono pistolet do głowy.

– Nabijał się z ciebie.

– Powiedziałam ci, że nie warto zwracać na niego uwagi.

Edison zaciska zęby.

– Zapytał: „Dlaczego twoja mama jest jak Big Mac? Bo jest tłusta i warta tylko dolara".

Aż mnie zatyka. Rzucam się z powrotem w stronę szkoły.

– Już ja nagadam dyrektorowi.

Syn łapie mnie za ramię.

– Nie! Jezus Maria, i tak jestem pośmiewiskiem. Nie pogarszaj sprawy! – Potrząsa głową. – Mam dosyć. Nienawidzę tej pieprzonej szkoły, jej pieprzonych stypendiów i pieprzonego udawania.

Nawet nie każę mu się wyrażać. Brakuje mi tchu.

Całe życie wbijałam Edisonowi do głowy, że kiedy człowiek ciężko pracuje i postępuje należycie, zostanie doceniony. Mówiłam, że

nikogo nie udajemy i zasługujemy na to, do czego dążymy i co dostajemy. Zapomniałam dodać, że wszystko to może zostać nam odebrane w dowolnej chwili.

Niesamowite, jak można patrzeć w lustro i myśleć, że widzimy siebie wyraźnie. A potem przychodzi dzień, gdy zdrapujemy szarą warstwę hipokryzji i uświadamiamy sobie nagle, że tamten obraz był złudzeniem.

Rozpaczliwie szukam właściwej odpowiedzi: chcę powiedzieć Edisonowi, że postąpił słusznie, lecz na dłuższą metę to niczego nie zmieni, nawet gdyby pobił wszystkich chłopców w szkole. Nie wiem, jak go przekonać, że na przekór temu wszystkiemu musimy dzień w dzień stawiać krok za krokiem i modlić się do Boga, aby z kolejnym wschodem słońca było lepiej. Że jeśli nie mamy prawa, pozostaje nam tylko nadzieja.

W przeciwnym bowiem razie stajemy się gnuśni, chaotyczni i pokonani. Stajemy się tymi, za jakich nas biorą.

W milczeniu jedziemy autobusem do domu. Gdy skręcamy w naszą przecznicę, oznajmiam mu, że ma szlaban.

– Na jak długo? – pyta.

– Tydzień – odpowiadam.

Patrzy na mnie z urazą.

– Przecież nawet nie wpiszą mi tego w akta.

– Ile razy mam powtarzać, że jeśli chcesz być traktowany poważnie, musisz się starać w dwójnasób?

– Mógłbym pobić jeszcze kilku białych – stwierdza Edison. – Dyrektor potraktował mnie za to bardzo poważnie.

Zaciskam usta.

– Dwa tygodnie.

Jednym skokiem wpada na ganek i pcha drzwi wejściowe, przy czym omal nie przewraca kobiety, która stoi przed nimi z dużym kartonem.

Kennedy.

Z powodu incydentu w szkole kompletnie zapomniałam o naszym spotkaniu.

– Przyszłam nie w porę? – pyta niepewnie. – Możemy przełożyć…

Czuję, że oblewam się rumieńcem.

– Nie. Wszystko w porządku, po prostu… coś mi wypadło. Przepraszam, że musiałaś tego słuchać. Mój syn na co dzień jest grzeczniejszy. – Przytrzymuję jej drzwi. – Robi się trudniej, kiedy nie możesz dać im klapsa, bo nagle stali się od ciebie wyżsi o głowę.

Wygląda na zaszokowaną, ale maskuje to uprzejmym uśmiechem.

Kiedy wieszam płaszcz Kennedy, taksuję wzrokiem tapczan, jedyny fotel i malutką kuchnię, i staram się zobaczyć wnętrze z jej perspektywy.

– Napijesz się czegoś?

– Poproszę wodę.

Idę do kuchni napełnić szklankę – to kilka kroków, dzieli nas tylko blat – a Kennedy ogląda zdjęcia na półce. Jest tam najnowsza szkolna fotografia Edisona, nasza na Mall w Waszyngtonie oraz zdjęcie ze ślubu Wesleya i moje.

Kiedy siadam na tapczanie, zaczyna wyciągać akta, które przytargała. Edison dąsa się u siebie.

– Zapoznałam się z dokumentacją – zaczyna. – I nie rozumiem jednej rzeczy. Mówię o karcie Davisa. Znam się na żargonie prawniczym, ale w medycznym mam pewne braki.

Otwieram kartę i spinam barki na widok kserokopii adnotacji Marie.

– Wszystko się zgadza: wzrost, waga, skala Apgar, oczy, uda…

– Słucham?

– Antybiotykowa maść do oczu i zastrzyk z witaminą K. Standardowy zestaw u noworodków.

Kennedy wyciąga rękę i wskazuje jedną cyfrę.

– Co to znaczy?

– Niski poziom cukru. Nie chciał jeść. Matka miała cukrzycę ciążową, więc nie było w tym nic szczególnie zaskakującego.

– To twoje pismo? – pyta Kennedy.

– Nie, położnej, która odbierała poród. Lucille. Zastąpiłam ją, kiedy skończyła zmianę. – Przewracam kartkę. – Tutaj masz wynik badania ogólnego, formularz wypełniony przeze mnie. „Temperatura trzydzieści sześć przecinek siedem” – czytam. – Ciemiączko nie budziło zastrzeżeń, cukier pięćdziesiąt dwa, czyli nastąpiła poprawa.

„Czyste płuca. Żadnych siniaków ani zniekształceń na główce. Wzrost czterdzieści dziewięć centymetrów, obwód głowy trzydzieści cztery centymetry". – Wzruszam ramionami. – Wszystko w normie, nie licząc potencjalnych szmerów w sercu. Jak widzisz, zanotowałam to na karcie, zalecając konsultację z kardiologiem dziecięcym.

– I co powiedział?

– Nie zdążył. Dziecko umarło. – Marszczę brwi. – A gdzie wyniki badania krwi włośniczkowej?

– Słucham?

– Z pięty.

– Poproszę o nie – rzuca z roztargnieniem Kennedy. Zaczyna przerzucać papiery, aż w końcu znajduje jeden opatrzony pieczęcią lekarza sądowego. – O, zobacz… „Przyczyna śmierci: hipoglikemia prowadząca do ataku hipoglikemicznego, co doprowadziło do bezdechu i zatrzymania akcji serca". Zatrzymania akcji serca? Innymi słowy, miał wadę wrodzoną?

Podaje mi raport.

– No proszę, jednak miałam rację – mówię. – Chłopiec miał przetrwały przewód tętniczy.

– Czy to zagraża życiu?

– Nie. Zwykle ulega zamknięciu w pierwszym roku życia.

– Zwykle – powtarza. – Ale nie zawsze.

Zdezorientowana potrząsam głową.

– Nie możemy mówić, że dziecko było chore, jeżeli nie było.

– Ciężar dowodu spoczywa na oskarżeniu. My możemy mówić wszystko: że mały był zarażony wirusem Ebola, że jego daleki kuzyn zmarł w wyniku choroby serca, że przyszedł na świat z aberracją chromosomową i śmierć była nieunikniona. Musimy tylko rzucić przysięgłym okruszki w nadziei, że ruszą ich tropem.

Ponownie przeglądam kartotekę i znajduję notkę Marie.

– Zawsze możemy pokazać im to.

– To nie zasieje wątpliwości – ucina Kennedy. – Przysięgli mogą wręcz pomyśleć, że miałaś konkretny powód, aby się wkurzyć. Odpuść sobie, Ruth. Co się teraz bardziej liczy, twoje zranione ego czy gilotyna nad głową?

Ściskam papier i przecinam sobie skórę.

– Tu nie chodzi o moje ego.

– Świetnie. Zatem się zgadzamy. Chcesz wygrać tę sprawę? Więc pomóż mi znaleźć jakiś punkt zaczepienia, potwierdzający, że dziecko by umarło, nawet gdybyś stanęła na głowie, by je uratować.

Mam to na końcu języka. Mam na końcu języka wyznanie, że próbowałam chłopca reanimować. Ale wówczas musiałabym przyznać, że ją okłamałam, a przed chwilą sama ją za to zrugałam. Dlatego wkładam palec do ust i ssę skaleczenie. W kuchni znajduję plastry, niosę je do stołu i zaklejam środkowy palec.

To nie jest sprawa o szmery w sercu. Obie to wiemy.

Patrzę na stół i przejeżdżam kciukiem po sęku.

– Robisz córce kanapki z dżemem i masłem orzechowym?

– Słucham? – Kennedy podnosi wzrok. – Tak. Oczywiście.

– Kiedy Edison był mały, strasznie grymasił. Czasami odmawiał zjedzenia dżemu, więc musiałam go zeskrobać. Ale tak naprawdę nie sposób zeskrobać dżemu z masła orzechowego, kiedy już się tam znalazł. Nadal czuć jego smak.

Moja prawniczka patrzy na mnie, jakbym postradała zmysły.

– Powiedziałaś mi, że w moim procesie nie chodzi o rasę. Ale od tego się zaczęło. I nieważne, czy zdołasz przekonać przysięgłych, że jestem wcieleniem Florence Nightingale: nie zmienisz faktu, że jestem czarna. Prawda jest taka, że gdybym wyglądała tak jak ty, to wszystko by mnie nie spotkało.

Dostrzegam błysk w jej oczach.

– Po pierwsze – mówi spokojnie Kennedy – mogłabyś zostać oskarżona bez względu na swoją rasę. Zrozpaczeni rodzice i szpital, który nie chce pójść z torbami, to wymarzona recepta na znalezienie kozła ofiarnego. Po drugie, wcale nie twierdzę, że nie masz racji: ta sprawa ma zdecydowanie kontekst rasowy. Jednak z mojego doświadczenia wynika, że mówienie o tym w sądzie raczej utrudni ci życie, niż pomoże oczyścić z zarzutów. Chyba nie warto ryzykować na rzecz domniemanej zniewagi.

– Domniemanej zniewagi – powtarzam. Obracam w ustach te słowa, badam językiem ich ostrą krawędź. – Domniemana zniewaga. – Unoszę podbródek i patrzę na Kennedy. – Co myślisz o byciu białą?

Potrząsa głową, jej twarz niczego nie wyraża.

– Wcale o tym nie myślę. Już ci powiedziałam: ja nie widzę koloru skóry.

– Nie wszyscy z nas mają ten przywilej. – Sięgam po plastry i wysypuję je na dokumenty. – „W kolorze skóry” – czytam na opakowaniu. – Może mi powiesz, który z tych plastrów jest w kolorze skóry? Mojej skóry?

Na policzkach Kennedy wykwitają czerwone plamy.

– Nie możesz mieć o to do mnie pretensji.

– Czyżby?

Prostuje plecy.

– Nie jestem rasistką, Ruth. I rozumiem twoje wzburzenie, ale to trochę nie fair, że się na mnie wyładowujesz, kiedy robię, co w mojej mocy – w sensie zawodowym – żeby ci pomóc. Na miłość boską, kiedy idę ulicą i z naprzeciwka nadchodzi czarny, a ja łapię się na tym, że pomyliłam drogę, idę dalej, zamiast zawrócić, żeby nie pomyślał, że się go boję.

– Przeginasz w drugą stronę, co jest równie złe – zauważam. – Twierdzisz, że nie widzisz koloru… ale ty nie widzisz nic innego. Jesteś tak przeczulona na tym punkcie, tak gorliwie wypierasz się uprzedzeń i nawet nie rozumiesz, że słowa „kolor skóry nie ma znaczenia” umniejszają moje odczucia i przeżycia. Świadczą o kompletnej obojętności na dyskryminację, której doświadczyłam.

Nie wiem, która z nas jest bardziej zaskoczona moim wybuchem. Kennedy, z powodu napaści ze strony klientki, której przypisywała dozgonną wdzięczność za swoją pomoc, czy może ja, z powodu uwolnienia bestii, którą skrywałam w sobie przez te wszystkie lata. Czaiła się w cieniu, czuwała, aż zachwieje się mój niezachwiany optymizm i spuszczę ją z łańcucha.

Kennedy przytakuje z zaciśniętymi ustami.

– Masz rację. Nie wiem, co to znaczy być czarnym. Ale mam doświadczenie w rozprawach. Powoływanie się na rasę to pewna przegrana. Przysięgli lubią jasność. Lubią mówić „Ponieważ A, dlatego B”. Dołóż do tego rasizm, a wszystko zmętnieje. – Zbiera rozsypane papiery i wpycha je do teczki. – Nie chcę stwarzać wrażenia, że twoje uczucia nie liczą się dla mnie, a rasizm nie istnieje. Dążę jedynie do twojego uniewinnienia.

Zwątpienie, jak szron, srebrzy się na obrzeżach mojego umysłu.

– Chyba obie musimy ochłonąć – proponuje dyplomatycznie Kennedy. Wstaje i podchodzi do drzwi. – Możemy wygrać tę sprawę bez uciekania się do takich sposobów, Ruth, masz moje słowo.

Kiedy drzwi zamykają się za nią, siadam z rękami złożonymi na kolanach. Pytanie, czy to będzie zwycięstwo.

Skubię plaster na palcu. Podchodzę do wazonu na półce przy telewizorze. Wyciągam kopertę i przetrząsam czeki, póki nie znajduję tego, czego szukam.

Wizytówki Wallace'a Mercy'ego.

14 Sponsorowany przez władze stanowe program inwestycyjny mający na celu opłacenie studiów.

15 COBRA – ustawa z 1985 roku Consolidated Omnibus Budget Reconciliation Act (Skonsolidowana Ustawa Budżetowa) mająca pomóc byłym pracownikom oraz ich rodzinom w zachowaniu ciągłości ubezpieczenia zdrowotnego.

16 Program opieki zdrowotnej przygotowany przez administrację prezydenta Baracka Obamy.

17 Supplemental Nutrition Assistance Program – Program Dodatkowej Zapomogi Żywieniowej (bony żywnościowe).

Turk

Co drugą niedzielę po południu Francis lubi otwierać swój dom dla członków Ruchu. Kiedy oddziały przestały grasować po ulicach w poszukiwaniu chłopców do bicia, praktycznie przestaliśmy się widywać. Przez internet można dotrzeć do wielu osób, ale to zimna, bezosobowa społeczność. Francis wie o tym i dlatego dwa razy w miesiącu na ulicy robi się gęsto od samochodów z blachami aż z New Jersey i New Hampshire – ich właściciele przyjechali z wizytą. Włączam chłopakom mecz, a kobiety urzędują w kuchni z Brit, pichcą i wymieniają się ploteczkami. Francis przejmuje pieczę nad młodzieżą, którą zajmuje barwnymi wykładami. Obserwuję z daleka i widzę, że wręcz zieje słowami jak smok, a chłopcy siedzą urzeczeni u jego stóp.

Od naszej ostatniej niedzielnej sesji minęły prawie trzy miesiące. Nie widzieliśmy tych ludzi od pogrzebu Davisa. Prawdę mówiąc, w ogóle się nad tym nie zastanawiałem, bo żyję z dnia na dzień, właściwie wegetuję, czuję się jak zombi. Lecz gdy Francis każe mi zamieścić ogłoszenie na stronie, zamieszczam. Nie odmawia się Francisowi.

I dom znowu tętni życiem, ale atmosfera jest nieco inna. Każdy chce mnie zagadnąć, spytać, jak sobie radzę. Brit zamknęła się w naszej sypialni z bólem głowy, nie zamierza nawet udawać zainteresowanej towarzystwem.

Za to Francis jest w swoim żywiole, otwiera piwa, komplementuje fryzury pań, ich niebieskookie dzieci i przepyszne wypieki. Znajduje mnie siedzącego samotnie obok garażu, gdzie poszedłem wyrzucić śmieci.

– Goście chyba dobrze się bawią – stwierdza.

Przytakuję.

– Lubią darmowe piwo.

– Dla kogo darmowe, dla tego darmowe. – Patrzy na mnie uważnie. – Wszystko w porządku? – pyta. Mówiąc „wszystko”, ma na myśli Brit. Gdy wzruszam ramionami, sznuruje usta. – Wiesz, kiedy jej mama odeszła, nie miałem pojęcia, co tu jeszcze robię. Myślałem, żeby się wymeldować; rozumiesz, o czym mówię. Miałem pod opieką półroczne dziecko i uważałem, że nic mnie tu nie trzyma. A potem któregoś dnia nagle mnie olśniło: tracimy ukochanych ludzi, aby bardziej docenić tych, którzy nam zostali. To jedyne możliwe wytłumaczenie, w przeciwnym razie Bóg jest strasznym sukinsynem.

Klepie mnie w plecy i przechodzi na małe, ogrodzone podwórko. Młodzież przywleczona tu przez rodziców nagle się ożywia za sprawą jego magnetyzmu. Siada na pieńku i rozpoczyna swoją szkółkę niedzielną.

– Lubicie zagadki? – Dzieciaki ochoczo kiwają głowami, rozlega się ogólny szmer aprobaty. – Świetnie. Kto mi powie, kto to jest Izrael?

– Też mi zagadka – mamrocze ktoś i dostaje łokciem od kolegi obok.

– Kraj pełen Żydów – wyrywa się inny chłopiec.

– Kto chce odpowiedzieć, niech podnosi rękę – poucza Francis. – Poza tym nie pytałem, czym jest Izrael, tylko kim.

Chłopak z meszkiem nad górną wargą macha ręką i zostaje wywołany.

– Jakub. Został tak nazwany, kiedy stoczył walkę z aniołem.

– I mamy zwycięzcę – oznajmia Francis. – Izrael miał dwunastu synów; rozumiecie, stąd wzięło się dwanaście izraelskich plemion…

Wracam do kuchni, gdzie rozmawia kilka kobiet. Jedna trzyma płaczącego niemowlaka.

– Wiem tylko, że przestała przesypiać noce i jestem tak wykończona, że wczoraj wyszłam do pracy w piżamie. Zorientowałam się dopiero za drzwiami.

– Mówię wam – wtrąca jedna dziewczyna. – Ja nacierałam mojemu dziąsła whisky.

– Wcześnie zaczął – podsumowuje starsza kobieta i wszystkie się śmieją.

Na mój widok milkną.

– Turk – mówi starsza kobieta. Nie znam jej imienia, ale rozpoznaję twarz, już tu była. – Nie widziałam, jak wszedłeś.

Nie spuszczam oczu z dziecka, które poczerwieniało na twarzy i wymachuje piąstkami. Zanosi się od płaczu.

Machinalnie wyciągam ręce w jej stronę.

– Mogę…?

Kobiety zerkają po sobie, po czym matka dziecka podaje mi dziewczynkę. Jest lekka jak piórko, skrzeczy i wymachuje zesztywniałymi rączkami i nóżkami.

– Ciii. – Poklepuję ją delikatnie. – Cichutko.

Głaszczę ją po pleckach. Jak przecinek dopasowuje się do mojego barku. Jej wrzaski przechodzą w czkawkę.

– Patrzcie, jaki zaklinacz dzieci – mówi z uśmiechem matka.

Tak mogło być.

Tak miało być.

Nagle widzę, że kobiety już nie patrzą na dziecko, tylko wpatrują się w coś za moimi plecami. Odwracam się; mała śpi jak kamień, z bąbelkami śliny na ustach.

– Jezu – oznajmia Brit, jakby z pretensją. Odwraca się i wybiega z kuchni. Słyszę, jak zatrzaskuje drzwi sypialni.

– Przepraszam – mówię, usiłując możliwie jak najdelikatniej i najszybciej przekazać dziecko matce. Potem biegnę do Brit.

Leży na naszym łóżku, twarzą do ściany.

– Jak ja ich, kurwa, nienawidzę. Nienawidzę, że tu przyłażą.

– Brit. Oni chcą być mili.

– I tego najbardziej nie trawię – oznajmia jadowitym głosem. – Nienawidzę tego, jak się na mnie gapią.

– Przecież to nie…

– Chciałam tylko napić się zasranej wody z własnego kranu. Za dużo wymagam?

– Przyniosę ci wodę…

– Nie o to chodzi, Turk.

– A o co? – pytam szeptem.

Brit odwraca się do mnie. Oczy ma pełne łez.

– No właśnie – mówi i wybucha płaczem, zanosi się jak tamto niemowlę, ale gdy przytulam ją mocno i głaszczę po plecach, nie

przestaje.

Czuję się tak samo nieswojo jak z płaczącą dziewczynką na rękach. To nie jest kobieta, z którą się ożeniłem. Zastanawiam się, czy przypadkiem nie pogrzebałem tego walecznego ducha wraz z ciałem syna.

Leżymy tak w zaciszu sypialni jeszcze długo po zachodzie słońca i odjeździe samochodów, kiedy w domu ponownie robi się pusto.

Następnego wieczora siedzimy wszyscy w dużym pokoju i oglądamy telewizję. Trzymam na kolanach laptop i piszę artykuł do Samotnegowilka.org na temat czegoś, co zdarzyło się w Cincinnati. Brit przynosi mi piwo i siada przytulona; jest to pierwszy taki odruch z jej strony od bardzo dawna.

– Nad czym pracujesz? – pyta i wyciąga szyję, żeby przeczytać.

– Dwóch czarnuchów rzuciło w szkole na ziemię białego chłopca – mówię. – Złamali mu kręgosłup, ale nie postawiono im zarzutów. Założę się, że w odwrotnej sytuacji biali zostaliby oskarżeni o napaść.

Francis wskazuje pilotem na telewizor i chrząka.

– Bo Cincinnati ma gówniane szkoły – dodaje. – Czarni zagarnęli wszystkie stołki. Czego naprawdę chcemy dla naszych dzieci?

– Dobre – mówię i wpisuję ostatnie zdanie. – Tym zakończę.

Francis skacze po kanałach.

– Dlaczego jest Czarna Rozrywka TV, a nie ma Rozrywki Białej? – pyta. – A podobno odwrócony rasizm to fikcja. – Wyłącza telewizor. – Idę spać.

Całuje Brit w czoło i wychodzi. Myślę, że ona też wstanie, ale się nie rusza.

– Czy to cię nie wykańcza? – pyta. – Czekanie?

Podnoszę wzrok.

– W jakim sensie?

– Już nic nie dzieje się natychmiast. Nie wiesz, kto czyta twoje posty. – Odwraca się twarzą do mnie i siada z podwiniętymi nogami. – Kiedyś wszystko było znacznie prostsze. Uczyłam się kolorów ze sznurowadeł chłopaków, z którymi spotykał się mój tata. Biali

supremacjoniści i neonaziści nosili czerwone lub białe. SHARP-owcy[18] niebieskie albo zielone.

Uśmiecham się pod nosem.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, że twój ojciec spotykał się z SHARP-owcami. – Skini przeciwko Uprzedzeniom Rasowym to najwięksi zdrajcy rasy; namierzają tych z nas, którzy walczą w słusznym celu wykorzenienia mniejszości. Wszyscy co do jednego uważają się za pieprzonych Batmanów.

– Nie mówiłam, że to było… przyjacielskie spotkanie – odpowiada Brit. – Chociaż czasem się spotykał. Człowiek robi, co musi, nawet jeśli zdaje się to przeczyć wszelkiej logice, bo widzi szerszą perspektywę. – Patrzy na mnie. – Znasz wujka Richarda?

Nie znałem go osobiście, ale Brit tak. Mowa o Richardzie Butlerze, przywódcy Narodów Aryjskich. Zmarł, kiedy miała siedemnaście lat.

– Wujek Richard przyjaźnił się z Louisem Farrakhanem.

Liderem Narodu Islamu? Nie wiedziałem.

– Ale… czy on nie jest…

– Czarny? Owszem. Ale nienawidzi Żydów i federalnego rządu tak jak my. Tata zawsze powtarza, że wróg mojego wroga to mój przyjaciel. – Brit wzrusza ramionami. – Był to rodzaj cichego porozumienia: najpierw obalimy razem system, potem weźmiemy się za łby.

Wygralibyśmy, nie mam co do tego wątpliwości.

Patrzy na mnie uważnie.

– Czego naprawdę chcemy dla naszych dzieci? – powtarza wcześniejsze słowa Francisa. – Ja wiem, czego chcę dla mojego syna. Chcę, aby został zapamiętany.

– Kochanie, przecież wiesz, że o nim nie zapomnimy.

– Nie mówię o nas – odpowiada twardo. – Mam na myśli wszystkich.

Spoglądam na nią. Wiem, o co jej chodzi: że pisanie bloga może podkopać fundamenty, lecz o wiele bardziej dramatyczne – i szybsze – jest wysadzenie budynku od góry.

W pewnym sensie spóźniłem się na ruch skinheadowski, bo jego rozkwit przypadł na dziesięć lat przed moim urodzeniem.

Wyobrażałem sobie świat, w którym ludzie uciekają na mój widok. Myślę o tym, jak przez ostatnie dwa lata przekonywaliśmy z Francisem współbraci, że anonimowość jest bardziej podstępna – i przerażająca – od gróźb.

– Twój ojciec się na to nie zgodzi – mówię.

Brit nachyla się i mnie całuje, po czym odsuwa się, pozostawiając niedosyt. Boże, jak ja za tym tęskniłem. Tęskniłem za nią.

– Nie zaboli go to, czego nie wie – kwituje.

Raine cieszy się, kiedy dzwonię. Ostatnio widzieliśmy się dwa lata temu; nie mógł przyjechać na nasz ślub, bo jego żona właśnie urodziła drugie dziecko. Na wieść, że będę w Brattleboro, zaprasza mnie do siebie na lunch. Przeprowadził się, więc zapisuję adres na serwetce.

W pierwszej chwili odnoszę wrażenie, że coś pomyliłem, bo widzę dom w ślepej uliczce ze skrzynką na listy w kształcie kota. Na trawniku od frontu stoi czerwona zjeżdżalnia, a przy drzwiach wejściowych wisi drewniany bałwanek. CZEŚĆ! WITAJ U TESCÓW! – czytam na wycieraczce.

Na mojej twarzy rozkwita uśmiech. Cwaniaczek. Sprytnie ukrywa się na widoku. No bo któż by podejrzewał, że tatuś z sąsiedztwa, który myje ganek myjką ciśnieniową i pozwala dziecku jeździć przed domem na czterokołowym rowerku, to tak naprawdę biały supremacjonista?

Raine otwiera drzwi, jeszcze zanim pukam. Ma na rękach pulchnego dwulatka, a zza jego nóg wygląda nieśmiała dziewczynka w baletowej spódniczce i koronie. Z uśmiechem wyciąga rękę, żeby mnie objąć. Paznokcie ma pomalowane różowym brokatowym lakierem.

– Stary – mówię. – Lansujesz nowy styl, jak widzę.

– Człowieku, a jakie wyprawiam podwieczorki! Wchodź! Fajnie cię widzieć.

Wchodzę do środka, a dziewczynka nadal chowa się za jego nogami.

– Miro – mówi i przykuca. – To jest Turk, kolega tatusia.

Mira pakuje kciuk do buzi, jakby mnie oceniała.

– Wstydzi się obcych – tłumaczy Raine. Poprawia synka na biodrze. – A ten mały huncwot to Isaac.

Idę za nim do salonu, mijając po drodze zabawki rozsiane jak konfetti. Raine przynosi mi browar, ale sam nie pije.

– Napijesz się ze mną?

Wzrusza ramionami.

– Sal nie lubi, kiedy piję przy dzieciach. Uważa, że to zły przykład, i takie tam.

– Właśnie, gdzie jest Sally? – pytam.

– W pracy! Jest radiologiem w VA. Ja na razie nie mam roboty, więc siedzę w domu z hobbitami.

– Ekstra – mówię i pociągam spory łyk z butelki.

Raine stawia na podłodze Isaaca, który zaczyna się zataczać jak mały pijak. Mira biegnie korytarzem do swojego pokoju, tupiąc jak stado koni.

– Co u ciebie słychać, stary? – pyta Raine. – Wszystko w porządku?

Opieram łokcie na kolanach.

– Bywało lepiej. W sumie dlatego przyjechałem.

– Kłopoty w raju?

Uświadamiam sobie, że Raine nie wie o Davisie. Nie wie, że go straciliśmy. Opowiadam mu całą historię, począwszy od czarnej piguły, aż do chwili, kiedy Davis przestał oddychać.

– Skrzykuję wszystkich, od NADS z Vermontu po skinheadów ze stanu Maryland. Chcę pomścić śmierć syna.

Kiedy Raine milczy, nachylam się w jego stronę.

– Mówię o wandalizmie. Bójkach jak za dawnych czasów. Koktajlach Mołotowa. Powiedziałbym, że wszystko oprócz ofiar w ludziach. To zależy od poszczególnych oddziałów oraz ich liderów. Ale niech nas zauważą. Wiem, że to przeczy temu, do czego dążyliśmy konspirą, ale może czas na małą próbę naszej siły, nie uważasz? A siła tkwi w liczbach. Jak zbierzemy się kupą, wszystkich nas nie aresztują. – Patrzę mu w oczy. – Zasługujemy na to. Davis na to zasługuje.

W tej samej chwili Mira nadbiega tanecznym krokiem i wkłada ojcu koronę. Raine zdziera ją z głowy i patrzy przytomnie na tanią obręcz

z folii aluminiowej.

– Kochanie, narysujesz tatusiowi obrazek? Grzeczna dziewczynka. – Odprowadza córkę wzrokiem. – Domyślam się, że nie słyszałeś – zwraca się do mnie.

– O czym?

– Skończyłem z tym. Wystąpiłem z Ruchu, stary.

Patrzę na niego wstrząśnięty. Przecież to Raine mnie wprowadził. Kiedy wstąpiłem do NADS, byliśmy braćmi. Tego nie można wyrzucić jak zepsutej zabawki. To powołanie.

Nagle przypominam sobie rząd tatuaży ze swastyką, który miał na rękach, od góry do dołu. Spoglądam na jego bicepsy, barki. Swastyki zostały przerobione na winorośl. Symbole się zatarły.

– To się stało przed paru laty. Pojechałem z Sal na wiec, jak kiedyś z chłopakami, i wszystko było super, tyle że jacyś goście czekali w kolejce, żeby zerżnąć skinkę w jej namiocie. Sal ześwirowała, że zabraliśmy dzieciaka w takie miejsce, więc zacząłem jeździć sam, a ona zostawała z małą. Potem wezwano nas do przedszkola, bo Mira próbowała zakopać w piaskownicy jakiegoś małego Chinola; tłumaczyła, że bawi się w kotka, a kotki tak robią ze swoim gówienkiem. Udałem poruszonego, ale zaraz po wyjściu powiedziałem małej, że jest zuch dziewczyna. Potem któregoś dnia poszedłem z nią na zakupy. Miała wtedy może ze trzy lata. Staliśmy w kolejce do kasy, z pełnym wózkiem. Ludzie gapili się na mnie, no wiesz, przez moje tatuaże, ale byłem przyzwyczajony. Tak czy siak, stanął za nami Murzyn. A Mira mówi do mnie słodkim głosikiem: „Tatusiu, patrz na tego czarnucha". – Raine podnosi głowę. – W ogóle mnie to nie ruszyło. Ale wtedy kobieta w kolejce przede mną powiedziała: „Wstydziłby się pan". Dołączyła się kasjerka: „Jak pan śmie uczyć tego niewinne dziecko?". Ani się obejrzałem, jak wszyscy naokoło zaczęli się wydzierać, a Mira wybuchła płaczem. Dlatego chwyciłem ją na ręce, zostawiłem wózek i pobiegłem do samochodu. Wtedy po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że może źle robię. Jasne, wiedziałem, że moim obowiązkiem jest wychować dzieci na bojowników o rasę, ale może wyświadczyłem Mirze niedźwiedzią przysługę. Może skazywałem ją na powszechną niechęć.

Nie odrywam od niego wzroku.

– I co mi jeszcze powiesz? Zostałeś ministrantem? Przyjaźnisz się z żółtkiem?

– Może latami nie mieliśmy racji. To ewidentny przykład kija i marchewki, stary. Obiecywali nam udział w nieziemskim przedsięwzięciu. Dumę z naszej rasy i dziedzictwa. Ale to jakieś dziesięć procent, bo reszta to nienawiść dla samej nienawiści. Potem już nie mogłem się uwolnić od tej myśli. Może dlatego na ogół czułem się jak śmieć i wiecznie miałem ochotę kogoś skopać, żeby sobie przypomnieć, że mogę. Gdyby tylko o mnie chodziło, to jeszcze pół biedy. Ale nie chcę skazywać na to dzieciaka. – Wzrusza ramionami. – Kiedy wieść się rozeszła, wiedziałem, czego się spodziewać. Jeden z moich ludzi dopadł mnie na parkingu, kiedy poszliśmy z Sal do kina. Mocno oberwałem, musieli założyć mi szwy. Ale na tym się skończyło.

Patrzę na Raine'a, dawniej mojego najlepszego kumpla, i nagle widzę obcego człowieka. Tchórza. Frajera.

– To niczego nie zmienia – zapewnia. – Nadal jesteśmy braćmi, nie?

– Jasne – odpowiadam. – Zawsze.

– Moglibyście zimą do nas przyjechać, pojeździmy na nartach – proponuje.

– Byłoby świetnie. – Dopijam piwo i wstaję, tłumaczę, że chcę zdążyć przed zmrokiem. Kiedy odjeżdżam, Raine i Isaac machają mi na pożegnanie.

Wiem, że więcej ich nie zobaczę.

***

Dwa dni później spotykam się z dawnymi przywódcami oddziałów ze Wschodniego Wybrzeża. Wszyscy udzielają się na naszej stronie; wiedzą o Davisie, nie muszę nic mówić. Znają też Francisa – a to słyszeli go na wiecu, a to znali faceta, którego zabił; sam namaścił ich na liderów.

Głodny i wykończony parkuję przed naszym domem. Dochodzi druga nad ranem, ale w dużym pokoju mruga telewizor. Ze świstem wciągam powietrze. Miałem nadzieję wśliznąć się do domu niezauważony, a teraz będę musiał się tłumaczyć przed Francisem, dlaczego działam za jego plecami.

Jednak ku mojemu zdziwieniu to nie Francis cierpi na bezsenność. Brit siedzi na kanapie w mojej bluzie, która wisi na niej jak sukienka. Przechodzę przez pokój, nachylam się i cmokam ją w czubek głowy.

– Cześć, kotku – mówię. – Nie możesz spać?

Potrząsa głową. Zerkam na telewizor, gdzie Zła Wiedźma z Zachodu wygraża Dorotce.

– Oglądałeś to kiedyś?

– Tak. Mam ci powiedzieć, jak się kończy? – żartuję.

– Nie, pytam, czy naprawdę oglądałeś. Przecież to bajka o Białej Sile. Czarnoksiężnik, który wodzi wszystkich za nos, to żydek, a złoczyńca ma dziwny kolor i współpracuje z małpami.

Przyklękam przed nią, żeby na mnie spojrzała.

– Zrobiłem to, co ci obiecywałem. Spotkałem się ze wszystkimi dawnymi przywódcami. Ale nikt nie chce ryzykować. Zdaje się, że wzięli sobie do serca przykazania twojego taty, że najlepszą bronią jest infiltracja. Boją się, że pójdą za kratki.

– Ty i ja moglibyśmy…

– Brit, gliniarze najpierw sprawdzą ludzi związanych z Ruchem. Prasa pisała o nas w związku z rozprawą. – Milknę. – Wiesz, że zrobiłbym dla ciebie wszystko. Ale dopiero zaczynam cię odzyskiwać. Jeśli mnie zamkną, to jakbym stracił cię na nowo. – Obejmuję ją. – Przepraszam, kochanie. Myślałem, że się uda.

Całuje mnie.

– Wiem. Nie zaszkodziło spróbować.

– Idziemy do łóżka?

Brit wyłącza telewizor i idzie ze mną do sypialni. Powoli ściągam jej bluzę, ona zdejmuje mi buty i spodnie. Przywieram do niej, kiedy wchodzimy pod kołdrę, ale gdy próbuję w nią wejść, nie mogę.

Patrzy na mnie w mroku spod ciężkich powiek, z ręką przerzuconą przez brzuch.

– Czy to przeze mnie? – pyta głosem tak cichym, że ledwo ją słyszę.

– Nie – zapewniam. – Jesteś piękna. To ja, coś sobie ubzdurałem.

Odwraca się, mimo to czuję żar bijący od jej ciała, kiedy robi się czerwona ze wstydu.

– Przepraszam – mówię do jej pleców.

Brit milczy.

W nocy budzę się i wyciągam do niej rękę. Nie zastanawiam się, dlaczego to robię. Może jeśli sam usunę się sobie z drogi, zaznam spokoju. Ale moja dłoń napotyka pustkę, Brit nie ma.

Na początku było nas wielu, a każdy inny. Mogłeś należeć do Narodów Aryjskich, ale nie być skinheadem, w zależności od tego, czy kupowałeś teologię Tożsamości Chrześcijańskiej. Biali Supremacjoniści mieli bardziej naukowe podejście, pisali traktaty, a skinów cechowała skłonność do przemocy, woleli dawać nauczkę pięściami. Biali Supremacjoniści skupowali ziemię w Dakocie Północnej i próbowali podzielić kraj, usuwając wszystkich niebiałych poza wytyczone przez siebie granice. Neonaziści stanowili skrzyżowanie Narodów Aryjskich i Bractwa Aryjskiego w więzieniach – jeśli w Ruchu istniał kryminalny element rodem z gangów ulicznych, tworzyli go właśnie oni. Byli też odyniści, kreacjoniści i apostołowie Światowego Kościoła Twórcy. Lecz na przekór ideologii, która podzieliła nas na odłamy, wszyscy świętowaliśmy jeden dzień w roku: dwudziesty kwietnia, rocznicę urodzin Adolfa Hitlera.

W całym kraju odbywały się festiwale na kształt dawnych wieców KKK, na które jeździłem jako nastolatek. Zwykle organizowano je na czyimś odosobnionym skrawku gruntu, w parku krajobrazowym, którego nikt nie monitorował, lub wiosce zabitej dechami. Wskazówki przekazywano sobie z ust do ust, a zakręty oznaczano w sposób niezrozumiały dla postronnych.

Odkąd wstąpiłem do Ruchu Białej Supremacji, wziąłem udział w pięciu aryjskich festiwalach, ale ten był szczególny. Na tym miałem się ożenić.

Przynajmniej w sensie duchowym, bo formalnie musieliśmy w przyszłym tygodniu wybrać się z Brit do ratusza i podpisać

dokumenty. Ale związek duchowy mieliśmy zawrzeć tamtego wieczora.

Skończyłem dwadzieścia dwa lata i był to punkt kulminacyjny mojego życia.

Brit nie chciała, żebym uczestniczył w jej przygotowaniach, więc poszedłem się przejść. Przyjechało znacznie mniej ludzi niż na festiwale sprzed pięciu lat, głównie z powodu federalnych, którzy psuli nam szyki. Lecz mimo to tradycyjnie zebrała się grupka pijaków, z których część wszczynała rozróby, a część lała za namiotami, w których sprzedawano wszystko, począwszy od gotowanej kukurydzy aż po stringi z napisem SKINHEAD LOVE. Wytyczono strefę dla dzieci, z kolorowankami i dmuchanym zamkiem z wielką flagą SS, jak w Sportpalast, gdzie Hitler wygłaszał swoje przemówienia. Na końcu straganów z jedzeniem i gadżetami ulokowali się tatuażyści, którzy w czasie takich festiwali cieszyli się niebywałym wzięciem.

Wpakowałem się bez kolejki, żeby wkurzyć faceta, który czekał. Doszło między nami do obowiązkowej przepychanki i rozkwasiłem mu nos, po czym się zamknął i mnie wpuścił. Kiedy usiadłem przed tatuażystą, popatrzył na mnie wyczekująco.

– Co robimy?

Francis i ja od pół roku przekonywaliśmy ludzi, żeby przestali obnosić się z łysymi pałami, szelkami oraz tatuażami przedstawiającymi krąg słoneczny i upodobnili się do przeciętnych obywateli. Po części oznaczało to noszenie długich rękawów i usuwanie kwasem dziar z twarzy. Ale tamten dzień był szczególny. Chciałem wszystkim pokazać, co jest dla mnie ważne.

Kiedy wyszedłem z tego namiotu, miałem na kłykciach osiem gotyckich liter. Gdy zaciskałem prawą pięść, odsłaniałem napis H-A-T-E. A na lewej, bliżej serca: L-O-V-E.

O zachodzie słońca wybiła godzina. Z oddali dobiegł ryk motocykli i wszyscy, którzy jeszcze zostali na festiwalu, utworzyli szpaler. Czekałem, z rękami zaciśniętymi przed sobą, ze skórą wciąż zaczerwienioną i obrzmiałą po świeżym tatuażu.

Naraz tłum się rozstąpił i ujrzałem Brit na pomarańczowym i żółtym tle zachodzącego słońca. Miała na sobie białą koronkową suknię,

w której wyglądała jak lukrowane ciastko, a na nogach martensy. Nie mogłem powstrzymać uśmiechu. Tak się uśmiechałem, że mi szczęka zdrętwiała.

Kiedy podeszła bliżej, wsunąłem sobie jej dłoń pod ramię. Świat mógł się dla mnie skończyć w tamtej chwili. Ruszyliśmy szpalerem, a gdy mijaliśmy kolejnych ludzi, ręce wystrzeliwały w hitlerowskim pozdrowieniu. Na końcu stał Francis. Uśmiechnął się do nas, oczy miał bystre i roziskrzone. Udzielił dziesiątki aryjskich ślubów, lecz ten był inny.

– Kurczaczku – rzucił ochrypłym głosem. – Pięknie wyglądasz. – Następnie zwrócił się do mnie. – Spróbuj ją skrzywdzić, to cię zabiję.

– Się wie – wykrztusiłem.

– Brittany – zaczął Francis. – Czy przyrzekasz być posłuszną Turkowi i wierną tradycji Białej Rasy?

– Przyrzekam.

– A czy ty, Turku, będziesz czcił tę kobietę jako swą aryjską oblubienicę?

– Będę – odpowiedziałem.

Zwróciliśmy się ku sobie. Patrzyliśmy sobie w oczy, deklamując manifest Davida Lane'a, kiedy prowadził The Order[19]: „Musimy zabezpieczyć byt naszego ludu i przyszłość białych dzieci, ponieważ piękno białej aryjskiej kobiety nie może zniknąć ze świata".

Pocałowałem Brit, a ktoś zapalił za naszymi plecami drewnianą swastykę dla uczczenia tej chwili. Przysięgam, że tamtego dnia zaszła we mnie zmiana, jakbym naprawdę oddał tej kobiecie połowę swojego serca, a ona oddała mi pół swojego, i tylko w tym układzie mogliśmy przetrwać.

Słyszałem jak przez mgłę głos Francisa i oklaski. Ale ciągnęło mnie do Brit, jakbyśmy zostali tylko my dwoje na ziemi.

Może zostaliśmy.

18 SHARP – Skinheads Against Racial Prejudice, Skini przeciwko Uprzedzeniom Rasowym.

19 Frakcja kościoła Aryjskie Narody.

Kennedy

– Moja klientka mnie nie znosi – informuję męża, kiedy zmywamy naczynia.

– Na pewno się mylisz.

Zerkam na niego.

– Uważa mnie za rasistkę.

– Coś w tym jest – zauważa łagodnie Micah, a ja odwracam się do niego i brwi wędrują mi aż po nasadę włosów. – W przeciwieństwie do niej jesteś biała i mieszkasz w świecie, gdzie biali mają wszystkie przywileje.

– Nie twierdzę, że było jej łatwo w życiu – zaznaczam. – Nie należę do osób, które myślą, że z chwilą wybrania czarnego prezydenta rasizm zniknął. Dzień w dzień mam do czynienia z przedstawicielami mniejszości, którzy zostali nabici w butelkę przez system opieki zdrowotnej, system edukacyjny i wymiar sprawiedliwości. Więzienia to żyła złota. Ktoś musi korzystać na tym, że zamyka się kolejne osoby.

Micah zaprosił na kolację kilku kolegów z pracy. Miałam nadzieję zabłysnąć kulinarnie, ale koniec końców podałam taco i kupne ciasto, które nieco ukruszyłam na brzegach, żeby wyglądało na domowe. Przez cały wieczór błądziłam myślami gdzie indziej. W sumie trudno mnie za to winić, bo rozmowa zeszła na zależności pomiędzy parametrami RNFL a wybranymi czynnikami ryzyka progresji nadciśnienia ocznego w kierunku jaskry, ale nie mogłam przeboleć wcześniejszej sprzeczki z Ruth. Jeśli miałam rację, to dlaczego wciąż od nowa analizowałam własne słowa?

– Nie można mówić o rasie na sali rozpraw – oznajmiam. – To jedna z tych niepisanych zasad, no wiesz, jak „Nie włączaj długich świateł, kiedy ktoś nadjeżdża z naprzeciwka” albo „Nie bądź draniem

i nie stawaj z pełnym koszem przy kasie szybkiej obsługi". Stroni się od tego nawet w przypadkach opartych na prawie do obrony terytorium[20], gdzie w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach chodzi o białego faceta na Florydzie, który przestraszył się Murzyna i pociągnął za spust. Ja rozumiem, że Ruth czuje się kozłem ofiarnym, ale to nie ma nic wspólnego z zarzutem morderstwa.

Micah podaje mi talerz do wytarcia.

– Nie zrozum mnie źle, kochanie – mówi – ale czasem, kiedy próbujesz coś wyjaśnić i wydaje ci się, że rzucasz aluzję, rozjeżdżasz rozmówcę walcem.

Odwracam się do niego, wymachując ścierką.

– Wyobraźmy sobie sytuację, że któraś z twoich pacjentek ma raka. Próbujesz ją leczyć, a wtedy ona ci mówi, że poparzyła się trującym bluszczem. Czy nie powiesz jej, że pozbycie się raka jest ważniejsze, a wysypką zajmiecie się później?

Micah rozważa moje słowa.

– No cóż, nie jestem onkologiem. Ale czasem człowiek musi się podrapać, gdy go swędzi, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Tracę wątek.

– O czym ty mówisz?

– To była twoja metafora.

Wzdycham.

– Moja klientka mnie nie znosi – powtarzam.

Wtedy dzwoni telefon. Dochodzi wpół do jedenastej, o tej porze informuje się zwykle o wypadkach i zawałach. Chwytam słuchawkę mokrą ręką.

– Słucham?

– Czy to Kennedy McQuarrie? – huczy głos, który skądś kojarzę.

– Przy telefonie.

– Wspaniale! Pani McQuarrie, mówi wielebny Wallace Mercy.

Ten Wallace Mercy?

Bezwiednie wypowiadam to na głos, a on rechocze.

– Pogłoski o mojej sławie są mocno przesadzone[21] – parafrazuje. – Dzwonię w sprawie naszej wspólnej znajomej, Ruth Jefferson.

Natychmiast zapala mi się w głowie czerwone światełko.

– Nie mogę rozmawiać o mojej klientce, wielebny.

– Ależ zapewniam, że pani może. Ruth poprosiła, bym został jej doradcą.

Zaciskam zęby.

– Moja klientka nie podpisała żadnych dokumentów, które by to potwierdzały.

– Ach, ma pani na myśli zgodę. Wysłałem jej przed godziną. Będzie u pani na biurku jutro rano.

Co. Jest. Grane. Dlaczego Ruth podpisałaby coś takiego bez konsultacji ze mną? Dlaczego nawet nie wspomniała, że zamierza zaangażować Wallace'a Mercy'ego w charakterze doradcy?

Ale domyślam się odpowiedzi: ponieważ usłyszała ode mnie, że jej sprawa nie ma nic wspólnego z dyskryminacją rasową. A Wallace Mercy właśnie w takowej się specjalizuje.

– Proszę posłuchać – mówię, a serce tak mi wali, że słyszę dudnienie w każdym słowie. – Doprowadzenie do uniewinnienia Ruth Jefferson jest moim zadaniem, nie pańskim. Chce pan poprawić sobie oglądalność? Niedoczekanie, nie moim kosztem.

I rozłączam się, z taką siłą wciskając przycisk, że słuchawka wypada mi z ręki i sunie po podłodze.

– Cholerne telefony bezprzewodowe – mówi Micah. – Człowiek nawet nie może sobie trzasnąć o widełki, co? – Podchodzi do mnie z rękami w kieszeniach. – Chcesz mi powiedzieć, co się stało?

– Dzwonił Wallace Mercy. Ruth Jefferson poprosiła, żeby został jej doradcą.

Micah gwiżdże przeciągle.

– Masz rację – stwierdza w końcu. – Ona cię nie znosi.

***

Ruth otwiera drzwi w koszuli nocnej i szlafroku.

– Proszę – mówię. – Daj mi tylko pięć minut.

– Nie za późno?

Zastanawiam się, czy nawiązuje do faktu, że zbliża się jedenasta, czy do naszego burzliwego rozstania po południu. Wybieram punkt

pierwszy.

– Bałam się, że nie odbierzesz, kiedy zadzwonię.

Rozważa moje słowa.

– Może miałaś rację.

Owijam się ciaśniej swetrem. Po telefonie Wallace'a Mercy'ego wsiadłam do samochodu i ruszyłam przed siebie, nawet nie wzięłam płaszcza. Chciałam tylko złapać Ruth, zanim odeśle tę zgodę.

Biorę głęboki oddech.

– Obchodzi mnie, jak cię potraktowano, naprawdę. Ale wiem, że udział Wallace'a Mercy'ego nie wyjdzie ci na dobre, przynajmniej na krótszą metę.

Ruth widzi, że dygoczę.

– Wejdź – zaprasza po chwili.

Na tapczanie leży już pościel, więc siadam przy kuchennym stole. Jej syn wystawia głowę z pokoju.

– Co się dzieje, mamo?

– Nic, Edisonie. Wracaj do łóżka.

Edison chyba nie dowierza, ale posłusznie zamyka drzwi.

– Ruth – rzucam błagalnym tonem. – Nie podpisuj tej zgody.

Ona też siada przy stole.

– Obiecał, że nie będzie wtrącał się do twoich poczynań w sądzie…

– Podcinasz gałąź, na której siedzisz – mówię prosto z mostu. – Tylko pomyśl: rozwścieczony tłum na ulicach, twoja twarz w telewizji co wieczór, debaty domorosłych speców w telewizji śniadaniowej: nie chcesz, aby wzięli tę sprawę w swoje ręce, zanim my to zrobimy. – Wskazuję na zamknięte drzwi pokoju Edisona. – Co z twoim synem? Czy jesteś gotowa wystawić go na widok publiczny? Bo to nieuniknione, gdy człowiek staje się symbolem. Świat dowie się wszystkiego o tobie, twojej przeszłości, rodzinie, a potem cię ukrzyżuje. Twoje nazwisko zasłynie jak nazwisko Trayvona Martina. Nigdy nie odzyskasz swojego życia.

Napotyka mój wzrok.

– On też nie odzyskał.

Słuszność tego stwierdzenia rozdziela nas jak przepaść. Zaglądam w głąb tej przepaści i widzę wszystkie powody, dla których Ruth nie

powinna tego robić; zapewne ona widzi powody, dla których właśnie musi.

– Ruth, wiem, że nie masz podstaw mi ufać, zważywszy na to, jak ostatnio zostałaś potraktowana przez białych. Ale z Wallace'em Mercym nie będziesz bezpieczna. Proces medialny to ostatnia rzecz, jakiej potrzebujesz. Proszę, zróbmy to po mojemu. Daj mi szansę. – I dorzucam po chwili wahania: – Bardzo cię o to proszę.

Zaplata ręce na piersi.

– A jeśli ci powiem, że przysięgli mają się dowiedzieć, co mnie spotkało? Usłyszeć moją wersję wydarzeń?

Kiwam głową, dobijając targu.

– Wówczas wezwiemy cię na świadka – obiecuję.

W osobie Jacka DeNardiego najbardziej intryguje leżąca na jego biurku piłka z gumek recepturek wielkości główki noworodka. Poza tym odpowiada stereotypowej wizji pracownika biurowego szpitala Mercy-West Haven: brzuszek, ziemista cera i zaczeska. To zwykły gryzipiórek, ale ja przyszłam na zwiady. Chcę sprawdzić, czy ma do powiedzenia coś, co mogłoby pomóc Ruth – albo jej zaszkodzić.

– Dwadzieścia lat – oznajmia Jack DeNardi. – Tyle tu pracowała.

– Ile razy dostała awans? – pytam.

– Zobaczmy. – Przegląda papiery. – Raz.

– Raz na przestrzeni dwudziestu lat? – pytam z niedowierzaniem. – Czy to pana nie zastanawia?

Jack wzrusza ramionami.

– Nie zostałem upoważniony, aby o tym rozmawiać.

– Dlaczego? – drążę. – Jest pan pracownikiem szpitala. Czy pańskim zadaniem nie jest pomagać?

– Pacjentom – precyzuje. – Nie pracownikom.

Prycham. Instytucje mają prawo brać personel pod lupę i wytykać mu wszelkie uchybienia – lecz odwrotna sytuacja nie wchodzi w rachubę.

Szeleści kolejnymi dokumentami.

– Podczas ostatniej oceny określono ją mianem drażliwej.

Trudno się z tym nie zgodzić.

– Nie ulega wątpliwości, że Ruth Jefferson ma wysokie kwalifikacje. Jednakże z jej akt wynika, że pomijano ją przy awansie, gdyż

przełożeni dochodzili do wniosku, że jest trochę… przemądrzała.

Marszczę brwi.

– Marie Malone, jej przełożona… jak długo tu pracuje?

Stuka w klawiaturę komputera.

– Około dziesięciu lat.

– A zatem ktoś, kto pracuje tu dziesięć lat, wydawał Ruth polecenia… niekiedy budzące wątpliwości… i może Ruth czasami je kwestionowała, tak? Czy to znaczy, że była przemądrzała… czy może asertywna?

Przenosi na mnie wzrok.

– Nie będę wypowiadał się na ten temat.

Wstaję.

– Dziękuję za rozmowę, panie DeNardi. – Biorę aktówkę i płaszcz, po czym odwracam się w drzwiach. – Przemądrzała… lub asertywna. Czy to możliwe, że dobór przymiotnika zależy od koloru skóry pracownika?

– Wypraszam sobie tę aluzję, pani McQuarrie. – Jack DeNardi zaciska usta. – W Mercy-West Haven nie dyskryminujemy z powodu rasy, światopoglądu, wyznania ani orientacji seksualnej.

– Ach, tak, rozumiem – odpowiadam. – A zatem to czysty przypadek, że rzuciliście akurat Ruth Jefferson wilkom na pożarcie.

Wychodząc ze szpitala, myślę sobie, że przecież nie wykorzystam tej rozmowy w sądzie. Nawet nie wiem, co mnie tknęło, żeby w ostatniej chwili zadać to pytanie pracownikowi kadr.

Czas spędzony z Ruth nie poszedł na marne.

W weekend deszcz bombarduje szyby. Koloruję z Violet przy stoliku. Zabrała się za szopa pracza i beztrosko wyjeżdża za linie.

– Babcia lubi kolorować sam obrazek – informuje. – Mówi, że to jest właściwy sposób.

– Nie ma jednego właściwego sposobu – odpowiadam odruchowo. Wskazuję na jej eksplozję żółci i czerwieni. – Zobacz, jak ładnie pokolorowałaś.

Kto to w ogóle wymyślił? I na co komu te linie?

Kiedy pojechaliśmy z Micahem na miesiąc miodowy do Australii, przez trzy noce biwakowaliśmy w czerwonym środku kraju, gdzie ziemia była spękana jak wyschnięta skóra, a nocne niebo wyglądało jak miska diamentów wywrócona do góry nogami. Poznaliśmy Aborygena, który pokazał nam Emu na Niebie, konstelację w pobliżu Krzyża Południa, która nie polega na łączeniu kropek, jak nasza, tylko jest przestrzenią między nimi – mgławicami na tle Mlecznej Drogi, tworzącymi długą szyję i zwisające nogi wielkiego ptaka. Początkowo nie mogłam jej znaleźć. Potem już nic innego nie widziałam.

Kiedy dzwoni moja komórka i rozpoznaję numer Ruth, natychmiast odbieram.

– Wszystko w porządku? – pytam.

– Tak – odpowiada sztywno. – Chciałam zapytać, czy znalazłabyś dla mnie czas po południu.

Zerkam na Micaha, który wszedł do salonu. „Ruth", mówię bezgłośnie.

Porywa Violet i ją łaskocze, dając mi do zrozumienia, że mam wolne.

– Oczywiście – mówię. – Chcesz omówić raport ze szpitala?

– Niezupełnie. Muszę kupić mamie prezent na urodziny i pomyślałam, że pójdziemy razem.

Umiem rozpoznać gałązkę oliwną.

– Chętnie.

W drodze do Ruth myślę sobie, że popełniam wielki błąd. Gdy zostałam obrońcą z urzędu, wydawałam całą mizerną pensję na klientów, którzy potrzebowali wiktu i porządnego ubrania. W końcu zrozumiałam, że nie mogę rozszerzać pomocy o konto bankowe. Lecz Ruth sprawia wrażenie zbyt dumnej, żeby naciągać mnie na zakup butów. Może po prostu chce oczyścić atmosferę.

Ale po drodze do sklepu dyskutujemy tylko o pogodzie – kiedy przestanie lać i czy deszcz przejdzie w marznącą mżawkę. Potem rozmawiamy o swoich planach na nadchodzące święta. Zgodnie z sugestią Ruth parkuję obok T.J. Maxx.

– Masz na oku coś konkretnego? – pytam.

Potrząsa głową.

– Będę wiedziała, kiedy to zobaczę. Niektóre rzeczy z daleka krzyczą „mama”, zwłaszcza te z cekinami. – Ruth się uśmiecha. – Do kościoła stroi się jak na wesele. Pewnie dlatego, że w pracy nosi fartuch; zawsze myślałam, że musi jakoś odreagować.

– Dorastałaś tutaj, w Connecticut? – pytam, kiedy wysiadamy z samochodu.

– Nie, w Harlemie. Codziennie dojeżdżałam z mamą na Manhattan do pracy, a potem wysiadałam przy Dalton.

– Chodziłyście z siostrą do Dalton?

– Tylko ja. Adisa nie miała… zacięcia do nauki. Przeniosłam się do Connecticut z powodu Wesleya.

– Jak się poznaliście?

– W szpitalu – oznajmia Ruth. – Byłam praktykantką na porodówce. Na oddział trafiła kobieta, która rodziła bliźnięta miesiąc przed czasem i strasznie się bała, że mąż nie dotrze na czas. Był wojskowym i nie dała rady się z nim skontaktować. Parła, kiedy na salę wpadł facet w mundurze. Na widok rodzącej zemdlał, a ponieważ dopiero uczyłam się fachu, kazano mi go cucić.

– Zaraz – przerywam. – To Wesley był żonaty, kiedy się poznaliście?

– Tak mi się zdawało. Odzyskawszy przytomność, zaczął mnie podrywać w najlepsze. Pomyślałam, że tylko skończony palant robi coś takiego, kiedy jego żona rodzi bliźnięta, i nie omieszkałam mu tego powiedzieć. Wyjaśnił, że to nie jego dzieci. Ojcem był jego przyjaciel z wojska, który przebywał na szkoleniu i nie dostał przepustki, więc Wesley obiecał go zastąpić. – Ruth wybucha śmiechem. – Uznałam, że może jednak jest całkiem do rzeczy. Spędziliśmy razem kilka wspaniałych lat.

– Kiedy odszedł?

– Edison miał siedem lat.

Nie wyobrażam sobie stracić Micaha ani wychowywać Violet w pojedynkę. Nagle dociera do mnie, że w przeciwieństwie do Ruth nigdy nie zrobiłam w życiu nic, co wymagałoby takiej odwagi.

– Bardzo mi przykro.

– Mnie również – wzdycha Ruth. – Ale życie płynie dalej, prawda? Bo jaki mamy wybór? – Odwraca się do mnie. – Mama mnie tego

nauczyła, nawiasem mówiąc. Może znajdę poduszkę z takim haftem.

– Brokatowym – dorzucam i wchodzimy do sklepu.

Ruth opowiada mi o Samie Hallowellu, którego nazwisko mgliście kojarzę, i o tym, że jej matka pracuje u tej rodziny od blisko pięćdziesięciu lat. O Christinie, która dała jej brandy z ojcowskiego barku do spróbowania, kiedy Ruth miała dwanaście lat, i przebrnęła przez trygonometrię, kupując odpowiedzi do testów od chińskiej uczennicy z wymiany. Opowiada mi też, jak Christina próbowała jej wcisnąć pieniądze.

– Musi być okropna – przyznaję.

– Nie jest – stwierdza Ruth po chwili namysłu. – Nie wie, że można inaczej. Nie potrafi.

Chodzimy między półkami i rozmawiamy. Wyznaje, że chciała być antropologiem, dopóki nie poczytała o Lucy *Australopithecus: Ile znasz Etiopek o imieniu Lucy?* Ja opowiadam, że wody odeszły mi w czasie rozprawy, a wredny sędzia nie zgodził się na odroczenie. Dowiaduję się o Adisie, która wmówiła pięcioletniej siostrze, że jest taka blada, bo zamienia się w ducha, że urodziła się czarna jak smoła, ale z czasem coraz bardziej płowieje. Wspominam o klientce, którą trzy tygodnie ukrywałam w piwnicy, gdyż była przekonana, że mąż ją zabije, a Ruth o mężczyźnie, który oznajmił swojej rodzącej dziewczynie, że powinna się wydepilować. Wyznaję, że od ponad roku nie widziałam ojca, który jest chory na alzheimera i przebywa w ośrodku, ponieważ po ostatniej wizycie byłam tak przybita, że nie mogłam otrząsnąć się przez kilka miesięcy. Ruth z kolei boi się przejść przez dzielnicę Adisy.

Jestem głodna, więc biorę z półki paczkę karmelowego popcornu i otwieram ją w trakcie rozmowy. Nagle widzę jej spojrzenie.

– Co ty wyprawiasz? – pyta.

– Jem? – odpowiadam z pełnymi ustami. – Poczęstuj się. Ja stawiam.

– Przecież nie zapłaciłaś.

Patrzę na nią jak na wariatkę.

– Ale mam zamiar, kiedy będziemy wychodzić. O co ci chodzi?

– O to, że…

Nagle zaczepia nas pracownica sklepu.

– Czy mogłabym w czymś pomóc? – Patrzy prosto na Ruth.

– Tylko się rozglądamy – mówi moja towarzyszka.

Kobieta się uśmiecha, ale nie odchodzi. Podąża w pewnym oddaleniu od nas, jak zabawka wleczona na sznurku. Ruth nie zwraca na nią uwagi, albo tylko udaje. Proponuję rękawiczki albo ładny szalik, ale odpowiada, że jej mama od zawsze ma swój szczęśliwy szal i nie zamieniłaby go na nic. Ruth podtrzymuje rozmowę, aż wreszcie przechodzimy do działu filmów na DVD w okazyjnych cenach.

– To byłoby niezłe. Mogłabym kupić kilka jej ulubionych seriali i urządzić wieczór filmowy z popcornem. – Przegląda filmy w koszach: *Byle do dzwonka. Pełna chata. Buffy, postrach wampirów*.

– *Jezioro marzeń* – dorzucam. – Kurczę, wracają wspomnienia. Chciałam wyjść za Paceya, kiedy dorosnę.

– Pacey? A co to za imię?

– Nie oglądałaś?

Ruth potrząsa głową.

– Jestem z dziesięć lat starsza od ciebie. Poza tym to był serial dla białych dziewczynek.

Sięgam głębiej i wyławiam sezon *Bill Cosby Show*. Chcę pokazać go Ruth, ale zaraz chowam płytę pod *Z archiwum X*, bo jeszcze pomyśli, że pokazuję go z powodu koloru skóry bohaterów. Ale Ruth zauważa.

– Oglądałaś?

– Jasne. Chyba jak wszyscy – odpowiadam.

– No właśnie. Jeśli najbardziej normalna rodzina w telewizji jest czarna, może biali przestaną się bać.

– Mam wątpliwości, czy dziś wspomniałabym o Cosbym w kontekście normalności – stwierdzam, gdy naraz znowu podchodzi do nas pracownica.

– Wszystko w porządku?

– Tak – odpowiadam z rosnącą irytacją. – W razie czego na pewno damy pani znać.

Ruth decyduje się na *Ostry dyżur*, ponieważ jej mama lubi George'a Clooneya, a także na rękawiczki obszyte króliczym

futerkiem. Kupuję piżamę dla Violet i bokserki dla Micaha. Pracownica nie spuszcza nas z oka aż do kasy. Płacę pierwsza, podaję kasjerce kartę kredytową, a potem czekam, aż Ruth dokończy transakcję.

– Czy mogę prosić o dokument tożsamości? – pyta kasjerka. Ruth wyciąga prawo jazdy i kartę Social Security. Kasjerka patrzy na nią, potem na zdjęcie i kasuje towar.

Kiedy wychodzimy, zatrzymuje nas ochroniarz.

– Proszę pani – zwraca się do Ruth. – Czy mógłbym zobaczyć paragon?

Ja też zaczynam szperać w torbie, ale mężczyzna mnie powstrzymuje.

– Pani nie musi – rzuca obojętnym tonem i przenosi uwagę z powrotem na Ruth, przeglądając zawartość jej torby z zakupami i porównując ją z paragonem.

Wtedy uświadamiam sobie, że Ruth nie zaprosiła mnie na wspólne zakupy, żebym jej doradziła, co kupić matce.

Miałam zrozumieć, co to znaczy być nią.

Pracownica, która depcze po piętach na wypadek kradzieży.

Czujność kasjerki.

Fakt, że na kilkanaście osób wychodzących ze sklepu tylko Ruth została zatrzymana.

Czuję, że oblewam się pąsem – zakłopotana w jej imieniu, zakłopotana, że dopiero teraz na to wpadłam. Gdy ochroniarz oddaje Ruth zakupy, wychodzimy i biegniemy w deszczu do samochodu.

Siadamy w środku, zdyszane i przemoknięte do suchej nitki. Deszcz odgradza nas od świata.

– Już rozumiem – oświadczam.

Ruth patrzy na mnie.

– Jeszcze nawet nie zaczęłaś – stwierdza, ale bez złośliwości.

– Nic nie powiedziałaś – zaznaczam. – Jesteś przyzwyczajona?

– Nie sądzę, że do tego można się przyzwyczaić. Ale człowiek uczy się odpuszczać.

W uszach dźwięczą mi jej słowa na temat Christiny: „Nie wie, że można inaczej”.

Wymieniamy spojrzenia.

– Szczerze? W college'u dostałam najgorszą ocenę na zaliczeniu z historii afroamerykańskiej. Byłam jedyną białą dziewczyną na seminarium. Dobrze wypadłam na egzaminie, ale do oceny liczyła się aktywność, a ja siedziałam jak trusia cały semestr. Nie chciałam się zbłaźnić. A potem przyszło mi do głowy, że pozostali studenci wzięli mnie za nadętą laskę, która ma w nosie ten temat i dlatego nigdy się nie udziela.

Ruth milczy przez chwilę.

– Szczerze? Nie rozmawiamy o rasie, bo nie mamy wspólnego języka.

Siedzimy, nasłuchując deszczu.

– Szczerze? Nigdy nie lubiłam *Bill Cosby Show*.

– Szczerze? – Ruth się uśmiecha. – Ja też.

Przez cały grudzień haruję jak wół. Ślęczę nad dowodami, piszę wnioski na rozprawy wstępne i nadganiam pozostałe trzydzieści spraw, które domagają się mojej uwagi. Po lunchu okazuje się, że spotkanie w sprawie dwudziestotrzylatki pobitej przez chłopaka, który odkrył, że sypia z jego bratem, zostaje odwołane, bo świadek miał stłuczkę po drodze. Zyskałam dwugodzinne okienko. Patrzę na górę papierkowej roboty na biurku i podejmuję spontaniczną decyzję. Zaglądam nad ścianką do Howarda.

– Gdyby ktoś pytał – mówię – skoczyłam po tampony.

– Czekaj. Na serio?

– Nie. Ale zrobi mu się głupio i dobrze, bo po co mnie szpieguje.

Jest ciepło jak na grudzień, prawie dziesięć stopni. Wiem, że w pogodne dni mama odbiera Violet z przedszkola i idą na plac zabaw. Jedzą orzechy i jabłka, a potem Violet bawi się na drabinkach. Faktycznie, kiedy nadchodzę, wisi do góry nogami ze spódniczką w okolicach brody.

– Mamusia! – woła, po czym zeskakuje z drabinki z gracją, której na pewno nie ma po mnie, i pędzi mi na spotkanie.

Kiedy wyciągam do niej ręce, mama odwraca się na ławce.

– Zwolnili cię z pracy? – pyta.

Unoszę brwi.

– Czy to naprawdę pierwsza rzecz, jaka ci się nasuwa?

– Hm, ostatni raz zaszczyciłaś nas w środku dnia, kiedy ojciec Micaha był umierający.

– Mamusiu – oznajmia Violet. – W przedszkolu zrobiłam dla ciebie prezent gwiazdkowy. To naszyjnik i mogą go zjeść ptaszki. – Wyrywa się z moich objęć, więc odstawiam ją na ziemię i biegnie z powrotem na plac zabaw.

Matka klepie miejsce obok siebie. Jest opatulona pomimo wysokiej temperatury, na kolanach trzyma czytnik, a obok stoi pudełko z kawałkami jabłek i różnymi orzechami.

– Zatem – mówi – skoro nadal masz pracę, czemu zawdzięczamy tę niespodziankę?

– Wypadkowi samochodowemu… nie mojemu. – Wkładam do ust garść orzechów. – Co czytasz?

– Ależ skarbie, ja nigdy nie czytam, kiedy moja wnuczka bawi się na placu zabaw. Wzroku od niej nie odrywam.

Przewracam oczami.

– Co czytasz?

– Nie pamiętam nazwiska. Coś o księżnej, która ma raka, i wampirze, który chce uczynić ją nieśmiertelną. To gatunek zwany sick-lit[22] – tłumaczy mama. – Do klubu dyskusyjnego.

– Kto wybrał?

– Nie ja. Ja nie wybieram książek. Wybieram wino.

– Ja czytałam ostatnio książkę o kupce – informuję. – Dlatego nie mnie oceniać.

Wystawiam twarz na popołudniowe słońce. Mama klepie swoje kolana, więc kładę się na ławce. Bawi się moimi włosami, jak wówczas, kiedy byłam w wieku Violet.

– Czy wiesz, co jest najtrudniejsze w byciu mamą? – pytam od niechcenia. – To, że nigdy nie masz czasu być dzieckiem.

– Nigdy nie masz czasu i kropka – odpowiada mama. – I zanim się połapiesz, twoja mała córeczka wyrusza zbawiać świat.

– Ale póki co, się opycha – mówię i wyciągam rękę po kolejne orzechy. Wsuwam jeden do ust, ale natychmiast wypluwam. – Fuj, nie cierpię orzechów brazylijskich.

– To są orzechy brazylijskie? – upewnia się mama. – Śmierdzą skarpetami. Biedne wyrzutki z orzechowych mieszanek, nikt ich nie lubi.

Nagle przypominam sobie, jak w wieku Violet jeździłam do babci na Dzień Dziękczynienia, gdzie zjeżdżało się pełno moich ciotek, wujów i kuzynów. Uwielbiałam jej placek z batatów i szydełkowe serwetki na meblach, każda była inna. Ale unikałam jak ognia wujka Leona, brata mojego dziadka, hałaśliwego i wiecznie wstawionego, który dziwnym trafem zawsze całował w usta, mimo że celował w policzek. Babcia stawiała na stole wielką miskę orzechów na przystawkę, a wujek Leon brał dziadka do orzechów, łuskał i rozdawał dzieciom: orzechy włoskie, laskowe i pekan, migdały, nerkowce i brazylijskie. Tyle że nigdy tak ich nie nazywał. Unosił podłużną, brązową skorupkę. „Paluchy czarnucha na sprzedaż", mówił. „Komu paluch czarnucha?".

– Pamiętasz wujka Leona? – pytam nagle i siadam na ławce. – Pamiętasz, jak je nazywał?

Matka wzdycha.

– Owszem. Wujek Leon był okropnym typkiem.

Nie znałam wtedy słowa „czarnuch". Zaśmiewałam się jak pozostali.

– Dlaczego nikt nie zwrócił mu uwagi? Nie kazał mu się zamknąć?

Patrzy na mnie z irytacją.

– Wujek Leon był niereformowalny.

– Bo miał publiczność – zaznaczam. Wskazuję na piaskownicę, gdzie Violet siedzi ramię w ramię z czarnoskórą dziewczynką i robi babki. – A gdyby powtarzała to, co mówił, bo nie wie, że tak nie wolno? Jak byś się wtedy czuła?

– Karolina Północna należała w tamtych czasach do innego świata – zauważa matka.

– Może miała na to przyzwolenie takich jak ty.

Natychmiast żałuję swoich słów, bo wyżywam się na matce zamiast na sobie. Z prawnego punktu widzenia nadal jestem świadoma, że dyskusja o rasie to dla Ruth ślepy zaułek, jednakże trudno mi się z tym pogodzić moralnie. Może dlatego odrzuciłam tak skwapliwie rasowe aspekty tego procesu, zasłaniając się sądową

rzeczywistością, bo przyszłam na świat w rodzinie, w której kawały o Murzynach stanowiły część świątecznej tradycji na równi z babciną porcelaną i farszem? Na miłość boską, moja rodzona matka dorastała pod opieką kogoś takiego jak mama Ruth – kto gotował, sprzątał, odprowadzał ją do szkoły i zabierał na podobny plac zabaw.

Milczy tak długo, że na pewno ją uraziłam.

– W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym roku, kiedy miałam dziewięć lat, na mocy decyzji sądu do mojej szkoły przyszło pięcioro ciemnoskórych dzieci. Pamiętam, jak jeden chłopiec w klasie mówił, że mają rogi, schowane w kędzierzawych włosach. A nauczycielka ostrzegała nas, że mogą spróbować okraść nas z pieniędzy na lunch. – Odwraca się do mnie. – W przeddzień ich przybycia mój tata zwołał zebranie. Był tam wujek Leon. Ludzie przekonywali, że białe dzieci będą nękane, i że pojawią się problemy z dyscypliną, bo ta dzicz nie potrafi się zachować. Wuj Leon z wściekłości zrobił się purpurowy na twarzy. Krzyczał, że jego córka nie będzie królikiem doświadczalnym. Postanowili następnego dnia zorganizować pikietę przed szkołą, choć wiedzieli, że te dzieci zjawią się pod eskortą policji. Mój tata się zaklinał, że więcej nie sprzeda samochodu sędziemu Hawthorne'owi.

Pakuje orzechy i jabłka.

– Beattie, nasza pokojówka, też tam była. Podawała lemoniadę i ciasteczka, które upiekła po południu. W połowie zebrania zaczęło mi się nudzić, poszłam do kuchni i zastałam ją we łzach. Nigdy nie widziałam, żeby Beattie płakała. Powiedziała, że wśród tych pięciorga dzieci jest jej synek. – Matka potrząsa głową. – Nawet nie wiedziałam, że ma syna. Była u nas, odkąd sięgałam pamięcią, a ja nigdy nie wzięłam pod uwagę, że może mieć kogoś oprócz nas.

– I co było dalej? – pytam.

– Tamte dzieci przyszły do szkoły, policja je wprowadziła. Inne dzieci strasznie je wyzywały. Jeden chłopiec został opluty. Pamiętam, jak przeszedł obok mnie i ślina spływała mu za biały kołnierzyk, a mnie zaświtało, że to może synek Beattie. – Wzrusza ramionami. – Później ich jeszcze przybyło. Trzymały ze sobą, razem jadły i bawiły się na przerwach. Tak samo jak my. Raczej nie nazwałabym tego desegregacją.

Wskazuje głową na Violet i jej koleżankę, które posypują trawą swoje babki z piasku.

– To trwa znacznie dłużej, niż obie pamiętamy, Kennedy. Tobie się wydaje, że przed nami jeszcze daleka droga. Ale ja? – Z uśmiechem przygląda się dziewczynkom. – Ja patrzę na to i nie mogę się nadziwić naszym postępom.

Po Bożym Narodzeniu i Nowym Roku robię za dwóch, i to w sensie dosłownym, bo Ed wyjechał z rodziną na wakacje na Cozumel. Akurat jestem w sądzie, gdzie reprezentuję jednego z jego klientów, który złamał zakaz zbliżania się, więc postanawiam sprawdzić na wokandzie nazwisko sędziego, któremu przydzielono sprawę Ruth. Jedną z ulubionych rozrywek prawników jest zbieranie informacji na temat życia osobistego sędziów – ich współmałżonków i stanu majątkowego, czy chodzą do kościoła w niedzielę czy tylko w święta, czy są głupi jak but, czy lubią musicale i piją z prawnikami po godzinach. Gromadzimy te pogłoski i fakty jak wiewiórki orzechy na zimę, bo wiedząc, z kim mamy do czynienia na rozprawie, możemy z grubsza oszacować swoje szanse.

Na widok tego nazwiska kolana mi miękną.

Sędzia Thunder to postać na miarę swojego nazwiska[23]. Jest bardzo surowy i osądza z góry, więc jeśli zostajesz skazany, na bardzo, bardzo długo idziesz za kratki. I wiem to nie ze słyszenia, lecz z autopsji.

Zanim zostałam obrońcą z urzędu, kiedy pracowałam w biurze sędziego federalnego, jeden z moich kolegów wplątał się w sprawę natury etycznej; doszło do konfliktu interesów z jego dawną kancelarią. Należałam do zespołu, który go reprezentował, i po latach zbierania dowodów doszło do rozprawy, której przewodniczył wyżej wspomniany sędzia. Nie znosił cyrku medialnego, a fakt, że pracownik sędziego federalnego został przyłapany na naruszeniu etyki, nadał procesowi charakter właśnie takiego cyrku. Pomimo naszych niezbitych dowodów Thunder postanowił dać przykład innym prawnikom, więc mój kolega został uznany za winnego

i skazany na sześć lat. Jakby tego było mało, zwrócił się do wszystkich jego obrońców.

– Powinniście się wstydzić. Pan Dennehy zamydlił oczy wam wszystkim – zganił nas sędzia Thunder. – Ale nie oszuka tego sądu. – Dla mnie to była kropla, która przelała czarę. Harowałam jak dziki osioł, przez tydzień prawie nie spałam. Byłam chora, otumaniona lekami, wykończona i przybita porażką, toteż chyba nie zapanowałam nad sobą tak, jak powinnam.

Możliwe, że powiedziałam sędziemu Thunderowi, że może mi obciągnąć.

Natychmiast zostałam wezwana na dywanik, gdzie błagałam o nieskreślanie mnie z palestry i tłumaczyłam się gęsto, że przecież nie miałby mi co obciągać, a „No miodzio" powiedziałam, bo tak mi zaimponował.

Potem miałam jeszcze dwie sprawy z jego udziałem. Obie przegrałam.

Postanawiam nie wspominać o tym Ruth. Może do trzech razy sztuka.

Zapinam płaszcz i sunę do wyjścia, pocieszając się w duchu. Nie pozwolę, aby taki drobiazg zepsuł mi nastrój, zwłaszcza że w przyszłym miesiącu wybieramy przysięgłych.

Kiedy wychodzę z budynku, wita mnie muzyka gospel.

Na New Haven Green faluje ocean Murzynów. Stoją ze złączonymi ramionami. Śpiewają jednym głosem, który płynie ku niebu: „Zwyciężymy". Trzymają transparenty z imieniem Ruth i jej zdjęciem.

Pośrodku pierwszego rzędu produkuje się Wallace Mercy. A obok niego stoi Adisa, siostra Ruth.

20 *Stand-your-ground law* – nie cofaj się, nie ustępuj o krok.

21 Nawiązanie do słów Marka Twaina po przeczytaniu w gazecie własnego nekrologu: „Reports of my death have been greatly exaggerated".

22 Sick-lit – powieści o osobach przewlekle chorych.

23 *Thunder* (ang.) – grom, grzmot.

Ruth

Stoję na kasie, zbliża się koniec mojej zmiany; krzyż tak mnie boli, że nie wytrzymuję. Mimo licznych nadgodzin święta były skromne i niewesołe, a Edison chodził ponury jak chmura gradowa. Od tygodnia chodzi znowu do szkoły, ale zaszła w nim widoczna zmiana – prawie się do mnie nie odzywa i odchrząkuje w odpowiedzi na moje pytania, przeciągając strunę, dopóki go nie zrugam. Przestał odrabiać lekcje przy kuchennym stole i znika w swoim pokoju, gdzie puszcza Drake'a i Kendricka Lamara na cały regulator. Ciągle dostaje esemesy, a kiedy pytam, kto go nagabuje, odpowiada, że nikt, kogo znam. Nie miałam już więcej telefonów od dyrektora ani wiadomości od nauczycieli z informacją, że opuścił się w nauce, ale spodziewam się ich w każdej chwili.

A co wtedy zrobię? Jak mam przekonać syna, że warto mieć oczekiwania? Jak mam go przekonać, że może być, kim zechce, skoro sama harowałam i stawałam na wysokości zadania, a obrywam za coś, czemu nie zawiniłam? Ilekroć zbliżamy się do tego tematu, widzę w jego oczach wyzwanie: „Tylko spróbuj mi wmówić, że nadal wierzysz w te kłamstwa".

Koniec lekcji. Młodzież napływa z zewnątrz, wypełniając przestrzeń śmiechem i docinkami. Na pewno znają kogoś z obsługi, bo proszą o darmowe nuggetsy lub napój. Na ogół mnie nie zaczepiają, staram się mieć ciągłe zajęcie. Ale dziś podchodzi do kasy dziewczyna z rozkołysanym blond kucykiem; trzyma telefon, a koleżanki skupiają się wokół niej, żeby przeczytać odebraną wiadomość.

– Witamy w McDonaldzie – mówię. – W czym mogę pomóc?

Za jej plecami już tworzy się kolejka, ale ona patrzy na koleżankę.

– I co mam mu odpisać?

– Że nie masz czasu, bo się z kimś umówiłaś – podpowiada inna dziewczyna.

Kolejna potrząsa głową.

– Nie, lepiej nic nie pisz. Niech poczeka.

Zaczynają mi działać na nerwy, podobnie jak klientom w kolejce.

– Przepraszam – próbuję raz jeszcze z uśmiechem przyklejonym do twarzy. – Jesteście gotowe złożyć zamówienie?

Dziewczyna podnosi wzrok. Ma róż z drobinkami na policzkach; wygląda przez to bardzo dziecinnie, lecz efekt jest chyba niezamierzony.

– Macie krążki cebulowe?

– Nie, są w Burger Kingu. Tam wisi nasze menu. – Wskazuję ręką. – Jeśli nie jesteście gotowe, może staniecie z boku?

Patrzy na koleżanki i brwi wędrują jej do góry, jakbym powiedziała coś obraźliwego.

– Joł spoko, tylko pytam, ciociu… – rzuca, przeciągając głoski.

Zamieram. Nie jest czarna. Jest zwyczajną białą licealistką. To dlaczego tak do mnie mówi?

Jej koleżanka zamawia duże frytki, druga dietetyczną colę i snack wrapa. Dziewczyna decyduje się w końcu na Happy Meal, a ja ze złością pakuję produkty do kartonika, świadoma ironii sytuacji.

Troje klientów później wciąż obserwuję ją kątem oka, kiedy zajada cheeseburgera.

Odwracam się do pracownika, który pomaga mi przy kasie.

– Zaraz wracam.

Idę na salę, gdzie licealistka nadal popisuje się przed koleżankami.

– …no więc pytam ją prosto w twarz: „Kto podpalił ci lont tamponu?”.

– Przepraszam – przerywam. – Nie lubię, gdy ktoś zwraca się do mnie tak jak ty przy kasie.

Dziewczyna oblewa się pąsem.

– O kurczę, przepraszam – mówi, ale drgają jej kąciki ust.

Obok mnie wyrasta mój szef. Jeff był niegdyś kierownikiem w fabryce łożysk tocznych; wyleciał po załamaniu gospodarki i prowadzi restaurację, jakby nie chodziło o frytki, tylko o tajemnice wagi państwowej.

– Ruth? Wszystko w porządku?

Nic nie jest w porządku, począwszy od tego, że nie jestem ciocią tej dziewczyny, a ona za godzinę zapomni o tej rozmowie. Ale miarka się przebrała, nawet jeśli Jeff ma mnie za to ukarać.

– Tak, proszę pana – odpowiadam i w milczeniu wracam do kasy.

Robi się jeszcze gorzej, kiedy po pracy widzę sześć nieodebranych połączeń od Kennedy. Natychmiast oddzwaniam.

– Ustaliłyśmy, że współpraca z Wallace'em Mercym to zły pomysł – zaczyna bez powitania.

– Słucham? No pewnie.

– A więc nie miałaś pojęcia, że urządził dzisiaj przed sądem demonstrację w twojej obronie?

Staję jak wryta, ludzie na chodniku muszą mnie omijać.

– Chyba żartujesz. Kennedy, ja z nim nie rozmawiałam.

– Była z nim twoja siostra.

Zagadka wyjaśniona.

– Adisa robi to, co sama uzna za stosowne.

– Nie masz na nią wpływu?

– Od czterdziestu czterech lat próbuję, ale bez skutku.

– Widocznie musisz bardziej się postarać – stwierdza Kennedy.

I dlatego zamiast wrócić do domu, jadę autobusem do mojej siostry. Kiedy Donté wpuszcza mnie do środka, Adisa siedzi na kanapie i gra w Candy Crush na telefonie, mimo że dobiega pora kolacji.

– Patrzcie, kogo tu przyniosło – mówi. – Gdzie się podziewałaś?

– Od Nowego Roku przez pracę i przygotowania do procesu nie miałam ani chwili wolnego.

– Byłam u was niedawno, Edison ci nie mówił?

Strącam jej nogi z kanapy, żeby usiąść.

– Przyszłaś mi powiedzieć, że zaprzyjaźniłaś się z Wallace'em Mercym?

Oczy jej rozbłyskują.

– Oglądałaś mnie w telewizji? Widać tylko łokieć i kawałek szyi, ale można poznać po płaszczu. Włożyłam ten z kołnierzem w panterkę…

– Masz przestać – oznajmiam. – Nie potrzebuję Wallace'a Mercy'ego.

– Twoja biała prawniczka tak powiedziała?

– Adiso – wzdycham. – Nie chcę być twarzą niczyjej idei.

– Nawet nie dałaś mu szansy. Czy ty masz pojęcie, ilu z naszych miało podobne doświadczenia? Ile razy im odmawiano z powodu koloru skóry? Tu nie chodzi wyłącznie o ciebie, a jeśli twój przykład może komuś pomóc, to czemu nie? – Adisa zmienia pozycję. – On chce tylko z nami wystąpić, Ruth. W telewizji ogólnokrajowej.

Zapala mi się w głowie czerwone światełko.

– Z nami – powtarzam jak echo.

Adisa ucieka wzrokiem.

– No – przyznaje z ociąganiem. – Obiecałam, że spróbuję cię skłonić do zmiany zdania.

– Tu nawet nie chodzi o pomoc. Ty po prostu chcesz zaistnieć. Jezu, Adiso. Nie sądziłam, że tak nisko upadniesz.

– Co to ma znaczyć? – Wstaje i patrzy na mnie z góry, biorąc się pod boki. – Czy naprawdę myślisz, że mogłabym tak wykorzystać młodszą siostrę?

– Jeszcze się wypierasz – rzucam.

Nie odpowiada, bo drzwi otwierają się z hukiem i grzmocą w ścianę. Tabari wychodzi z pokoju z kolegą.

– Komu żeś gwizdnął tę czapkę, koleś? – pyta ze śmiechem. Są nabuzowani i hałaśliwi, a spodnie wiszą im tak nisko, że nie mam pojęcia, po co je w ogóle włożyli. Myślę tylko, że nigdy nie pozwoliłabym Edisonowi wyjść tak z domu i łazić jak jakiś chuligan.

Nagle drugi chłopak się odwraca i widzę mojego syna.

– Edison?

– Czy to nie słodkie? – rozpromienia się Adisa. – Kuzyni znaleźli wspólny język.

– Co ty tu robisz? – pyta Edison. Wnoszę z jego tonu, że raczej nie cieszy go mój widok.

– Nie musisz aby odrobić lekcji?

– Odrobiłem.

– A podania do college'u napisałeś?

Rzuca mi ciężkie spojrzenie.

– Toć są dopiero na przyszły tydzień.

„Toć”?

– O co ci chodzi? – pyta. – Zawsze mi mówisz, jak ważna jest rodzina. – Ostatnie słowo prawie wypluwa.

– Dokąd wy się w ogóle wybieracie?

Tabari podnosi głowę.

– Do kina, ciociu – mówi.

– Do kina. – „Akurat”, myślę. – A na co?

Chłopcy wymieniają spojrzenia i rechoczą.

– Jeszcze nie wiemy – odpowiada Tabari.

Adisa staje z założonymi rękami i robi krok naprzód.

– Coś ci się nie podoba, Ruth?

– Owszem, nie podoba – wybucham. – Bo coś mi się widzi, że twój synalek prędzej będzie częstował mojego trawką, niż oglądał z nim filmy.

Moja siostra robi wielkie oczy.

– Śmiesz osądzać moją rodzinę – syczy – kiedy sama jesteś oskarżona o morderstwo?

Łapię Edisona za ramię.

– Idziesz ze mną – komenderuję, po czym zwracam się do Adisy. – Powodzenia na wywiadzie z Wallace’em Mercym. Tylko nie zapomnij wspomnieć jemu i rozentuzjazmowanej widowni, że już ze sobą nie rozmawiamy.

I wywlekam stamtąd mojego syna. Zrywam mu czapkę z głowy i każę podciągnąć gacie. Odzywa się w połowie drogi na przystanek.

– Przepraszam – zaczyna.

– No ja myślę – burczę, odwracając się w jego stronę. – Czyś ty oszalał? Inaczej cię wychowałam.

– Tabari nie jest taki zły jak jego kumple.

Ruszam przed siebie.

– Tabari nie jest moim synem – kwituję.

Kiedy byłam w ciąży z Edisonem, wiedziałam tylko, że nie chcę rodzić jak Adisa, która za pierwszym razem ponoć przez pół roku nie zdawała sobie sprawy, że spodziewa się dziecka, a za drugim mało

nie urodziła w metrze. Ja chciałam mieć najlepszą możliwą opiekę, najlepszych lekarzy. Ponieważ Wesley był w terenie, postanowiłam rodzić z mamą. Kiedy nadszedł ten dzień, pojechałyśmy do Mercy-West Haven taksówką, bo mama nie umiała prowadzić, a ja nie byłam w stanie. Planowałam poród siłami natury, gdyż jako położna rozpisałam sobie w myślach wszystkie szczegóły, ale – jak to zwykle z planami bywa – los zdecydował inaczej. Kiedy wieźli mnie na cesarkę, mama śpiewała pieśni baptystyczne, a gdy ocknęłam się po zabiegu, trzymała na rękach mojego syna.

– Ruth – powiedziała do mnie, a oczy miała tak pełne dumy, że zmieniły odcień. – Patrz, co Bóg dla ciebie przygotował, Ruth.

Podała mi dziecko, a ja nagle zrozumiałam, że choć zaplanowałam swój pierwszy poród co do minuty, nie uwzględniłam ani sekundy tego, co nastąpi później. Nie miałam bladego pojęcia, jak być matką. Synek leżał sztywno w moich ramionach, a potem otworzył usta i rozwrzeszczał się tak, jakby świat sprawił mu wielki zawód.

Spanikowana spojrzałam na mamę. Zawsze byłam prymuską z przerostem ambicji. W życiu nie podejrzewałam, że to – najbardziej naturalna spośród wszystkich relacji – wzbudzi we mnie taką bezradność. Kołysałam dziecko, ale tylko rozpłakało się głośniej. Kopało nóżkami, jakby jechało na niewidzialnym rowerze, i wymachiwało zaciśniętymi piąstkami. Darło się coraz głośniej, wylewając gniew przetykany czkawką. Poczerwieniało z wysiłku, jakby chciało mi przekazać coś, czego nie rozumiałam.

– Mamo? – rzuciłam błagalnie. – Co mam robić?

Wyciągnęłam do niej ręce w nadziei, że go weźmie i uspokoi. Ale ona tylko potrząsnęła głową.

– Powiedz mu, kim dla niego jesteś – pouczyła, a potem cofnęła się o krok, jakby dla przypomnienia, że jestem zdana wyłącznie na siebie.

Pochyliłam się nad nim i położyłam sobie na sercu, pod którym tkwił tyle miesięcy.

– Nazywasz się Edison Wesley Jefferson – wyszeptałam. – Jestem twoją mamą i dam ci najlepsze życie, na jakie mnie stać.

Edison zamrugał. Wpatrywał się we mnie ciemnymi oczami, jak gdybym była cieniem, który musiał odróżnić od całej reszty tego

nowego, dziwnego świata. Zakwilił jeszcze dwa razy, dla zasady, a potem ucichł.

Bezbłędnie wskazałabym chwilę, kiedy osiadł w nowej rzeczywistości, bo zaznałam dokładnie tego samego.

– Widzisz – powiedziała mama. – A nie mówiłam?

Widujemy się z Kennedy co dwa tygodnie, nawet jeśli nie ma żadnych wiadomości. Czasami wysyła mi esemesa, czasem wstępuje do McDonalda, żeby się przywitać. Podczas jednej z takich wizyt zaprasza mnie i Edisona na kolację.

Przed wyjściem przebieram się trzy razy. W końcu Edison puka do łazienki.

– Idziemy do twojej prawniczki czy na spotkanie z królową? – pyta.

Dobre pytanie. Nie wiem, czemu się denerwuję. Tyle że mam poczucie, jakbym przekraczała niewidzialną granicę. Przygotowania do rozprawy to jedno, ale wizyta raczej nie ma nic wspólnego z pracą. Ma wręcz charakter… towarzyski.

Edison jest ubrany w koszulę i spodnie khaki; powiedziałam mu, żeby zachowywał się jak dżentelmen, bo inaczej stłukę go na kwaśne jabłko. Kiedy dzwonimy do drzwi, otwiera mąż Kennedy – ma na imię Micah – z małą dziewczynką, która wisi mu pod pachą jak szmaciana lalka.

– Ruth, jak mniemam. – Bierze ode mnie bukiet i wyciąga rękę na powitanie. Serdecznie wita się z Edisonem, a następnie obraca w jedną, potem drugą stronę. – Gdzieś tu jest moja córka Violet… przed chwilą ją widziałem… na pewno chciałaby się przywitać. – Kiedy się obraca, dziewczynka kręci się wraz z nim. Chichocze, a włosy fruwają jej na wszystkie strony.

Wyślizguje się ojcu, a ja przyklękam. Violet McQuarrie wygląda jak miniatura swojej mamy, przy czym jest w przebraniu księżniczki Tiany. Podaję jej szklany słój z miniaturowymi lampkami choinkowymi i pstrykam włącznik.

– To dla ciebie – mówię. – Czarodziejskie światełka.

Oczy dziewczynki robią się okrągłe jak spodki.

– Ojej – wzdycha, po czym bierze słój i zmyka.

Wstaję.

– Sprawdza się też jako lampka nocna – informuję Micaha, gdy Kennedy wychodzi z kuchni w fartuszku, swetrze i dżinsach.

– Przyszliście! – mówi z uśmiechem. Ma na brodzie sos do spaghetti.

– Owszem – odpowiadam. – Przejeżdżałam tędy ze sto razy. Nie miałam pojęcia, że tu mieszkacie.

I nie miałabym, gdyby nie proces. Ona pewnie myśli to samo, ale Micah ratuje sytuację.

– Napijecie się czegoś? Mamy wino, piwo, dżin z tonikiem…

– Poproszę wino.

Siadamy w salonie. Na stoliku stoi już talerz z serem.

– No popatrz – mruczy do mnie Edison. – Krakersy.

Gdyby spojrzenie mogło zabijać…

– Miło, że nas zaprosiłaś – mówię uprzejmie.

– Jeszcze nie dziękuj – uprzedza Kennedy. – Kolacja z czterolatką bywa wyzwaniem. – Z uśmiechem patrzy na Violet, która siedzi na drugim końcu stołu i koloruje. – Ostatnimi czasy rzadko miewamy gości.

– Pamiętam, jak Edison był w tym wieku. Jestem przekonana, że przez rok jedliśmy codziennie makaron z serem.

Micah zakłada nogę na nogę.

– Edison, słyszałem od żony, że świetnie się uczysz.

No tak. Bo zapomniałam wspomnieć Kennedy, że ostatnio był zawieszony.

– Dziękuję panu – odpowiada Edison. – Właśnie składam podania do college'u.

– Tak? To wspaniale. A co chcesz studiować?

– Może historię. Albo politologię.

Micah z zainteresowaniem kiwa głową.

– Lubisz Obamę?

Dlaczego biali zawsze tak zakładają?

– Byłem dzieckiem, kiedy kandydował – mówi Edison. – Ale braliśmy z mamą udział w kampanii na rzecz Hillary. Przez tatę jestem chyba przewrażliwiony na punkcie kwestii militarnych, a jej stanowisko w kwestii wojny w Iraku bardziej do mnie wówczas

przemawiało; opowiadała się za inwazją, a Obama był przeciwny od początku.

Puchnę z dumy.

– Hm. – Micah jest pod wrażeniem. – Chętnie ujrzałbym kiedyś twoje nazwisko na liście kandydatów.

Violet, znudzona tą rozmową, przechodzi obok mnie i podaje kredkę Edisonowi.

– Chcesz kolorować? – pyta.

– Uhm, pewnie, czemu nie? – odpowiada mój syn. Przyklęka obok córki Kennedy i zaczyna kolorować suknię Kopciuszka na zielono.

– Nie – powstrzymuje go mała despotka. – Ma być niebieska. – Wskazuje na wzór, na wpół przykryty dużą dłonią Edisona.

– Violet – oponuje Kennedy. – Niech gość sam zdecyduje, dobrze?

– W porządku, pani McQuarrie. Nie będę zadzierał z Kopciuszkiem – zapewnia Edison.

Dziewczynka z dumą wręcza mu właściwą kredkę, niebieską. Edison ponownie schyla głowę nad kolorowanką.

– W przyszłym tygodniu zaczynacie wybierać przysięgłych – zagajam. – Czy powinnam się tym przejmować?

– Ależ skąd, to tylko…

– Edisonie – rozlega się dźwięczny głos Violet. – Czy to łańcuch?

Mój syn dotyka łańcuszka, który nosi ostatnio, odkąd zaczął spotykać się z kuzynem.

– Uhm, chyba tak.

– W takim razie jesteś niewolnikiem – oznajmia Violet rzeczowo.

– Violet! – krzyczą jednocześnie Micah i Kennedy.

– O Boże, Edisonie. Ruth. Bardzo was przepraszam – płoszy się Kennedy. – Nie mam pojęcia, gdzie to podłapała…

– W szkole – informuje Violet. – Josiah powiedział Taishy, że tacy jak ona nosili kiedyś łańcuchy i byli niewolnikami.

– Później do tego wrócimy – ucina Micah. – Dobrze, Vi? Nie będziemy teraz o tym rozmawiać.

– W porządku – mówię, chociaż atmosfera w pokoju gęstnieje. – Wiesz, kto to jest niewolnik?

Violet potrząsa głową.

– To ktoś, kogo inny człowiek ma na własność.

Widzę, że dziewczynka trawi moje słowa.

– Jak zwierzątko?

Kennedy kładzie mi rękę na ramieniu.

– Nie musisz – mówi ściszonym tonem.

– A nie uważasz, że kiedyś już musiałam? – Ponownie przenoszę wzrok na jej córkę. – Trochę jak zwierzątko, ale niezupełnie. Dawno, dawno temu ludzie, którzy wyglądali jak ty i twoi rodzice, znaleźli miejsce, gdzie ludzie wyglądali jak ja, Edison i Taisha. Tak dobrze nam szło – budowaliśmy domy, gotowaliśmy obiady, robiliśmy coś z niczego – że zapragnęli mieć to w swoim kraju. I wywieźli mieszkańców, nie pytając ich o pozwolenie. Nie zostawili nam wyboru. Dlatego niewolnik to ktoś, komu nie dano wyboru i kto nie ma wpływu na swój los.

Violet odkłada kredkę, buzię ma zamyśloną.

– Nie byliśmy pierwszymi niewolnikami – dorzucam. – W Biblii, książce, którą bardzo lubię, są opowieści na ten temat. Egipcjanie mieli żydowskich niewolników, którzy budowali dla nich trójkątne świątynie z cegieł. Zniewolili ich, ponieważ mieli władzę.

Violet jak gdyby nigdy nic powraca do kolorowania.

– Pokolorujmy Roszpunkę – oznajmia, ale zaraz się waha. – Jeśli chcesz – dodaje.

– Nie ma sprawy – odpowiada Edison.

Być może tylko ja to zauważam, ale w którymś momencie zdjął łańcuszek i schował go do kieszeni.

– Dziękuję – mówi Micah szczerze. – To była doskonała lekcja czarnej historii.

– Niewolnictwo to historia nas wszystkich – zaznaczam.

Dzwoni minutnik i Kennedy wstaje. Gdy wychodzi do kuchni, mruczę, że chciałabym pomóc, po czym idę za nią. Odwraca się zaczerwieniona.

– Bardzo, bardzo cię przepraszam, Ruth.

– Ależ nie ma za co. Jest mała. Skąd mogła wiedzieć?

– W życiu nie wyjaśniłabym jej tego lepiej.

Patrzę, jak wyciąga z pieca lasagne.

– Kiedy Edison wrócił z przedszkola i zapytał, czy jesteśmy niewolnikami, był mniej więcej w tym samym wieku co Violet.

Naprawdę nie miałam ochoty mu tego tłumaczyć, żeby się poczuł ofiarą.

– Violet powiedziała mi w zeszłym tygodniu, że chce być taka jak Taisha i nosić koraliki we włosach.

– I co jej na to odpowiedziałaś?

Kennedy się waha.

– Sama nie wiem. Pewnie ją zbyłam. Bąknęłam, że każdy jest inny i dlatego świat to takie fantastyczne miejsce. Daję słowo, kiedy mi zadaje pytania o rasę, zamieniam się w cholerną reklamę coca-coli.

Parskam śmiechem.

– Rzadziej podejmujesz ten temat, więc jesteś usprawiedliwiona. Praktyka czyni mistrza.

– W jej wieku też miałam taką Taishę w grupie, tyle że miała na imię Lesley. Boże, ależ chciałam nią być. Śniło mi się, że obudzę się czarna. Poważnie.

Z udawaną zgrozą unoszę brwi.

– I wyrzucisz swój szczęśliwy los na loterię? W życiu.

Patrzy na mnie; obie wybuchamy śmiechem i w tej chwili jesteśmy tylko dwiema kobietami, które rozmawiają szczerze nad zapiekanką. Nasze wady i wyznania sprawiają, że więcej nas łączy, niż dzieli.

Uśmiecham się, Kennedy również, i wówczas widzimy siebie naprawdę. I to wyznacza początek.

Nagle Edison wchodzi do kuchni z moją komórką.

– Co się stało? – rzucam żartobliwie. – Tylko mi nie mów, że wyleciałeś, bo zrobiłeś z Arielki brunetkę?

– To pani Mina, mamo – mówi. – Lepiej odbierz.

Kiedy miałam dziesięć lat, dostałam pod choinkę lalkę Barbie. Miała na imię Christie i wyglądała jak lalki Christiny, pomijając kolor skóry oraz fakt, że Christina miała całe pudełko ubranek, a mojej mamy nie było na to stać. Uszyła Christie ubranka ze starych skarpetek i ręczniczków kuchennych, a domek zrobiła jej z kartoników po butach. Byłam przeszczęśliwa. Powiedziałam mamie, że jest lepszy niż kolekcja Christiny, bo nikt inny takiego nie ma. Rachel, wówczas dwunastoletnia, stroiła sobie ze mnie żarty.

– Mów, co chcesz – oznajmiła. – Ale to tylko podróbka.

Koleżanki Rachel były w większości jej rówieśniczkami, ale zachowywały się jak szesnastolatki. Rzadko miałam z nimi do czynienia, bo chodziły do szkoły w Harlemie, a ja dojeżdżałam do Dalton. Ale kiedy przychodziły w weekendy, naśmiewały się ze mnie, bo miałam fale zamiast loczków i jaśniejszą skórę.

– Patrzcie, jaka ważna – mówiły i chichotały, jakby łączył je wspólny sekret. Kiedy Rachel musiała mnie niańczyć w weekendy na polecenie mamy i jeździłyśmy autobusem do centrum handlowego, ja siadałam z przodu, a one z tyłu. Nazywały mnie Afrosaksonką i śpiewały piosenki, których nie znałam. Gdy skarżyłam się Rachel, że mnie wyśmiewają, mówiła, że przesadzam.

– One tylko żartują – skwitowała. – Trochę wyluzuj, to cię polubią.

Któregoś razu wpadłam na nie w drodze powrotnej ze szkoły. Rachel z nimi nie było.

– Patrzcie, kogo tu mamy – oznajmiła najwyższa, Fantasee. Szarpnęła mnie za włosy zaplecione w kłos, bo tak czesały się dziewczynki z mojej szkoły. – Jaka szykowna – dodała i wszystkie trzy mnie otoczyły. – No co? Zapomniałaś języka w gębie? Bez siostry się nie odezwiesz?

– Przestańcie – odpowiedziałam. – Zostawcie mnie, proszę.

– Komuś chyba trzeba przypomnieć, skąd pochodzi. – Złapały za mój plecak, rozpięły go i wyrzuciły wszystkie rzeczy do kałuży, a potem wepchnęły mnie w błoto. Fantasee chwyciła moją Christie i wyrwała jej ręce i nogi. Nagle zjawiła się Rachel, niczym anioł zemsty. Odciągnęła Fantasee i dała jej w twarz. Podcięła drugą dziewczynkę i zdzieliła trzecią. Kiedy wszystkie już leżały na ziemi, stanęła nad nimi z zaciśniętą pięścią. Odczołgały się jak niepyszne, następnie wstały i uciekły. Kucnęłam koło mojej zniszczonej Christie, a Rachel przyklękła obok mnie.

– W porządku?

– Tak – wyjąkałam. – Ale ty… ty pobiłaś swoje koleżanki.

– Mam inne – ucięła Rachel. – A siostrę tylko jedną. – Pomogła mi wstać. – Chodź, trzeba cię umyć.

W milczeniu wróciłyśmy do domu. Mama obrzuciła przeciągłym spojrzeniem moje włosy i podarte rajstopy, po czym zagoniła mnie

do wanny. Przyłożyła lód do obolałej ręki Rachel.

Mama skleiła Christie, ale ręka wciąż odpadała, a na głowie pozostało trwałe wgniecenie. Wieczorem Rachel przyszła się ze mną położyć. Robiła tak, kiedy byłyśmy małe, w czasie burzy. Dała mi krzesełko z paczki po papierosach, gazet i kubka po jogurcie. Sama skleiła je z odpadków.

– Pomyślałam, że przyda się Christie – powiedziała.

Pokiwałam głową i obejrzałam je ze wszystkich stron. Pewnie się rozwali, gdy tylko Christie na nim usiądzie, ale nie o to chodziło. Uniosłam kołdrę i położyłam się na boku, a Rachel przytuliła się do moich pleców. I przespałyśmy tak całą noc jak bliźniaczki syjamskie, z jednym sercem, które biło między nami.

Mama miała pierwszy wylew w czasie odkurzania. Pani Mina usłyszała odgłos upadku i znalazła ją na skraju perskiego dywanu, twarzą w dół, jakby oglądała go z bliska. Drugi wylew nastąpił w karetce w drodze do szpitala. Umarła, zanim dotarli na miejsce. Widzę panią Minę we łzach. Edison zostaje z nią, a ja idę zobaczyć mamę.

Jakaś życzliwa pielęgniarka ją zostawiła, żebym mogła się pożegnać. Wchodzę za zasłonkę i siadam obok mamy. Biorę ją za rękę; jest jeszcze ciepła.

– Dlaczego wczoraj do ciebie nie zadzwoniłam? – mamroczę. – Dlaczego nie odwiedziłam cię w zeszły weekend?

Przysiadam na skraju łóżka, po czym na chwilę wsuwam się pod jej ramię i przyciskam ucho do nieruchomej piersi. Ostatni raz jestem jej dzieckiem.

Dziwna rzecz, tak nagle zostać bez matki. Jakby nagle zostać bez steru, który nadaje kurs, na który nigdy nie zwracałam uwagi, aż do teraz. Kto będzie mnie uczył, jak wychowywać dziecko, jak sobie radzić z nieżyczliwością obcych ludzi, kto nauczy mnie pokory?

Uświadamiam sobie, że ona już to zrobiła.

W milczeniu podchodzę do umywalki. Napełniam miskę ciepłą wodą z mydłem i stawiam obok mamy. Odsuwam prześcieradło, które na niej pozostawiono po nieudanej reanimacji. Od lat nie

widziałam jej nagiej; patrzyłam teraz jakby w lustrzane odbicie, zniekształcone przez lata. Tak będą wyglądały moje piersi, mój brzuch. Te rozstępy zostały jej po mnie. Te plecy garbiła przez lata ciężkiej harówki, a śmiech wyżłobił jej zmarszczki wokół oczu.

Zaczynam ją myć tak, jak myłabym noworodka. Przesuwam ręcznik przez całą długość ramienia i po nogach. Przecieram między palcami stóp. Sadzam ją i opieram o swoją pierś, waży tyle, co nic. Gdy woda spływa mamie po plecach, opieram głowę na jej ramieniu i się przytulam. Sprowadziła mnie na ten świat. Ja pomogę jej z niego odejść.

Kiedy kończę, delikatnie odkładam ją z powrotem na poduszkę i okrywam prześcieradłem aż po brodę.

– Kocham cię, mamo – szepczę.

Ktoś odsuwa zasłonę i widzę Adisę. Ona, dla równowagi, zawodzi i głośno szlocha. Rzuca się na mamę, chwyta prześcieradło.

Wiem, że się wypali, jak każdy ogień. Dlatego czekam, aż jej płacz przejdzie w czkawkę. Potem się odwraca i dopiero zauważa moją obecność.

Nie wiem, kto pierwszy wyciąga ręce, ale padamy sobie w objęcia. Mówimy jedna przez drugą: „Mina do ciebie dzwoniła?", „Czy mama źle się czuła?", „Kiedy ostatnio z nią rozmawiałaś?". Rozpacz zatacza kręgi, przepływa między nami tam i z powrotem.

Adisa mocno mnie przytula. Zaplątuję dłoń w jej warkoczach.

– Powiedziałam Wallace'owi Mercy'emu, żeby znalazł sobie nowy temat – szepcze.

Odsuwam się na chwilę, żeby na nią spojrzeć.

Wzrusza ramionami w odpowiedzi na pytanie, którego nie zadałam.

– Mam jedną siostrę – ucina.

Pogrzeb mamy odbywa się z wielką pompą – takiego by sobie życzyła. Jej kościół w Harlemie jest pełen ludzi, którzy ją znali od lat. Siadam w pierwszej ławce obok Adisy, wpatrzona w ogromny, drewniany krzyż na ścianie prezbiterium, między dwoma wielkimi witrażami, z fontanną pod spodem. Trumna leży na katafalku – na prośbę pani Miny, która wyłożyła pieniądze na pogrzeb, kupiłyśmy

najładniejszą, jaka była. Edison stoi obok pastora Harolda i wygląda jak ogłuszony, w czarnym garniturze z przykrótkimi nogawkami i rękawami i butach do koszykówki. Nie zdjął okularów przeciwsłonecznych. W pierwszej chwili biorę to za przejaw braku szacunku, ale w końcu zaczynam rozumieć. W moim zawodzie śmierć to codzienność, natomiast Edison, który nie pamięta ojca w trumnie owiniętej flagą, ma z nią styczność po raz pierwszy.

Przez główną nawę sunie procesja, makabryczny rytuał oglądania zmarłego w trumnie. Mama jest ubrana w ulubioną fioletową sukienkę z cekinami na barkach, na nogach ma czarne lakierki, które ją cisnęły, a w uszach brylantowe wkrętki, które dostała kiedyś na Gwiazdkę od Hallowellów i których nigdy nie założyła w obawie, że wypadną i je zgubi. Brakuje tylko jej szczęśliwego szalika, ale nie mogłam go znaleźć, choć przetrząsnęłam cały dom.

– Tak spokojnie wygląda – słyszę raz po raz. Albo: – Wygląda jak zawsze, prawda? – To nieprawda. Wygląda jak obrazek w książce, jest dwuwymiarowa, a powinna wyrywać się na świat.

Gdy procesja dobiega końca, pastor Harold rozpoczyna uroczystość.

– Panie i panowie, bracia i siostry… to nie jest smutny dzień – mówi. Uśmiecha się łagodnie do mojej siostrzenicy Tyany, która szlocha w supełki na głowie małej Zhanice. – To dzień szczęśliwy, albowiem zebraliśmy się tutaj, aby uczcić pamięć naszej ukochanej przyjaciółki, matki oraz babki, Louanne Brooks, która w końcu zaznała spokoju i jest teraz w niebie u swego Ojca. Módlmy się.

Pochylam głowę, lecz najpierw rozglądam się ukradkiem po kościele, który pęka w szwach. Wszyscy wyglądają jak my, oprócz pani Miny i Christiny oraz Kennedy McQuarrie ze starszą kobietą, które siedzą z tyłu.

Dziwię się, że Kennedy przyszła, ale oczywiście wie o mamie. U niej się dowiedziałam.

Ale wszystko mi się zamazuje, jak wino i ser, którymi mnie częstowała. Jakbym próbowała ująć ją w ramy, a ona wciąż z nich ucieka.

– Nasza przyjaciółka Louanne urodziła się w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym – mówi pastor – jako córka Jermaine'a i Maddie

Brooks, najmłodsza z czwórki rodzeństwa. Miała dwie córki i po odejściu ich ojca wychowała je na dobre, silne kobiety. Poświęciła życie służeniu innym, dbając o szczęśliwy dom dla rodziny, która zatrudniała ją przez ponad pięćdziesiąt lat. Otrzymała więcej nagród za swoje wypieki niż ktokolwiek inny w naszej parafii i jestem skłonny uwierzyć, że zawdzięczam kilka dodatkowych kilogramów właśnie jej przysmakom. Kochała muzykę gospel, *The View*[24], pieczenie i Jezusa, a przeżyły ją dwie córki oraz sześcioro ukochanych wnucząt.

Chór śpiewa ulubione pieśni mamy: *Za rękę weź mnie, Panie najukochańszy* i *Odlecę stąd*. Następnie pastor wraca na mównicę i unosi wzrok na wiernych.

– Bóg jest dobry! – woła.

– Zawsze i na wieki! – odpowiadają wszyscy.

– I przyzwał do siebie anioła na chwałę swoją!

Po licznych „amen" zaprasza do siebie tych, którzy chcą zaświadczyć, jak mama wpłynęła na ich życie. Patrzę, jak jej przyjaciółki wstają i suną wolnym krokiem, jakby wiedziały, że teraz przyjdzie ich kolej. „Pomogła mi przetrwać raka piersi", mówi jedna. „Nauczyła mnie podłożyć sukienkę". „Zawsze wygrywała w bingo". To niebywałe doświadczenie – ja znałam mamę od jednej strony, lecz dla nich była kimś innym: nauczycielką, powiernicą, wspólniczką. W miarę, jak opowieści tworzą jej obraz, ludzie płaczą, kołyszą się i chwalą Pana.

Adisa ściska moją dłoń i idzie na mównicę.

– Moja mama – zaczyna – była surowa. – Ludzie się śmieją, wiedzą, o czym mowa. – Surowo podchodziła do dobrych manier, odrabiania lekcji i randek oraz tego, ile mogłyśmy odsłaniać w miejscach publicznych. Prawda, że tak było, Ruth? To ostatnie zmieniało się w zależności od pory roku, torpedowała moje plany przez okrągły rok. – Adisa uśmiecha się do swoich myśli. – Pamiętam, jak kiedyś postawiła na stole dodatkowe nakrycie dla mojej bezczelności i oznajmiła „Kochana, kiedy ty wstaniesz od stołu, ona się stąd nie ruszy".

„No ba", słyszę za plecami.

– Byłam krnąbrna. Może nadal jestem. A mama wierciła nam dziurę w brzuchu o rzeczy, którymi inni rodzice się nie przejmowali. Uważałam to za niesprawiedliwość. Pytałam ją, czy Bogu zrobi różnicę, jeśli włożę czerwoną spódniczkę ze skaju, na co mi powiedziała coś, czego nigdy nie zapomnę. „Rachel, mam niewiele czasu, żeby się tobą nacieszyć, i moja w tym głowa, żeby się jeszcze nie skrócił”. Byłam zbyt młoda i zapalczywa, aby zrozumieć jej słowa. Teraz już rozumiem. Wtedy nie wiedziałam jeszcze, że istnieje druga strona medalu. Ale teraz już wiem: miałam za mało czasu, by nacieszyć się moją mamą.

Ze łzami w oczach odchodzi od pulpitu. Wstaję. Prawdę mówiąc, nie wiedziałam, że Adisa umie tak ładnie przemawiać, no ale ona zawsze miała więcej odwagi ode mnie. Ja wtapiam się w tło. Nie chciałam zabierać głosu na pogrzebie, ale zdaniem Adisy ludzie tego oczekują, więc ustąpiłam. „Opowiedz coś”, zaproponowała. Dlatego staję przy mównicy, chrząkam i w przypływie paniki chwytam za drewnianą krawędź.

– Dziękuję – mówię i mikrofon piszczy. Cofam się o krok. – Dziękuję, że przyszliście pożegnać się z mamą. Byłaby zachwycona, że wam na tym zależało, a gdybyście nie przyszli, narzekałaby w niebie na wasze maniery. – Podnoszę wzrok; to miał być żart, ale prawie nikt się nie śmieje.

Przełykam ślinę i brnę dalej.

– Mama zawsze stawiała siebie na ostatnim miejscu. Wszyscy dobrze wiecie, że karmiła wszystkich i każdego: broń Boże, aby ktoś wrócił głodny do domu. Podobnie jak pastor Harold, na pewno wszyscy znaliście jej wypieki. Kiedyś piekła tort szwarcwaldzki na kościelny konkurs, a ja uparłam się jej pomóc. Oczywiście nie było wówczas ze mnie żadnego pożytku. W pewnej chwili upuściłam do ciasta miarkę i wstydziłam się przyznać, więc miarka się upiekła. Kiedy sędzia przekroił tort i ją znalazł, mama wszystkiego się domyśliła. Ale zamiast się na mnie wściec, powiedziała sędziemu, że to jej sposób na zapewnienie wilgotności ciasta. Pamiętacie zapewne, że rok później miarki znalazły się w kilku tortach… już wiecie dlaczego. – Śmiech przetacza się po kościele, a ja wypuszczam powietrze, które bezwiednie wstrzymywałam. – Ludzie

mówili, że szczyci się swoimi ciastami i nagrodami, ale to nieprawda. Mama ciężko na to pracowała. Na wszystko ciężko pracowała. Mówiła nam, że duma to grzech. Jedyne, z czego była dumna, to ja i moja siostra.

Kiedy wypowiadam te słowa, widzę jej minę na wieść o moim procesie. „Ruth", powiedziała, gdy wróciłam do domu z więzienia i przyszła mnie zobaczyć, sprawdzić, jak się czuję. „Jakim cudem to spotkało ciebie?". Wiedziałam, o co jej chodzi. Byłam jej pieszczoszką. Wyrwałam się z błędnego koła. Osiągnęłam coś w życiu. Przebiłam się przez sufit, w który całe życie waliła głową.

– Była ze mnie dumna – powtarzam, ale to puste słowa. Balony, które pękają w zetknięciu z powietrzem, pozostawiając lekki smrodek zawodu.

„Już dobrze, kochana", słyszę od strony ławek. „Dasz radę".

Mama nigdy tego nie powiedziała, ale czy była ze mnie dumna? Czy wystarczył sam fakt, że jestem jej córką? A może niesłuszne oskarżenie było jak plama, której nie mogła wywabić?

Pragnę coś jeszcze dodać, ale nie daję rady. Wszystko zapisałam, ale jakbym patrzyła na hieroglify. Wszystko bez ładu i składu. Nie wyobrażam sobie świata, w którym mogę pójść do więzienia na wiele lat. Nie wyobrażam sobie świata, w którym jej nie ma.

Potem przypominam sobie coś, co mi powiedziała, kiedy nocowałam u Christiny. „Gdy będziesz na nas gotowa, będziemy na ciebie czekali". W tej samej chwili czuję coś, czego jeszcze nigdy nie zaznałam. Albo nie zwracałam na to uwagi. To obecność, mocna jak mur i ciepła w dotyku. Społeczność ludzi, którzy mnie znają, chociaż ja ich nie znam. Kongregacja, która nigdy nie przestała się za mnie modlić, nawet gdy wyfrunęłam z gniazda. Przyjaciele, o których istnieniu nie wiedziałam, a którzy zachowali związane ze mną wspomnienia. Wspomnienia, które ja sama puściłam w niepamięć.

Słyszę za plecami szmer fontanny i myślę o wodzie, która unosi się pod postacią mgły, zamienia w obłok i powraca jako deszcz. Czy nazwalibyście to spadaniem? Czy może powrotem do domu?

Nie wiem, jak długo tam stoję i płaczę. Adisa podchodzi do mnie z szalem rozpostartym jak wielkie czarne skrzydła czapli. Otula mnie piórami bezwarunkowej miłości i unosi.

***

Chór odśpiewuje *Niedługo, już wkrótce*, trumna zostaje wyniesiona z kościoła, a my podążamy za nią. Po uroczystości pogrzebowej, po przemówieniu pastora, zbieramy się w mieszkaniu mamy – w ciasnej przestrzeni, gdzie dorastałam. Panie z kościoła doskonale się spisały: góry sałatki ziemniaczanej, surówka z kapusty oraz półmiski ze smażonym kurczakiem stoją na ładnych, różowych obrusach. Niemal każdą wolną przestrzeń wypełniają jedwabne kwiaty, ktoś nawet pomyślał o przyniesieniu składanych krzeseł, chociaż nie ma gdzie ich stawiać.

Uciekam do kuchni. Patrzę na stosy ciastek czekoladowych i cytrynowych kostek, podchodzę do półeczki nad zlewem. Stoi tam czarno-biały zeszyt z przepisami; otwieram go i prawie rozpływam się na widok spiczastych gór i dolin pisma mamy. „Placek z batatów", czytam. „Kokosowe marzenie". „Tort czekoladowy na podbój męskiego serca". Uśmiecham się na widok tego ostatniego: upiekłam go dla Wesleya, zanim mi się oświadczył, a potem mama podsumowała tylko: „A nie mówiłam?".

– Ruth – słyszę za plecami, a gdy się odwracam, widzę Kennedy w towarzystwie drugiej białej kobiety, która czuje się chyba nieswojo, jak odgaduję z jej miny.

Otrząsam się i przypominam sobie o dobrych manierach.

– Dziękuję, że przyszłyście. To wiele dla mnie znaczy.

Kennedy robi krok naprzód.

– Poznaj moją matkę, Avę.

Starsza kobieta podaje mi wiotką dłoń i ściska czubki moich palców na południową modłę.

– Wyrazy współczucia. Piękna uroczystość.

Kiwam głową, no bo co mam odpowiedzieć?

– Jak się trzymasz? – pyta Kennedy.

– Nie mogę opędzić się od myśli, że mama każe mi powiedzieć pastorowi Haroldowi, aby stawiał filiżankę na spodku, a nie bezpośrednio na blacie. – Brak mi słów, aby wyrazić uczucia, jakie

budzi we mnie widok jej matki, gdy wiem, że mojej już nie ma. Czuje się jak balon puszczony z wiatrem.

Kennedy zerka na otwarty zeszyt w moich rękach.

– Co tam masz?

– Jej przepisy. Nie wszystkie. Obiecywała, że zapisze najlepsze dla mnie, ale nie miała czasu, zawsze pochłonięta gotowaniem dla kogoś innego. – Uświadamiam sobie, jak gorzko to zabrzmiało. – Zmarnowała życie, harując dla innych. Polerowała srebra, pichciła trzy posiłki dziennie i szorowała sedes, aż pękała jej skóra dłoni. Zajmowała się cudzymi dziećmi.

Głos mi się załamuje i urywam.

Matka Kennedy, Ava, sięga do torebki.

– Chciałam przyjść tu dzisiaj z Kennedy – mówi. – Nie znałam pani mamy, ale znałam kogoś podobnego. Osobę, którą bardzo kochałam.

Podaje mi stare zdjęcie z zagiętymi rogami. Przedstawia czarną kobietę w stroju pokojówki, z małą dziewczynką na rękach. Dziewczynka ma włosy białe jak śnieg, jej rączka odcina się na tle ciemnego policzka piastunki. Łączy je nie tylko powinność. Dostrzegam tam dumę. I miłość.

– Nie znałam pani matki. Ale, Ruth… ona nie zmarnowała swojego życia.

Łzy napływają mi do oczu. Oddaję zdjęcie Avie, a Kennedy mnie obejmuje. W przeciwieństwie do sztywnych uścisków białych kobiet pokroju pani Miny lub dyrektorki mojego liceum, ten nie wydaje się sztuczny i wymuszony.

Wypuszcza mnie z objęć, stajemy naprzeciwko siebie.

– Przykro mi z powodu twojej straty – mówi i coś iskrzy między nami: obietnica, nadzieja, że gdy znajdziemy się w sądzie, więcej nie wypowie tych słów.

24 Amerykański talk-show prowadzony m.in. przez Whoopi Goldberg.

Kennedy

Na szóstą rocznicę ślubu Micah daje mi grypę żołądkową.

Zaczęło się w zeszłym tygodniu od Violet, jak większość chorób zakaźnych w naszym domu. Potem Micah zaczął wymiotować. Wmawiałam sobie, że ja nie mam czasu na chorowanie, i myślałam, że mi się upiecze, ale obudziłam się zlana potem w środku nocy i dałam nura do łazienki.

Budzę się z twarzą wciśniętą w kafelki, Micah stoi nade mną.

– Nie patrz tak – mówię. – Jesteś taki mądry, bo masz to już za sobą.

– Będzie lepiej – obiecuje Micah.

Wydaję głuchy jęk.

– Cudownie.

– Chciałem ci przynieść śniadanie do łóżka, ale wybrałem miętę.

– Mój książę. – Siadam. Łazienka wiruje mi przed oczami.

– Powoli, mała. – Micah klęka obok i pomaga mi wstać. Potem bierze mnie na ręce i zanosi do sypialni.

– W innych okolicznościach – mówię – byłoby to bardzo romantyczne.

– Co się odwlecze, to nie uciecze – odpowiada Micah ze śmiechem.

– Nie masz pojęcia, ile mnie kosztuje, żeby na ciebie nie zwymiotować.

– Nie masz pojęcia, jaki jestem wdzięczny – kwituje z powagą i staje z założonymi rękami. – Chcesz się kłócić o to, że nie idziesz do biura, czy najpierw dopijesz miętę?

– Wykorzystujesz przeciwko mnie moją własną broń. To strategia albo-albo, którą ćwiczę na Violet…

– Widzisz, a ty twierdzisz, że nigdy nie słucham.

– Idę do pracy – oznajmiam i próbuję wstać, ale robi mi się ciemno przed oczami. Kiedy mrugam po chwili, widzę tuż na wprost twarz Micaha. – Nie idę do pracy – szepczę.

– Dobra odpowiedź. Już dzwoniłem do Avy. Przyjdzie i zabawi się w pielęgniarkę.

Jęczę.

– Lepiej mnie dobij. Ja tego nie zniosę. Moja matka myśli, że bourbon jest lekarstwem na wszystko.

– Zarygluję barek. Coś ci przynieść?

– Teczkę – mówię błagalnym tonem.

Micah daje za wygraną. Kiedy schodzi po teczkę, siadam i podpieram się poduszkami. Mam za dużo roboty, żeby leżeć plackiem, ale moje ciało odmawia posłuszeństwa.

Przysypiam. Micah próbuje ostrożnie postawić teczkę, żeby mnie nie obudzić, ale po nią sięgam, przeceniwszy swoje siły. Zawartość wysypuje się na łóżko i na podłogę, Micah schyla się, żeby pozbierać.

– Hm – mówi na widok jednej kartki. – Na co ci wyniki badań laboratoryjnych?

Jest pognieciona, musiała wypaść z segregatora i wylądować na dnie teczki. Mrużę oczy i widzę szereg wykresów. To wyniki testów przesiewowych noworodka ze szpitala Mercy-West Haven, które dołączyłam do materiału dowodowego, gdyż brakowało ich w karcie Davisa Bauera. Przyszły w tygodniu; w związku z moim zamiłowaniem do chemii tylko rzuciłam okiem i odłożyłam do pokazania Ruth.

– To tylko jakiś rutynowy test – rzucam.

– Chyba nie – stwierdza Micah. – Wykryto anomalię w morfologii.

Wyrywam mu kartkę.

– Skąd wiesz?

– Stąd. – Micah wskazuje na opis dołączony do wyników, którego oczywiście nie przeczytałam. – Stoi jak byk: „Anomalia w morfologii”.

Przeglądam list zaadresowany do doktor Marlise Atkins.

– Czy anomalia mogła spowodować zagrożenie życia?

– Pojęcia nie mam.

– Jesteś lekarzem.

– Od oczu, a nie enzymów.

Patrzę na niego.

– Przygotowałeś coś na rocznicę?

– Chciałem zabrać cię na kolację – przyznaje Micah.

– Lepiej załatw mi wizytę u neonatologa.

Kiedy w Ameryce mówimy, że w skład ławy przysięgłych wchodzą przeciętni obywatele, to niepełna prawda. Dobór przysięgłych jest mniej przypadkowy, niż mogłoby się wydawać, dzięki usilnym staraniom obrony i oskarżenia, mającym na celu eliminację skrajności po obu stronach – innymi słowy, ludzi, którzy wedle wszelkiego prawdopodobieństwa mogliby zaszkodzić interesom naszych klientów. Wykluczamy osoby, które z góry zakładają winę oskarżonego, twierdzą, że widzą zmarłych bądź chowają urazę do wymiaru sprawiedliwości, bo zostały kiedyś aresztowane. Pod nasz topór idą również konkretne przypadki. Jeżeli mój klient uchylał się od służby wojskowej, staram się wykluczyć przysięgłych, którzy dumnie ją wypełnili. Jeśli jest narkomanem, nie chcę przysięgłych, którzy stracili bliską osobę w wyniku przedawkowania. Nikt nie jest wolny od uprzedzeń, a moje zadanie polega na tym, by przysięgli sprzyjali człowiekowi, którego reprezentuję.

A zatem, mimo że po rozpoczęciu procesu nie zagram kartą rasy – jak od miesięcy tłumaczę Ruth – wszystkie atuty muszę zebrać wcześniej.

I dlatego idę do szefa i oznajmiam mu, że się myliłam.

– Czuję się jednak trochę przytłoczona – mówię Harry'emu. – Doszłam do wniosku, że przyda mi się wsparcie.

Wyjmuje lizak ze słoika, który trzyma na biurku.

– Ed rozpoczyna w tym tygodniu sprawę dziecka potrząsanego…

– Nie myślałam o Edzie. Myślałam o Howardzie.

– Howardzie. – Patrzy na mnie ze zdziwieniem. – Tym, który nadal przynosi sobie kanapki na lunch?

To prawda, że Howard dopiero skończył studia i przez parę miesięcy, odkąd tu pracuje, brał tylko wykroczenia, awantury domowe i kilka zakłóceń porządku. Posyłam szefowi niewinny uśmiech.

– Właśnie. Przyda mi się para dodatkowych rąk do pomocy. Goniec. Przy okazji nabierze nieco doświadczenia w sądzie.

Harry odwija lizak i wkłada go do ust.

– Jak uważasz – mówi trochę niewyraźnie.

Z jego błogosławieństwem, lub czymś w tym rodzaju, wracam do boksu i wychylam głowę nad ścianką, która dzieli mnie od Howarda.

– Wiesz co? – mówię do niego. – Pomożesz mi w sprawie Jefferson. W tym tygodniu wybieramy przysięgłych.

Podnosi wzrok.

– Czekaj. Że co? Serio?

To wielka sprawa dla żółtodzioba, któremu wciąż rzucają ochłapy.

– Idziemy – komenderuję i łapię płaszcz.

Naprawdę potrzebuję dodatkowych rąk do pracy.

Ale muszą być czarne.

Idziemy sądowym korytarzem.

– Odzywasz się do sędziego wyłącznie na moje polecenie. Nie okazuj emocji, bez względu na teatralne wygibasy Odette Lawton: oskarżyciele lubią poczuć się jak Gregory Peck w *Zabić drozda*.

– Kto?

– Boże. Mniejsza o to. – Zerkam na niego. – Ile ty masz w ogóle lat?

– Dwadzieścia cztery.

– Mam swetry starsze od ciebie – mamroczę. – Dam ci materiał do przeczytania wieczorem. A po południu trochę poszperasz.

– Poszperam?

– Właśnie. Masz samochód, prawda?

Potwierdza.

– Gdy kandydaci zasiądą na sali, będziesz moją żywą kamerą. Masz zapamiętać każdy grymas, każdą uwagę potencjalnego przysięgłego w odpowiedzi na moje pytania, żebyśmy odsiali tych, którzy mogą nam podłożyć świnię. Nie chodzi o to, kto zasiada w ławie przysięgłych… tylko o to, kto w niej nie zasiada. Masz pytania?

Howard się waha.

– Czy to prawda, że zaproponowałaś sędziemu Thunderowi obciąganie?

Zatrzymuję się i patrzę na niego z rękami na biodrach.

– Nie potrafisz umyć ekspresu do kawy, a wiesz takie rzeczy?

Howard wpycha okulary na nos.

– Odmawiam składania zeznań.

– Cóż, cokolwiek słyszałeś, było wyrwane z kontekstu i pozbawione sensu. A teraz stul dziób i udawaj dorosłego, na miłość boską. – Otwieram drzwi do gabinetu sędziego Thundera i widzę go za biurkiem, prokurator już czeka. – Dzień dobry, wysoki sądzie.

Patrzy na Howarda.

– Kto to?

– Mój pomocnik – odpowiadam.

Odette krzyżuje ręce na piersi.

– Od kiedy?

– Od pół godziny.

Patrzymy wyczekująco na Howarda. Zerka na mnie z zaciśniętymi ustami. „Odzywasz się do sędziego wyłącznie na moje polecenie".

– Gadaj – mamroczę.

Wyciąga ręce.

– Howard Moore. Nie mieliśmy przyjemności, jak sądzę… wysoki sądzie.

Przewracam oczami.

Sędzia Thunder wyciąga grubą stertę wypełnionych kwestionariuszy rozsyłanych do ludzi powoływanych na przysięgłych. Są pełne informacji praktycznych, takich jak miejsce zamieszkania i pracy. Ale zawierają też podchwytliwe pytania: „Czy ma Pan/Pani zastrzeżenia co do zasady domniemanej niewinności?", „Jeśli pozwany nie zeznaje, czy to znaczy, że coś ukrywa?", „Czy rozumie Pan/Pani, że konstytucja daje pozwanemu prawo do zachowania milczenia?", „Jeśli wina zostanie udowodniona ponad wszelką wątpliwość, czy zawaha się Pan/Pani wydać wyrok skazujący?".

Rozdziela stertę na pół.

– Pani Lawton, bierze pani tę część na cztery godziny, a pani McQuarrie resztę. O pierwszej spotkamy się ponownie, zamienimy

dokumentami, a za dwa dni rozpoczniemy *voir dire*[25].

W drodze powrotnej do biura wyjaśniam Howardowi, na co mamy zwracać uwagę.

– Najlepszym przysięgłym z punktu widzenia obrony jest starsza kobieta. Ma najwięcej empatii i doświadczenia, jest mniej krytyczna, za to cięta na młodych zabijaków pokroju Turka Bauera. I wystrzegaj się milenialsów.

– Dlaczego? – pyta ze zdziwieniem Howard. – Młodzi ludzie są chyba w mniejszym stopniu rasistami?

– Jak Turk? – zaznaczam. – Milenialsi to pokolenie Ja. Uważają się za pępek świata i postrzegają świat przez pryzmat własnych doświadczeń. Innymi słowy, są kwintesencją egocentryzmu.

– Rozumiem.

– Idealny byłby dla nas przysięgły o wysokim statusie społecznym, bo tacy są autorytetem dla pozostałych.

– Czyli szukamy jednorożca – stwierdza Howard. – Superwrażliwego, świadomego rasowo białego hetero.

– Może być gejem – kwituję najzupełniej serio. – Gejem, Żydem, kobietą: jeśli utożsamia się z jakimkolwiek przejawem dyskryminacji, Ruth tylko na tym skorzysta.

– Przecież nie znamy żadnego z tych kandydatów. Mamy bawić się w jasnowidzów?

– Nie w jasnowidzów, lecz w detektywów – uściślam. – Weźmiesz połowę kwestionariuszy i pojedziesz pod wskazane adresy. Wywęszysz, ile zdołasz. Czy są wierzący? Majętni? Ubodzy? Czy afiszują się z poglądami politycznymi? Czy mieszkają nad miejscem pracy? Czy mają przed domem maszt?

– Co to ma do rzeczy?

– Maszt wskazuje najczęściej na skrajnego konserwatystę – tłumaczę.

– A ty co będziesz robić? – pyta.

– To samo.

Patrzę, jak wstukuje w telefon współrzędne GPS i jedzie pod pierwszy adres. Następnie chodzę po biurze i wypytuję współpracowników, czy mieli do czynienia z którymś z tych

przysięgłych – wiele nazwisk powtarza się na różnych rozprawach. Ed wychodzi do sądu, ale zerka na dokumenty.

– Pamiętam tego faceta – oznajmia, wyjmując jeden kwestionariusz. – Był w mojej ławie przysięgłych w poniedziałek, w sprawie o kradzież mienia dużej wartości. Podczas mowy wstępnej podniósł rękę i poprosił mnie o wizytówkę.

– Żartujesz?

– Niestety, nie – mówi Ed. – Powodzenia, mała.

Dziesięć minut później włączam nawigację i jadę przez Newhallville. Dla bezpieczeństwa zamykam się od środka. Presidential Gardens, blok mieszkalny między Shelton a Dixwell Avenue, to ubogi zakątek miasta, gdzie jedna czwarta mieszkańców żyje poniżej granicy ubóstwa, a w przecznicach kwitnie handel narkotykami. Gdzieś tutaj mieszka Nevaeh Jones. Patrzę, jak z jednego budynku wybiega chłopczyk bez kurtki i pędzi przed siebie, nie bacząc na chłód. W biegu wyciera nos rękawem.

Czy kobieta z tej okolicy okaże Ruth zrozumienie? A może świadomość dzielących je różnic socjoekonomicznych wzbudzi jej niechęć?

Trudno orzec. W nietypowej sytuacji Ruth jej sprzymierzeńcem wcale nie musi być przysięgły o tym samym kolorze skóry.

Stawiam znak zapytania: tę kandydaturę muszę jeszcze wziąć pod rozwagę. Powoli opuszczam dzielnicę i staję dopiero na widok dzieci bawiących się na zewnątrz. Dzwonię do Howarda.

– Co słychać? – pytam, kiedy odbiera. – Jak ci idzie?

– Hm – odpowiada. – W zasadzie utknąłem.

– Gdzie?

– W East Shore.

– Co się stało?

– To ogrodzone osiedle. Płot jest niski i mógłbym przez niego zajrzeć, ale musiałbym wysiąść z samochodu – tłumaczy Howard.

– No to wysiądź.

– Nie mogę. Widzisz, w college'u ukułem sobie pewną zasadę: nie wysiadaj z auta, dopóki nie zobaczysz żywego, zadowolonego Murzyna. – Howard wzdycha. – Czekam od czterdziestu pięciu minut, ale jedynymi mieszkańcami tej części New Haven są biali.

Co niekoniecznie źle wróży.

– Nie mógłbyś zajrzeć przez płot? Sprawdzić, czy nie ma portretu Trumpa na trawniku?

– Kennedy… tu na każdym kroku są ostrzeżenia o patrolach sąsiedzkich. Co się stanie twoim zdaniem, jak zobaczą Murzyna, który im zapuszcza żurawia przez ogrodzenie?

– Och, słusznie – przyznaję z zakłopotaniem. Patrzę przez szybę na trójkę dzieci skaczących po stertach liści, myślę o ciemnoskórym chłopczyku bez kurtki w Presidential Gardens. Ed opowiadał mi w zeszłym tygodniu o dwunastolatku, którego bronił, zamieszanym w strzelaninę z udziałem dwóch siedemnastolatków; ponoć prokurator zabiega o to, aby odpowiadali przed sądem jako dorośli. – Spotkajmy się za godzinę przy 560 Theodore Street w East Endzie. Howardzie, jeszcze jedno… Kiedy dotrzesz na miejsce, możesz bez obaw wysiąść. Ja tam mieszkam.

Stawiam torbę z chińszczyzną na biurku w moim domowym gabinecie.

– Mam coś dobrego – mówię, po czym wyciągam lo mein i je zagarniam.

– Ja też – odpowiada Howard i wskazuje na plik papierów, które wydrukował.

Jest dziesiąta wieczorem i biwakujemy u mnie. Zostawiłam tu Howarda na całe popołudnie, kiedy wymieniałyśmy się z Odette kwestionariuszami. Godzinami stałam w korkach, rozgryzałam kolejnych przysięgłych na podstawie miejsca zamieszkania i przeglądałam sądowe listy powodów oraz pozwanych, czy któryś z kandydatów lub jego krewni byli kiedykolwiek sądzeni.

– Znalazłem trzech facetów notowanych za przemoc domową, kobietę, której matka została skazana za podpalenie, i uroczą staruszkę, której wnukowi zlikwidowano w zeszłym roku wytwórnię metamfetaminy – informuje Howard.

Zagląda do komputera i monitor podświetla mu twarz na zielono.

– No dobra – mówi, po czym otwiera zupę i pije prosto z plastikowego pojemnika, bez łyżki. – Boże, konam z głodu.

Z Facebooka wygrzebałem sporo brudów, ale wszystko zależy od ustawień prywatności.

– Próbowałeś na LinkedIn?

– Owszem – przytakuje. – Prawdziwa kopalnia złota.

Wskazuje mi podłogę, gdzie rozłożył kwestionariusze i przypiął do nich wydruki.

– Ten jest niezły – oznajmia. – Wykłada sprawiedliwość społeczną w Yale, a do tego jego matka jest pielęgniarką. – Unoszę rękę i przybija mi piątkę. – A to moja druga ulubienica.

Podaje mi kwestionariusz. Candace White. Czterdziestoośmioletnia Afroamerykanka, bibliotekarka, matka trojga dzieci. Na oko mogłaby się zaprzyjaźnić z Ruth, nie tylko opowiedzieć po jej stronie.

Jej ulubiony program to *Wallace Mercy*.

Może nie chciałam, żeby się mieszał, ale jego widzowie na pewno odniosą się przychylnie do Ruth.

Howard nadal przegląda swoje znaleziska.

– Mamy czterech członków ACLU[26]. A ta dziewczyna zamieściła na swoim blogu pean na cześć Erica Garnera[27], w serii zatytułowanej „Ja też nie mogę oddychać".

– Nieźle.

– Z drugiej strony mamy tego przemiłego pana, który stoi na czele swojego kościoła, popiera Randa Paula[28] i domaga się uchylenia wszystkich praw obywatelskich.

Biorę od niego kwestionariusz i przekreślam nazwisko czerwonym flamastrem.

– Dwie osoby zamieściły posty na temat zmniejszenia zasiłków – uzupełnia Howard. – Nie jestem pewien, co chcesz z tym zrobić.

– Dołącz ich do środkowej sterty – mówię.

– Ta dziewczyna trzy godziny temu zaktualizowała swój status: „Jezus Maria, jakiś żółtek właśnie przytarł mi furę".

Odkładam jej kwestionariusz na zwolennika Randa Paula i dołączam do nich osobę, której zdjęcie profilowe na Twitterze przedstawia Glenna Becka[29]. Howard wykluczył dwie osoby, które polubiły fanpage Skullhead i Day of the Sword.

– Czy to coś związanego z *Grą o tron*? – pytam ze zdziwieniem.

– To zespoły white power – odpowiada Howard i dałabym głowę, że się czerwieni. – Znalazłem też zespół o nazwie Vaginal Jesus, ale nie słucha go żaden z naszych kandydatów.

– Chwała Bogu za drobne akty miłosierdzia. A ta gruba sterta pośrodku?

– Nieokreśleni – wyjaśnia Howard. – Mam kilka zdjęć osób z dłońmi ułożonymi na kształt pistoletu, kilku palaczy marihuany, durnia, który nakręcił filmik, jak wstrzykuje sobie heroinę, oraz trzydzieści selfie ludzi pijanych w sztok.

– Czyż to nie pociecha, że sprawiedliwość spoczywa w rękach takich jak oni?

Żartuję, ale Howard patrzy na mnie z całkowitą powagą.

– Prawdę mówiąc, przeżyłem dzisiaj szok. Nie miałem pojęcia, jak ludzie żyją i co robią, kiedy myślą, że nikt nie patrzy… – Zerka na zdjęcie kobiety wymachującej czerwonym, plastikowym kubkiem. – Albo właśnie, kiedy patrzy.

Nadziewam raviolo na pałeczkę.

– Gdy zaczynasz dostrzegać zapuszczone podbrzusze Ameryki – mówię – masz ochotę zamieszkać w Kanadzie.

– Aha, jeszcze jedno. – Howard wskazuje na ekran. – Zrób z tym, co uważasz. – Sięga po ravioli.

Ktoś ma konto na Twitterze pod nazwą @CałyBiały.

– Który to?

– Żaden z przysięgłych – odpowiada Howard. – Dałbym sobie rękę uciąć, że Miles Standup to lipne nazwisko. – Dwukrotnie klika w zdjęcie profilowe: noworodek.

– Skąd ja znam to zdjęcie…?

– Ludzie pikietowali z nim przed sądem, to Davis Bauer. Sprawdziłem nagrania telewizyjne. Moim zdaniem konto należy do Turka Bauera.

– Internet to coś pięknego. – Patrzę na niego z dumą. – Dobra robota.

Spogląda na mnie z nadzieją ponad wieczkiem kartonu.

– Czyli kończymy na dzisiaj?

– O, kochany – odpowiadam ze śmiechem. – Dopiero zaczynamy.

Następnego dnia spotykam się z Odette w kawiarni w celu weryfikacji potencjalnych przysięgłych, których obie chcemy wykluczyć. W rzadkich przypadkach, kiedy nasze opinie się pokrywają (dwudziestopięciolatek, który właśnie wyszedł z psychiatryka, mężczyzna aresztowany w ubiegłym tygodniu), za obopólną zgodą skreślamy ich z listy.

Nie znam dobrze Odette. Jest twarda, rzeczowa. Na konferencjach prawniczych, kiedy pozostali się upijają i urządzają karaoke, ona jedna siedzi w kącie, gdzie popija wodę z cytryną i zbiera na nas haki do wykorzystania później. Zawsze uważałam ją za sztywniarę, ale teraz się zastanawiam, czy przed wyjściem ze sklepu też musi pokazywać paragon. Czy robi to bez słowa, czy dobitnie uświadamia ochronie, że to ona pakuje złodziei za kratki?

Uśmiecham się pojednawczo.

– To będzie ważny proces, nie?

Chowa kwestionariusze do teczki.

– Jak każdy.

– No ale ten… no wiesz… – Urywam, nie mogąc znaleźć słów.

Odette napotyka mój wzrok, z jej oczu bije lodowaty chłód.

– Jestem zaangażowana w tym samym stopniu co ty. Wzięłam tę sprawę, bo wszyscy w naszym biurze są zawaleni, więc wylądowała na moim biurku. I nie obchodzi mnie, czy twoja klientka jest czarna, biała czy w kropki. Morderstwo jest niebywale monochromatyczne. – Wstaje. – To do jutra – rzuca i wychodzi.

– Było miło – mamroczę.

W tej samej chwili wpada Howard. Ma przekrzywione okulary i koszula wyłazi mu ze spodni, wygląda jak po dziesięciu kawach.

– Trochę poszperałem – oznajmia, padając na krzesło zwolnione przez Odette.

– Kiedy? Pod prysznicem? – Dokładnie wiem, o której skończyliśmy pracę, nie miał wiele czasu.

– Otóż SUNY Stony Brook w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym roku i Nayda Terkildsen w dziewięćdziesiątym drugim przeprowadzili badanie dotyczące tego, jak biali wyborcy oceniają czarnych kandydatów na urzędy państwowe, jaką rolę odgrywają

w tym uprzedzenia i jak to się zmienia w przypadku ludzi, którzy nie chcą uchodzić za uprzedzonych…

– Po pierwsze – wchodzę mu w słowo – przyjmujemy linię obrony w oparciu o dowody naukowe, nie dyskryminację. Po drugie, Ruth nie kandyduje.

– No tak, ale moim zdaniem te badania nasuwają wnioski, które mogą nam wiele powiedzieć o potencjalnych przysięgłych – przekonuje Howard. – Wysłuchaj mnie do końca, dobra? Tak więc Terkildsen wybrała przypadkową grupę trzystu pięćdziesięciu osób z hrabstwa Jefferson w stanie Kentucky. Następnie wydrukowała trzy zestawy ulotek na temat wyimaginowanego kandydata na gubernatora o tym samym życiorysie, dorobku i zapleczu politycznym. Różnica polegała jedynie na tym, że na niektórych zdjęciach kandydat był biały. Inne poddano obróbce, w związku z czym przedstawiały Mulata albo Murzyna. Wyborcy mieli określić, czy mają uprzedzenia rasowe i czy są ich świadomi.

Macham ręką, żeby się pospieszył.

– Biały polityk napotkał najbardziej pozytywny odzew – ciągnie Howard.

– Też mi niespodzianka.

– Tak, ale nie to jest najciekawsze. W miarę narastania uprzedzeń notowania Mulata spadły szybciej niż notowania czarnego. Jednak kiedy podzielono uprzedzonych wyborców na świadomych oraz raczej nieświadomych swojego rasizmu, sytuacja uległa zmianie. Ci drudzy zadeklarowali większą niechęć wobec czarnego polityka niż Mulata, natomiast wyborcy, którzy nie chcieli uchodzić za uprzedzonych, znacznie wyżej ocenili Murzyna. Rozumiesz, nie? Jeśli biały za nic nie chce wyjść na rasistę, będzie nadrabiał swoje uprzedzenia, tłumiąc prawdziwe uczucia wobec ciemnoskórego.

Wpatruję się w niego.

– Po co mi to mówisz?

– Ponieważ Ruth jest czarna. Ma jaśniejszą karnację, ale jest Murzynką. A gdy biały przysięgły zapewnia o swoim braku uprzedzeń, niekoniecznie można mu wierzyć na słowo. Być może jest większym rasistą, ale usiłuje to ukryć, co czyni go nieobliczalnym.

Patrzę na stół. Odette nie ma racji. Morderstwo nie jest monochromatyczne, co potwierdziłoby wielu młodocianych przestępców, którzy prosto ze szkoły trafiają za kratki. Bardzo ciężko przełamać ten schemat, chociażby z powodu uprzedzeń białych przysięgłych, bardziej skłonnych do ustępstw na rzecz pozwanych, którzy wyglądają tak jak oni sami.

– No dobrze – mówię do Howarda. – Co zatem proponujesz?

Kiedy wieczorem wpełzam do łóżka, Micah już śpi, ale zaraz wyciąga rękę i mnie przysuwa.

– Wybij to sobie z głowy – informuję. – Padam z nóg, nie mam na nic siły.

– Nawet żeby mi podziękować? – pyta.

Odwracam się do niego.

– Za co?

– Że znalazłem ci neonatologa.

Natychmiast siadam.

– I co?

– I odwiedzimy go w ten weekend. To mój dawny kolega z akademii medycznej.

– Co mu powiedziałeś?

– Że moja stuknięta żona prawniczka zamieni się w Lizystratę, jeśli nie znajdę jej eksperta z tej dziedziny.

Ze śmiechem ujmuję oburącz jego twarz i całuję go w usta, długo i powoli.

– No popatrz – mówię. – A jednak chwyciłam wiatr w żagle.

Jednym szybkim ruchem rzuca mnie na łóżko i przygniata własnym ciałem. Jego uśmiech lśni w księżycowej poświacie.

– Skoro robisz to dla neonatologa – mruczy – co bym dostał za coś naprawdę imponującego, jak parazytolog? Albo leprolog?

– Rozpieszczasz mnie – odpowiadam i przyciągam go do siebie.

Spotykam się z Ruth przed tylnym wejściem, w razie gdyby Wallace Mercy uznał wybór ławy przysięgłych za wart swojego czasu. Jest ubrana w śliwkowy kostium, który pomogłam jej wybrać w T.J. Maxx

w zeszłym tygodniu, i białą koszulę. Włosy zaczesała do tyłu i upięła nad karkiem. Wygląda bardzo profesjonalnie i z powodzeniem mogłaby uchodzić za prawniczkę, gdyby nie rozdygotane kolana.

Biorę ją pod rękę.

– Spokojnie. Nie ma powodu do niepokoju, naprawdę.

Patrzy na mnie.

– To nagle takie… rzeczywiste.

Przedstawiam jej Howarda i kiedy się witają, dostrzegam coś między nimi, jakby oboje dziwili się, że tu są, z różnych powodów. Potem kierujemy się na salę rozpraw, Ruth w środku, i zajmujemy miejsce przy ławie obrony.

Wobec nas, prawników, sędzia Thunder zachowuje się jak palant, ale na przysięgłych robi wrażenie. Siwe, falowane włosy nadają mu dostojny wygląd, usta zaś, ujęte w nawias głębokich bruzd doświadczenia, tworzą cudzysłów wokół mądrości, które dopiero wygłosi. Kiedy stu kandydatów tłoczy się w sali, sędzia udziela im wstępnego pouczenia.

– Pamiętaj – szepczę do Howarda, odchylając się za plecami Ruth. – Masz notować wszystko, aż ci ręka zemdleje. Jeśli któryś z przysięgłych wzdrygnie się na dźwięk jakiegoś słowa, chcę znać to słowo. Jeśli zaśnie, chcę dokładnie wiedzieć, w którym momencie.

Howard przytakuje, a ja prześlizguję wzrokiem po twarzach. Niektóre rozpoznaję z facebookowych zdjęć, większość jednak nosi dobrze znany mi wyraz: to oblicza tych, których po cichu nazywam harcerzykami, gotowych spełnić swój obywatelski obowiązek. Są też krawaciarze z prawdziwego zdarzenia – biznesmeni, którzy bez przerwy popatrują na zegarek, bo czas liczy się dla nich bardziej od dnia spędzonego w ławie przysięgłych. Nie brakuje także weteranów, którzy już to przerabiali, a teraz zachodzą w głowę, po kiego grzyba znowu ich powołano.

– Panie i panowie, nazywam się sędzia Thunder i pragnę powitać państwa na mojej sali sądowej.

O Matko Boska.

– Oskarżycielem w niniejszej sprawie jest Odette Lawton, której zadaniem jest dowieść swoich racji ponad wszelką wątpliwość, na mocy przedstawionych dowodów. Pozwaną reprezentuje Kennedy

McQuarrie. – Kiedy wylicza zarzuty – morderstwo i nieumyślne spowodowanie śmierci – kolano Ruth zaczyna dygotać tak, że wsuwam rękę pod stół i je przytrzymuję.

– Później przedstawię państwu szczegóły – oznajmia sędzia Thunder. – Tymczasem chciałbym zapytać, czy ktoś z państwa zna którąś ze stron.

Jakiś mężczyzna podnosi rękę.

– Poproszę pana do mnie – mówi sędzia.

Odette i ja też podchodzimy, woźny włącza generator szumu, żeby pozostali nie słyszeli, o czym mowa. Mężczyzna wskazuje na Odette.

– Przymknęła mojego brata za narkotyki, kłamliwa suka.

Chyba nie muszę dodawać, że zostaje wyproszony.

Po kilku postanowieniach ogólnych sędzia uśmiecha się do zebranych.

– Doskonale. Teraz poproszę, aby państwo opuścili salę i przeszli do poczekalni. Będziecie wywoływani pojedynczo w celu udzielenia odpowiedzi na pytania obrońcy i oskarżyciela. Prosimy nie dzielić się później doświadczeniami. Tak jak wspomniałem, na oskarżycielu spoczywa ciężar dowodu. Jeszcze nie rozpoczęliśmy przesłuchań świadków, dlatego prosiłbym państwa o zachowanie otwartych umysłów i szczere odpowiedzi przed sądem. Pragniemy zapewnić państwu komfortowe warunki do wypełnienia wyznaczonego wam zadania, tak jak pozwana ma prawo do bezstronnego i sprawiedliwego wyroku.

„Oby to samo dotyczyło sędziego", myślę.

Voir dire jest jak koktajl party bez procentów. Chcesz zagłaskać przysięgłych, zyskać ich sympatię. Udajesz zainteresowanego ich branżą, nawet jeśli to kontrola jakości w fabryce wazeliny. Każdemu przyznajesz punkty. Przysięgły idealny dostaje 5. Kiepski – 1.

Howard wypisze powody dyskwalifikujące daną osobę, żebyśmy się nie pogubili. Koniec końców weźmiemy trójki, czwórki i piątki, gdyż mamy tylko siedem szans, żeby kogoś wykopać bez podawania przyczyny. I nie chcemy zużyć wszystkich naraz, w razie gdyby przytrafił się przysięgły naprawdę problematyczny.

Na pierwszy ogień idzie Derrick Welsh. Ma pięćdziesiąt osiem lat i koszmarne uzębienie, nie schował kraciastej koszuli do spodni.

Odette wita go z uśmiechem.

– Jak pan się dzisiaj miewa, panie Welsh?

– Chyba dobrze. Jestem trochę głodny.

Odette uśmiecha się szerzej.

– To zupełnie jak ja. Proszę mi powiedzieć, czy my już się kiedyś spotkaliśmy?

– Nie.

– Czym pan się zajmuje, panie Welsh?

– Prowadzę sklep z narzędziami.

Wypytuje go o dzieci i ich wiek. Howard, który gorączkowo przegląda kwestionariusze, stuka mnie w ramię.

– To ten, którego brat jest gliniarzem – szepcze.

– Czytam „The Wall Street Journal" – mówi Welsh, gdy odwracam się z powrotem. – I Harlana Cobena.

– Słyszał pan coś o tej sprawie?

– Trochę. W wiadomościach – przyznaje. – Wiem, że oskarżono pielęgniarkę o zabicie noworodka.

Ruth obok mnie się wzdryga.

– Czy ma pan swoje zdanie na temat tego, czy zawiniła? – pyta Odette.

– O ile mi wiadomo, w naszym kraju każdy jest niewinny, póki nie dowiodą mu winy.

– Jak postrzega pan swoją rolę przysięgłego?

Mężczyzna wzrusza ramionami.

– Mam wysłuchać dowodów… i robić, co każe sędzia.

– Dziękuję, wysoki sądzie – mówi Odette i siada.

Podnoszę się z miejsca.

– Witam pana, panie Walsh. Ma pan krewnego w organach ochrony porządku publicznego, nieprawdaż?

– Mój brat jest policjantem.

– Od dawna?

– Od piętnastu lat.

– Czy opowiada panu o swojej pracy? O ludziach, z którymi ma do czynienia?

– Czasami…

– Czy kiedykolwiek padł pan ofiarą przestępstwa?

– Raz okradziono mój sklep.

– Czy pańskim zdaniem wzrost przestępczości jest spowodowany napływem imigrantów?

Chwilę się namyśla.

– Myślę, że to bardziej wynika z gospodarki. Ludzie tracą pracę, desperacja popycha ich do różnych czynów.

– Kto pańskim zdaniem decyduje o przebiegu leczenia, rodzina pacjenta czy personel medyczny? – pytam.

– To zależy od okoliczności…

– Czy pan lub ktoś z pańskiej rodziny miał przykre doświadczenia szpitalne?

Welsh zaciska usta.

– Moja matka zmarła na stole operacyjnym w czasie rutynowej endoskopii.

– Czy winił pan za to lekarza?

– Poszliśmy na ugodę – odpowiada po chwili wahania.

Żółta kartka.

– Dziękuję panu. – Siadając, zerkam na Howarda i lekko potrząsam głową.

Drugim kandydatem jest Murzyn pod siedemdziesiątkę. Odette wypytuje go, jak daleko musiał chodzić do szkoły, czy jest żonaty, z kim mieszka, czym się interesuje. Większość odpowiedzi na te pytania znajduje się w kwestionariuszu, ale czasem dobrze je ponownie zadać, spojrzeć człowiekowi w oczy, kiedy opowiada o inscenizacjach wojny secesyjnej, i sprawdzić, czy jest zwykłym pasjonatem historii, czy może ma świra na punkcie broni.

– Podobno jest pan ochroniarzem w centrum handlowym – ciągnie. – Czy uważa się pan za funkcjonariusza organów ochrony porządku publicznego?

– Może trochę – odpowiada mężczyzna.

– Panie Jordan, jak pan wie, zależy nam na bezstronności przysięgłych – mówi Odette. – Zapewne nie umknęło pańskiej uwagi, że z pozwaną łączy pana kolor skóry. Czy to może wpłynąć na podjęcie przez pana sprawiedliwej decyzji?

Mężczyzna mruga powiekami.

– A czy pani kolor skóry to uniemożliwia?

W duchu biję mu brawo i wstaję, gdy Odette kończy zadawać pytania.

– Czy pańskim zdaniem czarni częściej popełniają przestępstwa niż biali? – pytam.

Z góry znam odpowiedź, więc nie dlatego pytam.

Chcę zobaczyć, jak przyjmie to pytanie z ust białej.

– Moim zdaniem – odpowiada z wolna – czarni częściej lądują za kratkami.

– Dziękuję panu. – Odwracam się do Howarda i nieznacznie kiwam głową na znak pełnej akceptacji.

Kilku kandydatów plasuje się gdzieś pośrodku skali, po czym przychodzi kolej na kandydatkę numer dwanaście. Lila Fairclough, energiczna blondynka, w idealnym wieku na przysięgłą. Jest wychowawczynią w śródmieściu, prowadzi klasę zintegrowaną. Wobec Odette zachowuje się uprzejmie i profesjonalnie, ale na mój widok uśmiecha się szeroko.

– Moja córka pójdzie do szkoły w pani rejonie – informuję. – Właśnie dlatego się tam przeprowadziliśmy.

– Będzie zachwycona – zapewnia kobieta.

– Pani Fairclough, jestem białą kobietą, która broni czarnej kobiety przed jednym z najpoważniejszych zarzutów, jakie można postawić człowiekowi. Mam pewne wątpliwości i chciałabym je z panią omówić, gdyż nasze samopoczucie w tej sprawie, pani jako przysięgłej, moje jako obrońcy, odgrywa tu niepoślednią rolę. Jak pani wiadomo, uprzedzenia powszechnie uchodzą za coś złego, ale są żywe. Na przykład są sprawy, w których nigdy nie mogłabym wziąć udziału. Kocham zwierzęta. Kiedy mam do czynienia z okrucieństwem wobec nich, nie mogę być obiektywna: gniew mnie zaślepia i wypiera wszelką racjonalną myśl. W takim przypadku nie wierzyłabym w ani jedno słowo obrony.

– Doskonale rozumiem, lecz uprzedzenia są mi całkowicie obce – zapewnia pani Fairclough.

– Wsiada pani do autobusu i widzi dwa wolne miejsca, jedno obok Afroamerykanina, drugie obok starszej białej kobiety. Które pani wybiera?

– Najbliższe. – Potrząsa głową. – Wiem, do czego pani zmierza, pani McQuarrie. Ale czarni nie budzą moich zastrzeżeń, naprawdę.

W tej samej chwili Howard upuszcza długopis.

Co brzmi jak wystrzał armatni. Odwracam się na pięcie, napotykam jego wzrok i dostaję spektakularnego ataku kaszlu. To nasz umówiony znak. Krztuszę się, jakbym miała wypluć płuca, i popijam wodę ze szklanki.

– Kolega mnie zastąpi, wysoki sądzie – charczę.

Howard wstaje i zaczyna konwulsyjnie przełykać. Sędzia ani chybi zaraz pomyśli, że na całą obronę padła zaraza, tymczasem jednak moją uwagę przykuwa reakcja Lily Fairclough.

Która zamiera, kiedy Howard przed nią staje.

Trwa to ułamek sekundy, po czym jej usta ponownie rozciągają się w uśmiechu. Co nie znaczy, że tego nie zauważyłam.

– Przepraszam, pani Fairclough – mówi Howard. – Jeszcze tylko kilka pytań. Ilu czarnych uczniów jest w pani klasie?

– Moja klasa liczy trzydzieścioro uczniów, w tym ośmiu Afroamerykanów.

– Czy pani zdaniem ci ostatni muszą być częściej dyscyplinowani niż białe dzieci?

Kobieta zaczyna obracać pierścionek na palcu.

– Wszystkich uczniów traktuję jednakowo.

– Wyjdźmy na chwilę z pani klasy. Czy uważa pani, że mali Afroamerykanie generalnie muszą być dyscyplinowani częściej niż ich biali koledzy?

– Cóż, nie znam badań na ten temat. – Zaraz urwie ten palec. – Ale mogę pana zapewnić, że ten problem mnie nie dotyczy.

Co oczywiście oznacza, że jej zdaniem problem istnieje.

Kiedy kończymy indywidualne przesłuchania i pierwszych czternaścioro przysięgłych przechodzi do poczekalni, naradzam się z Howardem, którego odrzucić bez podania przyczyny.

– Jesteśmy gotowi? – pyta sędzia Thunder.

– Chciałabym wykluczyć przysięgłego numer dziesięć – oznajmia Odette – według którego Murzyn nie może liczyć na przyzwoitą

posadę, o przyzwoitym procesie nie wspominając.

– Zgoda – odpowiadam. – Ja poproszę o wyłączenie przysięgłego numer osiem, którego córka została zgwałcona przez czarnego.

– Zgoda – mówi Odette.

Wykluczamy mężczyznę, którego żona jest umierająca, kobietę z chorym dzieckiem oraz mężczyznę, który ma na utrzymaniu sześcioosobową rodzinę i usłyszał od szefa, że nie dostanie tygodniowego urlopu pod groźbą wyrzucenia z pracy.

– Proszę o wykluczenie przysięgłej numer dwanaście – oświadczam.

– W życiu – ripostuje Odette.

Sędzia Thunder marszczy brwi.

– Poproszę o uzasadnienie.

– Jest rasistką? – rzucam, co brzmi niedorzecznie nawet dla mnie. Uczy ciemnoskóre dzieci i, jak sama twierdzi, nie ma żadnych uprzedzeń. Mogę podejrzewać ją o rasizm na podstawie reakcji na Howarda i nerwowego obracania pierścionka na palcu, lecz jeśli zdradzę nasz mały eksperyment Odette i sędziemu, będę miała kłopoty.

Wiem, że kolejne przesłuchanie nie przyniesie żadnego pożytku, co oznacza, że muszę ją zaakceptować jako przysięgłą lub skorzystać z przysługującego mi prawa do odrzucenia kandydata bez podania przyczyny.

Odette odrzuciła w ten sposób pielęgniarkę i działacza społecznego, który przyznał, że wszędzie widzi niesprawiedliwość. Ja odrzuciłam kobietę, która straciła nowo narodzone dziecko, mężczyznę, który pozwał szpital za pomyłkę lekarską, oraz jednego z łebków, o którym wiem – dzięki Howardowi i Facebookowi – że pojechał na festiwal muzyki white power.

Howard nachyla się przed Ruth, żeby mi szepnąć do ucha.

– Wykorzystaj – namawia. – Może nam nabruździć, nawet jeśli sprawia inne wrażenie.

– Chętnie posłuchamy, co mają państwo do powiedzenia – mówi sędzia.

– Przepraszam, wysoki sądzie… muszę się naradzić z kolegą. – Odwracam się z powrotem do Howarda. – Nie mogę. Pamiętaj, że

zostało jeszcze osiemdziesięciu sześciu przysięgłych, a możemy odrzucić jedynie czterech. Nie sposób przewidzieć, kto się pojawi w drugiej turze. – Patrzę mu w oczy. – Tak. Ma uprzedzenia. Ale sama o tym nie wie i nie chce być tak postrzegana. Dlatego może, tylko może, to obróci się na naszą korzyść.

Howard spogląda na mnie przez dłuższą chwilę. Widzę, że chciałby coś dodać, ale kiwa głową.

– Ty tu rządzisz – kwituje.

– Proszę o wykluczenie przysięgłego numer dwa – ciągnie Odette.

To mój ciemnoskóry ochroniarz, moja doskonała dziesiątka. Odette jest tego świadoma, dlatego chce go wyeliminować. Ale ja nie czekam nawet, aż dokończy zdanie.

– Wysoki sądzie, proszę o chwilę rozmowy. – Podchodzę do ławy. – Panie sędzio – mówię – to jawne pogwałcenie „Batsona".

James Batson był Afroamerykaninem sądzonym za włamanie w Kentucky przez ławę przysięgłych złożoną z samych białych. Kiedy ustalano skład ławy, oskarżenie skorzystało z prawa do wykluczenia bez podania przyczyny i odrzuciło sześciu kandydatów, w tym czterech czarnych. Obrona usiłowała podważyć wiarygodność ławy z uwagi na jej tendencyjność, ale sędzia odmówił i Batsona skazano. W roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym Sąd Najwyższy zasądził na korzyść Batsona, stwierdzając, że prokurator nie ma prawa odrzucać przysięgłych wyłącznie na podstawie rasy.

Od tamtej pory, ilekroć Murzyn wylatuje z ławy przysięgłych, każdy sensowny obrońca powołuje się na Batsona.

– Wysoki sądzie – ciągnę. – Według 6. poprawki, pozwana ma prawo być sądzona przez równych sobie.

– Dziękuję, pani McQuarrie. Doskonale znam treść 6. poprawki.

– Nie mam co do tego wątpliwości. New Haven to bardzo zróżnicowane hrabstwo i ława przysięgłych musi to odzwierciedlać. Wspomniany pan jest jedynym ciemnoskórym spośród czternastu.

– Chyba sobie żartujesz – wtrąca Odette. – Twierdzisz, że ja jestem rasistką?

– Nie, twierdzę tylko, że w twoim przypadku znacznie łatwiej kompletować ławę przysięgłych na swoją korzyść, bo nikt ci nie zarzuci, że faworyzujesz czarnych.

Sędzia zwraca się do Odette.

– Na jakiej podstawie odrzuca pani tego kandydata?

– Uznałam, że jest kłótliwy – oznajmia Odette.

– To dopiero pierwsza tura – ostrzega mnie sędzia Thunder. – Nie ma co się podniecać.

Być może chodzi o to, że jawnie faworyzuje drugą stronę. Może chcę pokazać Ruth, że stoję za nią murem. A może słówko „podniecać" nasuwa mi wspomnienie naszego spięcia z przeszłości. W każdym razie prostuję plecy i korzystam z okazji, aby podciąć Odette, nim na dobre zaczniemy.

– Proszę o przesłuchanie – oznajmiam. – Chcę zobaczyć notatki Odette. Wśród kandydatów mieliśmy też inne kłótliwe osoby i chciałabym wiedzieć, czy określiła je w ten sam sposób.

Odette przewraca oczami i siada na miejscu dla świadka. Muszę przyznać, że widok prokuratora tak przypartego do muru napełnia mnie zawodową dumą. Kiedy podchodzę, rzuca mi wrogie spojrzenie.

– Twierdzisz, że przysięgły numer dwa był kłótliwy. Czy słuchałaś odpowiedzi kandydata numer siedem?

– Naturalnie.

– I co sądzisz na temat jego zachowania? – pytam.

– Nie wzbudziło moich zastrzeżeń.

Zaglądam do wspaniałych notatek Howarda.

– Nawet kiedy zapytałaś go o czarnych w kontekście przestępczości, na co wstał z pretensją, że zarzucasz mu rasizm? Czy to nie świadczy o kłótliwości?

Odette wzrusza ramionami.

– Mówił innym tonem niż kandydat numer dwa.

– Tak się składa, że jest też innego koloru skóry – zaznaczam. – A kandydat numer jedenaście?

Zagląda do swoich notatek.

– Spieszyliśmy się. Nie zanotowałam wszystkiego, co myślałam, ponieważ to nie było istotne.

– Nie było istotne – powtarzam. – Czy może dlatego, że kandydat był biały? – zwracam się do sędziego. – Dziękuję, wysoki sądzie.

Sędzia Thunder zwraca się do prokuratorki.

– Nie zgadzam się na odrzucenie tego kandydata. Proszę darować sobie „Batsona” na tym etapie, pani Lawton. Przysięgły numer dwa zostaje.

Nabuzowana siadam obok Ruth. Howard łypie na mnie jak na jakąś boginię, w końcu nie zawsze ma się okazję utrzeć nosa oskarżeniu. Nagle Ruth podsuwa mi złożoną karteczkę. Rozwijam ją i czytam jedno słowo: „Dziękuję”.

Kiedy kończymy, każę Howardowi iść do domu i się przespać. Ruth i ja wychodzimy razem, na wszelki wypadek najpierw wyglądam na zewnątrz i wypatruję czających się dziennikarzy. Na szczęście ich nie dostrzegam – ale wiem, że to się zmieni z chwilą rozpoczęcia procesu.

Na parkingu jednak obie zwlekamy z odjazdem. Ruth stoi ze spuszczoną głową; widzę, że coś ją gryzie.

– Skoczymy na wino, czy musisz wracać do Edisona?

Potrząsa głową.

– Ostatnio bywa gościem w domu.

– I nie jesteś tym zachwycona.

– Ale nie mam na to wpływu – stwierdza.

Idziemy do pobliskiego baru, gdzie nie raz świętowałam zwycięstwo lub topiłam porażkę w procentach. Jest pełen znajomych prawników, więc przemykam do stolika na uboczu. Obie zamawiamy pinot noir, a gdy przynoszą kieliszki, wznoszę toast.

– Za uniewinnienie.

Widzę, że Ruth nie sięga po swój.

– Ruth – mówię łagodnie. – Wiem, że to twój pierwszy raz w sądzie. Ale wierz mi, dzisiaj poszło naprawdę, naprawdę dobrze.

Obraca kieliszkiem.

– Mama mi opowiadała, że kiedyś wiozła mnie w wózku w naszej dzielnicy w Harlemie i minęły ją dwie Murzynki. Jedna z nich rzuciła do drugiej: „Wozi jak swoje, a przecież to nie jej dziecko. Nie znoszę, kiedy opiekunki tak robią”. W porównaniu z mamą miałam jaśniejszą skórę. Zbyła to śmiechem, bo znała prawdę: byłam jej córką. Ale sęk w tym, że gdy dorastałam, najbardziej uprzykrzały mi życie nie białe

dzieci, tylko czarne. – Ruth podnosi na mnie wzrok. – Przez tę prokuratorkę wróciły wspomnienia. Jakby chciała mnie dopaść.

– Nie bierz tego do siebie. Odette po prostu lubi wygrywać.

Uświadamiam sobie, że jeszcze nigdy nie rozmawiałam w ten sposób z Afroamerykaninem. Zwykle tak bardzo chcę być w porządku, że strach przed popełnieniem nietaktu wręcz mnie paraliżuje. Miałam wielu ciemnoskórych klientów, lecz na ogół staram się uchodzić za osobę, która zna odpowiedzi na wszystkie pytania. Ruth zajrzała pod tę maskę.

Przy niej wiem, że mogę wyskoczyć z głupim pytaniem, a ona mi odpowie bez mrugnięcia okiem. I nie omieszka mi wytknąć, kiedy jej nadepnę na odcisk. Myślę o tym, jak tłumaczyła mi różnicę między falami i przedłużeniami, i jak pytała mnie o poparzenie słoneczne i czas, po jakim zaczyna schodzić skóra. To różnica między tańcem po kruchej płaszczyźnie znajomości a daniem nura w chaotyczną otchłań przyjaźni. Nie zawsze jest miło i nie zawsze jest idealnie, ale wszystko, co wyrasta z szacunku, jest trwałe.

– Zaskoczyłaś mnie dzisiaj – przyznaje.

– Bo jednak jestem dobra w tym, co robię? – pytam ze śmiechem.

– Nie. Bo połowa pytań, które zadałaś, dotyczyła rasy. – Przytrzymuje mój wzrok. – A tyle razy mi powtarzałaś, że to nie przejdzie.

– Bo nie przejdzie – przyznaję bez wahania. – W poniedziałek, po rozpoczęciu rozprawy, wszystko się zmieni.

– Ale udzielisz mi głosu? – upewnia się Ruth. – Muszę się wypowiedzieć.

– Masz moje słowo. – Odstawiam kieliszek. – Może udajemy, że rasizm nie ma z tym nic wspólnego, Ruth, ale wiemy, że tak nie jest.

– To po co udajemy?

– Ponieważ tak postępują prawnicy. Kłamię zawodowo. Wmówiłabym przysięgłym, że Davis Bauer był wilkołakiem, gdyby to miało doprowadzić do twojego uniewinnienia. I hańba im, gdyby uwierzyli.

Ruth patrzy na mnie.

– To odwrócenie uwagi. Klown machający ci przed nosem, żebyś nie widziała, co się dzieje za jego plecami.

Dosadnie podsumowała moją pracę, ale poniekąd ma rację.

– Zatem nie pozostaje nam nic innego, jak pić, aby o tym zapomnieć. – Wznoszę kieliszek.

Ruth w końcu wypija łyk.

– Wina by nie starczyło.

Wodzę palcem po brzegu serwetki.

– Myślisz, że rasizm kiedyś wyginie?

– Nie, bo wówczas biali musieliby zaakceptować równość. Kto by rozwalał system, który ich wyróżnia?

Czuję uderzenie gorąca na szyi. Czyżby mówiła o mnie? Sugeruje, że ja nic z tym nie zrobię, bo sama miałabym zbyt wiele do stracenia?

– Ale może się mylę – dorzuca.

Stukam się z nią kieliszkiem.

– Wypijmy za małe kroki.

Po kolejnym dniu przesłuchań mamy naszych dwunastu plus dwóch rezerwowych. Spędzam weekend zadekowana w domowym gabinecie, gdzie przygotowuję mowę wstępną na poniedziałek, tylko w niedzielne popołudnie robię sobie wolne na spotkanie z neonatologiem. Micah poznał Ivana Kelly-Garcię na pierwszym roku w czasie sesji zimowej: Ivan wpadł na egzamin z chemii organicznej pół godziny przed końcem w przebraniu wielkiego hot doga, porwał test z biurka egzaminatora i zdał go celująco. Dzień wcześniej był bal przebierańców, więc Ivan popił w akademiku i urwał mu się film; ocknął się rano ze świadomością, że jego medyczna kariera zawisła na włosku. Micah nie tylko zyskał kolegę do nauki, ale poszli razem na Harvard, a Ivan został jednym z najlepszych neonatologów na obszarze trzech sąsiadujących stanów.

Ucieszył się z odświeżenia kontaktu po tylu latach, a nawet udaje zachwyconego wizytą stukniętej żony prawniczki i bardzo marudnej czterolatki, którą wyrwano ze snu. Mieszka w Westport w stanie Connecticut, w spokojnej dzielnicy w stylu kolonialnym, z żoną, która przyrządziła dla nas salsę i guacamole po dwudziestokilometrowym treningu w ramach przygotowań do maratonu. Nie mają jeszcze

dzieci, ale mają za to ogromnego berneńskiego psa pasterskiego, który pilnuje Violet bądź zaliże ją na śmierć.

– Spójrz na nas, stary – mówi Ivan. – Żonaci. Na stałych posadach. Trzeźwi. Pamiętasz, jak kiedyś wzięliśmy kwas i postanowiłem wleźć na drzewo, ale zapomniałem, że mam lęk wysokości?

Patrzę na Micaha.

– Ty brałeś kwas?

– Pewnie o Szwecji też nie opowiadałeś – dorzuca Ivan.

– Szwecji? – Patrzę to na jednego, to na drugiego.

– Ani mru-mru – szepcze Ivan. – Ziomki trzymają sztamę.

Myśl o moim mężu – który lubi mieć wyprasowane bokserki – w kontekście ziomka jest nieodparcie zabawna.

– Moja żona prowadzi pierwszą sprawę morderstwa – wymiguje się gładko Micah. – Dlatego z góry przepraszam, jeśli zasypie cię pytaniami.

– Później to z ciebie wyduszę – mamroczę pod nosem i uśmiecham się do Ivana. – Prosiłabym, żebyś mi wyjaśnił, na czym polegają badania noworodka.

– Przede wszystkim drastycznie zmniejszają śmiertelność wśród dzieci. Dzięki tak zwanej tandemowej spektrometrii mas, wykonywanej w laboratorium stanowym, jesteśmy w stanie rozpoznać szereg wad wrodzonych, które można wyleczyć lub kontrolować. Twoja córka też na pewno to miała, z czego nie zdawałaś sobie sprawy.

– Jakich wad? – pytam.

– Och, przeróżnych: deficytu biotynidazy, czyli wady metabolizmu biotyny. Wrodzonego przerostu nadnerczy i hipotyreozy, czyli wad hormonalnych. Galaktozemii, czyli braku zdolności do przetworzenia cukru, który występuje w mleku, pokarmie kobiety i mleku modyfikowanym. Hemoglobinopatii, nieprawidłowości w krwinkach czerwonych. Nieprawidłowości przemiany aminokwasów oraz deficytów dehydrogenazy kwasów tłuszczowych, które uniemożliwiają przemianę tłuszczu w energię, a także acydurii, będącej hybrydą jednych i drugich. O niektórych na pewno słyszałaś, na przykład o niedokrwistości sierpowatokrwinkowej, która dotyka wielu Afroamerykanów. Albo PKU – mówi Ivan. – Polega na

zaburzonej przemianie aminokwasów, które odkładają się we krwi lub w moczu. Niewykrycie choroby może doprowadzić do zaburzeń neurologicznych i uszkodzenia mózgu. Ale dzięki diagnozie zaraz po urodzeniu utrzymuje ją w ryzach specjalna dieta i rokowania są bardzo dobre.

Podaję mu wyniki badań.

– Tutaj napisano coś o stwierdzeniu nieprawidłowości.

Przerzuca pierwsze kartki.

– Bingo: ten mały ma MCAD. Widać to po analizie widma ze skoków na C-sześć i C-osiem, z oznaczenia acylokarnityny. – Ivan podnosi na nas wzrok. – Aha, no dobra. Po angielsku. No więc ten skrót oznacza niedobór dehydrogenazy acylokoenzymu A średniołańcuchowych kwasów tłuszczowych. Mówiąc prościej, uniemożliwia wykorzystanie tłuszczów jako źródeł energii potrzebnej do różnych funkcji życiowych: poruszania się, trawienia, nawet oddychania. Czerpiemy paliwo z pokarmu i składujemy go w tkankach jako kwasy tłuszczowe do czasu wykorzystania. Wówczas je metabolizujemy, a tym samym zamieniamy w energię. Ale dziecko z takimi zaburzeniami nie jest do tego zdolne, gdyż brakuje mu kluczowego enzymu, w tym wypadku MCAD. Oznacza to, że gdy dojdzie do utraty energii, będzie miało kłopoty.

– Jakie?

Oddaje mi wyniki.

– Spadnie mu poziom cukru, będzie zmęczone i ospałe.

W głowie zapala mi się czerwone światełko. Hipoglikemię Davisa Bauera przypisano cukrzycy ciążowej matki. Ale jeśli zaszła pomyłka?

– Czy to mogłoby doprowadzić do zgonu?

– W przypadku zbyt późnego wykrycia owszem. Wiele dzieci nie wykazuje żadnych objawów, dopóki coś nie zadziała jak katalizator: infekcja, szczepienie, okres głodzenia. Potem następuje nagłe pogorszenie stanu, które przypomina zespół nagłej śmierci: dochodzi do zatrzymania akcji serca.

– Czy w takiej sytuacji dziecko może zostać odratowane?

– To zależy. Może tak. Może nie.

„Może”, myślę, „to doskonałe słowo dla ławy przysięgłych”.

Ivan patrzy na mnie.

– Domyślam się, że skoro doszło do rozprawy, pacjent nie przeżył?

Potwierdzam.

– Umarł, kiedy miał trzy dni.

– W jakim dniu się urodził?

– W czwartek. Próbkę do badań przesiewowych pobrano w piątek.

– O której wysłano ją do laboratorium? – pyta Ivan.

– Nie wiem – przyznaję. – A co to za różnica?

– Spora. – Odchyla się na fotelu, zezując na Violet, która właśnie ujeżdża psa. – Laboratorium w Connecticut jest zamknięte w sobotę i niedzielę. Jeśli próbkę wysłano, dajmy na to, po południu, dotarła dopiero w poniedziałek. – Przenosi na mnie wzrok. – To oznacza, że gdyby dziecko przyszło na świat w poniedziałek, miałoby szansę.

25 *Voir dire* – wybór ławy przysięgłych w celu eliminacji kandydatów, których przekonania uniemożliwiają im wydanie obiektywnego wyroku.

26 American Civil Liberties Union – amerykańska organizacja non profit, której celem jest ochrona praw obywatelskich gwarantowanych przez konstytucję.

27 Afroamerykanin zatrzymany w lipcu 2014 roku za nielegalny handel papierosami na ulicy. Obezwładniony przez policjanta, zmarł w wyniku uduszenia.

28 Amerykański senator z ramienia Partii Republikańskiej, zwolennik Tea Party.

29 Prezenter telewizyjny i radiowy o skrajnie konserwatywnych poglądach.

Etap drugi

PARCIE

Pragnęła rzucić się na trawiącą ich nienawiść, zaatakować ją i nie ustawać, póki nie znajdzie szczeliny pozwalającej wyjąć kamyczek, kamień, cegłę, a potem część muru, by wraz z nim runęła cała budowla.

Człowiek ilustrowany, Ray Bradbury[30]

30 *Człowiek ilustrowany*, tłum. Paulina Braiter, Prószyński i S-ka, Warszawa 1999.

Ruth

Wszyscy to robimy. Udajemy, że nas upływ czasu nie dotyczy. Rzucamy się w wir pracy. Pielimy grządki. Tankujemy benzynę, kasujemy bilety i robimy zakupy, więc nasze tygodnie na pozór niczym się od siebie nie różnią. A potem któregoś dnia ni stąd, ni zowąd dostrzegamy, że nasz synek wyrósł na mężczyznę. Któregoś dnia patrzymy w lustro i widzimy siwe włosy. Któregoś dnia dociera do nas, że pozostało nam mniej życia, aniżeli przeżyliśmy. I myślimy: „Jakim cudem to tak szybko zleciało?". Przecież dopiero wczoraj pierwszy raz piłam legalnie alkohol, zmieniałam synkowi pieluszkę, byłam młoda.

Kiedy nachodzi nas ta refleksja, zaczynamy liczyć. Ile czasu mi jeszcze zostało? Ile zdołam weń upchnąć?

Część z nas podąża za tą refleksją. Ruszamy w podróż do Tybetu, uczymy się rzeźbić, skaczemy ze spadochronem. Próbujemy udawać, że koniec nas nie dotyczy.

Lecz pozostali dalej tankują, kasują i kupują, bo tylko dzięki temu mogą zapomnieć o tym, co nieuchronne.

Część z nas nigdy nie idzie po rozum do głowy.

Inni dostają nauczkę szybciej niż pozostali.

W dniu rozprawy pukam cicho do Edisona.

– Gotowy? – pytam, a kiedy nie odpowiada, naciskam klamkę i wchodzę. Edison leży zagrzebany pod kołdrą, zasłania twarz ramieniem. – Edison? – mówię głośniej. – Co ty wyprawiasz? Nie możemy się spóźnić!

Nie śpi, słyszę po oddechu.

– Nigdzie nie idę – mamrocze.

Na prośbę Kennedy zwolniłam go ze szkoły, żeby mógł przyjść do sądu. Nie wspomniałam jej, że szkoła zeszła ostatnio na drugi plan, sądząc po telefonach w sprawie jego wagarowania. Prosiłam, groziłam, ale jakbym rzucała grochem o ścianę. Mój prymus, pilny, grzeczny chłopiec się buntuje: siedzi w pokoju i słucha muzyki na cały regulator lub pisze wiadomości do znajomych, o których istnieniu nie miałam pojęcia, i gdy wraca do domu spóźniony, zalatuje od niego trawką i alkoholem. Awanturą i płaczem nic nie wskórałam, a teraz sama już nie wiem, co robić. Pociąg naszego życia się wykoleja, to po prostu kolejny z wagonów.

– Rozmawialiśmy o tym – przypominam.

– Nie, nie rozmawialiśmy. – Patrzy na mnie zmrużonymi oczami. – Zostałem poinformowany.

– Kennedy mówi, że matce trudniej przypiąć łatkę morderczyni. Mówi, że obraz przedstawiony przysięgłym zapada w pamięć bardziej niż dowody.

– Kennedy mówi. Kennedy mówi. Znalazła się wyrocznia…

– A żebyś wiedział – wchodzę mu w słowo. – W tej chwili tak ją postrzegam. I modlę się za nią, bo tylko ona dzieli mnie od wyroku, Edisonie, dlatego bardzo cię proszę… błagam, żebyś to dla mnie zrobił.

– Mam coś do załatwienia.

Unoszę brwi.

– Co? Wagary?

Edison się odsuwa.

– Idź już sobie.

– Może za tydzień twoje życzenie się spełni – nie wytrzymuję.

Prawda boli. Przyciskam rękę do ust, jakbym chciała wtłoczyć słowa z powrotem. Edison mruga, powstrzymując łzy.

– Nie o to mi chodziło – mamrocze.

– Wiem.

– Nie chcę tam iść, bo nie zniosę tego, co o tobie powiedzą – wyznaje.

Ujmuję jego twarz w dłonie.

– Przecież mnie znasz, Edisonie. Natomiast oni wcale. Bez względu na to, co usłyszysz na sali rozpraw, bez względu na ich kłamstwa,

pamiętaj, że wszystko zawsze robię z myślą o tobie. – Dotykam jego policzka, wycieram łzę kciukiem. – Zobaczysz, że wiele osiągniesz. Ludzie poznają twoje nazwisko.

W uszach dźwięczą mi słowa mamy, która mówiła to samo. „Uważaj, czego sobie życzysz", myślę. Po dzisiejszym dniu ja też zdobędę rozgłos. Ale nie taki, jakiego się spodziewała.

– Liczy się to, co ciebie spotyka – mówię Edisonowi. – Nieważne, co będzie ze mną.

Podnosi rękę, ściska mój nadgarstek.

– Dla mnie ważne.

„Nareszcie", myślę, patrząc mu w oczy. „Ocknął się mój chłopiec, w którym pokładam tyle nadziei".

– Zdaje się – mówię lekkim tonem – że potrzebuję partnera na własny proces.

Edison puszcza mój nadgarstek. Szarmancko podaje mi ramię, mimo że wciąż ma na sobie piżamę, a ja nadal chodzę z chustą na głowie, mimo że nie idziemy na żaden bal, tylko pod pręgierz.

– Do usług szanownej pani – oznajmia.

Poprzedniego wieczora Kennedy zjawiła się u mnie bez zapowiedzi. Przyjechała z mężem i córką, prosto z jakiegoś miasta oddalonego o dwie godziny, bo aż ją rozsadzało, żeby się podzielić ze mną informacją o wykryciu MCAD u Davisa Bauera.

Wpatrywałam się w wyniki, które objaśnił jej kolega męża.

– Ale to… to…

– Fart – uzupełniła. – Przynajmniej dla ciebie. Nie mam pojęcia, czy te wyniki wsiąkły przypadkowo, czy ktoś zataił je specjalnie, żeby cię pogrążyć. Ale grunt, że je dostaliśmy i dzięki nim wiele wskóramy.

MCAD to znacznie poważniejsza choroba niż przetrwały przewód tętniczy, wada wrodzona, którą Kennedy chciała przytoczyć jako argument. Już nie będzie kłamstwem stwierdzenie, że mały Bauer cierpiał na zagrażającą życiu chorobę.

Kennedy już nie skłamie w sądzie. Tylko ja to zrobię.

Kilkakrotnie usiłowałam wyznać jej prawdę, zwłaszcza odkąd nasza znajomość zatraciła czysto służbowy charakter, co bynajmniej nie

ułatwiło mi sprawy, jak się okazało. Na początku nie mogłam jej powiedzieć, że podjęłam interwencję w przypadku Davisa Bauera, kiedy dostał ataku, bo nie wiedziałam, czy mogę jej ufać i jak wpłynie to na moją sprawę. A teraz wstydzę się, że w ogóle skłamałam.

Wybuchłam płaczem.

– Oby to były łzy szczęścia – zaznaczyła. – Albo wdzięczności za mój wybitny talent prawniczy.

– Biedaczek – wykrztusiłam. – To takie… bezduszne.

Ale nie płakałam nad Davisem Bauerem ani nad własną nieuczciwością. Płakałam, ponieważ Kennedy od początku miała rację – naprawdę nie miało znaczenia, czy pielęgniarka ratująca życie chłopcu była czarna, biała czy fioletowa. Nie miało znaczenia, czy usiłowałam go reanimować.

Położyła mi rękę na ramieniu.

– Ruth – przypomniała. – Dobrym ludziom codziennie przytrafiają się złe rzeczy.

Moja komórka dzwoni w chwili, gdy dojeżdżamy do naszego przystanku. Edison i ja wysiadamy, a w uchu brzęczy mi głos Adisy.

– Nie uwierzysz, kochana! Gdzie jesteś?

Patrzę na znak.

– College Street.

– Kieruj się w stronę zieleni.

Zbieram się w sobie i zawracamy. Budynek sądu od parku dzieli przecznica, a Kennedy wyraźnie zabroniła mi zbliżać się od tamtej strony, gdyż dopadną mnie dziennikarze.

Ale popatrzę, co się dzieje, chociaż z daleka.

Najpierw ich słyszę, harmonijnie złączone silne głosy, płynące ku niebu jak jasiowa łodyga fasoli. Następnie widzę ocean twarzy w różnych odcieniach brązu, wszystkie śpiewają o wolności. Na przedzie, na prowizorycznym podeście z logo stacji za plecami, stoi Wallace Mercy. Policja tworzy żywy mur, rozpościera ręce, jakby rzucała urok, by zapobiec eskalacji przemocy. Na samej Elm Street roi się od wozów transmisyjnych z talerzami odwróconymi do słońca,

dziennikarze ściskają w rękach mikrofony, odwróceni plecami do drzew, kamerzyści nagrywają w najlepsze.

– O Boże – wzdycham.

– Nie miałam z tym nic wspólnego, ale to dla ciebie – oznajmia z dumą Adisa. – Powinnaś wmaszerować tam głównym wejściem z podniesioną głową.

– Nie mogę. – Kennedy czeka na mnie gdzie indziej.

– W porządku – odpowiada Adisa, ale słyszę w jej głosie rozczarowanie.

– Do zobaczenia na miejscu – mówię. – Adiso? Dzięki, że przyszłaś.

Cmoka.

– A miałam wyjście? – I się rozłącza.

Mijamy z Edisonem niczego nieświadomych studentów Yale z plecakami jak skorupy żółwia na plecach, gotyckie budynki kampusu bezpiecznie odgrodzone czarnym płotem, bezdomną poetkę, która recytuje wiersz za drobny datek. Gdy docieramy do plebanii na Wall Street, niezauważeni wchodzimy na pusty plac za nią.

– I co teraz? – pyta Edison. Ma na sobie ten sam garnitur co na pogrzebie mamy. Mógłby uchodzić za ucznia idącego na rozmowę kwalifikacyjną.

– Czekamy – odpowiadam. Kennedy chce przemycić mnie tylnym wejściem, z dala od dziennikarzy. Prosiła, żebym jej zaufała.

I ufam, jak ostatnia idiotka.

Turk

Ubiegłej nocy, kiedy nie mogłem spać, o trzeciej nad ranem obejrzałem program o życiu Indian. Pokazali inscenizację, w której facet w przepasce na biodrach palił liście w pniu przeciętego wzdłuż drzewa, następnie wyskrobywał środek czymś, co wyglądało jak muszla, i powtarzał cały proces, dopóki kanoe nie było wydrążone. Właśnie tak się dzisiaj czuję. Jakby ktoś wydrążył mnie od środka, na wylot.

Trochę to dziwne, bo długo czekałem na ten dzień. Myślałem, że będę kipiał energią jak Superman. Szedłem walczyć za syna i żadna siła nie mogła mnie powstrzymać.

O dziwo jednak, mój plac boju okazał się opustoszały.

Jestem zmęczony. Mam dwadzieścia pięć lat, a przeżyłem tyle, co dziesięciu moich rówieśników.

Brit wychodzi z łazienki.

– Wolna – mówi. Ma na sobie stanik i rajstopy, które prokuratorka kazała jej włożyć, żeby wyglądała konserwatywnie.

– A pan – zwróciła się do mnie – lepiej niech włoży czapkę.

Mam to w dupie.

Jeśli o mnie chodzi, mój syn zasłużył na taki memoriał: jeśli nie mogę go odzyskać, dopilnuję, aby ludzie za to odpowiedzialni ponieśli karę, a im podobni drżeli ze strachu.

Puszczam gorącą wodę i wsuwam dłonie pod kran. Potem wyciskam krem do golenia, rozsmarowuję go na głowie i golę się na gładko.

Może to dlatego, że nie mogłem spać, a może jestem roztrzęsiony, w każdym razie zacinam się tuż nad lewym uchem. Piana spływa do rany i piecze jak diabli.

Przyciskam ręcznik do głowy, ale przez chwilę nie mogę zatamować krwawienia. Po minucie daję za wygraną, opuszczam rękę i patrzę na strużkę spływającą za kołnierz.

Wygląda jak czerwona flaga, wypływa prosto z tatuażu. Patrzę jak urzeczony: biel mydła, bladość skóry i jaskrawa plama.

Najpierw jedziemy w przeciwnym kierunku niż sąd. Przednia szyba jest oszroniona i świeci słońce, piękny dzień, dopóki nie stwierdzisz, jaki panuje ziąb po wyjściu z domu. Wyglądamy elegancko – ja we wspólnym garniturze, Brit w czarnej sukience, która dawniej opinała jej ciało, a dziś na niej wisi.

Na parkingu nie ma innych samochodów. Wysiadam i podchodzę do auta od strony Brit, nie dlatego, że taki ze mnie dżentelmen, po prostu nie chce wysiąść. Klękam obok i kładę jej rękę na kolanie.

– Już dobrze – mówię. – Oprzesz się na mnie.

Wysuwa podbródek, jak zawsze, kiedy ktoś – w jej mniemaniu – zarzuca jej słabość lub nieudolność. Następnie wysiada z furgonetki. Za radą Odette Lawton włożyła buty na płaskim obcasie, i widzę, że marznie, bo płaszcz sięga jej tylko do bioder. Próbuję osłonić ją przed wiatrem, jakbym mógł zmienić dla niej pogodę.

Kiedy docieramy na miejsce, obelisk iskrzy w promieniach słonecznych. Jest biały. Oślepiająco biały. Brit schyla się i obrysowuje palcem litery imienia Davisa. Datę urodzenia, datę śmierci. A pod spodem tylko jedno słowo: LOVE.

Brit wolała LOVED, miałem to przekazać kamieniarzowi. Ale zmieniłem w ostatniej chwili. Ta miłość nigdy nie ustanie, więc po co czas przeszły[31]?

Podoba mi się, że napis na grobie syna pasuje do tatuażu na kostkach mojej lewej dłoni. Jakbym nosił Davisa przy sobie.

Stoimy przy grobie, póki Brit nie zaczyna się trząść. Meszek trawy zasianej po pogrzebie już zbrązowiał. Śmierć przyszła po raz drugi.

Pierwsze, co widzę przy sądzie, to czarnuchy.

Cały park pośrodku New Haven jest nimi usiany. Wymachują flagami i śpiewają pieśni.

Przyszedł ten pajac z telewizji, Wallace coś tam. Ten, co uważa się za księdza i pewnie wyświęcił się za pięć dolców przez internet. Właśnie udziela słuchaczom lekcji czarnuszej historii, opowiada o buncie Bacona.

– W odpowiedzi, moi bracia i siostry, czarni i biali zostali podzieleni – mówi. – Uważano, że razem mogą wyrządzić zbyt wiele szkód. A do roku tysiąc siedemset piątego robotnicy przymusowi – chrześcijanie i biali – otrzymali ziemię, broń, żywność oraz pieniądze. Pozostałych wzięto w niewolę. Odebrano nam ziemię, zwierzęta hodowlane i uzbrojenie. Gdybyśmy podnieśli rękę na białego człowieka, nasze życie byłoby zagrożone. Biali piszą historię.

No ba. Szacuję liczebność tłumu, który go słucha. Myślę o Alamo, gdzie garstka Teksańczyków przez dwanaście dni odpierała oblężenie Meksykańców.

Wiem, że przegrali, ale jednak.

Nagle z oceanu czerni wyłania się biała pięść. Symbol.

Tłum się przesuwa, gdy mężczyzna idzie w naszą stronę. Kawał chłopa, z łysą głową i długą, rudą brodą. Staje przed nami i wyciąga rękę.

– Carl Thorheldson – mówi. – Znany wam jako Odin45.

Aktywny komentator na Samotnywilk.org.

Jego towarzysz też podaje mi rękę.

– Erich Duval. BiałyDiabeł.

Dołącza do nas kobieta z bliźniętami na biodrach, maluchami o srebrzystych włosach. Potem gość w bluzie wojskowej. Trzy dziewczyny z oczami mocno podkreślonymi na czarno. Wysoki facet w glanach, z wykałaczką między zębami. Młody mężczyzna w modnych okularach w grubej oprawie, z laptopem pod pachą.

Otaczają nas wianuszkiem – ludzie, których znam z portalu. Krawcy, nauczyciele i księgowi, ochotnicy patrolujący granice Arizony oraz oddziały rezerwowe ze wzgórz New Hampshire. Neonaziści, którzy nigdy nie wyrzekli się swoich przekonań. Anonimowi, ukryci pod nickami, aż do teraz.

Są gotowi się ujawnić, dla mojego syna.

31 *Love* (ang.) – miłość, kochać. „Loved” znaczy „ukochany”, jest również formą czasu przeszłego czasownika „kochać”.

Kennedy

Rankiem w dniu rozprawy nie słyszę dźwięku budzika. Kiedy budzę się i patrzę na wskazówki zegara, wyskakuję z łóżka jak z procy, ochlapuję wodą twarz i upinam włosy nad karkiem, następnie wbijam się w rajstopy i najlepszy granatowy kostium służbowy. Dosłownie trzy minuty i jestem w kuchni, gdzie Micah stoi przy kuchence.

– Dlaczego mnie nie obudziłeś? – pytam z pretensją.

Uśmiecha się i daje mi buziaka.

– Ja ciebie też kocham, księżycu mojego życia – mówi. – Usiądź obok Violet.

Nasza córka siedzi przy stole i na mnie patrzy.

– Mamusiu, czemu włożyłaś dwa różne buciki?

– O matko – jęczę i rzucam się z powrotem w stronę sypialni, ale Micah łapie mnie za barki i sadza.

– Zjesz, póki ciepłe. Potyczki ze skinheadami wymagają energii. W przeciwnym razie zabraknie ci pary, a sam wiem, że w sądzie masz do dyspozycji jedynie brązowy płyn umownie zwany kawą oraz batoniki zbożowe z czasów prehistorycznych z automatu. – Stawia przede mną talerz z dwoma sadzonymi jajkami, grzanką posmarowaną dżemem i zapiekanymi ziemniakami na dodatek. Jestem taka głodna, że pałaszuję jajka, zanim jeszcze dostaję ostatni element śniadania, czyli parującą latte w jego starym kubku z Harvardu. – Zobacz – mówi żartem – podałem ci nawet kawę w kubku dla uprzywilejowanej rasy.

Wybucham śmiechem.

– Zabiorę go ze sobą, na szczęście. Albo jako wyrzut sumienia. Czy coś w tym rodzaju.

Cmokam Violet w czubek głowy, pędzę po właściwy but, zgarniam po drodze teczkę, komputer, telefon i ładowarkę. Micah czeka na mnie przy drzwiach z kubkiem.

– A tak na serio, to jestem z ciebie dumny.

Pozwalam sobie na chwilę słabości.

– Dzięki.

– Idź i bądź Marcią Clark.

Wzdrygam się mimowolnie.

– Jest prokuratorem. Czy mogę być Glorią Allred?

Micah wzrusza ramionami.

– A bądź, kim chcesz, tylko masz ich wykończyć.

Ruszam w stronę podjazdu.

– Tego raczej się nie mówi osobie, która bierze pierwszą sprawę o morderstwo – kwituję i siadam za kierownicą, nie uroniwszy ani jednej kropli kawy.

To musi być znak, no nie?

Mijam sąd od frontu, żeby ocenić sytuację, chociaż umówiłyśmy się z Ruth w miejscu wolnym od dziennikarzy. Cyrk, bo nie znajduję innego określenia. Po jednej stronie zieleni Wallace Cholerny Mercy nadaje na żywo i naucza wiernych przez megafon.

– W tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym pierwszym roku po raz pierwszy użyto w sądzie słowa „biały". Obowiązywała wówczas zasada jednej kropli – słyszę jego głos. – Wystarczyła jedna kropla krwi, żeby uchodzić w tym kraju za Murzyna…

Po drugiej stronie zieleni stoi grupka białych. W pierwszej chwili biorę ich za zwykłych gapiów, ale dostrzegam transparent ze zdjęciem zmarłego dziecka.

Ruszają w stronę grupy słuchaczy Wallace'a. Padają przekleństwa, dochodzi do szturchańców i przepychanek. Policja natychmiast interweniuje, rozdziela białych i czarnych.

Widok nasuwa mi skojarzenie ze sztuczką magiczną, którą w zeszłym roku pokazałam Violet. Nalałam wody do blaszki od ciasta i posypałam ją pieprzem. Następnie powiedziałam jej, że pieprz boi

się mydła ivory, i rzeczywiście, gdy zanurzyłam mydło, pieprz rozpierzchł się na boki.

Dla Violet to były czary. Oczywiście ja wiedziałam, że przyczyną jest napięcie powierzchniowe.

W pewnym sensie jak tutaj.

Jadę w stronę plebanii na Wall Street, gdzie Ruth stoi na chodniku i patrzy na przechodzących. Na razie nikt nie zwraca na nią uwagi, ale to duże ryzyko. Chcę ją odciągnąć, dotykam jej ramienia, ale się uchyla.

– Za chwilę – rzuca lakonicznie.

Daję za wygraną.

Mijają nas studenci i profesorowie z postawionymi kołnierzami. Z szumem przejeżdża rower, na przystanku autobus wypluwa kilku pasażerów.

– Nie mogę uwolnić się od tych… myśli – mówi Ruth. – Od kilku dni. Ile razy pojadę jeszcze tym autobusem? Albo przygotuję śniadanie? Czy to ostatni raz, kiedy płacę za elektryczność? Czy w kwietniu zwróciłabym większą uwagę na żonkile, gdybym wiedziała, że mogę więcej ich nie zobaczyć?

Robi krok w stronę młodych drzewek w równym rzędzie. Obejmuje dłonią wąski pień, jakby chciała go udusić, i przenosi wzrok na ogołocone gałązki.

– Spójrz na niebo – mówi. – Odcień niebieskiego jak wyciśnięty z tubki farby olejnej. Kwintesencja koloru. – Odwraca się do mnie. – Ile czasu potrzeba, aby o tym zapomnieć?

Obejmuję ją ramieniem. Jest rozdygotana, ale na pewno nie z zimna.

– Już moja w tym głowa, żebyś nigdy się nie dowiedziała – odpowiadam.

Ruth

Kiedy Edison był mały, zawsze wiedziałam, kiedy coś nabroił. Czułam to przez skórę, nawet jeśli tego nie widziałam. „Mam oczy z tyłu głowy”, mówiłam, kiedy się dziwił, że przyłapuję go na podjadaniu przed obiadem, mimo że stoję odwrócona plecami.

Może właśnie dlatego, chociaż patrzę przed siebie zgodnie z zaleceniem Kennedy, czuję na sobie spojrzenia wszystkich, którzy za mną siedzą.

Są jak szpilki, strzały, ugryzienia komarów. Cała siłą woli powstrzymuję się, żeby ich nie odpędzić, nie klepnąć się w kark.

Kogo chcę oszukać? Całą siłą woli powstrzymuję się, żeby nie wstać i stąd nie uciec.

Kennedy i Howard siedzą nachyleni ku sobie, omawiają strategię; nie mają czasu ze mną pertraktować. Sędzia wyraźnie zaznaczył, że nie życzy sobie hałasów, a pierwsze ostrzeżenie będzie ostatnim – jedno przewinienie i wylatujesz. To pewnie trzyma supremacjonistów w szachu. Lecz nie tylko oni się na mnie gapią.

Jest cała masa czarnych; wiele twarzy rozpoznaję z pogrzebu mamy, przyszli mnie wesprzeć modlitwą. Tuż za mną siedzi Edison z Adisą. Trzymają się za ręce na poręczy. Czuję moc tej więzi, niczym pole siłowe. Nasłuchuję ich oddechów.

Nagle jestem ponownie w szpitalu i robię to, co umiem najlepiej, z ręką na ramieniu rodzącej kobiety i wzrokiem utkwionym w monitor. „Wdech”, powiedziałabym. „Wydech. Głęboki wdech… głęboki wydech”. I na pewno uszłoby z niej napięcie. Bez niego można robić postępy.

Pora zastosować się do własnych zaleceń.

Wciągam w płuca powietrze, wydymam nozdrza, wdycham tak głęboko, że tworzę próżnię, ściany wyginają się do środka. Płuca

nabrzmiewają mi w piersi, zaraz pękną. Na sekundę zatrzymuję wskazówki.

A potem wypuszczam.

Odette Lawton unika kontaktu wzrokowego ze mną. Jest całkowicie skupiona na przysięgłych. Jest jedną z nich. Nawet to, jak stroni od naszego stołu, ma przypomnieć ludziom, którzy zadecydują o moim losie, że ona i ja nie mamy ze sobą nic wspólnego. Nieważne, co widzą, kiedy patrzą na naszą skórę.

– Panie i panowie przysięgli – zaczyna – sprawa, o której usłyszycie, jest straszna i tragiczna. Turk i Brittany Bauer cieszyli się, jak wielu spośród tutaj zgromadzonych, z narodzin dziecka. Drugi października dwa tysiące piętnastego roku był najszczęśliwszym dniem ich życia. Wtedy przyszedł na świat ich syn Davis. – Opiera dłoń na barierce przed ławą przysięgłych. – W przeciwieństwie do wielu rodziców państwo Bauer mieli jednak osobiste preferencje, w wyniku których ciemnoskóra pielęgniarka opiekująca się Davisem nie wzbudziła ich aprobaty. Mogą nie spodobać się wam ich przekonania, możecie się z nimi nie zgadzać, ale musicie przyznać, że jako pacjenci szpitala mieli prawo decydować o opiece medycznej dla ich dziecka. Na mocy tego przywileju Turk Bauer poprosił, by jego synem opiekowały się tylko określone pielęgniarki. Pozwana do nich nie należała i tego, panie i panowie, nie umiała znieść.

Gdybym nie była taka przerażona, wybuchnęłabym śmiechem. I tyle? W ten sposób przeszła do porządku dziennego nad rasizmem, który doprowadził do przeklętego dopisku w karcie pacjenta? To niemalże godne podziwu, jak gładko się wywinęła, i zamiast przyjrzeć się ohydzie tego zjawiska, przysięgli skupili się na czymś zupełnie innym: prawach pacjenta. Zerkam na Kennedy, leciutko wzrusza ramionami. „A nie mówiłam?”.

– W sobotni ranek małego Davisa Bauera zawieziono do gabinetu zabiegowego na obrzezanie. Pozwana była z nim sama, gdy stan dziecka zaczął się pogarszać. Co wtedy zrobiła? – Odette zawiesza głos. – Nic. Pielęgniarka z ponaddwudziestoletnim doświadczeniem, kobieta, która ślubowała sprawować jak najlepszą opiekę, stała

z założonymi rękami. – Odwraca się i wskazuje na mnie. – Stała z założonymi rękami i bezczynnie patrzyła, jak dziecko przestaje oddychać i umiera.

Teraz czuję, że przysięgli rzucają się na mnie jak szakale na padlinę. Na niektórych twarzach maluje się zaciekawienie, na innych odraza. Mam ochotę wpełznąć pod stół. Zmyć to z siebie. Ale wtedy czuję, że Kennedy ściska moją rękę, która spoczywa na kolanach, i unoszę głowę. „Nie mogą zobaczyć, że się pocisz", przykazała.

– Postępowanie Ruth Jefferson było lekkomyślne, niczym nieusprawiedliwione i celowe. Ruth Jefferson jest morderczynią.

Zatyka mnie, chociaż spodziewałam się tego oskarżenia. Próbuję zrównoważyć wstrząs wspomnieniem dzieci, które trzymałam w ramionach, dając im pierwszą pociechę na tym świecie.

– Dowody pokażą, że pozwana stała bezczynnie, kiedy noworodek walczył o życie. A gdy zjawili się inni ratownicy i skłonili ją do działania, użyła nadmiernej siły i pogwałciła wszelkie obowiązujące standardy opieki. Była tak agresywna wobec tego chłopczyka, że zobaczycie siniaki na zdjęciach z jego sekcji.

Ponownie zwraca się twarzą do przysięgłych.

– Wszyscy doświadczyliśmy zranionych uczuć, panie i panowie – ciągnie. – Lecz nawet kiedy – naszym zdaniem – zostaliśmy źle potraktowani, nawet jeśli odbieramy to jako zniewagę, nie bierzemy odwetu. Nie krzywdzimy niewinnej osoby, aby odegrać się na człowieku, który nas obraził. A jednak właśnie to uczyniła pozwana. Gdyby dochowała przysięgi pielęgniarskiej, zamiast dać się ponieść złości i chęci zemsty, Davis Bauer byłby dzisiaj z nami. Ale był zdany na Ruth Jefferson. – Patrzy mi prosto w oczy. – Nie miał szans.

Kennedy zwinnie podnosi się z krzesła. Podchodzi do przysięgłych, stukając obcasami.

– Prokurator – zaczyna – będzie próbowała wam wmówić, że wszystko w tej sprawie jest czarne lub białe. Ale w innym sensie, niż myślicie. Reprezentuję Ruth Jefferson, absolwentkę SUNY Plattsburgh, która uzyskała w Yale licencjat pielęgniarski. Ponad dwadzieścia lat pracowała jako położna w stanie Connecticut. Była żoną Wesleya Jeffersona, który poległ na obczyźnie, służąc w naszej armii. Sama wychowała syna Edisona, wzorowego ucznia, który

wkrótce wybiera się na studia. Ruth Jefferson nie jest potworem, panie i panowie. Jest dobrą matką, była dobrą żoną i jest nienaganną położną.

Wraca do naszego stołu i kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Dowody wykażą, że podczas jej dyżuru umarło dziecko. Ale nie było to zwyczajne dziecko, lecz syn Turka Bauera, człowieka, który nienawidził Ruth z powodu koloru skóry. I co się stało? Po śmierci syna poszedł na policję i obwinił Ruth, pomimo tego, że pediatra – którą poznacie – pochwaliła Ruth za jej wysiłki podczas reanimacji. Pomimo tego, że przełożona Ruth – która także się zjawi przed wami – zabroniła jej dotykać dziecka, choć szpital nie miał prawa zakazać jej wykonywania obowiązków.

Kennedy ponownie kieruje się w stronę przysięgłych.

– Dowody wykażą rzecz następującą: Ruth znalazła się w sytuacji bez wyjścia. Czy miała postąpić w myśl nakazu przełożonej, zgodnie z nieprzemyślanym życzeniem rodziców? Czy może miała uczynić, co w jej mocy, żeby ratować dziecko? Pani Lawton określiła tę sprawę jako tragiczną i ma rację. Ale znów, z innych powodów, niż się spodziewacie, gdyż w przypadku małego Davisa Bauera jej działania lub ich brak nie zrobiłby żadnej różnicy. Otóż państwo Bauer – i szpital – nie byli świadomi, że chłopiec cierpiał na zagrażającą życiu chorobę, której w porę nie wykryto. I nie miałoby znaczenia, czy była z nim Ruth, czy Florence Nightingale. Davis Bauer nie miał najmniejszych szans na przeżycie.

Rozkłada ręce na znak ustępstwa.

– Prokurator będzie wam wmawiała, że znaleźliśmy się tu dziś z powodu zaniedbania. Ale to nie Ruth źle się spisała, tylko szpital i laboratorium stanowe, które nie zasygnalizowało problemu. A wystarczyłaby odpowiednia diagnostyka. Prokurator będzie was przekonywała, że przyczyną, dla której tu dzisiaj jesteśmy, jest złość oraz chęć zemsty. To prawda. Lecz to nie Ruth im uległa, tylko Turk i Brittany Bauer, którzy zaślepieni bólem i rozpaczą szukali kozła ofiarnego. Stracili syna, więc ktoś musiał za to ucierpieć. Ich wybór padł na Ruth Jefferson. – Patrzy na przysięgłych. – Mieliśmy już jedną niewinną ofiarę. Bardzo was proszę, żebyście zapobiegli następnej.

Nie widziałam Corinne od miesięcy. Wygląda na starszą, ma worki pod oczami. Zastanawiam się, czy jest z tym samym chłopakiem, może chorowała albo coś się stało. Pamiętam, że kiedy zamawiałyśmy sałatkę i jadłyśmy ją w dyżurce, oddawała mi swoje pomidory, a ja dawałam jej oliwki.

Ostatnie kilka miesięcy na pewno nauczyły mnie tego, że przyjaźń to zasłona dymna. Ludzie, których uważałeś za niezawodnych, to fatamorgana, a ci, których nie doceniałeś, okazują się twoją opoką. Jeszcze rok temu powiedziałabym wam, że przyjaźnię się z Corinne, lecz łączyła nas raczej praca aniżeli prawdziwa więź. Byłyśmy „domyślnymi" koleżankami, które kupowały sobie prezenty świąteczne i chodziły w czwartki do baru nie z powodu tego, co ich łączyło: byłyśmy tak zapracowane, że łatwiej było kisić się we własnym sosie, niż zadać sobie trud szukania nowych znajomości spoza własnego kręgu.

Odette prosi Corinne o podanie nazwiska i adresu.

– Czy jest pani zatrudniona? – pyta.

Corinne patrzy na mnie z miejsca dla świadków, po czym ucieka wzrokiem.

– Tak. W szpitalu Mercy-West Haven.

– Czy zna pani pozwaną?

– Tak – przyznaje Corinne. – Znam.

Ale tak naprawdę nie zna. Nigdy nie znała.

W sumie ja siebie też nie znałam.

– Jak długo? – pyta Odette.

– Siedem lat. Pracowałyśmy razem jako położne na porodówce.

– Rozumiem – odpowiada prokuratorka. – Czy drugiego października dwa tysiące piętnastego roku obie miałyście dyżur?

– Tak. Rozpoczęłyśmy zmianę o siódmej rano.

– Zajmowała się pani wówczas Davisem Bauerem?

– Tak – mówi Corinne. – Ale przejęłam go po Ruth.

– Dlaczego?

– Na prośbę naszej przełożonej, Marie Malone.

Odette z wielkim namaszczeniem dołącza do materiału dowodowego potwierdzoną kopię karty medycznej.

– Prosiłabym, aby zerknęła pani na dowód rzeczowy numer dwadzieścia cztery, który ma pani przed sobą. Czy może pani wyjaśnić przysięgłym, co to takiego?

– Karta medyczna – tłumaczy Corinne. – Pacjenta o nazwisku Davis Bauer.

– Czy opatrzono ją jakąś adnotacją?

– Owszem – potwierdza Corinne i czyta na głos. – „Rodzice nie życzą sobie opieki afroamerykańskiego personelu".

Każde słowo uderza we mnie jak cios.

– W rezultacie pacjent został odebrany pozwanej i przekazany pani, zgadza się?

– Tak.

– Jak określiłaby pani reakcję Ruth? – pyta Odette.

– Była wzburzona i dotknięta. Powiedziała mi, że Marie odebrała jej pacjenta, bo jest czarna, na co stwierdziłam, że to niepodobne do Marie. Uznałam, że musiało chodzić o coś innego. Nie chciała mnie słuchać. Burknęła: „To dziecko nic dla mnie nie znaczy", i wybiegła.

Wybiegłam? Nie pojechałam windą, tylko zeszłam po schodach. Niesamowite, jak można zniekształcić prawdę, lepić w niej jak w wosku, który za długo leżał na słońcu. Nie ma czegoś takiego jak fakt, liczy się tylko to, jak postrzegałeś go w danej chwili. Jak go opisałeś. Jak przetworzył go twój mózg. Opowieść jest nierozerwalnie złączona z narratorem.

– Czy Davis Bauer był zdrowym dzieckiem? – wypytuje dalej prokuratorka.

– Tak się wydawało – przyznaje Corinne. – Nie miał apetytu, ale nie przywiązywaliśmy do tego większej wagi. Noworodki często są ospałe.

– Czy w piątek, trzeciego października, była pani w pracy?

Corinne potwierdza.

– A Ruth?

– Wypadał jej dzień wolny, ale mieliśmy urwanie głowy i wzięła podwójną zmianę, od siódmej wieczorem aż do soboty.

– A zatem przez cały piątek to pani opiekowała się Davisem?

– Zgadza się.

– Robiła pani dziecku rutynowe badania?

Corinne kiwa głową.

– Około wpół do trzeciej pobrałam krew z pięty. Wszystkie noworodki mają to badanie i wysyłamy próbkę do laboratorium stanowego.

– Czy tego dnia niepokoiło panią coś w związku z pacjentem?

– Nadal był problem z karmieniem piersią, ale tak czasem bywa w przypadku młodych matek. – Uśmiecha się do przysięgłych. – Ślepy prowadzi niewidomego.

– Czy rozmawiała pani z pozwaną o Davisie Bauerze, kiedy przyszła na dyżur?

– Nie. Zachowywała się tak, jakby dla niej nie istniał.

To przedziwne uczucie, siedzieć i słuchać, jak mówią o nas w trzeciej osobie.

– Kiedy widziała ją pani po raz kolejny?

– Wciąż miała dyżur, kiedy o siódmej wróciłam do szpitala na kolejną zmianę. Była po nocce, miała wyjść o jedenastej.

– Co wydarzyło się tego ranka? – pyta Odette.

– Chłopiec został obrzezany. Rodzice na ogół nie chcą w tym uczestniczyć, więc zabieramy dziecko do sali dla noworodków. Dajemy mu posłodzoną wodę, żeby trochę się uspokoiło, po czym pediatra wykonuje zabieg. Kiedy wjechałam z łóżeczkiem na salę, zobaczyłam Ruth. Miała ciężki poranek, chciała chwilę odsapnąć.

– Czy zabieg przebiegł bez komplikacji?

– Tak. Według obowiązujących przepisów trzeba monitorować dziecko przez dziewięćdziesiąt minut na wypadek krwawienia lub innych problemów.

– Czy postąpiła pani w myśl tych zaleceń?

– Nie – przyznaje Corinne. – Inna moja pacjentka miała nieplanowaną cesarkę, wezwano mnie do niej. Marie, nasza oddziałowa, poszła ze mną na salę operacyjną, to jej obowiązek. Na oddziale została tylko Ruth, więc poprosiłam ją o przypilnowanie Davisa. Proszę zrozumieć, jesteśmy małym szpitalem – dorzuca po chwili wahania. – Mamy szczątkowy personel. W nagłych sytuacjach decyzje podejmuje się błyskawicznie.

Obok mnie Howard coś notuje.

– Statystyczna cesarka trwa góra dwadzieścia minut. Liczyłam, że wrócę na oddział, zanim mały się obudzi.

– Czy miała pani opory przed pozostawieniem go pod opieką Ruth?

– Żadnych – odpowiada Corinne stanowczo. – Ruth jest najlepszą pielęgniarką, jaką znam.

– Jak długo pani nie było? – drąży Odette.

– Zbyt długo – odpowiada cicho Corinne. – Kiedy wróciłam, dziecko już nie żyło.

Prokuratorka zwraca się do Kennedy.

– Nie mam więcej pytań.

Kennedy uśmiecha się do Corinne i podchodzi bliżej.

– Powiedziała pani, że pracowała z Ruth siedem lat. Czy uważała ją pani za swoją przyjaciółkę?

Corinne omiata mnie wzrokiem.

– Tak.

– Czy kiedykolwiek zwątpiła pani w jej zaangażowanie w pracę?

– Nigdy. Była dla mnie wzorem.

– Czy była pani świadkiem reanimacji Davisa Bauera?

– Nie – odpowiada Corinne. – Zajmowałam się inną pacjentką.

– A więc nie widziała pani, co zrobiła Ruth?

– Nie.

– Ani tego, czego nie zrobiła? – dorzuca Kennedy.

– Nie.

Kennedy podnosi karteczkę wręczoną jej przez Howarda.

– Powiedziała pani, pozwolę sobie zacytować: „W nagłych sytuacjach decyzje podejmuje się błyskawicznie". Pamięta pani?

– Tak…

– Do właśnie takich sytuacji można zaliczyć pani cesarkę, prawda?

– Owszem.

– Zatrzymanie oddechu u noworodka również, prawda?

– Uhm, no tak, oczywiście.

– Czy miała pani świadomość, że zgodnie z adnotacją w karcie Ruth otrzymała stanowczy zakaz opieki nad tym dzieckiem?

– Sprzeciw! – mówi Odette. – Na kartce napisano co innego.

– Podtrzymuję – oznajmia sędzia. – Proszę to inaczej ująć, pani McQuarrie.

– Czy miała pani świadomość, że rodzice Davisa Bauera nie życzą sobie opieki afroamerykańskiego personelu?

– Tak.

– Ilu Murzynów pracuje na waszym oddziale?

– Tylko Ruth.

– Czy prosząc Ruth o zastępstwo, była pani świadoma, że rodzice dziecka wyrazili życzenie mające na celu odsunięcie jej od opieki nad Davisem?

Corinne zmienia pozycję.

– Nie sądziłam, że coś się stanie. Kiedy wychodziłam, chłopcu nic nie dolegało.

– Nakaz półtoragodzinnego monitorowania po obrzezaniu wynika z tego, że z noworodkami nigdy nic nie wiadomo, prawda?

– Tak.

– A pani zostawiła dziecko z pielęgniarką, która nie mogła się nim zajmować, zgadza się?

– Nie miałam wyboru – rzuca Corinne obronnym tonem.

– Ale zostawiła je pani z Ruth?

– Tak.

– Chociaż pani wiedziała, że nie może go dotykać?

– Tak.

– Innymi słowy, nawaliła pani dwa razy?

– Ale…

– Dziwne – przerywa jej Kennedy. – Jakoś nikt nie oskarża pani o jego śmierć.

Ubiegłej nocy śnił mi się pogrzeb mamy. Zajęto wszystkie ławki i było lato, a nie zima. Klimatyzacja chodziła pełną parą, a ludzie się wachlowali, mimo to wszyscy ociekaliśmy potem. Nie znajdowaliśmy się w kościele, lecz w magazynie, który wyglądał jak wyremontowany po pożarze. Krzyż za ołtarzem składał się z dwóch usmolonych belek, dopasowanych jak elementy układanki.

Próbowałam płakać, lecz skończyły mi się łzy. Cała wilgoć uchodziła z ciała wraz z potem. Chciałam się powachlować, ale nie miałam czym.

Osoba siedząca obok mnie podała mi program.

– Weź mój – powiedziała.

Odwróciłam się, żeby podziękować, i ujrzałam mamę. Oniemiałam.

Zerwałam się na równe nogi. I zajrzałam do trumny, żeby sprawdzić, kto leży w środku zamiast mamy.

Była pełna martwych dzieci.

Marie została zatrudniona dziesięć lat po mnie. Była wtedy położną, jak ja. Razem cierpiałyśmy na podwójnych zmianach, narzekałyśmy na kiepskie świadczenia i zniosłyśmy remont szpitala. Kiedy oddziałowa przeszła na emeryturę, obie zgłosiłyśmy swoje kandydatury. Gdy wybrano Marie, przyszła do mnie zrozpaczona, bo miała nadzieję, że wybiorą mnie, żeby nie musiała przepraszać, że to ona została wybrana. Ale ja nie miałam z tym problemu, naprawdę. Moim priorytetem był Edison, a poza tym bycie oddziałową wymaga więcej pracy biurowej niż opieki nad pacjentkami. Obserwując zmagania Marie, dziękowałam swojej szczęśliwej gwieździe, że sprawy potoczyły się tak, a nie inaczej.

– Turk Bauer, ojciec dziecka, poprosił o rozmowę z przełożoną – mówi Marie w odpowiedzi na pytanie prokuratorki. – Chodziło o opiekę nad Davisem.

– Czego dotyczyła rozmowa?

Marie spuszcza wzrok.

– Nie życzył sobie, aby Murzyni dotykali Davisa. Mówiąc to, odsłonił flagę konfederatów wytatuowaną na przedramieniu.

Któryś z przysięgłych głośno łapie oddech.

– Czy kiedykolwiek rodzic wyraził taką prośbę?

Marie się waha.

– Spełniamy różne prośby pacjentek. Część nie życzy sobie, aby poród odbierał ginekolog płci męskiej, lub nie zgadza się na obecność studentów medycyny. Staramy się zapewnić rodzącym wszelkie udogodnienia.

– Co zrobiła pani w tym przypadku?

– Dołączyłam do karty odpowiednią adnotację.

Odette prosi ją o obejrzenie dowodu rzeczowego i odczytanie na głos treści.

– Czy rozmawiała pani o tym z personelem?

– Owszem. Wyjaśniłam Ruth, że prośba o odsunięcie jej od opieki nad dzieckiem wynika ze światopoglądu ojca.

– Jak zareagowała?

– Potraktowała to jako osobistą zniewagę – mówi Marie. – Nie chciałam, żeby tak to odebrała. Tłumaczyłam jej, że to tylko formalność. Ale wyszła z mojego gabinetu, trzaskając drzwiami.

– Kiedy widziała ją pani ponownie? – pyta Odette.

– W sobotę rano. Byłam na sali operacyjnej z inną pacjentką, u której wystąpiły komplikacje w czasie porodu. Jako oddziałowa muszę towarzyszyć pielęgniarce, która za nią odpowiadała, czyli w tym wypadku Corinne. Corinne poprosiła Ruth o opiekę nad Davisem Bauerem w czasie jej nieobecności. Wróciłam na salę dla noworodków tak szybko, jak to było możliwe.

– Proszę nam powiedzieć, co pani zobaczyła, Marie.

– Ruth stała nad łóżeczkiem – mówi tamta. – Zapytałam, co robi, a ona odpowiedziała, że nic.

Ściany napierają na mnie ze wszystkich stron, czuję napięcie mięśni ramion i karku. Ponownie zastygam, urzeczona błękitem, który powleka policzek dziecka, nieruchomością małego ciałka. Słyszę jej polecenia:

„Podaj worek samorozprężalny”.

„Wybierz połączenie alarmowe”.

Ja pływam, unoszę się pod sufitem, nie czuję własnego ciała.

„Zacznij uciskać”.

Bębnię dwoma palcami w kruchy stelaż klatki piersiowej, drugą ręką podłączam kable. Wokół mnie nagle robi się ciasno. Igła zatapia się w główce, lecą przekleństwa, kiedy się wysuwa. Fiolka spada ze stołu. Atropina wstrzyknięta w płuca zalewa plastikową rurkę. Wpada pediatra. Worek samorozprężalny ląduje w koszu.

„Czas? Dziesiąta cztery”.

– Ruth? – szepcze Kennedy. – Dobrze się czujesz?

Nie mogę poruszyć wargami. Unoszę się pod sufitem. Nie czuję własnego ciała. Tonę.

– U pacjenta wystąpiły szerokie zespoły QRS, prawa strona serca zbyt wolno odpowiadała lewej – tłumaczy Marie.

„Mogiła”.

– Resuscytacja nie przyniosła efektów. Pediatra ogłosiła czas zgonu. Nie wiedzieliśmy, że rodzice weszli, tyle się działo i… i… – Milknie. – Ojciec, pan Bauer, podbiegł do kosza i wyjął worek samorozprężalny. Próbował go podłączyć do rurki, która wciąż wystawała z gardła jego syna. Błagał nas, żebyśmy pokazali mu, jak to zrobić. – Ociera łzę. – Nie chciałabym… Ja… Tak mi przykro.

Lekko odwracam głowę i widzę, że kilka kobiet z ławy przysięgłych też wyciera oczy. Ale we mnie nie została ani jedna łza.

Tonę w cudzych.

Odette podchodzi do Marie z paczką chusteczek. Stłumione szlochy otaczają mnie jak wata.

– Co było dalej? – pyta prokuratorka.

Marie opuszcza chusteczkę.

– Zawinęłam Davisa Bauera w kocyk. Włożyłam mu z powrotem czapeczkę. I oddałam go rodzicom.

Nie czuję własnego ciała.

Przymykam oczy. I tonę, tonę.

Mija dłuższa chwila, zanim odzyskuję jasność myślenia i skupiam uwagę na Kennedy, która przystąpiła do odpytywania Marie.

– Czy kiedykolwiek ktoś skarżył się na Ruth, poza Turkiem Bauerem?

– Nigdy.

– Czy sposób, w jaki Ruth wykonywała swoje obowiązki, budził zastrzeżenia?

– Nie.

– Umieszczając wspomnianą adnotację w karcie Davisa Bauera, miała pani świadomość, że jednocześnie dyżurują tylko dwie pielęgniarki, w związku z czym zachodziła możliwość, że pacjent w którymś momencie pozostanie bez opieki?

– To nieprawda. Druga pielęgniarka zastąpiłaby pielęgniarkę dyżurną.

– A gdyby była zajęta? Gdyby – ciągnie Kennedy – została na przykład wezwana do cesarki, a na oddziale znajdowała się tylko Afroamerykanka?

Marie otwiera i zamyka usta, ale nie dochodzi z nich żaden dźwięk.

– Przepraszam, pani Malone, nie dosłyszałam.

– Davis Bauer ani na chwilę nie pozostał bez opieki – upiera się Marie. – Ruth z nim była.

– Przecież pani, jej przełożona, wyraźnie zabroniła jej opieki nad tym konkretnym pacjentem, nieprawdaż?

– Nie, ja…

– Zabroniła jej pani jakichkolwiek kontaktów z Davisem Bauerem…

– W sensie ogólnym – podkreśla Marie. – Oczywiście nie miałam na myśli nagłych przypadków.

Widzę błysk w oczach Kennedy.

– Czy zaznaczyła to pani w swojej adnotacji?

– Nie, ale…

– Czy dopisała to pani na kartce?

– Nie.

– Czy pouczyła pani Ruth, że w pewnych okolicznościach dochowanie przysięgi pielęgniarskiej jest ważniejsze od pani nakazu?

– Nie – mamrocze Marie.

Kennedy zaplata ręce na piersi.

– Skąd więc Ruth miała o tym wiedzieć?

Ogłaszają przerwę na lunch, a Kennedy proponuje, że nam coś przyniesie, aby nie narażać nas na kontakt z dziennikarzami. Odpowiadam jej, że nie jestem głodna.

– Wiem, masz wątpliwości – mówi. – Ale naprawdę dobrze nam poszło.

Rzucam jej znaczące spojrzenie: przysięgli nie uwolnią się od wizji Turka Bauera, który usiłuje ratować syna.

Po wyjściu Kennedy Edison siada obok mnie. Poluzowuje krawat.

– W porządku? – Ściskam jego dłoń.

Mija nas jakaś pani i siada obok Edisona na ławce przed salą rozpraw. Zawzięcie z kimś esemesuje, śmieje się pod nosem,

marszczy brwi i cmoka, dosłownie teatr jednego aktora. W końcu podnosi wzrok i widzi, gdzie się znajduje.

Na widok Edisona przesuwa się odrobinę, powiększając nieco dzielący ich dystans. Potem się uśmiecha, jakby to mogło wszystko zatuszować.

– Wiesz co – mówię. – Jednak jestem trochę głodna.

Edison szczerzy zęby.

– Ja zawsze jestem głodny.

Podnosimy się jednocześnie i wymykamy tylnym wyjściem. Mam w nosie, czy napatoczę się na dziennikarzy czy Wallace'a Mercy'ego we własnej osobie. Biorę syna pod ramię i idziemy, aż znajdujemy pizzerię.

Zamawiamy po kawałku i czekamy, aż nas zawołają. Edison pochyla się nad swoją colą i pije przez słomkę, dochodzi do dna i siorbie. Siedzę pogrążona w myślach.

Chyba nie zdawałam sobie sprawy, że proces polega nie tylko na usankcjonowanym zarzynaniu jego bohatera. To gra strategiczna, gdzie stopniowo kruszy się pozwanemu tarczę, i człowiek zaczyna się zastanawiać, czy oskarżenie przypadkiem może mieć rację.

A jeśli zrobiłam to specjalnie?

Jeśli zawahałam się nie z powodu kartki Marie, ale ponieważ w głębi duszy chciałam?

Głos Edisona przywraca mnie do rzeczywistości. Mrugam powiekami.

– Wołali nas?

Potrząsa głową.

– Jeszcze nie. Mamo, czy… czy mogę cię o coś zapytać?

– Zawsze.

Zastanawia się chwilę, jakby dobierał słowa.

– Czy… naprawdę tak było?

Od strony lady dobiega dzwonek. Nasze porcje są gotowe.

Nie ruszam się. Patrzę synowi w oczy.

– Gorzej – odpowiadam.

Nie znam zbyt dobrze anestezjologa wezwanego po południu na świadka prokuratora. Issac Hager zjawia się na moim oddziale tylko w nagłych przypadkach wraz z resztą zespołu. Kiedy przyszedł do Davisa Bauera, nie wiedziałam nawet, jak się nazywa.

– Czy miał pan wcześniej do czynienia z pacjentem? – pyta Odette.

– Nie – odpowiada doktor Hager.

– Czy poznał pan jego rodziców?

– Nie.

– Proszę nam opowiedzieć, jak postąpił pan po przyjściu na salę.

– Intubowałem pacjenta – wyjaśnia doktor Hager. – I próbowałem pomóc koleżance, która nie mogła się wkłuć.

– Czy w trakcie tych czynności rozmawiał pan z Ruth?

– Owszem. Robiła masaż serca i kilkakrotnie kazałem jej przerwać w celu oszacowania reakcji pacjenta. W pewnej chwili odniosłem wrażenie, że naciska nieco zbyt agresywnie, więc zwróciłem jej uwagę.

– Czy mógłby pan opisać, co dokładnie robiła?

– W przypadku noworodka masaż serca polega na uciskaniu klatki piersiowej na głębokość centymetra z częstotliwością około dwustu razy na minutę. Zespoły na monitorze szybowały w górę, wydawało mi się, że Ruth naciska zbyt mocno.

– Czy zechce pan to wyjaśnić w sposób zrozumiały dla laika?

Doktor Hager patrzy na przysięgłych.

– Ucisk klatki piersiowej służy manualnemu wznowieniu akcji serca, które się zatrzymało. Chodzi o to, aby fizycznie wymusić wyrzut krwi z serca, a następnie puścić, aby krew wypełniła serce. Poniekąd można to porównać z przepychaniem sedesu. Trzeba naciskać, ale i zassać, w przeciwnym razie muszla nie napełni się wodą. Podobnie dzieje się w przypadku zbyt mocnego lub szybkiego uciskania: pompujesz, pompujesz, pompujesz, ale krew nie krąży w ciele.

– Czy pamięta pan, co dokładnie powiedział Ruth?

Anestezjolog odchrząkuje.

– Kazałem jej naciskać delikatniej.

– Czy to nietypowa sytuacja, kiedy anestezjolog upomina osobę wykonującą masaż serca?

– Bynajmniej – odpowiada doktor Hager. – Chodzi o zachowanie równowagi. Obserwujemy siebie nawzajem. Tak samo mógłbym patrzeć, czy klatka piersiowa się unosi, a gdyby się nie unosiła, kazałbym Marie Malone pompować mocniej.

– Jak długo Ruth była zbyt agresywna?

– Sprzeciw! – oponuje Kennedy. – Świadek użył innego określenia.

– Spytam inaczej. Jak długo pozwana agresywnie uciskała klatkę piersiową dziecka?

– Nie nazwałbym tego ucisku przesadnie agresywnym, trwał niespełna minutę.

– Czy w pańskiej fachowej opinii, doktorze – mówi Odette – działania pozwanej mogły zaszkodzić dziecku?

– Akt ratowania życia zakrawa niekiedy na akt przemocy, pani Lawton. Przecinamy skórę, łamiemy żebra, porażamy prądem. – Lekarz zwraca się w moją stronę. – Robimy, co musimy, i czasem nasze działania przynoszą spodziewany efekt.

– Nie mam więcej pytań – mówi prokuratorka.

Kennedy podchodzi do doktora Hagera.

– Działaliście pod wpływem wielkich emocji, prawda?

– Owszem.

– Czy prowadzony przez Ruth masaż serca szkodził dziecku?

– Wręcz przeciwnie. Utrzymywał je przy życiu podczas interwencji medycznej.

– Czy przyczynił się do śmierci chłopca?

– Nie.

Kennedy opiera się o barierkę przed ławą przysięgłych.

– Czy można śmiało powiedzieć, że wszyscy obecni próbowali ratować Davisa Bauera?

– Bezwzględnie.

– Nawet Ruth?

Doktor Hager patrzy prosto na mnie.

– Tak – potwierdza.

Po zeznaniu anestezjologa następuje przerwa. Sędzia wychodzi, przysięgli opuszczają ławę. Kennedy wyprowadza mnie do sali

konferencyjnej, gdzie mam zostać, bezpiecznie odgrodzona od dziennikarzy.

Chcę porozmawiać z Edisonem. Przytulić Adisę. Ale siedzę przy niewielkim stole pod syczącą lampą jarzeniową, biedząc się nad tą łamigłówką.

– Zastanawiałaś się kiedyś, co byś robiła, gdybyś nie była prawniczką? – pytam.

Kennedy zerka na mnie.

– Czyżbyś sugerowała, że jestem do bani?

– Nie, tak tylko myślę. O… o zaczynaniu wszystkiego od nowa.

Odwija gumę z papierka i podaje mi resztę opakowania.

– Nie śmiej się, ale kiedyś chciałam zostać cukiernikiem.

– Serio?

– Chodziłam trzy tygodnie do szkoły kucharskiej. W końcu poległam na cieście filo. Nie mam do niego za grosz cierpliwości.

Uśmiecham się lekko.

– No popatrz.

– A ty? – pyta Kennedy.

Patrzę na nią.

– Sama nie wiem – przyznaję. – Odkąd skończyłam pięć lat, chciałam zostać pielęgniarką. Czuję, że jestem na to za stara, a gdybym musiała, nie miałabym pojęcia, jak się do tego zabrać.

– Na tym polega problem z powołaniem – stwierdza Kennedy. – Nie sposób z niego wyżyć.

Powołanie. Czy dlatego odwinęłam Davisa Bauera z kocyka, kiedy zauważyłam, że nie oddychał?

– Kennedy – zaczynam. – Muszę ci coś…

Ale ona mi przerywa.

– Mogłabyś wrócić do szkoły – podsuwa. – Zdobyć stopień naukowy lub zostać asystentką. Albo pracować jako prywatna opiekunka.

Żadna z nas nie wypowiada na głos tego, co wisi w powietrzu: piętno wyroku nie wygląda dobrze w CV.

Kiedy widzi moją minę, wzrok jej łagodnieje.

– Uda się, Ruth. Mam wspaniały plan.

– A jeśli ten wspaniały plan nie wypali? – pytam cicho.

Zaciska zęby.

– Wtedy postaram się zmniejszyć twój wyrok.

– Musiałabym iść do więzienia?

– W chwili obecnej ciąży na tobie kilka zarzutów. Jeżeli prokurator stwierdzi, że ma za mało dowodów, może odstąpić od poważniejszego zarzutu na rzecz mniejszego. Jeśli zatem nie dowiedzie ci morderstwa, pójdzie na łatwiznę i oskarży cię o nieumyślne spowodowanie śmierci. – Napotyka mój wzrok. – Za morderstwo dostałabyś minimum dwadzieścia pięć lat. Ale nieumyślne spowodowanie śmierci? Niespełna rok. Nie ma siły, żeby udowodniła ci premedytację. I będzie musiała obchodzić się z Turkiem Bauerem jak z jajkiem, bo przysięgli go znienawidzą.

– Tak jak ja?

Kennedy posyła mi ostre spojrzenie.

– Ruth – mówi ostrzegawczo. – Żebym tego więcej nie słyszała, rozumiemy się?

W jednej chwili uświadamiam sobie, że nie tylko Kennedy planuje sześć kroków naprzód. Odette robi to samo. Ona chce, żeby przysięgli znienawidzili Turka Bauera. Chce, aby wzbudził w nich oburzenie, wrogość i odrazę.

Tym samym dowiedzie istnienia motywu.

Zawsze podziwiałam doktor Atkins, pediatrę, ale gdy słyszę litanię jej kwalifikacji, podziwiam ją jeszcze bardziej. Lista jej osiągnięć robi wrażenie, bo w przeciwieństwie do większości osób przez skromność nigdy sama o nich nie opowiada. Ponadto jest pierwszym świadkiem, który patrzy prosto na mnie i się uśmiecha, po czym skupia uwagę na prokuratorce.

– Ruth zbadała chłopca – mówi doktor Atkins. – Zaniepokoił ją potencjalny szum w sercu.

– Czy stanowiło to poważny problem? – pyta Odette.

– Nie. Mnóstwo dzieci przychodzi na świat z przetrwałym przewodem tętniczym. To maleńka dziurka w sercu. Zwykle zasklepia się samoistnie w pierwszym roku życia. Na wszelki wypadek

poprosiłam jednak o konsultację z kardiologiem przed wypisaniem dziecka.

Odette myśli, że przypadłość z mowy wstępnej obrony to właśnie owe szmery, wiem to od Kennedy. Dlatego je bagatelizuje na użytek przysięgłych.

– Doktor Atkins, czy w sobotę, trzeciego października, w dniu śmierci Davisa Bauera, była pani w pracy?

– Tak. O dziewiątej przyszłam go obrzezać.

– Czy mogłaby pani wyjaśnić, na czym to polega?

– Oczywiście, to bardzo prosty zabieg polegający na usunięciu napletka. Trochę się spóźniłam, musiałam zająć się pilnie innym pacjentem.

– Kogo zastała pani w sali?

– Dwie pielęgniarki. Corinne i Ruth. Zapytałam Ruth, czy pacjent jest gotowy, na co mi odpowiedziała, że już się nim nie zajmuje. Corinne potwierdziła, że noworodek jest gotowy do zabiegu, który przeprowadziłam bez żadnych przeszkód.

– Czy Ruth powiedziała do pani coś na temat obrzezania?

Doktor Atkins chwilę się waha.

– Zaproponowała, żebym wysterylizowała dziecko.

„Suka", szepcze ktoś za moimi plecami.

– Co pani jej odpowiedziała?

– Nic. Byłam zajęta.

– Jak potoczył się zabieg?

Lekarka wzrusza ramionami.

– Chłopiec płakał, jak wszystkie dzieci. Zawinęłyśmy go w kocyk i zasnął. – Podnosi wzrok. – Kiedy wychodziłam, spał… no cóż… jak dziecko.

– Nie mam więcej pytań – mówi Odette.

– Pani doktor, pracuje pani w tym szpitalu od ośmiu lat – zaczyna Kennedy.

– Tak. – Kobieta śmieje się cicho. – Ha. Czas leci.

– Czy w ciągu tego czasu miała pani do czynienia z Ruth?

– Często i z przyjemnością – oznajmia doktor Atkins. – Jest wspaniałą położną, która nade wszystko stawia dobro pacjentów.

– Jak odebrała pani jej uwagę na temat sterylizacji?

– Jako żart – odpowiada doktor Atkins. – Wiedziałam, że nie mówi poważnie. Ruth nie jest zdolna do złośliwości wobec pacjentów.

– Czy po wspomnianym zabiegu została pani w szpitalu?

– Tak, udałam się na inne piętro, do kliniki pediatrycznej.

– Czy dowiedziała się pani o sytuacji w sali dla noworodków?

– Tak. Marie wszczęła alarm. Kiedy przyszłam, Ruth robiła masaż serca.

– Czy postępowała zgodnie z przyjętymi zasadami?

– Tak mi się zdawało.

– Czy dała wyraz jakiejkolwiek niechęci wobec chłopca? – pyta Kennedy.

– Nie.

– Cofnijmy się nieco w czasie – mówi Kennedy. – Czy po narodzinach Davisa Bauera zleciła pani badania przesiewowe?

– Tak, to standardowa procedura.

– Dokąd wysyłane są próbki?

– Do laboratorium stanowego Rocky Hill. Nie wykonujemy tych badań na miejscu.

– W jaki sposób są przewożone?

– Kurierem – informuje doktor Atkins.

– Kiedy pobrano próbkę krwi Davisa Bauera?

– O godzinie wpół do trzeciej po południu w piątek, trzeciego października.

– Czy otrzymała pani wyniki?

Doktor Atkins z namysłem marszczy brwi.

– W zasadzie to sobie nie przypominam. Ale oczywiście było już za późno na analizę.

– Jaki jest cel tych badań?

Lekarka wylicza rzadkie zaburzenia. Niektóre są spowodowane mutacją genetyczną, inne wynikają z braku enzymów lub protein, a jeszcze inne z niemożności ich rozkładania.

– Większość z państwa zapewne nie słyszała o tych chorobach – uzupełnia doktor Atkins – ponieważ większość dzieci jest zdrowa. Ale niektóre… cóż, dzięki odpowiednio wczesnej diagnozie część z nich da się wyleczyć. Często zapobiegamy poważnym opóźnieniom w rozwoju i upośledzeniu umysłowemu poprzez rozpoczęcie

natychmiastowego leczenia, dzięki zastosowaniu właściwej diety, leków bądź terapii hormonalnej.

– Czy takie zaburzenia bywają śmiertelne?

– Niektóre, jeśli nie są leczone.

– Nie znała pani wyników, kiedy u Davisa Bauera doszło do zatrzymania oddechu, prawda? – pyta Kennedy.

– Nie. Laboratorium stanowe nie pracuje w weekendy. Wyniki piątkowych badań otrzymujemy zwykle we wtorek.

– A zatem – rzuca z namysłem Kennedy – jeśli dziecko miało pecha urodzić się pod koniec tygodnia roboczego, czas oczekiwania na wyniki wydłuża się niemal dwukrotnie.

– To prawda, niestety.

Widzę, że przysięgli się ożywiają, coś notują, uważnie słuchają. Edison za moimi plecami zmienia pozycję. Może Kennedy ma rację. Może potrzebne są suche fakty.

– Czy słyszała pani o chorobie zwanej MCAD? – pyta Kennedy.

– Owszem. Uniemożliwia prawidłowe metabolizowanie tłuszczów. Mówiąc prościej, dziecko nie wykorzystuje tłuszczów jako źródła energii, w związku z czym drastycznie spada mu poziom cukru. Wczesna diagnostyka pozwala zapanować nad tym schorzeniem dzięki ostrożnej diecie i częstemu karmieniu.

– Powiedzmy, że choroba nie zostaje wykryta. Co wtedy?

– No cóż, u dzieci z MCAD następuje tak zwany kryzys metaboliczny i dochodzi do hipoglikemii, co stanowi poważne zagrożenie życia.

– Jakie są tego objawy?

– Letarg, ospałość. Brak apetytu.

– Przyjmijmy hipotetycznie, że dziecko z niewykrytym, nieleczonym MCAD ma zostać obrzezane. Czy zabieg mógłby zaostrzyć jego stan?

Lekarka potwierdza.

– Nie byłoby karmione od szóstej rano. W przypadku dziecka z MCAD doprowadziłoby to do niskiego poziomu glukozy we krwi, a tym samym mogłoby spowodować hipoglikemię. Dlatego tuż przed i po zabiegu dostałoby dziesięcioprocentowy roztwór dekstrozy.

– W czasie reanimacji pobrała pani krew Davisa Bauera, prawda?

– Owszem.

– Czy mogłaby pani powiedzieć przysięgłym, jaki miał wówczas poziom cukru? – pyta Kennedy.

– Dwadzieścia.

– Na jakim poziomie u dziecka stwierdza się hipoglikemię?

– Czterdzieści.

– Czyli Davis Bauer miał niebezpiecznie niski poziom glukozy.

– Zgadza się.

– Czy wystarczyłoby to, aby u dziecka z niestwierdzonym MCAD doszło do zatrzymania oddechu?

– Trudno powiedzieć. Ale zachodzi takie ryzyko.

Kennedy unosi papierową teczkę.

– Proszę o dołączenie tego jako dowodu rzeczowego numer czterdzieści dwa – oznajmia. – To wyniki badań przesiewowych Davisa Bauera uzyskane przez obronę.

Odette podrywa się jak oparzona.

– Wysoki sądzie, co to za gierki? Dlaczego nic o tym nie wiem?

– Ponieważ sama dopiero je dostałam. Traf chciał, że miesiącami były nieosiągalne – kwituje znacząco Kennedy. – Co mogłabym nazwać działaniem na szkodę wymiaru sprawiedliwości…

– Zapraszam do mnie. – Sędzia przywołuje obie prawniczki. Zostaje uruchomiony generator szumu, więc ani ja, ani przysięgli nie słyszymy, o czym mowa. Kiedy gorączkowa dyskusja dobiega końca, Kennedy jest czerwona jak burak, ale dowód zostaje włączony do akt.

– Doktor Atkins, czy może pani nam powiedzieć, na co pani patrzy? – prosi Kennedy.

– Na wyniki badań przesiewowych – odpowiada lekarka, przerzucając kartki. Nagle zastyga. – O mój Boże.

– Czy znalazła pani coś interesującego w wynikach, doktor Atkins? W wynikach, które przyszły za późno, gdyż laboratorium było zamknięte w weekend? W wynikach, które otrzymała pani po śmierci Davisa Bauera?

Lekarka podnosi głowę.

– Tak. U Davisa Bauera wykryto MCAD.

Kiedy dzisiejsza rozprawa dobiega końca, Kennedy jest półprzytomna. Pospiesznie wyrzuca z siebie słowa, jakby wypiła cztery duże kawy, i zachowuje się tak, jakbyśmy już wygrali, choć przecież to dopiero początek. Przekonuje mnie, że powinnam uczcić ten wspaniały dzień, ale ja mam ochotę tylko wrócić do domu i odpocząć.

W głowie kłębią mi się obrazy – widzę Davisa Bauera i twarz doktor Atkins, kiedy dotarło do niej, co widzi. Fakt, Kennedy pokazała mi wyniki przed dwoma dniami, ale to jest jeszcze gorsze. Widzieć kogoś ze szpitala – kogo lubiłam i komu ufałam – jak myśli sobie „Gdyby…". Wytrąciło mnie to z równowagi.

Tak, to rozprawa przeciwko mnie.

Owszem, zostałam niesłusznie oskarżona.

Lecz to nie zmienia faktu, że nie żyje dziecko. Że matka nie zobaczy, jak dorasta. Mogę zostać uniewinniona, mogę zostać twarzą kampanii Wallace'a, założyć sprawę o straty moralne i otrzymać odszkodowanie, dzięki któremu troska o edukację Edisona poszłaby w niepamięć – a mimo to będę wiedziała, że w tej sprawie nie ma wygranych.

Ponieważ nie sposób wymazać straszliwej straty, jaką jest śmierć u zarania życia.

Tym torem płyną moje rozmyślania, kiedy czekam, aż korytarze opustoszeją, żebyśmy mogli w spokoju wrócić do domu. Edison czeka na mnie na ławce przed salą konferencyjną.

– Gdzie ciocia?

Wzrusza ramionami.

– Postanowiła wrócić do domu, zanim śnieg na dobre się rozpada.

Wyglądam przez okno na wirujące płatki. Byłam tak pochłonięta rozprawą, że nie zauważyłam nadciągającej śnieżycy.

– Skoczę tylko do łazienki – mówię do Edisona i ruszam pustym korytarzem.

Wchodzę do toalety, robię co trzeba i spuszczam wodę, po czym idę umyć ręce. Przy umywalce stoi Odette Lawton. Zerka na mnie w lustrze i zamyka pomadkę.

– Twoja prawniczka miała udany pierwszy dzień – zauważa.

Nie wiem, co odpowiedzieć, więc w milczeniu spłukuję mydło ciepłą wodą.

– Ale na twoim miejscu nie cieszyłabym się przedwcześnie. Może przekonałaś pani Kennedy McQuarrie, że ma do czynienia z Clarą Barton[32], lecz ja dobrze wiem, co sobie myślałaś, kiedy ten rasista cię usadził. Nie były to myśli, które leczą.

Tego już za wiele. Coś we mnie wzbiera, gejzer, konstatacja. Zakręcam kran, wycieram ręce i staję twarzą do niej.

– Wie pani co? Od zawsze staram się postępować jak należy. Pilnie się uczyłam, ładnie uśmiechałam i rygorystycznie przestrzegałam zasad, żeby do czegoś dojść. Wiem, że pani postępowała tak samo, więc naprawdę nie mogę pojąć, dlaczego bystra, wykształcona Afroamerykanka robi wszystko, aby zatruć życie komuś podobnemu sobie.

Dostrzegam błysk w jej oczach, ale zaraz znika, zgaszony lodowatym spojrzeniem.

– Rasa nie ma tu nic do rzeczy. Robię tylko to, co do mnie należy.

Wrzucam papierowy ręcznik do śmietnika, kładę rękę na klamce.

– Szczęściara – mówię. – Nikt pani tego nie zabronił.

Wieczorem siedzę przy kuchennym stole zatopiona w myślach, kiedy Edison przynosi mi herbatę.

– A to z jakiej okazji, kochanie? – pytam z uśmiechem.

– Pomyślałem, że ci się przyda – mówi. – Wyglądasz na zmęczoną.

– Jestem zmęczona – przyznaję. – Piekielnie zmęczona.

Oboje wiemy, że mam na myśli nie tylko dwa pierwsze dni rozprawy.

Edison siada obok mnie, ściskam jego rękę.

– To strasznie wyczerpujące, prawda? Ze wszystkich sił starać się pokazać, że wykracza się poza powszechne oczekiwania.

Kiwa głową i wiem, że rozumie.

– Proces jest inny niż rozprawy, które widziałem w telewizji.

– Dłuższy – zauważam, a on uzupełnia w tej samej chwili:

– Nudny.

Oboje się śmiejemy.

– Gadałem chwilę z Howardem w czasie przerwy – dorzuca Edison. – Jego praca jest bardzo ciekawa. Praca Kennedy też. No wiesz, ta cała idea, że każdy ma prawo do dobrego obrońcy, nawet jeśli go nie stać. – Spogląda na mnie pytająco. – Myślisz, że byłbym dobrym prawnikiem, mamo?

– Hm, na pewno jesteś mądrzejszy ode mnie i umiesz dopiąć swego – odpowiadam żartobliwie. – Wiele osiągniesz, bez względu na to, kim zostaniesz.

– Dziwne – mówi. – Chciałbym robić to, co oni, działać na rzecz ludzi, których nie stać na adwokata. Ale czuję, jakby życie przygotowywało mnie do działania po drugiej stronie barykady. Jakbym bardziej nadawał się na prokuratora.

– Jak to?

Wzrusza ramionami.

– To na nim spoczywa ciężar dowodu – mówi Edison. – Zupełnie jak na nas.

***

Śnieg sypie całą noc, aż drogowcy nie nadążają i świat staje się kompletnie biały. Wkładam kozaki do spódnicy, którą noszę od tygodnia – zmieniam tylko bluzki – i chowam czółenka do reklamówki. Z radia płyną komunikaty o zamknięciu szkół, psuje się autobus, którym jedziemy z Edisonem, więc spieszymy się na inny i przesiadamy dwukrotnie, w wyniku czego docieramy do sądu z pięciominutowym opóźnieniem. Napisałam do Kennedy esemesa i wiem, że nie ma czasu na zakradanie się od tyłu. Czeka na nas na schodach, a dziennikarze od razu pchają mi pod nos mikrofony. Edison obejmuje mnie ramieniem, odgradzamy się od tłumu.

– Módl się, żeby sędzia Thunder musiał odkopywać samochód – mruczy Kennedy.

– Autobus się zepsuł…

– Nic mnie to nie obchodzi. Na twoim miejscu wolałabym ich do siebie nie zrażać.

Pędzimy na salę rozpraw, gdzie Odette czeka już z zadowoloną miną, jakby koczowała tu od szóstej rano. Pewnie sypia pod ławką. Wchodzi sędzia Thunder, zgięty wpół, wszyscy wstajemy.

– Wjechał we mnie jakiś kretyn i rozwalił mi plecy – oznajmia. – Przepraszam za spóźnienie.

– Wszystko w porządku, wysoki sądzie? – dopytuje Kennedy. – Wezwać lekarza?

– Doceniam pani troskę, pani McQuarrie, choć zapewne wolałaby pani, żebym wylądował w szpitalu. Najlepiej bez środków przeciwbólowych w zasięgu ręki. Pani Lawton, proszę wezwać świadka, bo stracę twarz i łyknę ketonal.

Pierwszym świadkiem oskarżenia jest dzisiaj detektyw, który przesłuchiwał mnie po aresztowaniu.

– Detektywie MacDougall – zaczyna Odette po zwyczajowej formułce z podaniem nazwiska i adresu. – Gdzie pan pracuje?

– W East Endzie w stanie Connecticut.

– W jaki sposób doszło do pańskiego udziału w sprawie?

Mężczyzna odchyla się na krześle. Wydaje się na nim rozlewać, wypełnia całe miejsce dla świadka.

– Zadzwonił do mnie pan Bauer, zaprosiłem go na komisariat, aby przyjąć jego skargę. Był bardzo roztrzęsiony. Twierdził, że pielęgniarka, która opiekowała się jego synem, celowo nie udzieliła dziecku pomocy i przyczyniła się do jego śmierci. Przesłuchałem personel medyczny zaangażowany w sprawę, spotkałem się z lekarzem sądowym… i z panią.

– Czy przesłuchiwał pan pozwaną?

– Tak. Po wydaniu nakazu aresztowania udaliśmy się do domu pani Jefferson i zapukaliśmy do drzwi, głośno, ale nie otworzyła.

O mało nie zrywam się z krzesła. Howard i Kennedy przytrzymują mnie jednocześnie. Była trzecia nad ranem. Wcale nie zapukali, tylko walili w drzwi, póki nie wypadły z zawiasów. Celowali do mnie.

Wzburzona nachylam się do Kennedy.

– To kłamstwo. On kłamie pod przysięgą – szepczę.

– Cii – mówi Kennedy.

– Co było dalej? – pyta prokuratorka.

– Nie doczekaliśmy się odpowiedzi.

Dłoń Kennedy zaciska się mocniej na moim ramieniu.

– Zachodziła obawa, że ucieknie przez ogród, dlatego kazałem moim ludziom wyważyć drzwi.

– Czyli wszedł pan do środka i aresztował panią Jefferson?

– Tak – potwierdza detektyw. – Ale najpierw natrafiliśmy na rosłego, czarnoskórego osobnika…

– Nie – mówię cicho, a Howard kopie mnie pod stołem.

– …który okazał się być synem pani Jefferson. W obawie o bezpieczeństwo funkcjonariuszy przeprowadziliśmy pobieżną rewizję sypialni i założyliśmy pani Jefferson kajdanki.

Przewracali mi meble. Tłukli naczynia. Zrywali ubrania z wieszaków. Obezwładnili mojego syna.

– Poinformowałem zatrzymaną o jej prawach – ciągnie detektyw MacDougall. – I odczytałem zarzuty.

– Jak to przyjęła?

Mężczyzna się krzywi.

– Powiedzmy, że nie współpracowała.

– Proszę kontynuować.

– Zawieźliśmy ją na posterunek w East Endzie, gdzie zdjęto jej odciski palców, wykonano dokumentację fotograficzną i umieszczono zatrzymaną w celi. Następnie moja koleżanka detektyw Leong i ja zaprowadziliśmy ją do sali konferencyjnej, gdzie ponownie została poinformowana, że ma prawo do adwokata i może zachować milczenie lub w dowolnej chwili przestać odpowiadać na nasze pytania. Powiedzieliśmy, że jej zeznania mogą zostać wykorzystane w sądzie. Zapytałem, czy to rozumie. Potwierdziła.

– Czy poprosiła o adwokata?

– Nie od razu. Bardzo zależało jej na przedstawieniu swojej wersji wydarzeń. Utrzymywała, że nie dotykała dziecka, dopóki nie przestało oddychać. Przyznała też, że… jak to ujęła? Nie podziela punktu widzenia pana Bauera.

– Co było potem?

– Daliśmy jej do zrozumienia, że chcemy jej pomóc. Jeśli to był wypadek, niech powie wprost, a wyrok będzie łagodniejszy, uporządkujemy ten bałagan i będzie mogła dalej w spokoju wychowywać syna. Ale ona wtedy się zacięła i oświadczyła, że nic

więcej nie powie. – Wzrusza ramionami. – Czyli to chyba jednak nie był wypadek.

– Sprzeciw – mówi Kennedy.

Sędzia Thunder się wzdryga, usiłując obrócić się w stronę stenotypistki.

– Podtrzymuję. Proszę usunąć ostatnie zdanie świadka.

Lecz ono wisi w przestrzeni między nami jak poświata neonu po wyjęciu wtyczki.

Kennedy puszcza moją rękę i staje przed detektywem.

– Czy miał pan nakaz?

– Tak.

– Czy uprzedził pan Ruth o swoim przyjściu? Poprosił ją, by dobrowolnie stawiła się na policji?

– W przypadku oskarżenia o morderstwo procedura wygląda inaczej – informuje MacDougall.

– O której wydano nakaz?

– Około siedemnastej.

– A o której zjawił się pan w domu Ruth?

– Około trzeciej nad ranem.

Kennedy patrzy na przysięgłych, jakby nie wierzyła własnym uszom.

– Z czego wynikło to opóźnienie?

– Było to w pełni celowe działanie. Jedna z zasad obowiązujących w naszej branży polega na zjawieniu się w chwili, kiedy jesteśmy najmniej oczekiwani. Działamy wówczas z zaskoczenia, co przyspiesza sprawę.

– Kiedy zapukaliście do drzwi Ruth, a ona nie zaprosiła was na kawę, czy wzięliście pod uwagę, że o tej porze po prostu śpi?

– Nie będę się wypowiadał na temat zwyczajów pozwanej.

– Wspomniał pan o pobieżnej rewizji… innymi słowy, nie opróżniliście szuflad, nie poprzewracaliście mebli i nie zdemolowaliście domu pani Jefferson, kiedy była już skuta kajdankami i nie mogła sięgnąć po broń?

– Nigdy nie wiadomo, co aresztowany ma w zasięgu ręki, proszę pani.

– Czy to prawda, że obezwładniliście jej syna i wykręciliście mu ręce za plecami?

– To standardowa procedura ze względów bezpieczeństwa. Nie wiedzieliśmy, że to syn pani Jefferson. Zobaczyliśmy młodego, rosłego Murzyna, który wyglądał na bardzo wzburzonego.

– Czyżby? – pyta Kennedy. – Proszę mi jeszcze powiedzieć, że był w kapturze.

Sędzia Thunder nakazuje usunąć jej komentarz, a Kennedy wygląda na równie zdziwioną jak ja, kiedy siada.

– Wybacz – mamrocze. – Wymknęło mi się.

Ale sędzia jest wściekły, wzywa prawniczki do siebie. Znowu nie słyszymy, co mówi, ale cały poczerwieniał i ewidentnie wyżywa się na Kennedy, więc na pewno nie chodzi o pochwałę.

– I dlatego – szepcze po powrocie moja lekko pozieleniała pani adwokat – w sądzie nie mówimy o rasie.

Sędzia Thunder uznaje, że stan jego pleców uzasadnia odroczenie rozprawy do jutra.

Wracamy do domu dłużej niż zwykle, z powodu śniegu. Docieramy na naszą ulicę kompletnie przemoczeni i wyczerpani. Jakiś mężczyzna próbuje odkopać samochód gołymi rękami. Dwaj chłopcy z sąsiedztwa toczą bitwę na śnieżki, jeden pocisk trafia Edisona w plecy.

Przed naszym domem stoi samochód, czarny sedan z kierowcą, co stanowi tu rzadki widok, przynajmniej po wyjeździe z kampusu. Gdy podchodzę, otwierają się drzwi z tyłu i wychodzi kobieta w kurtce narciarskiej i futrzanych butach, owinięta grubym, wełnianym szalem, w czapce na głowie. Dopiero po chwili rozpoznaję w niej Christinę.

– Co ty tutaj robisz? – pytam ze szczerym zdziwieniem. Przez te wszystkie lata, odkąd tu zamieszkałam, ani razu u mnie nie była. Przez te wszystkie lata jej nie zaprosiłam.

Nie chodzi o to, że wstydzę się mojego domu. Kocham mój dom i to, jak mieszkam. Ale chyba nie zniosłabym jej okrzyków, jak tu uroczo, jak przytulnie, jak bardzo „po mojemu”.

– Byłam w sądzie – przyznaje, a ja nie posiadam się ze zdumienia. Patrzyłam na widownię i jej nie zauważyłam, a Christinę trudno przeoczyć.

Rozpina kurtkę, ukazując znoszoną flanelową koszulę i workowate spodnie, jakże dalekie od jej wytwornego stylu.

– Przyszłam incognito – wyjaśnia z nieśmiałym uśmiechem. Patrzy ponad moim ramieniem na Edisona. – Edison! Mój Boże, kiedy cię ostatnio widziałam, byłeś niższy od mamy…

Edison zadziera brodę w niezdarnym powitaniu.

– Idź do domu – mówię do niego, a kiedy znika za drzwiami, podnoszę wzrok na Christinę. – Nie rozumiem. Przecież gdyby dziennikarze zwęszyli, że tu jesteś…

– To kazałabym im spadać na drzewo – oznajmia wojowniczo. – Do diabła z Kongresem. Powiedziałam Larry'emu, że jadę i koniec. W razie, gdyby ktoś mnie pytał, powiem prawdę: jesteśmy przyjaciółkami.

– Co ty tu robisz, Christino? – powtarzam z naciskiem.

Mogła napisać. Mogła zadzwonić. Mogła po prostu mnie wesprzeć duchowo, siedząc na sali rozpraw. Ale ona tkwiła pod moim domem, Bóg wie jak długo.

– Jestem twoją przyjaciółką – mówi cicho. – A przyjaciele tak właśnie postępują. – Widzę łzy w jej oczach. – To, co ci zrobili… wtargnięcie policji… kajdanki. Atak na Edisona. Do głowy mi nie przyszło… – Urywa, po czym zrywa pęk swoich myśli i podaje mi najsmutniejszy, najszczerszy bukiet. – Nie miałam pojęcia.

– A skąd mogłaś wiedzieć? – pytam, nie ze złością, nie z żalem, po prostu stwierdzam fakt.

Christina wyciera oczy, rozmazując tusz.

– Nie wiem, czy ci o tym opowiadałam – mówi. – Historia jest związana z twoją matką i wydarzyła się dawno temu, kiedy byłam na studiach. Jechałam do domu z Vassar na Dzień Dziękczynienia i na poboczu przy Taconic Parkway zobaczyłam autostopowicza. Był to Murzyn z chorą nogą, chodził o kulach. Zatrzymałam się i spytałam, czy go podwieźć. Zawiozłam go aż na Penn Station, skąd mógł pojechać pociągiem do rodziny w DC. – Ciaśniej owija się kurtką. – Kiedy wróciłam do domu i Lou przyszła mi pomóc się

rozpakować, o wszystkim jej opowiedziałam. Myślałam, że będzie dumna ze swojej dobrej samarytanki i w ogóle. Jak ona się wściekła, Ruth! Słowo daję, w życiu nie widziałam jej w takim stanie. Chwyciła mnie za barki i potrząsnęła, słowa nie mogła wydusić. „Nigdy więcej tego nie rób", powiedziała w końcu, a ja byłam tak wstrząśnięta, że jej to obiecałam. – Christina przenosi na mnie wzrok. – Siedziałam dziś w sądzie, słuchając opowieści tego detektywa, jak wyważył ci drzwi w środku nocy i obezwładnił was oboje, a w głowie dźwięczał mi głos Lou po mojej opowieści o czarnym autostopowiczu. Wiem, że zareagowała tak, ponieważ się bała. Ale przez te wszystkie lata żyłam w przekonaniu, że troszczyła się o moje bezpieczeństwo. Dziś zrozumiałam, że chodziło jej o niego.

Latami, uświadamiam sobie teraz, zakładałam, że Christina widzi we mnie osobę ze swojej przeszłości, którą się toleruje i można wspomóc. W dzieciństwie czułam, że jesteśmy równe, lecz gdy upływ czasu uzmysłowił nam, że więcej nas dzieli, niż łączy, powstała między nami przepaść. Po cichu miałam jej za złe, że ocenia mnie i moje życie, zamiast spytać wprost. Ona była gwiazdą, ja postacią z jej tła, przy czym zręcznie pomijałam fakt, że sama się w tej roli obsadziłam. Obwiniałam Christinę, że wzniosła ten niewidzialny mur między nami, chociaż sama dorzuciłam do niego parę cegieł.

– Zostawiłam ci pieniądze pod wycieraczką – mówię.

– Wiem – odpowiada Christina. – Mogłam ci je przylepić do ręki.

Dzieli nas dwadzieścia centymetrów, a zarazem lata świetlne, mimo to ja też wiem, jak trudno zedrzeć z życia warstwę pozorów i wejrzeć w głąb. Jakby obudzić się w pokoju, wstać z łóżka i zobaczyć, że ktoś zrobił przemeblowanie. W końcu człowiek się odnajdzie, ale nie od razu, a po drodze zarobi parę siniaków.

Wyciągam rękę i ściskam dłoń Christiny.

– Wejdziesz?

Następny dzień jest mroźny i pogodny. Resztki wspomnień wczorajszej śnieżycy wymieciono z dróg, a temperatura skutecznie odstraszyła część osób pikietujących przed sądem. Nawet sędzia

Thunder wygląda na wyciszonego, nie wiem, czy za sprawą leków na obolałe plecy, czy z powodu rychłego zakończenia przesłuchań świadków oskarżenia. Dzisiaj pierwszym z nich jest lekarz sądowy, doktor Bill Binnie, uczeń słynnego Henry'ego Lee. Jest młodszy, niż można by się spodziewać, ma delikatne dłonie, które trzepoczą w trakcie jego wypowiedzi jak tresowane ptaki siedzące na jego kolanach. Do tego wygląda jak gwiazdor filmowy, więc panie z ławy przysięgłych spijają z jego ust każde słowo, nawet gdy wylicza nudną litanię swoich osiągnięć zawodowych.

– Kiedy po raz pierwszy usłyszał pan o Davisie Bauerze, panie doktorze? – pyta prokuratorka.

– Zadzwoniła do nas Corinne McAvoy, pielęgniarka ze szpitala Mercy-West Haven, i zostawiła wiadomość.

– Oddzwonił pan do niej?

– Tak. Kiedy przekazano nam ciało dziecka, wykonaliśmy sekcję.

– Czy mógłby pan wyjaśnić sądowi, na czym to dokładnie polega?

– Jasne. – Lekarz odwraca się w stronę przysięgłych. – Dokonuję oględzin zewnętrznych i wewnętrznych. Podczas tego pierwszego oglądam zwłoki pod kątem siniaków i wszelkich innych śladów. Mierzę ciało, obwód głowy, robię zdjęcia. Pobieram próbki krwi oraz żółci. Następnie, w celu przeprowadzenia oględzin wewnętrznych, robię na piersi nacięcie w kształcie litery Y, odsuwam skórę i badam płuca, wątrobę i serce, a także pozostałe narządy, szukając pęknięć bądź anomalii. Ważymy i mierzymy narządy. Pobieramy próbki tkanek, po czym wysyłamy je na toksykologię i czekamy na wyniki w celu ustalenia przyczyny zgonu.

– Czy podczas tej sekcji poczynił pan jakieś istotne spostrzeżenia? – pyta Odette.

– Wątroba była lekko powiększona. Zauważyłem pewien przerost serca oraz przetrwały przewód tętniczy, w minimalnym stopniu, lecz poza tym żadnych wad wrodzonych. Żadnych anomalii w związku z zastawkami serca.

– Co to znaczy?

– Przetrwały przewód tętniczy to dziurka w sercu. Ale naczynia były odpowiednio połączone – dodaje. – Nie zauważyłem ubytków przegrody międzykomorowej.

– Czy któreś z powyższych odkryć wskazywało na przyczynę zgonu?

– Nie bardzo – odpowiada lekarz sądowy. – Były całkowicie uzasadnione. Jak wynikało z karty, matka miała cukrzycę ciążową.

– Co to takiego?

– Stan prowadzący do podwyższonego poziomu glukozy w czasie ciąży. Niestety, nie pozostaje on bez wpływu na dziecko.

– Jak to?

– Dzieci matek z cukrzycą często rodzą się większe i mogą mieć powiększoną wątrobę, serce oraz nadnercza. Nierzadko zdradzają też objawy hipoglikemii po narodzinach, właśnie z powodu podwyższonego poziomu insuliny we krwi. Tak było również w przypadku Davisa Bauera. Wnioski płynące z sekcji wraz z informacją zawartą w karcie potwierdzają cukrzycę matki.

– A co z dziurą w sercu dziecka? To brzmi poważnie…

– W istocie nie jest takie straszne. W większości przypadków przewód tętniczy zamyka się samoistnie – oznajmia doktor Binnie i zerka na przysięgłych. Przysięgła numer dwanaście, nauczycielka, nie wytrzymuje napięcia i zaczyna się wachlować.

– Czy zatem ustalił pan przyczynę zgonu?

– To bardziej skomplikowane, niż się wydaje – mówi lekarz sądowy. – My, maniacy medyczni, rozróżniamy między tym, jak ktoś umarł, a zmianą w ciele, która doprowadziła do śmierci. Powiedzmy, że ktoś dostał kulkę i umarł. Przyczyną zgonu jest rana postrzałowa. Ale śmierć fizycznie nastąpiła z powodu wykrwawienia.

Przenosi uwagę z Odette na przysięgłych.

– Pozostaje jeszcze kwestia, jak do tego doszło. Czy rana postrzałowa nastąpiła w wyniku wypadku? Samobójstwa? Celowego ataku? Na sali sądowej wszystkie te rzeczy nabierają znaczenia.

Prokuratorka załącza kolejny dowód rzeczowy.

– To, co państwo zobaczą – uprzedza przysięgłych – może nie nadawać się dla ludzi o słabych nerwach.

I stawia na sztaludze zdjęcie ciała Davisa Bauera.

Oddech więźnie mi w gardle. Te małe palce, krzywe nóżki. Żołądź, jeszcze zakrwawiona po obrzezaniu. Gdyby nie sińce i błękitnawe zabarwienie skóry, wyglądałby, jakby spał.

Zabrałam to ciało z kostnicy. Kołysałam na rękach. Uniosłam do nieba.

– Panie doktorze – zaczyna Odette – czy mógłby nam pan… – Ale nie kończy zdania, bo na widowni rozlega się huk. Wszyscy się odwracamy i widzimy, że Brittany Bauer zerwała się z dzikim wzrokiem. Mąż stoi przed nią i przytrzymuje ją za barki. Trudno powiedzieć, czy chce ją uspokoić, czy utrzymać w pozycji stojącej.

– Puszczaj – krzyczy ona. – To mój syn!

Sędzia Thunder wali młotkiem.

– Proszę o spokój – woła i dorzuca łagodnie: – Prosiłbym, żeby pani usiadła…

Ale Brittany celuje we mnie roztrzęsionym palcem. Ten widok przeszywa mnie prądem, jakby użyła paralizatora.

– Kurwa, zabiłaś mi dziecko. – Potyka się i sunie w moją stronę, a ja wstaję odruchowo, przyciągana siłą jej nienawiści. – Zapłacisz mi za to, choćbym miała skonać.

Kennedy woła coś do sędziego, który ponownie tłucze młotkiem i wzywa woźnego. Ojciec Brittany Bauer próbuje ją uspokoić, ale bezskutecznie. Kiedy ją wyprowadzają, przez salę przechodzi szmer, wstrząśnięci ludzie komentują między sobą, co zaszło. Turk Bauer stoi jak porażony; jest rozdarty, nie wie, czy biec i pocieszyć żonę, czy zostać i słuchać dalej. Po chwili odwraca się i wybiega z sali.

Kiedy sędzia nawołuje o spokój, ponownie odwracamy się twarzami do wielkiego portretu martwego noworodka. Jedna z przysięgłych wybucha płaczem i dwie osoby ją uspokajają, a sędzia Thunder ogłasza przerwę.

Kennedy wypuszcza ze świstem powietrze.

– A niech mnie – mówi.

Kwadrans później na salę wracają wszyscy oprócz Bauerów, których nieobecność bije w oczy, jakby dla przypomnienia, dlaczego musieliśmy przerwać. Odette pokazuje lekarzowi sądowemu kolejne zdjęcia zwłok dziecka, pod każdym możliwym kątem. Prosi go o objaśnienie wyników badań, zaznaczenie, co odpowiadało normie, a co od niej odbiegało.

– Czy udało się panu określić przyczynę zgonu Davisa Bauera? – pyta w końcu.

Doktor Binnie potwierdza.

– W przypadku Davisa Bauera przyczyną zgonu była hipoglikemia, która doprowadziła do zatrzymania oddechu, a następnie pracy serca. Innymi słowy, niski poziom glukozy spowodował, że dziecko zapadło w letarg i przestało oddychać, co z kolei zatrzymało jego serce. Dziecko się udusiło. Z nieznanych powodów.

– Nieznanych? Czy to znaczy, że działania pozwanej nie miały tu nic do rzeczy? – pyta Odette.

– Bynajmniej. To oznacza jedynie, że trudno określić z całą pewnością, czy śmierć nastąpiła z przyczyn naturalnych.

– Jak pan to badał?

– Oczywiście czytałem kartę pacjenta i raport policyjny, który dostarczył mi pewnych informacji.

– Mianowicie?

– Pan Bauer powiedział policji, że Ruth Jefferson mocno uderzała w pierś jego syna. Siniaki na mostku mogłyby potwierdzać ten zarzut.

– Czy coś jeszcze z policyjnego raportu nasunęło panu tę konkluzję?

– Z relacji świadków wynikało, że pozwana nie podjęła resuscytacji do czasu przybycia pozostałych członków personelu medycznego.

– Dlaczego miało to znaczenie dla wyników sekcji?

– Ponieważ dotyczy tego, jak chłopiec umarł – wyjaśnia doktor Binnie. – Nie wiem, jak długo trwało zatrzymanie oddechu. Gdyby usiłowano zaradzić mu zawczasu, bardzo możliwe, że nie doszłoby do zatrzymania akcji serca. – Patrzy na przysięgłych. – Gdyby pozwana podjęła stosowne kroki, istnieje duże prawdopodobieństwo, że nie siedzielibyśmy tu dzisiaj.

– Nie mam więcej pytań – mówi Odette.

Kennedy podnosi się z krzesła.

– Panie doktorze, czy raport policyjny wskazywał, że dziecku celowo zadano obrażenia?

– Wspomniałem już o siniakach na mostku…

– Tak, wspomniał pan. Ale czyż nie jest możliwe, że powstały one w wyniku intensywnego, uzasadnionego medycznie masażu serca?

– Owszem – przyznaje lekarz.

– Czy nie wyklucza pan innych scenariuszy, innych niż celowe działanie na szkodę, które mogły doprowadzić do śmierci chłopca?

– Nie wykluczam.

Kennedy prosi go o zapoznanie się z wynikami badań przesiewowych, które już włączyła do akt.

– Czy zechciałby pan rzucić okiem na dowód rzeczowy numer czterdzieści dwa?

Lekarz kartkuje dokumenty.

– Proszę nam powiedzieć, na co pan patrzy.

Mężczyzna podnosi wzrok.

– Na wyniki badań przesiewowych Davisa Bauera.

– Czy miał pan do nich dostęp w czasie przeprowadzania sekcji?

– Nie miałem.

– Pracuje pan w laboratorium stanowym, gdzie przeprowadzono te badania, prawda?

– Zgadza się.

– Czy powie nam pan kilka słów na temat zaznaczonego wykresu na pierwszej stronie?

– To badanie na obecność niedoboru MCAD. Wynik jest pozytywny.

– Czyli?

– Zachodziłaby konieczność niezwłocznego powiadomienia lekarza prowadzącego.

– Czy dzieci z MCAD mają objawy od urodzenia?

– Nie – mówi lekarz sądowy. – Nie. To jeden z powodów, dla których w stanie Connecticut wykonuje się badania przesiewowe.

– Doktorze Binnie – ciągnie Kennedy. – Był pan świadomy, że matka miała cukrzycę ciążową, a dziecko niski poziom glukozy, tak?

– Owszem.

– Zaznaczył pan wcześniej, że to cukrzyca spowodowała hipoglikemię u noworodka, tak?

– Taki wniosek wysnułem w czasie sekcji.

– Czy dopuszcza pan możliwość, że hipoglikemia była wynikiem MCAD?

Lekarz potwierdza.

– A letarg i brak apetytu dziecka? – drąży Kennedy.

– Również.

– A powiększone serce… czyż nie jest ono skutkiem ubocznym nie tylko cukrzycy ciążowej matki, ale i tego konkretnego zaburzenia metabolicznego?

– Zgadza się.

– Doktorze Binnie, czy dowiedział się pan z karty pacjenta, że Davis Bauer cierpiał na tę chorobę?

– Nie.

– Czy gdyby wyniki nadeszły w porę, wziąłby je pan pod uwagę?

– Naturalnie.

– Co dzieje się z noworodkiem, u którego nie wykryto tych zaburzeń?

– Często nie zdradza żadnych symptomów, dopóki coś nie powoduje kryzysu metabolicznego.

– Na przykład co?

– Choroba. Infekcja. – Chrząka. – Okres głodzenia.

– Okres głodzenia? – powtarza Kennedy jak echo. – Na przykład przed obrzezaniem?

– Właśnie.

– A jeśli dziecko z niewykrytym MCAD doświadczy wyżej wymienionych bodźców?

– Dochodzi u niego do zaostrzenia choroby w postaci letargu, wymiotów, hipoglikemii, śpiączki – wylicza lekarz. – Śmierć następuje w około dwudziestu procentach przypadków.

Kennedy podchodzi do przysięgłych i staje do nich plecami, po czym wraz z nimi patrzy na lekarza.

– Panie doktorze, jeśli Davis Bauer miał MCAD, czego nikt w szpitalu nie był świadomy, jeśli zgodnie z przepisami urządzono mu trzygodzinną głodówkę jak u zdrowych dzieci, doprowadzając tym samym do kryzysu metabolicznego w jego małym ciałku, to czy nie zachodzi duże prawdopodobieństwo, że umarłby bez względu na pomoc udzieloną mu przez Ruth Jefferson?

Lekarz sądowy patrzy na mnie ze skruchą.

– Owszem – przyznaje.

O Boże, mój Boże. Atmosfera w sądzie ulega zmianie. W ciszy, która zapadła na widowni, słyszę szelest odzieży, pomruk możliwości. Turk i Brittany Bauer jeszcze nie wrócili, pod ich nieobecność rozkwita nadzieja.

Słyszę, jak Howard mamrocze pod nosem.

– Nie mam więcej pytań, wysoki sądzie – mówi Kennedy, po czym wraca do stołu i puszcza do mnie oko: „A nie mówiłam?”.

Moja radość trwa krótko.

– Mam jeszcze jedno pytanie – mówi Odette i wstaje, zanim doktor Binnie zostaje zwolniony przed sąd. – Panie doktorze, powiedzmy, że szpital w porę otrzymałby wyniki. Co wtedy?

– Istnieją pewne zaburzenia, które pociągają za sobą konieczność wysłania rodzicom listu z propozycją konsultacji genetycznych – wyjaśnia lekarz sądowy. – Ale coś takiego wymaga natychmiastowej interwencji neonatologa. Dziecko trafiłoby pod ścisłą obserwację i przeszłoby dodatkowe badania potwierdzające diagnozę. Zdarza się, że wysyłamy rodzinę do ośrodka leczenia metabolicznego.

– Wiele dzieci z MCAD zostaje formalnie zdiagnozowanych dopiero po kilku tygodniach. Albo miesiącach. Prawda?

– Owszem – potwierdza lekarz. – To zależy od tego, kiedy uzyskamy potwierdzenie.

– Potwierdzenie – powtarza prokuratorka. – Zatem wynik badań przesiewowych nie jest ostateczną diagnozą.

– Nie.

– Czy Davis Bauer przeszedł dodatkowe badania?

– Nie – odpowiada doktor Binnie. – Nie zdążył.

– A więc nie może pan bez cienia wątpliwości stwierdzić, że cierpiał na MCAD.

– Nie mogę – mówi lekarz po chwili wahania.

– Ani że zmarł w wyniku kryzysu metabolicznego.

– Niezupełnie.

– Czyli pozwana i jej obrońcy mogą chwytać się wszelkich możliwych sposobów, by odwrócić uwagę przysięgłych od faktu, że Ruth Jefferson skrzywdziła niewinne dziecko, gdy najpierw nie

udzieliła mu pomocy, a następnie okładała je bez umiaru, aż posiniaczyła jego drobne ciałko?

– Sprzeciw! – krzyczy Kennedy.

– Wycofuję – mówi Odette, ale co się stało, to się nie odstanie. Jej ostatnie słowa zapadną przysięgłym w pamięć, a mój optymizm rozwiewa się bez śladu.

Tego wieczora Edison milczy w drodze do domu. Natychmiast po powrocie, gdy zaczynam robić kolację, przechodzi w kurtce przez duży pokój i oznajmia, że boli go głowa i idzie przewietrzyć myśli. Nie zatrzymuję go. Jak miałabym tego dokonać? Co powiedzieć, żeby wymazać to, przez co przeszedł, gdy siedział za mną jak cień i codziennie słuchał, jak próbują zrobić ze mnie kogoś, kim nie jestem?

Jem sama, a w zasadzie ledwo skubię to, co mam na talerzu. Przykrywam resztę folią aluminiową, siadam przy kuchennym stole i czekam na Edisona. Wmawiam sobie, że zjem po jego powrocie.

Ale mija godzina. Dwie. Kiedy dochodzi północ, a on nie wraca i nie odpowiada na moje wiadomości, kładę głowę na poduszce z rąk.

Myślę o Kangurzym Pokoju w szpitalu. Tak nazywamy pomieszczenie, gdzie na ścianie namalowano torbacza. Tam umieszczamy matki, które straciły dzieci.

Prawdę powiedziawszy, nigdy nie lubiłam określenia „straciły”. One doskonale wiedzą, gdzie znajdują się ich maleństwa. Oddałyby wszystko, łącznie z własnym życiem, żeby je odzyskać.

W Kangurzym Pokoju pozwalamy rodzicom spędzić z dzieckiem tyle czasu, ile chcą. Turk i Brittany Bauer na pewno też trafili tam z Davisem. To narożne pomieszczenie obok dyżurki, celowo położone z dala od sal porodowych, jakby żałoba była zaraźliwa.

Dzięki temu odosobnieniu rodzice nie muszą mijać sal, gdzie przebywają matki ze zdrowymi dziećmi. Nie muszą słuchać płaczu noworodków przychodzących na świat, kiedy ich dziecko go opuściło.

W Kangurzym Pokoju umieszczaliśmy też matki, które dzięki USG wiedziały, że ich dzieci nie mają szans na przeżycie. Albo matki, które z powodu poważnych wad płodu musiały późno usunąć ciążę.

Albo takie, które urodziły normalnie i które – ku swojej niebotycznej zgrozie – w ciągu kilku godzin przeżyły najwspanialsze i najgorsze chwile swego życia.

Jeżeli miałam pod opieką pacjentkę, której dziecko umarło, robiłam odciski rąk i stópek w gipsie. Albo obcinałam kosmyki włosów. Znałam fotografów, którzy potrafili zrobić zdjęcie zmarłemu i tchnąć w nie życie. Gromadziłam pamiątki, żeby rodzice nie wychodzili ze szpitala z pustymi rękami.

Moją ostatnią pacjentką w Kangurzym Pokoju była Jiao. Jej mąż robił studia podyplomowe w Yale, ona była architektem. Przez całą ciążę miała wielowodzie, czyli nadmiar płynu owodniowego, i przychodziła co tydzień na punkcję pęcherza płodowego i amniocentezę, aby sprawdzić, czy dziecko rozwija się prawidłowo. Żeby dać wam obraz sytuacji, któregoś razu ściągnęłam z niej cztery litry płynu. Oczywiście to nie jest zdrowe ani normalne. Zapytałam jej lekarza, czym to może być spowodowane – czy u dziecka nastąpiła niedrożność przełyku? Dziecko w macicy zwykle wchłania płyn owodniowy, lecz skoro aż tyle się go zbierało, nie był połykany. Badanie USG nie budziło jednak obaw i nikt nie mógł ostrzec Jiao, że dzieje się coś niepokojącego. Była przekonana, że dziecku nic nie dolega.

Gdy któregoś dnia przyszła, u dziecka stwierdzono obrzęk uogólniony – pod jego skórą zbierał się płyn przesiękowy. Została u nas tydzień, po czym jej lekarz próbował wywołać poród, ale zaniechano tego z uwagi na stan dziecka. Zrobiono cesarkę. Okazało się, że syn Jiao miał niedorozwój płuc. Zmarł w jej ramionach zaraz po urodzeniu, spuchnięty i obrzmiały jak ludzik z pianek cukrowych.

Jiao została umieszczona w Kangurzym Pokoju; jak wiele matek, które pogodziły się ze śmiercią maleństwa, była nieobecna duchem i odrętwiała z bólu. Ale w przeciwieństwie do nich nie płakała i nie chciała zobaczyć dziecka, jakby nosiła w sercu obraz idealnego chłopca i nic innego nie przyjmowała do wiadomości. Mąż próbował ją nakłonić, żeby potrzymała synka, wtórowali mu matka i lekarz. Wreszcie, po ośmiu godzinach jej katatonii, owinęłam dziecko ciepłym kocykiem i włożyłam mu czapeczkę. Następnie zaniosłam go Jiao.

– Jiao – zwróciłam się do niej. – Pomożesz mi go wykąpać?

Nie odpowiedziała. Spojrzałam na jej męża, jej biednego męża, który pokiwał głową na zachętę.

Napełniłam miskę ciepłą wodą i wyjęłam mokre chusteczki. Stanęłam przy łóżku Jiao i odwinęłam kocyk. Następnie namoczyłam chusteczkę w ciepłej wodzie i przejechałam nią po serdelkowatych nogach chłopca, jego sinych rękach. Wytarłam jego spuchniętą twarz i zesztywniałe palce.

Następnie wcisnęłam chusteczkę do ręki Jiao.

Nie wiem, czy woda wróciła jej przytomność, czy może widok dziecka, ale z moją pomocą obmyła wszystkie fałdki i zagłębienia. Zawinęła synka w kocyk. Przystawiła go do piersi. A potem ze szlochem, który brzmiał, jakby odrywała część siebie, oddała mi maleństwo.

Kiedy wynosiłam dziecko z Kangurzego Pokoju, jeszcze nad sobą panowałam. Lecz gdy Jiao osunęła się w ramiona męża, nie wytrzymałam. Płakałam przez całą drogę do kostnicy, a kiedy tam dotarłam, nie mogłam się z nim rozstać tak samo jak jego matka.

Słyszę chrobot klucza, Edison wchodzi na palcach. Nie zapala światła, skrada się, bo myśli, że śpię. Ale ja podnoszę głowę i go wołam.

– Dlaczego nie śpisz? – pyta.

– Dlaczego tak późno wróciłeś?

Widzę go wyraźnie, cień wśród cieni.

– Byłem sam. Spacerowałem.

– Przez sześć godzin? – Nie wytrzymuję.

– Tak. Przez sześć godzin – odpowiada wyzywającym tonem. – Może załóż mi GPS, jeśli nie masz do mnie zaufania.

– Do ciebie mam – mówię. – Do reszty świata niekoniecznie.

Wstaję, więc dzieli nas tylko kilka centymetrów. Wszystkie matki się martwią, ale czarne martwią się trochę bardziej.

– Nawet spacer może być niebezpieczny. Samo bycie może być niebezpieczne, jeśli znajdziesz się w niewłaściwym miejscu i w niewłaściwym czasie.

– Nie jestem głupi – oznajmia Edison.

– Wiem o tym najlepiej. W tym sęk. Umiesz wynajdywać wymówki dla głupszych od siebie. Jesteś gotów wierzyć na słowo i to jest w tobie niesamowite. Ale musisz bardziej uważać, bo być może niedługo… – Urywam, nie kończąc zdania. – Będę musiała cię zostawić.

Grdyka mu podskakuje i nagle wiem, o czym rozmyślał przez cały ten czas. Wyobrażam sobie, jak krążył ulicami New Haven, usiłując odgrodzić się od faktu, że proces dobiega końca. A kiedy to nastąpi, nic już nie będzie takie samo.

– Mamo – mówi ściszonym głosem. – Co ja mam robić?

Przez chwilę próbuję zdecydować, jak ująć w jednym zdaniu sumę lekcji życiowych. Potem patrzę na niego z miłością.

– Rozkwitać.

Edison się wyrywa. Po chwili zatrzaskuje drzwi do swego pokoju, a muzyka tłumi pozostałe dźwięki, które na próżno usiłuję rozróżnić.

Chyba już wiem, dlaczego mówi się Kangurzy Pokój. Ponieważ nawet gdy nie mamy już dziecka, nosimy je w sercu do końca życia.

Kiedy dziecko traci rodzica, a pokój jest rozmiarów świata, dzieje się to samo. Na pogrzebie mamy schowałam do kieszeni płaszcza garść chłodnej ziemi z jej grobu. Czasem noszę ten płaszcz po domu, bo tak. Przesypuję ziemię palcami, ściskam ją w dłoni.

Ciekawe, co zostanie po mnie Edisonowi.

32 Amerykańska pielęgniarka i działaczka, założycielka Amerykańskiego Czerwonego Krzyża.

Turk

Ujmuję w dłonie twarz Brit i czołem dotykam jej czoła.

– Oddychaj – mówię. – Pomyśl o Wiedniu.

Żadne z nas nigdy tam nie było, ale Brit znalazła kiedyś w antykwariacie starą fotografię i powiesiła ją na ścianie w sypialni. Widać na niej piękny ratusz, a na placu przed nim tłoczą się przechodnie i matki z dziećmi – wszyscy biali. Zawsze chcieliśmy uzbierać pieniądze, żeby tam kiedyś pojechać. Kiedy Brit przygotowywała się do porodu, Wiedeń był jednym z naszych umówionych słów, dzięki którym miała się skupić.

Łapię się na tym, że szepczę to samo słowo, którym ją uspokajałem, kiedy rodziła Davisa – ale teraz je powtarzam, żeby przestała widzieć przed oczami naszego martwego syna.

Nagle otwierają się drzwi sali konferencyjnej i wchodzi prokuratorka.

– Miły akcent. Przysięgli uwielbiają zrozpaczone matki, które tracą panowanie nad sobą. Ale groźby w obecności sędziego? To już nie było rozsądne.

Brit cała się zjeża. Odpycha mnie i staje tuż na wprost tamtej.

– Ja niczego nie udaję – cedzi niepokojąco spokojnym głosem. – A ty nie będziesz mi mówić, co jest, a co nie jest rozsądne, szmato.

Łapię ją za rękę.

– Kochanie, może pójdziesz się umyć? Ja to załatwię.

Brit nawet nie drgnie. Stoi nieruchomo na wprost Odette Lawton, jak samiec alfa nad drugim kundlem, póki tamten nie podkuli ogona. Potem odwraca się gwałtownie i wychodzi, trzaskając drzwiami.

To i tak cud, że możemy tam siedzieć, mimo iż mamy zeznawać. Był o to wielki hałas jeszcze przed rozpoczęciem rozprawy. Ta skubana obrończyni z urzędu myślała, że nas spławi, domagając się

odosobnienia wszystkich świadków, ale sędzia stwierdził, że mamy prawo tam być jako rodzice Davisa. Prokuratorka na pewno nie chce dać mu podstaw do zmiany tej decyzji.

– Panie Bauer – mówi. – Musimy porozmawiać.

Staję z założonymi rękami.

– Dlaczego po prostu nie zrobi pani tego, co do niej należy? I wygra tę sprawę?

– Pańska żona bardzo utrudnia mi zadanie, bo zachowuje się jak chuliganka, a nie zrozpaczona matka. – Świdruje mnie wzrokiem. – Nie mogę powołać jej na świadka.

– Słucham? – rzucam. – Przecież mamy wszystko zaplanowane…

– Owszem, ale nie ufam Brittany – mówi obojętnym tonem. – Pańska żona jest nieobliczalna. Nie chcemy takich osób w charakterze świadka.

– Przysięgli muszą wysłuchać matki.

– Nie muszą, skoro gotowa jest zwymyślać pozwaną od bambusów. – Patrzy na mnie chłodno. – Możecie gardzić mną i takimi jak ja, panie Bauer. Prawdę powiedziawszy, mam to gdzieś. Ale zapewniam pana, że jestem waszą najlepszą… jedyną… szansą na wygraną. Dlatego nie tylko będę wam mówić, co jest, a co nie jest rozsądne, ale to ja dyktuję warunki. A to oznacza, że pańska żona nie zeznaje.

– Sędzia i przysięgli nabiorą podejrzeń.

– Sędzia i przysięgli pomyślą, że jest zbyt roztrzęsiona. Pana świadectwo w zupełności wystarczy.

Czy to znaczy, że mniej kochałem Davisa? Bo w przeciwieństwie do Brit trzymam swój ból w ryzach?

– Słyszał pan wczorajszą teorię obrony, że pański syn cierpiał na niezdiagnozowaną chorobę metaboliczną?

Było to podczas zeznania pediatry. Używali medycznego żargonu, ale z grubsza się połapałem.

– Uhm, jasne. Podrygi tonącej ostrygi.

– Niezupełnie. Kiedy was nie było, lekarz sądowy potwierdził wyniki. Davis miał MCAD. Usiłowałam podważyć wiarygodność jego zeznania, ale prawda jest taka, że obrona zasiała ziarno, które już wykiełkowało: u pańskiego syna wykryto potencjalnie śmiertelną

chorobę, a wyniki przyszły za późno. Gdyby to się nie wydarzyło, możliwe, że nadal by żył.

Czuję, że kolana mi miękną, siadam ciężko na stole. Mój synek był chory, a my o tym nie wiedzieliśmy? I w szpitalu tego nie wykryli?

To takie… nieprzewidziane. Takie bezcelowe.

Gdy prokuratorka dotyka mojego ramienia, wzdrygam się mimowolnie.

– Proszę tego nie robić. Niech pan nie zatraca się w swoich myślach. Mówię panu o tym, żeby się pan nie zdziwił w trakcie przesłuchania. Ale Kennedy McQuarrie znalazła jedynie potencjalną diagnozę, która nigdy nie została potwierdzona. Davis nie został poddany leczeniu. Równie dobrze mogła stwierdzić, że w dorosłym życiu miałby wadę serca, bo miał do tego predyspozycje genetyczne. Niczego nie wiemy na pewno.

Myślę o dziadku, który padł na zawał.

– Mówię panu o tym, ponieważ za chwilę zostanie pan wywołany – mówi Odette. – I odpowie pan na wszystkie pytania tak, jak to przećwiczyliśmy. Musi pan jedynie pamiętać, że w czasie tej rozprawy nie ma miejsca na „może". Żadnego „to mogłoby się stać". Nie, to już się stało. Pański syn nie żyje.

Kiwam głową. Jest ciało. I ktoś musi za to zapłacić.

„Czy przysięga pan mówić prawdę?".

Kładę rękę na Biblii w skórzanej oprawie. Rzadko ją czytam ostatnimi czasy. Ale przysięganie na nią przypomina mi Dużego Ike'a z więzienia. I Twinkiego.

Często o nim myślę, szczerze mówiąc. Pewnie już wyszedł. Może wcina swoje wymarzone żarcie z puszek. Co by się stało, gdybym wpadł na niego na ulicy? Albo w Starbucks? Uścisnęlibyśmy się na powitanie? A może udawalibyśmy, że się nie znamy? Wiedział, jaki byłem na zewnątrz, a ja wiedziałem, jaki on był. Ale w pierdlu sprawy wyglądają inaczej, a to, w co nauczono mnie wierzyć, się nie sprawdzało. Gdyby nasze ścieżki się teraz zbiegły, czy nadal byłby dla mnie Twinkiem? Czy może zwykłym czarnuchem?

Brit wróciła wreszcie na salę, siedzi obok Francisa. Kiedy wyszła z łazienki z twarzą jeszcze wilgotną po przetarciu mokrą chusteczką i zaróżowionym nosem oraz policzkami, oznajmiłem jej, że rozmawiałem z prokuratorką i wytłumaczyłem jej, by nie mówiła mojej żonie, jak ma się zachowywać. Dodałem, że nie mogę znieść myśli o jej kolejnym załamaniu, więc powiedziałem Odette, że nie będzie zeznawała. Zapewniłem Brit, że ją kocham i serce mi pęka na widok jej cierpienia.

Chyba mi uwierzyła.

„Czy przysięga pan mówić prawdę?".

– Panie Bauer – zaczyna prokuratorka. – Czy Davis był waszym pierwszym dzieckiem?

Pot spływa mi po plecach. Czuję, że przysięgli gapią się na moją swastykę. Nawet ci, którzy udają, że nie, też ukradkiem zerkają. Zaciskam dłonie na poręczach. Dotyk drewna dodaje mi otuchy. Jest twarde. Jak kij baseballowy.

– Tak. Bardzo się cieszyliśmy.

– Wiedzieliście, że to chłopiec?

– Nie – odpowiadam. – Chcieliśmy mieć niespodziankę.

– Czy w czasie ciąży wystąpiły jakieś komplikacje?

– Żona miała cukrzycę ciążową. Lekarz zapewniał nas, że to nic poważnego, musiała tylko uważać na to, co je. I uważała. Zależało nam na zdrowym dziecku.

– A poród, panie Bauer? Przebiegł bez problemów?

– Wszystko poszło gładko – mówię. – Ale to nie ja biegłem maraton. – Przysięgłe się uśmiechają; prokuratorka zapowiadała, że tak będzie, jeśli pokażę się z ludzkiej strony.

– Gdzie rodziliście?

– W szpitalu Mercy-West Haven.

– Czy wziął pan na ręce syna, kiedy się urodził, panie Bauer?

– Tak – odpowiadam. Kiedy ćwiczyliśmy to u prokuratorki, jak aktorzy swoje kwestie, poradziła mi, żeby się trochę rozkleił. Burknąłem, że nie umiem, kurwa, beczeć na zawołanie, ale teraz, gdy wracam myślą do narodzin Davisa, ściska mnie w gardle. Czy to nie obłęd, że z miłości można stworzyć ludzką istotę? Jakby potrzeć dwie gałązki i skrzesać ogień – który płonie, choć przed chwilą wcale

go nie było. Pamiętam, jak Davis kopał nóżkami. Jego główkę w zagłębieniu mojej dłoni. Rozbiegane oczy, którymi chciał mnie przewiercić na wskroś. – W życiu tak się nie czułem – wyznaję. Improwizuję, ale mam to w dupie. – Kiedy ludzie mówili, że człowiek od pierwszego wejrzenia zakochuje się w dziecku, myślałem, że kłamią. Ale to szczera prawda. Czułem się tak, jakbym widział swoją przyszłość w jego twarzy.

– Czy znał pan wcześniej kogoś z personelu?

– Nie. Ginekolog Brit tam pracował, więc wybór szpitala był oczywisty.

– Czy miał pan jakieś zastrzeżenia co do tamtejszej opieki, panie Bauer?

– Owszem, miałem.

– Od chwili, kiedy pańska żona została przyjęta na oddział?

– Nie. Na początku wszystko grało. W czasie porodu i później także.

Prokuratorka przesuwa się w stronę przysięgłych.

– A zatem w którym momencie sytuacja się zmieniła?

– Kiedy nasza położna skończyła zmianę i zastąpiła ją inna. Czarna.

Prokuratorka chrząka.

– Dlaczego stanowiło to problem, panie Bauer?

Bezwiednie unoszę rękę i przesuwam nią po tatuażu.

– Ponieważ wierzę w wyższość białej rasy.

Część przysięgłych z zaciekawieniem świdruje mnie wzrokiem. Niektórzy potrząsają głowami. Inni wbijają wzrok w kolana.

– A zatem jest pan białym supremacjonistą – ciągnie prokuratorka. – Uważa pan, że czarni, tacy jak ja, powinni podlegać białym.

– Nie jestem antyczarny – mówię. – Jestem probiały.

– Zdaje pan sobie sprawę, że wiele osób, również na tej sali, uważa pańskie poglądy za obraźliwe.

– Ale szpitale muszą leczyć wszystkich pacjentów – zaznaczam. – Nawet tych, których poglądy nie odpowiadają personelowi. Jeśli sprawca szkolnej strzelaniny zostaje ranny, kiedy policja próbuje go unieszkodliwić, zostaje odwieziony na pogotowie i lekarze ratują mu życie, chociaż zabił kilkanaście osób. W tym kraju mamy prawo wierzyć w to, co chcemy, i to jest wspaniałe.

– Co pan zrobił, kiedy przydzielono państwu czarną pielęgniarkę?

– Wyraziłem życzenie, aby nie dotykała mojego dziecka.

– Czy Afroamerykanka, o której mowa, znajduje się na tej sali?

– Owszem. – Wskazuję na Ruth Jefferson. Mam wrażenie, że kurczy się na krześle.

A przynajmniej chciałbym tak myśleć.

– Kogo pan o to poprosił? – pyta prokuratorka.

– Oddziałową – mówię. – Marie Malone.

– Jaki skutek odniosła ta rozmowa?

– Nie wiem, ale tamta kobieta została odsunięta.

– Czy pozwana miała jeszcze do czynienia z pańskim synem?

Potwierdzam.

– Davis został obrzezany. To miał być rutynowy zabieg, zabrali go do innej sali i wkrótce mieli odwieźć. Ale rozpętało się piekło. Ludzie krzyczeli, wołali pomocy, jeździli z wózkami reanimacyjnymi po korytarzu. Wszyscy rzucili się w stronę sali dla noworodków. Tam znajdował się nasz syn i ja… my chyba wiedzieliśmy. Weszliśmy do sali i zobaczyliśmy ten tłum wokół Davisa, a ta kobieta znowu go dotykała. – Przełykam ślinę. – Robiła mu krzywdę. Tak waliła go w żebra, że mało nie rozerwała go na pół.

– Sprzeciw! – woła druga prawniczka.

Sędzia zaciska usta.

– Oddalam.

– Jak pan zareagował, panie Bauer?

– Nic nie powiedziałem. Staliśmy z Brit jak skamieniali. Sami nam mówili, że ten zabieg to nic takiego. Po południu mieliśmy wrócić do domu. Chyba nie docierało do mnie, co się dzieje.

– A potem co się stało?

Widzę, że przysięgli siedzą jak na szpilkach. Wszystkie oczy są zwrócone na mnie.

– Pielęgniarki i lekarze tak się uwijali, że nie rozróżniałem ich rąk. Potem wpadła pediatra, doktor Atkins. Coś tam pomajstrowała, po czym… po czym stwierdziła, że nic więcej nie da się zrobić. – Słowa stają się trójwymiarowe, jak film, od którego nie mogę oderwać wzroku. Lekarka patrząca na zegar. To, jak reszta się cofnęła

z rękami w górze, jakby ktoś do nich celował. I mój syn, zbyt nieruchomy.

Wyrywa mi się szloch. Kurczowo trzymam się krzesła. Jeśli puszczę, pięści wezmą nade mną górę. Dorwę kogoś i ukarzę. Podnoszę wzrok i na chwilę im pokazuję, jaki jestem pusty w środku.

– Powiedziała, że mój syn nie żyje.

Odette Lawton zbliża się do mnie z paczką chusteczek. Kładzie ją na balustradzie, ale ja nie reaguję. Teraz się cieszę, że Brit nie musi przez to przechodzić. Nie chcę, żeby przeżywała wszystko od nowa.

– Co pan wtedy zrobił?

– Prosiłem, żeby nie przerywali. – Słowa kaleczą mi język jak szkło. – Jeśli oni go nie ratowali, postanowiłem sam to zrobić. Podszedłem do śmietnika i wyjąłem worek, którym pomagali Davisowi oddychać. Nie wiedziałem, jak go przymocować. Chciałem o niego walczyć.

Słyszę piskliwy dźwięk, jak wówczas kiedy Brit nie wstawała z łóżka, a cały dom dygotał od jej rozpaczy. Siedzi zgięta wpół jak żywy znak zapytania, jakby pytała całym ciałem, dlaczego to nas spotkało.

– Panie Bauer – mówi łagodnie prokuratorka. – Wielu spośród obecnych nazwałoby pana białym supremacjonistą, który sam doprowadził do tej sytuacji, prosząc o odsunięcie Afroamerykanki od opieki nad swoim dzieckiem. Posunęliby się nawet do stwierdzenia, że sam jest pan sobie winien. Co by im pan odpowiedział?

Biorę głęboki oddech.

– Ja tylko chciałem zapewnić dziecku wszystko, co najlepsze. Czy to czyni mnie białym supremacjonistą? – pytam. – A nie ojcem?

W czasie przerwy Odette poucza mnie w sali konferencyjnej.

– Jej rolą jest zniechęcić do pana przysięgłych. Odrobina nie zaszkodzi, niech wiedzą, że położna miała motyw. Ale tylko odrobina. Pańską rolą jest im uzmysłowić, ile was łączy, a nie dzieli. Najważniejsze jest to, jak bardzo kochał pan syna. Proszę nie skupiać się na tym, kogo pan nienawidzi.

Zostawia mnie i Brit samych na kilka minut, wkrótce zostaniemy wezwani.

– Nienawidzę jej – mówi Brit, kiedy prokuratorka wychodzi.

Odwracam się do niej.

– Myślisz, że ma rację? Myślisz, że sami sobie zawiniliśmy?

Zastanawiałem się nad tym, co powiedziała Odette Lawton: czy sprawy potoczyłyby się inaczej, gdybym nie wniósł skargi? Czy czarna położna natychmiast przystąpiłaby do reanimacji, gdy zobaczyła, że Davis nie oddycha? Czy potraktowałaby go jak każdego innego pacjenta, zamiast odpłacać mi pięknym za nadobne?

Mój syn miałby dziś pięć miesięcy. Czy umiałby już samodzielnie siedzieć? Czy uśmiechałby się na mój widok?

Wierzę w Boga. Wierzę w Boga, który docenia to, co robimy dla Niego na tej ziemi. Ale dlaczego miałby karać swoich żołnierzy?

Brit wstaje i patrzy na mnie z obrzydzeniem.

– Kiedy to stałeś się taką cipą? – pyta i się odwraca.

***

W ostatnich tygodniach ciąży nasi sąsiedzi – para fasolarzy z Gwatemali, którzy pewnie przeskoczyli przez płot z drutem kolczastym, żeby się znaleźć w tym kraju – kupili sobie szczeniaka. Puszystą kulkę z zębami, którą nazwali Frida. Przyłaziła na nasze podwórko i obsrywała nam trawnik, a w wolnych chwilach jazgotała. Ilekroć Brit się kładła, ten durny kundel zaczynał swój koncert i ją budził. Brit strasznie się o to wkurzała, a wtedy ja się wkurzałem, szedłem do nich, waliłem w drzwi i groziłem, że jeśli kundla nie zakneblują, zrobię z nim porządek.

Któregoś dnia wróciłem z roboty, gdy mój sąsiad fasolarz kopał dołek pod krzakiem azalii, a jego stara zawodziła nad pudełkiem po butach. Wszedłem do domu, Brit siedziała na kanapie.

– Ich piesek chyba wykorkował – oznajmiła.

– Właśnie widzę.

Wyjęła zza pleców butelkę odmrażacza do szyb.

– Jest słodki w smaku. Kiedy byłam mała, tata często mi przypominał, żebym trzymała go z dala od naszego psa.

Wytrzeszczyłem na nią oczy.

– Otrułaś Fridę?

Brit odpowiedziała mi tak niewzruszonym spojrzeniem, że przez chwilę widziałem w niej tylko Francisa.

– Nie mogłam spać – stwierdziła. – Albo nasze dziecko, albo ten zasrany kundel.

Kennedy McQuarrie na pewno pije dyniową latte. Założę się, że głosowała na Obamę, płaci na schroniska po obejrzeniu reklam ze smutnymi psiakami i wierzy, że świat byłby wspaniały, gdyby ludzie się dogadali.

Nie znoszę „miętkich" liberałów.

Ta myśl kołacze mi w głowie, kiedy do mnie podchodzi.

– Czy słyszał pan, jak doktor Atkins potwierdziła, że pański syn cierpiał na chorobę zwaną MCAD?

– Powiedziała tylko, że coś takiego u niego wykryto.

Powtarzam to za prokuratorką.

– Czy ma pan świadomość, panie Bauer, że obniżony poziom glukozy u dziecka z niewykrytym MCAD może doprowadzić do zatrzymania oddechu?

– Owszem.

– Czy rozumie pan, że zatrzymanie oddechu może doprowadzić do zatrzymania pracy serca?

Kiwam głową.

– Tak.

– I rozumie pan, panie Bauer, że nie pomogłaby tu żadna interwencja, gdyż dziecko umarłoby tak czy inaczej?

– Niewykluczone – odpowiadam.

– I wie pan, że gdyby tym dzieckiem był pański syn, nie uratowałaby go nawet Matka Teresa?

Krzyżuję ręce na piersi.

– Ale to nie był mój syn.

Patrzy na mnie z ukosa.

– Słyszał pan zeznanie doktor Atkins, potwierdzone przez doktora Binniego. Pański syn miał MCAD, czyż nie?

– Czy ja wiem? – Wskazuję brodą Ruth Jefferson. – Zabiła go, zanim został dokładnie przebadany.

– Pan naprawdę w to wierzy? – upewnia się prawniczka. – W świetle naukowych dowodów?

– Jak najbardziej.

Widzę błysk w jej oczach.

– Wierzy pan, czy nie ma innego wyjścia?

– O co pani chodzi?

– Wierzy pan w Boga, prawda?

– Owszem.

– I że wszystko dzieje się z jakiegoś powodu?

– Tak jest.

– Panie Bauer, czy korzysta pan z Twittera pod pseudonimem @CałyBiały?

Potwierdzam, chociaż nie mam pojęcia, co to ma do rzeczy. Strzela tymi pytaniami bez ładu i składu.

Dołącza do akt wydruk z komputera.

– Czy to pański wpis z lipca?

Kiwam głową.

– Czy mógłby pan przeczytać go na głos?

– „Wszyscy dostajemy to, na co sobie zasłużyliśmy".

– Czy te słowa dotyczą również pańskiego syna?

Zaciskam ręce na poręczach.

– Coś ty powiedziała? – Mój głos przypomina gardłowy pomruk.

– Powiedziałam, że pański syn też pewnie dostał to, na co zasłużył – oznajmia.

– Mój syn był niewinny. Był aryjskim wojownikiem.

Puszcza moją odpowiedź mimo uszu.

– W sumie pan też chyba dostał to, na co zasłużył…

– Stul mordę.

– I dlatego oskarża pan niewinną kobietę o śmierć, za którą nikt nie ponosi winy, nieprawdaż? W przeciwnym razie musiałby pan przyjąć do wiadomości, że pański syn cierpiał na chorobę genetyczną…

Wściekły podrywam się z miejsca.

– Ty…

Prokuratorka wrzeszczy, ale ta suka ją przekrzykuje.

– Nie dopuszcza pan do siebie prawdy, że śmierć pańskiego syna była całkowicie przypadkowa. Musi pan obwiniać Ruth Jefferson, w przeciwnym razie to pan ponosiłby za to odpowiedzialność, gdyż jakimś cudem spłodziliście z żoną Aryjczyka z wadliwym kodem genetycznym. Zaprzeczy pan, panie Bauer?

Widzę kątem oka, że Odette Lawton podchodzi do sędziego. Ale ja już się zrywam i wychylam przez barierkę. Uśpiony we mnie potwór obudził się i zionie ogniem.

– Ty zdziro – syczę, sięgając do gardła Kennedy McQuarrie. Już prawie ją mam, gdy cholerny woźny mnie obezwładnia. – Zdrajczyni rasy!

Słyszę jak przez mgłę, że sędzia wali młotkiem i prosi o wyprowadzenie świadka. Wywlekają mnie z sali, szoruję butami o posadzkę. Słyszę wołanie Brit i okrzyk bojowy Francisa, a także grzmiące oklaski przyjaciół z Samotnegowilka.org.

Potem wszystko mi się zamazuje i kiedy mrugam, sala sądowa znika. Siedzę w celi wśród betonowych ścian, z pryczą i klopem.

Wydaje się, że trwa to wieczność, ale w rzeczywistości Odette Lawton zjawia się pół godziny później. Ogarnia mnie pusty śmiech, kiedy staje w drzwiach. Moją wybawicielką jest Murzynka. Świat staje na głowie.

– To było bardzo głupie – oznajmia. – Wielokrotnie miałam chęć zabić obrońcę, ale nigdy nie próbowałam.

– Nawet jej nie tknąłem – burczę i patrzę na nią spode łba.

– Przysięgli mają to w nosie. Powiem panu, panie Bauer, że jeśli mieliśmy jakąkolwiek przewagę, to pański występ ją przekreślił. Nic więcej nie mogę dla pana zrobić.

– Jak to?

Patrzy na mnie.

– Nie mam nic więcej do dodania.

A ja owszem.

Kennedy

Gdybym mogła wejść do sędziego Thundera i odtańczyć sambę, tobym nie omieszkała.

Zostawiam Ruth z Howardem w sali konferencyjnej. Mam szansę zakończyć tę sprawę. Zgłosiłam wniosek o uniewinnienie i wnioskuję z miny Odette, że sytuacja ją przerosła.

– Panie sędzio – zaczynam. – Śmierć tego dziecka to wielka tragedia, ale nie ma absolutnie żadnych powodów, by obwiniać o nią Ruth Jefferson. Nic nie potwierdziło zarzutu morderstwa, dlatego proszę o oddalenie powództwa.

Sędzia zwraca się do Odette.

– Pani prokurator? Czy potrafi pani wskazać dowód umyślnego działania na szkodę dziecka?

– Rzekłabym, że świadczy o tym publiczny komentarz na temat wysterylizowania chłopca – wykręca się Odette.

– Wysoki sądzie, te słowa wynikały z rozgoryczenia kobiety, która doświadczyła aktu dyskryminacji – przekonuję. – Dopiero później zostały użyte jako argument przeciwko niej, co jeszcze nie świadczy, że planowała kogoś zabić.

– Muszę się zgodzić z panią McQuarrie – mówi sędzia Thunder. – Złośliwa, owszem, ale w świetle prawa pozbawiona morderczych skłonności. Gdyby karano was za wszystkie obelżywe uwagi pod adresem sędziego, wszyscy poszlibyście siedzieć za morderstwo. Oddalam zarzut i przyjmuję pani wniosek o prawo sędziego do uniewinnienia, pani McQuarrie.

Idąc korytarzem w stronę sali konferencyjnej, oglądam się, czy nikt nie widzi, i podskakuję z radości. Nie zawsze sprawa o morderstwo idzie po naszej myśli, zwłaszcza pierwsza. Wyobrażam sobie, jak Harry wezwie mnie do siebie i na swój gburowaty sposób pochwali.

Wyobrażam sobie, jak zacznie mnie zasypywać ważnymi sprawami i awansuje Howarda, aby przejął moje dotychczasowe obowiązki.

Rozpromieniona naciskam klamkę. Howard i Ruth patrzą na mnie wyczekująco.

– Oddalił zarzut morderstwa – oznajmiam z radością.

– Hurra! – Howard unosi pięść w geście zwycięstwa.

Ruth jest ostrożniejsza.

– Wiem, że to dobra wiadomość… ale jak dobra?

– Wspaniała – zapewniam. – Nieumyślne spowodowanie śmierci to zupełnie inna sprawa. Najgorszy scenariusz, czyli wyrok skazujący, nie pociąga za sobą praktycznie żadnej odsiadki, zresztą zdziwiłabym się, gdyby przy takich dowodach medycznych…

Ruth zarzuca mi ręce na szyję.

– Dziękuję.

– Tylko pomyśl – mówię. – Do soboty może być już koniec. Jutro pójdę do sądu i powiem, że z mojej strony to wszystko, a jeśli przysięgli podejmą decyzję tak szybko, jak sądzę…

– Czekaj – Ruth wpada mi w słowo. – O czym ty mówisz?

Cofam się o krok.

– Stworzyliśmy uzasadnioną wątpliwość. Nic więcej nie potrzeba do wygranej.

– Przecież nie zeznawałam – zauważa.

– Moim zdaniem to zbyteczne. W tej chwili wszystko przemawia na naszą korzyść. Wystarczy, że przysięgli zapamiętają, jak ten czubek Turk Bauer skacze mi do gardła, a możesz liczyć na ich pełne poparcie.

Ruth stoi wyprostowana jak struna.

– Obiecałaś.

– Obiecałam zrobić wszystko, żeby cię uniewinniono, i dotrzymałam słowa.

Ruth potrząsa głową.

– Obiecałaś dać mi prawo głosu.

– Sęk w tym, że nie ma takiej potrzeby – zaznaczam. – Przysięgli wydadzą werdykt i odzyskasz pracę. Będziesz mogła udawać, że nic się nie stało.

– Myślisz, że bym potrafiła? – pyta cichym, ale niewzruszonym głosem. – Doświadczam tego dzień w dzień, gdziekolwiek się ruszę. Myślisz, że wrócę i po prostu odzyskam pracę? Że nie będę czarną pielęgniarką, która wywołała taką burzę?

– Ruth – mówię z niedowierzaniem. – Jestem przekonana, że przysięgli uznają cię za niewinną. Czego jeszcze chcesz?

Przekrzywia głowę.

– Naprawdę musisz o to pytać?

Wiem, o co jej chodzi.

O to wszystko, o czym nie chciałam rozmawiać w sądzie: jakie to uczucie być na celowniku z powodu koloru skóry. Harować jak wół, być nienagannym pracownikiem i stracić wszystko z powodu uprzedzeń rasowych.

Faktycznie, obiecałam jej, że będzie mogła przedstawić swoją wersję przysięgłym. Tylko po co, skoro cel został osiągnięty?

– Pomyśl o Edisonie – rzucam.

– Nic innego nie robię! – wybucha. – Pytanie, co on pomyśli o mnie, jeśli nie zajmę stanowiska. – Mruży oczy. – Wiem, jak działa prawo, Kennedy. Wiem, że na oskarżeniu spoczywa ciężar dowodu. Wiem też, że musisz powołać mnie na świadka, jeśli cię o to poproszę. A więc pytanie brzmi, czy zrobisz, co do ciebie należy, czy będziesz kolejną białą, która wystawia mnie do wiatru?

Patrzę na Howarda, który śledzi naszą wymianę, jakby oglądał mecz tenisowy.

– Howardzie – mówię grzecznie – czy wyjdziesz na chwilę, żebym mogła porozmawiać z klientką?

Zadziera brodę i wychodzi. Odwracam się z powrotem do Ruth.

– Czyś ty zgłupiała? Wierz mi, tu nie chodzi o zasady. Jeśli tam usiądziesz i palniesz mówkę o rasie, nici z naszej przewagi. Poruszysz kwestie, którymi ich do siebie zniechęcisz. Zaczniesz się ciskać, to przestaną cię lubić. Powiedziałam już wszystko, co mieli usłyszeć.

– Oprócz prawdy – zaznacza.

– O czym ty mówisz?

– Próbowałam reanimować tamto dziecko. Powiedziałam ci, że go nie dotykałam. Skłamałam.

Robi mi się niedobrze.

– Czemu dopiero teraz mi o tym mówisz?

– Na początku ukrywałam prawdę, ponieważ bałam się utraty pracy. Potem kłamałam, bo nie wiedziałam, czy mogę ci zaufać. A później, ilekroć chciałam ci o wszystkim opowiedzieć, robiło mi się wstyd, że tak długo to ukrywałam, więc było mi coraz trudniej. – Bierze głęboki oddech. – Powinnam była ci się przyznać pierwszego dnia: nie wolno mi było dotykać tamtego dziecka, dostałam zakaz na piśmie. Ale chłopczyk zaczął sinieć, więc odwinęłam go z kocyka. Inaczej ułożyłam. Poklepałam po stópkach i obróciłam na wszystkie strony, żeby go rozbudzić. Potem usłyszałam kroki i zawinęłam z powrotem w kocyk. Nie chciałam, żeby ktoś przyłapał mnie na tym, czego zabroniono mi robić.

– Po co zmieniać historię, Ruth? – pytam po chwili. – Przysięgli usłyszą to i może pomyślą, że zrobiłaś, co w twojej mocy. Ale mogą pomyśleć też, że nawaliłaś i Davis umarł przez ciebie.

– Muszą wiedzieć, że zrobiłam, co do mnie należało – oświadcza. – Powtarzasz mi na każdym kroku, że mój kolor skóry nie ma tu nic do rzeczy, że chodzi jedynie o moje kompetencje. No cóż, niech wiedzą, że jestem dobrą pielęgniarką. Próbowałam ratować tamto dziecko.

– Myślisz, że usiądziesz tam, powiesz, co ci leży na sercu, i nie stracisz panowania nad sytuacją, ale jesteś w błędzie. Odette rozerwie cię na strzępy. Zrobi wszystko, żebyś wyszła na kłamczuchę.

Ruth patrzy na mnie.

– Wolę, żeby uważali mnie za kłamczuchę niż za morderczynię.

– Jeśli tam pójdziesz i przedstawisz inną wersję od dotychczasowej – tłumaczę jak dziecku – stracisz wiarygodność. Ja także. Wiem, co jest dla ciebie najlepsze. Nie bez kozery jestem twoim doradcą, musisz się mnie słuchać.

– Mam dosyć wypełniania rozkazów. Sama widzisz, do czego mnie to doprowadziło. – Ruth krzyżuje ręce na piersi. – Jutro powołasz mnie na świadka – dorzuca beznamiętnym tonem. – Albo powiem sędziemu, że mi na to nie pozwalasz.

I nagle wiem, że już po nas.

Któregoś wieczoru, kiedy przygotowywałyśmy się do rozprawy u mnie w domu, siedziałyśmy w kuchni, a Violet biegała jak nakręcona w samej bieliźnie i udawała jednorożca. Rozmawiałyśmy przy wtórze jej pisków, które nagle przeszły we wrzask bólu. Wybuchła płaczem, a my pobiegłyśmy do salonu i zobaczyłyśmy, że leży na podłodze, krwawiąc obficie ze skroni.

Nogi się pode mną ugięły, ale nim zdążyłam ruszyć ręką, Ruth chwyciła moją córkę w ramiona i przycisnęła do jej rany skraj bluzki.

– No już, już – rzekła uspokajającym tonem. – Co się stało?

– Poślizgnęłam się – wyszlochała Violet, kiedy bluzka Ruth nasiąkała jej krwią.

– I widzę, że się skaleczyłaś – stwierdziła ze spokojem Ruth. – Zaraz coś na to poradzimy. – Zaczęła wydawać mi polecenia i po chwili zjawiłam się z wilgotną szmatką, maścią antybiotykową i plastrem z podręcznej apteczki. Przez cały ten czas nie wypuściła Violet z rąk, ani na chwilę nie przestała do niej mówić. Zachowała niezmącony spokój, nawet kiedy zaproponowała, żebyśmy pojechały do Yale-New Haven na wypadek konieczności założenia szwów, podczas gdy ja panikowałam, że Violet zostanie blizna, a mnie się oberwie za niedopilnowanie dziecka, które biegało w samych skarpetkach po śliskim parkiecie. Kiedy się okazało, że Violet trzeba założyć dwa szwy, nie tuliła się do mnie, tylko do Ruth, która zapewniła ją, że jeśli zaśpiewamy naprawdę głośno, nie poczuje nic a nic. Wszystkie razem ryknęłyśmy *Let it be* i Violet nie uroniła ani jednej łezki. Później tego samego wieczora, kiedy już spała z opatrunkiem na głowie, podziękowałam Ruth.

„Jesteś dobra w tym, co robisz”, powiedziałam jej.

„Wiem”, skwitowała.

Tylko tego chce. Pokazać ludziom, że została niesprawiedliwie potraktowana z powodu koloru skóry i niesłusznie podano w wątpliwość jej reputację. Chce im to uświadomić, choćby kosztem wyroku.

– Pijesz w samotności – stwierdza Micah po powrocie ze szpitala, kiedy zastaje mnie po ciemku w kuchni sam na sam z butelką wina. – To pierwszy znak.

Podnoszę kieliszek i biorę długi łyk.

– Czego?

– Chyba dorosłości – przyznaje. – Ciężki dzień w pracy?

– A zaczął się kapitalnie. Wręcz wzorcowo. A potem wszystko się posypało.

Micah siada obok mnie i rozluźnia krawat.

– Chcesz o tym pogadać czy przynieść swoją flaszkę?

Podsuwam mu wino.

– Myślałam, że uniewinnienie mam w kieszeni – wzdycham. – Ale Ruth postanowiła wszystko zepsuć.

Kiedy nalewa sobie wino, relacjonuję mu dzień w sądzie, począwszy od nienawistnej tyrady Turka Bauera aż po wyraz jego oczu, kiedy się na mnie rzucił; od przypływu adrenaliny, gdy przyjęto mój wniosek o uniewinnienie, przez wyznanie Ruth i bolesną refleksję, że muszę powołać ją na świadka, skoro tego oczekuje. Nawet jeśli oznacza to porażkę w mojej pierwszej tak ważnej sprawie.

– I co ja mam jutro zrobić? – pytam. – Ona się pogrąży, bez względu na to, o co ją jutro zapytam. A prokuratorka pożre ją żywcem. – Wzdrygam się na myśl o Odette, która nawet nie śni, jaki prezent dla niej szykujemy. – A byłam naprawdę blisko – dorzucam cicho. – Nie do wiary, że chce to zepsuć.

Micah chrząka.

– Radykalna myśl numer jeden: tu nie chodzi o ciebie.

Tyle wypiłam, że widzę go podwójnie, więc może tylko się przesłyszałam.

– Co takiego?

– Nie ty byłaś blisko. Ruth była.

Prycham.

– Czysta semantyka. Obie wygrywamy lub obie przegrywamy, na jedno wychodzi.

– Ale ona ma więcej do stracenia – tłumaczy łagodnie Micah. – Swoją reputację. Pracę. Życie. To pierwsza rozprawa, która tyle dla ciebie znaczy, Kennedy. Ale jedyna, która ma znaczenie dla Ruth.

Przejeżdżam ręką po włosach.

– I radykalna myśl numer dwa?

– A jeśli najlepszym rozwiązaniem dla Ruth nie jest wygrana? – rzuca Micah. – Jeśli nie przywiązuje większej wagi do tego, co powie… lecz do tego, że wreszcie dostanie ku temu okazję?

Czy warto zabiegać o prawo głosu, jeśli stawką jest nasza wolność? Jeżeli wyrok jak topór wisi nam nad głową? To sprzeczne ze wszystkim, czego mnie uczono, ze wszystkim, w co wierzyłam.

Ale to nie ja jestem tu sądzona.

Przyciskam palce do skroni. Słowa Micaha krążą mi w głowie.

Bierze swój kieliszek i wylewa jego zawartość do mojego.

– Tobie się bardziej przyda – mówi i całuje mnie w czoło. – Tylko nie siedź za długo.

W piątkowy ranek, kiedy pędzę spotkać się z Ruth na parkingu, mijam pomnik przed ratuszem. Upamiętnia Sengbe Pieha, jednego z niewolników, którzy wzięli udział w buncie na statku „La Amistad". W tysiąc osiemset trzydziestym dziewiątym roku na Karaiby płynął okręt z grupą Afrykanów uprowadzonych ze swoich domów. Afrykanie się zbuntowali, zabili kapitana i kucharza, po czym zmusili pozostałych marynarzy do zmiany kursu z powrotem do Afryki. Marynarze jednak przechytrzyli buntowników i popłynęli na północ, gdzie statek został przejęty przez władze amerykańskie. Uwięzieni Afrykanie oczekiwali na orzeczenie sądu.

Zbuntowali się, gdyż ciemnoskóry kuchcik podsłuchał, że biała załoga zamierza zabić czarnych i zjeść ich mięso. Z kolei biali sądzili, że to Afrykanie są kanibalami.

Obie strony się myliły.

Gdy dojeżdżam na parking, Ruth unika mojego wzroku. Szybkim krokiem idzie w stronę sądu, z Edisonem u boku, póki nie łapię jej za ramię.

– Nadal chcesz to zrobić?

– A myślałaś, że przez noc mi przejdzie? – pyta.

– Miałam taką nadzieję – przyznaję. – Błagam cię, Ruth.

– Mamo? – wtrąca ze zdziwieniem Edison, który nic z tego nie rozumie.

Unoszę brwi w niemej prośbie: „Pomyśl, co mu robisz".

Wsuwa rękę pod ramię syna.

– Idziemy – komenderuje i znów rusza przed siebie.

Przed sądem zebrały się tłumy; odkąd media doniosły, że oskarżenie skończyło ze swojej strony, żądza krwi się nasiliła. Kątem oka widzę Wallace'a Mercy'ego i jego zgraję na warcie. Może powinnam była napuścić go na Ruth, może kazałby jej siedzieć cicho i poczekać na wyrok uniewinniający. Ale znając Wallace'a, nie przepuściłby okazji, żeby się wyżyć. Jeszcze pouczyłby Ruth, co ma mówić.

Howard spaceruje przed salą rozpraw.

– I co? – pyta nerwowo. – Kończymy czy…?

– Tak – ucinam. – Czy.

– Bauerowie wrócili, jeśli chcesz wiedzieć. Są na widowni.

– Dzięki – mówię ironicznie. – Od razu mi lepiej.

Ponownie zwracam się do Ruth, tuż przed nadejściem sędziego.

– Dam ci jedną radę – szepczę. – Zachowaj zimną krew. Z chwilą, gdy podniesiesz głos, prokuratorka cię rozdziobie. I rozmawiaj z nią dokładnie tak samo jak ze mną.

Wymieniamy przelotne spojrzenia i widzę w jej oczach lęk. Otwieram usta, wyczuwając słabość, chcę jeszcze raz przemówić jej do rozsądku, gdy przypominam sobie słowa Micaha.

– Powodzenia – rzucam tylko.

Wstaję i powołuję na świadka Ruth Jefferson.

Jakimś cudem wygląda tam na drobniejszą. Włosy jak zwykle ma upięte w kok. Czy wcześniej nie zauważyłam, jak surowo wygląda? Mocno splata ręce na podołku. Ja wiem, że próbuje opanować ich drżenie, ale przysięgli nie mają o tym pojęcia. W ich oczach wygląda na sztywną, przesadnie oficjalną. Cicho powtarza słowa przysięgi, nie zdradzając żadnych emocji. Ja wiem, że czuje się skrępowana, ale nieśmiałość może uchodzić za przejaw dumy, a to niedopuszczalne.

– Ruth – zaczynam – ile masz lat?

– Czterdzieści cztery.

– Gdzie się urodziłaś?

– W Harlemie, w Nowym Jorku.

– Chodziłaś tam do szkoły?

– Tylko na początku. Potem dostałam stypendium w Dalton.

– Skończyłaś college? – pytam.

– Tak, chodziłam do SUNY Plattsburgh, a potem zdobyłam licencjat na Yale.

– Powiesz nam, ile trwały studia licencjackie?

– Trzy lata.

– Czy złożyłaś przysięgę po ich zakończeniu?

Potwierdza.

– To ślubowanie Florence Nightingale – dodaje.

Dołączam kartkę do akt i jej podaję.

– Czy to jest tekst ślubowania?

– Tak.

– Przeczytasz go na głos?

– „Przyrzekam uroczyście przed Bogiem w obecności wszystkich tu zebranych, że w życiu moim będę zawsze postępować nieskazitelnie, a w pracy zawodowej zawsze będę zasługiwać na zaufanie. Będę daleka od tego wszystkiego, co szkodliwe i zgubne, nigdy sama nie zażyję ani też nikomu nie podam tego, co mogłoby mu zaszkodzić. Będę dokładać wszelkich starań, aby przyczynić się do podnoszenia poziomu mojego zawodu, a także będę zachowywać w tajemnicy wszystkie informacje dotyczące spraw osobistych i rodzinnych pacjenta, które zostaną mi powierzone w czasie praktyki zawodowej. Będę lojalnie… – głos zawodzi ją na chwilę – …pomagać lekarzowi w jego pracy oraz pracować z poświęceniem dla dobra tych, którzy będą powierzeni mojej opiece”. – Podnosi głowę.

– Czy to ślubowanie jest ważne dla ciebie jako pielęgniarki?

– Traktujemy je bardzo poważnie – potwierdza Ruth. – To odpowiednik przysięgi Hipokratesa.

– Jak długo pracujesz w szpitalu Mercy-West Haven?

– Nieco ponad dwadzieścia lat – odpowiada Ruth. – Całe moje życie zawodowe.

– Na czym polegają twoje obowiązki?

– Jestem położną. Pomagam przy porodach, uczestniczę w cesarskich cięciach, opiekuję się matkami, a po porodzie ich dziećmi.

– Ile godzin tygodniowo pracowałaś?

– Ponad czterdzieści – mówi. – Często mamy nadgodziny.

– Jesteś mężatką?

– Wdową – zaznacza. – Mój mąż był wojskowym, zginął w Afganistanie około dziesięciu lat temu.

– Masz dzieci?

– Tak, syna Edisona. Ma siedemnaście lat. – Oczy jej błyszczą, szuka go wzrokiem na widowni.

– Czy pamiętasz, jak zjawiłaś się w pracy drugiego października dwa tysiące piętnastego roku?

Ruth potwierdza.

– Przyszłam o siódmej rano na dwunastogodzinną zmianę.

– Czy przydzielono ci Davisa Bauera?

– Tak. Jego matka urodziła nad ranem. Chodziło o opiekę poporodową nad Brittany Bauer i rutynowe badanie dziecka.

Opisuje przebieg badania i dodaje, że odbyło się ono w sali szpitalnej.

– Zatem Brittany Bauer była przy nim obecna?

– Owszem – mówi Ruth. – Jej mąż również.

– Czy stwierdziłaś coś podczas badania?

– Zanotowałam w karcie informację o szmerach w sercu. Nie wzbudziły moich wielkich obaw, często zdarzają się u noworodków. Uznałam jednak, że przy najbliższej okazji pediatra powinien zwrócić na to uwagę.

– Czy znałaś państwa Bauer wcześniej?

– Nie – odpowiada Ruth. – Poznałam ich po przyjściu na salę. Pogratulowałam im pięknego syna i wyjaśniłam, że muszę przeprowadzić standardowe badanie.

– Jak długo z nimi przebywałaś?

– Dziesięć do piętnastu minut.

– Rozmawialiście?

– Wspomniałam o szmerach i zapewniłam, że nie mają powodu do niepokoju. I poinformowałam ich, że Davisowi wzrósł poziom glukozy. Potem go umyłam i zaproponowałam, żeby pani Bauer przystawiła go do piersi.

– Jak to przyjęli?

– Pan Bauer powiedział, że mam nie zbliżać się do jego żony. Następnie zażądał rozmowy z moją przełożoną.

– Jak się poczułaś, Ruth?

– Byłam zaszokowana – przyznaje. – Nie miałam pojęcia, czym się naraziłam.

– Co było dalej?

– Moja przełożona, Marie Malone, zamieściła adnotację w karcie Davisa, że rodzice nie życzą sobie opieki afroamerykańskiego personelu. Kiedy ją o to zapytałam, wyjaśniła, że spełniła tylko prośbę rodziców, a ja zostanę przydzielona innej pacjentce.

– Kiedy następny raz zobaczyłaś chłopca?

– W sobotę rano. Siedziałam w sali dla noworodków, kiedy Corinne, która go po mnie przejęła, przywiozła Davisa na obrzezanie.

– Czym zajmowałaś się tamtego ranka?

Z namysłem marszczy brwi.

– Miałam dwie… nie, trzy pacjentki. To była pracowita noc, wzięłam zmianę za chorą koleżankę. Poszłam do sali dla noworodków po czyste powłoczki i zjadłam baton energetyczny, bo od początku dyżuru nie miałam nic w ustach.

– Co się stało po obrzezaniu?

– Nie było mnie tam, uznałam jednak, że zabieg przebiegł bez komplikacji. Potem Corinne mnie poprosiła, żebym popilnowała Davisa, bo musiała biec do innej pacjentki na cesarkę, a dziecko po obrzezaniu musi być pod stałą opieką.

– Zgodziłaś się?

– W zasadzie nie miałam wyboru. Nie było nikogo innego, kto mógłby to zrobić. Wiedziałam, że Corinne i Marie postarają się jak najszybciej wrócić.

– Kiedy zobaczyłaś dziecko, jak wyglądało?

– Pięknie – mówi Ruth. – Spało jak suseł. Było zawinięte w kocyk. Ale po chwili zauważyłam, że sinieje na twarzy. Zaczęło też postękiwać. Widziałam, że ma kłopoty z oddychaniem.

Podchodzę do miejsca dla świadka i kładę rękę na balustradzie.

– Co wtedy zrobiłaś, Ruth?

Nabiera tchu.

– Odwinęłam kocyk i zaczęłam dotykać Davisa, zmieniłam mu pozycję i poklepałam po stopach.

Widzę zdziwienie na twarzach przysięgłych. Odette opiera się o krzesło i splata ręce na piersi, uśmiech rozlewa się na jej twarzy.

– Dlaczego to zrobiłaś, skoro przełożona zabroniła ci go dotykać?

– Musiałam – wyznaje Ruth. Widzę, jak się uwalnia, jak motyl z kokonu. Mówi lżejszym głosem, łagodnieją bruzdy wokół jej ust. – Każda dobra pielęgniarka postąpiłaby tak samo na moim miejscu.

– Co wydarzyło się potem?

– Następnym krokiem byłoby wszczęcie alarmu i wezwanie ekipy reanimacyjnej. Ale usłyszałam kroki. Ktoś nadchodzi i nie wiedziałam, co robić. Dlatego zawinęłam go w kocyk i cofnęłam się, a wtedy weszła Marie. – Ruth spuszcza wzrok. – Zapytała, co robię.

– I co odpowiedziałaś?

Kiedy podnosi głowę, widzę zawstydzenie w jej oczach.

– Że nic.

– Skłamałaś?

– Tak.

– I to chyba nie raz: kiedy składałaś zeznanie na komisariacie, stwierdziłaś, że nie wykonywałaś przy dziecku żadnych czynności. Dlaczego?

– Bałam się, że stracę pracę. – Zwraca się w stronę przysięgłych. – Chciałam mu pomóc każdą cząstką swojej osoby… ale wiedziałam też, że byłoby to wbrew poleceniu przełożonej. Co stałoby się z moim synem, gdyby mnie wyrzucono?

– A zatem stanęłaś w obliczu zarzutu zaniedbania swoich obowiązków lub niesubordynacji?

Potwierdza.

– Byłam w sytuacji patowej.

– Co stało się później?

– Wezwano ekipę reanimacyjną. Ja robiłam masaż serca. Bardzo się starałam, wszyscy się staraliśmy, ale się nie udało. – Podnosi głowę. – Kiedy ogłoszono czas zgonu, kiedy pan Bauer wyjął z kosza worek samorozprężalny i próbował sam reanimować, myślałam, że serce mi pęknie. – Jej wzrok zatrzymuje się na Turku Bauerze. – „Co mi umknęło?”, myślałam. „Czy mogłam zrobić coś inaczej?”. – Milknie. – A potem zadałam sobie pytanie: „Czy pozwolono by mi na to?”.

– Dwa tygodnie później otrzymałaś list – uzupełniam. – Opowiesz nam o nim?

– Z Komisji Zdrowia. Zawiesili mi licencję na wykonywanie zawodu.

– Co wtedy poczułaś?

– Zrozumiałam, że zostałam oskarżona o śmierć Davisa Bauera. Wiedziałam, że zostanę zawieszona w wykonywaniu obowiązków, i tak się stało.

– Czy od tamtej pory jesteś gdzieś zatrudniona?

– Przez krótki czas byłam na zasiłku – mówi Ruth. – Potem dostałam pracę w McDonaldzie.

– Jak zmieniło się twoje życie w wyniku tamtego zdarzenia, Ruth?

Bierze głęboki oddech.

– Nie mam już oszczędności. Żyjemy z tygodnia na tydzień. Martwię się o przyszłość syna. Nie mogę jeździć samochodem, bo nie stać mnie na ubezpieczenie.

Odwracam się, ale Ruth jeszcze nie skończyła.

– Zabawne – dorzuca ściszonym głosem. – Uważasz się za szanowanego członka społeczności: szpitala, w którym pracujesz, miasta, w którym mieszkasz. Miałam wspaniałą pracę. Przyjaźniłam się z koleżankami z pracy. Mieszkałam w domu, z którego byłam dumna. Ale to było tylko złudzenie optyczne. Nigdy nie należałam do żadnej z tych społeczności. Tolerowano mnie, ale nigdy nie witano z otwartymi ramionami. Nigdy nie pasowałam. – Podnosi wzrok. – A z powodu koloru mojej skóry zawsze to ja będę obwiniana.

„O Boże", myślę. „O Boże, Boże", zamknij się, Ruth. „To na nic".

– Nie mam więcej pytań – rzucam, próbując zmniejszyć straty.

Bo Ruth nie jest już świadkiem, tylko bombą zegarową.

Kiedy siadam, Howard ma oczy jak spodki. Podsuwa mi kartkę z napisem „CO TU JEST GRANE???".

„Teraz już wiesz, czego twój świadek nigdy, przenigdy nie powinien robić", odpisuję pod spodem.

Odette podchodzi do miejsca dla świadka.

– Otrzymała pani polecenie, żeby nie dotykać dziecka?

– Tak – mówi Ruth.

– I aż do dnia dzisiejszego twierdziła pani, że zrobiła to dopiero na wyraźne polecenie przełożonej?

– Zgadza się.

– Tymczasem teraz pani zeznała, że podjęła czynności, które miały na celu jego ratowanie?

Ruth potwierdza.

– A więc jak było? – naciska Odette. – Dotknęła pani czy nie dotknęła Davisa Bauera, kiedy przestał oddychać?

– Dotknęłam.

– Postawmy sprawę jasno. Okłamała pani przełożoną?

– Tak.

– I swoją koleżankę Corinne?

– Tak.

– Okłamała pani ekipę reanimacyjną w Mercy-West Haven, prawda?

Ruth kiwa głową.

– Tak.

– I okłamała pani policję?

– Owszem.

– Chociaż zdawała pani sobie sprawę, że funkcjonariusze mają obowiązek i są moralnie zobligowani, aby ustalić przebieg zdarzeń?

– Wiem, ale…

– Drżała pani o swoją posadę – ciągnie Odette – bo w głębi serca czuła, że postąpiła niestosownie. Zgadza się?

– Ja…

– Okłamała pani tych wszystkich ludzi – mówi Odette. – Z jakiej racji przysięgli mają uwierzyć w to, co mówi pani teraz?

Ruth odwraca się do wyżej wspomnianych.

– Ponieważ mówię im prawdę.

– Jasne – stwierdza Odette. – Ale to niejedyna rzecz, którą pani zataiła, zgadza się?

Do czego ona zmierza?

– Kiedy dziecko umarło… gdy pediatra określiła czas zgonu… w głębi serca miała to pani gdzieś.

– Oczywiście, że nie! – Ruth prostuje się na krześle. – Robiliśmy, co w naszej mocy, jak w przypadku każdego innego pacjenta.

– Och, ale to nie był pierwszy lepszy pacjent, tylko dziecko białego supremacjonisty. Człowieka, który wypiął się na pani doświadczenie…

– Myli się pani.

– …człowieka, który zakwestionował pani kompetencje z powodu koloru pani skóry. Nie znosiła pani Turka Bauera i nie znosiła pani jego dziecka, prawda?

Odette stoi tuż na wprost Ruth, krzyczy jej w twarz. Ruth z każdym słowem przymyka oczy, jakby napierał na nią huragan.

– Nie – szepcze. – Nawet o tym nie pomyślałam.

– Ale pani koleżanka Corinne zeznała, że zdenerwowała się pani, gdy odsunięto panią od opieki nad Davisem Bauerem.

– Zgadza się.

– Przepracowała pani w Mercy-West Haven dwadzieścia lat?

– Tak.

– Powiedziała pani, że jest doświadczoną, kompetentną pielęgniarką i kocha swoją pracę, czy można tak powiedzieć?

– Tak.

– Owszem.

– Mimo to szpital przykładał większą wagę do spełnienia życzeń pacjenta niż uszanowania własnej pracownicy, w dodatku tak zasłużonej.

– Najwidoczniej.

– Musiała pani być wściekła, czyż nie?

– Byłam poruszona – przyznaje Ruth.

„Tylko spokojnie”, myślę.

– Poruszona? Powiedziała pani, cytuję: „To dziecko nic dla mnie nie znaczy”.

– Powiedziałam to pod wpływem impulsu…

Odette rozbłyskują oczy.

– Pod wpływem impulsu! Jak wtedy, gdy poradziła pani doktor Atkins, żeby wysterylizowała chłopca?

– To był żart – upiera się Ruth. – Nie powinnam tak mówić. Popełniłam błąd.

– Co jeszcze było błędem? – pyta Odette. – To, że przerwała pani udzielanie pomocy, kiedy chłopiec się dusił, w obawie o własny

interes?

– Kazano mi nic nie robić.

– Zatem podjęła pani świadomą decyzję, aby stać bezczynnie nad siniejącym dzieckiem z myślą „A jeśli mnie wyrzucą?”.

– Nie…

– A może myślała pani: „To dziecko nie zasługuje na moją pomoc. Rodzice nie chcieli, żebym go dotykała, bo jestem czarna, więc mają, co chcieli”.

– Nie było tak…

– Rozumiem. Myślała pani: „Nienawidzę jego rodziców rasistów”?

– Nie! – Ruth zatyka uszy.

– Wobec tego może: „Nienawidzę tego dziecka, bo nienawidzę jego rodziców rasistów”?

– Nie – wybucha Ruth tak głośno, że szyby drżą w oknach. – Pomyślałam, że lepiej, żeby umarł, niż był wychowywany przez niego.

Wskazuje palcem na Turka Bauera i wszyscy tracą mowę, łącznie ze mną. Ruth przyciska rękę do ust. „Rychło w czas”, myślę.

– S…sprzeciw! – bełkocze Howard. – Proszę o wykreślenie ostatniego zdania!

W tej samej chwili Edison wybiega z sali sądowej.

Zaraz po zakończeniu rozprawy łapię Ruth za nadgarstek i ciągnę do sali konferencyjnej. Howard przezornie zostaje na korytarzu. Gdy drzwi się zamykają, odwracam się do niej.

– Moje gratulacje. Zrobiłaś dokładnie to, co ci odradzałam, Ruth.

Podchodzi do okna, staje tyłem do mnie.

– O to ci chodziło? Cieszysz się, że mogłaś zeznawać? Teraz przysięgli widzą tylko wściekłą Murzynkę, tak wkurzoną i skorą do zemsty, że wcale bym się nie zdziwiła, gdyby sędzia rozważył zmianę kwalifikacji czynu. Dałaś przysięgłym wszelkie podstawy do podejrzeń, że ze złości pozwoliłaś temu dziecku umrzeć na swoich oczach.

Ruth powoli się odwraca. Stoi w łunie popołudniowego słońca, wygląda jak nie z tej ziemi.

– Ja się nie wkurzyłam. Ja jestem wkurzona. Jestem wkurzona od lat. Po prostu tego nie okazywałam. Nie rozumiesz, że przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku muszę mieć się na baczności, aby nie wyjść na zbyt czarną, więc gram. Noszę maskę, jakbym nakładała gips na twarz. To wyczerpujące. Nawet nie masz pojęcia, jak mnie męczy. Ale robię to, bo nie mam pieniędzy na kaucję. Robię to, bo mam syna. Robię to, bo w przeciwnym razie mogę stracić pracę. Dom. Siebie. Dlatego pracuję, uśmiecham się, potakuję, płacę rachunki, trzymam gębę na kłódkę i udaję zadowoloną, ponieważ tego ode mnie oczekują… nie, wymagają. A moją największą hańbą jest to, że przez długie lata mojego żałosnego życia brnęłam w tę farsę. Myślałam, że gdy spełnię wszystkie warunki, stanę się jedną z was.

Podchodzi do mnie.

– Spójrz na siebie – rzuca z przekąsem. – Jesteś dumna, że pomagasz kolorowym. Ale czy kiedykolwiek wzięłaś pod uwagę, że ich gehenna wynika bezpośrednio z twojego powodzenia? Może twoi rodzice kupili dom, bo sprzedawca nie życzył sobie w okolicy mojej mamy. Może zbierałaś dobre oceny i poszłaś na studia prawnicze, bo twoja matka nie musiała pracować osiemnaście godzin na dobę, a potem jeszcze czytać ci wieczorem i sprawdzać, czy odrobiłaś lekcje. Ile razy dziękujesz Bogu, że masz własny dom, bo wypracowałaś sobie pozycję, o jakiej większość czarnych rodzin może tylko pomarzyć? Jak często musisz w pracy uważać na słowa, żeby nie wzięli cię za orędowniczkę swojej rasy? Czy masz problem ze znalezieniem dla córki kartki urodzinowej z obrazkiem dziecka o tym samym co ona kolorze skóry? Ile razy widziałaś wizerunek Jezusa, który wygląda tak jak ty? – Urywa zdyszana, ma zaróżowione policzki. – Uprzedzenia działają w obie strony. Są ludzie, którzy cierpią z ich powodu, i tacy, którzy z nich korzystają. Kto pasował cię na Robin Hooda? Kto powiedział, że trzeba mnie ratować? Śmiesz robić mi wyrzuty, że zawaliłam sprawę, nad którą tak ciężko pracowałaś, gratulujesz sobie, że bronisz biednych, uciśnionych kobiet… ale po części jestem w tej sytuacji przez ciebie.

Dzielą nas centymetry. Czuję żar bijący od jej skóry, widzę swoje odbicie w jej źrenicach, kiedy znowu zaczyna mówić.

– Powiedziałaś, że możesz mnie reprezentować, Kennedy. Otóż nie możesz, bo mnie nie znasz. I nawet nie próbowałaś poznać. – Patrzy mi prosto w oczy. – Jesteś zwolniona – dorzuca i wychodzi.

***

Przez chwilę stoję sama w sali konferencyjnej, walcząc z natłokiem myśli. To dlatego rzecz nosi nazwę „rozprawa". Nigdy w życiu nie czułam się tak wściekła, upokorzona i zawstydzona. Przez te wszystkie lata w zawodzie miewałam klientów, którzy mnie nie znosili, ale jeszcze żaden mnie nie wyrzucił.

„Ona czuje dokładnie to samo".

Jasne, rozumiem: wielu białych ludzi nabiło ją w butelkę. Ale to nie znaczy, że ma mnie wrzucać z nimi do jednego worka, oceniać przez pryzmat pozostałych.

„Ona czuje dokładnie to samo".

Jak śmie mi zarzucać, że nie mogę jej reprezentować, bo nie jestem czarna? Jak śmie twierdzić, że nie próbowałam jej poznać? Jak śmie mi cokolwiek wmawiać? Mówić mi, co mam myśleć?

„Ona czuje dokładnie to samo".

Z jękiem rzucam się w stronę drzwi. Sędzia wezwał nas do siebie.

Howard stoi w progu, prawie się zderzamy. Na śmierć o nim zapomniałam.

– Wylała cię? – pyta i dodaje ze skruchą: – Trochę podsłuchiwałem.

Ruszam korytarzem.

– Nie może mnie wylać. Sędzia na to nie pozwoli na tym etapie. – Ruth powoła się na nieskuteczną obronę, ale jeśli ktoś jest tu nieskuteczny, to chyba ona. Zawaliła własne uniewinnienie.

– I co teraz?

Zatrzymuję się i odwracam do Howarda.

– Chciałabym to wiedzieć.

Pod koniec rozprawy obrona zgłasza wniosek o uniewinnienie. Jednakże tym razem, kiedy staję z Odette przed sędzią Thunderem,

patrzy na mnie jak na idiotkę, że śmiem w ogóle poruszać tę kwestię.

– Nie ma żadnych dowodów, że śmierć Davisa Bauera nastąpiła w wyniku działań Ruth. Lub braku takowych – dorzucam bez przekonania, bo sama już nie wiem, w co wierzyć.

– Wysoki sądzie – mówi Odette. – Przecież to jasne, że mamy do czynienia z desperackimi podrygami obrony, zważywszy na dzisiejsze zeznanie. Chciałabym pokornie prosić sąd o cofnięcie wcześniejszej decyzji o zmianie kwalifikacji. Myślę, że Ruth Jefferson właśnie dowiodła swoich złych intencji.

Krew zastyga mi w żyłach. Wiedziałam, że Odette pójdzie na całość, ale tego nie przewidziałam.

– Wysoki sądzie, zarzut morderstwa został już oddalony. Nie można po raz drugi oskarżyć Ruth Jefferson o to samo.

– W tym jednym wypadku – mówi niechętnie sędzia Thunder – pani McQuarrie ma rację. Dostała pani swoją szansę, pani Lawton, a ja oddaliłem zarzut. Pozostawiam sobie za to prawo rozstrzygnięcia wniosku o uniewinnienie. – Patrzy to na mnie, to na Odette. – W poniedziałek rano zaczynamy mowy końcowe. Postarajmy się nie robić z tego jeszcze większego syfu, dobrze?

Mówię Howardowi, że na resztę dnia biorę wolne, po czym jadę do domu. W głowie mam mętlik, mózg rozsadza mi czaszkę, jakby dopadło mnie jakieś choróbsko. Od progu wita mnie zapach wanilii. Wchodzę do kuchni i widzę mamę w fartuszku Wonder Woman, a Violet klęczy na krześle i ugniata w misce masę na ciasteczka.

– Mamusiu! – woła, unosząc klejące piąstki. – Robimy ci niespodziankę, więc udawaj, że nie widzisz.

Mrozi mnie to zdanie. „Udawaj, że nie widzisz”.

W ustach dziecka.

Mama zerka na mnie i marszczy brwi. „W porządku?”, pyta bezgłośnie.

W odpowiedzi siadam obok Violet, biorę garść surowego ciasta i zaczynam jeść.

Moja córka jest leworęczna, choć oboje z Micahem jesteśmy praworęczni. Mamy nawet zdjęcie z USG, na którym ssie lewy kciuk w moim brzuchu.

– A jeśli to jest takie proste? – mamroczę.

– Co jest takie proste?

Spoglądam na mamę.

– Myślisz, że świat jest uprzedzony do ludzi praworęcznych?

– Hm, muszę przyznać, że nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

– Ponieważ sama jesteś praworęczna – zaznaczam. – Ale pomyśl. Otwieracze do puszek, nożyczki, nawet składane biurka na uczelni: wszystko to jest przystosowane dla praworęcznych.

Violet podnosi rękę, w której trzyma łyżkę, i ogląda ją z namysłem.

– Kochanie – mówi mama – może pójdziesz się umyć, a potem poczęstujesz się ciasteczkiem?

Violet złazi z krzesła z rękami uniesionymi jak Micah przed wejściem na salę operacyjną.

– Chcesz, żeby dziecko miało koszmary? – gromi mama. – Wstydź się, Kennedy! Co cię znowu napadło? Czy to ma jakiś związek z twoją sprawą?

– Czytałam, że mańkuci umierają młodo, bo częściej ulegają wypadkom. Czy zakonnice nie dawały aby leworęcznym dzieciom po łapkach, kiedy dorastałaś?

Matka bierze się pod boki.

– Każdy medal ma dwie strony. Podobno ludzie leworęczni są bardziej twórczy. Przecież Michał Anioł, da Vinci i Bach byli mańkutami. W średniowieczu to już w ogóle był fart, bo większość rycerzy trzymała miecz w prawej dłoni, a tarczę w lewej, więc można było ich dopaść z zaskoczenia… – Celuje łopatką w moją pierś z prawej strony. – O tak.

Parskam śmiechem.

– A ty skąd to wiesz?

– Czytam romanse, kotku – mówi mama. – Nie martw się o Violet. Jeśli naprawdę zechce, może być oburęczna. Na przykład twój ojciec świetnie sobie radził i lewą, i prawą ręką: pisał, wbijał gwoździe, ściągał majtki. – Uśmiecha się do swoich wspomnień. – Niekoniecznie własne.

– Fuj! – wołam. – Przestań. – Ale myśli kotłują mi się w głowie: a co, jeśli ktoś nie pasuje do układanki świata? Ma się okaleczyć, okroić, spiłować brzegi?

Dlaczego nie możemy zmienić samej układanki?
– Mamo? Czy zostaniesz z Vi jeszcze kilka godzin?

***

Kiedyś przeczytałam w książce, że rdzenni Alaskanie początkowo wzięli białych misjonarzy za duchy. W zasadzie trudno im się dziwić. Biali ludzie bez wysiłku pokonują wszelkie granice, zupełnie jak duchy. Jak one możemy być wszędzie tam, gdzie chcemy.

Stwierdzam, że najwyższy czas poczuć ściany wokół siebie.

Zaczynam od pozostawienia samochodu na podjeździe i idę półtora kilometra na przystanek. Zmarznięta na kość wchodzę do drogerii, żeby się rozgrzać. Przystaję przed regałem, którego nigdy wcześniej nie oglądałam, i biorę do ręki fioletowy kartonik. Preparat prostujący do włosów Dark & Lovely[33] Healthy-Gloss. Przyglądam się ładnej kobiecie na obrazku. „Do włosów normalnych", czytam. „Proste, gładkie i lśniące". Omiatam wzrokiem instrukcję wieloetapowego procesu, po którym włosy mają wyglądać jak moje, kiedy je wysuszę na szczotce.

Następnie sięgam po butelkę olejowego nawilżacza do włosów Luster's Pink. Czarną tubkę Ampro Pro Styl. Satynowy czepek, który ponoć niweluje nocą puszenie i łamanie włosów.

Nie znam tych produktów. Pojęcia nie mam, do czego służą, dlaczego są niezbędne Murzynkom i jak je stosować. Ale dałabym głowę, że Ruth wymieniłaby na poczekaniu z pięć szamponów dla białych, które zna z wszechobecnych reklam telewizyjnych.

Idę przez śródmieście, gdzie przez chwilę siedzę na ławce w oczekiwaniu na kolejny autobus i obserwuję dwoje bezdomnych, którzy zaczepiają ludzi na ulicy. Biorą na cel głównie białych o zamożnym wyglądzie bądź studentów ze słuchawkami, i może jedna na sześć lub siedem osób sięga do kieszeni po drobne. Jeden bezdomny ma więcej szczęścia niż drugi. To starsza, biała kobieta. Drugiego – ciemnoskórego chłopaka – większość omija szerokim łukiem.

Okolica Hill to jedna z najbardziej szemranych dzielnic New Haven. Miałam stąd kilkunastu klientów, na ogół zamieszanych w handel narkotykami w pobliżu ubogich domów przy Church Street South. Właśnie tam mieszka Adisa, siostra Ruth.

Spaceruję ulicami. Dzieci bawią się w berka. Dziewczęta w zbitych grupkach dyskutują po hiszpańsku. Mężczyźni stoją na rogach ulic z założonymi rękami, pełniąc milczącą wartę. Jestem jedyną białą twarzą w okolicy. Kiedy wchodzę do sklepiku, zaczyna się ściemniać. Spaceruję między półkami, a kasjerka świdruje mnie wzrokiem. Dosłownie wierci mi dziurę między łopatkami.

– Czy mogę pomóc? – pyta w końcu, a ja kręcę głową i wychodzę.

Nie widzę nikogo, kto wygląda jak ja, co budzi pewien niepokój. Mijani ludzie unikają mojego wzroku. Jestem tu obca, moja obecność kłuje w oczy, nie pasuję tutaj. A przy tym, dokładnie w tej samej chwili, stałam się niewidzialna.

Gdy docieram na Church Street South, obchodzę budynki. Wiem, że w niektórych jest pleśń, mają wadliwą konstrukcję. Jakbym znalazła się w wymarłym mieście: wszystkie zasłony są szczelnie zasunięte, mieszkańcy zabarykadowali się w środku. Pod schodami widzę dwóch młodych mężczyzn, jeden przekazuje drugiemu pieniądze. Starsza pani nad nimi taszczy butlę z tlenem.

– Proszę pani! – wołam. – Może pomóc?

Wszyscy troje patrzą na mnie jak skamieniali. Mężczyźni zerkają spode łba, jeden z nich sięga do paska, skąd chyba wystaje kolba pistoletu. Kolana mam jak z waty. *No hablo inglés*, rzuca kobieta i szybko wchodzi po schodach.

Chciałam przez jedno popołudnie żyć jak Ruth, lecz nie wzięłam pod uwagę niebezpieczeństwa. Zresztą, niebezpieczeństwo rzecz względna. Mam męża z dobrą posadą, spłacony dom i nie muszę się martwić, że zrobię lub chlapnę coś, co zagrozi mojej sytuacji finansowej. Dla mnie zagrożenie ma inny wymiar: największym byłaby rozłąka z Violet, z Micahem. Każdy ma swojego demona, przez którego nie może spać po nocach. Ten demon przeraża i popycha do czynów, których zwykle nie bralibyśmy pod uwagę, wszystko na rzecz bezpieczeństwa.

Dla mnie oznacza bieg na złamanie karku w ciemności, która zdaje się mnie osaczać, dopóki nie zyskuję pewności, że nie jestem śledzona. Kilka przecznic dalej zwalniam na skrzyżowaniu. Serce przestało walić mi jak oszalałe, już się nie pocę. Nadchodzi mężczyzna, na oko w moim wieku, wciska guzik na przejściu, czeka. Ciemną skórę na policzkach ma usianą bliznami, które wyznaczają mapę jego życiorysu. Trzyma grubą książkę, ale nie widzę tytułu.

Podejmuję jeszcze jedną próbę. Wskazuję na książkę.

– Dobra? Szukam czegoś do czytania.

Prześlizguje po mnie wzrokiem. Nie odpowiada.

Kiedy włącza się zielone, twarz mi płonie. W milczeniu przechodzimy obok siebie na drugą stronę, po czym mężczyzna skręca w przeciwnym kierunku.

Jestem ciekawa, czy naprawdę zamierzał tamtędy iść, czy chciał tylko zwiększyć dzielący nas dystans. Bolą mnie stopy, z zimna cała się trzęsę i czuję się pokonana z kretesem. Uświadamiam sobie, że był to krótki eksperyment, ale przynajmniej próbowałam zrozumieć, co Ruth chciała mi powiedzieć. Próbowałam.

Ja.

Kierując się w stronę szpitala, w którym pracuje Micah, myślę o tamtym zaimku. Rozmyślam o setkach lat, gdy Murzyn mógł znaleźć się w poważnych tarapatach za rozmowę z białą kobietą. W niektórych zakątkach tego kraju ryzyko jest wciąż aktualne i winowajca ponosi dotkliwą karę z rąk samozwańczej straży obywatelskiej. Dla mnie przykrą konsekwencją rozmowy na światłach był fakt, że mnie zlekceważył. On odebrał ten incydent przez pryzmat dwustu lat historii.

Gabinet Micaha mieści się na drugim piętrze. Niesamowite, jak z chwilą gdy wchodzę do środka, znów czuję się w swoim żywiole. Znam służbę zdrowia; wiem, jak zostanę potraktowana, znam formułki i rytuały. Mogę minąć rejestrację i nikt nie zapyta, dokąd idę i w jakim celu. Mogę pomachać do pracowników na oddziale i wejść do gabinetu mojego męża.

Micah dzisiaj operuje. Siadam przy jego biurku bez butów, w rozpiętym płaszczu. Wpatruję się w model gałki ocznej na blacie, trójwymiarową układankę, w mojej głowie szaleje burza. Ilekroć

przymykam oczy, widzę staruszkę z Church Street South, która odrzuca moją propozycję pomocy. Słyszę głos Ruth, która mnie zwalnia.

Może sobie na to zasłużyłam.

Może się mylę.

Miesiącami pracowałam na rzecz jej uniewinnienia, ale jeśli mam być szczera, robiłam to dla siebie. Chciałam wygrać moją pierwszą sprawę.

Miesiącami powtarzałam Ruth, że na sali sądowej nie ma miejsca na dyskusję o uprzedzeniach rasowych. Gdy ktoś się przy tym upiera, może zapomnieć o wygranej. Jednak przemilczanie tej kwestii też ma swoją cenę, ponieważ działając w myśl wadliwego systemu, godzimy się na jego zasady.

I właśnie to próbowała mi powiedzieć Ruth, ale ja nie słuchałam. Ona miała odwagę zaryzykować swoją posadę, byt, swobodę wypowiedzi, a ja jestem blagierką. Wmawiałam jej, że rasa jest w sądzie niemile widziana, choć w głębi duszy wiem, że ona już tam mieszka. Zawsze mieszkała. A to, że ja przymykam na nią oko, wcale nie oznacza, że znikła.

Świadkowie przysięgają w sądzie mówić prawdę, całą prawdę i tylko prawdę, lecz przemilczanie zasługuje na potępienie tak samo jak każdy inny rodzaj obłudy. Zakończyć sprawę Ruth Jefferson, nie mówiąc przy tym na głos, że to wszystko spotkało ją z powodu koloru skóry, może być jeszcze większą porażką niż wyrok skazujący.

Może gdyby istnieli prawnicy odważniejsi ode mnie, nie balibyśmy się rozmawiać o rasie tam, gdzie ma to największe znaczenie.

Może gdyby istnieli prawnicy odważniejsi ode mnie, następna Ruth nie czekałaby gdzieś w kolejce, aby odpowiedzieć za kolejny incydent na tle rasowym, którego nikt nie nazwie po imieniu.

Może gdyby istnieli prawnicy odważniejsi ode mnie, naprawienie systemu liczyłoby się na równi z uniewinnieniem klienta.

Może powinnam mieć więcej odwagi.

Ruth zarzuciła mi, że chciałam ją ratować, i pewnie miała rację. Ale ona nie potrzebuje ratunku. Nie potrzebuje moich rad, no bo w końcu, kim jestem, żeby ich udzielać, jeśli nie przeżyłam tego, co ona? Ona po prostu chce mówić. I zostać usłyszaną.

Nie jestem pewna, ile czasu mija, zanim przychodzi Micah. Jest w fartuchu, który zawsze uważałam za seksowny, i w crocsach, którym daleko do tego miana. Rozjaśnia się na mój widok.

– A to ci dopiero miła niespodzianka.

– Byłam w okolicy – mówię mu. – Podrzucisz mnie do domu?

– Gdzie masz samochód?

Potrząsam głową.

– Długo by opowiadać.

Bierze jakieś papiery, sprawdza wiadomości i sięga po płaszcz.

– Wszystko w porządku? Kiedy wszedłem, byłaś pogrążona w myślach.

Sięgam po model oka i obracam go w rękach.

– Czuję, jakby stała pod otwartym oknem, przez które ktoś wyrzuca dziecko. Oczywiście je łapię, wiadomo. Ale za nim leci kolejne, więc podaję komuś to pierwsze i łapię dalej. Potem znowu to samo. Po chwili zbiera się łańcuszek osób, które podają sobie dzieci tak sprawnie, jak ja je łapię, ale nikomu nie przyjdzie do głowy zapytać, kto do licha ciężkiego je wyrzuca.

– Hm. – Micah patrzy na mnie spod oka. – O jakim dziecku mowa?

– O żadnym, to metafora – fukam. – Robię, co do mnie należy, ale kogo to obchodzi, jeżeli system tworzy sytuacje, w których moja praca jest konieczna? Czy nie powinniśmy skupić się na szerszej perspektywie, zamiast łapać to, co wylatuje przez okno w danej chwili?

Micah patrzy na mnie, jakbym postradała rozum. Za nim na ścianie wisi plakat z przekrojem ludzkiego oka. Nerw wzrokowy, ciecz wodnista, soczewka. Ciało szkliste, siatkówka, naczyniówka.

– Żyjesz z przywracania ludziom wzroku.

– No – przytakuje.

Spoglądam na niego.

– Muszę zrobić dokładnie to samo.

33 Ciemna i śliczna.

Ruth

Edisona nie ma w domu, nie ma też samochodu.

Czekam na niego, piszę, dzwonię, modlę się, ale zero odzewu. Wyobrażam sobie, jak idzie ulicą i mój głos rozsadza mu uszy. Zastanawia się, czy też nosi w sobie takie pokłady gniewu. Co bierze górę, natura czy wychowanie, a może ciąży na nim podwójne przekleństwo?

Owszem, znienawidziłam tego rasistę, że mnie tak zlekceważył. Znienawidziłam szpital, że go poparł. Nie wiem, czy to wpłynęło na moje poświęcenie dla pacjenta; owszem, miałam takie myśli. Owszem, spojrzałam na niewinne dziecko i pomyślałam, na jakiego potwora wyrośnie.

Czy dlatego jestem złoczyńcą? A może po prostu człowiekiem?

Kennedy. Nie powiedziałam jej tego, co nosiłam w głowie, tylko w sercu. Nie żałuję ani jednego słowa. Ilekroć myślę o tym, jakie to było uczucie stamtąd wyjść – chociaż raz mieć ten przywilej – mam zawroty głowy, jakbym unosiła się wysoko nad ziemią.

Słyszę kroki na zewnątrz, biegnę otworzyć, ale to nie mój syn, tylko siostra. Stoi ze skrzyżowanymi rękami.

– Wiedziałam, że cię zastanę – mówi i ładuje się do środka.

Rozsiada się na tapczanie, rzuca kurtkę na kuchenne krzesło i kładzie nogi na stole.

– Widziałaś Edisona? Jest z Tabarim? – pytam.

Zaprzecza.

– Tabari pilnuje rodzeństwa.

– Martwię się.

– O Edisona?

– Między innymi.

Adisa poklepuje tapczan obok siebie. Siadam, a ona bierze mnie za rękę.

– Edison jest mądrym chłopcem. Spadnie na cztery łapy.

Z wysiłkiem przełykam ślinę.

– Czy… czy będziesz miała na niego oko? Dopilnujesz, żeby… no wiesz, się nie poddał?

– Jeśli spisujesz testament, zawsze podobały mi się twoje czarne kozaki. – Potrząsa głową. – Wyluzuj, Ruth.

– Niby jak? Nie mogę tu bezczynnie siedzieć i myśleć, że mój syn przekreśli całą swoją przyszłość, i to przeze mnie.

Patrzy mi prosto w oczy.

– Dlatego musisz zostać i sama go przypilnować.

Lecz obie wiemy, że nie mam na to wpływu. Nagle zginam się wpół, przytłoczona prawdą tak zatrważającą, że brak mi tchu: straciłam kontrolę nad swoją przyszłością. Na własną prośbę.

Złamałam zasady. Zrobiłam dokładnie to, co Kennedy mi odradzała. Przemówiłam. A teraz za to płacę.

Adisa mnie obejmuje, przyciska moją twarz do swojego barku. Dopiero wtedy uświadamiam sobie, że szlocham.

– Tak się boję – wykrztuszam.

– Wiem. Ale zawsze masz mnie – zapewnia. – Upiekę ci ciasto z pilnikiem w środku.

Mimo rozpaczy nie mogę powstrzymać się od śmiechu.

– Nie upieczesz.

– Racja – mówi po namyśle. – Za cholerę nie umiem piec. – Wstaje i sięga do kieszeni kurtki. – Uznałam, że ci się przyda.

Wiem, co mi daje – rozpoznaję zapach – powiew perfum z ostrą nutą szarego mydła. Rzuca mi na kolana szczęśliwy szalik mamy, który rozwija się jak róża.

– Ty go zabrałaś? Wszędzie go szukałam.

– Tak, bo stwierdziłam, że capniesz go dla siebie lub pochowasz w nim mamę, a ona już nie potrzebuje szczęścia, w przeciwieństwie do mnie. – Adisa wzrusza ramionami. – I do ciebie.

Ponownie siada obok mnie. W tym tygodniu ma jaskrawożółte paznokcie. Moje są obgryzione prawie do mięsa. Bierze szalik i owija

mi szyję, po czym wsuwa końce pod spód, tak jak to robiłam Edisonowi. Kładzie mi ręce na barkach.

– Gotowe – mówi, jakbym szła na wojnę.

Edison wraca po północy. Jest dziwnie pobudzony, ma przesiąknięte potem ubranie.

– Gdzie byłeś? – pytam.

– Biegałem. – Ale kto biega z plecakiem?

– Musimy porozmawiać…

– Nie mam ci nic do powiedzenia – oznajmia i zatrzaskuje za sobą drzwi.

Wiem, że musi być zniesmaczony tym, co we mnie dzisiaj zobaczył: moją złością, przyznaniem się do kłamstwa. Podchodzę do drzwi, przyciskam dłonie do płyty pilśniowej i zwijam je w pięści, żeby zapukać, wymusić rozmowę, ale nie mogę. Jestem pusta w środku.

Nie ścielę łóżka, zasypiam na tapczanie. Znowu śni mi się pogrzeb mamy. Tym razem siedzi obok mnie w kościele, prócz nas nikogo tam nie ma. Przed ołtarzem stoi trumna. „Jaka szkoda", mówi mama.

Spoglądam na nią, potem na trumnę. Nie widzę, kto jest w środku, dlatego podnoszę się ciężko i zauważam, że stopy przyrosły mi do posadzki, spod której wystrzeliły pnącza i oplotły mi kostki. Próbuję się ruszyć, ale jestem uziemiona.

Wychylam się, jak mogę, żeby zajrzeć do trumny.

Od szyi w dół to sam szkielet.

Wieńczy go moja twarz.

Budzę się z dziko bijącym sercem i stwierdzam po chwili, że huk rozlega się gdzie indziej. Déjà vu, myślę, odwracając się w stronę drzwi, które drżą w futrynie. Zrywam się i łapię za klamkę, ale w tej samej chwili drzwi wypadają z zawiasów i omal mnie nie przygniatają. Do środka wpadają policjanci, odpychają mnie na bok. Wytrząsają zawartość szuflad, przewracają krzesła.

– Edison Jefferson?! – krzyczy jeden z funkcjonariuszy i mój zaspany syn staje w progu.

Natychmiast zostaje pochwycony i skuty, wloką go do drzwi.

– Jesteś aresztowany za przestępstwo na tle nienawiści – oświadcza policjant.

Że co proszę?

– Edisonie! – krzyczę. – Czekajcie! To pomyłka!

Inny policjant wychodzi z pokoju Edisona z rozpiętym plecakiem w jednej ręce i puszką czerwonej farby w drugiej.

– Bingo – oznajmia.

Edison odwraca się do mnie, na ile może.

– Przepraszam, mamo, musiałem – rzuca, po czym wyciągają go na zewnątrz.

– Masz prawo zachować milczenie… – słyszę i już ich nie ma.

Cisza mnie paraliżuje, zatyka mi gardło, skronie. Nie mogę oddychać. Rzucam się do stolika po telefon, który się ładuje. Wyrywam wtyczkę z kontaktu i dzwonię, mimo że jest noc.

– Potrzebuję twojej pomocy.

Głos Kennedy brzmi mocno i pewnie, jakby wiedziała, że zadzwonię.

– Co się stało? – pyta.

Kennedy

Kilka minut po drugiej nad ranem dzwoni moja komórka i wyświetla się numer Ruth. Natychmiast się budzę. Micah siada na łóżku, od razu w gotowości, jak to lekarze. Potrząsam głową, że dam sobie radę.

Kwadrans później zajeżdżam pod posterunek w East Endzie.

Śmiało podchodzę do biurka oficera dyżurnego.

– Przywieźliście chłopca o nazwisku Edison? – pytam. – Pod jakim zarzutem?

– Kim pani jest?

– Prawnikiem rodziny.

Wylanym przed paroma godzinami, uzupełniam w duchu. Policjant mruży oczy.

– Smarkacz nie wspomniał nic o prawniku.

– Ma siedemnaście lat – zaznaczam. – Pewnie zapomniał ze strachu, jak się nazywa. Nie utrudniajmy sprawy, dobrze?

– Pobazgrał farbą ściany szpitala, co widać w zapisie z kamery przemysłowej.

Edison wandalem?

– Czy to na pewno on? To świetny uczeń, idzie do college'u.

– Ochroniarz go rozpoznał. Namierzyliśmy go, jak wracał samochodem bez ubezpieczenia, zarejestrowanym na nazwisko Ruth Jefferson. Doprowadził nas do samego domu.

O cholera.

– Namalował swastykę i podpisał ją „Giń, czarnuchu".

– Słucham? – pytam w osłupieniu.

Czyli to nie tylko wandalizm, ale przestępstwo na tle nienawiści. Nic z tego nie rozumiem. Wyjmuję portmonetkę, sprawdzam, ile mam gotówki.

– No dobra. Czy możemy załatwić mu przyspieszone przesłuchanie przed sądem? Sprowadzę sędziego magistrackiego, żeby chłopak wyszedł jeszcze dzisiaj.

Prowadzi mnie do celi, gdzie zastaję Edisona siedzącego na podłodze plecami do ściany, z kolanami pod brodą. Widzę, że płakał. Na mój widok wstaje i podchodzi do krat.

– Czyś ty na głowę upadł? – pytam.

Wyciera nos w rękaw.

– Chciałem pomóc mamie.

– I wylądowałeś w areszcie?

– Próbowałem wrobić Turka Bauera. To wszystko przez niego, a po dzisiejszym dniu wszyscy myślą, że to wina mamy… – Patrzy na mnie czerwonymi oczami. – Przecież ona jest tu ofiarą. Dlaczego ludzie tego nie rozumieją?

– Pomogę ci – mówię. – Ale to poufna rozmowa, więc masz nie mówić nic mamie. – Ruth i tak wkrótce się dowie, być może z pierwszych stron cholernych gazet. To będzie mocne: „Syn pielęgniarki morderczyni aresztowany za przestępstwo na tle nienawiści". – I na miłość boską, ani słowa przy sędzim magistrackim.

Kwadrans później sędzia przychodzi do celi. Przesłuchania w trybie przyspieszonym są jak czarodziejskie sztuczki; wszelkie reguły można nagiąć, byle za odpowiednią opłatą. Funkcjonariusz pełni funkcję oskarżyciela, prócz niego jestem tylko ja, Edison i sędzia do wynajęcia. Zostaje odczytany zarzut, Edison słyszy, że ma prawo zachować milczenie.

– O co tutaj chodzi? – pyta sędzia magistracki.

– Wysoki sądzie, to wyjątkowe okoliczności i odosobniony wybryk – zapewniam. – Edison ma liczne osiągnięcia szkolne i sportowe, nigdy nie sprawiał żadnych problemów. Jego matka stanęła przed sądem pod zarzutem nieumyślnego spowodowania śmierci, chłopak jest zagubiony. Działał pod wpływem emocji, to była z jego strony bardzo nieprzemyślana próba pomocy mamie.

Sędzia patrzy na Edisona.

– Czy to prawda, młody człowieku?

Edison zerka na mnie, nie wie, czy ma odpowiedzieć. Kiwam głową.

– Tak, proszę pana – odpowiada cicho.

– Edisonie Jefferson, odpowiadasz za czyn na tle nienawiści rasowej – mówi sędzia. – To przestępstwo, w poniedziałek zostaniesz przesłuchany w sądzie. Nie będziesz musiał odpowiadać na żadne pytania i masz prawo do adwokata. Widzę, że reprezentuje cię pani McQuarrie, więc sprawa zostanie oficjalnie przekazana do biura obrońców z urzędu. Nie wolno ci opuszczać stanu Connecticut i mam obowiązek cię poinformować, że jeśli w trakcie tej sprawy zostaniesz ponownie aresztowany, trafisz do więzienia stanowego. – Mierzy Edisona srogim spojrzeniem. – Unikaj kłopotów, chłopcze.

Kończymy w ciągu godziny. Wsiadamy do samochodu i wiozę Edisona do domu. Siedzi obok mnie; gdy ukradkiem na niego zerkam, oczy mam w ramce poświaty ze wstecznego lusterka. Trzyma zabawkę Violet, wróżkę z różowymi skrzydełkami. Wydaje się tycia w jego dużych rękach.

– Czy tobie, kurwa, odbiło? – pytam cicho. – Ludzie pokroju Turka Bauera są straszni. Dlaczego zniżasz się do ich poziomu?

– A pani? – odpowiada pytaniem. – Udaje pani, że ich czyny się nie liczą. Przecież słyszałem, prawie nie było o tym mowy.

– O czym?

– O rasizmie – odpowiada.

Wciągam głośno oddech.

– Może nie wprost, ale wszyscy widzieli, jaki z Bauera typ.

Rzuca mi ironiczne spojrzenie.

– Serio pani myśli, że to jedyny rasista na tej sali?

Zajeżdżamy przed dom Ruth. Wewnątrz pali się ciepłe, maślane światło. Ruth otwiera drzwi i zbiega po schodach, owijając się swetrem.

– Chwała Bogu – mamrocze i przytula syna. – Co się stało?

Edison zerka na mnie.

– Kazała ci nie mówić.

Ruth prycha.

– Nie wątpię, jest w tym dobra.

– Namalowałem na szpitalu swastykę. I… jeszcze coś.

Trzyma go na długość ramienia, czeka.

– Napisałem „Giń, czarnuchu” – bąka Edison.

Ruth daje mu w twarz. Chłopak zatacza się i łapie za policzek.

– Dlaczego to zrobiłeś, kretynie?

– Myślałem, że Bauer oberwie. Chciałem, żeby ludzie przestali się na tobie wyżywać.

Ruth przymyka na chwilę oczy, jakby z trudem nad sobą panowała.

– I co teraz?

– W poniedziałek zostanie przesłuchany w sądzie. Zapewne zjawi się prasa – mówię.

– Co mam zrobić? – pyta.

– Ty – odpowiadam – nic. Ja się tym zajmę.

Widzę, że walczy ze sobą, nie chce przyjąć tego daru.

– Dobrze – mówi w końcu.

Ani na chwilę nie traci kontaktu z synem. Zdzieliła go, lecz mimo to wciąż trzyma rękę na jego ramieniu, barku, plecach. Kiedy odjeżdżam, nadal stoją na ganku, jedno zaplątane w skruchę drugiego.

Gdy wracam do domu, jest czwarta rano. Nie ma sensu się kłaść, zresztą jestem nakręcona. Postanawiam trochę posprzątać, a potem usmażę naleśniki na śniadanie.

W toku procesu moje domowe biuro staje się coraz bardziej zagracone, nie da się tego uniknąć. Ale sprawa Ruth dobiega końca, więc wchodzę do pokoju gościnnego, w którym się zagnieździłam, i zaczynam pakować materiały do kartonów. Porządkuję segregatory, teczki i notatki na temat zebranych dowodów. Próbuję znaleźć strefę zero.

Niechcący trącam stertę na biurku i zrzucam ją na podłogę. Zbierając rozsypane kartki, przeglądam zeznanie Brittany Bauer, którego oczywiście nie wykorzystano, i kopię wyników z laboratorium stanowego, stwierdzających chorobę Davisa Bauera. Patrzę na długą listę zaburzeń. Większość opatrzono informacją „w normie”, oprócz rzecz jasna MCAD.

Przeglądam resztę listy, na którą wcześniej tylko zerknęłam, pochłonięta jednym odkryciem.

I nagle widzę, że na odwrocie też jest wydruk.

A tam, wśród morza prawidłowych wyników, kolejna anomalia. Widnieje prawie u samego dołu zgrupowanych wyników – może jest mniej ważna, mniej groźna? Porównuję wynik z innymi wynikami z akt, brnę przez listę białek, których nazw nie potrafię wymówić, wykresy spektrometrii, których nie umiem odczytać.

Zatrzymuję się na stronie przedstawiającej coś jakby rozmazany kleks. „Elektroforeza" – czytam. „Hemoglobinopatia". A pod spodem wyniki: „HbS/heterozygota". Siadam przy komputerze i wpisuję to w wyszukiwarkę. Jeśli Davis Bauer cierpiał na jeszcze inną chorobę, wywlokę to nawet teraz. Poproszę o wznowienie procesu na podstawie nowych dowodów.

Zacznę od początku, z nową ławą przysięgłych.

„Nosicielstwo o zwykle łagodnym przebiegu", czytam i moja nadzieja się rozwiewa. Nie znajdę tutaj drugiej potencjalnej przyczyny śmierci naturalnej.

„Konieczna konsultacja rodziny".

„Nosiciel genu niedokrwistości sierpowatokrwinkowej".

Przypominam sobie słowa Ivana.

Siadam na podłodze, sięgam po zapis wszystkich zeznań i przystępuję do lektury.

Następnie, chociaż jest dopiero wpół do piątej, łapię komórkę i przeszukuję historię połączeń, aż znajduję to, o które mi chodzi.

– Mówi Kennedy McQuarrie – przedstawiam się, kiedy w słuchawce rozbrzmiewa zaspany głos Wallace'a Mercy'ego. – Jest mi pan potrzebny.

W poniedziałkowy ranek na schodach tłoczą się dziennikarze, w tym wielu spoza stanu, zwabieni historią młodego Murzyna, syna pielęgniarki sądzonej w tym samym budynku za zabicie dziecka białego supremacjonisty. Chłopak wypisywał rasistowskie hasła przeciwko swoim. Przygotowałam wprawdzie przemówienie dla Howarda, na wypadek gdybym nie zdążyła, ale sędzia Thunder

ponownie zadziwia mnie wspaniałomyślnym gestem i przesuwa mowy końcowe na dziesiątą, żebym mogła reprezentować Edisona, zanim ponownie przejmę sprawę Ruth – i najprawdopodobniej zostanę formalnie zwolniona.

Kamery suną za nami korytarzem, mimo że prowadzę Ruth i proszę Howarda o osłonięcie Edisona. Przesłuchanie trwa niespełna pięć minut. Edison zostaje zwolniony bez kaucji, sędzia ustala datę rozprawy przedwstępnej. Wychodzimy i znów musimy uchylać się przed obiektywami.

Jeszcze nigdy nie cieszyłam się tak z powrotu do sali sędziego Thundera, gdzie kamery i prasa nie mają wstępu.

Wchodzimy do środka i wracamy na nasze miejsca, Edison bezszelestnie siada za nami. Ruth natychmiast rzuca mi niezadowolone spojrzenie.

– Co robisz?

Mrugam.

– O co ci chodzi?

– Reprezentujesz Edisona, ale to nic między nami nie zmienia – odpowiada.

Zjawia się sędzia, uprzedziwszy moją odpowiedź. Patrzy na mnie, pochłoniętą żarliwą dyskusją z klientką, i przenosi wzrok na Odette.

– Czy strony są gotowe? – pyta.

– Wysoki sądzie – odzywa się Ruth. – Chciałabym zwolnić mojego obrońcę.

Sądząc po jego minie, sędzia Thunder myślał, że nic w tej sprawie już go nie zdziwi, aż do teraz.

– Pani Jefferson, dlaczego chce to pani zrobić na tym etapie? Zostały tylko mowy końcowe.

Ruth z uporem zaciska zęby.

– To sprawa osobista, wysoki sądzie.

– Stanowczo odradzam, pani Jefferson. Pani McQuarrie zna sprawę i wbrew wszelkim oczekiwaniom jest doskonale przygotowana. Działa na pani korzyść. Moim obowiązkiem jest doprowadzić tę sprawę do końca bez dalszych opóźnień. Przysięgli wysłuchali wszystkich zeznań; nie mamy czasu czekać, aż znajdzie pani nowego obrońcę, bo nie może pani sama siebie reprezentować, brak pani

przygotowania. – Przenosi wzrok na mnie. – Nie do wiary, ale ogłaszam kolejną półgodzinną przerwę, żeby panie mogły się pogodzić.

Zlecam Howardowi opiekę nad Edisonem, żeby uchronić chłopca przed dziennikarzami. Przejście do sali konferencyjnej również wymagałoby starcia, więc wyprowadzam Ruth tylnym wyjściem i kierujemy się do łazienki.

– Przepraszam – mówię do kobiety, która idzie za nami, i zamykam drzwi od środka. Ruth opiera się o umywalkę i krzyżuje ręce na piersi.

– Może dla ciebie nic się nie zmieniło, ale dla mnie sporo – oznajmiam. – W końcu cię wyraźnie słyszę. Może na to nie zasługuję, ale proszę, żebyś dała mi ostatnią szansę.

– Niby dlaczego? – pyta Ruth wyzywającym tonem.

– Ponieważ powiedziałam ci kiedyś, że nie widzę koloru… teraz nie widzę nic innego.

Rusza w stronę drzwi.

– Nie potrzebuję twojej litości.

– Masz rację. – Kiwam głową. – Potrzebujesz sprawiedliwości.

Ruth przystaje, ale nie odwraca do mnie głowy.

– Chciałaś powiedzieć: „równości”.

– Nie, miałam na myśli sprawiedliwość. Równość to traktowanie wszystkich jednakowo. Sprawiedliwość uwzględnia różnice, tak aby wszyscy mieli szanse na powodzenie. – Patrzę na nią. – Równość bywa pozorna, sprawiedliwość niekoniecznie. Równość to dać dwójce dzieci wydrukowany test do napisania, lecz jeśli jedno widzi, a drugie jest niewidome, mówimy o równości pozornej. Pierwszemu trzeba dać wydruk, drugiemu test w alfabecie Braille’a, z tego samego zakresu materiału. Przez cały ten czas dawałam przysięgłym wydruk, bo nie zdawałam sobie sprawy, że są ślepi. Że ja jestem ślepa. Proszę cię, Ruth. Myślę, że spodoba ci się to, co mam do powiedzenia.

Ruth powoli się odwraca.

– Ostatnia szansa.

***

Kiedy wstaję, nie jestem sama.

Tak, na moją mowę końcową czeka pełna sala, lecz otaczają mnie historie, które odbiły się głośnym echem w mediach, w sądach zaś zostały potraktowane po macoszemu. Historie Tamira Rice'a, Michaela Browna, Trayvona Martina. Erica Garnera, Waltera Scotta i Freddiego Graya. Sandry Bland i Johna Crawforda Trzeciego. Afroamerykańskich żołnierek, które chcą nosić naturalne włosy, i dzieci ze szkolnego okręgu Seattle, które dowiedziały się od Sądu Najwyższego, że dobieranie uczniów w celu utrzymania różnorodności rasowej jest niezgodne z konstytucją. Mniejszości na Południu, pozbawione ochrony federalnej, gdy ich rodzime stany dążą do ograniczenia im praw wyborczych. Milionów Afroamerykanów, którym ogranicza się dostęp do mieszkań i miejsc pracy. Bezdomnego chłopaka z Chapel Street, którego kubek nigdy nie będzie tak pełny, jak kubek białej bezdomnej kobiety.

Zwracam się w stronę przysięgłych.

– Panie i panowie, gdybym powiedziała wam dzisiaj, że wszyscy spośród tutaj zgromadzonych, którzy urodzili się w poniedziałek, wtorek lub środę, mogą odejść? Że dostaną najlepsze miejsca parkingowe i największe domy, fory na rozmowach kwalifikacyjnych w porównaniu z tymi, którzy urodzili się w dni późniejsze, a lekarze przyjmą ich bez kolejki. Jeśli przyszliście na świat w czwartek lub niedzielę, możecie próbować nadążyć, ale ponieważ zostaliście w ogonie, prasa zawsze będzie wam wytykać niedociągnięcia. A jeśli się poskarżycie, dostaniecie po nosie za wyciąganie argumentu dnia waszych urodzin. – Wzruszam ramionami. – Głupota, prawda? Co jednak, gdyby na przekór arbitralnym utrudnieniom wmawiano wam, że panuje równość?

Podchodzę do nich.

– Na początku powiedziałam wam, że Ruth Jefferson znalazła się w sytuacji bez wyjścia: mogła albo spełnić swój obowiązek pielęgniarki, albo zastosować się do polecenia przełożonej. Zapowiedziałam, że dowody wskażą na ukryte problemy zdrowotne

Davisa Bauera, które doprowadziły do jego śmierci. I tak się stało, panie i panowie. Ale w tej sprawie chodziło o znacznie więcej, niż dałam wam do zrozumienia.

Spośród wszystkich osób, które miały do czynienia z Davisem Bauerem w szpitalu Mercy-West Haven w ciągu jego krótkiego życia, tylko jedna zasiada na ławie oskarżonych: Ruth Jefferson. Tylko jednej zarzuca się popełnienie przestępstwa: Ruth Jefferson. Od początku trwania tej rozprawy unikałam odpowiedzi na niezmiernie istotne pytanie: Dlaczego?

Ruth jest czarna – stwierdzam beznamiętnie. – Ubodło to Turka Bauera, białego supremacjonistę. Turk Bauer nie znosi czarnych, Azjatów, gejów, nikogo, kto różni się od niego. I dlatego wprawił w ruch machinę zdarzeń, za pomocą której zrobił z Ruth kozła ofiarnego i uczynił ją odpowiedzialną za tragiczną śmierć jego syna. Ale nie będziemy przecież mówić w sądzie o dyskryminacji rasowej. Mamy udawać, że dyskryminacja to jedynie lukier na torcie postawionego zarzutu, a nie jego istota. Mamy stać na straży postrasowego społeczeństwa. Ale wiecie co, wyraz „ignorancja" nie na darmo brzmi podobnie do czasownika „ignorować". Nie uważam więc, że słusznym jest dalej ignorować prawdę.

Patrzę prosto na przysięgłą numer dwanaście, nauczycielkę.

– Dokończcie zdanie – mówię. – „Jestem…?" – Zawieszam głos. – Może odpowiecie: „nieśmiały". Lub: „serdeczny". „Nerwowy". „Uczciwy". „Inteligentny". Ale większość z was nie odpowiedziałaby „biały". Dlaczego? Bo to oczywiste. Tożsamość, która nam się należy. Ci z nas, którzy mieli szczęście urodzić się biali, nie zdają sobie sprawy ze swojej szczęśliwej gwiazdy. No cóż, nie zwracamy też uwagi na inne rzeczy. Na to, że mogliśmy rano wziąć prysznic, że mieliśmy gdzie spać. Że zjedliśmy śniadanie i włożyliśmy czystą bieliznę. Dzieje się tak, gdyż te wszystkie niewidzialne przywileje bierzemy za jednym zamachem.

Jasne, o wiele łatwiej dostrzec brzydką twarz rasizmu, rażące przykłady dyskryminacji wobec kolorowych. Widzimy je, kiedy Afroamerykanin zostaje przypadkowo zastrzelony przez policję, a dziewczyna o śniadej cerze jest szykanowana przez rówieśników za noszenie hidżabu. Nieco trudniej dojrzeć własne korzyści z bycia

białym. Możemy iść do kina z przekonaniem, że większość głównych bohaterów wygląda tak jak my. Możemy spóźnić się na spotkanie i nikt nie złoży tego na karb naszej rasy. Możemy iść do sędziego Thundera, wyrazić sprzeciw i nikt nie zarzuci nam, że wyciągamy kwestię dyskryminacji. – Urywam. – Zdecydowana większość z nas nie wraca do domu z pracy ze słowami: „Hurra! Byłem w sklepie i nikt nie przetrzepał mi torby z zakupami!". Zdecydowana większość z nas nie idzie na studia z myślą: „Dostałem się do wybranej szkoły, bo system edukacyjny naprawdę działa na moją korzyść". Nie myślimy tak, bo nie mamy powodu.

Dostrzegam wśród przysięgłych pewne poruszenie. Wiercą się i szurają, a sędzia Thunder patrzy na mnie spod oka, chociaż mam prawo ująć w mowie końcowej, co dusza zapragnie, i teoretycznie mogłabym nawet przeczytać *Wielkie nadzieje*, gdyby przyszła mi na to ochota.

– Wiem, że myślicie sobie: „Nie jestem rasistą". No ba, przecież mieliśmy tutaj dobitny przykład tego, jak wygląda prawdziwy rasizm, w osobie Turka Bauera. Śmiem wątpić, że wśród przysięgłych jest wielu, którzy podobnie jak on wierzą, że ich dzieci są aryjskimi wojownikami, a czarni nie mogą ich tykać swoimi brudnymi paluchami. Lecz gdybyśmy nawet spakowali wszystkich białych supremacjonistów i wysłali ich na Marsa, rasizm pozostanie. Pozostanie, bo rasizm to nie tylko nienawiść. Wszyscy mamy uprzedzenia, chociaż nie zdajemy sobie z tego sprawy. Ponieważ rasizm to również to, do kogo należy władza… i kto ma do niej dostęp.

Gdy zaczęłam pracę nad tą sprawą, panie i panowie, nie postrzegałam siebie jako rasistki. Teraz widzę, że nią jestem. Nie dlatego, że nie trawię ludzi innego koloru skóry, ale ponieważ – chcąc nie chcąc – skorzystałam na tym, że jestem biała, tak jak Ruth Jefferson traciła na tym, że jest Afroamerykanką.

Odette siedzi ze spuszczoną głową. Nie wiem, czy jest zachwycona, że wbijam sobie gwoździe do trumny, czy ją po prostu zatkało, że mam czelność igrać z przysięgłymi właśnie teraz.

– Istnieje różnica między aktywnym i biernym rasizmem. Wyobraźcie sobie, że idziecie ruchomym chodnikiem na lotnisku.

Znajdziecie się na drugim końcu szybciej, niż gdybyście stali, ale koniec końców traficie w to samo miejsce. Aktywny rasizm to wytatuowana swastyka na głowie. Aktywny rasizm to żądanie, aby ciemnoskóra pielęgniarka nie dotykała waszego dziecka. Rechotanie z kawału o Murzynach. Ale bierny rasizm? Bierny rasizm polega na tym, że odnotujemy fakt, że w waszym biurze pracuje tylko jeden czarny, lecz nie zapytamy szefa o powód. Świadomość, że nasz czwartoklasista poznaje historię Afroamerykanów tylko w kontekście niewolnictwa, ale nic nas to nie obchodzi. Reprezentowanie w sądzie kobiety, która znalazła się na ławie oskarżonych z powodu swojej rasy… i przejście nad tym do porządku dziennego, jakby to nie miało znaczenia.

Na pewno czujecie się teraz niezręcznie. Cóż, ja także. Trudno mówić o tych rzeczach, nie obrażając ludzi albo samemu nie czując się urażonym. Właśnie dlatego my, prawnicy, nie powinniśmy mówić tego wam, przysięgłym. Ale w głębi serca, gdybyście zadali sobie pytanie, o co tak naprawdę chodzi w tej sprawie, wiedzielibyście, że o znacznie więcej niż tylko rzekomy związek Ruth ze śmiercią jednego z pacjentów. Chodzi o układy obowiązujące od około czterystu lat, układy, dzięki którym ludzie pokroju Turka mogą stawiać haniebne żądania jako pacjenci i liczyć na ich spełnienie. Układy, których zadaniem jest wskazywać ludziom pokroju Ruth, gdzie ich miejsce.

Błagalnie zwracam się do przysięgłych.

– Jeśli nie chcecie o tym myśleć, nie musicie, i nic nie stoi na przeszkodzie, abyście mimo to uniewinnili Ruth. Dostarczyłam wam dowody medyczne na potwierdzenie rzeczywistej przyczyny zgonu dziecka. Sami słyszeliście, jak lekarz sądowy potwierdził, że gdyby wyniki badań przesiewowych nadeszły w porę, Davis Bauer przypuszczalnie nadal by żył. Owszem, widzieliście też, jak Ruth straciła zimną krew; cóż, po czterdziestu czterech latach oczekiwania na prawo głosu nie zawsze wszystko układa się po naszej myśli. Ruth Jefferson chciała tylko robić to, co do niej należy. Zająć się dzieckiem tak, jak ją tego nauczono.

Wreszcie odwracam się do Ruth. Nabiera tchu, czuję to we własnej piersi.

– A gdyby ludzie urodzeni w czwartek lub niedzielę nie byli gruntownie prześwietlani, kiedy zabiegają o pożyczkę? Gdyby ochrona nie snuła się za nimi po sklepie? – Milknę. – Gdyby wyniki badań przesiewowych ich dziecka na czas dotarły do pediatry i podjęto by stosowne kroki, aby zapobiec jego śmierci? Nagle arbitralna dyskryminacja nie wydaje się tak absurdalna, prawda?

Ruth

Po tym wszystkim.

Po tylu miesiącach zapewnień, że w sądzie nie ma miejsca na uprzedzenia rasowe, Kennedy McQuarrie wywlekła trupa z szafy i przedefilowała z nim pod nosem sędziego. Następnie posadziła go na ławie przysięgłych, a ci musieli zrobić dla niego miejsce.

Zerkam na nich, siedzą milczący i pogrążeni w myślach. Kennedy siada obok mnie, a ja przez chwilę tylko na nią patrzę. Brakuje mi słów, aby wyrazić wszystko, co czuję. Kennedy wyłożyła tym obcym ludziom reguły rządzące moim życiem, pokazała im od środka moją rzeczywistość. Ja mogłabym wrzeszczeć wniebogłosy, a i tak pozostaliby głusi. Żeby usłyszeli, musiał to powiedzieć ktoś taki jak oni sami.

Odwraca się do mnie, zanim odzyskuję mowę.

– Dziękuję – mówi, tak jakbym to ja wyświadczyła jej przysługę.

Może i wyświadczyłam.

Sędzia chrząka; podnosimy wzrok i widzimy, że gromi nas spojrzeniem. Odette Lawton stoi już tam, gdzie przed chwilą stała Kennedy. Kiedy zaczyna mówić, gładzę szczęśliwy szalik mamy, który mam na szyi.

– Podziwiam panią McQuarrie i jej bojowe wołanie o sprawiedliwość. Ale dlatego tutaj jesteśmy. Zebraliśmy się, gdyż pozwana, Ruth Jefferson, złamała zasady kodeksu etycznego i zaniedbała swoje obowiązki w obliczu zagrożenia życia noworodka.

Prokuratorka podchodzi do ławy przysięgłych.

– To, co powiedziała pani McQuarrie, jest… prawdą. Ludzie mają uprzedzenia i czasami podejmują kompletnie niezrozumiałe dla nas decyzje. Muszą państwo wiedzieć, że kiedy chodziłam do liceum, pracowałam w McDonaldzie.

Jestem zdziwiona; próbuję sobie wyobrazić, jak Odette smaży frytki, ale nie potrafię.

– Byłam tam jedyną czarną. Czasami klient wchodził, patrzył na mnie i szedł złożyć zamówienie do drugiej kasy. Jak się z tym czułam? – Wzrusza ramionami. – Średnio. Ale czy plułam mu do sałatki? Nie. Czy upuszczałam burgera na podłogę, po czym wkładałam go do bułki? Nie. Robiłam to, co do mnie należało. Robiłam to, czego ode mnie oczekiwano.

Przyjrzyjmy się teraz Ruth Jefferson, dobrze? Powiedzmy, że jej klient wybrał inną kolejkę, ale czy ona wywiązała się ze swoich obowiązków? Nie. Nie potraktowała polecenia w sprawie Davisa Bauera jako zwykłej prośby pacjenta, tylko rozdmuchała ją do incydentu na tle rasowym. Złamała ślubowanie Florence Nightingale, nie pracowała z poświęceniem dla dobra pacjenta, bez względu na okoliczności. Wykazała całkowitą obojętność co do losów dziecka, ponieważ była wściekła i wyładowała gniew na Bogu ducha winnym noworodku.

To prawda, panie i panowie, że polecenie wydane Ruth przez Marie Malone miało podłoże rasistowskie, ale to nie Marie jest tutaj sądzona, lecz Ruth, za to, że nie dochowała przyrzeczenia, które złożyła jako pielęgniarka. Prawdą jest również, że Turk Bauer i jego poglądy wzbudziły dezaprobatę wielu z was, gdyż rzeczywiście są skrajne. W tym kraju ma prawo je wyrażać, nawet jeśli wprawiają innych w zakłopotanie. Lecz jeśli powiecie mi, że nienawiść Turka Bauera mrozi wam krew w żyłach, musicie przyznać, że Ruth też jest pełna nienawiści. Dała jej wyraz, gdy przyznała, że lepiej, aby dziecko umarło, niż wyrosło na kogoś pokroju swojego ojca. Być może ten jeden, jedyny raz była z nami szczera. Jednego możemy być pewni: Turk Bauer nie kryje swoich przekonań, nawet jeśli są dla kogoś nie do przyjęcia. Tymczasem Ruth, jak wiemy, kłamie jak z nut. Sama przyznała się do udzielenia dziecku pomocy, choć zapewniała swoją przełożoną i innych, że tego nie zrobiła. Ruth Jefferson zaczęła ratować to dziecko – i dlaczego przerwała? Ze strachu o swoją posadę. Ponad dobro pacjenta przedłożyła własne… czyli zrobiła dokładnie to, czego nie wolno robić żadnemu przedstawicielowi służby zdrowia.

Prokuratorka urywa.

– Ruth Jefferson i jej prawniczka mogą nam tu mydlić oczy spóźnionymi wynikami badań przesiewowych, dyskryminacją i tym podobnymi – oświadcza. – Lecz to nie zmieni istoty tej sprawy. I nie przywróci życia chłopcu.

Przysięgli zostają pouczeni i opuszczają salę. Sędzia Thunder też wychodzi. Howard podrywa się z miejsca.

– W życiu czegoś takiego nie widziałem!

– I chyba więcej nie zobaczysz – mamrocze Kennedy.

– Jakbym oglądał Toma Cruise'a… „Nie zniesiesz prawdy!"[34]. To jak…

– Jak strzał w stopę – uzupełnia Kennedy. – Celowy.

Kładę rękę na jej ramieniu.

– Wiem, że dużo cię to kosztowało.

Kennedy patrzy na mnie przytomnie.

– Ty zapłacisz wyższą cenę, Ruth.

Wytłumaczyła mi, że z powodu oddalenia zarzutu morderstwa jeszcze przed moim zeznaniem, przysięgli muszą jedynie rozstrzygnąć, czy jestem winna nieumyślnego spowodowania śmierci. Dostarczone dowody temu przeczą, ale mój wybuch emocji musiał zabić przysięgłym ćwieka, więc mogą uznać, że jednak nie zajęłam się dzieckiem tak, jak powinnam. W końcu sama już nie wiem, czy mogłam się bardziej postarać, czy nie.

Myślę o nocy spędzonej w więzieniu. Wyobrażam sobie, jak przeciąga się w kolejne noce. Tygodnie. Miesiące. Myśl o Lizie Lott i o tym, że nasza obecna rozmowa miałaby inny przebieg niż tamta sprzed kilku miesięcy. Zaczęłabym od tego, że już nie jestem naiwna. Że zahartowałam się w ogniu, jak stal, której cud polega na tym, że można ją kuć, aż zrobi się cienka do granic wytrzymałości, ale to nie znaczy, że pęknie.

– Ale warto było to usłyszeć – mówię do Kennedy.

Uśmiecha się blado.

– Warto było to powiedzieć.

Nagle staje przed nami Odette Lawton. Wpadam w lekką panikę. Kennedy wspomniała też, że oskarżenie może wybrać jeszcze inne rozwiązanie – odstąpi od wszystkich zarzutów i rozpocznie sprawę od nowa, moje zeznanie posłuży jako dowód skłonności do impulsywnego działania na szkodę i zostanę oskarżona o morderstwo drugiego stopnia.

– Poprosiłam o umorzenie sprawy przeciwko Edisonowi Jeffersonowi – informuje jak gdyby nigdy nic. – Chciałam, żebyście wiedziały.

Szczęka mi opada. Spodziewałam się chyba wszystkiego, ale nie tego.

Patrzy na mnie i po raz pierwszy od rozpoczęcia procesu odwzajemnia moje spojrzenie. Nie licząc naszej konfrontacji w łazience, zawsze tylko błądziła wzrokiem nad moją głową albo gdzieś obok. Kennedy twierdzi, że to norma; prokuratorzy pokazują w ten sposób pozwanym, że nie traktują ich jak ludzi.

To działa.

– Mam piętnastoletnią córkę – oznajmia Odette rzeczowo, jakby to wszystko tłumaczyło. Następnie zwraca się do Kennedy. – Ładna mowa końcowa, pani mecenas. – I odchodzi.

– Co teraz? – pytam Kennedy.

Kennedy bierze głęboki oddech.

– Teraz czekamy – odpowiada.

Lecz najpierw musimy się przedrzeć przez tłum dziennikarzy. Howard i Kennedy naradzają się, jak bezpiecznie wyprowadzić mnie z sądu.

– Jeśli nas dopadną – mówi Kennedy – mówimy tylko „bez komentarza”. Czekamy na decyzję przysięgłych. I kropka.

Kiwam głową.

– Ty chyba nie rozumiesz, Ruth. Pałają żądzą krwi, będą cię prowokować, żebyś wybuchła, a oni to nagrają. Przez kolejne pięć minut, dopóki stąd nie wyjdziemy, masz być ślepa, niema i głucha, rozumiemy się?

Przytakuję.

Kiedy otwieramy podwójne drzwi sali rozpraw, serce mi wali jak młotem. Natychmiast oślepia mnie błysk fleszy, dziennikarze pchają mi pod nos mikrofony. Howard idzie przodem jak lodołamacz, a Kennedy wyprowadza nas z tego cyrku: dziennikarze akrobaci robią żywą piramidę, klowni prezentują swój numer popisowy – Bauerowie udzielają wywiadu konserwatywnej stacji – a ja próbuję przejść po linie na drugą stronę.

Wallace Mercy nadchodzi z naprzeciwka. On i jego zwolennicy tworzą żywą blokadę; są spleceni łokciami, wygląda na to, że ich nie ominiemy. Pośrodku stoi Wallace z jakąś kobietą, po chwili występują z szeregu i prowadzą pozostałych. Kobieta ma na sobie różowy wełniany kostium, krótko przycięte włosy pofarbowała na jaskrawą czerwień. Stoi wyprostowana jak struna i mocno ściska ramię Wallace'a.

Patrzę pytająco na Kennedy. „Co robimy?".

Ale nie muszę długo czekać na odpowiedź. Wallace i kobieta nie idą do nas. Zbaczają w stronę, gdzie Turk Bauer nadal rozmawia z dziennikarzem, a jego żona i teść stoją nieco z boku.

– Brittany – mówi kobieta, oczy ma pełne łez. – O mój Boże. Jaka ty jesteś piękna.

Wyciąga rękę do Brittany Bauer, kamery wszystko filmują. Ale nie ma tu sędziego Thundera, toteż Brittany może mówić i robić, co jej się podoba. I gdy widzę, jak ręka kobiety sunie jak w zwolnionym tempie, z góry wiem, że Brittany Bauer ją odepchnie.

– Zabieraj ode mnie swoje łapska.

Wallace Mercy występuje naprzód.

– Musi pani kogoś poznać, pani Bauer.

– Nie musi, Wallace – rzuca kobieta ściszonym tonem. – Poznałyśmy się przed dwudziestu sześciu laty, kiedy ją urodziłam. Brit, kochanie. Pamiętasz mnie, prawda?

Twarz Brittany Bauer czerwienieje – z wściekłości, wstydu albo jednego i drugiego.

– Co ty bredzisz! – Rzuca się na kobietę, która upada.

Ludzie cisną się, żeby ją odciągnąć i podnieść tamtą. Słyszę okrzyki: „Pomóżcie jej!" i „Macie to?".

– Dosyć! – Głos jest tak władczy i stanowczy, że Brit natychmiast się odsuwa.

Odwraca się i łypie na ojca.

– Pozwolisz, żeby jakaś świnia wygadywała o mnie… o nas takie rzeczy?

Lecz ojciec już nie patrzy na córkę. Poszarzały na twarzy spogląda na kobietę, która stoi pośród świty Wallace'a z jego chusteczką przyciśniętą do rozkwaszonej wargi.

– Witaj, Adele – mówi.

– Tego się nie spodziewałam – szepczę do Kennedy.

Z jej miny wynika natomiast, że ona tak.

34 Cytat z filmu *Ludzie honoru* (1992).

Turk

Kamery kręcą, gdy nagle rozpętuje się piekło. Brit i Francis stoją obok mnie, słuchając, jak odgrażam się prawicowemu radiowcowi, że to dopiero początek walki, gdy naraz moje słowo staje się ciałem. Do Brit podchodzi Murzynka i dotyka jej ramienia. Brit oczywiście się wzdryga, na co tamta wyjeżdża z bezczelnym kłamstwem, że Brittany Bauer, księżniczka ruchu White Power, jest w istocie Mulatką.

Oglądam się na Francisa, jak robię to od lat. Nauczył mnie wszystkiego o nienawiści; poszedłbym za nim na wojnę, ba, poszedłem. Cofam się w oczekiwaniu, aż palnie swoją słynną mówkę i usadzi sukę spragnioną pięciu minut sławy – lecz nie robi tego.

Wypowiada imię matki Brittany.

Nie wiem zbyt wiele o Adele, ponieważ Brit też nie wie. Znam tylko jej imię i wiem, że zdradziła Francisa z czarnuchem i Francis tak się wściekł, że postawił jej ultimatum: ma zostawić dziecko i zabierać dupę w troki, bo inaczej gorzko tego pożałuje. Oczywiście przezornie się zmyła i Brit nie musiała o niej wiedzieć niczego więcej.

Ale teraz patrzę na długie, ciemne włosy Brit.

Widzimy to, co każą nam widzieć.

Ona też zadziera głowę i patrzy na Francisa.

– Tatusiu?

Nagle brakuje mi tchu. Nie wiem, kim jest moja żona. Nie wiem, kim sam jestem. Latami mogłem mówić, że prędzej zadźgałbym czarnucha, niż poszedł z nim na kawę, tymczasem z jednym z nich żyłem pod jednym dachem.

I spłodziłem dziecko.

Co oznacza, że mój syn też był po części czarny.

Gwiżdże mi w uszach, jakbym wypadł z samolotu bez spadochronu. Zaraz nastąpi twarde lądowanie.

Brittany prostuje się i obraca wokół własnej osi, a twarz ma tak znękaną, że mało mi serce nie pęka.

– Kochanie – mówi Francis, na co ona wydaje gardłowy pomruk.

– Nie – mówi. – Nie.

A potem ucieka.

Jest drobna i szybka. Brit umie znikać i pojawiać się jak duch, w sumie trudno się dziwić. Podobnie jak ja, uczyła się od mistrzów.

Francis próbuje zwerbować paru naszych do pomocy w poszukiwaniach, ale jakby wyrósł między nami mur. Część już się ulotniła. Nie wątpię, że znikną z forum jak kamfora, chyba że Francisowi uda się to jakoś odkręcić.

Mam to gdzieś.

Chcę tylko znaleźć żonę.

Jeździmy i wszędzie szukamy. Nasza niewidzialna, lecz rozległa sieć przestała być dostępna. Zostaliśmy sami, kompletnie wyalienowani.

Jak to mówią, uważaj, czego sobie życzysz.

Gdy przeszukujemy najbardziej odległe zakątki miasta, w pewnej chwili odwracam się do Francisa.

– Masz ochotę powiedzieć mi prawdę?

– To było dawno temu – mówi cicho. – Zanim wstąpiłem do Ruchu. Poznałem Adele w barze szybkiej obsługi. Zamówiłem u niej ciastko. Zapisała na rachunku swoje imię i numer. Zadzwoniłem. – Wzrusza ramionami. – Trzy miesiące później była w ciąży.

Przewraca mi się w żołądku na myśl o spaniu z jedną z nich. Ale w końcu sam to robiłem, nie?

– Kochałem ją, Turk, na miłość boską. Nieważne, czy tańczyliśmy przez pół nocy, czy siedzieliśmy w domu przed telewizorem: doszedłem do momentu, że bez niej czułem się jak bez ręki. Potem urodziła się Brit i strach mnie ogarnął. Ponieważ było doskonale, wiesz? A wtedy wiadomo, że coś musi się spieprzyć.

Pociera czoło.

– Chodziła w niedziele do kościoła, tego samego, od dziecka. Czarnego kościoła, z tym ich śpiewaniem i zasranym alleluja, nie znosiłem tego. Ja chodziłem w tym czasie na ryby i mówiłem jej, że to jest moje sanktuarium. Ale wpadła w oko dyrektorowi chóru. Mówił jej, że śpiewa jak anioł. Zaczęli spędzać razem dużo czasu, ćwiczyli dniem i nocą. – Potrząsa głową. – Sam nie wiem, może trochę świrowałem. Oskarżyłem ją o zdradę. Może mnie zdradziła, może nie. Chyba ją tym zadręczałem, ale to było silniejsze ode mnie. Przechodziłem męczarnie i musiałem coś robić z tym bólem. Znasz to uczucie, nie?

Przytakuję.

– Znalazła pociechę u tamtego. Boże, Turk, sam ją do tego zmusiłem. I nagle oznajmiła, że odchodzi. Powiedziałem, że droga wolna, ale ma zostawić mi córkę. Niech spróbuje ją zabrać, to popamięta. – Patrzy na mnie pustym wzrokiem. – Więcej jej nie zobaczyłem.

– I nie powiedziałeś Brit?

Zaprzecza.

– A co miałem mówić? Że groziłem śmiercią jej matce? Nie. Zacząłem zabierać Brit do barów, zostawiałem ją śpiącą w foteliku, a sam chodziłem się upić. Tak poznałem Toma Metzgera.

Trudno mi sobie wyobrazić, jak przywódca Ruchu Białego Oporu wychyla kufel piwa, ale nie takie rzeczy świat oglądał.

– Był z grupą swoich. Zobaczył, jak siadam za kierownicę, i nie pozwolił mi prowadzić, kiedy zauważył Brit z tyłu. Odwiózł mnie do domu i przykazał, żebym się zebrał do kupy, dla dzieciaka. Byłem wtedy zalany w trupa; opowiedziałem mu, że Adele rzuciła mnie dla czarnucha, ale nie wspomniałem, że sama jest czarna. Tak czy siak, Tom zostawił mi coś do czytania. Broszurę. – Francis zaciska usta. – Od tego zacząłem. O wiele łatwiej było nienawidzić ich niż siebie.

Omiatam światłami tory, gdzie stacjonował jego oddział w czasach swojej aktywności.

– A teraz – uzupełnia Francis – ją też stracę. Umie zacierać za sobą ślady. Sam ją tego nauczyłem.

Zaraz się załamie, ale ja nie mam czasu na jego duchowe rozterki. Mam na głowie ważniejsze sprawy, na przykład odszukanie żony.

I nagle coś mi świta.

Musimy się włamać na cmentarz; po zmroku brama jest zamknięta. Rozwalam kłódkę młotem z samochodu. Przyzwyczajamy wzrok do ciemności, żeby nie spłoszyć Brit światłem latarki.

Początkowo jej nie zauważam; jest ciemno, a ona ma na sobie granatową sukienkę. Ale potem, kiedy podchodzę do grobu Davisa, słyszę jakiś szelest. Na chwilę rozstępują się chmury, które zasnuwają księżyc, i widzę blask obelisku. Oraz metalu.

– Nie podchodź – warczy Brit.

W geście kapitulacji unoszę ręce. Bardzo powoli robię kolejny krok naprzód. Brit robi zamach scyzorykiem, który nosi w torebce. Pamiętam, jak kupiła go na festiwalu White Power. Oglądała różne modele, z onyksem, macicą perłową. Żartobliwie przystawiła mi do gardła jeden wysadzany cyrkoniami. „Który najbardziej do mnie pasuje?", pytała.

– Kochanie – mówię ostrożnie. – Wracamy do domu.

– Nie mogę. Zobacz, jak ja wyglądam – mamrocze.

– Nic nie szkodzi. – Powoli klękam obok niej, jakby w każdej chwili mogła mi uciec. Sięgam po jej rękę, ale palce mi się ześlizgują.

Oglądam je i widzę krew.

– Jezus Maria! – krzyczę, na co Francis świeci latarką ze swojego iPhone'a i też wydaje okrzyk. Siedzi oparta plecami o nagrobek. Ma wytrzeszczone, szkliste oczy, a na przedramieniu siedem lub osiem głębokich nacięć.

– Nie mogę znaleźć – mówi. – Szukam i szukam, ale nie mogę.

– Czego nie możesz znaleźć, kochanie? – pytam, sięgając po nóż.

Ale ona robi unik.

– Jej krwi. – I na moich oczach przecina sobie nadgarstek.

Nóż wypada jej z ręki, a kiedy Brit traci przytomność, podnoszę ją i rzucam się biegiem do samochodu.

Mija dużo czasu, nim stan Brit się stabilizuje, choć to umowne określenie. Jesteśmy w Yale-New Haven, w innym szpitalu, niż rodziliśmy. Założyli jej szwy i opatrzyli nadgarstek, obmyli z krwi.

Trafiła na oddział psychiatryczny, za co jestem wdzięczny. Sam nie rozplączę supłów w jej głowie.

Mam duży problem ze swoimi.

Mówię Francisowi, żeby wracał do domu i odpoczął. Ja zostanę w poczekalni, na wypadek gdyby się obudziła i mnie potrzebowała. Ale na razie jest nieprzytomna, otumaniona środkami uspokajającymi.

Szpital po północy wygląda upiornie. Światła są przygaszone, dźwięki przyprawiają o gęsią skórkę – pisk butów pielęgniarek, jęki pacjentów, miarowy szum ciśnieniomierza. Kupuję w sklepiku wełnianą czapkę, taką dla pacjentów po chemioterapii, ale wszystko mi jedno. Zasłania mój tatuaż, a nie chcę rzucać się w oczy.

Siedzę w szpitalnym barze z kubkiem kawy i przedzieram się przez mętlik w mojej głowie. Nie wszystko można nienawidzić. Nie wszystkich można pobić, nie zawsze można się schlać i zrzucić na kogoś winę za własny szajs. To narkotyk i jak każdy narkotyk przestaje w końcu działać. Co wtedy?

Głowa mi pęka, tyle w niej sprzeczności: 1. Czarni są gorsi. 2. Brit jest w połowie czarna. 3. Kocham ją z całego serca.

Czy pierwsze i drugie nie powinno wykluczać trzeciego? A może ona jest wyjątkiem od tej reguły? Może z jej matką było podobnie?

Rozmyślam o tym, jak marzyliśmy z Twinkiem, co zjemy po wyjściu z paki.

Ile potrzeba wyjątków, zanim sobie uświadamiamy, że prawda, którą nam wpajano, to jedno wielkie kłamstwo?

Dopijam kawę i spaceruję po szpitalu. Czytam gazetę porzuconą w poczekalni. Patrzę na migające światła karetki przez szklane drzwi izby przyjęć.

Przypadkowo trafiam na oddział wcześniaków. Wierzcie mi, nie miałem zamiaru zbliżać się do porodówki; tamte rany są jeszcze świeże, mimo że przebywam w innym szpitalu. Ale staję przy szybie obok obcego faceta.

– Moja córeczka – oznajmia, wskazując na tyciego noworodka w różowym beciku. – Ma na imię Cora.

Lekko panikuję; grasuję na porodówce jak jakiś zboczeniec. Na wszelki wypadek wskazuję malucha w niebieskim kocyku. Przez

inkubator niewiele widać, ale dostrzegam brązową skórę.

– Davis – kłamię.

Mój syn był biały jak ja, przynajmniej na zewnątrz. Nie wyglądał jak ten noworodek. Ale dociera do mnie, że nawet gdyby wyglądał, kochałbym go tak samo. Prawda jest taka, że gdyby to dziecko było Davisem, kolor skóry nie miałby najmniejszego znaczenia.

Liczyłoby się tylko, że żyje.

Wciskam roztrzęsione ręce do kieszeni kurtki, myślę o Brit i Francisie. Być może siła miłości dorównuje sile nienawiści. Jak kieszeń wywrócona na lewą stronę.

I może prawdą jest również przeciwieństwo tej reguły.

Kennedy

W czasie, jaki przysięgli potrzebują na wydanie wyroku, uczestniczę w kolejnych czterdziestu przesłuchaniach przed sądem, z czego w trzydziestu ośmiu reprezentuję ciemnoskórych. Micah przeprowadza sześć operacji. Violet idzie do koleżanki na urodziny. Czytam artykuł z pierwszej strony jednej z gazet o proteście kolorowych studentów Yale, którzy domagają się – między innymi – zmiany nazwy budynku, który nosi imię na cześć Johna C. Calhouna, amerykańskiego wiceprezydenta, zwolennika niewolnictwa i secesji.

Dwa dni siedzimy z Ruth w sądzie i czekamy. Edison z werwą wraca do szkoły – niesamowite, co mały zatarg z prawem robi z chłopakiem, który flirtuje z przestępczością. Ruth wystąpiła gościnnie – z moim błogosławieństwem i ze mną u boku – w programie Wallace'a Mercy'ego. Wychwalał ją za odwagę i wręczył jej czek na pokrycie strat wynikających z przymusowego bezrobocia – wpłaty od ludzi zarówno z East Endu, jak i z Johannesburga. Czytałyśmy potem liściki dołączone do niektórych:

JESTEM MYŚLAMI Z TOBĄ I TWOIM SYNEM.
TO NIEWIELE, ALE WIEDZ, ŻE NIE JESTEŚ SAMA.

DZIĘKUJĘ CI ZA ODWAGĘ, KTÓREJ MNIE ZABRAKŁO.

Słyszeliśmy o Brittany Bauer, która przechodzi coś, co oskarżenie nazywa rozstrojem nerwowym, a Ruth zwykłym hysiem. Turk Bauer i Francis Mitchum przepadli jak kamień w wodę.

– Skąd wiedziałaś? – zapytała zaraz po burzy, która się rozpętała, gdy Wallace przyprowadził Adele Adams do sądu, gdzie

„przypadkowo” wpadła na Francisa i jego córkę.

– Miałam przeczucie – stwierdziłam. – Przeglądałam wyniki badań przesiewowych i zauważyłam coś, na co wcześniej nie zwróciliśmy uwagi, bo byliśmy pochłonięci MCAD: niedokrwistość sierpowatokrwinkową. Przypomniało mi się, co powiedział neonatolog, że ta przypadłość dotyka głównie Afroamerykanów. A Brit zeznała, że nie pamięta swojej matki.

– To był strzał w ciemno – odrzekła Ruth.

– Tak, dlatego trochę poszperałam. Cierpi na to jeden na dwunastu Afroamerykanów i jeden na dziesięć tysięcy białych. Czysta matematyka. Dlatego zadzwoniłam do Wallace’a. Reszta to jego sprawka. Wziął nazwisko matki z aktu urodzenia Brit i ją odszukał.

Ruth spojrzała na mnie.

– Ale w sumie to nie miało związku z naszą sprawą.

– Nie miało – przyznałam. – To był prezent ode mnie dla ciebie. Uznałam, że nic lepiej nie odda tej całej hipokryzji.

Mija drugi dzień oczekiwania i zaczynamy siedzieć jak na szpilkach.

– Co ty wyprawiasz? – pytam Howarda, który czuwa z nami. Wystukuje coś na swoim telefonie jak maniak. – Portal randkowy?

– Sprawdzam różnice w karach za posiadanie heroiny i koki – odpowiada. – Aż do dwa tysiące dziesiątego roku osoba skazana za posiadanie z zamiarem rozprowadzania pięćdziesięciu gramów lub więcej hery dostawała minimum dziesięć lat odsiadki. Aby dostać ten sam wyrok za kokainę, należało rozprowadzić pięć tysięcy gramów. Nawet dziś ta rozbieżność wynosi osiemnaście do jednego.

Potrząsam głową.

– Na co ci ta wiedza?

– Myślę o apelacji – oznajmia rzeczowo. – Wyroki za prochy też są tendencyjne, bo osiemdziesiąt cztery procent skazanych za narkotyki to czarni, a czarni dilerzy mają o dwadzieścia procent większą szansę na odsiadkę niż biali.

– Howardzie. – Pocieram palcami skronie. – Wyłącz ten cholerny telefon.

– Nie jest dobrze, prawda? – pyta Ruth. Trze ramiona, mimo że kaloryfer grzeje na cały regulator i w pomieszczeniu jest gorąco jak w saunie. – Gdyby mieli mnie uniewinnić, już by to zrobili.

– Brak wiadomości to dobra wiadomość – kłamię.

Pod koniec dnia sędzia zwołuje przysięgłych do sali.

– Czy wydali państwo wyrok?

Wstaje rzeczniczka.

– Nie, wysoki sądzie. Jesteśmy podzieleni.

Wiem, że sędzia udzieli im pouczenia, i rzeczywiście, odwraca się władczo, gotów przemówić im do rozsądku.

– Stan poniósł już wystarczające koszty w związku z tą sprawą i nikt lepiej od was nie zna faktów. Porozmawiajcie. Wymieńcie poglądy. Zachęcam was do podjęcia decyzji, żebyśmy nie musieli znowu przez to przechodzić.

Przysięgli wychodzą, patrzę na Ruth.

– Pewnie musisz wracać do domu.

Zerka na zegarek.

– Mam trochę czasu – mówi.

Zatem idziemy do miasta na kawę, ramię w ramię, skulone z zimna. Uciekamy przed mroźnym wiatrem do gwarnej kawiarni.

– Kiedy zrozumiałam, że nici z zawodu cukiernika, marzyłam o otworzeniu własnej kafejki – rzucam. – Chciałam ją nazwać Wróżeniem z Fusów.

Przychodzi nasza kolej; pytam Ruth, jaką pije kawę.

– Czarną – odpowiada i nagle wybuchamy takim śmiechem, że barman patrzy na nas jak na wariatki, jakbyśmy mówiły niezrozumiałym dla niego językiem.

Co, jak mniemam, nie jest dalekie od prawdy.

Następnego ranka sędzia Thunder wzywa do siebie mnie i Odette.

– Mam wiadomość od przysięgłych. Nadal są niejednomyślni. Jedenaście do jednego. – Potrząsa głową. – Bardzo mi przykro.

Kiedy nas odprawia, przed wejściem do jego gabinetu widzę spacerującego Howarda.

– I co?

– Proces nierozstrzygnięty. Utknęli, jedenastu do jednego.

– Kto blokuje? – pyta Howard, ale to pytanie retoryczne; wie, że nie dysponuję taką informacją.

Nagle oboje przystajemy i wymieniamy spojrzenia.

– Dwunastka – mówimy jednocześnie.

– O dziesięć dolców? – pyta Howard.

– Zakład – odpowiadam.

– Wiedziałem, że należało ją wyrzucić bez uzasadnienia.

– Jeszcze nie wygrałeś – przypominam. Ale przypuszczam, że ma rację. Nauczycielka, która wypierała się wszelkich uprzedzeń, musiała poczuć się bardzo urażona moją mową końcową.

Ruth czeka na mnie w sali konferencyjnej. Z nadzieją podnosi głowę.

– Nie mogą dojść do porozumienia – oznajmiam.

– I co teraz?

– To zależy – tłumaczę. – Proces może się zacząć od nowa, z udziałem nowej ławy. Albo Odette odpuści i odstąpi od zarzutów.

– Myślisz, że…?

– Dawno przestałam udawać, że wiem, co siedzi w głowie prokuratora – przyznaję. – Pożyjemy, zobaczymy.

Przysięgli wchodzą na salę rozpraw, wyglądają na zmarnowanych.

– Rozumiem, że ława nie jest jednomyślna – mówi sędzia. – Zgadza się?

Rzeczniczka wstaje.

– Tak, wysoki sądzie.

– Czy potrzebujecie więcej czasu na rozstrzygnięcie sprawy przeciwko pani Jefferson?

– Niestety, wysoki sądzie, niektórzy z nas nie mogą dojść do porozumienia.

– Dziękuję za wasz udział – odpowiada sędzia Thunder. – Przysięgli mogą odejść.

Mężczyźni i kobiety wychodzą. Na widowni rozlegają się stłumione szepty, ludzie chcą wiedzieć, w czym rzecz. Próbuję określić prawdopodobieństwo zwołania przez Odette wielkiej ławy przysięgłych i oskarżenia Ruth o nieumyślne zabójstwo.

– Nie pozostaje mi nic innego, jak nawiązać do wniosku o rozstrzygnięcie przez sędziego, postulowanego przez obronę.

Howard zerka na mnie ponad głową Ruth. Że jak?

Do licha ciężkiego. Sędzia Thunder chce skorzystać z furtki, którą sama dałam mu pro forma. Wstrzymuję oddech.

– Posiadam dogłębną znajomość prawa i dokładnie zapoznałem się z dowodami w niniejszej sprawie. Nie przedstawiono żadnych, które potwierdzałyby związek pomiędzy śmiercią dziecka a działaniami lub brakiem działań pozwanej. – Przenosi wzrok na Ruth. – Bardzo mi przykro, że miała pani takie przejścia w miejscu pracy. – Wali młotkiem. – Przychylam się do wniosku o uniewinnienie.

Ta lekcja pokory uświadamia mi, że nie tylko nie siedzę w głowie prokuratora: pobudki sędziego też są dla mnie zagadką. Odwracam się, śmiech wzbiera mi w gardle. Ruth siedzi ze zmarszczonymi brwiami.

– Nie rozumiem.

Nie ogłosił nierozstrzygnięcia procesu. Umorzył wszystkie zarzuty.

– Ruth – mówię z uśmiechem. – Jesteś wolna.

Ruth

Wolność to krucha łodyżka żonkila po najdłuższej zimie. To dźwięk twojego głosu, gdy nikt cię nie zagłusza. Chęć mówienia „tak” i ważniejsze jeszcze prawo mówienia „nie”. W sercu wolności bije nadzieja: puls możliwości.

Jestem tą samą kobietą, co pięć minut temu. Wrośniętą w to samo krzesło. Moje dłonie leżą płasko na tym samym sfatygowanym stoliku. Moi prawnicy nadal siedzą z obu stron. Jarzeniówka wciąż miga u sufitu. Nie zmieniło się nic, a jednak wszystko.

Jak we śnie wychodzę na korytarz. Zewsząd jeżą się mikrofony. Kennedy informuje zebranych, że jej klientka jest oczywiście uszczęśliwiona, ale złożymy oświadczenie dopiero na oficjalnej konferencji prasowej w dniu jutrzejszym.

Klientka musi teraz wrócić do domu do syna.

Zostaje kilku maruderów, ale w końcu dają za wygraną. W sali obok odbywa się sprawa znanego profesora oskarżonego o posiadanie dziecięcej pornografii.

Świat się kręci, jest kolejny oprawca, kolejna ofiara. Ale to już nie moja historia.

Piszę do Edisona, który oddzwania, mimo że musi w tym celu wyjść z lekcji, a ja nasłuchuję ulgi pobrzmiewającej w jego słowach. Dzwonię do Adisy do pracy i muszę odsunąć telefon od ucha, bo krzyczy z radości. Otrzymuję wiadomość od Christiny z rządkiem uśmiechniętych buziek zakończonych obrazkiem przedstawiającym hamburger, kieliszek wina i znak zapytania.

„Niebawem”, odpisuję.

– Ruth – mówi Kennedy, gdy zastaje mnie z telefonem w ręku, zagapioną przed siebie. – Dobrze się czujesz?

– Sama nie wiem – odpowiadam szczerze. – Czy to naprawdę koniec?

Howard się uśmiecha.

– Koniec, kropka i cześć pieśni.

– Dziękuję – mówię. Obejmuję go, po czym staję na wprost Kennedy. – A ty… – Potrząsam głową. – Nawet nie wiem, co powiedzieć.

– To pomyśl. – Kennedy mnie przytula. – Powiesz mi w przyszłym tygodniu, kiedy pójdziemy na obiad.

Odsuwam się, patrzę jej w oczy.

– Bardzo chętnie – odpowiadam i wyczuwam zwrot między nami. Przechodzi mnie jak prąd, jesteśmy kwita.

Nagle łapię się na tym, że w ferworze zostawiłam na sali rozpraw szczęśliwy szalik mamy.

– Zapomniałam o czymś. Spotkamy się na dole.

Pod drzwiami zastaję woźnego.

– Proszę pani?

– Przepraszam… zostawiłam szalik… Mogę?

– Jasne. – Wpuszcza mnie do środka.

Jestem sama w wielkim pomieszczeniu. Wracam przejściem do miejsca, gdzie siedziałam. Szalik mamy leży zwinięty pod stołem. Podnoszę go, owijam wokół dłoni.

Rozglądam się po pustej sali. Może któregoś dnia Edison będzie wygłaszał tu mowę wstępną, zamiast siedzieć obok prawnika, jak ja. Może któregoś dnia zasiądzie nawet na ławie sędziego.

Przymykam oczy, aby zapamiętać tę chwilę. Nasłuchuję ciszy.

Mam wrażenie, że minęły lata świetlne, odkąd sprowadzono mnie do innej sali na przesłuchanie przed sądem, w kajdankach i koszuli nocnej, i odmówiono mi prawa głosu. Że minęła wieczność, odkąd mi powiedziano, czego nie mam robić.

– Tak – mówię cicho, bo to przeciwieństwo zakazu. Bo „tak” zrywa łańcuchy. Bo mogę.

Zaciskam dłonie w pięści i odchylam do tyłu głowę, słowo wyrywa mi się z gardła. Tak.

Tak.

Tak.

Etap trzeci

Końcowy

Sześć lat później

Ludzie muszą nauczyć się nienawidzić, a skoro są w stanie to zrobić, są również w stanie nauczyć się kochać.

Mandela, *Droga do wolności*

Turk

W gabinecie zabiegowym wyciągam z kartonika gumową rękawiczkę, nadmuchuję ją i związuję na dole. Biorę długopis i dorysowuję dziób, oczy.

– Tatusiu – mówi moja córeczka. – Zrobiłeś kurę.

– Kurę? – udaję zdziwienie. – Jak możesz myśleć, że to kura. Przecież to kogut.

Marszczy brwi.

– A co za różnica?

Ładnie się wpakowałem. Ale nie będę teraz uświadamiał mojej trzyletniej córki, z którą przyszedłem na pobranie wymazu z gardła. Niech Deborah zrobi to po powrocie z pracy.

Moja żona, Deborah, jest maklerką giełdową. Po ślubie przybrałem jej nazwisko w nadziei, że zacznę jako ktoś nowy, ktoś lepszy. To ona ma ośmiogodzinną pracę, podczas gdy ja zajmuję się Carys i jeżdżę z wykładami, kiedy jest w przedszkolu albo u koleżanek. Współpracuję z miejscową filią ADL[35]. Odwiedzam szkoły, więzienia, świątynie i kościoły, i opowiadam o nienawiści.

Opowiadam tym grupom, jak biłem ludzi, bo cierpiałem, więc krzywdziłem innych, żeby nie krzywdzić siebie. Tłumaczę im, że to nadawało cel mojemu życiu. Opowiadam o festiwalach, na które jeździłem, gdzie muzycy śpiewali o białej supremacji, a dzieci bawiły się rasistowskimi zabawkami. Opisuję czas spędzony w więzieniu i to, jak prowadziłem rasistowską stronę internetową. Opowiadam o mojej pierwszej żonie, o tym, jak zżerała ją nienawiść, a zakończenie okazało się prozaiczne: zażyła całą fiolkę tabletek i popiła butelką wódki. Nie mogła znieść świata, jakim był naprawdę, więc w końcu znalazła sposób, aby na zawsze od niego uciec.

Mówię im, że nie ma nic bardziej samolubnego niż narzucanie komuś swojego zdania, bo myśli inaczej niż my. To, że ktoś jest inny, nie znaczy, że nie zasługuje na szacunek.

Mówię im, że część mózgu, która fizjologicznie odpowiada za obwinianie o wszystko ludzi, których tak naprawdę nie znamy, jednocześnie wyzwala w nas współczucie dla bliźniego. Owszem, hitlerowcy zrobili z Żydów kozły ofiarne i niemal doszczętnie ich wymordowali. Lecz ten sam segment pchał innych do niesienia pomocy, choćby z drugiego końca świata.

W moich pogadankach opisuję długą drogę, jaką musiałem pokonać. Zaczęło się od wizyty w środku nocy – ktoś nasłał na nas zakapturzonych typów bez twarzy, którzy włamali się do domu i nas sponiewierali. Francisa zrzucili ze schodów, ja miałem trzy złamane żebra. To było nasze przyjęcie pożegnalne, jak sądzę. Następnego dnia zamknąłem Samotnegowilka.org. Kiedy Brit się zabiła, pisałem właśnie pozew rozwodowy.

Do dziś popełniam błędy. Nadal mam ochotę w coś kopnąć albo komuś przylać, ale teraz wyżywam się w lidze hokejowej. Przy czarnych wolę mieć się na baczności, tak na wszelki wypadek. Ale bardziej uważam na białych, którzy jeżdżą z flagami konfederacji za tylną szybą. Kiedyś byłem taki jak oni i wiem, do czego są zdolni.

Wiele grup, z którymi się spotykam, nie wierzy w moją przemianę. Wtedy opowiadam im o mojej żonie. Deborah wie wszystko o mnie i o mojej przeszłości. Zdołała mi wybaczyć. A jeśli ona mi wybaczyła, dlaczego nie miałbym spróbować wybaczyć sobie?

Odprawiam pokutę. Trzy, cztery razy w tygodniu spowiadam się ludziom ze swoich błędów. Wyczuwam ich nienawiść. I chyba na nią zasługuję.

– Tatusiu – mówi Carys. – Boli mnie gardło.

– Wiem, kochanie – odpowiadam. Biorę ją na kolana, a wtedy drzwi się otwierają.

Wchodzi pielęgniarka pochylona nad formularzem, który wypełniłem w rejestracji.

– Dzień dobry – mówi. – Nazywam się Ruth Walker.

Z uśmiechem podnosi głowę.

– Walker – powtarzam, ujmując jej wyciągniętą dłoń.

– Tak, jak Klinika Walkera. To moja przychodnia… ale też tu pracuję. – Uśmiecha się. – Bez obaw. Lepsza ze mnie pielęgniarka niż księgowa.

Nie poznaje mnie. A przynajmniej takie odnoszę wrażenie.

Fakt, na formularzu widnieje nazwisko mojej żony. Poza tym inaczej wyglądam. Usunąłem wszystkie tatuaże oprócz jednego. Odrosły mi włosy i noszę je krótko przycięte. Odkąd zacząłem biegać, zgubiłem piętnaście kilogramów mięśni i sadła. I może to, co noszę teraz w środku, znajduje też odbicie na zewnątrz.

Przenosi wzrok na Carys.

– Źle się czujesz, tak? Mogę zerknąć?

Pozwala Carys zostać na moich kolanach, a sama delikatnie wodzi ręką po powiększonych węzłach chłonnych, mierzy temperaturę i sprytnie namawia małą do otwarcia buzi pod pretekstem konkursu na zaśpiewanie piosenki, który moja córeczka oczywiście wygrywa. Błądzę wzrokiem po pokoju i zauważam rzeczy, które wcześniej nie przykuły mojej uwagi – na przykład wiszący na ścianie dyplom z wykaligrafowanym nazwiskiem Ruth Jefferson. I zdjęcie w ramce, przedstawiające przystojnego ciemnoskórego chłopaka w akademickiej todze i birecie na tle uniwersytetu Yale.

Zdejmuje rękawiczki. Na palcu lewej ręki dostrzegam skromny pierścionek z brylantem i obrączkę.

– Jestem pewna, że to zapalenie migdałków – oznajmia. – Czy Carys jest uczulona na jakieś leki?

Potrząsam głową. Nie mogę wydobyć głosu.

– Zrobię szybki wymaz, a po obejrzeniu wyników dobierzemy antybiotyk – mówi Ruth. I pociąga lekko za warkoczyk Carys. – Niedługo się lepiej poczujesz.

Przeprasza na chwilę, musi wyjść po niezbędne przybory.

– Ruth! – wołam, gdy kładzie rękę na klamce.

Odwraca się. Na chwilę mruży oczy i… sam nie wiem. Naprawdę nie wiem. Ale nie pyta, czy się znamy, nie nawiązuje do wydarzeń z przeszłości. Czeka, aż powiem to, co mam do powiedzenia.

– Dziękuję – mówię.

Kiwa głową i wychodzi. Carys wierci się na moich kolanach.

– Tatusiu, ciągle boli.

– Ta pani coś na to poradzi.

Carys, usatysfakcjonowana odpowiedzią, wskazuje na kostki mojej lewej dłoni, jedyny tatuaż, jaki mi pozostał.

– Czy to moje imię? – pyta.

– Tak jakby – odpowiadam. – Twoje imię oznacza to samo w języku, który się nazywa walijski.

Dopiero zaczyna poznawać literki. Pokazuje palcem.

– L – czyta. – O. V. E.

– Właśnie – potwierdzam z dumą. Czekamy, aż Ruth do nas wróci. Trzymam rączkę córki, a może to ona trzyma moją, jakbyśmy stali na przejściu dla pieszych, a ja mam bezpiecznie przeprowadzić ją na drugą stronę.

35 Anti-Defamation Leage – założona w 1913 roku amerykańska organizacja, której celem jest walka z nienawiścią i uprzedzeniami wobec Żydów.

Od autorki

Cztery lata po tym, jak zostałam pisarką, postanowiłam napisać książkę o rasizmie w Stanach Zjednoczonych. Zainspirowały mnie prawdziwe wydarzenia w Nowym Jorku, kiedy to czarnoskóry tajny agent został zastrzelony przez swoich białych kolegów – stwierdzono liczne rany postrzałowe w plecy – mimo że miał na ręku opaskę, po której mogli rozpoznać go jako jednego ze swoich. Zaczęłam pisać, po czym utknęłam i zrezygnowałam z tego projektu. Jakoś nie mogłam udźwignąć tematu. Nie miałam pojęcia, jakie to uczucie dorastać w tym kraju jako czarny, więc stworzenie wiarygodnej postaci nastręczało poważnych trudności.

Minęło dwadzieścia lat i znów zapragnęłam napisać o rasizmie. Byłam dotkliwie świadoma faktu, że kiedy biali pisarze biorą się za ten temat, powstają na ogół książki historyczne. Poza tym, jakie miałam prawo pisać o czymś, czego nie doświadczyłam? Jednocześnie zdawałam sobie sprawę, że gdybym miała pisać tylko o sprawach dobrze mi znanych, szybko zmieniłabym zawód. Dorastałam w białej, zamożnej rodzinie. Latami zbierałam materiały do książek, opierając się na licznych rozmowach z ludźmi, którymi nie byłam: mężczyznami, nastolatkami, osobami o skłonnościach samobójczych, zadręczanymi żonami, ofiarami gwałtu. Przekuwałam ich opowieści w fabułę, aby szły w świat, szerząc świadomość wśród ludzi, którzy sami tego nie zaznali. Dlaczego z pisaniem o czarnym miało być inaczej?

Ponieważ rasa to co innego. Rasizm tak samo. To drażliwy temat i ciężko o tym rozmawiać, toteż często nie rozmawiamy.

Wtedy przeczytałam o afroamerykańskiej pielęgniarce z Flint w stanie Michigan. Przepracowała na porodówce ponad dwadzieścia lat, aż pewnego razu pewien ojciec poprosił o rozmowę z jej

przełożoną i zażyczył sobie, żeby ta pielęgniarka – i nikt, kto wygląda jak ona – nie dotykała jego dziecka. Okazało się, że był białym supremacjonistą. Przełożona umieściła jego prośbę w karcie, a grupa afroamerykańskiego personelu założyła sprawę o dyskryminację i wygrała. Lecz dało mi to do myślenia i zaczęłam wymyślać historię.

Wiedziałam, że chcę pisać z perspektywy czarnej pielęgniarki, ojca skinheada oraz obrońcy z urzędu – białej kobiety, która podobnie jak ja i wielu moich czytelników, miała jak najlepsze chęci i nigdy nie uważała się za rasistkę. Nagle zrozumiałam, że podołam zadaniu. W przeciwieństwie do pierwszej, nieudanej próby, nie chciałam opowiadać czarnym, jak żyją. Kierowałam tę opowieść dla takich jak ja – białych – którzy wytykają palcami neonazistę… ale nie widzą belki we własnym oku.

Prawdę powiedziawszy, mnie także to dotyczy. Często słyszę od czytelników, ile uczą się z moich książek, lecz podczas pisania powieści ja też dowiaduję się wielu rzeczy. Tym razem jednak sporo dowiedziałam się na własny temat. Zgłębiałam swoją przeszłość, wychowanie, uprzedzenia, i odkrywałam, że nie jestem taka postępowa i nieskazitelna, jak mi się dotychczas zdawało.

Dla większości z nas wyraz „rasizm” jest synonimem wyrazu „uprzedzenia”. Ale rasizm to coś więcej niż dyskryminacja na podstawie koloru skóry. To również kwestia tego, w czyich rękach spoczywa władza instytucjonalna. Tworzy utrudnienia dla czarnych, białym z kolei wiele ułatwia. Ciężko dostrzec te ułatwienia, a co dopiero się do nich przyznać. I dlatego ta książka musiała powstać. Sprawiedliwość społeczna nie polega na tym, że biały sprzymierzeniec jest zbawcą. Jego zadaniem jest znaleźć innych białych i uświadomić im, jak wiele skorzystali na tym, że kogoś pozbawiono tych samych przywilejów.

Zaczęłam od rozmów z czarnymi kobietami. Wprawdzie wiem, że zasypywanie kogoś pytaniami nie jest najlepszym sposobem na poznanie prawdy o jego życiu, liczyłam jednak na ich czynny udział w całym przedsięwzięciu i w zamian dały mi coś wspaniałego: podzieliły się ze mną swoimi doświadczeniami, jak to naprawdę jest być czarnym. Jestem im bardzo wdzięczna – nie tylko za to, że tolerowały moją ignorancję, ale i zechciały mnie uświadomić.

Następnie miałam przyjemność poznać Beverly Daniel Tatum, byłą rektorkę Spelman College i działaczkę na rzecz krzewienia wiedzy o rasie. Przeczytałam książki doktor Tatum, Debby Irving, Michelle Alexander i Davida Shiplera. Wzięłam udział w warsztatach społecznych o nazwie Undoing Racism i co wieczór wychodziłam z płaczem, bo zaczęłam oddzielać to, za kogo się miałam, od tego, kim jestem naprawdę.

Potem poznałam dwóch byłych skinheadów, którzy zapoznali mnie z językiem nienawiści białego supremacjonisty. Moja córka Sammy znalazła Tima Zaala – byłego skinheada, który zgodził się na rozmowy przez Skype'a z jej klasą. Przed laty Tim pobił niemal na śmierć pewnego geja. Po wystąpieniu z Ruchu podjął pracę w Centrum Szymona Wiesenthala, gdzie opowiadał o przestępstwach na tle nienawiści i spotkał człowieka, którego omal nie zabił; jak się okazało, on też tam pracował. Jeden poprosił o wybaczenie, drugi go udzielił, a teraz się przyjaźnią i co tydzień opowiadają ludziom o swych niezwykłych doświadczeniach. Tim ożenił się z Żydówką. Frankie Meeink, inny były skinhead, współpracuje z ADL. Kiedyś werbował do oddziałów nienawiści w Filadelfii, a dziś prowadzi Harmony Through Hockey – program sportowy promujący integrację rasową wśród dzieci.

Dowiedziałam się od tych mężczyzn, że członkowie grup white power wierzą w czystość rasy i uważają się za bojowników świętej wojny rasowej. Wytłumaczyli mi, że przywódcy namierzają marginalizowaną, udręczoną młodzież, często z patologicznych domów. Rozrzucają w białych dzielnicach ulotki z hasłami przeciwko białym i sprawdzają, kto podnosi alarm, że biali są atakowani. Zgłaszają się do takich osób i mówią „Nie jesteś sam". Cała rzecz w tym, aby gniew osoby werbowanej przekuć w rasizm. Przemoc staje się uwolnieniem emocji, nakazem. Dowiedziałam się również, że większość obecnych skinheadów nie tworzy band chuliganów, lecz są to działające z ukrycia jednostki. Biali supremacjoniści w dzisiejszych czasach wyglądają zupełnie zwyczajnie. Wtapiają się w tłum, co stanowi całkiem inny wymiar terroru.

Początkowo nie wiedziałam, jak wybrnąć z tytułu. Wielu moich wiernych czytelników wie, że go zmieniłam. *Małe wielkie rzeczy* to

nawiązanie do cytatu często przypisywanego wielebnemu doktorowi Martinowi Lutherowi Kingowi Juniorowi: „Jeśli nie mogę czynić wielkich rzeczy, mogę czynić małe rzeczy w wielki sposób". Ale czy jako biała kobieta miałam prawo to sparafrazować? Wielu członków afroamerykańskiej społeczności jest bardzo czułych na punkcie cytowania Martina Luthera Kinga Juniora w odniesieniu do własnych przeżyć, zresztą nie bez powodu. Niemniej jednak wiedziałam też, że zarówno Ruth, jak i Kennedy dokonują małych rzeczy o doniosłych i trwałych konsekwencjach dla innych ludzi. Poza tym dla wielu białych, którzy dopiero wkraczają na ścieżkę świadomości rasowej, słowa doktora Kinga są często pierwszym drogowskazem. Jego elokwencja w temacie, do którego wielu z nas nie dorosło, stanowi niewyczerpalne źródło natchnienia. Co więcej, mimo że pojedyncze zmiany nie wyeliminują całkowicie rasizmu – najpierw trzeba obalić instytucje i systemy – rasizm dokonuje się oraz jest likwidowany małymi krokami. I dlatego – i ponieważ chcę zachęcić ludzi, aby dowiedzieli się więcej o doktorze Kingu – wybrałam ten tytuł.

Spośród wszystkich moich powieści ta jest dla mnie szczególna, gdyż skłoniła mnie do zmiany postrzegania własnej osoby, a przy tym utwierdziła w przekonaniu, że w kontekście świadomości rasowej przede mną jeszcze długa droga. Lubimy myśleć w Ameryce, że odnieśliśmy sukces, bo byliśmy mądrzy i na niego zapracowaliśmy. Przyznanie, że ważną rolę w naszym sukcesie odegrał rasizm, jest zarazem przyznaniem, że amerykański sen nie jest osiągalny dla wszystkich. Peggy McIntosh, działaczka społeczna, wyszczególniła kilka takich korzyści, na przykład dostęp do mieszkań i pracy. Pójście do pierwszego fryzjera i znalezienie kogoś, kto potrafi obciąć ci włosy. Kupowanie lalek, zabawek oraz książek dla dzieci z bohaterami o tym samym co my kolorze skóry. Otrzymanie awansu bez wzbudzania niczyich podejrzeń, że zawdzięczamy go rasie. Prośba o rozmowę z kierownikiem i zostanie skierowanym do kogoś tej samej rasy co my.

Podczas zbierania materiałów zapytałam białe matki, jak często rozmawiają ze swoimi dziećmi o rasizmie. Niektóre odpowiedziały, że czasami, inne – że nigdy. Gdy zadałam to samo pytanie czarnym matkom, ich odpowiedź brzmiała jednogłośnie: „codziennie".

Zrozumiałam, że ignorancja też jest przywilejem.

No więc cóż pożytecznego się dowiedziałam? Otóż, jeśli jesteś biały, jak ja, nie możesz pozbyć się swoich przywilejów, ale możesz je spożytkować. Nie mów „nawet nie zauważam rasy", jakby to było coś chwalebnego. Miej świadomość, że różnice pomiędzy ludźmi utrudniają niektórym dotarcie do mety, i staraj się stwarzać każdemu sprawiedliwą drogę do celu, z uwzględnieniem owych różnic. Dokształcaj się. Jeśli uważasz, że czyjś głos jest ignorowany, każ pozostałym słuchać. Jeśli twój znajomy opowiada rasistowski kawał, zawstydź go, zamiast się śmiać. Jeśli dwóch byłych skinheadów, których poznałam, było zdolnych do tak radykalnej zmiany, zwykli ludzie również podołają wyzwaniu.

Na pewno znajdą się tacy, których ta książka urazi. Będę krytykowana przez ciemnoskórych za wybór tematu, który nie jest moim tematem, a przez białych – że wytykam im rasizm. Wierzcie mi, nie napisałam jej z myślą, że będzie łatwa i przyjemna, ale ponieważ wierzyłam, że postępuję słusznie, i ponieważ najwięcej uczymy się dzięki rzeczom, które budzą w nas sprzeczne uczucia. Jak to ujęła Roxana Robinson: „Pisarz jest jak kamerton: odpowiadamy, kiedy coś nas uderzy. (…) Przy odrobinie szczęścia emitujemy silny, czysty dźwięk, nie nasz własny, ale przechodzi przez nas". Do Czarnych, którzy czytają *Małe wielkie rzeczy* – mam nadzieję, że ci z Was, którzy otworzyli przede mną serce, znajdą tu odzwierciedlenie swoich przeżyć. My, biali, wciąż powstajemy. Jeśli o mnie chodzi, nie mam gotowych odpowiedzi i dzień w dzień dokonuje się we mnie przemiana.

Szaleje pożar i mamy dwa wyjścia do wyboru: odwrócimy się plecami albo spróbujemy go ugasić. Tak, rozmowy o rasizmie nie są łatwe i trudno znaleźć odpowiednie słowa – lecz biali muszą odbyć tę rozmowę między sobą. Niech usłyszy nas jak najwięcej ludzi, a wtedy – mam nadzieję – temat odbije się szerokim echem.

– JODI PICOULT
Marzec 2016

Podziękowania

Powstanie tej książki zawdzięczam wielu osobom i źródłom.

Dziękuję Peggy McIntosh za pomysł z niewidzialnym plecakiem. Doktor Beverly Daniel Tatum musiała dosłownie zmierzyć się z burzą śnieżną w Atlancie, żeby się ze mną spotkać, i jest moją bohaterką – mam nadzieję, że nie weźmie mi za złe zapożyczenia jej rozmowy z synem, podczas której wytłumaczyła mu, że jego kolor skóry to coś więcej, a nie mniej. Muszę także podziękować Debby Irving, że opowiedziała mi o swojej działalności społecznej, była zawsze do dyspozycji i wspaniałomyślnie pozwalała mi wykorzystać swoje metafory i powiedzonka, w tym koncept „niewidzialnych" przywilejów (genialnie opisanych przez Vernę Myers) oraz związek między wyrazami „ignorancja" i „ignorować". Dziękuję również Malcolmowi Gladwellowi, który ósmego grudnia dwa tysiące dziewiątego roku w *Q&A* na C-SPAN użył przykładu ze swojej książki *Outliers* na temat miesiąca urodzin młodych kanadyjskich hokeistów i tego, jak przekłada się on na sukces w NHL – co wykorzystałam w mowie końcowej Kennedy. Dziękuję People's Institute for Survival and Beyond za poprowadzenie w Bostonie antyrasistowskich warsztatów sponsorowanych przez Haymarket People's Fund, dzięki którym dostrzegłam własne przywileje – stamtąd pochodzi metafora Kennedy o wyrzucaniu dzieci.

Jestem niezmiernie wdzięczna profesor Abigail Baird za użyczenie badań na temat uprzedzeń (i przedstawienie mi niezwykłej Sienny Brown). Dziękuję Betty Martin, kobiecie, do której zawsze dzwoniłam w pierwszej kolejności, ilekroć chciałam uśmiercić fikcyjnego noworodka. Jennifer Twitchell z ADL, Sindy Ravell, Hope Morris, Rebecce Thompson, Karen Bradley i Ruth Goshen. Dziękuję Billowi Binniemu za jego nazwisko i donację na rzecz organizacji Families in

Transition, która zapewnia bezpieczny dach nad głową w przystępnej cenie i świadczy usługi społeczne i komunalne osobom bezdomnym bądź tym, którym grozi utrata domu w południowym New Hampshire. Natalie Hall, Rachel Daling, Rachel Patrick, Autumn Cooper, Kayla Ayling, Billie Short, Jessica Hollis, M.M., Naomi Dawson, Joy Klink, Kimberly Wright, Emily Bradt, Sukana Al-Hassani – dziękuję wam wszystkim za konsultacje w sprawie McDonalda.

Składam wyrazy wdzięczności lekarzom i pielęgniarkom, którzy podzielili się ze mną swoimi doświadczeniami, żargonem i anegdotkami: Maureen Littlefield, Shaunie Pearse, Elizabeth Joseph, Mindy Dube, Cecelii Brelsford, Meaghan Smith, dr Joan Barthold, Irit Librot, dr. Danowi Kelly'emu.

Dziękuję mojemu świetnemu zespołowi prawniczemu, który przysięgał, że w sądzie nie mówi się o uprzedzeniach rasowych – mam nadzieję, że zmieniliście zdanie. Lise Iwon, Lise Gescheidt, Maureen McBrien-Benjamin i Janet Gilligan – świetnie się z wami bawiłam, wierzyć się nie chce, że tylko razem pracujecie. Jennifer Sargent, dziękuję za wizyty o najdziwniejszych porach i korektę scen sądowych.

Wielkie dzięki dla Jane Picoult i Laury Gross, za to, że oburzałyście się, wzruszałyście i uczyłyście pokory we właściwych miejscach podczas lektury pierwszej wersji. Dziękuję Auriol Bishop za pomoc w znalezieniu tytułu oraz najlepszej ekipie wydawniczej pod słońcem: Ginie Centrello, Karze Welsh, Kim Hovey, Debbie Aroff, Sanyu Dillon, Rachel Kind, Denise Cronin, Scottowi Shannonowi, Matthew Schwartzowi, Anne Speyer, Porschy Burke, Theresie Zoro, Paolo Pepe, Catherine (potajemnie-organizuję-Jodi-życie) Mikula, Christine Mykityshyn, Kayley Baron. Szczególne podziękowania dla niezrównanej Jennifer Hershey, która tak wjeżdżała mi na ambicję, że powieść jest okupiona potem, krwią i łzami. Mam dług wdzięczności wobec cheerleaderki-wojowniczki-de facto wcale nie „Skandalicznej" kierowniczki zespołu Susan Corcoran, która stała się tak niezastąpiona, że naprawdę nie wiem, jak dotychczas radziłam sobie bez niej.

Dziękuję Frankowi Meeinkowi i Timowi Zaalowi – wasza empatia i odwaga to wzór do naśladowania, zwłaszcza w świetle tego, co

osiągnęliście. Dziękuję, że wprowadziliście mnie w świat nienawiści i pokazaliście wielu ludziom, jak go opuścić.

Całusy dla Evelyn Carrington, mojej Siostry Przyjaciółki, i Shainy – oraz Sienny Brown – możliwość poznania was stanowiła jedną z największych radości płynących z pisania tej książki. Dziękuję za waszą szczerość, męstwo i otwarte serca. Nic Stone – kto by pomyślał, że w czasie przymusowego pobytu w Atlancie znajdę przyjaciółkę? Ta powieść by nie powstała, gdybyś nie trzymała mnie za rękę i nie namawiała do głębszego wejrzenia w siebie – ostateczną wersję zawdzięczam gorączkowym esemesom w środku nocy. Dziękuję, że natchnęłaś mnie pewnością siebie, naprawiałaś moje „białe" błędy i wierzyłaś, że mogę i powinnam to napisać. Nie mogę się doczekać, kiedy twoja powieść trafi na półki księgarń.

Ogromne podziękowania dla Kyle'a i Kevina Ferreiry van Leera – kiedy dorosnę, chcę być taka jak wy, wzory sprawiedliwości społecznej. Dziękuję, że otworzyliście mi oczy na niewidzialne przywileje. Sammy: dziękuję, że wracałaś ze szkoły i mówiłaś „Musisz kogoś poznać". Jake: dziękuję, że wiedziałeś o istnieniu parkingu za sądem w New Haven i wyjaśniłeś mi decyzje Sądu Najwyższego; nie wątpię, że zostaniesz kiedyś prawnikiem, który zmieni świat. Tim: dziękuję, że zrobiłeś mi kawę w „uprzywilejowanym" harwardzkim kubku. Kocham cię za to i za wszystko.

Bibliografia

Materiały i/lub natchnienie czerpałam z następujących książek:

Alexander Michelle, *The New York Jim Crow: Mass Incarcertation in the Age of Colorblindness*, New Press, 2010.

Coates Ta-Nehesi, *Between the World and Me*, Spiegel & Grau, 2015.

Colby Tanner, *Some of My Best Friends are Black: The Strange Story of Integration in America*, Viking, 2012.

Harris-Perry Melissa V., *Sister Citizen: Shame, Stereotypes, and Black Women in America*, Yale University Press, 2011.

Hurwin Davida Wills, *Freaks and Revelations*, Little, Brown, 2009.

Irving Debby, *Waking Up White: And Finding Myself in the Story of Race*, Elephant Room Press, 2014.

McIntosh Peggy, „White Privilege: Unpacking the Invisible Knapsack" *Independent School* 49, nr 2 (zima 1990): 31. fragment z „White Privilege and Male Privilege: A Personal Account of Coming to See Correspondences Through Work in Women's Studies" (Working Paper 189, Wellesley Center for the Study of Women, 1988).

Meeink Frank and Jody M. Roy, *Autobiography of a Recovering Skinhead*, Hawthorne Books, 2009.

Phillips Tom, „Forty-two Incredibly Weird Facts You'll Want to Tell All Your Friends" http://www.buzzfeed.com/tomphillips/42-ncredibly-weird-facts-youll-wantto-tell-people-down-the#.kuYgj5yGd.

Shipler David K., *A Country of Strangers: Blacks and Whites in America*, Vintage Books, 1998.

Tatum Beverly Daniel, *Assimilation Blues: Black Families in White Communities: Who Succeeds and Why?*, Basic Books, 2000.

Can We Talk about Race? And Other Conversations in an Era of School Resegregation, Beacon Press, 2008.

Why Are All the Black Kids Sitting Together in the Cafeteria? And Other Conversations about Race, Basic Books, 1997.

Tochluk Shelly, *Witnessing Whiteness: The Need to Talk About Race and How to Do It*, Rowman & Littlefield Education, 2010.

Pytania do dyskusji

1. Tytuł nawiązuje do słów przypisywanych Martinowi Lutherowi Kingowi Juniorowi: „Jeśli nie mogę czynić wielkich rzeczy, mogę czynić małe rzeczy w wielki sposób”. W jakim sensie każdy z narratorów wciela w życie to motto?
2. Czy uważasz, że Ruth stanęłaby przed sądem, gdyby nie była czarna?
3. Z którym spośród głównych bohaterów – Ruth, Kennedy i Turk – się identyfikujesz? Dlaczego?
4. Które fragmenty przemawiają do ciebie w sposób szczególny?
5. Każdy z poniższych systemów umacniał w Ruth poczucie inności. W jaki sposób się do tego przyczyniły:
    - – transport
    - – edukacja
    - – opieka zdrowotna
    - – gospodarka mieszkaniowa
    - – bankowość
    - – handel
    - – pracodawca
    - – nadzór porządku publicznego
    - – sądownictwo
    - – media
6. Historia zna wiele przypadków, gdzie biali w swoim mniemaniu pomagali ludziom, których uważali za innych lub gorszych od siebie. Ten rażący wzorzec zachowań ma nawet swoją nazwę: „syndrom białego zbawcy”. Sęk w tym, że służy głównie forsowaniu idei o dobroci i wyższości białych. Czy możesz podać trzy przykłady tego zjawiska w historii? Czy potrafisz wskazać trzy sytuacje z powieści, gdy Kennedy ulega pokusie, by działać w myśl tych wzorców?

7. Kennedy przekonała się, w jaki sposób biała skóra uchroniła ją przed dyskryminacją rasową. Czy myślisz, że wykazała się otwartością na naukę? Jeśli tak/nie, w jaki sposób to okazała?
8. Czy biali nacjonaliści pokroju Turka i Brittany utrwalają rasizm? Jak? A w jaki sposób przyczyniają się do tego ludzie w rodzaju szpitalnej prawniczki, sędziego, Kennedy czy policjantów?
9. Kennedy toczy walkę ze swoimi uprzedzeniami i stereotypami na tle rasowym (podaj przykłady). Czy jesteś świadomy własnych uprzedzeń? Czy potrafisz przytoczyć kilka sytuacji ze swojego życia, kiedy – słowem lub milczeniem – starano ci się wpoić, co masz myśleć na temat ludzi rasy innej niż twoja?
10. Jak często rozmawiasz o rasizmie ze swoimi przyjaciółmi i rodziną?

- – codziennie
- – raz na tydzień
- – raz w miesiącu
- – dwa razy do roku
- – rzadziej niż raz w roku

11. Czy rozmowy na dany temat mogą wpłynąć na nasz światopogląd? Czy według ciebie jest to sposób na walkę z rasizmem?

Spis treści

Etap pierwszy. Faza utajona
- Ruth

Etap pierwszy. Faza aktywna
- Ruth
- Turk
- Ruth
- Kennedy
- Turk
- Ruth

Etap pierwszy. Faza przejściowa
- Kennedy
- Turk
- Ruth
- Kennedy
- Ruth
- Kennedy
- Ruth
- Turk
- Kennedy
- Ruth
- Kennedy

Etap drugi. PARCIE
- Ruth
- Turk
- Kennedy
- Ruth
- Turk
- Kennedy
- Ruth
- Kennedy
- Ruth
- Turk

- Kennedy
- Ruth

Etap trzeci. Końcowy
- Turk

Od autorki
Podziękowania
Bibliografia
Pytania do dyskusji